

**Helena Mniszkówna**  
**TREĐOWATA**

POWIEŚĆ  
Tom pierwszy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Dniało. Wstawał świt.

Jasna smuga na wschodzie rozszerzała się dalej i dalej. Z różowej wpadała w tony blade, coraz świetlistsze, prawie przejrzyste, haftowane na tle złotogłowiu.

Powietrze, pełne surowych powiewów nocnych, wchłaniało słoneczne smugi, wilgocią mgły opadając na dół, z każdą chwilą było rzeźwiejsze, jak brylantowe.

Zbudzone ptaki dzwoniły niezliczoną ilością świergotów. Drzewa, otulone puchami zieleni majowej, szemrały na powitanie jutrzeńki – przedniej straży słońca.

Pałac w Słodkowcach stał cichy, błyszcząc w różowych topielach wschodu białymi murami ścian i jaskrawą zielonością strzyżonych lip, które wieńcem stroiły fasadę.

Za ogrodem i parkiem przedźwiewał już dzwonek gospodarski. W ciszy poranku brzmiał donośnie, kołatał, roznosząc echo po izbach mieszkań folwarcznych. Oстрым głosem zrywał czeladź z pościeli do roboty.

Mieszkańców pałacu dźwięk ten nie obudził.

Po chwili jednak na lewym skrzydle parterowym otworzono weneckie okno. Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste sobolowozłote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat.

Była w białej, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukułki wołającej w parku.

Dziewczyna podskoczyła do okna.

Ranek zachwyił ją, powietrze orzeźwiło, wciągała je w piersi z lubością.

Widok kwiatów, pokrytych blaskiem rosy, świergot ptaków oczarował ją, rozmarzył trochę.

Pąsowe usta uśmiechały się majowo jak poranek, ale w dużych fiołkowych oczach pozostał smutek, niezgodny z młodzieńczą postacią i wesołym głosem, jakim zawołała:

– Cudny świat! Już nie zasnę, pójdę do lasu! Odbiegła od okna i zaczęła się ubierać.

Włosy splotła w warkocz i zwinęła w ciężki węzeł z tyłu głowy; z natury falowały puszysto, osłaniając miękkimi zwojami drobne uszy i kąty ładnie zarysowanego czoła. Narzuciła na siebie skromną suknię z szarego batystu, ozdabiając ją sznurem różowych koralików, błyszczących jak duże czereśnie.

Ubrana, zajrzała do sąsiedniego pokoju. Ciemny od zapuszczonych firanek, wyglądał, jakby sam spał.

Stefcia szepnęła:

– Lucia śpi smacznie. Sama pójdę.

Na palcach przeszła parę pokoi bogato i gustownie urządzonych. W ogromnej sieni pałacowej zatrzymała się bezradnie, ujrawszy ciężkie oszklone drzwi zamknięte na klucz.

Pomógł jej służący, który właśnie szedł po schodach ze szczotkami w ręku. Szeroko otworzył zaspane oczy na jej widok, ale uprzejmie pospieszył odkręcić zamek.

Po chwili wbiegła do parku.

Chodząc po zwirowanych uliczkach, zrywała białe smukłe narcyzy. Liliowy bez w bujnych kiściach opadał z krzaków, rozkołysany, pachnący. Kielichy narcyzów, przeczysto białe, wonne, pełne były chłodnej rosy; żółte oczy kwiatów w czerwonej rżęsie wyglądały jak zalazawione. Dziewczyna przychyliła do ust białe czarki i piła te lzy ze swawolnym uśmiechem.

Pierwsza młodość jej życia i pierwsze poranne blaski słońca złożyły się w potężny hejnał szczęścia, spłynęły do duszy stubarwną tęczą.

4

Podskakiwała do większych bukietów bzu, strząsając z pachnących pióropuszków kroplisty deszcz na swe lśniące włosy. W świetle słonecznych jaśni głowa jej migotała niby w srebrzystej rosie.

Z więzią kwiatów wyszła z parku do ogrodu owocowego i tu krzyknęła z zachwytem. Wspaniale przystrojone kwieciami drzewa stały uroczyste. Jabłonie, w różowych pękach, miały wygląd młody, pieszczący wzrok. Wiśnie stały osypane bielą kwiatów, niby szeregi dziewcząt idących do ślubu w białych welonach.

Zapach płynął duszący, gałęzie sypały potoki woni. Słońce malowało złotem kwiaty, wiatr niósł szumy, brzęczały pszczoły. Czasem, oderwany z drzewa, biały motyl unosił się w górę jak strząśnięty kwiat.

Stefcia, upojona zapachem, odłamała parę gałązek wiśniowych, przypinając je do włosów, do paska, i tak ukwiecona, szła wąską uliczką, wysadzoną krzewami porzeczek.

Uliczka wiodła do lasu za ogrodem, zwanego borkiem.

Stefcia odchyłała zroszone gałęzie, okryte nikłym, jakby spłowiałym kwiatem; mnóstwo tych seledynowych liszek zwiślało na ciemniejsze liście, tworząc malowniczą grę kolorów.

Szary batyst pokrywała błyszcząca mgielka rosy, pryskała na twarz i ręce dziewczyny, lecz ją to bawiło.

Biegła do małej bramki w sztachetach, otworzyła ją i brodząc w mokrej, obfitej trawie, przeszła skrawek łąki, przedzielającej ogród owocowy od lasu. Wśród wysokich sosen i rozłożystych drzew liściastych zaczęła śpiewać.

Koło nóg jej śmignęła wiewiórka i prędko wskoczyła na drzewo. Ćwierkały wróble, monotonnie stukali dzięcioł.

W pobliskiej olszynie ślicznym sopranem wyśpiewywał słowik, z głębi lasu wołała tenorem kukułka, największa próżniaczka między ptakami. Świat leśny wrzał życiem, pełen szczebiotów, nawoływań, fruwań, pełen chrzęstu igieł sosnowych, szumu leszczyny, dźwięczał, huczał, brzmiał.

Zbudzone echa szły daleko, rozgwarzone, wesołe. Uśmiechnięta dziewczyna pławiła się w słońcu, nurzając w kwiatach i zieleni.

Ale wkrótce jej promienistość znikła. Jakaś chmura zaćmiła młodą jej twarz, matując blask oczu w oprawie bujnych, ciemnych rzęs. Ładne gęste brwi zsunęła na czoło i opuszczając na mokry mech suknię, rzekła z niechęcią:

– Mam się też czego cieszyć!

Przypomniała sobie, że minął miesiąc, jak jest nauczycielką w Słodkowcach. Jak ten czas długo płynie!

Nigdy nie myślała o zajmowaniu posady, nie potrzebując pracować na siebie. Ale stało się inaczej.

Materialnie nic jej do nauczycielstwa nie zmuszało.

Była córką zamożnych obywateli z Królestwa, którzy oprócz niej mieli jeszcze dwoje młodszych dzieci. Ona kończyła dziewiętnaście lat. Chodząc po lesie Stefcia wspominała okoliczności, jakie ją wygnały z domu,

Piękna postać Edmunda Prątnickiego uwypuklała się głównie i jej dziecinne uczucia dla tego człowieka.

Kiedy powrócił ze szkoły dublańskiej, porwał Stefcię siłą urody. Nie badając treści zachęcał się pierwszy raz w życiu, gwałtownie, na ślepo, bez odrobiny prawdziwej miłości. Prątnicki odurzył jej głowę nieco romantyczną i egzaltowaną.

Stefcia, skończywszy pensję w Warszawie, uczęszczała na kursa zbiorowe. Wówczas miała sposobność poznać trochę młodzieży ze sfer uczących się.

Przeważnie byli to chłopcy szlchetni, o idealnych porywach. Stefcia nie wyobrażała sobie innych. Prątnicki wyzyskał jej łatwowierność, a podniecony urodą dziewczyny, chciał ją

5

zdobyć i maskował się zęczeniem. Potrafił nawet zjednywać sobie państwa Rudeckich. I trwała sielanka.

Ale ojciec Stefci, jakkolwiek wiedział, że młodzi wyznali sobie wzajemnie uczucia, jednakże na urzędowe oświadczenia nie pozwalał. Przeczuwał, że się tu spotkały dwie natury całkiem odmienne...

W piękne barwy Edmunda stary obywatel nie wierzył. Znał „papę Prątnickiego”, a ten w mętach społecznych miał pewne zastosowanie. W swej córce Rudecki widział tyle idealnego zapału, takie bogactwo uczuć, że z obawą wyczekiwał zakończenia tej sielanki. Nie wątpił, że to nastąpi, i bał się o Stefcie... Przeczucia go nie zawiodły.

„Papa Prątnicki”, sprzyjając zamiarowi syna, zaczął jednak z umiejętnością sędziego śledczego wywiadywać się o posag Stefcie. Suma kilkunastu tysięcy oburzyła go.

Synowi wytłumaczył bezzasadność takiego związku i namawiał do zerwania. Dowodził mu, że ze swą urodą i nazwiskiem powinien ożenić się z cyfrą stutysięczną.

Stefcia w owym czasie zaczynała już wątpić w oślepiający blask swego ideału. Robiła próby, szukając na nim plam. Jej inteligencja i wrażliwość popychały ją do tego. I nastąpił przewrót.

Okopcone szkło dał jej w rękę sam „papa Prątnicki”, rozpoczął bowiem oświadczyły jej ojcu od pytania, ile córka dostanie posagu.

Słowa te zniweczyły wszystko. Pan Rudecki odmówił stanowczo, zadowolony, że dość wcześnie odkrył istotne zamiary Prątnickich.

Ale Stefcia, pragnąc upewnić się w szlachetności Edmunda, spozjrzała śmiało w jego blask duchowy, czarujący ją pełnią uroku.

I ujrzała zaćmienie na świetlnej tarczy swych marzeń.

Ujrzała wielkie piętna egoizmu i próżności, a zamiast wzniosłych uczuć spostrzegła brudną naturę, dążącą jedynie do własnego użycia.

Edmund przedstawił się jak ów kwiat krwiożerczy, który urodą i silnym zapachem zwabia ku sobie łatwowierne owady, a gdy złudzone poddadzą się magnetycznej sile, wówczas zamyka nad nimi kielich i bezwstydnie odkrywa prawdziwą wartość wewnętrzną. Zabija owady trucizną swych namiętności, wchłania je, aby żywić się ich kosztem.

Ona była zaledwo na brzegu zdradnego kielicha. Uratowano ją wcześniej od zguby. Stefcia, myśląc o tym, usiadła na pniu i objąwszy kolana, zwiesiła smutnie głowę.

Pierwszy zawód życia pozostawił w jej duszy wiele gorzkości! Dawna, bezgraniczna wiara w ludzi osłabła, znikł zapał do głębokich porywów.

We własnym pojęciu dziewczyna nie czuła się już zdolną do uczuć gorętszych, zapomniała, że ma lat dziewiętnaście i bujny temperament.

Delikatny szron pesymizmu osiadł nikłą warstwą na jej idealnych marzeniach, ale zwiększał się, nawet już w Słodkowcach.

Po zerwaniu z Edmudem Stefcia postanowiła wyjechać z domu. Palił ją wstyd i żal, chciała uciec jak najdalej. Śniła o szerokich światach, dalekich przestrzeniach, rwała ją naprzód!...

Powodowana żywą naturą, tworzyła w myślach barwne obrazy, pełne fantazji. Bujała w lśniących wizjach, czując pewną ciasnotę w dotychczasowych warunkach. Po krótkiej walcze wyjechała z ojcem szukać posady nauczycielki. Wszelkie tłumaczenia rodziców nie odniosły skutku. W końcu ulegli sądząc, że to krótkotrwały kaprys, spowodowany pierwszym zawodem życiowym, ale obawiali się o wybór odpowiedniego miejsca.

Szło dosyć trudno. Grymasiła Stefcia i pan Rudecki.

Stefcia wydawała się niektórym paniom za ładną, szczególnie gdy same były pełne pretensji lub gdy miały brzydsze córki. Po wielu niepowodzeniach posadę znaleziono. Baronową Elzonowską uroda Stefcie nie raziała, przeciwnie – ujęła ją.

6

Jednakże baronowa spytała dziewczyny, czy nie będzie się nudzić w Słodkowcach, gdyż mieszka tam tylko ona z córką, stary ojciec i również stary rezydent, dawny nauczyciel jej brata. Ale Stefcia pragnęła ciszy, nawet zgodziła się na warunek niepowrócenia do domu na wakacje. Przeraziły ją odległe Słodkowce, jednak coś ją tam ciągnęło.

Pan Rudecki, opowiedziawszy historię poprzedzającą wyjazd córki, prosił pani Elzonowskiej o troskliwą opiekę nad Stefcią, na co otrzymał obietnicę, wypowiedzianą dość wyniośle

z odrobiną serdeczności.

Niepokoilo go arystokratyczne pochodzenie baronowej. Arystokracji nie chcial dla córki, wiedząc, że nauczycielka nawet w obywatelskich domach bywa rozmaicie traktowana. Drzał na myśl, że w wielkopańskim pałacu mogą jego Stefcię obrażać.

Ale wiedział przy tym, że arystokracja rodowa jest wyjątkowo uprzejmą i że prawdziwy wielki pan starożytnego rodu zawsze jest grzeczniejszy od wielkiego pana parweniusza.

Nazwisko baronowej uspakajało pana Rudeckiego. Zauważył w niej typ wielkiej damy, trochę sztywnej, lecz nie pozbawionej sympatyczniejszych stron.

Uczennicę swą Stefcia poznała na miejscu.

Lucia miała rok szesnasty. Dość wątła, wydelikaccona i ładna dziewczynka, o bardzo jasnych włosach i niebieskich oczach, różniła się z matką powierzchownie i usposobieniem. Ze Stefcią zgodziły się. Wkrótce nastąpiła koleżeńska przyjaźń.

Stefcia podniosła się z pnia i poszła w głąb lasu.

– Czy ja tu wytrwam do końca? Oj, wątpię! – szepnęła.

Jej miłość do Prątnickiego, błyskotliwa i wątła jak motyl żyjący krótko, zgasła. Niepokoilo ją teraz coś innego. Wszyscy byli dla niej dobrzy, szczególnie stary dziadek Luci, pan Maciej Michorowski, typ magnata, ale miły typ. Okazywał on jej wiele serca, nazywając Stefnią.

Mówił, że mu takie spieszczenie jej imienia przypomina dobre czasy z młodości. Stefcia nie wiedziała, jaki to rodzaj wspomnień, ale czuła dla starca wdzięczność za sympatię i ojcowską dobroć. Nie lubiła jego wnuka, właściciela Słodkowic, młodego ordynata Waldemara Michorowskiego. Mieszkał o dwie mile w ordynacji Głębowiczach i w Słodkowcach bywał często. Nie ominął nigdy sposobności, aby się z nią nie drażnić zuchwale. Ile razy on przyjeżdżał, Stefcia wpadała w najgorszy humor, złośliwe jego zaczepki zbywając milczeniem lub gniewem.

– Ten mnie zmusi do opuszczenia Słodkowic – myślała z żalem. Stefcia, słysząc o nim same pochwały, zdziwiła się.

– Więc tylko dla mnie jest takim?... Przypomina Prątnickiego, ale po zdemaskowaniu.

Ten się nie krępuje, nie udaje idealnego; brutalność swej natury odsłania jawnie. A co lepsze: czy świat złudzeń, czy świat marzeń, czy świat rzeczywistości?... To wszystko jak kwiat o pięknej barwie i czarownej woni.

Barwa – to marzenie. Woń – to złudzenie.

Rzeczywistość – to prosta łądyga i szara ziemia, z jakiej wyrasta. Młody Michorowski jest właśnie rzeczywistością, bez upiększeń. Stefcia biegała w lesie, unosząc się własnymi myślami. Każda sosna, polanka, nawet wiewiórki i kukułka przypominały jej Ruczajew i tęsknota do domu rosła... Pierwszy raz przerażona zapytała siebie, jak mogła zgodzić się na warunek, aby na wakacje nie powracać do rodziny.

W bagnistym zakątku leśnym znalazła mnóstwo niezapominajek, jaskrów, gorąco żółtych pełników łąkowych i ze łzami w oczach zaczęła je zrywać. Całowała niezapominajki, bo jej przypominały olszynkę ruczajewską.

Z pękiem zroszonych kwiatów zawróciła do ogrodu.

Słońce, wzniesione już wysoko, wsiąkało w szczelinki pomiędzy liśćmi, zrzucając na puszystą trawę olbrzymi złoty niewód.

7

Wtem na drodze środkowej w borcu Stefcia ujrzała sunącego wolno jeźdźca. Aż drgnęła z gniewu.

Był to Waldemar Michorowski.

Jechał na pysznym, czarnym jak lawa wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamśzowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka.

Koń arabski szedł z fantazją, nogi stawiał klasycznie, z wdzięcznie przegiętą szyją niepokojnie gryzł wędzidło.

Ordynat siedział jak przymurowany, opięty w elegancki strój do konnych wycieczek, w długich botfortach. Wyglądał zgrabnie i postawnie.

Jadąc stępa, młody pan, widocznie zamyślony, patrzył przed siebie, uderzając pejcem po końcach butów. Słońce nieciło iskierki na błyszczących ostrogach.

Stefcia cofnęła się za drzewo, lecz nagłym ruchem spłoszyła z gałązki kraskę. Ptak za- trzepotał skrzydłami, kwiląc głośno.

Michorowski spojrział w tę stronę. Stefci krew uderzyła do głowy.

– Zobaczył mnie!... Boże!... że też ja go zawsze spotkać muszę! Przyklęła po rozsypane kwiaty, udając, że go nie widzi.

Ale on już podjechał blisko, zdjął czapkę i zawołał żartobliwie:

– Dzień dobry pani! Co pani tu robi tak rano? Gdzie pani zdobyła tyle kwiatów? Pośród tych drzew jest pani jak rusałka.

– Toteż spotkałam wilkołaka – odparła z gniewem bez namysłu. On podniósł brwi i złośliwie uśmiechnięty odrzekł:

– Owszem, chcę być wilkołakiem przy pani jako rusałce. Stefcia poczerwieniała gwałtownie.

– Czy pan jedzie do Słodkowic? – zapytała chłodno.

– Tak. Mam zamiar panią tam odprowadzić.

– Ja sama trafię do domu.

– Bardzo wątpię! Przede wszystkim nie udźwignie pani tego zielska. To waży cały pud. Muszę pani ulżyć.

Zeskoczył z konia i z wytwornym ukłonem czekał na podanie ręki. Stefcia zawahała się, lecz podała mu ją wzburzona i prędko cofnęła.

– Ależ nie objąłem palców pani... Nie! Stanowczo jestem zadzumiony! – zawołał rozkładając ręce komicznym ruchem.

Miała go ochotę bić.

Michorowski patrzył na nią z ironicznym uśmiechem. Ona drżała z gniewu pod spojrzeniem jego szarych oczu.

Zebrawszy kwiaty, kiwnęła mu dumnie głową i rzekła odchodząc:

– Zegnam pana.

– Hm, pani jest energiczna, ale i ja muszę jechać do Słodkowic. Inna droga nie istnieje. Stefcia skrzywiła w las, wskazując na bielejący pas drogi.

– Proszę, niech pan jedzie.

– A pani?

– Ja idę lasem.

– Nie mogę pani zostawić w tej puszczy. Pani jest dziś tak nerwową, że zabłądziłaby łatwo.

Postępował obok niej, prowadząc konia za uzdę. Stefcia zacięła wargi. Szła prędko, milcząc.

On mówił wciąż głosem przesiąkniętym złośliwością:

– Wie pani co? Niech pani siądzie na mego konia, a ja będę iść obok jak paż. Albo jeszcze lepiej: siądnijmy razem. Na rusałkę i wilkołaka tak stosowniej.

8

Stefcia nie odpowiedziała, przyspieszając kroku.

– Pani ode mnie ucieka jak od straszydła leśnego. Przecie ze mnie wcale ładny chłop- czyk, co? Nie uważa pani?

Żadnej odpowiedzi.

– Aha! Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Bardzo mię to cieszy! Oddała mi pani na- reszcie sprawiedliwość.

Skłonił się głową żartobliwie, z umyślną uniżonością.

– Przede wszystkim jest pan źle wychowany – wybuchnęła Stefcia.

– Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! Zawsze uchodziłem za gentlemana.

– Pan gentleman?! – zawołała ze śmiechem.

Gniew zaświecił w jego oczach. Zmarszczył brwi i szarpiąc konia, przeszył ją oczyma. Ale trwało to chwilkę. Odparł z ironią:

– W takim razie możemy sobie po koleżeńsku podać ręce, gdyż i pani nieuprzejma.

– Panie ordynacie, czy pan uwolni mnie dziś od swego towarzystwa?

– O tak, pani: w Słodkowcach.

– Boże! Za co mnie karzesz! – szeptała do siebie. Ordynat wybuchnął śmiechem.

– Z czego się pan śmieje? Czy ze swej niedelikatności?

– O nie, pani! Ale pierwszy raz widzę młodą pannę, którą widocznie przerażam. Jak mi Bóg miły, tak to dla mnie nowy objaw.

– Pierwszy raz jest pan tak niegrzeczny dla młodej panny. Za wiele pan sobie pozwala.

– Eee! Pozwalałem sobie często więcej, ale w żadnej nie wzbudzałem tak panicznego strachu jak w pani.

– Ja się pana boję? Pyszny pan jest! Ja pana...

– Nie cierpię – dokończył.

– Tak!

– Dziękuję! Przynajmniej szczerze! Nikt na spowiedzi większej prawdy nie powiedział. Pani utopiłaby mnie w łyżce wody. Kto by pomyślał, że w tak delikatnym stworzeniu tyle się- dzi złości. Skandal! Pani mnie nie cierpi... Ha! Cóż robić! Możemy się pomordować w tym lesie, wolę odjechać samotnie. Gdyby mi pani wydrapała oczy, co powiedziałyby na to cały świat kobiecy? Zabrakłoby krepy żałobnej w sklepach, liczba samobójczyń wzrosłaby zastra- szająco, a panią skazałyby moje wielbiciele na gilotynę.

Wskoczył na konia i wznosząc do góry czapkę, zawołał:

– Do widzenia! Umykam!

Zawrócił do drogi, uderzył konie ostrogami i pocwałował, roznosząc głośny tętent po lesie. Stefcia odetchnęła.

– Nareszcie!... Pojechał..., obrzydły cynik! Obraziłam go... Tym lepiej, nie będzie mi do- kuczał. Spiesznie podążyła w stronę pałacu.

Waldemar zrywał konia munsztukiem, smagał szpicróżgą i przez zaciśnięte wargi wyrzu- cał słowa ostre:

– Romantyczka... przybiera pozy królowny. Poczekaj! Zdejmę ja twoją koronę!... Wolę diablice niż mniszki, ale nie mogę cierpieć, gdy diablica pozuje na westalkę.

Wzruszył ramionami.

– Ona podobna do księżniczki, a ja do szatana. W tym wypadku jestem szatanem... No... zobaczmy!

I spiął konia ostrogami.

W ogrodowej altanie przy stoliku siedziała Lucia Elzonowska ze swą nauczycielką i słu- chała z zajęciem wykładu literatury. Stefcia opowiadała barwnie najświetniejsze czasy pi- śmiennictwa w Polsce, przytaczając ciekawsze ustępy z dzieł sławnych poetów. Wymową i zapałem umiała porwać uczennicę.

– Czy ty, Luciu, nigdy nie uczyłaś się literatury ojczystej? – spytała Stefcia, widząc za- ciekawienie dziewczynki.



– Owszem, coś tam, ale bardzo mało – odparła Lucia. – Poprzedniczka pani, panna Klara, dowodziła, że w naszej sferze trzeba umieć dużo języków obcych i obcą literaturę, o polskiej zaś mówiła, że mi się na nic nie przyda.

– Czy panna Klara jest Polką?

– Tak, ale to wielka arystokratka, przesiąknięta naszymi poglądami.

– Jakież są wasze poglądy?

– Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, ale sądzę, że chyba polegają na... Nie, nie umiem tego powiedzieć.

– Ja ci pomogę. Polegają na tym, aby mieć cześć dla wszystkiego, co francuskie, niemieckie, słowem obce, byle nie dla tego, co nasze, polskie. Nieprawdaż?

– Skąd pani o tym tak dobrze wie?

– Domyślam się. Czy twoja mama tak samo się zapatruje?

– Naturalnie! Mama nie czyta nic po polsku, ze mną rozmawia tylko po francusku i wie- rzy jedynie w zagranicę.

– A dziadzio? – spytała Stefcia.

– O, dziadzio przeciwnie! Zawsze o to sprzeczki z mamą. Dziadzio mówi, że to wstyd zapominać o swej narodowości – że każdy powinien najwięcej cenić i kochać to, co własne. Ale mamy te argumenta nie przekonują.

– Twój dziadzio bardzo zacny człowiek.

– Pani kocha dziadzia?

– Szanuję go, ufam w jego rozum.

– I dziadzio panią lubi, ja to widzę. Ale... i Waldy jest tych samych poglądów. Dlaczego pani go nie znosi?

– Moja Luciu, cóż mię pan Waldemar obchodzi? Lucia odrzekła ze śmiechem:

– Wie pani, że między mamą a Waldym wieczne kłótnie. Teraz jeszcze pani przybyła. Biedny Waldy!

– Kończmy lekcję – przerwała Stefcia. – Masz jeszcze napisać wypracowanie. Lucia zarzuciła jej ręce na szyję i rzekła pieśczośliwie:

– To jutro, moja droga pani. Dziś nic nie napiszę, czuję to. Tak mnie pani zachwyciła literaturą, że o niczym więcej nie mogę myśleć. Musi mi pani dać do czytania coś naszego, a wszystkich Niemców i Francuzów schowam na dno szafy, niech ich tam mole jedzą.

– Nie można wpadać z jednej ostateczności w drugą, moja Luciu. I obcych powinnaś po- znać lepiej.

– Ale naszych więcej, prawda? Dziś powiem o tym dziadziowi i Waldy, będą radzi. Wal- dy zawsze mię nazywał papużką... Często, przyjeżdżając, pytał: „Cóż tam papużkę nauczyli nowego?” Mama zaraz w dąsy, a panna Klara z milutkim uśmiechem mówiła: „Vous pla- isantez, monsieur le comte”<sup>1</sup>. Bo ona go nazywała hrabią. Ale Waldy odpowiadał niby grzecznie, lecz z gniewem: „nie jestem żadnym comte. Racz pani zapamiętać”.

1 Vous plaisez, monsieur le comte (fr.) – Pan żartuje, panie hrabio.

– A cóż na to panna Klara?

– Obrażała się. Do mnie mówiła: „Votre cousin est détestable. Il n'est pas sage”<sup>2</sup> – i przez parę dni nie wychodziła do niego. Ale potem było znowu: monsieur le comte, a Waldy ją przestrzegał. Tak trwało ciągle.

– Widocznie pan Michorowski uważa za ulubiony sport dokuczanie nauczycielkom – rzekła Stefcia z przekąsem.

– Ależ co znowu! Waldy nienawidził panny Klary, a ona się w nim kochała, ja wiem. Panna Klara to już zupełnie stara panna, ale w pretensjach. Jak tylko Waldy przyjechał, fry- zowała włosy i pudrowała się, aż na suknię puder opadał. Waldy ją ogromnie wyśmiewał. Razu jednego na obiad przyszła upudrowana niemożliwie i opowiadała, że zwiedzałyśmy młyn

turbinowy. Waldy, wówczas czegoś zły, rzekł bez wahania: „Znać to na pani”. – „Dla- czego?” – spytała. – „Bo pani cała w mące”. Wtedy gniewała się na niego przez tydzień.

Stefcia wzruszyła ramionami, pomagając Luci składać książki i kajety, i myślała o smutnej doli nauczycielki, która w dodatku jest starą panną. O pannie Klarze słyszała już wiele rzeczy, kpili sobie z niej wszyscy, ile chcieli. Kiedyś może i ją będą wyśmiewać, choć nie jest starą panną.

A Lucia powolnym głosem mówiła dalej, kręcąc jasną głową:

– Chciałabym się kiedy zakochać, wie pani? To musi być przyjemne. Ale w kim? W Słodkowcach nie ma kandydata. Chyba pan Ksawery. Ha! ha! On ma za dużą łysinę i mówi do mnie: „moje dziecko”. Bardzo tego nie lubię. Jest tu w Ożarowie hrabia Trestka, ale w nim się nie zakocham, bo ma taką gapiowatą minę. Zresztą on stara się o pannę Ritę. Ot! szalałabym na pewno za Waldym, ale on jest moim wujecznym bratem. On bardzo przystojny i elegancki, ale za poważny, czasem się tylko rozdokazuje.

– Moja Luciu, nie myśl o takich rzeczach – wtrąciła Stefcia. – Jesteś za młoda. Przyjdzie czas i na to. Im później, tym lepiej.

– Pani tak mówi, bo sama z tego powodu miała dużo smutków.

– Skąd wiesz?

– Wiem od mamy. Stefcia poruszyła głowę.

– Mama czasem wszystko mi mówi, ale czasem nic. Zresztą cóż w tym złego? Przecież nie zawsze bywa taki koniec rozpaczliwy, zwykle doznaje się dużo szczęścia.

– Ty już o tym wiesz? – spytała Stefcia ubawiona.

– Ja, czytając dużo powieści francuskich, wiem, co znaczy miłość, lecz na sobie nigdy jej nie doświadczyłam. Kiedyś zapytałam Waldemara, co się wówczas czuje – bo on już może być doświadczony.

– I cóż ci odpowiedział? Lucia machnęła ręką.

– Ech, Waldy zawsze żartuje. Powiedział mi tak: „Kochać się to jest zupełnie to samo, co odrabiać lekcję arytmetyki” – bo wie, że najgorzej nie lubię rachunków. Pani mogłaby mi coś powiedzieć, ale pani nie powie. Będę czekać na podobne wiadomości z własnej praktyki.

– Tylko nie zaprzataj głowy oczekiwaniem. Powtarzam: to za wcześnie.

Lucia zrobiła ruch, jakby sobie coś przypominając, i z wesołą mimiką szepnęła:

– Już wiem! Otóż i zakocham się, nawet prędko, może za tydzień lub za dwa. Ma tu przyjechać praktykant, mówił Waldy. On ma takich kilku w Głębowiczach, z dobrych rodzin. I ten, co tu przyjedzie, jest podobno z dobrej rodziny, taki, co mu nic nie płacą i on nie płaci. Będzie mieszkał w pawilonie, ale jadał z nami. Chciał tu się dostać hrabia S., lecz podobno okropny lalusz, więc Waldy odmówił.

– A ten może nie zadowoli twego gustu? – rzekła Stefcia, myśląc o czym innym.

2 Votre cousine est détestable. Il n'est pas sage (fr.) – Twój kuzyn jest obrzydliwy. On nie jest grzeczny.

11

– No, zapewne! Ale jeśli ładny, to się zakocham.

W tej chwili wszedł do altany młody pokojowiec i rzekł służbowo:

– Jaśnie pani prosi do stołu.

Po czym, nie czekając rozkazu, zabrał książki i niósł do pałacu z wielką czcią.

W sali jadalnej, stylowej, z sufitem w płyty mahoniowe, wszyscy już byli zebrani. Pani Elzonowska, siedząc w krześle, oczekiwała na córkę.

W ręce gniołła serwetę, miała wygląd zirytowany. Poruszała ustami z grymasem i podnosiła jedną brew prędko, co u niej oznaczało niezadowolenie. Obok niej siedział pan Maciej Michorowski, starzec osiemdziesięcioletni. Szczupły i trochę pochylony, robił sympatyczne wrażenie rozumnym wyrazem twarzy bladej, ozdobionej siwym wąsem i dwojgiem miłych szarych oczu. Rysami twarzy przypominał cesarza Franciszka Józefa i dziwną ufność wzbu-

w każdym. Pociągającym uśmiechem ujmował wszystkich, jakby mówiąc: „Szanujcie mnie i kochajcie”.

Teraz słuchał wnuka, rozważając każde jego słowo. Staruszek widział w nim swe odrodzenie, młodość.

Waldemar, oparty o wysoką poręcz krzesła, rozdrażniony, ze zmarszczonymi brwiami, dowodził coś, na coś się nie zgadzał, co oburzało panią Elzonowską.

Czwartą osobą przy stole był pan Ksawery, emeryt, stary i łysy, wielki smakosz. Ten, widząc, że ordynat nie siada, stał również, z miną nieszczęśliwą. Nie zajmowała go rozmowa

Waldemara z ciotką: on pożerał oczyma wazę, stojącą na bocznym stole, z której ulatywała woń zupy à la reine<sup>3</sup>. Zerkał strapiiony na baronową i na wyfrakowanego lokaja. Lecz i ten oczekiwał hasła rozlewania zupy. Nareszcie Stefcia i Lucia weszły. Pani Idalia spojrzała bystro na Waldemara, dając mu do zrozumienia, że czas zakończyć rozmowę. Ale ordynat sam umilkł. Prędko podszedł do panien i ucałowawszy Lucię, skłonił się Stefcii z wyszukaną elegancją. Ironiczny uśmiech od razu osiadł mu na ustach.

– Po takiej poezji, jak las i kwiaty, spotykamy się przy prozaicznym obiedzie. Gzy to pani nie razi? - spytał.

Stefcia poczerwieniała. Jego słowa zniweczyły jej humor w jednej chwili.

– Nie myślałam o tym - odparła chłodno.

– Szkoda! A ja wątpię, czy panią zobaczę. W tej puszczy mógłby panią porwać jakiś szczęśliwy wilkołak, połknąć żywcem lub unieść do swych komyszy. Bardzo rad jestem, że pani ocalała.

– Czy i ty, Waldy, byłeś rano w borku z panną Stefanią? - spytała Lucia.

Pani Elzonowska popatrzała na Stefcie zmrużonymi oczyma jak szpareczkami i z odpowiednim grymasem ust spuściła je znowu na talerz.

Waldemar zauważył przykrość na twarzy Stefcii, spojrzał bystro na Lucię i odpowiedział swobodnie:

– Jadąc przez las widziałem pannę Stefanię spacerującą. Stefcia uczyła wdzięczność dla niego. Służący obniósł supę. Zaczęto ją spożywać w milczeniu. Takie ciche obiady zdarzały się tu rzadko, ale bywały ciężkie jak gradowa chmura. Stefcia poznała, że chmura i dziś wisi nad stołem.

Pani Idalia, siedząc bez słowa, wyglądała, jak gdyby połknęła kij. Sztywna jej postać, chłód bijący z twarzy oziębiał i pana Macieja. Staruszek chciał rozweselić wszystkich, rzucał od czasu do czasu jakieś zdanie, ale rozmowa nie kleiła się. Zły humor pani domu działał przygnębiająco. Nawet pan Ksawery, chociaż nie tracił apetytu, spoglądał na baronową z obawą.

### 3 à la reine (fr.) - królewska

12

Tylko ordynat zachował swobodę, lecz także milczał. Wypił dwa kieliszki starki. Po zupie lokaj ciągle dolewał maderę, zdziwiony, że młody pan ma tak wyjątkowe pragnienie. Po połędwicy Waldemar pił na umór burgunda, lecz zdziwienie służącego wzrosło, gdy podano szparagi. Zwykle ordynat nie lubił tej potrawy, ale dziś drugi raz kazał sobie podawać.

Pani Elzonowska spojrzała na niego z miną istoty wyższej, która by nie potrafiła dobrać jednej potrawy. Uważała to za nieestetyczne, w ich sferze niesłychane. Jej zły humor znalazł ujście, nie wytrzymała. Bez podniesienia oczu rzekła po francusku, głosem trochę syczącym, ciągnąc wyrazy:

– Nie rozumiem, jak można dwa razy brać z półmiska. Bierze się tylko raz odpowiednią ilość dla zaspokojenia apetytu.

Pan Maciej patrzył na córkę z wymówką w oczach. Nie rozumiał rozdrażnienia posuniętego aż do niegrzeczności. Ale Waldemar nie zawstydył się, przeciwnie, rozweseliło go to. Zerknął na ciotkę złośliwie, na Stefcie figlarnie, uśmiechnął się i zawołał do lokaja:

– Jacenty! podaj mi jeszcze szparagi.

Pani Idalia zacięła usta. Pan Maciej teraz na wnuka spojrzął z wymówką.

Stefcia i Lucia wstrzymywały śmiech, tylko lekkie drganie kącików ust Stefci wskazywało, że ją ta scena ubawiła.

Jednakże Waldemar to zauważył. Zaczął dowcipkować z panem Ksawerym, wreszcie rzekł:

– Zapraszam pana do Głębowicz na całe lato, dobrze? Będzie pan miał wszystko, czego dusza zapagnie. Co dzień zupa à la reine, szparagi, bo ja pasjami polubiłem szparagi – co dzień gra w szachy, dzienniki ilustrowane. Nawet na pańską intencję urządzę iluminację, którą pan tak lubi. Cóż, zgoda?

Pan Ksawery wyjął z przepaścistej kieszeni surduta ogromną chustkę, dokładnie wytarł sobie łysinę i dopiero wówczas odpowiedział:

– Co panu po mnie, panie ordynacie? Dobędę już w Słodkowcach.

– W Słodkowcach będzie ktoś inny... młodszy. Pan nie potrafisz bawić dam! To, widzi pan, wyłączna zdolność. My obaj, apostołowie celibatu, trzymajmy się razem w Głębowiczach. Tu moja pani ciotka życzy sobie kogoś zabawniejszego.

Pani Idalia wzruszyła ramionami.

– Zechciej łaskawie nie narzucać mi własnych kaprysów – rzekła kwaśno. Waldemar poważnie pochylił głowę.

– Zawsze jestem na twoje usługi, kochana ciociu. Po czym rzekł do Stefci:

– Pani wyrocznią, pani głosuje, czy pan Ksawery ma zostać w Słodkowcach, czy go mam zabrać do Głębowicz?

– Moje zdanie zbyteczne – odparła Stefcia podrażniona.

Waldemar utkwiał w niej szare, przenikliwe oczy z wyrazem trochę szatańskim. Potrząsnął głową i zawołał z udanym żalem:

– Desperacja! Nie mam weny do pani. Co krok to rekuza! Pani jest dla mnie okrutną. Luciu, czemu nie nawrócisz panny Stefanii na moją stronę? Powinnaś tego dokazać.

Dziewczynka spojrzała na matkę i spuściła oczy. Widocznie chciała coś odpowiedzieć, lecz surowa twarz matki onieśmieliła ją.

Wtem przemówił pan Maciej, chcąc nadać inny kierunek rozmowie:

– Czy będziesz nocował. Waldy?

– Broń Boże! A to po co? Wydam ostatnie polecenia Kleczowi i jadę. Spojrzął na Stefcie i dodał:

– Chyba panna Stefania zechce, abym został jako partner do tenisa. W takim razie zapominam dziś o Głębowiczach i...

– Waldy, proszę cię, nie żartuj – przerwał pan Maciej; bardzo niezadowolony.

13

– Ależ ja wcale nie żartuję! Panna Stefania może mię skłonić do zostania. Więc... słucham wyroku?

I pochylony patrzył na Stefcie zuchwałym wzrokiem.

– Słucham wyroku! – powtórzył. Stefcie oblała gorąca krew oburzenia.

Z jaką przyjemnością cisnęłaby w twarz tego magnata serwetką lub talerzem. Podniosła na niego oczy pełne gniewu i odrzekła:

– Mówiłam panu, że nie grywam w tenisa, i jeszcze raz to powtarzam.

– Ach! więc zostanę nauczycielem pani. Ręczę za świetne rezultaty.

– Zbytek łaski – rzuciła gniewnie. Waldemar mówił dalej:

– Pani jest niesłychanie do twarzy w koralach. Wyglądają apetycznie, jak dojrzałe wiśnie. Gdybym był wróblem, nie odpędziłaby mię pani od siebie, objadłbym wszystkie. Tymczasem tylko ślinkę łykam.

Stefcia zbladła, zagryzła usta i obrzuciwszy Waldemara chłodnym wzrokiem, spuściła oczy.

Obiad skończył się. Baronowa wstała nie spojrzawszy na nikogo i prędko wyszła z sali.

W Słodkowcach przy powstaniu od stołu nie dziękowali sobie. Taki panował zwyczaj. Stefcie on raził i stale oddawała wszystkim ogólny ukłon.

Pani Idalia z zasady na ukłon taki nie odpowiadała, a pan Maciej zawsze nawet podawał Stefcie rękę, co ją krępowało ze względu na panią Idalię.

Ordynat dla dokuczenia ciotce i dla własnej przyjemności również podawał Stefcie rękę, wiedząc, że ją tym rozgniewa. Ale dziś Stefcia, chcąc uniknąć podziękowania, powstała prędzej od baronowej i skłoniwszy się ładnie głową panu Maciejowi, podążyła w stronę drzwi. Waldemar zręcznie zastąpił jej drogę i wyciągając dłoń przemówił:

– Dziękuję pani za miłe vis-a-vis.

Stefcia cofnęła się i nie podając mu ręki przeszła, nawet na niego nie patrząc.

Młody magnat patrzył na Stefcie zdumiony. Kiedy znikła za drzwiami, szarpnął ładne złotawoblond wąsy i nic nie mówiąc poszedł do swego gabinetu.

Usiadł na fotelu przed biurkiem, wyjął z kieszeni kosztowną cygarniczkę, wydobyl cygaro i zaczął zapalać z nadzwyczajną uwagą i namaszczeniem. Pełne, barwne, zmysłowe usta wydymał lekko, pykając z cygara błękitnym dymkiem.

Z brwią namarszczoną siedział, z widocznym skupieniem w szarych oczach. Świeciły w nich złowrogie płomyki. Po chwili poruszył się, wsunął ręce w kieszenie, założył nogę na nogę i rozparty wygodnie w fotelu, rzekł głośno, nie wyjmując z ust cygara:

– Po prostu dała mi w pysk.

Ubawiony własnymi słowami, szepnął znowu:

– Zuch dziewczyna! Ale temperament ma piekielny!...

W parę godzin potem ordynat powstał od biurka i podając rękę rządcy rzekł grzecznie:

– Skończyliśmy. Jeśliby zaszło coś niespodziewanego, proszę telefonować, będę cały czas w domu.

Rządca Klecz skłonił się z uszanowaniem, z pewną czcią dotykając ręki Michorowskiego, zapytał zdziwiony:

– Pan ordynat nieprędko będzie w Słodkowcach?

– O tak! do tygodnia, może dłużej.

– W takim razie muszę jeszcze trudzić pana w jednej kwestii.

– Proszę.

– Chcę mianowicie spytać, jaką czwórkę przeznacza pan ordynat na wyłączny użytek pałacu: karą, kasztany czy gniade?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Bo kare są to konie bardzo delikatne. Pani baronowa często jeździ do Szal, do hrabstwa Ćwileckich. To jest przecie cztery mile i nietęga droga, Konie, do naszych dróg przyzwyczajone, przychodzą jak haki. Pani baronowa ostro jeździ. Ja sam nie mogę przedstawić, ale wolałbym, żeby jedna czwórka była wyłącznie przeznaczona do rozjazdów, bo wówczas już bym nie odpowiadał za konie.

Waldemar słuchał prędkiej mowy rządcy, przekładając papiery na biurku. Podniósł głowę, spojrzął na Klecza ze zdziwieniem i rzekł spokojnie:

– Przede wszystkim stangret odpowiada za konie po takiej wycieczce, nie pan. Klecz zmieszał się.

– Tak, właściwie. Ależ ja mogę odpowiadać za to, że je daję. Michorowski przesunął ręką po czole i rzekł z akcentem:

– Proszę pana, czy mej ciotce wszystko jedno, jakimi końmi jedzie? Klecz zmieszał się mocniej.

– Nie, pani baronowa zawsze sama dysponuje i rozmaicie: czasem kare, czasem kasztany.

– A więc musi pozostać tak, jak jest.

Klecz zrozumiał, że niezręcznie poruszył tę sprawę i że powinien już odejść. Spojrzął na ordynata: widok jego zsuniętych brwi i wydętych ust dotknął rządcę niemile. Oczów ordynata nie widział, gdyż były spuszczone na papiery, ale domyślał się, że wyraz ich nie jest zachęcający.

Klecz zawsze podziwiał grzeczność tego magnata względem podwładnych. Lecz wiedział, że zmarszczenie brwi, charakterystyczne wydęcie ust i wielkopańskie zaniechanie w całej postaci nie jest u niego oznaką zbyt dobrego humoru. Rzekł z ukłonem:

– Przepraszam, że się ośmieliłem.

– O, proszę pana! – odrzekł Michorowski szczególnym tonem jakby przebaczenia i zarazem oburzenia za te przeprosiny. Wypowiedział te słowa wspaniałomyślnie i karcąco.

Podniósł przy tym głowę i błyskawicznie spojrzął na Klecza. Ten pragnął już nie być w gabinecie.

– Moje uszanowanie – rzekł kłaniając się powtórnie.

– Do widzenia! – rzucił ordynat krótko, z odpowiednim kiwnięciem głowy. Podniósł przy tym brwi nerwowym ruchem.

Klecz wyszedł. Ordynat odetchnął.

– Wiecznie skargi na ciotkę – mruknął zły – i zawsze Klecz. No, ale już dziś zrozumiał. Nie lubię dawać takich nauk. Przeszedł się po gabinecie i pokręcił głową.

– Ten ją lubi! – rzekł prawie głośno. Zjawił się kamerdyner Jacenty.

15

– Starszy pan prosi jaśnie pana do siebie.

– Dobrze. Każ siodłać konia.

Pan Maciej czytał u siebie w gabinecie, zagłębiany w staroświeckim fotelu. Na widok wchodzącego wnuka położył księgę na stoliku.

– Przepraszam, że cię wezwałem. Chcę z tobą pomówić. Może byłeś zajęty? Waldemar uśmiechnął się.

– Choćby nawet. Czy nie uważasz dziadziu, że jesteś pierwszym? Staruszek podał mu rękę.

– Dobry jesteś, bardzo dobry. Tym bardziej mi przykro, że ci muszę dać burę. Siadaj tu, nieznośny chłopcze.

Wskazał mu fotel, stojący naprzeciw.

Waldemar nie usiadł. Przez okno zaglądał do parku, gdzie śpiewały słowiki. Spytał z żartobliwym odcieniem w głosie:

– Doprawdy? Cóż zawiniłem?

– Mój drogi chłopcze, niepotrzebnie drażnisz Idalkę.

– Ach, więc już ciotka dziadzia przekabaciła. Winszuję!

– Ale cóż znowu, mój Waldy! Tylko widzisz, ja nie lubię nerwów, a ona je posiada w wysokim stopniu. Gdy je podrażnisz, mamy takie obiady jak dzisiejszy, co miłym nie jest.

– No dobrze. Ale ostatecznie jakiego zdania jest dziadzio? – spytał Waldemar porywczo.

– Ja stanowczo trzymam twoją stronę. Ten hrabia S. jest niepoczytalny. Idalka sądzi inaczej. Ona mówi, że powinniśmy zawsze trzymać się naszej sfery i dopomagać jedni drugim, zamiast szukać obcych bogów. Po części mówi prawdę, ale w tym wypadku...

Waldemar wybuchnął ironicznym śmiechem.

– Wspaniała teoria! Altruizm ciotki rozczula mię! Ale to jest pseudoaltruizm. Ciotce ten hrabicz zaimponował, jakby sama była parweniuszką. Hrabia S. praktykantem w Słodkowcach – to ciotkę łechcze. Ale ja jestem krańcowym egoistą i takiego poliszynela nie wezmę na praktykanta, po części swego pomocnika. Ja szukam nie sfery, lecz tęgości, energii, o czym ten pan pojęcia nie ma. Ze jeden z praktykantów w Głębowiczach jest hrabią, to nie dowodzi, bym szukał drugiego i brał bez względu, jaki on. Tamten w Głębowiczach pracuje jak każdy inny, a hrabia S. jest do niczego. Może ciotka myśli, że praktykant będzie tu odgrywał rolę panicza na wodach, będzie grywać w tenisa, w bilard i czytać głośno romanse francuskie. Pewnie, do takich zajęć hrabia S. byłby zdolnym, ale ja wymagam praktykanta innego i takiego mieć muszę. Zresztą już mam, jest umówiony, a umowy nie zerwę dla... idiosynkrazji ciotki.

Mówił żywo, gestykulując i chodząc po gabinecie. Stał przy oknie.

– Czy dziadzio wie, jaką ja odbywałem praktykę u książąt Łozińskich po skończeniu Halli? – spytał gwałtownie. – Jeśli hrabia S. jest zdolny do podobnej, niech przyjeżdża zadowolnie ambicję cioci.

Pan Maciej machnął ręką.

– Dajże spokój, znam dobrze tego gagatka. Uperfumowany lalusz, ma dwadzieścia kilka lat i już sporą łysinę. Sama toaleta zajmuje mu pół dnia czasu. Byłby ci zawadą, nie pomocą.

– Eee! ja bym nie robił ceremonii. Nie chcesz, paniczu, wstawać o piątej, to jazda do Monte Carlo na ruletkę. Ja chcę, aby moi praktykanci korzystali. W Słodkowcach i Głębowiczach mają do tego wielkie pole. Ale brać pierwszego dudka nie mam zamiaru. Ten S. nie skończył żadnej szkoły rolniczej. Cóż on chce, żebym mu wykładał agronomię od a do z, i to wtedy, jak mu przyjdzie ochota lub jak go znudzi tenis? Podobnym filantropem dla sfery nie jestem. Niech ciotka założy tu szkołę dla takich filistrów, sferzystów, gogów, tenisistów, a wówczas ja pošlę karetę po hrabiego obitą poduszkami, żeby się nie rozbił jak pusty flakonik od perfum.

16

Pan Maciej zaśmiał się.

– Tego by tylko brakowało, żebyś to Idalce powiedział.

– A powiem! Jeśli ciotka zacznie mi wmawiać miłość do naszej wyłysiałej sfery, to powiem. Na szczęście mieszkam w Głębowiczach, mogę tu rzadziej bywać, jeśli tak ciotkę irytuje.

– No, mój drogi, nie myśl o tym. Ale wiesz co? Ten pan praktykant mógłby naprawdę mieszkać w Głębowiczach i byłby spokój. Jak myślisz?

– Ależ w Głębowiczach mam trzech praktykantów, a ty żadnego. Wreszcie z Głębowicz do Słodkowic jest z górą dwie mile, więc tam jeździłby na obiady i noclegi? Głupstwo! to jest niemożliwe!

– Więc może niech jada u Klecza?

Waldemar usiadł i pochyłony do pana Macieja rzekł poważnie, biorąc go za rękę:

– Dziadziu, proszę być szczerym: czy dziadzio to mówi pod wpływem ciotki, czy z własnej niechęci, aby ten praktykant przebywał z nami? Jeśli dziadzio sam tego nie życzy, jeśliby mu to sprawiło przykrość, proszę mówić otwarcie. Cofnę umowę z tym panem i rzecz skończona. Tobie, dziadziu, nie chcę przyczyniać przykrości.

Pan Maciej objął wnuka, ucałował go serdecznie i rzekł:

– Jesteś, Waldy, bardzo kochanym chłopcem. Dziękuję ci za troskliwość. Będę szczerym: ten pan nie sprawi mi najmniejszej przykrości, owszem, lubię towarzystwo młodych. Zresztą wiem, że nie przyjmujesz człowieka bez wychowania, bo ci na to nie pozwoli twój własny smak, dobry, wytworny gust. Ja nic nie mam przeciw temu, nawet podzielałam twe zdanie. My powinniśmy cywilizować, wszczepiać dobrą rasę w mniej rasowych, podnosić kulturę – a skoro jesteśmy do tego zdolni i powołani, nie możemy się usuwać, to nasz obowiązek jako przewodników w społeczeństwie. Hrabia S. nie skorzystałby u nas, a ten pan z pobytu w naszym gronie może wynieść dużo atomów, które z czasem mogą być dla niego pożytkiem, ulepszeniem w życiu, za co pozostanie nam wdzięcznym.

Waldemar wiedział, że dziadek mimo trzeźwości i rozsądku był zagorzałym fanatykiem własnej sfery i cześć dla niej posuwał aż do fetyszyzmu. Wyobrażał sobie, że arystokracja jest batutą w rękę Boga, że kieruje masą ludzi niżej umieszczonych, orkiestrą ludzkich wrażeń: że nadaje im odpowiednie hasło, każe tłumom patrzeć na siebie, zmusza do kierowania się śladem jej ruchów.

Jednej wady pan Maciej nie mógł darować swej fikcyjnej batucie, to jest zamiłowania do cudzych farb, co ją czyniło podobną do maskaradowej pstrokacizny, zakrywającej właściwy grunt.

Na wzmiankę pana Macieja, że obcując z nimi, ludzie innych sfer mogą korzystać wiele, Waldemar zawołał z humorem:

– A tak, skorzysta, będzie nam wdzięczny. Po co ma nabywać atomami? Może przejąć gremialnie nerwy i kwasy ciotki, jej wytworne i dystyngowane minki. Nauczy się makaronizować, uważać zagranicę za wyrocznię, dowie się, że człowiek, który szanuje swą godność, powinien uważać literę „r” za barbarzyński zabytek w alfabecie; wreszcie przekonamy go, że można być skazanym na utratę czci i honoru nie tylko po spełnieniu podłości ale i za... dobieranie drugi raz z półmiska. Wspaniałe nabytki cywilizacji, in summo gradu<sup>4</sup>!

Pan Maciej, zarażony żartobliwym głosem wnuka, śmiał się również. Wszystkie punkta wyszydzane przez Waldemara raziły go w córce. Zgadzał się z nią jedynie w bałwochwalczej czci dla arystokracji, lecz i tę pojmował inaczej.

– Mój chłopcze – rzekł z uśmiechem – mówiłeś tylko o Idalce, a czymże ja cywilizować bym potrafił?

4 in summo gradu (łac.) – w najwyższym stopniu

– Och! Dziadzio wywołuje komplementy. Gdybyśmy byli wszyscy do dziadzia podobni i do babki Podhoreckiej, sądziłbym o nas inaczej. Wówczas może stałbym się kapłanem składającym ofiary na ołtarzu naszej sfery. Śpiewałbym na naszą cześć hejnały i byłbym pionierem naszych czcigodnych haseł, ultra humanitarnych zasad, wyborowej etyki. Lecz ponieważ u innych nie widzę nic podobnego, więc nie śpiewam wraz z ciotką hymnów pochwalnych. Wysokie czoło starego magnata zmarszczyło się, spuścił głowę i westchnął ciężko. Słowa wnuka wywołały w jego duszy niepokojący szept. Coś w sumieniu cichutko się odezwało, jakaś mała komórka wspomnień, pokryta pleśnią, drgnęła sprawiając ból. Tę smutną chwilę życia można by wytłumaczyć młodością, ale pan Maciej nie należał do ludzi, co dla załago-



dzenia własnych błędów wynajdują powody i stawiając je przed sobą jak barykady, żyją spokojnie.

Siedział zamyślony, milczący, aż zwrócił uwagę Waldemara. Ordynat przystanął obok dziadka i zaglądając mu w twarz zapytał z uśmiechem:

– O czym dziadzio tak marzy? wolno wiedzieć? Słowiki wprawdzie do tego usposabiają, bo na przykład ja nie jestem romantykiem, a słucham tych ćwierkań z przyjemnością. Gdyby nie perspektywa kolacji w towarzystwie cioci, zostałbym na noc, ale ta myśl odbiera mi humor i apetyt.

– Bo też zostań! Co tam Idalka! Pogodźcie się z sobą.

– Nie, wolę jechać. Wszyscy mię dziś zmęczyli, nawet i ta makolągwa, ta królowna przebrana za pasterkę.

– Co za makolągwa? Jaka pasterka?

– Ano ta – panna Stenia... Pan Maciej drgnął.

– Stenia? Co ty mówisz, Waldemarze? Ordynat spojrział zdziwiony.

– Mówię o pannie Stefani Rudeckiej. Dziadzio ją przecież tak nazywa.

– Ach, ta!... Istotnie tak ją nazywam, bo to ładnie. Ale czymże ona ci dokuczyła? Ty raczej męczysz ją zawsze i dziś także.

Waldemar zaśmiał się głośno.

– Och! nie zmęczonej jej, to ostrodzioba!

– Jednak źle robisz, Waldy, że ją drażnisz. Miłe to i bardzo dobre dziecko. Jest z dobrej rodziny i wiesz przecie, w jakich warunkach została nauczycielką. Pracuje pilnie, choć to nie jej fach właściwy. Trzeba to cenić. Po co jej robić przykrości?

– A cóż, kochany dziadziu, jeszcze jedna cecha naszej sfery: robić sobie zabawkę z takich istot zabłąkanych wśród nas, mieć je za przedmiot żartów, ostrzyć na nich dowcip.

Pan Maciej popatrzał na wnuka z obawą.

– Wątpię, żebyś tak mówił na serio.

– Owszem, zupełnie serio mówię. To także jeden klejnot z drogiego skarbcza naszych przymiotów.

– Waldy, co tobie dziś jest?

– Jestem wyjątkowo prawdomówny.

– Jesteś tylko rozgoryczony i skutkiem tego niesprawiedliwy nawet dla siebie. Niezdolnym byłbyś do zabawy, o jakiej wspominasz.

– Być może. Zresztą wszystko mi jedno.

– Więc czemu tak postępujesz? Waldemar podniósł rękę do góry.

– Dla tradycji, kochany dziadziu!

– Ech! zawsze kpisz.

– Więc powiem prawdę. Ja jej nie cierpię!

– Kogo? Panny Steni?

18

– Tak, jej we własnej osobie.

– Za co? Takie to piękne, dobre, inteligentne! Waldemar wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie za to samo, za co i ona mnie. Czy ja wiem, za co? Mniejsza o to. Muszę jechać, konia dawno oprowadzają. W nocy zajadę do Głębowicz. Za tydzień przyjeżdżam z praktykantem, ku wielkiemu zadowoleniu cioci.

– Jak to! wcześniej nie będziesz?

– Zapewne. Mam dużo zajęć.

Pan Maciej uściśnął serdecznie wnuka.

– Jakże ty sam pojedziesz? Czemu nigdy nie weźmiesz masztalerza?

– Nie lubię mieć za sobą gapia.

– Weź stajennego.

– Ależ, dziadziu! czyż jestem dzieciak, żebym się miał bać nocy? Uścisnął dziadka, wyprostował swą męską postać i zaśmiał się głośno.

– Idę pożegnać ciocię. Ale czy mię nie zrzuci ze schodów?

– Dajże spokój. Idalka śpi. Pożegnaj ją od ciebie.

– Tym lepiej. Do widzenia! Waldemar wyszedł z gabinetu.

Pan Maciej widział przez okno, jak wskoczył na konia i ruszył kłusem. Za nim w podskokach biegł duży, pyszny dog Pandur, ulubieniec ordynata.

W bramie Waldemar spotkał Stefcie i Lucię, wracające ze spaceru. Lucia zaczęła coś mówić, a Stefcia na jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy i szła wolno w głąb dziedzińca, nie uważając na niego. Lucia wkrótce podążyła za nią.

Waldemar stał w bramie, patrząc uporczywie na Stefcie, dopóki nie znikła mu z oczu.

Wówczas uderzył konia szpicróżgą, świsnął na psa i pomknął jak wichher.

Pan Maciej uśmiechnął się.

– Mówi, że jej nie cierpi, a jednak interesuje go – szepnął do siebie.

Życie Stefci płynęło w Słodkowcach spokojnie. Lekcje, rozmowy z Lucią, muzyka, spacer i czytanie wypełniało każdy dzień.

Panią Idalię Stefcia widywała najczęściej przy stole, w innych godzinach dnia można ją było spotkać w gabinecie. Rozłożona wygodnie na szezlongu lub na bujającym fotelu, czytała, ciągle czytała. Na stolikach, konsolach, krzeselkach walało się pełno dzieł Jakuba Rousseau, Zoli, Dumasa, Bourgeta, nawet Voltaire'a obok Rochefoucaulda i Chateaubrianda. Najwięcej książek francuskich – czasem błysnął Dickens, Walter Scott lub zamajaczył Shakespeare. Niemieckie tomy spotykały się rzadko, z polskich ani jednego. Pani Elzonowska wystarczała sobie najzupełniej. Córkę oddała pod opiekę Stefci, rzadko udzielając jej posłuchania. Ojca pani Idalia odwiedzała jedynie w chwilach dobrego humoru, grywając z nim w szachy.

W takich razach znosiła nawet obecność pana Ksawerego, codziennego partnera.

Bywały dni, że pod wpływem wrażeń zaczerpniętych z literatury stawała się przesadnie czułą dla córki, ojca, nawet dla Stefci. Z miłym uśmieszkiem wypytywała ją, czy jej czego nie brak, i po takim występie była przekonana o swej anielskości. Wyjeżdżała często do Szal, do siostry męża, hrabiny Ćwileckiej, lub do Obronnego, gdzie mieszkała księżna Podhorecka, babka Waldemara po kądzieli.

Więcej sąsiedztw Słodkowce nie posiadały, gdzie by pani Idalia mogła bywać bez uchybienia sobie w jej przekonaniu. Kilka domów obywatelskich odwiedzało Słodkowce, uważając to za obowiązek towarzyski, a głównie dla dogodzenia własnej ambicji. Pan Maciej przyjmował ich uprzejmie, pani Idalia grzecznie, ale rewizytował ich tylko Waldemar. Pana Macieja tłumaczył wiek, panią Idalię własny pewnik: pas pour moi<sup>5</sup>, co wszyscy rozumieli, wmawiając w siebie, że pani Idalia często cierpi na nerwy.

Jadąc do Szal lub Obronnego, wstępowała czasami do sąsiadów będących poza obrębem jej dążeń. Ale nie zapomniała nigdy nadmienić, że tylko wstąpiła, jak w jej słowniku brzmiało: par politesse<sup>6</sup>. Pani Idalia miała swe zasady wyłączne. W Słodkowcach goście zdarzali się często, z nieuprzywilejowanych jedni dążyli tam w celu odwiedzenia pana Macieja, innych wiodła próżność, a jeszcze innych nadzieja zastania ordynata. Ten młody magnat i milioner miał na siebie zwrócone oczy całej okolicy. Przedstawiał partię jedną z najpierwszych w kraju, dla wielu niedoścignioną. To tłumaczyło u niektórych żywą sympatię dla pana Macieja oraz łatwe składanie na nerwy i migrenę niechęci pani Idalii do życia towarzyskiego. Stefcia pomimo pracy tęskniła za domem. Listy jej nie wystarczały, ogarniał ją smutek.

Obie z Lucią często widywały pana Macieja, odwiedzając go w jego gabinecie. Stary ten człowiek dziwnie ją rozrzewniał. Miał nadzwyczaj miły uśmiech. Rozmawiając z nim doznawała złudzenia, że to nie arystokrata z tej samej sfery, co pani Idalia. Nawet urządzenie jego mieszkania różniło się od urządzenia pałacu.

Wszystko tu było staroświeckie, ale wesołe i bez sztywności panującej w wytwornych salonach przesiąkniętych etykietą.

Pan Maciej często siadywał w ogrodowej altanie, słuchając czytania Stefci. Lubił jej muzykę. O szarej godzinie grywała mu Chopina i ulubione arie z oper. Stefcia dogadzała starszkowi, z każdym dniem przywiązując się do niego więcej. Ale pan Maciej wpadał w melancholię, gdy Waldemar długo nie przyjeżdżał. Tęsknił do wnuka, bo jego wesołość, młodzięcza postać pełna życia ożywiała starca. Cieszył go widok jedyne go potomka ich rodu z linii głębowickiej.

5 pas pour moi (fr.) – nie dla mnie

6 par politesse (fr.) – z grzeczności

nokturnu Chopina, kręcąc się niespokojnie w fotelu, posyłał Lucię do okna, czy nie jedzie Waldemar. Na przeczącą odpowiedź mrucał:

– Co to jest? Co to znaczy?...

Gdy Stefcia skończyła grać, podziękował jej i poszedł do siebie.

– Dziadzio dziś smutny – rzekła Lucia – a czy pani wie, dlaczego? Bo Waldy marudzi z przyjazdem. Dziadzio go okropnie kocha.

– Niechby już przyjechał – odrzekła Stefcia.

Lucia poszła do matki, Stefcia do swego pokoju. Stała w otwartym oknie i z rozkoszą pochłaniała oczyma grę promieni słonecznych, dziergających w złote nitki rozpyloną wodę fontanny. Z cichym szumem spadała fala do kamiennego basenu, jak różowo-złota chmurka, strzepując drobne kropelki na rosnące obok kwiaty. A one zdawały się podnosić spragnione główki, barwne, pachnące. Słońce przesunęło czerwony krąg ku zachodowi, syjąc na ziemię jaskrawe pyły. Oblewało ciepłym tchnieniem pysznie rozwinięte drzewa i wspaniałe dywany aksamitnych roślin.

Była w powietrzu promienność, lenistwo nadchodzącego wieczoru, rozmarzająca ociężałość. Spokój wiał z natury w powodzi gorącego światła, bez podmuchu wiatru. Nagle w ciszę, maconą jedynie chórami ptaków i szeptem fontanny, wpadł inny głos.

Najpierw rozległ się turkot kół, tupot wielu koni, wreszcie zabrzmiały wesołe głosy ludzkie i zza gęstwiny krzewów wjechało na zwirowany podjazd pałacu kilka pojazdów. Pierwsze powozy zaprzężone w czwórki były poważniejsze, wolant i brek wypełniony po brzegi wyglądały weselej. Rozmowy i śmiechy dochodziły głównie z breku. Tam jasne kapelusze i suknie pań zaćmiewały sobą ciemne sylwetki panów.

Stefcia, cofnięta w głąb pokoju, patrzyła ciekawie.

Powozy stanęły przed gankiem, brek i wolanty zatrzymały się w szeregu i naprzeciw jej okna towarzystwo zaczęło wysiadać. Wtem spojrzeli w stronę wjazdu. Panie, wymachując parasolkami, wołały:

– Spóźniony! Spóźniony! pobiliśmy pana.

Po bielejącej wśród trawników drodze pędziła wyciągniętym klusem czwórka w leje karych lśniących koni, kierowana przez ordynata. Siedział na koźle małego jak cacko wolancika i unosząc w górę kapelusz wymachiwał nim na powitanie. Na siedzeniu przyczepiony jechał stangret w czarnej liberii z czerwonym.

Waldemar obok breku zatrzymał konie prawie na miejscu, a łagodnie.

– Prześcignęliście mnie państwo – wołał rzucając lejce stangretowi. – Ale proszę pamiętać, że jadę cztery mile. To coś znaczy. Przy tym Brunon laź jak żółw, musiałem go zsadzić z koźla i wówczas zacząłem was dopędząć. To mi musicie przyznać.

– Konie pańskie ogrzewały nam plecy oddechem – zawołała młoda przystojna panna o minie zuchwałej i wesołych oczach. – Próbowалаm je gładzić, ale zbrudziłam tylko rękawiczkę. O, niech pan patrzy!

I wyciągnęła do Waldemara rękę opiętą w jasną dunkę.

– Przepraszam, to nie brud, tylko pot koński. Moje konie są zawsze przeczyste – odrzekł Waldemar.

– Pan się kocha w swych koniach, prawda?

– Tak, to jedyna moja miłość.

– Bez wzajemności – dodała młoda panna z wdzięcznym uśmiechem.

– Voyons, monsieur, vous avez de la chance!<sup>7</sup> – zawołała jedna z pań. Waldemar ukłonił się żartobliwie.

7 Voyons, monsieur, vous avez de la chance! (fr.) – Ależ pan ma szczęście!

Towarzystwo znikło w ogromnych drzwiach głównej sieni. Waldemar szedł ostatni, trochę się ociągając. Kiedy mijał okno Stefci, zwolnił kroku i spoza lip rzucił prędkie, ciekawe spojrzenie. Stefcia myśląc, że wszyscy przeszli, wyjrzała również i spotkali się oko w oko.

Dostrzegła jego zaciekawienie. Na jej widok spoważniał, zdjął kapelusz i poszedł dalej. Stefcia postanowiła nie wychodzić. Nikt jej nie zna, a przynajmniej uniknie żartów Waldemara, może i docinków pani Idalii, bo to był dzień jej złego humoru.

Uszczęśliwiona własnym pomysłem, Stefcia zaczęła nucić. Z góry dochodził przytłumiony gwar głosów męskich i kobiecych. Czasem dźwięknął fortepian krótko, urywanie, jakby ktoś przechodząc uderzył parę akordów. Niekiedy zabrzmiał głos dominujący, a potem głośny wybuch śmiechu. Widocznie bawiono się tam doskonale.

Po godzinie do pokoju Stefci wpadła Lucia zdyszana, zarumieniona i zaczęła mówić z niebywałym ożywieniem:

– Czy wie pani! Szesnaście osób przyjechało, licząc z Waldym. Jest i ciocia Ćwilecka z córką Michałą, bo Pauli nie ma w domu, i księżna Podhorecka, babka Waldemara, i młodzi księstwo Podhoreccy, i Żyzemscy, i hrabia Trestka, i dużo, dużo gości.

– Skądże tak nagły zjazd?

– A tak sobie, taki traf. Wszyscy do nas jechali osobno i na drodze dopiero połączyli się. Najwięcej osób z Obronnego: jeden powóz i brek. Waldy jechał także do nas i jego spotkali. On nawet chciał prześcignąć brek, ale przegrał. Teraz się z niego panna Rita wyśmiewa.

– Któż to panna Rita?

– Szeliżanka. To jakaś kuzynka czy przyłatana siostrzenica księżnej Podhoreckiej, ale że sierota, więc stale mieszka w Obronnem. Ona tu bardzo często przyjeżdża, tylko teraz długo bawiła w Wiedniu i dlatego jej pani nie zna. Bardzo miła i wesoła.

Stefcia pomyślała, że to ta sama szykowna panna, która pokazywała Waldemarowi zbrudzoną rękawiczkę.

– To przystojna panna. Prawda?

– Tak, ładna. Waldy tego nie uznaje, ale mu trudno dogodzić. Pani ją dziś sama pozna.

– Ja nie wyjdę wcale.

Lucia otworzyła szeroko oczy.

– Czemu? Jak to! Pani nie wyjdzie? Ja już chwaliłam się panią przed wszystkimi...

– Ach, moja Luciu!

– A bo ja panią bardzo kocham. Stefcia ucałowała dziewczynkę.

– Bardzo mię to cieszy. Dziś już sama bądź z gośćmi. Mnie masz na co dzień.

– E! co pani mówi! Ani dziadzio, ani Waldy nie zgodzą się nigdy na to, żeby pani sama została.

Stefcia wybuchnęła śmiechem. Zapewnienie Luci, że Waldemar chciałby ją widzieć, ubawiło ją. Szczególniej on! A zresztą, może: gdyby nie wyszła, nie miałby na kim ostrzyć dowcipu. Ta myśl rozweseliła ją. Jak rozdokazywane dziecko porwała Lucię wpół i zaczęła walcować po pokoju, śpiewając.

Lucia tańczyła zapamiętane. Obie prawie jednego wzrostu, fruwały, kręcąc się w wirze walca i śpiewając jedna przed drugą. Latał za nimi jasny warkocz Luci i trzepotała batystowa suknia Stefci. Na twarzy jej wykwiwały rumieńce, fiołkowe oczy spod ciemnozłotawych obłoków błyskały ogniskami, rozchylone różowe usta chwyciły szybko powietrze, skutkiem czego śpiewany głośno walc wychodził urywanie. To jednak nie przeszkadzało tancerkom.

Rozbawione, nie słyszały dwukrotnego pukania do drzwi, nie spostrzegły, że je ktoś otwiera. Dopiero po chwili w zawrocie tańca Stefcia osłupiała z przerażenia.

We drzwiach stał Waldemar. Z uśmiechem patrzył na tańczące panienki i na zmieniony wyraz twarzy Stefci. Patrzył na jej rumieńce, na błyszczące oczy, na rozrzucone w tańcu włosy i dziwiła go ta przemiana.

Nie widywał jej dotychczas tak wesołej. Umyślnie stał cicho, chcąc, by go sama spostrzegła. Wyobrażał sobie jej przestach i bawiło go oczekiwanie. Jak też ona będzie wyglądała?

Nie czekał długo. Stefcia na jego widok oniemiała. Ognista łuna zapaliła jej twarz, w oczach zalśnił gniew, każdy nerw zadygotał w niej z irytacji.

Waldemar z przyjemnością napawał się grą jej rysów i błyskawicami w oczach. Patrzył na nią z zachwytem.

Lucia przerwała niemą scenę wybuchając śmiechem. Podbiegła do Waldemara i ciągnąc go za rękaw na środek pokoju zawołała:

– Złapałeś nas, Waldy, na gorącym uczynku. Myśmy sobie tak pysznie tańczyły, jakby nam orkiestra przygrywała. Ale żebyś ty wiedział, jak panna Stefania tańczy! Jak baletnica.

Waldemar uklonił się Stefcii wytwornie i rzekł, przerywając mowę Luci:

– Pozwoli pani wyjaśnić powód mego wtargnięcia do jej sanktuarium. Dotąd nie miałem przyjemności widzieć pani u siebie. Może trafiłem nie w porę, lecz jestem uszczęśliwiony: ujrzałem panią swobodną. W mej obecności jest pani zawsze nastrojoną na tony możliwie syczące... przed chwilą widziałem harmonię... i cieszę się bardzo. Pani mię nie powita po całotygodniowym niewidzeniu? – spytał z odcieniem niecierpliwości, patrząc na nią tyranicznie.

Stefcia podała mu rękę.

– Pan zapewne szukał Luci.

– O nie, jestem tu wyłącznie dla pani, a nawet po panią, ponieważ ciotka moja prosi panią na herbatę.

Lucia klasnęła w dłonie.

– A co! czy nie mówiłam, że pani nie pozwoli zostać samej?... Zaraz mówiłam! Zwróciła się do Waldemara.

– Wiesz, Waldy? Panna Stenia zapowiadała, że nie wyjdzie do gości, że zostanie tu sama u siebie.

– Czy pani miała naprawdę taki barbarzyński zamiar względem nas? Stefcia odparła prawie wesoło:

– Ma pan dziwny sposób pytania. Istotnie chciałam pozostać u siebie.

– Protestuję! w imieniu całego towarzystwa, które pragnie panią poznać.

Stefcia znowu zeszywniała. Już chciała stanowczo odmówić, lecz on dostrzegł cień na jej wyrazistej twarzy i uprzedzając odpowiedź dodał prędko:

– Proszę panią na herbatę w imieniu ciotki i dziadka. Jeżeli zaś moja babka i pani hra... bi... na Ćwilecka chcą panią poznać, proszę to zawdzięczać swej uczennicy.

– A tak, ja o pani dużo mówiłam cioci i księżnej – potwierdziła Lucia.

– Więc służę paniom.

– Nie, Waldy. Jeśli chcesz iść razem z nami, to poczekaj w saloniku. Musimy sobie poprawić włosy. Wyglądamy jak strachy.

– Ty – tak, ale pannie Stefanii bardzo w tym do twarzy.

– Ach, niegodziwcze! – zawołała Lucia, wyciągając go za drzwi tak samo za rękaw, jak go wciągnęła.

Stefcia spojrzała na młodego pana z niechęcią. Gniewał ją na każdym kroku. On to spostrzegł i podnosząc ramiona z komiczną miną, szedł do drzwi wołając:

– Hannibal ante portas!<sup>8</sup> Mówią mi to pani oczy... Uciekam, już mię nie ma! Wyszedł. Lucia zamknęła drzwi za nim.

8 Hannibal ante portas! (łac.) – Hannibal u bram miasta!

W niewielkim saloniku w stylu cesarstwa kilkanaście osób bawiło się wesoło.

Lokaje roznosili herbatę i ciastka. Goście, każdy z filiżanką, siadali i pili, gdzie kto chciał. Główne siły towarzystwa zajmowały jeden większy stół, otaczając panią domu i pana Macieja. Pani Elzonowska w świetnym humorze, zachwycona gośćmi, bawiła głównie księżną Podhorecką i swą szwagierkę hrabinę. Te zaś dwie damy różniły się znamienne.

Patrząc na nie można było myśleć, że pochodzą z innych planet. Księżna, wysoka i szczupła, o klasycznym profilu wielkiej damy, arystokratyczne piętno miała jak wszczepione. Uwydatniało się ono w każdym rysie, w ruchu, nawet w fałdach ciężkiej czarnej sukni. Wyidealizowana dystynkcja otaczała ją, nadając poważny a pociągający wdzięk. Białe włosy miała zaczesane gładko nad czołem, przykryte drogocenną czarną koronką. Żadnych klejnotów, oprócz obrączek i pierścienia z ogromnym szmaragdem z wyrytym herbem Podhoreckich. Zegarek ta wielka dama nosiła na czarnym sznureczku. Twarz miała drobną, bladawą, o delikatnej cerze, prawie bez zmarszczek, wyraziste rysy, duże czarne oczy. Piękność minioną widniała wyraźnie. Księżna mówiła niewiele, dźwięcznym głosem i potrafiła zjednywać sobie wszystkich.

Hrabina Ćwilecka był to typ zupełnie inny. Wzrostu średniego, pokaźnie tęga i rubaszna, miała w sobie coś z burżuazji, niczym nie przypominając arystokratki. Ubrana bez gustu, obsadzona brylantami, cała w złotych łańcuchach, świeciła i brzęczała z daleka. Mówiąc do księżnej z potężną gestykulacją, prędko i nerwująco, głośna, wyglądała jak republikanka, plebejuszka, wygrażająca pięściami przedstawicielce arystokracji za czasów rewolucji. Nie lubiła księżnej, nazywając ją ironicznie Spartanką, i chciała zawsze wykazać swą wyższość, polegającą zapewne na ilości klejnotów. Pomimo wewnętrznej niechęci była jednak dla księżnej uprzedzająco grzeczną, prawie nadskakującą.

Ale księżna wiedziała, co o tym sądzić. Ona miała wnuka, a hrabina dwie córki, z których starsza, panna Michała, przekroczyła już trzydziestkę. To tłumaczyło wygórowaną uprzejmość hrabiny względem księżnej.

Teraz obie panie rozmawiały z panią Idalią i z panem Maciejem, w towarzystwie kilku osób. Młodzi, porozrzucani grupami, bawili się każde po swojemu. Panna Rita Szeliżanka w fularowej sukni czarnej w secesyjny niebieski deseń, z dużym kołnierzem z kremowej koronki, przodowała w rozmowach i dowcipach. Włosy ciemnoblond, wytwornie zaczesane, ozdobiła kokardą z niebieskiej wstążki, przypiętej wysoko. Wyglądało to cokolwiek dziwacznie, ale panie Ricie było do twarzy. Ona zawsze ubierała się inaczej od wszystkich, jej uczesania mogły wielu razić. Miała ruchy śmiałe i pełne wdzięku. Każda rzecz, będąca dla innych niemożliwością, z nią kojarzyła się jak najlepiej. Szczera, zabawna, dowcipna, była przy tym sympatyczna i zarażająca wszystkich wesołością.

Księżna miała do niej słabość, choć często raziły ją dziwactwa wychowanki. Panna Rita z zamiłowaniem uprawiała sport. W Obronnem, majątku księżnej, miała własną stajnię, gdzie najczęściej lubiła przesiadywać. O koniach mogła mówić bez przerwy i teraz, siedząc na stylowym foteliku z filiżanką w ręku, rozmawiała z młodym paniczem, uzbrojonym w binokle. Dowodziła mu coś z zapalem, wreszcie stawiając energicznie filiżankę na stoliku, rzekła:

– Ech, pan się nie zna na koniach, jeśli moim zarzuci pan brak czystości krwi. Moje konie importowane prosto z Anglii. To są folbluty. Niech pan zapyta ordynata: on koneser pierwszej wody.

– Zawsze ordynat! Zawsze mię pani do niego odsyła. Czy to wyrocznia?

– W kwestii końskiej na pewno.

– Czy dlatego, że ma dziewięć muz z Appolinem?

- Po części. Pan jest zaślepiiony w swoich perszeronach i wszystko dobre widzi tylko w swej stajni.
- Chyba pani raczy przyznać, że moja stajnia nie jest byle jaką. Panna Rita skrzywiła się.
- Nie lubię perszeronów.
- Nie lubi pani? Ha! to kwestia gustu. Tak samo ja nie cierpię anglików. Panna Rita zmierzyła go ironicznym spojrzeniem.
- Więc niech pan tak mówi, ale po co wyliczać wady, które nie istnieją.
- Dla mnie istnieją choćby w anglezowaniu, które pani doprowadza do granic najwyższych.
- To nie wada. Jeśli tylko takie pan widzi, jestem spokojna. Zresztą ta rasa koni zawsze bywa anglezowaną.
- Ale u pani bajecznie!
- Ech! co pan mówi! Szkoda, że znikł ordynat, prosiłabym go o interwencję.
- Pan Michorowski poszedł po Lucię i jej nauczycielkę – odezwała się powolnym głosem panna Michalina Ćwilecka. Przez czas rozmowy panny Rity z hrabią Trestką siedziała milcząca, popijając herbatę. Ubrana była dość gustownie, w jasną suknię, bo tak chciała matka, lecz nic jej nie bawiło, nawet zabawa innych nużyła ją. Miała wygląd apatyczny. Powiedziawszy krótko, gdzie jest Waldemar, spuściła oczy na filiżankę i zamilkła jak przedtem. Hrabia Trestka poprawił binokle i uśmiechnięty złośliwie, rzekł:
- Jakież fory ma ta nauczycielka, skoro ordynat tak się nią zajmuje.
- Ale co znowu. Il l'abhorre!<sup>9</sup> – zaprzeczyła panna Rita. – Tak przynajmniej mówi Lucia.
- Czyli że sytuacja ta sama jak przy pani Klarze!
- Zdaje się.
- Czy i podobna do panny Klary?
- Nie znam jej, ale Lucia nią zachwycona. Jeśli naprawdę ładna, strzeż się, panie hrabio. Trestka spojrzał na mówiącą obrażony.
- Voilà une idée!<sup>10</sup> Pani ma czasami pomysły bajeczne. Ja na osoby tego rodzaju nigdy nie patrzę.
- Chciałabym, żeby się pan zakochał w tej właśnie.
- Mogę ją najwyżej osądzić po sportsmeńsku i wykazać wady.
- O panie! o kobietach w ten sposób mówić nie można...
- O nauczycielkach wolno.
- Także nie. Wzbronione jest bez zastrzeżeń. Zresztą panna Rudecka jest z dobrej rodziny.

– Chut! idą już – przerwał hrabia i poprawiając binokle spojrzał badawczo w stronę drzwi.

Weszła Stefcia z Lucią i Waldemar.

Stefci pociemniało w oczach. Tyle głów zwróciło się do niej, tyle badawczych oczu. Stała jak pod pręgierzem.

Rozmowy umilkły. Wszyscy obrzucili młodą nauczycielkę krytycznym spojrzeniem.

Pani Elzonowska popatrzyła na nią przez swe szporeczki i dość pobieżnie wskazała ją towarzystwu okrągłym ruchem ręki.

– Panna Rudecka – rzekła krótko.

9 Il l'abhorre! (fr.) – Nie cierpi jej!

10 Voilà une idée (fr.) – Co za pomysł!



co ze sobą począć. Pierwszy raz odczuła boleśnie własne położenie. Darować sobie nie mogła przyjscia do salonu.

– Intruz – przemknęło jej przez głowę i gdyby nie panowanie nad sobą, wybuchnęłaby płaczem. Ale w tej chwili podszedł do niej Waldemar, widocznie wzburzony, jednak z dobrze udanym spokojem podał jej ramię i rzekł z wytworną uprzejmością:

– Pozwoli pani, przedstawię ją mej babce.

Stefcia machinalnie pozwoliła się prowadzić do odległej kanapki. Podniósłszy oczy, zobaczyła pogodną twarz pana Macieja i poważną, arystokratyczną postać księżnej.

Wtem zabrzmiał znowu niski głos ordynata.

– Droga babciu, przedstawiam ci pannę Stefanię Rudecka, o której słyszałaś od Luci. Księżna powstała z kanapki i podając Stefci rękę rzekła z ujmującym uśmiechem:

– Bardzo mi miło panią poznać. Istotnie Lucia mi o pani opowiadała. Jest zachwycona swą kierowniczką.

Stefcia zręcznie pochyliła się i ucałowała rękę staruszki, przepojona wdzięcznością i dziwną otuchą.

W oczach starej kobiety zamigotało zdziwienie. Uśmiechnięta, dotknęła ustami włosów dziewczyny, po czym usiadła, wskazując jej obok stojący fotelik.

Rozpytywała ją uprzejmie o rodzinę i czy jest zadowolona z Luci. Rozmowę podtrzymawał pan Maciej.

Na wszystkich obecnych zachowanie się ordynata i powitanie z księżną zrobiło wrażenie.

Spojrzeni po sobie zdziwieni.

Księżna Podhorecka wstała podając rękę nauczycielce. Co to jest i czemu się sufit nie wali? Zwłaszcza hrabia Trestką i hrabina Ćwilecka nie mogli tego pojąć. Hrabina, patrząc na księżnę, rozmawiającą z jakąś tam nauczycielką, wzruszyła ramionami. Gniewała się, że Waldemar ją pomiął, nie przedstawiając Stefci. Nie szło jej o osobę, lecz pominięcie siebie uważała za lekceważenie. Podanie ramienia nauczycielce przez ordynata wydało się hrabinie rażącym. Rzuciła kilka spojrzeń na Stefcię, a widząc, że jest bardzo ładna, zaczęła szeptać do siedzącego jak mumia męża. Na dużych ustach miała zjadliwy uśmiech. Do uszu pani Idalii doleciał jeden wyraz: *maitresse*<sup>11</sup>, lecz udała, że go nie słyszy; poruszając nerwowo brwią, kończyła rozmowę ze swym sąsiadem.

Tymczasem przy małym stoliku panna Rita, opowiedziawszy Waldemarowi spór z Trestką, usłyszała pochwałę swych koni. Hrabia zaczął rozmawiać z ordynatem, a Rita podeszła do księżnej i żywo podając rękę Stefci, rzekła z wesołym uśmiechem:

– Ponieważ nikt nas nie zapoznał ze sobą, więc ja sama dopełniam tej ceremonii. Marge-ryta Szeliga we własnej osobie. Pewno pani o mnie jeszcze nie słyszała, bo długi czas awanturowałam się w Wiedniu.

Stefcia, powstawszy, uścisnęła rękę młodej panny.

– Owszem, Lucia mi o pani mówiła z wielkim zachwytem.

– Tak? Widzę, że Lucia to mały reporter okolicy, wszystkich informuje. Zabieram panią do naszego towarzystwa. Tu grono bardzo szanowne, lecz tam chyba weselsze. Ciocia i dziadzio nic nie będą mieli przeciw temu, prawda?

Księżna uprzejmie skinęła wytworną głową, a pan Maciej rzekł:

– Owszem, wiemy, że pani potrafi zabawić, i tym śmieiej polecamy jej pannę Stefanię.

Po chwili Stefcia siedziała przy małym stoliku, gdzie zebrało się więcej osób. Wśród wesołej rozmowy przywykała do towarzystwa.

11 *maitresse* (fr.) – nauczycielka (także: kochanka)

Drażniły ją błyszczące binokle Trestki wciąż na nią skierowane, zaciekawiała zimna postać hrabianki Cwileckiej.

Panna Rita wciągnęła ją do ogólnej rozmowy tym łatwiej, że Stefcu nie zbywało na dowcipie. Wyglądała najskromniej, ale bardzo ładnie, w jasnopopielatej batystowej sukni, ubranej granatową wstążką. Na twarzy miała żywe rumieńce, oczy w pysznych obsłonach rzęs błyszczwały wesoło, kwitły pąsowe usta.

Panna Rita spoglądała na nią z przyjemnością, reszta osób mniej więcej obojętnie. Trestka ciekawie przyglądał się Stefcu, jakby chcąc dojrzeć jej wady. Zbadał dokładnie jej rysy, oczy, sposób mówienia, uczesania i przyznał w duchu, że jest możliwa.

– Pas mal, pas mal! – mruzczał do siebie, uważając to za wielką pochwałę. Obejrzał krój sukni i pokręcił głową zdziwiony, że nauczycielka może być tak gustownie ubrana. Zajęty oględzinami zapomniał chwilowo, że przegrał sprawę o konie. Panna Rita przypomniała mu ją, pytając ordynata:

– Panie Waldemarze, jak się mają pańskie muzy z Apollinem!

– Doskonale – odrzekł ordynat, siadając obok Stefcu. – One mają piękność prawdziwie olimpijską, niezmienną.

– Jakie to muzy? – spytała Stefcia.

– Towarzyski Apolla – wtrącił hrabia Trestka. – Czy pani nie wie?

– Owszem, panie hrabio, znam dobrze mitologię. Zwróciła się do Waldemara:

– Czy to pańskie konie noszą nazwę muz?

– Tak. Pani nawet zna te konie.

– A którymi pan dziś przyjechał? Nigdy nie mogę ich dokładnie rozpoznać. Wszystkie są czarne jak aksamit lyoński.

Waldemar uśmiechnął się.

– Dziś przyciągnęły mnie: Klio, Melpomene, Urania i Terpsychora.

– Prawda, jak to ładnie brzmi? – zawołała panna Rita – w drugiej czwórce jest Talia, Kaliope, Euterpe i Polihymnia, a Erato jest wierzchówką pana.

– Tę znam dobrze – rzekła Stefcia – na niej pan najczęściej przyjeżdża.

– Pani ją zauważyła? Prawda, że cacko?

– Bardzo ładna.

– To nic. Nie widziała pani jeszcze Apollina. Ja go po prostu kocham – egzaltowała się panna Rita.

Zaśmiali się wszyscy.

– Tylko sportsmenkę mogą nawiedzać podobne uczucia – rzekł ktoś z grupy towarzystwa rozmawiającego dalej.

– Muszę go przyprowadzić do Słodkowic: będziemy mieli częściej wizyty pani – żartował ordynat.

– Powinien pan pannie Ricie ofiarować jego portret.

– Albo odlać z brązu.

– Co znowu! Straciłby nie mając właściwej barwy.

– No więc z czarnego marmuru.

– Śmiejcie się państwo, śmiejcie, a wszyscy go podziwiacie.

– Prócz mnie – rzekł hrabia Trestka poprawiając binokle.

– Bo pan ma limfatyczne gusta i dlatego wystarczają panu perszerony i te obrzydłe meklemburgi. Apollo w stajni pańskiej wyglądałby jak najeźdnik.

– To samo powiem o pani anglikach. Panna Rita rozpoczęła kłótnię na dobre.

12 Pas mal (fr.) – niezła

– Teraz mogą Słodkowce wylecieć w powietrze, a ta para nie przestanie debatować o stajni. Jak się tych dwoje sportsmenów spotka, już o niczym innym nie mówią i zawsze się kłóć, tak jak pani ze mną.

– Ja się z panem nie kłóczę.

– Ale mnie pani tyranizuje. Bałem się tu jechać przez cały tydzień.

– Ach, jakież pan bojaźliwy!

– No cóż? Tak mnie pani energicznie wyprawiła z lasu, potem przy obiedzie zostałem zlynchowany, nie chciała mię pani pożegnać. Czy to wszystko nie mogło odstraszyć?... Ale zatęskniłem do swego tyrana i oto jestem.

Stefcia przygryzła wargi.

Postanowiła nie odpowiadać na zaczepki w obawie, by kto nie usłyszał. Ale w salonie panował gwar licznych rozmów, a siedząca obok panna Rita fechtowała się na słowa z Trestką tak zawzięcie, że nic ich więcej nie obchodziło.

Waldemar zauważył niepokój Stefci, spostrzegł wzrok szukający Luci i rzekł z przekąsem:

– Chce się pani uzbroić przeciw mnie w niewinność, jak Twardowski przed Mefistofelem, ale Lucia już, niestety, za duża na rolę, jaką pani chce jej w tej chwili przeznaczyć.

Stefci zadrgały usta do śmiechu. Waldemar mówił dalej:

– Ja tęskniłem za swą prześladowczynią, ale pani pewno błagała Boga, abym jak najdłużej się nie zjawiał.

– Przeciwnie, chciałam, aby pan prędzej przyjechał. Na twarzy Waldemara błysnęło zaciekawienie.

– Doprawdy!... O Boże! czemuż nie wiedziałem! Stefcia spojrzała mu prosto w oczy.

– Oczekiwałam pańskiego przyjazdu, ponieważ dziadek pana tęsknił i zaczynał już do- stawać melancholii.

– To znaczy, że pani pragnęła mego przyjazdu dla dziadka, nie dla siebie.

– Spodziewam się, że „pragnęła” – to za silne. Po prostu oczekiwałam.

– Oto rozczarowanie! Miałem już złudzenie rajy, tymczasem jestem jak dawniej w czyśc- cu.

Stefcia zaśmiała się. On patrzył na nią badawczo, z uśmiechem na pełnych, zmysło- wych ustach. Po chwili rzekł przyciszonym głosem:

– Pani dziś cudownie wygląda. Czuję, że tracę głowę.

– Panie ordynacie! – zawołała rozniewana dziewczyna.

– Słucham panią! – podchwycił z żartobliwymi ognikami w oczach.

Stefcia zacięła usta. Dawniej odpowiedziałaby mu z gniewem, lecz teraz była względem niego dobrze usposobiona... Przy tym bawiła ją jego mina. Brwi miał podniesione, szybko poruszały mu się nozdrza, z każdego rysu twarzy wyzierał tłumiony śmiech.

Odpowiedziała:

– Zaczynam żałować, że prosiłam Boga o pański przyjazd. Przez sympatię dla starszego pana Michorowskiego zaszkodziłam sobie...

– Młodym Michorowskim jak miksturą – dokończył.

– Zgadł pan – zaśmiała się.

– Ja zaś jestem pewny, że pani mię oczekiwała nie dla melancholii dziadka, lecz z powo- du własnej tęsknoty. Czy tak?

Zajrzał jej w oczy zuchwale.

– Widzę, że w pańskim towarzystwie najbezpieczniej dla mnie być milczącą, gdyż ina- czej pan staje się zbyt wesołym.

– A pani zaraz wysuwa pazurki, łapięta śliczne, ale ostre – odrzekł z grymasem.

Waldemar odrzekł swobodnie:

– Mówiliśmy o innym sporcie. Prosiłem właśnie pannę Stefanię, aby nam zagrała.

– Pani grywa na cymbałkach? – zapytał Trestka kpiącym tonem.

– Nie, panie, nie grywam na cymbałkach – odparła Stefcia z taką samą intonacją głosu.

– A to szkoda, bo to ma ładny ton.

Waldemar ściągnął brwi. Zakipiało w nim. Spojrzał na Trestkę z góry i rzekł z odpowiednim akcentem:

– Posądzam pana o lepszy smak i większą subtelność... ucha. Trestka zrozumiał. Zbladł ze złości.

Panna Rita uśmiechnęła się i widząc zakłopotanie hrabiego, rzekła do Stefci:

– Popieram prośbę pana Waldemara. Stanowczo nam pani coś zagra. Ja, niestety, nie grywam, lecz pasjami lubię muzykę.

– Owszem, pani, ale trochę potem.

– Tak, zbyt jest głośno, a muzyka lubi ciszę.

– Bo łatwiej wówczas odnajduje nerwy i gra na nich, – dodał Waldemar.

Kamerdyner zapalił lampy. Panna Rita stanęła w oknie, patrząc na wąski, świetlanozłoty pasek wschodzącego księżyca. Na tle szarych barw wieczornego nieba pięknie wyglądała czarna wstęga lasu z tym odłamkiem złota, strojącym czuby drzew, jak błyszczący ryngraf na piersi zakutego w ciężką zbroję rycerza.

Panna Rita zachwycała się głośno; Stefcia i parę osób jeszcze podeszło do okna. Waldemar, wezwany przez Lucię, poszedł do sali jadalnej, gdyż pani Elzonowska chciała go widzieć.

## VI

Duży stół, przykryty obrusem holenderskim, z wytkanym na środku herbem Michorowskich. Zastawiony był do kolacji. Po brzegach stały talerze z pysznej porcelany, malowanej w nikle wzory, jak żołnierze w galowych mundurach. Obok na podstawkach spoczywały z godnością srebrne noże, widelce i wydatne kształty łyżek deserowych. Po drugiej stronie sterczały sztywne serwety, niby budki szyldwachów, z ciemniejszymi plasterkami chleba wewnątrz. Kryształowe kosze z owocami, szklanki, kieliszki, parę wspaniałych bukietów uzupełniało zastawę. Przy każdym nakryciu leżały wiązanek kwiatów. Kwiaty rozrzucone po stole nadawały mu wygląd majowy.

Kamerdyner Jacenty i młodszy lokaje w czarnych frakach, zdobnych w złote guzy, z pasowymi kamizelkami, oraz lokaj księżnej Podhoreckiej w żółtej kurtce liberyjnej krzątali się pomiędzy głównym stołem a kredensem i bocznym stolikiem, gdzie stały kompoty.

Na ścianach świeciły białe kule lamp, nad stołem zwieszony brązowy żyrandol, promieniący ognikami kryształowych sopli, lał światło na srebra i kryształy. Kwiaty w tej powodzi, nabierając życia, pachniały odurzająco.

Do sali weszła pani Idalia z ordynatem i rzekła do niego po francusku:

– Pierwsze miejsce zajmą księżna z ojcem, który ją poprowadzi. Reszta osób niech się sama dobiera. To nie obiad proszony. Może być swoboda. Ale ty, Waldy, powinieneś podać ramię Ćwileckiej. W takim razie jej mąż mnie poprowadzi.

Waldemar, niezmiernie wesoły, odrzekł:

– Czyli, że dla mnie przeznacza ciocia kopalnię diamentów. Zamieniłbym ją z ochotą na jedną tylko perłę...

– Nie żartuj. Wiem, o kim mówisz... Dziwię się, że cię tak zajmuje ta dziewczyna. Waldemar ściągnął brwi.

– Myślałby kto, że ciocia mówi o swej pannie służącej. Panna Stefania nie jest z tych, które można zbałamucić – odparł podrażniony.

– Ale po takim wystąpieniu, jak twoje dzisiejsze, może myśleć, że jest czymś nadzwyczajnym. Moja prezentacja wystarczała. Twój wyskok był zbyteczny.

– Ja na tę kwestię inaczej się zapatruję. Zresztą od razu widać, z kim się ma do czynienia. Zwłaszcza ciocia nie powinna o niej mówić w ten sposób, choćby ze względu na Lucie.

– Wymowny jesteś, mój drogi – sarknęła pani Idalia – lecz ostrzegam cię, że mogą wywniknąć plotki. Sama słyszałam jakieś niedorzeczne domysły Lory.

– Och! pani „hrabina” może opowiadać, co chce. Niewielu znajdzie chętnych słuchaczy. Niech jej ciocia powie, aby nie próbowała robić przy mnie swych domysłów, bo wówczas nawet jej wyimaginowany hrabski majestat nie zamknąłby mi ust.

– Jak to wyimaginowany?

– No, chyba nie potrzebuję wyklądać cioci o istotności tytułu Ćwileckich. Wiedzą o nim wszyscy, zwłaszcza ich własne karety z koronami i stary kamerdyner, który się bardzo zdziwił, gdy mu wsadzili na guzy liberyjne dziewięć pałek. Wszystkie herbarze i kroniki milczą o tym tytule wcale nieuprzejmie.

Pani Idalia zacięła usta.

– Idziemy do salonu, zaraz podają.

W salonie do Stefci podeszła hrabina Ćwilecka, usiadła na stylowym foteliku i popatrzała na Stefcię z wysoka.

- Pani skąd pochodzi? – spytała sztywnym tonem.
- Z Królestwa, pani hrabino.
- Jak dawno pani zajmuje się nauczycielstwem?
- To moje pierwsze i ostatnie miejsce.

30

– Tak? pierwsze? I bratowa powierzyła pani Lucię? C'est une absurdité!<sup>13</sup>  
Młoda nauczycielka poczerwieniała.

- Widocznie potrafiłam wzbudzić zaufanie – odrzekła z uśmiechem.
- Ileż pani ma lat?

Stefcia spojrzała na hrabinę zdumiona.

– Dwadzieścia pięć – odparła bez namysłu.

Hrabina popatrzała na nią przez lornetkę, osadzoną na długiej złotej rączce.

– Tak! – rzekła z przekonaniem – wygląda pani na to. Lucia mi mówiła, że pani ma dziewiętnaście. Od razu wiedziałam, że to omyłka. Comment donc!<sup>14</sup> Bardzo dobrze, że pani nie ukrywa swoich lat. Moja Michala jest w takim razie w wieku pani, chociaż wszyscy my- ślą, że jest młodsza.

Stefci zadrgały usta śmiechem, w oczach błysnęły iskierki żalu. Spojrzała na siedzącą opodal hrabiankę, zawsze poważną, apatyczną, wyglądającą na starszą siostrę pani Elzonowskiej.

Hrabina mówiła dalej:

- Podobno pani zostałam nauczycielką nie z zamiłowania?
  - Tak, ale zaczynam lubić swą pracę, dlatego głównie, że mam dobrą uczennicę.
- Podszedł Waldemar, w ślad za nim hrabia Ćwilecki. Hrabina krzykliwie zawołała do męża:

– Te voilà!<sup>15</sup> Czy wiesz, Auguste? Panna Rudecka ma dwadzieścia pięć lat. Więc nie dziewiętnaście, jak mówiła Lucia. Mamy jednak dobre oko. Spojrzała na Stefcię i rzekła znowu:

- Oboje z mężem uważaliśmy, że to niemożliwe. Waldemar spytał porywczo:
- O czym tu mowa? Nie rozumiem.
- O moich latach. Dodałam sobie powagi – śmiała się Stefcia.
- Niech pani ten wywiad zapisze w dzienniku. Niestychane! Waldemar mówił jakby od niechcenia, ale z widoczną ironią.

Hrabia, dotknięty, spojrzał z niechęcią na żonę i rzekł wolno, jak zwykle:

- Mylisz się, Loro. Nigdy nic podobnego o latach panny Rudeckiej nie mówiłem.
- Mais, mon cher<sup>16</sup> zapomniałeś.

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć. Wszedł kamerdyner, oznajmiając, że podano do stołu.

W salonie zrobił się ruch. Ordynat podał ramię hrabinie i powiedział z widoczną irytacją:

– Kwestię chronologii trzeba odłożyć na czas nieograniczony, teraz służę pani. Hrabina mówiła mu coś ze śmiechem, czego już Stefcia nie słyszała.

Odeszli.

Hrabia spojrzał bystro dokoła i ruszył do pani Idalii. Stefcia została sama. Widziała pary idące do sali jadalnej i była to dla niej znowu przykra chwila. Wyrzucała sobie, iż nie wyszła wcześniej, gdyż wtenczas ominęłoby ją powtórne wchodzenie przy wszystkich.

W tej chwili podbiegła Lucia i wsuwając rękę pod ramię Stefci, zawołała ze śmiechem:

- Wszystkie panie mają swoich rycerzy, a my pójdziemy, z sobą. Zwiodłam pana Ksawerego. Mama poleciła mu, żeby panią prowadził, ale mu powiedziałam, że pani idzie z kim innym. Bo chyba pani woli iść ze mną. Prawda, panno Stefciu?
- Ależ naturalnie! Doskonale zrobiłaś. Zresztą możemy sobie wyobrazić, że na przykład ja jestem kawalerem.

- 13 C'est une absurdité! (fr.) – To absurd!  
14 Comment donc! (fr.) – Jakżeż!  
15 Te voilà! (fr.) – Jesteś tu!  
16 Mais, mon cher (fr.) – Ależ, mój drogi.

31

– Oho! pani do kawalera niepodobna, prędzej panna Rita, tylko bez tej kokardy na głowie i jak jest w amazonce. Weszły do sali jadalnej.

Znowu kilka par oczu obrzuciło Stefcie ciekawymi spojrzeniami. Na końcu stołu siedział pan Ksawery, mając po obu stronach dwa miejsca dla Stefcy i Luci.

Gdy Stefcia usiadła, pani Elzonowska spojrzała na nią spod zmrużonych powiek i rzekła z intonacją w głosie:

– Myślałam, że już pani nie przyjdzie.

Stefcię oblała gorąca fala krwi. Zawahała się, co ma odpowiedzieć.

Przyszedł jej z pomocą i tym razem Waldemar. Zagadnął o coś panią Idalię. Położenie młodej dziewczyny zostało uratowane.

Gwar przy stole odżył na nowo. Rozmowy, śmiechy, dowcipy płynęły coraz gęściej. Ale dobre usposobienie Stefcy minęło. Siedziała milcząco, prosząc Boga, aby kolacja skończyła się jak najprędzej.

Wszyscy rozmawiali, milczała tylko ona i pan Ksawery. Ten był pochłonięty widokiem roznoszonych półmisek i tym, co miał na talerzu. Stefcia natomiast myślała ciągle, że jest intruzem, czuła się samotną jak pomiędzy wrogami. W głowie wirowały jej beładne marzenia, więc: Ruczajew, przyjazd do Słodkowic, sprzeczki z Waldemarem, jej dzisiejsza rozmowa z hrabiną.

Gdyby nie Edmund, nie poznałaby tego świata, nie byłaby narażona na docinki, kłujące ją dotkliwie. Wszyscy tu patrzą na nią jak na istotę pozbawioną praw ludzkich, nie należącą do świata. Patrzą jak wspaniałe rośliny egzotyczne na skromny bławatek, mimo woli zbłąkany w cieplarni.

Stefcia spojrzała na wiązanek kwiatów, leżącą przed jej talerzem.

Dziwnym trafem były to kwiaty polne: pierzasta brązowa trawka i białe margerytki z żółtymi środkami. Wzięła bukiet do ręki, myśląc, że to jej symbol: polne, wątle roślinki, rzucone między srebra i kryształy. Choć je olśnił blask i przepych, zwiędłą i świat zginie dla nich. Podniosła głowę i nagle drgnęła.

Patrzało na nią kilka par martwych oczu z rzeźbionych ram portretów, zdobiących salę.

Oczy przodków Michorowskich, szare jak u Waldemara, przenikliwe, groźne, zdawały się wpijać w jej twarz pytając: „Skąd się tu wzięłaś, plebejuszko, w tym gnieździe senatorów i hetmanów? Czego tu chcesz?” Stefcie przejmował dreszcz. Surowe spojrzenia, spoczywające na niej ze wszystkich stron, męczyły ją... Spojrzenia nieprzyjazne, odpychające.

– Co mię od nich dzieli tak potężnie? Owi sławni rycerze-przodkowie? – myślała. – Odgradzają mnie od nich korony dziewięciopałkowe, mitry książęce i nazwa arystokracji, uświęcona przez tradycję, rozpościerająca się zawsze na szczycie gmachu społeczeństwa. I czy ten szczyt tonął w słońcu, czy w chmurach, nigdy nie przestawał być najwyższym. Oni przywykli spoglądać z góry na ludzi zajmujących niższe piętra, chociażby równie sławnych, często więcej zasłużonych. Uważali ich za podwalinę, na której mogli roztaczać swą magnacką świetność i wywieszać chorągwie z herbami. A ci mniejsi niech śpiewają hymny na ich cześć.

Jednak w tej uprzywilejowanej rasie jest jakiś urok nieuchwytny, działający na wytworne natury. Stefcia pomyślała, że powodem tego może być majestat ich wiekowego monarchatu. Choć nie widać na nich znaków podnioślejszych ani bujnych polotów, jednak otacza ich jakiś urok piękna zewnętrznego, są oni w społeczeństwie jakby dekoracją. Niektórzy z nich, jak starszka księżna, pociągają ku sobie siłą nieprzepartą. W księżnej przebija wyższość rasy; widać, że to magnatka w każdej kropki krwi, prawnuczka karmazynów. Jest

w całej pełni wielką panią, rozumiejącą swe zadanie. Stefcia słyszała o jej działalności i wielkim sercu. Pan Maciej, do niej podobny, ma duszę subtelnego arystokraty, ale jest znacznie starszy, trochę ociężały.

Stefcia spojrzała na Waldemara.

32

A ten?... Jest wielkim panem, rodowym karmazynem. Nie zrobi ujmy swym przodkom.

Przeciwnie, mogą się nim szczycić. Czynny, energiczny, prawdziwy pan, magnat i milioner, pojmował poważnie swe zadanie w społeczeństwie. Pan Maciej, wielki gaduła, opowiadał Stefcie, że nie sądził nigdy, aby Waldemar potrafił tak się zmienić. Dawniej żył inaczej. Po skończeniu uniwersytetu w Bonn i szkoły rolniczej w Halli wpadł w wir życia, szalał. Przesiadywał za granicą, podróżował. Znał całą Europę. Zwiedzał Algier i Egipt. Polował w Indiach i w stepach amerykańskich, wdrapywał się na szczyt gór, marzył na fiordach norweskich. Zwiedzał kliniki, miewał dysputy z uczonymi, ciekawie zaglądał do wielkich laboratoriów chemicznych, w obserwatoriach meteorologicznych robił doświadczenia. Pociągały go fabryki, w dokach nowojorskich wtajemniczał się drobiazgowo w pracę robotników. Jego stosunki i miliony otwierały mu wszelkie instytucje. Miał wstęp do zakładów Kruppa w Essen, w odlewniach armat pracował kilka dni, powodowany nieprzepartą chęcią poznania wszystkiego. Robił próby ze sławnym młotem „Frycem”, miał rewolwer zmielony na proch przez olbrzyma fabryk esseńskich i złoty pierścień z brylantem, na który „Fryc” spuścił się i dotknął go, nie uszkodziwszy zupełnie. Na Wezuwiuszu zapalał cygaro, zwiedzał dom Napoleona I na Wyspie Św. Heleny, w galeriach Louvre’u i w drezdeńskich przesiadywał godzinami, wpatrzony w dzieła sztuki. Rozrzucał pieniądze, miewał awantury i skandaliki przeważnie na tle erotycznym, był ulubieńcem najwykwintniejszych kół towarzyskich. Obracał się w sferach dworskich w Wiedniu, gdzie wśród magnaterii węgierskiej zyskał wielką popularność, będąc spokrewniony z kilkoma najpotężniejszymi domami przez swą prababkę. Tracił na kobiety, nawet trochę grał w karty, lecz to nie wchodziło w zakres jego namiętności. Odbił kilka pojedynków, zakończonych zwycięstwem, zawdzięczając to swej odwadze i ćwiczeniom w fechtunku i strzelaniu. W Jockey Clubie wiedeńskim zrobił raz awanturę jednemu z arcyksiążąt za to, że ten nazwał Polskę krajem podgolonych łbów i grzmiących języków. Sprawa oparła się o dwór i arcyksiężę jak niepyszny musiał przeprosić polskiego magnata. Kobiety szalały za nim: jedne olśniewał blask milionów i świetna partia, inne kochały go prawdziwie. Lecz on, choć wiedział, że jest wszędzie pożądanym, jednak nie znalazł sobie żony. Po pięciu latach hulanki nastąpił przesyt, znudziły go tryumfy, miłości, nawet podróże, powrócił na stałe do kraju.

Pan Maciej opowiadał Stefcie, że Waldemar ma trzy namiętności: konie, polowanie i kobiety, choć te już mu trochę zubożęniały. Polowania urządzał wspaniałe, nawet w czasach swych podróży; zjeżdżali wówczas do Głębowicz magnaci z całego świata. On sam wyjeżdżał często na polowania do swych przyjaciół, prawie do wszystkich domów arystokratycznych, gdzie go zawsze mile widziano. W koniach lubował się, lecz nie puszczał na wyścigi, mówiąc, że nazbyt je lubi, aby oddawać w ręce dżokejów i patrzeć, jak nogi łamią.

Stefcia wiedziała to wszystko od pana Macieja, trochę od pana Ksawerego i sama już miała parę przykładów szlachetności i dobroci serca ordynata. Dwoistość jego charakteru przebijała wyraźnie; miał dobre serce i jednocześnie dużo złośliwości; w gniewie gwałtowny, najczęściej ironiczny, miał delikatny i subtelnie rozwinięty dobry smak. Nie wahał się jednak drażnić jej zawsze. Przy swej szlachetności był trochę egoistą, nie pozwalał nikomu dotknąć jej niestosownym żartem, ale sam gniewał ją stale i lubował się tym. Stefcia nie lubiła go, jednakże spostrzegła, że jest on więcej wart od innych i od pani Idalii w pierwszym rzędzie. Zrozumiała jego wyższość nad Edmundem.

Tamten zapewniał, że ją kocha, przysięgał jej przeciw, a opuścił tak lekko, jakby nie wiedząc, że i ona ma serce, które mogłoby cierpieć.



Waldemar nie lubił jej, może nawet nienawidził, jednak wyratował ją z przykrew chwili w salonie, a uczynił to naturalnie i wykwintnie.

Stefcia spojrzała na niego po raz drugi.

Rozmawiał z paniami ze zwykłą swobodą i pewnym zaniedbaniem, czasem kpiąco. Ru- chy miał cokolwiek rozrzucone, lecz to nadawało właściwy jemu wdzięk. W zaniedbaniu jego

33

przebiegał szyk i dystynkcja zupełnie odrębna, jego własna. Nie był pięknym, ale miał w sobie coś nieokreślonego, co robiło wrażenie. Smukły i bardzo zgrabny, posiadał rysy wyraziste i płeć smagłąwą, włosy ciemnoblonde, ładnie rozdzielone z boku głowy; małe wypukłości nad pysznie zagiętymi brwiami zdawały się skupiać w sobie energię, siłę woli i zdolności. Oczy miał szare, przenikliwe, o rozumnym i stanowczym wyrazie, zawsze prawie drwiące, często figlarne; niesłychanie piękne usta, wydatne, pąsowe, ocienione eleganckim, w miarę bujnym, złotawoblonde wąsem, trochę najeżonym i rozczesanym na końcach. Na twarzy widniała głęboka myśl w połączeniu z odrobiną nudy; w oczach gwałtowność, czasem duma, lub też błyskały w nich iskry żartu. Z ust poznawało się epikurejczyka, uśmiech, jeśli nie był ironiczny, miał w sobie dużo łagodności.

Stefcia, patrząc na niego, spotkała jego wzrok, lecz nie spuściła oczu. On błysnął uśmiechem, ona zagadnęła o coś pana Ksawerego.

Nie miała nawet z kim rozmawiać. Lucia bawiła się dobrze ze swym sąsiadem, pan Ksawery myślał o potrawach, a jej sąsiad z drugiej strony, pan o okazałej tuszy, rozmawiał bez przerwy z całym towarzystwem zgromadzonym przy stole. Stefcia widziała przed sobą jego rękę białą i pulchną, jakby zrobioną z waty; w palcach kręcił wiązanek kwiatów. Nikt na Stefcię nie uważał. Siedziała na końcu stołu i mogła pozostać odosobnioną. Wołała słuchać rozmawiających.

Spoglądała często na ożywioną twarz pani Idalii i jej duże piwne oczy, które tylko na nią patrząc stawały się szpareczkami. Przesuwała wzrok po jej zielonej bluzce i grubym złotym łańcuchu od zegarka; patrzała na pannę Ritę, rozbawioną i z apetytem zajadającą indyka. Widziała zadartą głowę i błyszczące szkła Trestki, kolosalną postać księcia Franciszka Podhoreckiego, sympatyczną drobną osóbkę jego żony, posępną twarz Ćwileckiego, ordynarną hrabiny. Parę razy, za przykładem wszystkich, podniosła przy toastach kieliszek w górę, ale nie piła nic i jadła mało.

Waldemar, rozlewając wino, podszedł do niej. Podniosła na niego oczy i odsunęła kieliszek.

We wzroku Waldemara dostrzegła wyraźny błysk życzliwości, do uszu jej doleciał leciuchny szept: „Biedne dziecko!”

Stefcia zdumiała się.

Jak to? On jej nie wyśmiewa, on nie krytykuje?

– Widocznie bardzo biednie wyglądam, skoro wzbudziłam jego litość – pomyślała z zalem.

Po lodach pani Elzonowska powstała. Zrobił się ruch ogólny.

W pierwszej parze odszedł od stołu pan Maciej, prowadząc pod rękę księżnę, w drugiej Waldemar z hrabiną Ćwilecką, dalej księżę Podhorecki z panną Żyzemską. Ćwilecki z panią Idalią, Trestka z panną Ritą, Stefcia chwyciła pod rękę Lucię i szły na końcu tej wielkopanińskiej procesji. Pan Ksawery korowód zamykał.

I znowu w salonie płynęły rozmowy, przeplatane wesołymi śmiechami. W końcu młodsze towarzystwo zaczęło dokazywać. Panna Rita i Waldemar wiedli rej, dowcipkowali, pletli głupstwa, pobudzając do ciągłej wesołości.

Pannie Ricie towarzyszył Trestka, co ją widocznie drażniło. Waldemar natomiast, w niesłychanym humorze, bawił Stefcię, prawiąc jej grzeczne słówka, potem zaczęli się po sobie mu kłócić. Gdy jednak ktoś inny podszedł do nich, Waldemar zmienił ton i przedmiot roz-

tak zręcznie, że Stefcia nie mogła powstrzymać uśmiechu, ubawiona, ale wdzięczna za jego taktykę. Po raz drugi prosił ją o muzykę.

– Proszę, niech mię pan uwolni od tego – szepnęła.

– Jak pani każe – odrzekł skłaniając głowę – ale w zamian proszę, aby pani zagrała kiedy wyłącznie dla mnie. Czy dobrze?

– Owszem – odparła ujęta jego ustępstwem.

34

– Przepadam za Beethovenem, a pani podobno wykonywa go po mistrzowsku. Mówił mi o tym dziadek.

– Jednak pańskiemu dziadkowi grywam najczęściej Chopina. Najbardziej lubi jego nok- turny.

– Bo dziadek mój jest marzycielem, a ja przeciwnie – odrzekł Waldemar.

Dochodziła druga po północy, jak się goście zaczęli rozjeżdżać. Noc była jasna, ciepła, pełna woni i rozkosznych prądów. Nie wiał silniejszy podmuch, panowała cisza głęboka, upajająca i czarowna, w swych matowych blaskach, jakimi obsypywała świat, spowijając go w srebrzystą, tkaninę, usianą diamentami.

Po gwarnych pożegnaniach wolanty i powozy ruszyły, za nimi posunął brek.

Po chwili ciemne sylwetki koni i zaprzęgów znikły w przeczystej jasnej topieli, zalewającej pola i oparami otulone łąki.

Stefcia na ganku oddawała dobranoc pani Idalii i Waldemarowi. On mocno ścisnął jej rękę i przytrzymał w swej gorącej dłoni.

Spojrzała zdziwiona, ale widząc jego palące oczy utkwione w siebie, prędko wysunęła rękę; szła jeszcze oddać dobranoc panu Maciejowi, pozostałemu w salonie. Waldemar zauważył, że przy bladym świetle księżycy jest ładniejszą niż zwykle i bardzo ponętą. Zagrała w nim krew. Odchodząc do swych pokoi zaciskał zęby z wściekłością i mrucał do siebie:

– Muszę ją mieć, muszę! Drażni mię, działa jak haszysz. Chcę się nią upić.

I długo chodząc po sypialni, układał plany obłąznicze.

## VII

Na drugi dzień rano Stefcia wstała z bólem głowy i dziwnie przykrym uczuciem. Było jej smutno. Ciężar niezmierny przygniatał ją, odbierając swobodę myśli.

Lucia mówiła, że posłano już na kolej po praktykanta, że jest bardzo ciekawa, czy ładny i... czy dobrze urodzony.

W Słodkowcach jadano obiad o drugiej. Zaraz po skończonej lekcji wszedł do klasy lokaj, prosząc do stołu.

– Czy pan ordynat powrócił? – spytała go Lucia.

– Tak jest, przyjechał jaśnie pan z drugim panem z kolei, co już tu ma być na stałe.

– Praktykant! – zawołała Lucia i po odejściu lokaja stanęła przed lustrem, poprawiając bluzkę i włosy. – Jak to dobrze, że już przyjechał! Ciekawam, gdzie go mama posadzi przy stole. O! będzie teraz weselej w Słodkowcach, a tak tylko wtedy wesoło, jak przyjeżdża Waldy. Chodźmy już!...

Przed drzwiami jadalnej sali Stefcia doznała wrażenia lęku. Weszła szybko i zbliżyła się do stołu. Wtem spojrzała na Waldemara, podchodzącego do niej z powitaniem, i dusza zdrętwiała w niej z przerażenia.

Obok Waldemara stał Edmund Prątnicki.

Stefci zaszumiło w głowie, cienie zaczęły jej skakać przed oczyma, jakby padał czarny śnieg. Doznała wrażenia, że ktoś cisnął na nią ciężki rozpalony przedmiot. Jej twarz w jednej chwili zbieła. Stefcia instynktownie cofnęła się, jak na widok szerszenia, który uciął ją raz aż do krwi. Nieprzytomnie podała rękę Waldemarowi, spostrzegła jego oczy szeroko otwarte ze zdziwienia i usłyszała jego słowa:

– Pozwoli pani przedstawić sobie pana Edmunda Prątnickiego... Panna Stefania Rudecka – dokończył.

– Witam panią – zawołał Prątnicki z zupełną swobodą, podając jej rękę zamasyście. – Nadzwyczajne spotkanie! – dodał wesoło.

– Państwo się znają? – spytała pani Idalia.

– Doskonale! Sąsiadujemy z sobą. Prawda, panno Stefanio?

– Tak – odparła zapytana i usiadła cicho na krześle.

Było jednak w niej coś takiego, że pani Idalia nie pytała więcej, natomiast odgadła, że między Stefcia a młodym praktykantem coś kiedyś musiało zajść. Zaczęła ich nieznacznie badać. Pan Maciej, zdziwiony zachowaniem się nauczycielki, milczał. Lucia nie mogła usiedzieć z ciekawości. Tylko Waldemar rozumiał wszystko. Zmieniona twarz Stefci, siła wrażenia, jakiej uległa, wreszcie jej milczenie utwierdziło go w przekonaniu, że młody praktykant jest niedoszłym jej narzeczonym. Waldemara drażniła jego swoboda. Prątnicki sam jeden mówił dużo i wesoło, zerkał na Stefcie z uśmiechem niesmacznym, w ogóle zachowywał się hałaśliwie. Zdawał się nie rozumieć, że prosta delikatność nie pozwalała być swobodnym wobec takiego spotkania.

Młody Michorowski od razu powziął niekorzystne wyobrażenie o wychowaniu, nawet o charakterze swego praktykanta. Polecał go wpływowy obywatel. Waldemar znał Prątnickiego jedynie z listów, w których przedstawiał się zupełnie inaczej. Ordynata gniewało niespodziewane spotkanie Stefci z Prątnickim, jego rubasność i odcień lekceważenia oraz drwiące uśmieszki, jakimi ją obrzucał.

– Jak on śmie? – myślał z oburzeniem i siedział zły, nie chcąc podtrzymywać rozmowy. Drażniła go pani Idalia, badająca Stefcie, nawet gniewała go Lucia, wpatrzona z zachwytem w ładną twarz przybyłego.

36

Waldemar wyrzucał sobie, że nie mówił przy Stefci nazwiska praktykanta, bo gdyby spostrzegł najmniejsze wrażenie, zbadałby przyczynę i cofnął wszelkie z nim układy. Teraz już za późno. Zgnębienie Stefci sprawiało mu ogromną przykrość. A Stefcia istotnie cierpiała.

– Czy on wiedział o mej obecności w Słodkowcach, czy to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Skąd by wiedział – może od sąsiadów Ruczajewa? i postarał się wejść mi w drogę. W jakim celu? – myślała gorączkowo.

Była wprost ogłuszona. Po pierwszej chwili przerażenia ogarnęła ją rozpacz. Może on podążył za nią umyślnie, aby ją skłonić do opuszczenia Słodkowic? Może on przebłagał jej ojca, a teraz od niej zażąda słowa i ręki...

A ona? już nie mogłaby powtórzyć mu, że go kocha, nie mogłaby mu oddać ręki bez popełnienia fałszu. Zrozumiała siebie i swe odczucia, omyliła się strasznie...

Jego swobodne powitanie zastanowiło ją. Chyba wiedział o jej obecności w Słodkowcach? Ta myśl wracała jej uporczywie.

Ochłonawszy, młoda dziewczyna słuchała jego rozmowy ze zdumieniem. Ten człowiek wydał jej się inny, nienaturalnie wesoły i zbyt hałaśliwy.

Mówił o osobie z chełpliwością, znamionującą zarozumialca; dla pani Idalii, jej ojca i Waldemara był zanadto uniżony. Stefcie to raziło. Nie mogła pojąć, gdzie są zalety widziane w nim poprzednio.

Ale wówczas działał na nią urokiem, ubierała go w tęczowe blaski, jakich w istocie nie posiadał. Stefcia przechodziła prawdziwe męczarnie. Drażnił ją głos Edmunda i nie rozumiała obecności jego w tym miejscu. Męczył ją badawczy wzrok pani Idalii i zupełne milczenie Waldemara.

– Ten odgadł wszystko – myślała – i teraz będzie ostrzył na mnie dowcip... Powinnam wyjechać stąd. Wyznam wszystko pani Idalii. Ona zrozumie mnie i odczuje. Wówczas powrócę do swoich, szczęśliwa i spokojna. – Nagle, na wspomnienie wyjazdu, Stefcia doznała niepokoju, uczuła w duszy leciuchny żal, sama nie rozumiejąc, dlaczego.

– Dzieciństwo! – pomyślała z gniewem. Przeniknął ją dreszcz strachu na samo przypuszczenie, że on może po nią tu przyjechać. Teraz on jest dla niej niczym.

Od pierwszego spojrzenia na Edmunda nie patrzała na niego więcej, siedząc jakby w odrętwieniu. Ale ciekawość w niej przemogła. Odczuwając zmianę w jego głosie, chciała

zobaczyć, czy jest zmieniony z powierzchowności. Podniosła oczy. Nie zmienił się: pozostał bardzo pięknym chłopcem, lecz dawniej widziała w jego rysach inny wyraz, w oczach inną myśl. Teraz te same rysy ściągnięte płaskim uśmiechem, oczy zdradzają pospolitą naturę... żadnej podniosłości, ani odrobiny dawnego ideału. Inny człowiek! Stefcia miała wrażenie, jakby spojrzała z bliska na zwyczajny kamyk, w promieniach słońca wydający się klejnotem bez ceny.

Edmund zwrócił na nią oczy. Świeciły w nich błyski cynicznego uśmiechu.

Twarc jej poczerwieniała, nerwami zatargało oburzenie. Wtem zabrzmiał jego głos:

– Dlaczego pani jest dziś tak milczącą, panno Stefanio? Nie poznaję pani i jako dobry znajomy mogę mieć pretensje, gdyż wydaje mi się pani niezadowoloną z mej obecności. Czy tak? Stefcię te bezczelne słowa wyprowadziły z równowagi. Zagrała w niej krew obrazą, podrażniona ambicja ukłuła jak żądłem.

Zmierzyła Edmunda chłodnym wzrokiem, ale odparła spokojnie:

– Nie spodziewałam się spotkać tu pana, nic więcej.

– Ale spotkanie chyba ucieszyło panią. Ja bo na przykład jestem szalenie rad.

Nic nie odpowiedziała, tylko zagryzła usta. W głosie jego czuć było wyraźnie drwiny. Prątnicki przechylił się przez stół i natarczywie powtórzył raz jeszcze:

– Jestem niezmiernie ucieszony.

37

– Widać to – odrzekła podrażniona.

– Doprawdy? Ha! ha! To dobrze. Ja lubię być wesołym.

– Czy pan zawsze ma tak... przyjemny humor? – zapytał Waldemar, poruszając się nerwowo na krześle.

Mówił z nie ukrywaną ironią i na wyrazie „przyjemny” położył nacisk. Prątnicki szybko spojrzął na niego i zeszywniał: twarz młodego magnata była jak z lodu, na ustach widniał niesmak, w zmarszczonych brwiach jakaś przestroga, coś groźnego. Całą postacią mówił:

„Nie zapominaj, że ja tu jestem”.

Młodzieniec zrozumiał, że jest w towarzystwie, gdzie jego „przyjemny humor” trochę razi. Słowa Waldemara dotknęły go i otrzeźwiły natychmiast. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, lecz Waldemar nie czekał odpowiedzi. Z cygarniczką, w ręce, zwrócony do pani Idalii i Stefci, spytał grzecznie:

– Panie pozwolą?

Pani Elzonowska skinęła głową, lecz spojrzała na niego zdziwiona. Waldemar przy poobiedniej kawie palił cygaro, ale pozwolenie miał już udzielone raz na zawsze. Teraz jednak pytanie Waldemar skierował głównie do Stefci, bo gdy ona, nie spostrzegłszy się, nie zrobiła najmniejszego ruchu, Waldemar z wykwintną uprzejmością zwrócił się bezpośrednio do niej:

– A pani?

– O, proszę pana – odparła z uśmiechem.

Prątnicki zagryzł wargi. Grzeczność ordynata dla nauczycielki była dla niego nauczką. Odczuł, że dano mu ją umyślnie. Zbyt lekceważąco odzywał się do Stefci i oto ten arystokrata zręcznie, a jednak wyraźnie dał mu do zrozumienia, że postąpił niewłaściwie.

Edmund rzucił wzrokiem na pana Macieja, panią Idalię i przekonał się, że oni także nie ujawniali zachwytów nad nim. I pomyślał, że obcy ludzie biorą stronę tej dziewczyny, a on, który za nią szalał, nie wahał się teraz przemawiać do niej w sposób lekceważący. Dlaczego tak robił, nie wiedział. Wprost doznawał dzikiej przyjemności na widok jej rumieńców, był przekonany, że ona go kocha, i to go ośmielało. Dowiedział się o jej bytności w Słodkowcach od jednego z sąsiadów Ruczajewa, nie pomyślał nawet, że spotkanie może być dla niej przykre. On się cieszył i to mu wystarczało.

Uplanował mścić się na niej, rozkochać ją na nowo, jeśli zapomniała. Wyobrażał sobie, że Stefcia, kochając go, potrafi znosić cierpliwie jego żarciki. Na wstępie doznał zawodu. Wprawdzie widział wrażenie, jakie sprawił na pannie Rudeckiej, lecz ono było inne, niż

się spodziewał. Górowało przerażenie tak ogromne, że aż zdumiał. Lodowata twarz Stefci nie zdradziła ani odrobiny zadowolenia, ani cienia radości.

Na jego zaczepki zmierzyła go tak szyderczym wzrokiem, że mimo woli uczuł dreszcz.

– Co jej się stało? – pomyślał ze złością – skąd ta pogarda?

Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny syknął w nim, przypominając jego postępek sprzed paru miesięcy. To go rozdrażniło, postanowił jej dokuczyć. Ale Waldemar nie pozwalał jej lekceważyć. Prątnicki zrozumiał, że go wzięto na munsztuk i że ona ma tu obrońców, z którymi powinien się liczyć. Po pierwszej chwili zmieszania ogarnęła go wściekłość. Postanowił zemścić się na dziewczynie w inny sposób. Błysnęła mu w głowie genialna myśl, godna najzdolniejszego dyplomaty.

Od samego początku obiadu zauważył niebieskie oczy Luci, spoczywające na sobie z nie ukrywanym zachwytem, i to zapaliło w jego mózgu myśl pełną natchnienia: od razu wydała mu się ona tak świetną w następstwach, że mimo woli skłonił głowę, jakby z uznaniem dla samego siebie.

Obiad się skończył. Pani Idalia powstała od stołu i Waldemar zabrał swego praktykanta do gabinetu dla obznajomienia go z jego zajęciami.

38

## VIII

Przeszło kilka tygodni. Życie panny Rudeckiej stało się ciągłą walką najróżnorodniejszych uczuć, często bardzo sprzecznych. Obecność Edmunda działała na nią niepokojąco, drażniła, wprowadzając w stan nerwowego rozstroju.

Stefcia wyznała szczerze pani Elzonowskiej, kim jest Edmund; powiedziała, że spotkanie z nim zanadto ją męczy i prosi o zwolnienie. Pani Idalia okazała jej współczucie z całą taktką wielkiej damy, ale nie zgodziła się na wyjazd. Ponieważ jej osobiście podobał się Prątnicki, więc nie powtórzyła prośby Stefci ani ojcu, ani Waldemarowi. Odgadywała, że pan Maciej chciałby zapobiec cierpieniom Stefci, a gdyby to doszło do Waldemara, Edmund przestałby istnieć w Słodkowcach.

Pani Idalia nie życzyła sobie jego wyjazdu. Dla niej młody, przystojny i wesoły praktykant stał się miłym towarzyszem codziennych obiadów i kolacji. Umiał jej zręcznie pochlebiać, łechtać jej ambicję, przy tym, zabawny i dowcipny, potrafił bawić. Zawsze z wielką żywością chwalił Lucię i w pani Idalii odczuwał jedyną przyjaciółkę i sprzymierzeńca.

Waldemar nie lubił go aż nadto wyraźnie, pan Maciej również. Dla Stefci stał się obojętnym. Luci mówił grzeczności, wiedząc, że matka to lubi. O samą Lucię mniej mu chodziło. Nie uważał, że jego nadszkakiwania robiły na dziewczynce wrażenie zupełnie niepożądane.

Lucia, jak sobie przepowiedziała, zadurzyła się w nim od razu. Pociągnęła ją jego uroda istotnie przepyszna, reszty dopełniły hołdy, do jakich jej jeszcze nie przyzwyczajono. Z tego powodu i stosunek jej do Stefci uległ zmianie. Swoboda dziewczynki znikła. Myślała zawsze, że Stefcia kocha Edmunda. Czowała do niej żal i obawę, aby ona nie spostrzegła jej uczuć. Stefcia odgadła wszystko.

Bała się o spokój Luci, lecz mówić z nią o tym nie mogła, z panią Idalią nie śmiała. Pozostał pan Maciej, lecz jego także nie chciała dręczyć.

Taktyka i nieszlachetność Edmunda oburzyły ją. Wszystko to składało się dla niej na życie pełne zmartwień i niepokojów. Przyjazdy Waldemara sprawiały jej ulgę. Witania go z przyjemnością zupełnie różną od dawnej niechęci. Wówczas drażnił ją, teraz występował w charakterze obrońcy przed Prątnickim.

W obecności Waldemara panowała swoboda. Rozweselał wszystkich, prócz jednego Edmunda, który przy młodym ordynacie tracił werwę, nie pozwalając sobie na żarciki ze Stefcia, nawet nie pochlebiał Luci, wiedząc, że ordynat nie lubi tego.

Prątnicki oddychał, gdy Waldemar odjeżdżał, Stefcia oddychała, gdy przyjeżdżał, czuła się przy nim swobodniejszą, mniej rozgoryczoną. Ich sprzeczki trwały, lecz już odmienne, więcej w tonie obopólnego żartu, dowcipne nawet cięte, ale bez domieszki dawnej złośliwości. Nie kłócili się nigdy przy Edmundzie, za co Stefcia musiała być wdzięczną Waldemarowi. Rozmawiali z sobą dużo i zajmująco.

Inteligencja i wykształcenie jego imponowały dziewczynie. Ale po każdym wyjeździe ordynata cierpiała podwójnie. Edmund mścił się na niej niesmacznymi żartami za rozmowy z Waldemarem i za to, że sam nie może w nich brać udziału, bo poruszali często kwestie mało mu znane. Zresztą praktykant w obecności Waldemara tracił swój burszowski humor, nawet pani Idalia mniej mu wierzyła przy swym kuzynie, choć zwykle Waldemar nie miał u niej wielkich łask.

Pewnego dnia po obiedzie Stefcia grała w salonie. Lucia, wciśnięta w fotel, czytała ilustrowane dzienniki. Nagle wszedł Waldemar, niosąc sporą paczkę. Lucia z okrzykiem zerwała się pierwsza.

– Przyjechałeś?... Jak to dobrze... Coś przywiózł?... Ordynat powitał Stefcie.

39

– Mam tu dla pani obiecane książki. Jest Korynna i Delphina pani Staël, jest kilka tomów Byrona w oryginale. Czy pani jest dość silna w angielskim, aby czytać? Mówi pani do brze...

– I rozumiem wszystko. Nie czytałam wprawdzie w oryginale, lecz spróbuję – odrzekła Stefcia dziękując.

– Horacego przywiozę innym razem. A może pani chce coś z naszej literatury.

– Owszem, poproszę pana o Lema i Mochnackiego, jeżeli pan posiada.

– Ależ dobrze, mogę pani służyć i Skargą i Rejem, i Kołłątajem, i kim pani zechce. Moja biblioteka na rozkazy pani.

– Jest, widać, niewyczerpana.

– Szczyć się tym, że jedna z największych w kraju. Ale przerwałem pani muzykę.

Stanął przed pulpitem, odrzucił kilka stron w zeszytach z nutami i zatrzymał się na dwunastej sonacie Beethovena As-dur.

– O tę proszę. Ślicznie pani oddaje scherzo i marsz żałobny.

– Skąd pan wie?

– Słyszałem raz, kiedy mię pani nie widziała.

– O! to się muszę strzec – zaśmiała się Stefcia, siadając do fortepianu.

Waldemar stanął za nią, ale spojrzawszy na bok i widząc Lucie zatopioną w czytaniu zawołał, klasnąwszy w dłonie:

– Hola, panienko, to nie dla ciebie jeszcze lektura. Lucia zamknęła książkę.

– Nudni jesteście, ty i panna Stefania. Ja dawniej czytałam nawet Zolę, a teraz nic mi nie wolno. Waldemar zaśmiał się.

– Emancypowana pani pupilka, co? – rzekł do Stefci. – Pewno, że po Zoli blado wygląda Mickiewicz, jak moralne jasełka po pikantnej operetce.

– Nieznośny jesteś! – odburknęła nadąsana Lucia.

– No, Lucia, cicho! Przecież pan żartuje.

Waldemar ucałował dziewczynkę. Ona mu się wyrwała i wybiegła z pokoju.

Stefcia zaczęła grać z pamięci. Ordynat usiadł. Chwilę patrzył na grającą, oparł czoło na dłoni i zagłębił się w fotelu, znieruchomił.

Stefcia początkowo andante grała z roztargnieniem. Obecność Waldemara niepokoiła ją. Nogi miał założone jedną na drugą. Widziała eleganckie jego buty z ostrogami, opinające

prawdziwie arystokratyczne stopy, i drażniły ją w dziwny sposób. Pierwszą wariację prze- grała bezdźwięcznie.

Waldemar poruszył się, odjął rękę od czoła i palcami najeżając wąsy w sposób sobie wła- ściwy, z podniesieniem ust w górę, patrzył na nią badawczo.

Dziewczyna dojrzała jego ruch, odczuła wzrok i zrozumiała, że spostrzegł jej roztargnie- nie.

Następną wariację wykonała dobrze, trzecią i czwartą z brawurą i znakomitą techniką, piątą artystycznie, z pełnią uczucia, jakby grając mówiła zarazem... Waldemar, wsparty na dłoni, słuchał w skupieniu.

A Stefcia cieniowała piątą wariację, jakby haftując na klawiszach perłami i cudną pelą.

Wdzięczne, lekkie nuty płynęły z tęsknotą, namiętnie, pieszcząc i unosząc się w błękity.

Ostatnie akordy jęknęły rozpacznie, i nagle posypało się rześiste, jak złote kropelki, scherzo.

Zadrgały szybkie nuty na klawiszach, niby łopot skrzydełek ptasich, zaszumiały gradem srebra, spływając hucznie w spokojniejsze trio. Przebrzmiały błyskotliwe nuty, zgasty. Chwila ciszy i zabrzmiał tragiczny, pełen majestatu marsz żałobny.

Powaga, groza, potęga szły z grzmiących nut. Stefcia z wypiekami na twarzy, z błyszczą- cymi oczyma kładła w tony siłę i energię duchową, cały zasób swych zdolności dramatycz- nych.

Marsz porywał, wzbudzał grę nerwów. Gdy w drugiej części zawarzały bębny, groza

40

wzmogła się, krew zatrzymując w żyłach. Stefci tętna waliły w skroniach, grając oddychała szybko, przejęta do głębi duszy.

Waldemar powstał, podszedł krok naprzód i oparty o konsolę kominka, z dreszczem w żyłach przepalał Stefcię gorejącymi oczyma.

– Co za temperament, jaki zapach! – myślał, widząc ruch jej palców i ogień na twarzy. Olbrzymia siła namiętności, jakiej dawno już nie doznawał, pchała go do niej. Uczuł, że pożąda tej dziewczyny, że ona przepala mu krew, szarpie nerwy.

– Ogień, ogień – mruzczał przez zaciśnięte zęby. I skurcz szalonej, namiętnej fali ściągnął jego brwi, poruszył nozdrza, drżał na ustach. Miał wygląd orła gotowego do zadania ciosu, szeptał już wściekły:

– Ona musi być moją... Kobieta, która tak porywa mężczyznę, musi ulec. Zdobywałem wiele mnie pożądanych, więc i ją mieć będę... To ogień!... wulkan... Ale dwa ognie poparzyć się nie mogą... i tyle rozkoszy!... Nagły prąd pchnął go naprzód.

Stefcia rzucała na klawisze ostatnie akordy marsza. Ordynat rozgrzany stanął tuż za nią, pochylił się. Ostatnią siłą woli panował nad sobą, by nie porwać jej w ramiona. Czuł rozkosz, lecz i dziwną niemożebność tego czynu. Szatan namiętności zapalał go, a biały, czy- sty duch owiewał Stefcię iluzją, jakiej nawet jego demon rozedrzyć nie śmiał.

Waldemar walczył... Płomienie buchnęły mu na twarz, oczy gorzały piekłem pożądania. Nie zdołał wytrwać, pochylił głowę nizej, oddech jego przepojony ogniem wewnętrznym spa- rzył szyję Stefci, jego ramiona były o włos od jej ramion. Dziewczyna drgnęła, odwróciła głowę, jej oczy ogromne, tęskne, spojrzwały na Waldemara zdumione. Patrzyli na siebie. Stef- cia, blada, z dreszczem przestachu zerwała się z krzeselka.

Ale on ją zatrzymał.

– Niech pani gra... Błagam!...

Usiadła zniewolona siłą jego głosu. On przetarł czoło i odsunął się.

Stefcia rozsunęła piątą wariację tak lekko, że mniejszego szmeru nie wydaje motyl, trąca- jąc skrzydełkami o kwiaty. Jak w osłupieniu przegrała wariację do połowy, prędko wstała i zamykając fortepian, szybko pobiegła do drzwi.

Od okna wzburzony ordynat skłonił się jej grzecznie.

– Zakończyła pani ślicznie. Całość wspaniała. Dziękuję. Dziewczyna wybiegła.

Waldemar popatrzył za nią i rzekł głośno:

– Ogień zamknięty w kielichu białej lilii.



Podwieczorek zastawiono na tarasie. Waldemar, już spokojny, wesoły, unosił się nad grą Stefci, żartował z Luci, nawet z Prątnickim rozmawiał uprzejmiej niż zwykle. Sam zaproponował przejażdżkę łódką po jeziorze.

Stefcia się rozchmurzyła. Popłynęli we czworo. Waldemar wiosłował. Prątnicki ujął mechanicznie ster w ręce, Stefcia i Lucia usiadły na środkowej ławeczce, zwrócone do Waldemara. Ale Lucia zmanewrowała tak, że za chwilę była już na wprost Edmunda.

Łódka odbiła od brzegu. Zachód czerwcowy rzucał gorące iskry na błękitną wodę, łabędzie z rozpostartymi skrzydłami płynęły za łódką. Stefcia pluskała na nie wodą, ciesząc się z widoku rozgniewanych ptaków. Waldemar patrzył na jej ręce, jak zanurzone w wodzie przybierały tony perłowe, słuchał jej śmiechu i myślał:

– Jak łatwo to zmać... Wystarczy porwać ją za rękę i zgnieść w swojej albo przywołać szatana w oczy i wpić się nim w jej usta, i już ta swoboda, ten śmiech jasny zgaśnie, zwarzy się niby płatek konwalii na mrozie... Cóż to za dziewczyna?... Bo nie anielica, a ma czystość anioła... nie demon, a ma temperament i ogień szatański. Fenomenalne! Czyż dla zdobycia jej mam się przemienić w anioła?... Nie, tego nie potrafię. Zresztą nie pragnę jej anielskości.

41

Przeciwnie, chcę, aby mi oddała to wszystko, co jest w niej z demona, anielskość chowając dla przyszłego męża.

Mimo woli spojrział na Prątnickiego.

– A gdyby on nim pozostał?... Nie, potworne porównanie. Zamyślił się patrząc na Stefcię.

– Dla kogo ona stworzona? Kto ją posiadzie? Bajeczna dziewczyna! Godna świętego losu!

Czy upaść w me ramiona wystarczy dla niej?... Na to ona jest za czysta! Obrywałem listki z najpiękniejszych orchidei, ale dla mimozy miałem zawsze szacunek. Ona jest mimozą i warta zachodu. Cierpliwości, a będę ją miał.

Stefcia czuła jego wzrok na sobie, ale spokojnie bawiła się pluskaniem wodą na łabędzie.

Wreszcie, chcąc przerwać milczenie, rzekła:

– Pan wiele podróżował po morzu. Niech mi pan opowie wrażenia. Muszą być wspaniałe.

– A pani nie zna morza?

– Owszem, znam trochę Morze Bałtyckie, ale nie odbywałam dalszych podróży.

– Dla mnie najmiłsze wody Adriatyku i Oceanu Wielkiego – dwa kontrasty, jak baletnica w błękitnych gazach obok siłacza. Na Adriatyku lubiłem pływać łodzią żaglową samotnie lub tylko w towarzystwie sternika. Ale na ocean wolałem się uzbroić w potężny statek, który kpi sobie z groźnych fal. Nie była to jedynie ostrożność wywołana obawą, lecz i chęć zaimponowania temu kolosowi siłą rozumu ludzkiego. Przetrwiałem na oceanie dwie burze i straszliwy tyfon, nawet siedziałem już w szalupie ratunkowej wśród ryku bałwanów.

– To jest chyba okropne wrażenie – przerwała Stefcia.

– Potężne! Jedyne w swoim rodzaju. Jakby się człowiek wziął za bary z oceanem – kto kogo zwycięży. Obawa śmierci ustępuje miejsca nie rezygnacji, ale zjadłości. Człowiek, walcząc z tytanem, zmienia się sam w tytana. Patrząc na niezmierzone przestrzenie rozszałych fal, widząc piramidy wody, słuchając ryku i grzmotu, o jakim na lądzie nie mamy pojęcia, człowiek doznaje szacunku dla samego siebie, że w tych odmętach żyje, nawet potrafi zastanawiać się nad bezowocnym rozwścieczeniem oceanu. To jest uczucie niezmiernie dziwne i porywające.

Stefcia patrzyła na niego zdumiona.

– Nie każdy chyba doznaje takich uczuć – rzekła kręcąc głowę – trzeba mieć w sobie dużo hartu i abnegacji życia, aby ulegać podobnym wrażeniom. Waldemar uśmiechnął się.

– No, hartu mam dosyć, a żal za życiem nic nie pomoże. Wówczas przeważa prosta filozofia: „umrę, to umrę”, a jednocześnie energia i zaciekłość szepczą: „umrę, jeśli się dam zwał- czyć”.

Niekiedy ocean zwycięża, pogrzebując tysiące ofiar, i zawsze zostawia choćby jedną przy życiu, jakby dla urągania jej, pochwalenia się swą mocą. Nic nie jest silniejszym nad tryumf obrońców statku, gdy tyfon nie zdołał go zatopić. Ja, nie chcąc być jedzącym tylko śliwki w czasie burzy, pracowałem albo z majtkami przy linach, albo przy busoli, lub z kapi- tanem dyrygowałem naprawieniem uszkodzonych miejsc.

– I nie męczyło to pana?

– Sprawiało mi zadowolenie. Borykałem się na równi z załogą dla zwalczenia potwora. Na linii transatlantyckiej znali moją słabostkę. Lubilem być na pokładzie, kiedy burza cichła, kiedy zapieniony ocean oddychał resztkami wściekłości, jakby mu brakło tchu w olbrzymich płucach. Statek wówczas rozwiewa żagle, kurzy tryumfalnym słupem dymu, śruba druzgoce spienione cielsko oceanu i rwie naprzód, posuwa statek dumna i zwycięska. Gdy dzieje się to przy wschodzie słońca, wrażenie spotęgowane pięknnością natury wzbudza prąd w nerwach, jakby dreszcz rozkoszy. Zdaje się że i niebo jest przyjacielem ocalonych, a wrogiem poskromionego napastnika. Do najwspanialszych zjawisk zaliczam burzę na morzu.

– Pan lubi niebezpieczeństwa?

42

– Podniecają mię. Najnieznośniejsze na statku są panie: aby trochę wichru, zaraz spazmy, płacze, histerie! Ciekawy jestem, jak by się pani zachowała w takim wypadku?

– Nie spazmowałabym na pewno, lecz bałabym się okropnie. Waldemar patrzył na nią z uśmiechem.

– Niech mi kto wytłumaczy, dlaczego kobiety są od nas lękliwsze, kiedy w innych razach przewyższają nas odwagą...

– W czymże na przykład?

– W czym?... Choćby w walce z nami. Wy jesteście pogromczyniami rodu męskiego i przedstawicie niebezpieczeństwo poważne, choć ukryte... takie pazurki w aksamitnej rękawiczce.

– Czyżby i pan bał się tych pazurków?

– Pani wątpi?

– Trochę.

– Ma pani słuszość – zaśmiał się Waldemar. Wyciągnął wiosła z gryf i złożył je na swych kolanach.

Płynęli cicho po spokojnej wodzie; drobne fale goniły za sobą błyszcząc jak mika; łódka sunęła jak liść nenufaru, bez szelestu.

Edmund rozmawiał z Lucią o tańcach, głośno i z niesłychaną zuchwałością. Waldemar rzekł znowu, pochylony do Stefci:

– Więc pani przeczuwa, że nie jestem lękliwy, nawet w tym wypadku? Nie przeczę! Chociaż batalia z kobietą bywa nieraz większą nieostrożnością niż targanie lwa za ucho, bo nigdy nie jest się pewnym, jaka wyniknie niespodzianka. Zaratustra Nietzschego powiedział: „Dwóch rzeczy pragnie prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i igraszki, przeto pożąda kobiety, jako najniebezpieczniejszej igraszki”.

– Ładna teoria! Czyli że kobiety uważacie jako zabawkę mniej więcej ładną lub kolącą albo za oswojone zwierzątko, które może ugryźć.

– No, czasem trzeba je dopiero oswajać. W tym właśnie leży niebezpieczeństwo przedsięwzięcia. Ułaskawione łatwiej skłonić do podawania łapy.

– Pan jest bezczelny cynik!

– Oj! oj! cóż za potwarz. Przepraszam panią, jeśli ją obraziłem, ale ja dopełniłem porównania zrobionego przez panią. Możemy ten sam temat omówić efektowniej. Więc: kobieta jest istotą, o którą mężczyzna walczy, a im ona ma większe pazurki, tym walczy o nią wytrwalej. Nie każda walka prowadzi do wyników pożądaných, lecz prawie każda zwycięża, gdy mę- czyzna weźmie

na kiel, naturalnie, o ile potrafi. To już jest odrębna zdolność. Ten sam Nie- tzsche powiedział: „Idziesz do kobiet – nie zapomnij bicza”. To ma znaczenie głębokie, do- wodzi, że tylko taki ategoryczny bicz energii i silnej woli może z kobiety zrobić baranka. Wszelkie padanie plackiem to most rzucony pod jej stopy, po którym ona przejdzie zawsze i bezwzględnie.

- O jakim rodzaju kobiet pan mówi?
- Wobec pani nie mógłbym mówić o innym, tylko o najwyższym.
- Bo mówi pan zagadkowo.
- Nie, pani. Wygłaszam tylko moje credo w tej sprawie. Ja mogę

43

- Pani to mówi nadzwyczaj śmiało – rzekł ordynat poruszając brwiami.
- Śmiało?... W jakim znaczeniu?
- Za mało ma pani doświadczenia życiowego, żeby tak stanowczo twierdzić.
- A jednak jestem przekonana, że życie nie zmieni mego twierdzenia.
- Ej! niech pani nie ręczy!
- Czy pan mi zaprzecza wyższości moralnej? Waldemar był rozdrażniony.
- Nie zaprzeczam, ale wątpię, czy ta moralność wytrwa na piedestale, ustawionym przez ambicję pani.
- Co ją może zachwiać? – spytała zuchwale. Popatrzał jej w oczy długo i rzekł dobitnie:
- Pani temperament, wrażliwość, młodość i jakaś potężna siła męska. To są atuty zdolne nie tylko zachwiać, lecz zwalić panią z piedestału, gdyż zagłuszają punkt, uważany przez pa- nią za stanowczy.
- W źrenicach mówiącego dojrzała Stefcia dziką siłę i śmiały cynizm; zaimponował jej. Zanurzyła palce w wodzie i bawiąc się rozpryskiwaniem błyszczących kropelek, rzekła wol- no, jakby do siebie:
- Za wielka wiara w siłę męską, a za mała w naszą.
- To tylko doświadczenie, że najsilniejszy pancierz nie ostoi się przed tym, kto ma pra- gnienie walki i potrafi odnaleźć w największym uzbrojeniu piętę Achillesa.
- A jeśli taka słaba strona nie istnieje?
- Dla woli i energii istnieje zawsze, tylko bywa różną zależnie od intelektu kobiety. Od- szukanie właściwej przedstawia największą trudność. To kwestia sprytu mężczyzny.
- Stefcia zamyśliła się.
- Czy przekonałem panią? – spytał ją z uśmiechem.
- Daje pan dobre oświetlenie swej tezie; nie przeczę, ale...
- Niech pani dokończy, proszę.
- Ale mówi pan głównie na podstawie własnych tryumfów, o jakich nawet ja słyszałam.
- W pańskich słowach brzmi pewność siebie. Czy jednak zdanie pańskie może się tyczyć ogó- łu?
- Ogólu kobiet na pewno, bo z wieloma bardzo różnymi miałem do czynienia, a męż- czyzn podobnych do mnie jest więcej. Tylko są kobiety opancerzone w dziwną zbroję, jakiej trudno dojrzeć, są owiane nimbem i ten hamuje napastników, czarując zarazem. Zwyciężyć je można, ale wobec nich brutalność ginie, i ten szczegół stanowi ich siłę.

– A więc znalazł pan wyjątek! – wykrzyknęła Stefcia.

– Bardzo rzadki. Są to kwiaty ginące wśród powodzi innych. Zresztą powtarzam: i takie kobiety mężczyzna zwalczy, ale inaczej.

Stefcia nie odpowiedziała. Patrzyła na wodę i na białe kielichy nenufarów, wychylone z talerzastych grubych liści. Sięgnęła po jeden kwiat, lecz pływał za daleko. Waldemar w milczeniu zahaczył go wiosłem i przysunął do jej ręki.

Zerwała dziękując mu uśmiechem.

On patrzył na nią, na jej rumieniec, na sinawe cienie, jakie rzucały na twarz ogromne rzęsy, i myślał:

– Czyś ty ów kwiat owiany nimbem wśród powodzi innych? Moja brutalność ginie wobec uroku twych aksamitnych oczu... A jednak walczyć będę z twym opancerzeniem i złamię je.

Zobaczył kępkę nenufarów i skierował tam łódkę. On wiosłem przysunął kwiaty, Stefcia rwała, rzucając je Luci. Ale dziewczynkę pochłaniała rozmowa z Prątnickim. Opowiadał jej o świeżo czytanej powieści. Stefcia, dosłyszawszy kilka zdań, spojrzała znacząco na Waldemara.

44

– Wracajmy – rzekła cicho.

– Dlaczego? Teraz po zachodzie słońca najprzyjemniej.

– Ale już prawie ciemno.

– Jeszcze trochę...

Nagle wypowiedziane głośniejszym głosem słowa Edmunda zastanowiły go. Spojrzał na Lucię, potem na Stefcię. Ona szepnęła:

– Wracajmy.

Skinął głową i zaczął zawracać łódkę, ale Prątnicki wstrzymał ster.

– Panie ordynacie, wracamy?

– Wracamy!

– Już?

– Tak.

Stefcia uśmiechnęła się z intonacji głosu obydwóch.

– Taki ładny wieczór – zaproponowała Lucia.

– Już późno – rzekła Stefcia – mama będzie o ciebie niespokojna.

– Eee! to tylko pani chce wracać. Moglibyśmy jeszcze popływać...

– Panna Stefania ma pierwszy głos – rzekł sucho Waldemar. Lucia umilkła, natomiast Prątnicki rzekł z ironią:

– Pannie Stefanii zapewne zimno. Szkoda, że pani nie wzięła szala.

Waldemar utkwiał w nim oczy, usta mu zadrżały gniewem, ale Stefcia powstrzymała go błagającym wzrokiem. Rzekł więc tylko:

– Zamiast uwag, niech pan lepiej steruje. Łódka się ciągle krzywi. Prątnicki poczerwieniał.

W milczeniu dojechali do brzegu, gdzie oczekiwała pani Idalia z panem Ksawerym.

Księżyc oświetlał głębiny parku, błyszczał na wodzie srebrną siatką, ruchomą i mieniącą. Róże pachniały, nisko w krzakach świeciły robaczki świętojańskie. Wieczór, zalany falą ciepła, usposabiał marząco.

Znad jeziora buchnął chór żabi. Wysokie białe lilie na trawnikach i żółte irysy wyglądały niby dziewice w rzymskich tunikach, przechadzające się wśród cyprysów, do których w ciemnym wieczornym podobne były tuje. Oświetlony pałac mrugał rzędami okien, odbicia światła stały się na kamiennej posadzce tarasu ognistą smugą, srebrzyły rozkwitłe róże, drgały na listkach caprifolium, zapuszczały iskierki w głąb cienistej alei, jakby przywołując idących. Jasną suknię Stefci pokryły błyszczące plamki, na włosach igrały złote nitki. Waldemar szedł na końcu, mnąc w rękę żółtą różę, patrzył na jasną postać dziewczyny, z zagadką w swej upartej duszy.

– Czym ta dziewczyna mię porywa? To ogień w kielichu białej lilii – powtórzył w myśli dawne porównanie.

Po kolacji, gdy się wszyscy rozeszli, Waldemar chodził w parku otoczony psami, które łąsiły się do niego szczekając wesoło. Ordynat obszedł aleje, błędził nad jeziorem, podchodził do pałacu, patrząc na światelko w oknie Stefci, przyćmione firanką.

– Co ona robi? – myślał – czy rachunek sumienia, czy prosi Boga o zachowanie swej cnoty... czy rozmyśla o naszej rozmowie?... W ogóle czy ona przeczuwa niebezpieczeństwo? Czy jest świadoma mych pragnień?...

Ordynat wznosił ramionami i szedł dalej. Dymek z cygara otaczał go delikatnym obłokiem. W świetle księżycy smukła postać Waldemara migiała na tle trawników nadmiernie wydłużona, cienka. Żwir pod stopami skrzypiał, czasem ordynat cmoknął na psy lub pogłodził którego z nich. Przy bocznym pawilonie zatrzymał się na widok otwartego okna, skąd buchało światło i szedł cichy szept rozmowy. Ponad krzewami spirei spojrzął w okno. Przy małym stoliku siedział Prątnicki z rządcą Kleczem. Grali w karty. Prątnicki bez surduta, w roz-

45

piętej kamizelce, rozparty w krześle, dowodził coś z nadzwyczajną werwą. Miał minę bursza. Waldemar poszedł dalej, mrużąc:

– Bestia! działa mi na nerwy. I te karty! Wprowadza nowe zwyczaje!

Prątnicki zwykle wobec ordynata tracił humor. Odgadywał niechęć do siebie w obu Michorowskich, nie mógł za wiele mówić, nie mógł się chwalić, bo czuł, że to ich razi. Zaprzyjaźnił się z Kleczem, ponieważ wiedział, że mu imponuje. Pochlebiało mu to.

Pewnego dnia, w końcu czerwca, Prątnicki z Kleczem byli na łąkach, gdzie robotnicy kosili trawę. Panowie na linijce pod lasem rozmawiali ze sobą, często wybuchając śmiechem. Edmund palił papierosa i z rękoma w kieszeniach zwracał się do zaciekawionego Klecza z junakierią i minami. Mówił o Stefci:

– Tak, panie! na świecie dużo jest kobiet, ale trzeba umieć wybierać takie, co obok dobrego smaku posiadają jeszcze dobrą przyprawę. To jest grunt. Stefa jest apetyczną, nie przeczę: teraz jakoś zblakowała, ale to esencjonalna dziewczyna!... Lecz cóż z tego? Pływa tylko w dwudziestu tysięcykach. Czyż to dla mnie? Miły Boże! wystarczyłoby mi akurat na dwie podróże za granicę.

– Gdyby tak miała ze sto tysięcyków, co? ha! nie porzuciłby jej pan – zaśmiał się Klecz rubasznie.

Edmund zrobił ustami grymas wyrażający lekceważenie.

– Tak, naturalnie, chociaż powiem panu prawdę, że ona trochę mdła, zanadto cnotliwa. Byłem przecież przez kilka miesięcy prawie narzeczonym, a dalibóg nie udało mi się wziąć całusa ani razu, chociaż umiałem być natarczywy. Nie i nie... Ona nie ma temperamentu, ta dziewczyna.

– Ja bym sądził inaczej. Panna Stefania ma bardzo żywą fizjonomię, wygląda na ognistą kobietę. Może pan nie umiał jej zająć, bo z kobietą to panie tak, jak z narowistym koniem, trzeba umieć obchodzić się.

Wybuchnęli śmiechem.

– Przecież szalała za mną – mówił dalej praktykant. – Już ja potrafię krzesać iskry, to moja specjalność. Zobacz pan, ona za męża nieprędko wyjdzie – jeśli w ogóle wyjdzie. Chyba ożeni się z nią jakiś świętoszek albo facet, dla którego jej posag będzie stanowić sumę. Ona, choć ładna, porwać nie potrafi. Mówię panu, że cnotliwa do obrzydliwości. A to ważny defekt w kobiecie. Z niej nikt nic nie wydobędzie. Klecz uśmiechnął się chytrze.

– E! tak źle nie jest. Panu się nie udało, ale naszemu ordynatowi pewnie się poszczęści...

Prątnicki szeroko otworzył oczy.

– No! pan tak myśli na serio? Ordynat ożeniłby się z nią? Co znowu! Klecz parsknął śmiechem.

– Ożenić się!... Co panu w głowie? ordynat z nauczycielką! Także myśl! On, o którego księżniczki się ubiegają... Ale zbałamucić może i potrafi. Jemu się ona nie oprze, choć pan dowodzi, że zimna.

Praktykant zamyślił się.

– A wie pan co? – rzekł po chwili – że mnie to już do głowy przychodziło. On jakoś za grzecznego dla niej i zawsze jej broni.

– Broni?...

– No tak. Ja czasem żartuję z niej. On kilka razy wzięł jej stronę nawet dość szorstko, niedelikatnie.

Kleczył spojrzał na Edmunda spod oka i mruknął:

– Pewnie dał ci dobrą naukę...

– Co pan mówi?

– Ech! nic. Mówię, że on to potrafi. Prątnicki kręcił głową.

46

– No, no! gdyby ta cnotliwa, skromna Stefcia została kochanką ordynata, ot, śmiałybym się...

– Cieszyłby się pan, co?

– Cieszyłbym się naprawdę. Nawet bym nie żałował, że to mnie nie spotkało.

– Podlec! – mruknął rządca.

To samo słowo padło na wąskiej ścieżynce leśnej wyrzucone przez wściekłe usta Waldemara. Konno stał tam od kilku minut i wysłuchiwał rozmowy. Jadąc po piaszczystej drożynicy wśród gęstych krzewów leszczyny i młodych sosen, usłyszał głośny śmiech. Przez gąszcz dojrzał kontury linijki i głowę konia, skubiącego trawę. Nagle wpadło mu do uszu imię Stefcii, wymówione przez Prątnickiego ze śmiechem i z jakimś cynicznym dodatkiem. Zatrzymał się, a że w naturze panowała cisza, bo z oddalonych łąk gwar dochodził słabo, więc każde słowo praktykanta, przefiltrowane przez liście drzew, w akustyce leśnej padało wyraźnie. Słuchając ordynat zaciskał zęby, gniótł w rękę pejcze, jakby ją chciał połamać na grzbiecie Prątnickiego. Gdy Edmund mówił o swych nieudanych próbach ze Stefcją, Waldemar posunął konia, chcąc przerwać dalszy ciąg, ale usłyszał mowę o sobie i stanął.

Miał wygląd złowrogi ze zmarszczonymi brwiami i zimną stałą w oczach. Nozdrza jego rozdziły się, poruszone gniewem. Oburzyły go ostatnie słowa Edmunda. Trącił konia ostrogią, zdecydowany wymówić miejsce Prątnickiemu i Kleczowi za ich złośliwe uwagi, ale się opamiętał. Jakiś głos wewnętrzny wstrzymał go szeptem: „Oni mają słuszość, do tego dążysz”...

Ordynat ściągnął konia munsztukiem, aż Apollo osiadł na zadzie, wznosząc przednie kopyta w górę. Skręcił na miejscu i wolno pojechał w głąb lasu, wzburzony, ciskając przez zęby przekleństwa. Nie mógł się pozbyć myśli, że Klecz odgadł jego zamiary. To wprowadzało go w szalony gniew. Duma magnacka burzyła w nim krew. Jego własny rządca zna go dobrze, na pewno twierdzi, że mu się Stefcia nie oprze... ta dziewczyna świeża i czysta jak woda kryniczna... On nie ominie takiej sposobności, pragnie nasycić się krasą Stefcii?...

Ordynat zaciął wargi.

– Odgadł mnie. Ja istotnie chcę ją mieć. To nieprawda, co Prątnicki o niej dowodzi, że nie ma temperamentu. Dziewczyna jak iskra, przy tym jakaż ponętna! Jest dumna i ambitna, lecz to nie zmniejsza jej uroku – przeciwnie, podwaja go...

Waldemar pomimo gniewu czuł radość, że Edmund nazwał Stefcie cnotliwą „do obrzydliwości”. Prątnicki nie ukryłby nic – przeciwnie, chwaliłby się.

– Nie kochała go prawdziwie – pomyślał Waldemar – gdyż inaczej... To esencjonalna dziewczyna, w tym Prątnicki ma słuszość... A gdybym ja miał większe szanse?...

Wzdrygnął się. To samo mówił Klecz.

– Podły jestem – rzekł Waldemar sam do siebie i popędził cwałem.

Las skończył się, smukłe sosny przeświecały łąką. Gdzieniedzie stały pojedyncze, otoczone kępami jałowca, wreszcie i one znikły. Przed ordynatem leżała wilgotna, bujna łąka. Z daleka

widniał rząd kosiarzy w białych koszulach, kosy w słońcu migają jak złote. Koń zwolnił, zniżył głowę, chcąc skubać soczyste źdźbła, lecz munsztuk utrzymywał go w obowiązującej postawie dobrego wierzchowca. Waldemar jechał zamyślony. Nagle podniósł brwi, uderzył szpicróżgą po sztylpach butów; roześmiał się i zaczął w myśli monologować:

– Ja mogę mieć względem niej zamiary, jakie mi się podoba. Cóż mię ona obowiązuje? Spotykam na drodze jedną więcej istotę, którą warto zdobyć, i koniec. Czy mi się uda... to kwestia! Wszystko zależy od miary jej temperamentu. Jestem lekkomyślny... no, jestem łotr, ale Prątnicki to ostatni szubrawiec. Cieszyć się, że ktoś zbałamuci osobę, którą się kochało, to jest podłość i nikczemność w wysokim stopniu, to godne tylko takiego cymbała jak Prątnicki! Jednak ja się z nim muszę rozstać. Psuje mi krew... I ta przyjaźń z Kleczem...  
– A jeśli Stefcia kocha go jeszcze? – szepnął mu jakiś głos.

47

du.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Więc niech nawet szaleje. Cóż mię to obchodzi? Tym dowiodłaby, że niewarta zach-

Spiął konia ostrogami i pomknął jak wichur przez trawy, niby jakiś potężny ptak pędzący za zdobyczą. Okrążył lasek, chcąc pokazać się Kleczowi i Edmundowi.

Opanowała go wesołość. Był pewny, że przy nim Prątnicki nikt nie w oczach Stefci, że on robi na niej wrażenie, zatem on posiada tysiące widoków, jakich nie ma tamten.

Minął zakręt lasku i o sto kroków przed sobą ujrzał linijkę. Odwrócił głowę udając, że nikogo nie widzi, i ostrym klusem jechał środkiem łąki wprost do robotników.

– O czym oni jeszcze rozprawiają? Chciałbym wiedzieć – szepnął z irytacją. – Może ten osioł rozmyślił się i uważa, że Stefcie warto zachować dla siebie. No, z takim durniem współzawodniczyć nie będę. To by było więcej niż śmieszne.

Zbliżając się do robotników, zwolnił i z żakowską radością patrzył na pędzącą prawie galopem spod lasu linijkę.

– Będą mi się tłumaczyć, że byli z tamtej strony lasu – mruknął ironicznie i cieszył się na myśl, jakie zrobią miny, skoro im powie, że właśnie stamtąd wraca.

Lipcowy wieczór zapadł cichy i senny.

Ostatnie krwiste obłoki ciemniały, otulając naturę szarą gazą zmierzchu; w mroku tonęły drzewa parku, zaledwo wierzchołki złociły się jeszcze odblaskiem zachodu, jakby słońce rzucało ziemi pożegnanie.

Zanikły barwne kobierce kwiatów, słabo rysowały się trawniki, tylko czarne kontury świerków na klombach i białe posągi widniały wyraźnie. Lecz smutna pomroka nie trwała długo; nagle zadrgały na listkach drzew matowe blaski, ożywiły się posągi, raźniej strzeliły w górę tuje i piramidalne świerki.

Trwające przed chwilą cienie, spędzone światłem, skupiły się w pojedyncze grupy, gdzieś tworząc czarne głębie i plamy, w innych miejscach ścieląc się delikatnym rysunkiem, jak cudnie tkane koronki. Niewyraźny, zmacony park stanął w srebrzystej szacie z lamy i lśnił, migotał listkami brzoź, z których szło najczęściej błyszczących ogniwek. Jakby czarami świat powołany został do życia, ale mistycznego, pełnego snów.

Wszedł księżyc, odwieczny sprzymierzeniec ideałów, powiernik najtajniejszych wrażeń, przyjaciel poetów i lunatyków. Na granatowym tle nieba, wśród mozaiki obłoczków jak w kłębach dymów, płynął niby wielki elektryczny lampion, tylko stokroć świetlistszy, promienny, a nade wszystko niedościgniony. Zapalał na swym szlaku gwiazdy, oświecał mleczną drogę, na ziemię ciskał miliardy spojrzeń brylantowych, wkradał się nimi w każdy zakątek, odnajdując znane już sobie lub nowe tajniki.



Stefcia siedziała przy oknie i z głową opartą na dłoni wlepiła oczy w oświetlone niebo, zamyślona i tęskna. Dzień ten przeszedł dla niej niewesoło. Widziała Lucię rozmarzoną i to ją dręczyło.

W postępowaniu Prątnickiego zauważyła wiele szczegółów dla niego niepochlebnych, dla Luci zgubnych.

Dziewczynka była pod jego urokiem, każde jego spojrzenie, słowo działało na nią zabójczo. Edmundowi Stefcia nie ufała, przeczuwając, że Luci nie kocha, że mu chodzi jedynie o zdobycie bogatej dziedziczki. Nie dostrzegła w nim ani połowy tego zapału, z jakim dawniej starał się o jej względy. I ogarniał ją niepokój, pomimo wszystko żałowała Edmunda, będąc pewną, że czeka go zawód. Duma pani Idalii nie pozwalała się łudzić.

Chwilami żal Stefci skierowywał się głównie na Lucię. Ją czekało rozczarowanie podwójne: ze strony matki i boleśniejsze ze strony Edmunda.

– Daj Boże, aby to był szal, złuda, która przeminie, pozostawiając po sobie trochę goryczy, bez głębszych śladów – myślała pocziwa dziewczyna. – Gdybym ja mogła wiedzieć na pewno – szepnęła strapiiona.

W rozmyślania jej wplatały się nieuchwytnie marzenia. Było jej dobrze i źle, dziwne połączenie uczuć! Fizycznie odczuwała spokój i bogaty dobrobyt razem z poezją czarownicy, ale duch jej leciał wyżej. Błądził w obłokach utopij i z nerwowym niepokojem szarpał się, spadając w szarą rzeczywistość. Miała złudzenie, że posiada skrzydła u ramion, lecz że przybito je dużymi ćwiekami do jakiejś zapory i ta trzyma ją bez ratunku. Stefcia chce lecieć w przestworza i czuje, że słabnie, że jej braknie sił; ćwieki tkwią w skrzydłach, ciężą jej, hamują lot. Majaczyła, a księżyc oświecał jej bladą twarz, gładził włosy i zdawał się ją pieścić, jakby wszystkie swe ognie na nią jedną skierował, skupiając mistyczne spojrzenia. Stary oszust! Ile on w tej chwili widział takich okien i rozmarzonych głów dziewczęcych, ile pieścił twarzy, jak przeróżnie gładził włosy. A na każdą głowę siał obficie iskry, rzucał kaskady świetlanych uczuć. Miał ich zapas nie lada, żył przecie wieki.

49

Stefcia, pogrążona w zadumie, nagle drgnęła i obejrzała się z lękiem. Drzwi skrzypnęły i na progu stanęła Lucia w nocnym kaftaniku, z rozpuszczonymi włosami. Oczy miała otwarte szeroko i niepokój w twarzy.

Zanim nauczycielka spytała, dlaczego nie śpi, dziewczynka prędko podbiegła do niej i ręce zarzuciła jej na szyję, twarz rozpaloną przytuliła do jej twarzy i zaczęła szeptać:

– Ja przeczułam, że pani nie śpi, i przyszłam, bo i ja zasnąć nie mogę... tak mię coś dręczy... i tak mi smutno...

Odjęła ręce od szyi Stefci i robiąc nimi jakieś ruchy na wysokości twarzy, zawołała z trwogą:

– Ot, tak coś mi stoi przed oczyma!

Po czym przytuliła się zaraz i spytała cichutko:

– Panno Steniu, dlaczego ty nie śpisz? Dlaczego tak siedzisz przy księżycu? Czy i ty tak-że?... Jeszcze?...

Stefcia drgnęła, żal błysnął w jej oczach.

– Co chcesz powiedzieć, Luciu?

– Czy pani kocha jeszcze pana Edmunda? – wypowiedziała jednym tchem dziewczynka.

– Prątnickiego!... Dlaczego pytasz o to?

– Pani tak gniewnie wymówiła jego nazwisko.

– Nie odpowiadasz na moje pytania, Luciu.

– Bo ja chcę najpierw wiedzieć, czy pani go kocha. Panno Steniu, powiedz, proszę. Patrzała jej w oczy z błaganiem. Stefci ścisnęło się serce.

– Nie kocham – odparła szybko.

Dziewczynka wstrzymała oddech w piersi, nieufność odbiła się w jej oczach. Spytała jeszcze natarczywiej:

– Nie kochasz? Naprawdę? Ale kochałaś, ja wiem.

– Łudziłam się – odrzekła Stefcia szczerze. Lucia położyła jej głowę na ramieniu.

– Ja się nie łudzę...

– Ty, Luciu?

– Tak, ja kocham pana Edmunda.

Zapanowało milczenie. Lucia ukryła twarz na piersiach swej przewodniczki i przestała oddychać, jakby chcąc usłyszeć, co ona myśli. W tej główce dziewczęcej chwila ta wydawała się tragiczną. Wszystkie wrażenia, zaczerpnięte z powieści francuskich, otwarcie i ukradkiem czytanych, skryzalizowały się w jej pojęciu, przedstawiając obecną chwilę czymś rozpaczliwym, prawie rujnującym świat.

Z drżeniem serca czekała, co powie Stefcia. Może teraz, kiedy wie wszystko, przyzna się, że Edmunda kocha i że on do niej należy.

– Ja bym umarła – myślało zrozpaczone dziewczątko.

Stefcia starała się uspokoić zbłąkaną, ale żal ją ogarniał, że ten sam człowiek, który przed kilku miesiącami ją zahipnotyzował, znalazł nową ofiarę.

Może także tylko do chwili, kiedy cała jego wartość okaże się jedynie w piękności zewnętrznej.

50

X

Była niedziela. Po śniadaniu pani Elzonowska zamknęła się u siebie. Lucię zabrał pan Maciej, który lubił czasami pogwarzyć z wnuczką lub coś jej przeczytać ze starych ksiąg. Stefcia usiadła do fortepianu. W odosobnionym salonie grała swobodnie. Różnorodność wrażeń przebiegała w muzyce wyraźnie.

Wtem drzwi szarpnięto gwałtownie. Wpadł do salonu Prątnicki. Stanął i rozglądając się dokoła, zapytał zdziwiony:

– Gdzie jest panna Lucyna?

A widząc, że Stefcia nic mu nie odpowiada, wprost do niej skierował powtórne pytanie:

– Gdzież jest panna Lucyna?

– U dziadka – odparła chłodno zapytana.

Prątnicki strzepnął palcami w sposób przypominający karcznię i zawołał:

– A to dopiero mamy pecha, no!

Stefcię zastanowiły jego słowa, spojrzała na niego zdziwiona.

On to spostrzegł, włożył ręce w kieszenie i dodał jakby od niechcienia:

– Mieliśmy się tu spotkać z Lucią... hm... z panną Lucyną. No i trzebaż tego dziadka... fatalizm!

Panna Rudecka wstała gwałtownie i rzekła surowym głosem:

– Proszę nie mieszać Luci do swych... pomysłów i zaniechać wyrazu „my”. Bardzo pro-

szę.

Prątnicki zatrzymał się na miejscu.

– Cóż to za ton oratorski? – zawołał szyderczo. – Pani chce odgrywać wobec mnie rolę mentora?

– Powtarzam, że nie pozwolę, aby się pan o Luci tak odzywał, nie pozwolę ze stanowiska jej nauczycielki.

– Proszę!... a cóż to złego mówiłem? że się tu mamy spotkać?... Przed pół rokiem pani była względniejszą, gdy chodziło o siebie.

Pod Stefcia nogi zdrząły. Omal nie upadła. Ale przemogła się, podniosła dumnie głowę i rzekła dobitnie:

– Pan mi to śmie mówić? pan?....

Tyle w niej było powagi, taka siła pewności brzmiała w jej słowach, że Prątnicki zmieształ się. Korzystając z tego, mówiła dalej:

– Po panu mogłam się tego spodziewać, ale to jeden dowód więcej, że mam prawo zabraniać panu mówienia w ten sposób o Luci.

– Nic nie ma pani prawa zabronić mi! – zawołał gwałtownie.

– Owszem, na podstawie własnego doświadczenia – mówiła z pozornym spokojem, choć w niej wrzało.

– Tu nie może być żadnych podstaw i porównań, bo tamto co innego, a to co innego.

– Panie Prątnicki – rzekła poważnie – bądźmy szczerzy. Pan zajmuje się Lucią... ale czy pan obliczył następstwa?

– A cóż to panią może obchodzić?

– Powinno obchodzić. Lucia jest oddana pod moją opiekę, za jej spokój odpowiedzialną jestem. Zresztą nie tylko traktuję to jako obowiązek, dbam o nią z własnego przywiązania.

– Nie zjem jej przecież – bąknął Prątnicki.

– Wyraża się pan dość... trywialnie. Ale mniejsza o to. Nie chcę, aby pan zakłócał spokój Luci i mącił pogodę jej myśli.

– Za to pani wyraża się kwieciście! – wybuchnął ze śmiechem. Zagryzła wargi i poczerwieniła mocniej.

51

– Proszę, niech mi pan odpowie jeszcze słowo. Czy pan mówił Luci?...

– O czym?

– O swych uczuciach względem niej.

Edmund parsknął krótkim rubasznym śmiechem, w którym jego cynizm ujawnił się w całej pełni. Ale ten śmiech otrzeźwił go natychmiast; odwrócił się zmieszany i zbity z tropu. Czuł, że się zdradził, złość go porwała na Stefcia, kłął w duszy ją i siebie.

Stefcia zbladła. W śmiechu jego odezwała się taka ironia, taki bezwstyd, że nie można było łudzić się. Jego nagłe zamilknięcie dowodziło, że i jemu wybuch ten wydał się zbyt przeźrocystym.

– Och! jakież niski człowiek! – myślała.

Prątnicki podszedł do niej tak blisko, że musiała się cofnąć, i rzekł zdławionym głosem:

– Przed panią zwierzać się nie będę. Proszę mię nie męczyć pytaniami.

– Ja już nic więcej wiedzieć nie chcę. Niech się pan usunie.

– A jeśli pani chce bruździć między mną a panną Lucyną – mówił rozgorączkowany, zastępując jej drogę – to ja potrafię się zdobyć na odwet...

– Doprawdy?!... Nie wiedziałam...

– To się pani dowie! – wybuchnął.

Krew jej uderzyła do głowy. Mierząc go sztywnym wzrokiem, rzekła chłodno:

– O! proszę! niech się pan nie zapomina!

– Czy ja kocham pannę Lucynę, czy nie, nikomu nic do tego. Ostrzegam!

– Mnie o pana nie chodzi, tylko o Lucię.

– Żeby się nie zakochała we mnie? Cóż pani ma przeciwko temu?

– Pan pyta?...

Prątnicki spojrział uważnie na Stefcie. Wydała mu się śliczną w gniewie. Przysunął się i usiłował wziąć ją za rękę.

– Zazdrość przez ciebie przemawia – szepnął – ty mnie jeszcze kochasz.

Panna Rudecka odskoczyła gwałtownie. Uczuła lód we krwi. Gniew i pogarda rozsadzały jej piersi. Wyrzuciła z siebie ze wstrętem:

– O głupoto!... bezczelna głupoto!

– Jak pani śmie!... jak pani śmie! – krzyknął czerwony z gniewu.

– Niech pan wychodzi natychmiast!... Proszę! – wołała Stefcia wskazując drzwi.

Za oknami rozległ się suchy trzask motoru. Prątnicki spojrział w okno. Przed gankiem stał pąsowy samochód z Głębowicz, błyszczący lakierami. Wysiadł z niego Waldemar, oddając korbę palaczowi.

– Niech pan wyjdzie natychmiast! – powtórzyła rozgorączkowana Stefcia, nic nie słysząc.

Ale Edmund już sam ruszył do drzwi, gotowy do prędkiego wyjścia. Na progu stanął, zaśmiał się szyderczo i syknął zjadliwie:

– Odchodzę, odchodzę! przyjechał obrońca... Jego radzę przyjąć łaskawiej... Życzę powodzenia!...

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Stefcia upadła na krzesło wyczerpana, oddychając mocno. Ścisnęła dłońmi skronie i wybuchnęła płaczem. Niepowstrzymane łzy gradem płynęły z jej oczu.

Wtem zerwała się, wybiegła z salonu, dążąc do siebie. Usłyszała w korytarzu głos ordynata.

52

XI

łzy.

Obiad przeszedł ponuro.

Stefcia miała wypieki na twarzy i ciemne obwódki pod oczyma, zdradzające niedawne

Lucia rzucała wzrokiem w stronę matki, uparcie milcząc. Pan Maciej był niespokojny. Waldemar groźny. Tylko pani Idalia, mniej sztywna niż zwykle, rozmawiała z Prątnickim o czymś zabawnym, co jednak nikogo, nie wyłączając jej samej, nie bawiło.

Edmund udawał wesołość, krztusił się własnymi dowcipami, ale widząc ogólny nastrój siedział jak złapany. Nawet służba odczuwała chmurne usposobienie państwa: kamerdyner usługiwał prawie bez szelestu, chodząc na palcach; młodszy lokaj, wnosząc półmiski, nie otwierał drzwi, ale je uchylał delikatnie.

Wszyscy doznali ulgi, gdy powstano od stołu. Pani Elzonowska z Lucią pojechały do Szal. Stefcia nigdy tam nie jeździła, odgadując, że hrabina Ćwilecka jej nie lubi.

Razem z paniami pojechał konno Waldemar oglądać folwarki. W pałacu słodkowskim zapanowała względna cisza. Na blaszanym dachu gruchały gołębie, z klombów dochodziły krzykliwe rozmowy turkawek, brodzące po trawnikach pawie odzywały się charakterystycznym wrzaskiem.

Stefcia, zamknięta w swym pokoiku, usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

– Proszę.

Wszedł kamerdyner Jacenty.

– Jaśnie pan starszy prosi panienkę do różanej altany, jeśli to panience nie robi różnicy. Stefcia doznała miłego uczucia.

– Proszę powiedzieć panu, że idę natychmiast.

Z przyjemnością myślała o spędzeniu nudnego popołudnia w towarzystwie staruszka.

W altanie pan Maciej siedział na ławce, mając nogi okryte skórą tygrysią. Był zamyślony i ponury. Na widok Stefci twarz mu się rozjaśniła. Wskazując jej ławkę obok siebie, rzekł z miłym uśmiechem:

– Siądź tu, moje dziecko. Przepraszam, żem cię wzywał. Chciałem z tobą trochę pomóc. Może nie chcesz?... Jestem stary nudziarz – co?

Pan Maciej mówił do wszystkich po imieniu; Stefcię prawie zawsze tak nazywał.

– Ależ, proszę pana, z największą przyjemnością – odrzekła dziewczyna siadając.

Staruszek podniósł blade oczy w górę i wpatrzył się w zieloną siatkę listków różanych na tle błękitnego nieba.

Jakieś wspomnienia z dawnych lat spływały na niego, nadając jego starym oczom dziwną rzewność i cień smutku. Chwilę siedział milczący, przeniesiony w inne czasy. Wreszcie zaczął mówić głosem spokojnym często przerywając:

– Nic się świat nie zmienia, nic. Zawsze jest młody i pełen życia... Tylko ludzie na nim więdną, rozpadają się w popiół, a na ich miejscu wyrastają nowi, ci najmłodszy, by z czasem także spowieć. I dziwna rzecz, moje dziecko, że my, starzy, już zmęczeni życiem, pragnący spoczynku, nie narzekamy jednak na świat. To życie sterało nas, a pozostało miłym. Narzekają młodzi. Zły objaw!... Czy to wpływ ogólnej newrozy, czy wyższego kultu umysłów, czy też, przeciwnie, skarłowacenia mózgow? Patrzą z pogardą na wszystko, co ich otacza, dążąc do czegoś niezmiernego. Lecz najprędzej to wpływ zdolności analitycznych. Więc postęp. Myśmy tego nie zaznali w tym stopniu, żeby nam życie zmarniało. My mieliśmy żywą wiarę. Dziś i to blednie, dziś więcej mamy filozofów, analizujących istotę Boga, więcej ateuszów niż ludzi głęboko wierzących. A to źle! To grunt, z którego wyrasta tyle nieszczęścia wśród ludzi.

53

Pan Maciej umilkł i zamyślony patrzył przed siebie, odszukując w owych wspomnieniach młode lata, pełne zapału, wiary, tak różne od dzisiejszej apatii. Stefcia, patrząc na staruszka, odgadywała jego myśli i z ciekawością pytała siebie, jaką była historia tego starca?...

On ją mówił dalej:

– Zmienił się świat. Nie jesteśmy jaskiniowcami. Ludzie wznoszą się bajecznie ponad czasy antydyluwialne, muszą baczniej spoglądać dokoła siebie! I każda rzecz budzi ich wątpliwość, nie wystarcza im istota rzeczy, chcą atomów, znajdują je i rozczarowują się. Chcą wieczności w życiu, ale na powstawaniu i zaniku świat stoi. Każdy kwiat zwiędnąć musi, to trudno! – lecz żyjąc umiła nam niejedną chwilę. Teraźniejszym ludziom to nie wystarcza, oni chcą analizy nawet w szczęściu. A przecież ten sam kwiat, rozdrobniony na cząsteczki, jest garstką śmiecia; przekonają się o tym, rozczarują, chcą znowu złożyć na nowo, ale złożą nędznie, więc najczęściej rzucają... I tak jest ze wszystkim. Starzec westchnął żałośnie i poruszył głowę.

- Tak jest i z religią dzisiejszą. Nach Canossa gehen wir nicht!<sup>17</sup> Przerazający prąd alu-  
wialnych objawów, ale zabójczy!...
- Pan Maciej umilkł, spuścił głowę na piersi. Dziewczyna siedziała zamyślona. Po chwili  
podniosła na niego oczy i spytała z żalem:
- Dlaczego pan tak smutnie mówi i młode pokolenie przedstawia w tak złych ramach?
- Nie w złych, dziecko, w nowych.
- Więc pełnych nadziei!
- Gdybyż nie były już spaczone...
- Ale dlaczego?... czym? Zresztą nie wszyscy – mówiła, unosząc się, Stefcia. Pan Maciej  
spojrzał na nią z dobrym uśmiechem.
- Niewiele jest takich zdrojowych kwiatów jak ty, dziecko, niewiele takich krystalicz-  
nych dusz. Jedną taką znałem, ale to już dawno... Może ciebie to razi, co mówię. Ale i ty nie  
jesteś wolną od goryczy życia, i na ciebie padł cień ogólnej epidemii... analizy... Całość zba-  
dałaś w szczegółach i cierpisz, zawiodłaś się. A to nie kwiat, prawda?... łodyga, prosta łody-  
ga... i trochę śmiecia. Tu rozbiór przydał się. Gorzej byłoby, gdyby nastąpił  
poniewczasie. Gdyby tak los sprzyjał wszystkim zawsze w porę, byłoby mniej niedoli na ziemi.
- O czym pan mówi? – szepnęła Stefania z dreszczem trwogi. Zagadnięty spojrzał na nią  
badawczo.
- Czy nie szczerza, czy głupia? – pomyślał.
- Moje dziecko, powtarzam, że może ci to niepotrzebnie mówię. Widzę, że mię nie ro-  
zumiesz.
- Ależ owszem, już rozumiem, tylko...
- Tylko co?
- Boję się... czy pan mnie rozumie. Uśmiech błysnął na ustach staruszka.
- Przepraszam pana – rzekła cicho dziewczyna, nie chcąc go dotknąć.
- Nic nie szkodzi, moje dziecko, ale zaraz musisz mi się tłumaczyć. Widzisz, jestem sta-  
rym człowiekiem, lecz mam dobre oczy i bardzo jeszcze świeżą wrażliwość. Zwłaszcza jeśli kto jest  
mi sympatycznym, odczuwam każdą przykrość czy też przyjemność, jakiej on do-  
znaje. Otóż w tobie zauważyłem wielką zmianę... domyślasz się zapewne. Widzę, że cię to męczy,  
nawet szkodzi twemu zdrowiu. I ty doznałaś zawodu, analizując. Przekonałaś się, że  
on niewart twych myśli, że to nie brylant, ale prosty pomalowany kamyk, prawda?
- Tak, panie – odrzekła wzruszona – ale przyczyną tego nie jest moja własna analiza, lecz  
okoliczności. W owych czasach brałam go, jakim był, wierząc, że jest właśnie brylantem.
- W jakich czasach? – spytał staruszek z naciskiem.

17 Nach Canossa gehen wir nicht! (niem.) – Nie pójdziemy do Canossy!

54

- W czasach, kiedy kochałam się w nim. To był dziecinny szal.
- A teraz już minął?
- Jest mi najzupełniej obojętny.
- Czy jesteś szczerą ze mną, moje dziecko? – W głosie pana Macieja czuć było nieuf-  
ność.
- Nie byłabym szczerzą z rodzonym ojcem.
- Starzec wziął jej rękę i przysunął do siebie, a gdy ona ze złością pochyliła mu się do ra-  
mienia, pocałował ją w głowę.
- Wdzięczna za ten objaw życzliwości, Stefcia gorąco ucałowała raz jeszcze ramię pana  
Macieja.
- A on zaczął wesoło zręczyć:
- No i patrzcie! Ta panienska wyprowadziła mnie starego w pole, gdyż byłem przekonany,  
że dawne czasy, o jakich mówiłaś, istnieją jeszcze; że poznajesz go lepiej i cierpisz nad tym,

że ideał zaczyna się zacierać i przybiera formy bardzo pospolite. A ty traktujesz go na zimno. Ale czemuż jesteś tak zmienioną, niespokojną, nieledwie mógłbym powiedzieć, że wyglądasz, jakbyś się czego obawiała.

Zagadnięta tak obcesowo, zawahała się, czy powiedzieć o Luci. Starzec dopomógł jej, bo rzekł znowu:

– A zwłaszcza od paru dni jesteś nieswoja. Dziś nawet płakałaś. I Lucia jakaś dziwna. Bardzo mię to zastanawia. A ty nie domyślasz się powodu? Bądź szczerą.

Stefcia postanowiła powiedzieć wszystko.

– Owszem, wiem na pewno, co gnębi Lucię. To samo i mnie doprowadza do rozpacz. Wiem od samej Luci, zwierzyła mi się... Właściwie nie powinnam zdradzać...

– Przede mną możesz i powinnaś. Lucia to jeszcze dziecko, trzeba wiedzieć wszystko, co ona myśli, a zwłaszcza co ją męczy. Więc?

– Lucia jest pod wpływem Prątnickiego.

– Po prostu kocha się w nim – poprawił pan Maciej. – Domyślałem się tego. To źle, za wczesny wiek... i za marny przedmiot miłości... Ale może ci przykrość sprawiam? – dodał, ujrawszy bladość Stefci.

– Przykro mi ze względu na Lucię. Czeka ją coś podobnego, co i mnie spotkało. Pan Maciej pomyślał chwilę.

– Tak, po Luci ja poznałem to samo, nawet dziś, gdy była u mnie. Biedna dziewczynina! Oto dzisiejsze pokolenie, paczone od dziecka i w szesnastu latach już pełne goryczy. Lucia zdaje się odgadywać wiele rzeczy. Jej zgnębienie aż nadto jasno o tym świadczy. Ale o nim nic nie wiesz? Bo on wyraźnie zabiega o nią. Ale co ci jest?...

Stefcia spuściła oczy. Wielka przykrość odbiła się na jej twarzy. Nie uszło to oka pana Macieja.

– Czy wiesz co o nim? – powtórzył natarczywie.

– Zdaje mi się, że tak.

– Więc jego zamiary względem Luci...

– Niczym się nie różni od tych, jakie miał niegdyś względem mnie.

– Naturalnie! – rzekł starzec i machnął ręką. – Jemu chodzi o posąg.

Zwiesił głowę na piersi i przymknął oczy. Wyszukiwał już w starym mózgu rady na uchronienie wnuczki od zmarnowania pierwszych, wiośnianych uczuć.

– Ja panu opowiem rozmowę moją z Prątnickim – rzekła Stefcia gorączkowo. – Pan sam osądzi. Może ja źle zrozumiałam.

Pan Maciej podniósł głowę.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

– Tak wypadkowo.

55

Powtórzyła całą scenę z Prątnickim aż do przyjazdu ordynata. Podczas opowiadania mie- niła się na twarzy, oczy jej zachodziły łzami, to znów sypały iskry oburzenia. Pan Maciej słu- chał uważnie.

– Jaka podobna do tamtej... – szepnął do siebie parę razy. Gdy skończyła, ozwał się: – Zrozumiałaś go dobrze, moje dziecko. Niechący wypowiedział się wyraźnie. Ale jakież było zakończenie waszej rozmowy? Musiał coś więcej powiedzieć nad to, co powtórzyłaś. Praw- da?

– On delikatnością się nie odznacza – odrzekła wymijająco.

– Domyślałam się. Zapewne powiedział ci coś przykrego wychodząc, kiedy zobaczył Wal- demara przed oknami. Czy tak?

Wymowne milczenie dziewczyny było potwierdzeniem domysłu pana Macieja.

– Bezczelny! – szepnął z oburzeniem.

W ogrodzie zaskrzypiał żwir pod prędkimi krokami. Do altany wszedł Waldemar, ubrany jak do konnej jazdy. Stał trochę zdziwiony na widok dziadka ze Stefcia, zdjął kapelusz i zawołał z humorem:

– Honny soit qui maly pense!<sup>18</sup>

Po zamienieniu kilku słów z żartobliwie nastrojonym ordynatem Stefcia pożegnała panów, wracając do siebie. Chciała uspokoić się. Pan Maciej pozostał w altanie z Waldemarem.

18 Honny soit qui maly pense! (fr.) – Hańba temu, kto o tym źle pomyśli!



## XII

Słońce służyło ku zachodowi, gdy pan Maciej, prowadzony przez Waldemara, powracał do pałacu.

Klasycznie wyglądała para tych ludzi. Znać było na nich ten sam styl, ale w szczegółach i formie różnice występowały znamienne.

Dziadek przypominał starego orła, patriarchę rodu, zmęczonego lotem życia, o skrzydłach już zwiniętych, może nawet połamanych. Typ patrycjuszowski minionej epoki, tradycyjnie zachowanej i bardzo szanowanej. Wnuk, to młody orzeł, spadkobierca rodzinnego berła i starego gniazda, pełen życia i siły, z rozwiniętymi szeroko skrzydłami i bujnym lotem młodzieńczym. Tradycyjny potomek rodu, patrycjusz wyjęty niby żywcem ze starych pergaminów z życiorysami pradziadów lub z odwiecznych portretów ich dostojnych postaci, ale już odarty z pleśni wieków, udoskonalony przez mistrza postępu. Ten sam, co powyższy typ, ale w odmłodzeniu, orzeł tej samej skały, lecz z bystrzejszym wzrokiem, obejmującym obszerniejsze horyzonty. W starej, karmazynowej krwi miał świeże krople, produkt odmiennych prądów nowego wieku, posiadał ustrój nerwowy słabszy od dawnych pokoleń i zmienione pod wpływem nowoczesnej atmosfery barwy zasad. Nad przodkami górował bystrością umysłu, bogactwem natury i wrażliwością. Jedynie typowa gwałtowność, charakter stanowczy, trochę feudalny, i siła temperamentu nie uległy w nim ogólnej zmianie, chyba w drobnych szczegółach.

Ale tu przyczyną było odmienne tło; zamiast pergaminu zamierzchłych lat tłem nowoczesnym był elegancki welin.

Patrząc na niego, jak prowadził dziadka, widocznie zirytowany, niemal złowrogi, przede wszystkim poznawało się w nim Michorowskiego, potomka tych, którzy w chwilach niezadowolenia wyciągali miecze z pochew, a w chwilach gniewu broczyli je krwią.

Po rozmowie z dziadkiem Waldemar zaledwo zdołał powstrzymać się od gniewu. Gdyby mu było wolno dać folgę oburzeniu, wywołałby gwałtowną burzę w pałacu. Ale zmógł się. Szedł krokiem nerwowym, chwilami przystając, aby dorównać miarowym stąpaniom pana Macieja, i pejczem uderzał gwałtownie po sztylpach butów.

W oczach gniewne błyski mieszały się z zimną ironią, usta krzywił sarkazm, brwi ściałała groźna zawziętość.

Pan Maciej zaniepokoił się.

– Pamiętaj, Waldy, co mi obiecałeś – rzekł patrząc w oczy wnuka. – Gwałtownością narazisz Stefcie. Prątnicki awantury jej nie robi, ale dobrą sławę tej dziewczyny może szarpać. Będzie przekonany, że się tobie poskarżyła, i gotów myśleć Bóg wie co.

– Ależ co znowu! – oburzył się Waldemar. – Przecie potrafię zapanować nad sobą. Zresztą najlepiej będzie, gdy zaraz odjadę.

– To właśnie najgorsze.

– Prawie konieczne. Jestem tak podrażniony, że drobnostka może mię wyprowadzić z równowagi pomimo mej woli. Niech ten... osioł przy kolacji odezwie się do niej z czymś niewłaściwym lub zacznie umizgać się do Luci... nie ręczę za siebie. Wolę go nie widzieć wcale.

– Idalka dziś nie powróci na pewno.

– Wszystko jedno – rzucił zły.

Uderzył szpicrutą po gałęzi, aż grad liści posypał się pod nogi, i cisnął jakieś przekleństwo.

– Co zamierzasz czynić? – spytał pan Maciej.

– Czekać pierwszej sposobności i tego gagatka wyprawić.

– Drażliwa materia. Gdyby był płatny, zapłaciłbyś mu za cały rok skończone, ale tak!...

– Zaproponuję mu przeniesienie się do Głębowicz, lecz w ten sposób, że powinien zrozumieć, czego chcę.

– A jeśli się zgodzi?

– O to jestem spokojny! Zresztą innego sposobu nie widzę, bez narażenia jej... Stefci... Pan Maciej spojrział na niego ukradkiem.

– Jak on się o niej wyraża! – pomyślał.

Wszedłszy do pałacu, Waldemar kazał podawać samochód, sam zaś zeszedł na dół do parterowego salonu, blisko pokoju Stefci. Mrok zapadał szybko, salon ginął w szarych barwach wieczornych, gdzieniegdzie połyskując złoceniami ram i kryształem pajaków.

Ordynat spojrział na zegarek i zadzwonił. Nadbiegł młody pokojowiec.

– Niech tu przyjdzie Jacenty – rzekł Waldemar.

– Światła i pospuszczaj sztory! – rzucił krótko kamerdynerowi. Jacenty spełnił polecenie i chciał odejść.

– Czekaj! – zawołał ordynat. – Idź do panny Stefanii i oświadczyć, że pragnę się pożegnać. Jacenty wyszedł.

Ordynat zaczął chodzić po salonie. Po chwili weszła Stefcia. Na twarzy miała silne rumieńce. Waldemar pospieszył ku niej.

– Chciałem się z panią pożegnać. Zaraz jadę.

– Jak to? Nie zaczeka pan na kolację?

– Nie, pani, spieszę do domu.

– Otrzymał pan jaką złą wiadomość?

– Dlaczego pani o to pyta?

– Bo widzę, że pan zirytowany.

– Ach tak! pani to zauważyła? Jestem nawet wściekle zły, lecz nie z powodu wieści z Głębowicz. Rozmawiałem z dziadkiem, opowiedział mi wszystko...

Mgła przesłoniła oczy dziewczyny. Niezmierna przykrość odbiła się na jej twarzy. Była chwila kłopotliwego milczenia.

– Więc nie zostaje pan? Zatem do widzenia – rzekła Stefcia wyciągając rękę. Waldemar ścisnął ją w swej dłoni i nie puszczając, rzekł dziwnie miękko:

– Niech pani będzie spokojną. Domyślałem się wiele, teraz wiem wszystko i dołożę wszelkich starań, aby się pani więcej nie męczyła...

– Dziękuję panu. Tu głównie chodzi o Lucię.

– Najwięcej o panią. Tamto dzieciństwo prędko przeminie bez poważniejszych następstw. Niech pani nie bierze tego tak tragicznie. Swoją drogą dołożę starań, aby w Słodkowcach zapanowała dawna swoboda.

Stefcię przestraszyły te słowa.

– Ależ ja nie chcę, aby z mego powodu wynikły jakieś nieporozumienia... Nie chcę mu... nie chcę nikomu szkodzić.

Była ogromnie zmieszana, bo Waldemar nie puszczał jej ręki. Chciała ją wysunąć, lecz ujął ją jeszcze mocniej.

– Niech pani mi wierzy i ufa – rzekł stanowczo. – Postąpię, jak można najtaktowniej. Ale wyjazd tego pana wszystkim poprawi humory, nie wyłączając zbląkaney Luci, a już mnie bez kwestii.

Wesoło spojrział w jej oczy i rzekł:

– Czas jechać. Do widzenia! Niech pani się niczym nie martwi, proszę bardzo. Skłonił się i wyszedł.

– Jaka szlachetna i jaka śliczna! – szepnął w korytarzu.

śli plątały się, nie rozumiała ani słowa. W uszach brzmiał jej niski głos Waldemara, na ręce czuła uścisk jego dłoni. Siedziała nieruchomo, w obawie spłoszenia błęgiego spokoju. Rozległ się łoskot samochodu, głos na ganku i zapadła cisza.

– Pojechał – szepnęła do siebie Stefcia. – Ale jacy to inni ludzie; ten i tamten.

## XIII

Prątnicki miał minę zwycięską, wchodząc do stajni. Spotkał Lucię, powracającą z ciepłarni, widział jej rumieniec i z kilku słów dziewczynki upewnił się co do jej uczuć. Sam skorzystał, aby uścisnąć rączkę dziewczęcia i szepnąć parę czułych frazesów.

– Jestem na dobrej drodze – powtarzał sobie. – Ta mała kocha się we mnie najwidoczniej.

Podkręcił wąsika z miną człowieka zadowolonego z siebie i ze swej przyszłości.

– Benedykt! konie dla mnie! – zawołał do starego stangreta.

– Kasztany czy gniade? – spytał Benedykt.

– Zaprzęgaj czwórkę karych arabów do żółtego amerykana. Stangret wytrzeszczył na niego oczy.

– Kare araby?! –

– Ogłuchłeś, widzę. Zaprzęgaj prędzej! Z szorowni wyszedł Klecz.

– Dokąd pan chce jechać? – spytał Edmunda po niemiecku.

– Do miasta. Muszę być w składzie rolniczym, aby dowiedzieć się o żniwiarkę.

– Żniwiarka naprawiona. Nie ma pan po co jechać.

– Ordynat sam mi to polecił.

– Może być, ale dawniej. Teraz tylko pošlemy furmankę.

– Muszę jechać – upierał się Prątnicki.

– Ha! jedź pan, ale nie radzę karymi końmi.

– A to dlaczego?

– Tak... Nie radzę... Daleki kurs...

– Do Szal chyba dalszy, a baronowa jeździ nimi zawsze. Klecz rzucił na niego znaczące spojrzenie.

– Różnica! – rzekł lakonicznie.

– Nie widzę żadnej! – zawołał Prątnicki.

Zrozumiał co Klecz chciał powiedzieć, ale postanowił nie ustępować.

– Czemu nie zaprzęgasz? – krzyknął na Benedykta.

– Panie, po przyjacielsku panu radzę nie brać tej czwórki – rzekł Klecz. – To ulubione konie ordynata. Może im się stać co złego, potem bieda. Pal je lichu! Niech pan jedzie kasztanami, konie jak szałwy. Albo gniade niech pan weźmie. Podobno baronowa ma dziś jechać do Obronnego. Zadysponuje kare i co wtedy?

– To dla niej założy się gniadą czwórkę – rzekł Prątnicki już zły. Zwrócił się znowu do Benedykta:

– Zaprzęgaj żywo! Rozumiesz!

Stangret wzruszył ramionami i poszedł spełnić rozkaz, mrużąc pod nosem niepoehlebne życzenia dla praktykanta. Klecz machnął ręką.

– Twarda sztuka!... niech go diabli! – rzekł do siebie.

Po kilku minutach Edmund siedział w amerykańce i zagarnął lejce czwórki. Następnie, zanim stajenny zdołał się usadowić, trzasnął z bata z ironicznym uśmiechem, pożegnał Kle- cza, puścił konie tęgiego klusa i zniknął na zakręcie drogi.

Rządca i stangret spojrzeli na siebie.

– Żeby się chociaż co złego nie stało – mruknął Klecz. A Benedykt rzekł rozkładając ręce:

– Jak pan praktykant znarowi konie, ja nie będę odpowiadał przed ordynatem. Kiedy pan rządca pozwolił, to co ja winien?

– Przecie pan Prątnicki umie jeździć. Co tam Benedykt prawi! – odrzekł Klecz, sam za- niepokoiony.

60

Nieobecność Prątnickiego na obiedzie zadziwiła panią Idalię, a zasmuciła Lucię. Dziej- czynka nie rozumiała, dlaczego wyjechał dziś, po tak miłym spotkaniu sam na sam. Smutek jej wzmógł się, gdy pani Idalia oznajmiła, że po obiedzie jadą do Obronnego odwiedzić księżną Podhorecką. Gdy Lucia została sama ze Stefcia, zarzuciła jej ręce na szyję, szepcząc z rozkapryszoną miną:

– Tak bym wolała zostać w domu! Tak mi się nie chce jechać!...

– Przecież dawniej lubiłaś bywać w Obronnem – uśmiechnęła się Stefcia.

– Ach! dawniej!... to co innego.

I w oczach jej błysnęło rozmarzenie, tak nie dostosowane do tej dziewczęcej postaci, jak niewłaściwą byłaby silna woń róży dla niezapominajki.

Pani Idalia kończąc ubieranie się, rozkazała zaprzęgać konie do landa. W parę minut po- tem Jacenty zastukał do jej pokoju.

– Proszę jaśnie pani, stangret mówi, że można jechać tylko gniadą czwórką lub kaszta- nami.

– Ale ja kazałam zaprzęgać kare – rzekła pani z przyciskiem.

– Stangret powiada, że karych nie ma.

– Gdzież się podziały?

– Pan praktykant pojechał do miasta.

Pani Idalia zwróciła się gwałtownie na krzesło ku Jacentemu i spod przymrużonych po- wiek spojrzała na niego bacznie.

– Pan Prątnicki... karą czwórką... do miasta?

– Tak mówi stangret.

– Rządca wiedział od rana, że pojedę. Jakże mógł dać te konie?

– Pan praktykant powiedział, że jaśnie pani pojedzie gniadymi.

– To nie może być! – zawołała wzburzona baronowa. – Niech Benedykt przyjdzie do kredensu.

Jacenty wyszedł. Pani Idalia powstała z krzesła szarpiąc nerwowo rękawiczki.

– Skandal! – wołała do siebie. – Ja dysponuję konie, a mnie powiadają, że koni nie ma? On za wiele sobie pozwala. Waldy go rozzuchwalił. To do niczego niepodobne. Voilà qu'il est ridicule!19... Wzburzenie jej rosło.

Tymczasem przed stajnią zebrała się narada. Jacenty, Benedykt i kilku stajennych mieli miny zakłopotane. Szukali rządcy, ale Klecz wyruszył w pole.

Nie było rady, trzeba iść do pałacu.

Gdy Benedykt z Jacentym weszli w obręb dziedzińca, stangret zdrętwiał z przestrawu. Dokoła gazonu pokojowiec oprowadzał karego wierzchowca z Głębowicz. Przyjechał or- dynat...

– No! – zawołał Benedykt – jaśnie pan zawsze przyjeżdża wtedy, jak się go nikt nie spo- dziewa, ale dziś to już trafił!

Waldemar zastał ciotkę bardzo rozgniewaną. Ledwo raczyła się z nim przywitać.

– Co się stało? – spytał zdziwiony.

- Widzę, że ten twój protegowany ma tu większe prawa ode mnie. A! tegom się nie spodziewała!
- Waldemar słuchał spokojnie, chodząc po pokoju. Gdy skończyła, parsknął śmiechem.
- Mój protegowany! Paradna jest ciocia. Nie wiem, kto go dotychczas protegował więcej. Z pewnością nie ja.
- Jednak się teraz śmiejesz. Nie obeszło cię to ani trochę.
- Przeciwnie, jestem zachwycony tym wypadkiem.

19 Voilà qu'il est ridicule! (fr.) – Coś śmiesznego!

61

- Voyons! jesteś bardzo uprzejmy.
- Ależ, ciociu, państwo oboje wyrządziliście mi wielką przysługę: ciocia, że dziś chciała jechać, a ten pan, że właśnie dziś pojechał.
- Nie rozumiem cię.
- Moja ciociu, nie ulega wątpliwości, że ten pan zdobywa sobie tu jakieś prawa, ale to wina cioci – nie moja.
- Powtarzam, że nie rozumiem cię – przerwała pani Idalia wzruszając ramionami.
- Ciocia widzi jego zabiegi około Luci? Tak czy nie?
- Odbiegasz od przedmiotu.
- Właśnie do niego dążę. Niech mi ciocia odpowie.
- Asystuje Luci. Więc cóż z tego?
- Ale ciocia to widzi i pozwala na to. Pani Idalia zerwała się z krzesła.
- Ach! mój drogi, nie widzę w tym nic złego, że z sobą flirtują. Cóż to szkodzi?
- Sądzę, że dla Luci jeszcze taki flirt zbyt czysty – rzekł Waldemar chłodno.
- Przeciwnie. Lucia ma szesnaście lat, niech się wprawia. Dla dziewczyny w tym wieku to nawet konieczne.
- Czy i to byłoby koniecznym, gdyby się zakochała?...
- Chociażby! W Prątnickim może się nawet kochać. Waldemar spojrzał na nią, nie wierząc własnym uszom.
- Za pozwoleniem. Co znaczy ten dodatek „nawet” i w ogóle to w „Prątnickim”?
- Sądzę, że rozumiesz.
- Niestety, nie.
- Pani Idalia wybuchnęła:
- Gdyby Prątnicki był z naszej sfery, lecz niestosowny jako partia, wówczas inaczej bym się na to zapatrywała, ale tak...
- A tak wolno im się kochać? No to może wolno im będzie pobrać się? – spytał z ironią.
- Drażnisz mię, mój drogi!
- Ja tylko pytam. Więc jemu wolno z nią flirtować, jej wolno kochać się. Ciocia na to pozwala, on to widzi. No i nie bądźże tu w dobrym humorze! To jest kwintesencja jego dzisiejszej przejażdżki. Pełen dobrych myśli pojechał karymi końmi, a cioci zadysponował gniade, uważając, że przyszła teściowa może mu ustąpić w takiej drobnostce.
- Waldy, co ty mówisz?
- Nic więcej, tylko prawdę.
- Ależ... Czyżby?... – zastanowiła się.
- Tak, tak... to właśnie! – zawołał Waldemar podchwytyjąc myśl ciotki, która nagle zbladła.

- On śmiał marzyć o Luci?
- O! dlaczegoż by nie? On jest bardzo odważny.
- To niemożliwe!... Nie, nie! to by było szczytem zuchwalstwa! – mówiła pani Idalia

wzburzonym głosem.

– Moja ciociu! On miał twoją protekcję, czegoż potrzeba więcej? Może śmiało powie- dzieć: veni, vidi, vici<sup>20</sup> – drwił Waldemar.

Ciotka spojrzała na niego.

– Skąd wiesz o tym, Waldy? – spytała nieufnie.

– Od dziadka, który jest lepszym badaczem od cioci. Zresztą i sam widzę dużo.

Pani Elzonowska poruszyła się gwałtownie na krześle. Waldemar chodził po pokoju. My- śli rozsadzały mu głowę. Przede wszystkim jedna: że choćby nawet Prątnicki był innym

20 veni, vidi, vici (łac.) – przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem.

62

człowiekiem i kochał Lucię, nie dano by mu jej dlatego, że należy do „niższej” sfery społecz- nej.

– Co za barbarzyński przesąd! – mówił sobie w duchu. – Więc ona, Elzonowska, nie mo- że zostać żoną Prątnickiego dla nazwiska. Jakież to dzikie!... I ja sam do tego dopomagam. Dajmy na to, że dla wielu przyczyn. Za Prątnickim nie przemawia nic prócz dziecinnego za- durzenia się Luci. Lecz gdyby Prątnicki był innym człowiekiem, nie byłoby w Słodkowcach Stefci... I tu także inna sfera... Przekleństwo! – szepnął do siebie.

Baronowa ocknęła się z odrętwienia.

– Powiedz mi, Waldy, dlaczego mówiłeś przed chwilą, że ja i ten... Prątnicki zrobiliśmy ci przysługę – spytała.

Waldemar przesunął ręką po czole, jakby odpędzając od siebie natrętne myśli.

– Bo ja czekam sposobności, żeby uwolnić się od niego.

– Ach! rozumiem! I sposobność znalazłeś. To bardzo dobrze!

– Chyba ciocia nie myśli, że głównym powodem będzie jego spacer dzisiejszy.

– A cóż więcej?

– Jak to co? Czy ciocia życzy sobie, aby on tu nadal pozostał?

– Wobec tego, o czym się dowiedziałam, broń Boże! Ale przecie mu wyraźnie drzwi wskazać nie możesz.

– Dam do zrozumienia w sposób jak najogłędniejszy, że jest tu zbyteczny.

Wszedł Jacenty oznajmiając, że Benedykt czeka. Pani Idalia rzekła do Waldemara po francusku:

– Kazałam mu przyjść wytłumaczyć się. Ale teraz tobie go zostawiam. Wzruszył ramionami.

– On nic nie winien, tylko rządca. Ja bym cioci radził jechać i kwestię końską pozostawić na boku. Winieniem jej wdzięczność, ale wysuwać ją na pierwszy plan nie ma powodu. Więc jedzie ciocia, tak?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Jacentego:

– Niech Benedykt zaprzęga kasztany.

Po odejściu kamerdynera Waldemar spytał:

– Czy z ciocią jedzie tylko Lucia?

– Jedzie z nami Rudecka.

Gniew zadrgał na ustach Waldemara.

– To dobrze. Tylko mogłaby ją ciocia nazywać cokolwiek mniej urzędownie.

Baronowa rzuciła na niego krytyczne spojrzenie. Chciała coś odrzec, lecz Waldemar szybko skłonił się jej, dodając:

– Proszę być gotową. Czas jechać. Wyszedł i mruknął do siebie z gniewem:

– Chciała mnie znowu poczęstować sferą.

## XIV

Błękitna tafla jeziora mieniła się opalowo, zapalała się mnóstwem złotych iskierek, płynąc jaskrawą szarfą. Chwilami pokrywał ją ciemny błękit lub szmaragdowa tęcza albo stawała nagle nieruchomo, nie wytwarzając barw, i odbijała tylko poszarpane obłoki. Jakież zygzaki szły po fali, niby tysiące ogni, wzdymały się, rozświećlały, pozostawiając po sobie zwał piany. Z jednej strony błyszcząca szyba wody zaciemniała się równą linią od bujnej masy drzew parkowych. Ogromne korony wierzb, smukłe olchy, potężne graby, klony i drżące, rozpuszczone włosy brzoź spadały na lustrzany kryształ leżący u ich stóp. Na brzegach szumiały mięsiste tataraki i kępy trzciny o rozwianych kitach. Pojedynczo strzelały w górę na sztywnych łądygach ciemne, podłużne słupki stawowej rogóżki. Białe szmatki piany drżały u podnóża trzciny; to woda, spadająca gwałtownie w zawiłą masę korzeni, szumi, wydając suchy szelest i pieni się z gniewu.

Lecz i na środkowym szlaku zamajaczyła biała plamka, niby mały skrawek obłoku, spadały na wodę, zwabiony roziskrzoną falą... Oto druga plamka... trzecia... całe mnóstwo spada na płynące złoto i znów wlatuje w górę, unosząc na swej bieli kilka świetlistych iskierek. To nie obłoki – to stado mew, lśniące, pełne świergotu. Mewy cieszą się ciepłem i słoneczną roztoczą, śpiewają radosny hejnał, zanurzając śnieżne pióra w tęczowej topieli. Nad samą wodą sykają smukłe ważki, zwane panienkami; brudząc przezczysty lazur powietrza, kręcą się krzykliwe komary.

Rzeźwe podmuchy poruszają liśćmi drzew, wywołując szумы, tajemniczą gwarę przyrody. Czasem zakwili głośniej mewa, czasem odezwą się żaby lub z głośnym pluskiem rzuci się ryba, pozostawiając po sobie szerokie obręcze wody. Zresztą cicho było na jeziorze, tylko park huczał niezliczoną ilością głosów ptasich. Krzyczały makolągwy, gwizdały wilgi, świstał kos, gruchała synogarlica. Niżej, na gałęziach, kłóciły się z sobą liczne zastępy, całe pospólstwo wróbli, infanteria armii ptasiej.

Waldemar Michorowski zatrzymał się w swym spacerze po krętej uliczce nad wodą. Nagle poprzez zielone sklepienie drzew prysnął gorący promyk słoneczny, zamigotał dokoła niego, zadrgał w jego stalowych źrenicach i krwawą kroplą rozbłysł na rubinie szpilki w krawacie, Waldemar spojrzął w górę.

– Szczególny promień. Ukłuł mnie jak igłą. Gdybym był zabobonny... Ach, cóż znowu!... Poszedł dalej. Dziwił się, że nie może zebrać myśli; rwały się, nasuwając wciąż jedno pytanie.



– Dlaczego jestem taki wrażliwy? Co znaczy ten objaw? Jakiś promyk rozświetlił mię, jak ten przed chwilą spadły ze słońca... Promyk! Czy ona może być promykiem? Jest również słoneczna, czy jednak równie gorąca?

Zaśmiał się ironicznie.

– Może była, ale ostygła, wyczerpana ogrzewaniem kogo innego.

W wyobraźni mignęła mu postać Stefcy i Prątnickiego. Wzruszył ramionami i rzekł prawie głośno ze śmiechem:

– Ogromnie głupi jestem! Cóż promyk? Skoro jest słoneczny – ogrzać się nim. Po co te rozważania bezcelowe?

Spojrzał na jezioro.

– Na przykład te mewy – myślał – pławią się w blaskach i biorą na swe skrzydła tyle tęczy, ile się zmieści. Jaki one mają rozum!... Nie należy omijać żadnego promyka, kraść każdą tęczę bezwzględnie – oto jest umiejętność korzystania z życia. Na rozpatrywaniu wszystkiego, badaniu szczegółów marnuje się tylko bezowocnie czas i w rezultacie nie otrzymuje się wyników, bo przedmiot powszednieje, przestaje budzić zajęcie.

64

– Czy to prawda, czy paradoks? – zastanowił się. – Więc chcę, aby była prawda. Mogę sobie na to pozwolić.

Za jeziorem, na drodze, obramowanej murem zboża, ujrzał sunące prędko łby i grzbiety końskie oraz górny kontur żółtego amerykana. Siedziały w nim dwie ciemne sylwetki, odrzynające się wypukłe na tle złotego łanu pszenicy.

Waldemar patrzył chwilę, wreszcie wybuchnął śmiechem:

– O! tam jedzie promienisty! – zawołał wesoło i zawrócił do pałacu.

Kolację spożyto w milczeniu, pan Maciej był apatyczny, Waldemar zimny, Prątnicki niepokojny.

Edmund nie spodziewał się zastać ordynata. Zmieszał się podwójnie, gdy mu powiedziano o wyjeździe pań. Czuł się zazwyczaj swobodniejszym wobec pani Elzonowskiej i Luci. Wszedłszy do sali jadalnej, zauważył sztywność obu panów, postanowił więc nadrabiać miną. Opowiadał wesoło o bytności swej w składzie narzędzi rolniczych. Dowcipnie krytykował firmę i panów, z którymi tam rozmawiał. Ale spostrzegł, że opowiadanie jego nie robi wrażenia na obu Michorowskich, i zaczął mówić głównie do pana Ksawerego.

Zniżonym głosem spytał starego rezydenta:

– Czy panie dziś nie wrócą?

– Chyba nie – odparł pan Ksawery. – Pojechały do Obronnego, tam zawsze nocują.

– Szkoda.

– Dlaczego pan tak żałuje? Nie ma pan przecie osobistego interesu do żadnej z pań?

– Owszem, mam bardzo pilny.

– Ciekawym jaki, bardzo ciekaw – rzekł pan Ksawery patrząc na praktykanta żartobliwie.

Edmund odczuł cień lekkiej ironii w głosie rezydenta i pomyślał:

– A temu co się dzisiaj stało?

– Więc jakież to interes? – powtórzył pan Ksawery. Staruszek, zjadłszy ogromnie dużo, był w bardzo dobrym usposobieniu. Prątnicki pokręcił głową.

– O, tego nie mogę powiedzieć nikomu.

– Aż tak! Ho, ho! A o którą z pań tu chodzi, jeżeli wolno choć o to zapytać?

– Mam osobisty interes do swego ideału – rzekł z zagadkowym uśmiechem zapytany.

– A nie będę niedyskretny, jeżeli zapytam, jakiej natury jest ten interes?

– Pan zbyt ciekawy! Przypuśćmy, że pragnę jej opowiedzieć o mej tęsknocie i ujrzeć rumieniec na jej buzi.

Waldemar mimo woli słyssał wszystko. Wzburzony, chciał wstać i wyrzucić za drzwi Prątnickiego. Ale opanował się, może pod wpływem błagalnego spojrzenia pana Macieja.

– Jaki pan pewny tego rumieńca! – zauważył pan Ksawery. – A gdyby panu nie udało się go wywołać?

– Pan wątpi? Panienki zawsze łase na słodkie słówka i mają rumieńce na zawołanie. Zwłaszcza Stefa do rumieńców skłonna. Już ja ją znam...

Tu Edmund spostrzegł, że posunął się za daleko, więc umilkł.

Ale ordynat nie mógł dłużej panować nad sobą. Skruszył w palcach cygaro, zasypując nim obrus, i gwałtownie powstał. Przeprosił pana Macieja i wyszedł z sali.

Stary Michorowski powiedział dobranoc obu panom, coś do nich przemówił i także wyszedł. Prątnicki, niemile dotknięty, stracił humor, a stary rezydent, podając mu rękę, pomyślał:

– Czy nie przegalopowałeś, kawalerze?

Waldemar biegał po swym gabinecie, chcąc się uspokoić. Po godzinie rozkazał Jacentemu prosić Edmunda. Ordynat siedział przy biurku z miną spokojną i obojętną, tak że praktykant, nie widząc niezadowolenia na jego twarzy, odzyskał swobodę.

65

– Czym mogę służyć? – spytał podchodząc elastycznie do biurka. Waldemar wskazał mu krzesło.

– Proszę, niech pan siada. Chcę z panem pomówić. Młody człowiek zmieszał się i usiadł w milczeniu.

– Właściwie – rzekł Waldemar – mam wyrazić panu mój zamiar, który powziąłem od pewnego czasu – zamiar dotyczący pana.

– Mnie?

– Tak. Chcę panu zaproponować przeniesienie się na stałe do Głębowicz. Sądzę, że to panu różnicy nie zrobi, a teren do pracy tam będzie nawet większy...

Mówił tonem naturalnym i uprzejmie, ale z lodowatym chłodem. W Prątnickiego jakby nagły grom ugodził. Spodziewał się wszystkiego prócz przeniesienia do Głębowicz. Nie wiedział, co o tym sądzić. Bezwiednie bąknął:

– Dlaczego, panie ordynacie... tak nagle?... Nie jestem przygotowany.

– To najmniejsza, kwestia paru mil drogi, przeprowadzka niedaleka. Edmund jeszcze chciał się bronić.

– Czy pan niezadowolony z mych czynności gospodarczych w Słodkowcach? – zapytał z uniżonością, która obudziła niesmak w Waldemarze.

– Z gospodarczych? Nie. Tylko w ogóle jest pan odpowiedniejszy do Głębowicz.

– Odpowiedniejszy?... Dlaczego? z jakich względów?... Michorowski tracił cierpliwość.

– O panie, względy są różne – rzekł strząsając w popielniczkę popiół z cygara.

Prątnicki zrozumiał. Nie chciano go tu. Lecz jaki główny powód? Pragnął dowiedzieć się koniecznie. Rzekł po krótkim milczeniu:

– Panie ordynacie, jeśli dzisiajszą swą wycieczką naraziłem się panu, w takim razie przepraszam bardzo. Istotnie popełniłem błąd.

Waldemar podniósł głowę.

– Czy ja panu robiłem wymówki, że mię pan przeprasza? – spytał. – Postąpił pan niewłaściwie, lecz jest to rzecz drobniejsza.

– Przede wszystkim nie wiedziałem, że pani baronowa miała dziś jechać – bronił się Prątnicki.

Ordynat skrzywił usta z niesmakiem. Nie lubił wykrętów.

– No, o tym pan wiedział, bo nawet zadysponował pan gniadą czwórka dla ciotki. Ale powtarzam, to rzecz drobniejsza. Głównie chodzi o to, że nie nadaje się pan do miejscowego otoczenia w Słodkowcach. Pan rozumie?... Nie odpowiada pan właściwym warunkom, traktując je nazbyt podmiotowo, co znowu nie zgadza się z pewną skalą naszych pojęć.

Teraz łuska spadła z oczu Edmunda. Spostrzeżono jego zamiary i dają mu odprawę. Projekt przeniesienia go do Głębowicz to tylko delikatne wskazanie drogi, którą ma się wycofać. Jego plany przekreślone zostały ręką ordynata bardzo stanowczo. Prątnicki był zgnębiony, przegrał na całej linii, bez możliwości odwrotu. Spojrzał na ordynata.

Waldemar, pałac, patrzył przed siebie na marmurowy kałamarz z takim wyrazem twarzy, jakby chciał rzec:

– Czemu nie wychodzisz? Ja już skończyłem.

Edmund czuł, że powinien odejść, ale jeszcze się wahał, niepewny, czy to zupełne usunięcie, czy tylko przeniesienie.

Waldemara to wahanie się drażniło. Zirytowany wstał i podając mu rękę rzekł krótko:

– Zatem skończone. Dobranoc panu.

Praktykant zerwał się z krzesła i odpowiedział z fałszywą swobodą:

– Postaram się zadowolić pana ordynata.

– Dziękuję. Będzie to korzystniej dla obu stron.

66

Uklonili się sobie i Prątnicki wyszedł z podniesioną głową, którą za drzwiami zwiesił smutnie.

– Psiakrew! dostałem arbuza – mruknął zły – bo to przecież arbuza prywatny, nie urzędowa dymisja. Ale jak on to delikatnie zrobił, po pańsku. Arystokrata! – dodał ze zjadliwą ironią. W przedpokoju lokaj chciał mu podać palto, ale Edmund odtrącił go z gniewem.

– Idź do diabła!

– Oho! – zawołał służący zamykając drzwi za nim.

Waldemar wszedł do sypialni pana Macieja. Staruszek, leżąc w łóżku, czytał dzienniki. Na widok wnuka odsunął lampę.

– Czemu tak długo nie przychodziłeś?

– Rozmawiałem z Prątnickim. Już skończone – odpowiedział Waldemar siadając obok łóżka. – Wymówiłeś mu miejsce?

– W zasadzie tak. Zaproponowałem mu przejazd do Głębowicz.

– I zgodził się?

– To byłoby niepożądane, ale zrozumiał, czego się od niego chce.

– Powiedz prawdę: wywołała to dzisiejsza rozmowa przy kolacji. Czy tak?

– Tylko przyspieszyła.

– A wywołała głównie dlaczego?

– Dziadzio się o to pyta? nie mogłem nigdy znieść jego dowcipów, zwłaszcza takich... Powstał i zaczął chodzić po pokoju.

Pan Maciej milczał. Światło lampy, padając ukośnie, oświecało jego białe włosy i szerokie bruzdy na twarzy. Czoło miał sfałdowane, oczy przymknięte, na zwiędłych ustach osiadł bolesny wyraz. Długo siedział pogrążony w głębokiej zadumie, z pochyłymi barkami, jakby gniótł go jakiś ciężar niezmierny.

Na tle dywanu jego starcza postać odrzynała się wypukło; spływały na nią gnębiące wspomnienia z przeszłości, pod ich brzemieniem zginał głowę coraz niżej. Nagle podniósł zmarszczone czoło, spojrzął na wnuka i rzekł z naciskiem:

– Waldemarze, bądź szczerzy. Tobie głównie o nią chodzi?

Z głębi ciemnego pokoju odezwał się głos przytłumiony, o pięknym, niskim brzmieniu:

– Tak!

– Boże, nie odmawiaj Swego zmiłowania! – szepnęły drżące wargi starca. Zasłoniwszy oczy rękoma, modlił się cicho, powtarzając z przejęciem:

– Za moje winy nie karz go, Panie! Panie! Opuść mi... Zaniechaj zemsty!...

Pożegnanie z paniami odbyło się uroczyście. Prątnicki nadrabiał miną, co bolało Lucię. Pani Idalia ze wspaniałością wielkiej damy wyrzekła do niego parę słów zakrawających na serdeczność. Brzmiało to trochę fałszywie. Pan Maciej z uprzejmym uśmiechem życzył odjeżdżającemu szczęścia. Waldemar pożegnał go swobodnie, pan Ksawery obojętnie. Nikt nie wyraził żalu z powodu jego wyjazdu.

Pani Elzonowska powiedziała Luci i Stefci, że Edmund ma jakieś inne zamiary i dlatego wyjeżdża.

Lucia płakała całą noc i dzień, przy pożegnaniu miała czerwone oczy. Edmund spoglądał na nią z uśmiechem, jak na swą ofiarę. Widok spłakanych oczu dziewczynki nie wzruszał go, natomiast pod pokrywką wesołości czuł się wściekle zły, że minęła go taka świetna partia. Lucia była pewna, że on zechce zostać z nią sam na sam i że jej coś powie na pożegnanie. Przypominała sobie czytane ukradkiem romanse, a w nich miłosne schadzki, bileciki i zaklania. Myślała, że i między nimi nastąpi to samo. Może będą do siebie pisywać? Wprawdzie byłyby trudności, ale to tym lepiej. Chciała się z nim spotkać, wychodziła kilka razy do parku, przekonana, że on już tam oczekuje na nią. Nie uszło to baczości Stefci; spotkała Lucię w cieniu na ławeczce głośno płaczącą. Usiadła przy niej i utuliła w swych ramionach. Wówczas dziewczynka przyznała się, że wyszła, aby spotkać Edmunda, i teraz płacze po nim jak po umarłym.

– Dlaczego jak po umarłym? – zapytała nauczycielka. – Czy rozmawiałaś z nim? Lucia odparła z płaczem:

– Chciałam z nim pomówić, myśląc, że i on tego pragnie. On przechodził tędy aleją, widział mnie, był blisko... Zawołałam: „Panie Edmunde!” – a on stanął i spytał: „Czym mogę służyć?”

– ale tak jakoś zimno i z takim dziwnym, wymuszonym uśmiechem... Potem uklonił się i poszedł. On mnie nie kocha, on dla mnie umarł! Stefci zaledwie udało się ją uspokoić. Pożegnanie Edmunda ze Stefcią i Lucią odbyło się wobec wszystkich. Waldemar, przewidując, że Prątnicki może obrazić Stefcię w chwili pożegnania, stał obok niej. Istotnie Edmund miał

zamiar w ironiczny sposób życzyć Stefcu powodzenia, wiedząc, że ją tym dotknie, lecz obecność ordynata wstrzymała go. Z jednakową obojętnością podał rękę Stefcu i Luci. Ani jedno słowo nie zostało wymówione z obu stron. Tylko ręka dziewczynki zadrżała w jego dłoni, na co nawet nie zwrócił uwagi.

Wyszedł na ganek jak zwycięzca, wsiadł do wolantu z miną bohatera. Do pojazdu odprowadził go Jacenty i pokojowcy, zadowoleni z wyjazdu nie lubianego powszechnie praktykanta. Gdy wolant ruszył, Lucia, stojąca w oknie, wybuchnęła głośnym płaczem ku wielkiemu zdumieniu baronowej, która nie posądzała córki o tak żywe uczucia względem człowieka z innej sfery.

Po wyjeździe Prątnickiego zrobiło się raźniej w pałacu. Stefcia odetchnęła lżej. Tylko baronowa z początku nudziła się, lecz tęsknota i łzy Luci utwierdziły ją w przekonaniu, że wyjazd praktykanta był koniecznym.

Pewnego dnia, w czasie bytności ordynata, przyjechała konno panna Rita Szeliżanka, a w pół godziny po niej zjawił się hrabia Trestka. Właśnie całe towarzystwo siedziało na werandzie. Rita na widok swego prześladowcy skrzywiła się i rzekła z gniewem do Waldemara:

– To jest bajeczne, jak gdyby był moim patronem...

Ordynat wzruszył ramionami: myślał o czym innym. Trestka, ujrawszy pannę Ritę, udał zdumienie tak artystycznie, że aż mu binokle spadły z nosa.

– Pani tu? – zawołał. – Co za szczęśliwy traf.

– Doprawdy? Vojons! pan ma talent kompozytorski, jak widzę.

68

– Dlaczego?

– No, bo przecie wiedziałeś pan, że dziś będę w Słodkowcach, alboś się dowiedział w Obronnem. Po co to udawać!

– Nic nie wiedziałem, comme j'aime Dieu!<sup>21</sup> To niby specjalnie dla pani miałem tu przyjechać?

– Zdaje mi się.

– Skandal! – oburzył się Trestka.

Nerwowym ruchem poprawił binokle; rzucając spod szkieł wesołe spojrzenie na Stefcie, rzekł z dowcipną miną:

– Pani się myli. Ja do Słodkowic przyjeżdżam nie tylko dla pani, mais encore<sup>22</sup>...

– Niech się pan nie broni. My rozumiemy. Gdy panna Rita jest u nas, wówczas dąży pan tu głównie dla niej – rzekł Waldemar.

– Ale ja nie to chciałem rzec! – zaprzeczył Trestka.

– Ale myśmy tak zrozumieli, panie.

Trestka przygryzł usta i zamilkł. Panna Rita zerknęła na Stefcie, po czym zbliżyła się do Waldemara.

– Dziękuję panu – szepnęła z uśmiechem.

– Za co mi pani dziękuje? – spytał rozdrażniony ordynat.

– Za to, że pan jest gentlemanem.

– Muszę nim być za kogoś, niestety.

– To właśnie zasługa.

Po podwieczorku powstał projekt spaceru po parku. Panna Rita wzięła pod rękę Stefcie i wysunęła się z nią naprzód, panowie szli za nimi. Lucia chodziła sama zamyślona, błądząc po uliczkach.

Po kilku wstępnych słowach panna Rita spytała:

– Jak się pani podoba młody Michorowski?

– Owszem... bardzo sympatyczny. Panna Rita podskoczyła.

– Tylko sympatyczny? Myślałam, że pani oceni go głębiej. Ja mam dla niego cześć. Porównać go na przykład z Trestką...

– No, tu nie może być porównania.

– Bo wypadłoby ono na niekorzyść Trestki. Tak, ma pani słuszność: to dwóch ludzi nie mających z sobą nic wspólnego oprócz jednakowej liczby lat. Ordynat ma kolosalne powo-  
dzenie w świecie. Kobiety za nim szaleją. Cóż, kiedy jest bajecznie wybredny. Do jego wiel-  
bicielek i ja się zaliczam, ale również bez wzajemności.

Stefcia spojrzała na nią uśmiechnięta. Przypomniała sobie pierwszy przyjazd panny Rity i jej  
słowa wypowiedziane przed gankiem do Waldemara.

Panna Rita mówiła dalej:

– Po cóż mam się ukrywać! Ze kocham ordynata, wiedzą wszyscy, począwszy od mej  
opiekunki księżnej, a skończywszy na nim samym. Ale złudzeń nie mam żadnych. Dawno się  
ich pozbyłam, a raczej nie miałam wcale. Ta, którą on wybierze, w niczym nie będzie  
do mnie podobna. On ma gust bardzo subtelny, takie jak ja mogą zachwycać najwyżej Trestkę.  
To się nazywa inaczej „pech” w życiu. Mnie zajmuje pan Waldemar, a ja interesuję tego hra-  
bicza. Czy to nie jest po prostu niedołóstwo losu? Bo skoro ja się podobam takiemu Trestce,  
to widać niewiele więcej jestem warta od niego. A w takim razie on powinien mieć wzajem-  
ność. Czy nie mam racji?

– Ale cóż znowu! – zawołała Stefcia. – Pan Trestka niewart nawet podnieść oczu na nią.

21 comme j’aime Dieu! (fr.) – jak Boga kocham!

22 mais encore... (fr.) – ale jeszcze...

69

Tyle szczerości było w jej słowach, że panna Rita z życzliwością przypatrywała się jej przez  
chwilę.

– Pani ma dobry gust! Ja sama wiem, że jestem więcej warta od niego, chociaż znowu nie tak  
dalece, jak pani mówi. Dobrego gustu dowiodła pani również, odrzucając Prątnickiego. To typ  
bardzo nieciekawych i także niewartych pani.

Stefci przykro się zrobiło. Odrzekła z prostotą:

– Nie, pani, ja go nie odrzuciłam. To tylko okoliczności złożyły się dla mnie tak szczęśli-  
wie.

– Ale inicjatywa zerwania od pani wyszła?

– Nie, zerwał mój ojciec.

– Który go zapewne lepiej znał?

– Niewątpliwie.

– Bądź co bądź za usunięcie tego pana ze Słodkowic należy się ordynatowi wdzięczność.

A czy pani wie, jaki jest główny powód wyjazdu Prątnickiego? Domyśla się pani?

– Główną przyczyną była Lucia i zabiegi Prątnickiego? – odpowiedziała zagadnięta. Uśmiech  
przemknął się po ustach Rity.

– Tak się to mówi. Ale to znaczy, że pani nic nie wie. Prątnicki usunięty jedynie dla pani.

– Dla mnie?!...

– Tak, a raczej z powodu pani. On pani dokuczał, co gniewało ordynata, a denerwowało pana  
Macieja. Nie mogli na to pozwolić. Jedna Idalka była bierna, ale kto ją zna, ten wie, że inną być  
nie potrafi. Ta kobieta ma ciało i kości, lecz wątpię, czy ma krew... chyba tak błękit-  
ną, że aż zwodniała. W ostatniej chwili oburzyły ją zamiary tego pana, jednak przedtem bawił  
ją znakomicie. Wyprawił go stąd głównie pan Waldemar. Mogę panią śmiało zapewnić, że w  
obu Michorowskich ma pani wielkich, wyjątkowych przyjaciół.

Nacisk na wyrazie „wyjątkowych” nie podobał się Stefci. Odrzekła żywo:

– Wdzięczną im jestem bardzo, ale chyba i pani Elzonowska mi sprzyja?

– Ona panią bardzo lubi, a Lucia rozkochana w pani.

– To dobra dziewczyna. Biedactwo! ma do mnie trochę żalu za wyjazd Prątnickiego, odgaduje, że rozmawiałam o tym z panem Maciejem.

– Ech! to dziecinada! – zawołała panna Rita – prędko się zaczęła i prędko się skończy.

– Daj Boże! Zawsze mię to martwi.

Dochodziły do cieplarni. Stary ogrodnik podlewał kwiaty wazonowe, dopomagała mu czereda ogrodników. Słońce zaszło za drzewa parku, spływając ognistą kulą coraz niżej, różowa luna oświecała kwiaty, lśniła na szybach cieplarni.

Stefcia zaczęła pokazywać Ricie ulubione kwiaty, wymieniając nazwy. Ożywiona, uśmiechnięta, podnosiła ciężkie doniczki, wachając rośliny. Panna Rita, w długiej amazonce, oparta o szyby cieplarni, przyglądała się jej z uwagą. Dziwił ją ogrodnik, który patrzył na Stefcię jak w tęczę. Stary ten człowiek, od niepamiętnych lat zajmujący stanowisko w Słodkowcach, był wiecznie ponury i najczęściej nie mówił, ale burczał na wszystkich. Tylko Waldemar posiadał jego łaski, a teraz i Stefcia zdołała je pozyskać.

Panna Rita myślała o Stefci.

– Czy ona może być porównaną do tych kwiatów cieplarnianych?... Stanowczo nie. Ona to kwiat bujny, pełen życia, ogrzewany słońcem, a nie sztucznym ciepłem, kwiat wdzięczny, z delikatnym i orzeźwiającym zapachem, niepodobny do wazonowych, sztywnie poprzywiazanych do palików. My jesteśmy obrazem tych kwiatów – myślała dalej Rita – wzięci w ramy naszej sfery, jak one w wazon, przymocowani do naszych przesądów, jak one do palików.

– O czym pani tak rozmyśla? – zapytała Stefcia.

– Myślę, że pani jest ogromnie różna od tych doniczkowych roślin. Pani przypomina stepy, usiane kwiatami, różne, buńczuczne, a pełne poezji i rzewnej muzyki.

70

Stefcia zaśmiała się.

– Porównanie zbyt pochlebne dla mnie, ale ładne – rzekła.

– To nie moje porównanie, tylko ordynata. Jeszcze panią mało znałam, kiedy pan Waldemar określił mi ją w ten sposób. A! otóż i oni.

Nadeszli panowie. Trestka patrzył na Stefcię z podniesioną głową, Waldemar szedł zamysłony. Rita odezwała się do niego:

– Czy pamięta pan porównanie panny Stefanii do ukwieconego stepu? Ja dziś przyznaję panu słuszność zupełną.

Michorowski spojrział na pannę Ritę, potem na Stefcię i spytał:

– Dlaczego to pani dziś przyszło na myśl?

– Bo panna Stefania wśród tych kwiatów przypomina bardziej niż kiedykolwiek łąkę.

– Nie, zawsze stepy – rzekł Waldemar – bujne, szerokie stepy ukraińskie. Łąka – to ciśnie określenie. Pani ma w sobie coś lotniejszego.

Zrobił szeroki ruch ręką. Stefcia znów zaśmiała się.

– Ee! moi państwo, to już za wiele komplementów.

– Pani tak mówi w celu wywołania jeszcze większych – rzekł Waldemar przekornie i poszedł do oranżerii.

Gdy się oddalił, Trestka poprawił dwoma palcami binokle i zawołał z miną znawcy:

– Mnie przyszło na myśl inne porównanie. Oto panna Rita jest jak posąg Pallas Ateny. Tylko brak pani tarczy, hełmu i dzidy. Ale wszystko to posiada pani... moralnie – rzekł z zagadkowym uśmiechem.

– Bardzo mnie to cieszy. To znaczy, że moralną dzidą ranię pana, moralną tarczą bronię się przed panem i... co tam jeszcze moralnego posiadam więcej? Zresztą dość o tym! Teraz pannę Stefanię proszę porównać do jakiej bogini.

– Panna Stefania jest jak Wenus, która świeżo wyszła z piany morskiej.

– A pan jak satyr, któremu nie brak złośliwości – odparła Stefcia.

– Doskonale! i rogów niech pani doda – zawołała roześmiana panna Rita. – Pan jest niemożliwy, panie Trestka. Już widzę, że nigdy nie nauczę pana dobrego smaku. Jakże można było porównać mnie do tej obrzydłej, starej Pallas Ateny? Myślałam, że zostanę Dianą. Pan- nie Stefie należała się Hebe, bogini młodości, albo Psyche. Wówczas i pan może by został przynajmniej Hermesem.

– Dziękuję pani za taki zaszczyt.

– Nie podoba się panu? Ha! to trudno! Na Jowisza nie ma pan kwalifikacji. Ale dokądże poszedł ordynat?

– Rozmawia z ogrodnikiem.

– Jestem! – zawołał Michorowski – zaraz będę służył paniom. Po chwili wszyscy wracali do pałacu.

Tym razem panna Rita szła z Trestką naprzód. Stefcia postępowała obok Waldemara.

Szli wąską uliczką, wysadzoną po obu stronach malwami. Wysokie ukwiecone krzaki tworzyły różnokolorowy mur; delikatny zapach miodowy rozchodził się z płaskich kwiatów, zmieszany z zapachem kwitnących lip i ciepłym powiewem jeziora.

Poprzez masę liści i krzewów fala posyłała gorące oddechy na kwiaty, muskając je leciuchno, jakby kołyszając do snu. Roje komarów i drobnych muszek sypały się na gałęzie i szerokie liście kwiatów. Cisza była wielka i jakaś tęsknota płynąca jakby z poszumu olbrzymich modrzewi i bełkotania uderzających o brzegi fal jeziora.

Waldemar milczał, towarzyszka jego również, on zamyślony, ona rozbawiona. Nareszcie ona odezwała się pierwsza:

– Dlaczego pan bez humoru? Zatrzymał na niej przenikliwy wzrok.

71

– Jestem zdenerwowany, co mi się w ostatnich czasach zdarza często. Przy tym drażni mnie Trestka.

Stefcia dopowiedziała sobie w duchu, że drażni go z powodu ciągłego asystowania pan- nie Ricie. Przypominała sobie, że ta ostatnia kocha się w Waldemarze bez wzajemności. Kto wie, czy istotnie bez wzajemności...

Uczuła lekkie ukłucie w sercu. Po krótkim wahaniu rzekła:

– Od pana tylko zależy, aby hrabia Trestka przestał go drażnić.

– Ode mnie? No tak. Trochę mityguję jego ogródkowe dowcipy, lecz nie zawsze jest to możliwe bez wywołania skandalu. Trestka jest przede wszystkim źle wychowany albo pozuje na takiego sądząc, że mu z tym do twarzy. Przy tym niesmaczny cynik.

Stefcia nie zrozumiała, co Waldemar przez to rozumie, ale odrzekła, idąc za własną myślą:

– Panna Rita traktuje go dość pobieżnie. Dziwię się, że on, taki skądinąd sprytny, tego nie widzi.

– Panna Rita ma się z kim przekomarzać o konie i to ją bawi – odparł obojętnie.

– Ja myślę, że prędzej nudzi – zauważyła Stefcia. Waldemar stanął.

– Panno Stefania, czy nie moglibyśmy znaleźć czegoś ciekawszego do rozmowy? Trestka, panna Rita i ich uczucia – to temat tak niezabawny.

– Przepraszam pana – rzekła Stefania chłodno – nie zastanowiłam się, że robię panu przykrość tą rozmową. Ale pan sam rozpoczął.

– Ja mówiłem o Trestce, nie o panie Ricie.

– Ale to, co pan mówił, odnosiło się do niej.

– Ani trochę! – zawołał podnosząc brwi w górę i zaprzeczając ruchem głowy. Patrzył w oczy Stefci, pełne gniewnych iskierek, uśmiechnął się i rzekł:

– Widzę, że my się z panią nie rozumiemy.

– Być może. Jak zawsze zresztą – odparła rozdrażniona.

– Co pani myślała, mówiąc o panie Ricie? Proszę mi powiedzieć.



- Wybaczy pan, ale tak dalece żałuję swych słów, że nie chcę ich powtarzać. Istotnie po-  
pełniłam niedyskrecję.  
Spojrzał na nią uważnie.
- A, rozumiem... Bajecznie! Można pani powinszować zmysłu spostrzegawczego. Więc pani  
sądziła, że Trestka mię drażni z powodu zajmowania się panną Ritą? I pani mogła my-  
śleć o tym choć przez chwilę?
- Stefcia szła prędko, zła na siebie i na niego. Trzymany w ręku płaski kwiat malwy rwała  
palcami, nie odpowiadając.
- Waldemar patrzył na nią wzburzony, lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ra-  
mionami i zawołał:
- Pani mię czasem tak drażni, że nawet nie mogą spokojnie mówić! Dlaczego pani nie  
odpowiada, panno Stefanio?
- Nie chcę pana rozdrażnić jeszcze więcej. Zresztą nic już nie mam do powiedzenia.
- To najłatwiejsze! – wybuchnął. – Stanowczo nie można z panią rozmawiać.
- Toteż niech się pan nie trudzi.
- Zmarszczył brwi, usta zadrgały mu gniewem.
- Pani jest uprzejma! – rzekł z ironią.
- Muszę nią być dla zrównoważenia pańskiej uprzejmości.
- Moja jest inna.
- O tak! pod bardziej ostrym kątem.
- Nie, pani, tylko pod innym. Stanęli pod filarami werandy.

72

- Co to? Państwo się znowu kłóć? – spytała Rita widząc silne rumieńce Stefci i poru-  
szenie Waldemara.
- Ale on zaprzeczył.
- Och! nie. Dowodzę tylko pannie Stefanii, że kobieta powinna być domyślna i tak łapać  
wszystko, co się dokoła niej dzieje, jak motyle w siatkę.
- Kobieta powinna być przede wszystkim pikantna – zawyrokował Trestka.
- Jak ja, na przykład. Prawda? – zaśmiała się nerwowo Rita.
- Trestka zaczął się rozwodzić o kobietach, a Waldemar spojrzawszy bokiem na Stefcię i po-  
myślał:
- O! i tej tego nie brak.
- Wtem zagadnęła panna Rita:
- Kiedyż pan nas zawiezie do Głębowicz? Mamy już dawno obiecać.
- Ja nie oznaczam dnia, to od pań zależy. Bramy głębowickie są otwarte codziennie na przyjęcie  
gości.
- A zatem walna i stanowcza narada dziś z pańskim dziadkiem i Idalką. Chodźmy.
- Panna Rita i Trestka poszli naprzód. Gdy Stefcia wchodziła w drzwi, idący za nią Wal-  
demar rzekł zniżonym głosem:
- Jestem niezmiernie rad, że pani pozna Głębowicze. Panią proszę szczególnie o przy-  
jazd. Wszyscy znają moją siedzibę prócz pani.
- Dziękuję – odpowiedziała obojętnie.
- Czy pani gniewa się na mnie? – spytał zastępując jej drogę. Podniosła na niego oczy.
- Panie ordynacie, proszę mi pozwolić przejść.
- Nie ustąpię, aż mi pani powie, o co proszę: gniewa się pani na mnie?
- Nie.
- Pozwalam sobie wątpić o szczerości pani odpowiedzi. Dotknąłem panią, lecz sam by-  
łem wściekły. Teraz przepraszam. Pani mi nie poda ręki na zgodę?
- Panna Rudecka prędko wyciągnęła dłoń, którą on uściśnął mocno, pochylając nisko gło-  
wę.
- Nie zauważyli panny Rity, stojącej na schodach, ale ona widziała ich doskonale. Poruszyła się  
nerwowo i zawołała zmienionym głosem:

- Skoro przymierze zawarte, proszę na kolację. Idalka czeka.  
Waldemar i Stefcia w milczeniu wstępowali na schody. Rita mówiła nienaturalnym tonem, kładąc nacisk na każdy wyraz:
- Nie powinniśmy tak długo spacerować po parku. Teraz wieczory są zbyt upajające... zwłaszcza ta malwowa uliczka...
- Czy oświadczył się pani hrabia Trestka? – spytał szorstko Waldemar. Zagadnięta zbladła.
- Nie, ale może... ja mu się oświadczę – odparła prędko i szeleszcząc jedwabiami pobiegła naprzód.
- Stefci zaczęły bić mocno pulsa w skroniach.

## XVI

Żniwa. Łany żyta i pszenicy chylą ociężałe głowy. Przeciągły chrzęst słomy znamionuje dojrzałość ziarna. Szum przelatuje po polach, jakby żaloszny dreszcz, przecucie śmierci... A świat tak piękny! Czysty błękit, złoto słońca, ciepłe powiewy łączą się w całość barwną i upajającą.

Lato! lato w całej pełni, w całej krasie! znojne, wyciskające pot na czołach robotników pochylonych w pracy, a tak bogate i rozśpiewane. W zbożach krzyczą przepiórki, na łąkach drą się derkacze, odzywają żaby, potężnym chórem zawodzą drobne ptaszęta.

Każdego ranka głośno i wrzaskliwie nad przestrzenią dojrzałych zbóż. Ścięte łany bezmiernie smutne jeżą się krótko przy ziemi. Długie ich włosy, powiązane w snopki, stoją w stożkach niby pomniki na cmentarzu. Zboża, jeszcze nie skoszone, chylą głowy nad pobożnym wiskiem towarzyszy i dumają żalosznie nad złą dolą, która ich nie minie. Cicho szepczą pacierze przy akompaniamencie organów ptasich. Zdziwione przepiórki wysuwają główki na pustą przestrzeń i wystraszone martwością, cofają się w gęsty las żółtej, słodko szumiącej słomy. Gdy słońce wypływa całą tarczą na błękit nieba, wszystko milknie, inne głosy panoszą się, tłumiąc świergoty i rozpraszając ptasie wiece. Nie można już śpiewać nad ściętymi snopkami, bo ostry zgrzyt sierpów kładzie koniec marzeniom. Jeszcze większe przerażenie wzbudzają groźne maszyny, sunące na nieszczęsne łany. Z daleka je słychać. Okropne skrzydła, spiętrzone na grzbietach, hurkot i trzask oznajmniają zbliżanie się tych potworów, ciągnionych przez konie. Maszyny wchodzą na łany i rozpoczynają dzieło śmierci. Trzask nie ustaje, żelazne zębiska bez miłosierdzia mordują smukłą pszenicę i dziarskie żyto. Wielkie skrzydła nabierają rozmachu, ściętych nieboraków odsuwając masami na bok. Ostre zęby niosą śmierć, one zaś odgarniają trupy, i tak bez przerwy.

Drugie potwory, ścinając, wiążą nieszczęsne łodygi w duże snopki i wyrzucają je w górę jak piłki. Wystraszone ptaszęta, nie chcąc patrzeć na rzeź, frunęły do lasu; przepiórki piechotą uciekały jak najdalej, a nad polem zniszczenia i grozy świeci słońce jasne, złociste, obojętne

na to, co się dzieje. Zostają tylko ludzie, pracujący wesoło, ze śpiewami. Nie czują, że taką czynią klęskę.

Po południu, kiedy już słońce pochyliło się na zachód, drogą pomiędzy polami pszenicy, gdzie pracowały zniwiarki i samowiązałki, jechała niewielka grupa jeźdźców. Dwie amazonki i dwaj panowie dążyli ostrym klusem w równej linii. Panna Rita na roslym folblucie, w czarnej amazonce i w cylinderku, wyglądała zwycięsko. Obok niej Trestka, w angielskiej czapeczce, miał na koniu ruchy wężowe. Druga para to Waldemar i Stefcia. On w eleganckim kostiumie i wysokich, czarnych botfortach z ostrogami, jakie nosili wojskowi w czasach napoleońskich, siedział jak przymurowany do karego wierzchowca, araba czystej krwi. Jechał wybornie i wyglądał na siodle posągowo. Było w nim coś, co przypominało wodza. Stefcia, w granatowej angielskiej sukni i małym kapeluszu, jechała śmiało, a zarazem wdzięcznie na karej arabce Erato, wierzchówce Waldemara.

Ordynat jechał blisko, czuwał nad każdym jej ruchem, często sam powstrzymywał klacz, robiąc Stefci rozmaite uwagi.

– Pani już chyba jeździła konno? – spytał – bo to na pierwszy debiut nie wygląda.

– Owszem, trochę próbowałam, ale na męskim siodle i na kucu. Na tak pysznym rumaku znajduję się pierwszy raz.

– Więc jest pani stworzona na amazonkę. Ja się na tym znam – zawyrokował Trestka.

Stefcia spojrzała na Waldemara, jakby pytając: „Co ty powiesz, bo z tamtego zdaniem się nie liczę”.

Ordynat popatrzał chwilę w oczy dziewczyny. Zrozumiał nieme pytanie, uśmiechnął się i skinął głową twierdząco.

74

– Dobrze wyglądam? – spytała uparta Stefcia.

– Caca! – rzekł z uśmiechem.

Na twarzy Stefci zapaliła się przelotna łuna rumieńca, charakterystyczna u niej. Robiło to wrażenie, jakby twarz zakwitła. Silnie trąciła klacz pejcem. Erato z fantazją ruszyła naprzód i z miejsca zaczęła unosić. Suknia Stefci pobudzała ją, bijąc w oczy. Wzniósł się kłęb kurzu. Panna Rita krzyknęła, Trestka zaczął wołać:

– Niech pani ściąga cugle... mocno... mocno!

Ale Waldemar już puścił swego konia wyciągniętym galopem. Apollo zdawał się ziemi nie dotykać. Za nim ruszyli z kopyta dwaj masztalerze, jadący z tyłu. Lecz Rita wstrzymała ich ręką.

– Jeśli ordynat nie dogoni sam, to i wy nic nie zrobicie, a większy tętent straszy klacz. Jednak oboje z Trestką i masztalerze popędzili pędzej. Ale Stefcia i Waldemar znikli im z oczu, przesłonieni kurzawą pyłu. Erato, stuliwszy uszy, gnała jak wicher, tuż za nią cwałował Apollo. Waldemar miał oczy utkwione w Stefcię, lecz widząc, że się mocno trzyma i nie traci przytomności, nie wołał na nią, bojąc się płoszyć klacz. W kilku szalonych skokach zrównał się z Erato i pochwyił cugle ściągając je silnie. Wierzchówka, poczuwszy silną rękę, zwolniła pęd. Wówczas ordynat ją zrzędził;

– Miałem panią za co chwalić! Ładnie, bardzo ładnie!...

Stefcia oddychała szybko, trochę blada i przestraszona, ale uśmiechnęła się do niego wesoło:

– Powinien pan chwalić, bo zamiast spaść, siedzę na siodle. Nawet nogi ze strzemion wyjęłam.

– Umyślnie?

– Tak, na wszelki wypadek.

– No, wie pani, że nie posądzam pani jako nowicjuszki o tyle przytomności. Brawo! brawo! a ja pędziłem jak wariat. Włosy mi na głowie powstawały na myśl, że pani może spaść. Stefcia spostrzegła, że był blady i widocznie przerażony. Chciała mu podać rękę, ale on miał obie zajęte, więc szepnęła gorąco:

– Bardzo panu dziękuję, bardzo... i przepraszam.

– Za co?  
 – Za... zmęczenie.  
 – Prędej za to, że się wystraszyłem jak żak, co mi się nieczęsto zdarza.  
 – I cóż by mi się stało, gdybym spadła? przesłabym chrzest konnej jazdy.  
 – Pani jest jeszcze wielki dzieciak... Nadjechała panna Rita, Trestka i masztalerze.  
 – Uf! mam tremę z powodu pani! – wołał młody hrabia. – Pędziliśmy tak, że ledwo żyję. Jeśli dostanę ataku sercowego, to będzie pani winna, tym bardziej że nie jestem tu potrzebny, jak widzę.  
 – Panie hrabio, zakończenie psuje efektowną całość – rzekła Stefcia z udaną powagą. Panna Szeliżanka wieszowała jej dzielnego trzymania się na koniu, po czym skęcili na pole do żniwiarzy.  
 Ogromny pas złotej pszenicy chylił się posłusznie przed żniwiarkami. Samowiązałki su- neły równo, wyrzucając gotowe snopki; dalej widniał rząd przegiętych dziewczyn i kobiet w krańnych spódnicach i białych koszulach; sierpy migwały w ich burakowych rękach; postępowały rażno naprzód z uznojonymi czołami, lecz pieśnią na ustach. Wielka praca rąk, mechanizm maszyn i bogate łany nadawały polu wygląd bardzo postępowy. Wozy długie, mocne, zaprzężone w rosłe, spasione konie, przeważnie gniadej maści, zabierały gotowe kopy, zwo- żąc je do stodół po folwarkach i do lokomobil, młójących wśród pól. Fornale, ogromne chło-

75

py, w białych płóciennych ubiorach i słomkowych kapeluszach, mieli typowy wygląd tubyl- ców.

Gdy konne towarzystwo zbliżyło się do samowiązałek, podjechał do nich rządca, również na koniu, młody człowiek i energiczny. Skłonił się z wesołą swobodą. Ordynat przedstawił go paniom.

– Pan Ostrożęcki, mój pomocnik, więcej, moja prawa ręka.  
 – Tylko lewa, panie ordynacie – odrzekł wesoło rządca. Panie skinęły głowami z uśmiechem.  
 – A gdzie są panowie praktykanci? – zapytał Waldemar.  
 – Zostawiłem ich bliżej rezydencji. Ze mną są dwaj ekonomowie z Brzozowa i Romnów.  
 – A samowiązałki nie psują się? Mechanik dobry?  
 – Znakomity! jak najlepszy Anglik. Trestka podsunął konia bliżej i zapytał:  
 – Chciałbym się dowiedzieć, skąd pan sprowadził te samowiązałki, bo widzę system amerykański, a firmę warszawską.  
 – To są krajowe, nasza praca i żelazo. Sprowadziłem montera z fabryki Mac-Cormicka i pod jego dyrekcją firma warszawska zrobiła to samo.  
 – Ale ten nie wygląda na Amerykanina?  
 – Rodowity warszawiak, tylko uczeń tamtego. Trestka kręcił głową.  
 – No i dobrze działają? Nie psują się co kwadrans?  
 – Bardzo rzadko. A zresztą zagranicznym zdarza się to również. Ludzie obznajmieni, mechanik dobry i robota idzie pomyślnie. .  
 – Nadzwyczajne rzeczy – mruknął zdziwiony Trestka.  
 – Gdyby tak wszyscy robili za przykładem pana – rzekła Stefcia.  
 – Toby wszystkie zagraniczne firmy zbankrutowały!  
 – Bądź pan spokojny – rzekł Waldemar. – Nie jesteśmy tak dalece kulturalni, żeby fabry- ki amerykańskie bezpośrednio miały się na nas oglądać. Na swe maszyny Ameryka i Anglia mają dosyć własnych konsumentów, nie licząc obcokrajowców.  
 – Ja bym nie ufał maszynom u nas wyrabianym.  
 – Toteż je pan z daleka omija – rzekła panna Rita.

– A ja ufam – mówił Waldemar – patrz pan, co im brak? Działają dobrze, wyglądają tak samo jak zagraniczne, bo system jest ich, a że praca naszych rąk i materiał krajowy, to chyba ujmą im nie przynosi.

Wkrótce towarzystwo pożegnało rządcę i zawróciło do Słodkowic. Waldemar rzekł do Stefci:

– Widziała pani jeden narożnik głębowicki, ale czy pani nie zmęczona? Bo jak na pierwszy spacer, to trochę za daleko.

– Co znowu! nie jestem filigranowa, mogłabym dotrzeć do samych Głębowicz.

– Nie, tam pojedziemy brekiem.

Minęli szereg żniwiarek i zbliżali się do barwnego sznura żniwiarzy z sierpami. Panował wśród nich gorączkowy ruch. Waldemar przeczuł, co to znaczy, bo się uśmiechnął.

W tej chwili parobcy i kobiety podbiegli, trzymając w rękach poskręcane w olbrzymi wieniec kłosa i składając w miejscowym języku krzykliwe życzenia, otoczyli kołem jadących.

Waldemar dał im kilka sztuk złota. Nastąpiło wielkie całowanie rąk i butów ordynata, który ze śmiechem bronił się od napaści. Stefcię rozrzewniła ta scena. Chociaż moneta stała się ważnym powodem do rozczuleń, jednak w serdecznym garnięciu się prostych ludzi do ordynata przebijało jeszcze coś innego. Był on ich panem i ulubieńcem. To rzucało się wszędzie w oczy, począwszy od rządcy; wyższa administracja i cała służba zwracała się do niego z

76

wyjatkowymi oznakami uwielbienia, wychodzącymi poza granice zwykłego szacunku należnego pracodawcy. Bali się go wprawdzie, ale i czcili prawdziwie.

Panna Szeliżanka myślała to samo i rzekła do Waldemara:

– Pan wśród swych majątków i ludzi robi na mnie wrażenie udzielnego księcia. Aż serce rośnie, gdy się patrzy na porządki i dyscyplinę niemal wojskową. I jak to wszystko jest ujęte w ramy miłości dla pana. To właśnie najbardziej zastanawia. Nasi ludzie rzadko kochają, gdy się ich trzyma w rękach, a kiedy im wszystko wolno, przestają szanować. U pana inaczej. Jest dyscyplina, wielki posłuch, szacunek i miłość ludu. To fenomenalne! Niech mi pan powie, czym się to dzieje?

– Bardzo proste – odparł Waldemar – wymagam wiele od ludzi i trzymam ich nawet trochę feudalnie, ale dbam o wszystkie ich potrzeby. Dobrze jeżdżą, dobrze mieszkają, nie tyraniżuję ich i jestem sprawiedliwy. Oto cała umiejętność. Nie gnębię ich sądami, tylko sam wymierzam kary, naturalnie nie cielesne.

Roześmiał się.

– Przy tym lud tutejszy jest dobry – dodał.

– Nie wszędzie. To także przywilej pańskich dóbr – odrzekła Rita.

– Widocznie wszyscy Michorowscy trzymali się tego systemu.

– Ale nie wszyscy byli tak lubiani jak pan. Pan Maciej nigdy nie cieszył się taką popularnością ani też pański ojciec.

– Mamę wspominają zawsze, nazywając aniołem.

– Bo córka ciotki Podhoreckiej nie mogła być inną. Zna pan stosunek włościan w Obronnem do cioci, na rękach ją noszą. Ale to co innego: ciocia jest kobietą i nie zajmuje się zarządaniem gospodarstwem, o ludzi natomiast również bardzo dba. U pana ten stosunek idealny bardziej zastanawia.

Trestka zrzucił nerwowo binokle, co znaczyło, że chce mówić.

– Słuchamy! – zawołali wszyscy ze śmiechem.

Trestka popatrzał osowiałym wzrokiem i rzekł machnąwszy ręką:

– Ja tam jestem zawsze na złej stopie z chłopstwem i ani myślę się starać o zmianę stosunku.

Mam dbać o ich chałupy i żołądki, kiedy oni mi wypasają łąki i zboża.

– Niech pan ureguje serwituty.

– Nie mam czasu. Zresztą przyzwyczaiłem się już do procesów. Nie ciąży mi.  
 – Jest się czym chwalić – wzruszyła ramionami panna Rita. – Nie ma pan czasu! A cóż pan robi, ciekawam?...

– Staram się o panią – rzekł zapytany z szorstką otwartością. Waldemar i Stefcia wybuchnęli śmiechem.

– Czyli wynika z tego, że pani jest bezpośrednią przyczyną ciągłych procesów pana Trestki – powiedział ordynat.

– Na które jednak pan Trestka znajduje czas – wtrąciła złośliwa Rita.

– Myli się pani! Wszelkie procesy prowadzi mój administrator. Ja w Ożarach tym się nie zajmuję.

– Tylko czym?

– Oborą i młynem parowym. Panna Rita zaśmiała się.

– A prawda! Przypominam sobie opowiadanie, naszego stangreta. Kiedyś niechcący usłyszałam w stajni, że dziedzic ożarowski cały dzień siedzi w młynie i biczem kręci. Musi ich pan mieć ogromny zapas.

Trestka nic nie odpowiedział.

Wjechali na pola słodkowickie, gdzie znowu szeregi zniwiarek i zniwiarzy pod dozorem rządcy Klecza pustoszyły łany złotej pszenicy.

Zapadał z wolna wieczór.

77

## XVII

Czerwony brek z szosy wytoczył się na boczną drogę, wysadzaną po bokach topolami. Kara czwórka rwała tęgiego klusa, migały w słońcu brązy upręży, dzwoniły bogate rzędy, konie parskwały wyrzucając łbami. Ranek był orzeźwiający, pełen świeżych powiewów i nasiałki rosą po nocnym deszczu.

Tu i ówdzie na drodze błyszczały małe lusterka wody. Wysokie przydrożne topole i łany zbóż wykapanie zbierały na liście i kłosa mnóstwo złotych promieni. Kurz leżał, przybity wilgocią, w powietrzu nie unosił się najmniejszy pyłek. Cały świat wyglądał jak niepokalanie czysty namiot z błękitnych iluzji, białych muslinów, złotych nici i brylantowych ozdób. Ptaki, zwilżając gardła rosą, zbieraną z liści, śpiewały rozgłośnie. Skrzyp koników polnych dźwięczał ostro, lecz wesoło.

Wszędzie powietrze, powietrze... powietrze! Bezmiar – nieskończoność!

Błękit, kryształ bezpylny, rosisty, działał i na dusze ludzkie. W breku nie było cieniów i nieprzyjaznych pyłków, tylko ożywcza rosa wesela, przezroczystych uśmiechów.

Śpiewały ptaki, konie parskwały, ludzie śmiali się i bawili. Brek połyskiwał w słońcu czerwienią, jaśniały suknie pań, twarze zaróżowił zdrowy rumieniec poranku.

Kara czwórka pędziła, jakby konie miały skrzydła. Brek chwiał się i huśtał na resorach.

– Panie Waldemarze, pan nas dziś wyrzuci, zanim dojedziemy do Głębowicz – zawołała hrabianka Paula Ćwilecka, siedząca po prawej stronie breku między hrabią Trestką i młodym Wilhelmem Szeligą, bratem panny Rity. Spod ogromnego kapelusza spojrziała zalotnie na swych sąsiadów, potem na siedzącego naprzeciw barona Weyhera i szczebiotała znowu:

– Który z panów pragnie zastąpić ordynata w powożeniu, niech podniesie dłoń do góry.

– Proszę się nie fatygować, bo ja się zastąpić nie dam – zawołał z kozła Waldemar.

– My pana zrzucimy.

– Ciekawym, jak?

– Po prostu zejdzie pan na naszą prośbę.

– Nie, ja nie jestem taki grzeczny.

– Wszystko to przez pannę Ritę. Pan Waldemar pysznie jedzie, tylko pani tam niepotrzebna – wołał Trestka.

Oparł się o poręcz kozła, pochylił głowę, jakby chcąc zajrzeć w twarz Ricie. Ale spioru- nowała go wzrokiem.

- Siedz pan cicho, kiedy panu dobrze. A nie, to marsz na koniec breku.
- Chyba siądę na kolanach pana Wilhelma...
- Pomieściecie się państwo. Zresztą Wiluś przejdzie na pańskie miejsce.
- Protestuję! Mnie tu dobrze – odparł student wznosząc oczy na siedzącą naprzeciw Stef-  
cię.

– A co? widzi pani? Panu Wilusiowi tam dobrze, a mnie tu dobrze. Tylko brak pani na vis-a-vis.

- Bardzo ładnie! – oburzyła się Lucia. – To znaczy, że ja nie jestem vis-a-vis.
- Jest pani, mais oui!<sup>23</sup> Tylko pannie Ricie nie do twarzy na kozle.
- Ale jeszcze mniej na vis-a-vis pana! – odcięła się młoda panna.
- Ja państwa pogodzę – wtrąciła się Paula. – Niech pan Trestka odbierze lejce z rąk ordy-  
nata i będziecie wprawdzie nie vis-a-vis, lecz â côté...<sup>24</sup>
- Na pewno niezadługo leżelibyśmy w rowie – zaśmiała się Rita.

23 mais oui! (fr.) – ależ tak!

24 â côté... (fr.) – obok (siebie)

78

– Voilà! c'est le mot!<sup>25</sup> W rowie – wtrącił baron Weyher – z uśmiechem na wąskich ustach.

Trestka rzucił mu złe spojrzenie.

- Najlepiej niech pan baron powozi w asystencji panny Pauli – odciął się zirytowany.
- Raczej ja w asystencji barona. Omylił się pan.

Trestka machnął ręką, jakby mówiąc: „Mało mię to obchodzi”.

- No więc dobrze? – spytał głośno.
- Ja nie chcę. Tam na kozle pewnie błoto bryzga. Nie lubię być blisko koni – rzekła hra-  
bianka.
- Ja również nie powożę. Tego sportu nie uprawiam – wysylabizował baron. – Ale może moja  
sąsiadka i pan Wilhelm?...

Stefcia pokręciła głową.

– Niepotrzebnie o tym rozprawiamy, bo pan ordynat dowiezie nas do miejsca i jak sam mówi,  
nie da się zastąpić.

- Dziękuję pani za poparcie – zawołał Waldemar.
- Zresztą my będziemy śpiewali – rzekł Wiluś.
- Doprawdy? – spytała hrabianka Paula mrużąc oczki.
- To dopiero projekt – wtrąciła Stefcia.
- Ale niebawem w czyn się zmieni. Więc co pani woli?
- Ich liebe dich<sup>26</sup> czy Du liebst mich?<sup>27</sup> – ozwał się Trestka.
- Najpewniej: Wir lieben uns<sup>28</sup> – dodała, śmiejąc się, Paula.
- My będziemy śpiewali po polsku – rzekła Stefcia.
- Coś, co przypomina Heidelberg albo Sacre-Coeur? – wycedził baron.
- Dlaczego Sacre-Coeur?
- No więc może jaki inny klasztor.
- Ale dlaczego?

Trestka podniósł głowę do góry i poprawiając binokle rzekł krzykliwie:

- To dziwne! Ja nie uważam, żeby panna Stefania trąciła zakonnicą.
- Za to on trąci bonifratrami! – mruknął Waldemar. Rita parsknęła śmiechem.
- Qu'est-ce que c'est que<sup>29</sup> „trąci”? – zapytał baron.
- C'est le mot dur, monsieur<sup>30</sup> – odrzekła Stefcia z ładnym uśmiechem.
- Ah, oui!<sup>31</sup>

Do barona zwrócił się młody Szeliga:

– Dlaczego pan myślał, że panna Stefania wychowana w klasztorze?

– Bo jest jakaś inna. Est-ce que je sais?<sup>32</sup> Nie umiem tego określić. Może nieprzeciętna? Mon Dieu!<sup>33</sup> zawsze nie tak.

– Ja panu pomogę. Jest kryształowa, biała jak śniegi tatrzańskie. Ale to nie klasztor urobił ją taką, to natura.

– Co?

– Tak, natura!

25 Voilà! c'est le mot! (fr.) – Oto właściwe słowo!

26 Ich liebe dich (niem.) – Kocham cię

27 Du liebst mich (niem.) – Kochasz mnie

28 Wir lieben uns (niem.) – Kochamy się

29 Qu'est-ce que c'est que (fr.) – Co to jest

30 C'est le mot dur (fr.) – To twarde słowo

31 Ah, oui! (fr.) – Ach, tak!

32 Est-ce que je sais? (fr.) – Czy ja wiem?

33 Mon Dieu! (fr.) – Mój Boże!

79

Student zakreslił szeroki krąg i z błyszczącymi oczyma zawołał:

– Ta natura złota, błękitna, otaczała ją od kolebki i stworzyła na podobieństwo swoje. Nie zaćmił jej miejski kurz, nie zbrukał brud moralny. Oddychała kryształem i stała się nim. Wchłoneła w siebie błękit i złoto...

– Jednak „Journal des Modes” musiała przeglądać, bo się wcale ładnie ubiera – przerwał Trestka.

Zaśmiano się.

– Mam wrażenie, że siedzę na cenzurowanym – rzekła Stefcia. Hrabianka Paula skrzywiła się.

– Fi! cenzurowane... To już niemodne.

Baron pokiwał głową i gładząc bokobrody spojrział uważnie na studenta.

– Pan to ładnie powiedział... o tym kryształ. Oui, c'est très beau!<sup>34</sup> Superlatyw nie bar- dzo wyszukany, ale poetyczny i wdzięczny. Superbe!...<sup>35</sup>

– Pamięta pan ukwiecone stopy? – szepnęła Rita do Waldemara.

– Stopy?... A tak! – odrzekł zamyślony.

– Określenie Wilusia podobne do pańskich stópów. Nieprawdaż?... Nie słyszał pan, co mówił Wiluś?

– Słyszałem.

Patrzył na szerokie łany pszenicy, lśniącej atlasem, rosistej, bujnej, i myślał:

– To ona!

Patrzył na lazury nieba bez chmurki, na srebrną toń powietrza i myślał:

– To ona! Tak czysta, taka biała, złota, kryształowa... Dowcipny smarkacz! Ale czego on się nią tak zachwyca? Bo to określenie...

Obejrzał się.

– Rozmawiają z sobą...

Wtem konie szarpnęły gwałtownie. Ordynat ściągnął lejce, aż kopytami wryły się w ziemię, i strzelił z bata z niesłychaną irytacją.

Na breku powstał krzyk.

– Konie ponoszą! – krzyczała hrabianka.

– Waldy, co robisz – wtórowała Lucia.

Panna Rita patrzyła na Waldemara spod rzęs i stopniowo twarz jej traciła kolory, usta zaciskały się bólem.



- Niech pan stanie – szepnęła – ja przesiądę się.
  - Nie stanę, bo rozhukałem konie. Proszę się nie ruszać.
- Rozkazujący ton jego głosu podziałał na nią dziwnie. Doznała nieokreślonego wrażenia. Usta jej zadrgały, na bladą twarz wystąpiło kilka różowych plamek, zdawała się wahać nad czymś, wreszcie spytała swobodnie:
- Nie chce pan, żebym się przesiadła, dlatego że konie rozbiegane, lecz gdyby nie to?...
  - Nie śmiałybym się sprzeciwić.
  - Och! rozumiem!...
- Zacięła usta i gorączkowo potrząsała batem, wyrwanym z rąk Waldemara.
- Co pani robi? – zdziwił się.
  - Chcę, aby nas konie ponosiły.
  - Jeśli ja nie zechcę, to to nie nastąpi.
  - Taki pan pewny?
  - Najpewniejszy!
  - Ach, Boże! gdybym mogła...

34 Oui, c'est très beau! (fr.) – Tak, to bardzo piękne!

35 Superbe! (fr.) – Wspaniale!

80

- Wybić mię tym batem. Co?...
  - Coś na kształt tego.
  - Każdy dbałym jest o własne bezpieczeństwo, ja również, więc... może pani przesiadać. Ściągnął lejce. Czwórka stanęła w miejscu, przy czym konie, nagle zatrzymane, pośli-znęły się nieco na tylnych nogach.
  - Może pani przesiadać – powtórzył z uśmiechem. Panna Rita popatrzała mu prosto w oczy.
  - Wie pan, że pan jest...
  - Nieznośny! Wiem o tym.
  - Arogant!
  - Spełniłem życzenie pani.
  - Och!
- Trestka zerwał się z ławki.
- Dlaczego stanęliśmy? A! nareszcie namyśliła się pani!... Któraż z pań teraz na kozio-łek?
- Będziemy ciągnęły węzełki – rzekła Rita.
  - Doskonale!
- Waldemar skrzywił usta.
- Panna Rita rzuciła mu szeptem przez ramię:
- Dostanie pan Lucię. Ja w tym.
- Panna Rita wiązała węzełek na chusteczce, po czym wysunęła stuloną dłoń, z której wy-głądały trzy jednakowe białe rożki, jak listki rozkwitłe, i obracając się do towarzystwa, rze- kła:
- Proszę, niech panie ciągną.
  - Fi! to taki brzydki zwyczaj – grymasiła hrabianka.
  - Bardzo dobry.
- Panna Rita rożek z ukrytym węzełkiem skierowała najbliższej Luci, pragnąc, aby dziew- czynce się dostał.
- Proszę ciągnąć.
- Hrabianka chwyciła za rożek środkowy, Lucia za ostatni, Stefcia wzięła pierwszy z brze- gu.

Rita przygryzła usta i roztworzyła dłoń.

– Panna Stefania! – zawołali wszyscy.

Wilhelm Szeliga był zły. Stefcia poczerwieniała.

Waldemar rzucił tryumfujące spojrzenie na Ritę i zaczął z nadzwyczajną uprzejmością pomagać jej do przejścia na brek. Nastąpiło zamieszanie.

Rita klóciła się z Trestką, a Stefcia, stojąc na schodkach, żartowała z Wilhelma, który ją zapewniał, że ciągnięcie węzełków to barbarzyński zabytek.

– Proszę panią! – zawołał na nią Waldemar.

Stefcia zręcznie przeszła pomiędzy siedzącymi, jak smukły narcyz w swej białej muśli- nowej sukni, świeżej i szumiącej. Głowę strojną w bujne fale ciemnozłotych włosów, zwinętych w ciężki węzeł na tyle głowy, osłaniał duży ogrodowy kapelusz, przybrany puchem muślinu i pękiem delikatnej seledynowej trawy. Zaróżowiona, roześmiana, z błyszczącymi oczyma, dziewczyna była śliczna w swym pomieszaniu, z jakim prześlizgiwała się przez środek breku.

Waldemar podał jej rękę, ścisnął mocno, a drugą wziął ją powyżej łokcia.

– No... hop!...

Wskoczyła na ławkę, niesiona prawie przez niego, przeszła barierkę i ze śmiechem usiadła obok ordynata. On zawołał na konie, brek potoczył się rażno naprzód.

– Rasowa! – rzekł z cicha baron Weyher.

81

– Jak pan mówi? – podchwycił student.

– Rasowa! Pan pewnie powie: „natura”?

– Tak, ale wy się na tym nie rozumiecie.

Stefcia doznała jakby uderzenia w serce. Bliskość Waldemara działała na nią potężnie. On był widocznie poruszony. Krew węgierska, której miał w sobie trochę, zagrała w nim, nozdrza zaczęły latać, oczy zabłysły ogniem. Milczeli oboje. On myślał:

– Co się ze mną dzieje? Mniejszego doznawałem wrażenia w dżungli, gdym czatował na lwy. Co ta dziewczyna ma w sobie?...

Paula spod koronki kapelusza spoglądała na Stefcie z niechęcią. W duszy jej nurtowało.

Nie kochała się w Michorowskim, ale rachowała na niego. Drażniło ją, że on jej nie hołdował, lecz podobała mu się ta „cudza” dziewczyna. Hrabiankę gniewał Wilhelm Szeliga za to, że porównał Stefcie do kryształu, i baron, że nazwał ją rasową, a przedtem powiedział, że jest inna. Pewnie że inna, bo z innej sfery...

– Za wiele wzbudza zainteresowania ta nauczycielka – myślała panna Ćwilecka. – A jaka swobodna! jakbyśmy dla niej byli równi. Jest rozzuchwalona! Lucia uważa ją jak siostrę. Albo Rita! Traktuje jak koleżankę. Pan Maciej spieszca jej imię na Stenię, ordynat robi jej honory. Wszystko to nie ma sensu, będzie o sobie myślała Bóg wie co!...

Gniewne rozmyślenia hrabianki przerwała Lucia wołaniem:

– Powozy nas doganiają! Wszyscy się obejrzeli.

W pewnej odległości za brekiem sunęły dwie czwórki prawie w jednym rzędzie; ponad głowami koni widniały sztywne postacie stangretów i baldachimy parasolek.

– Nie rozumiem, jakim sposobem mogli nas dogonić. Przecie wcześniej wyjechaliśmy – rzekł Trestka.

– Widać karosze pana ordynata zmarniały – wtrąciła ironicznie panna Rita. Waldemar odwrócił się rozbawiony.

– Raczy pani przypomnieć sobie, żeśmy stali na drodze dobry kwadrans, zawdzięczając jej przesiadaniu.

– Czy panu źle?

– Mnie? Bajecznie!

– Krzywda się panu dzieje?

– Cóż znowu! ale niech pani nie krzywdzi karych.

Pojazdy zrównały się. Pierwsze lando mieściło w sobie księżnę Podhorecką, pana Macieja i księcia Franciszka z żoną. W drugim powozie jechała pani Elzonowska i hrabiostwo Ćwileccy ze starszą hrabianką Michaliną. Waldemar zatrzymał konie, stanęli i stangreci.

– Cóż państwo tak wolno jadą? – wołał książę Podhorecki.

– Nie spodziewaliśmy się was dogonić – dodał pan Maciej.

Waldemar zgarnął lejce w jedną rękę, drugą z batem oparł na poręczy kozła za plecami Stefci i wychylony przed nią, zawołał wesoło:

– Mieliśmy na drodze katastrofę.

– Katastrofę? Jaką?

– Zbuntowała nam się panna Rita.

Był rozbawiony, szare oczy śmiały mu się, usta płonęły, spod nastrzępionych wąsów błyskały zęby. Zgrabnie przegięty, pełen szykownej a niedbałej elegancji, miał w sobie coś ju-nackiego. Pyszny w swej postaci magnata, pociągał oczy wszystkich.

Przy nim Stefcia, biała i różowa, wiotka i dziwnie wdzięczna, również pełna uśmiechów, wyglądała bardzo ładnie. Razem tworzyli parę niesłychaną. Obie księżne przyglądały im się

82

ciekawie, z drugiego powozu pani Elzonowska przez swe typowe szpareczki i hrabina przez lornetkę. Hrabinę dotknęło, że Stefcia siedzi obok ordynata.

Po odezwaniu się Waldemara panna Rita stanęła w breku i machając rękawiczką, zaczęła wołać:

– Niech państwo nie wierzą. Ordynat jest dziś anormalny, plecie jak w malignie.

– Jak to? Czy nie zrobiła mi pani awantury?...

Rita zaczęła się tłumaczyć, a wtem wycedziła hrabina Ćwilecka:

– Kiedyż nareszcie dojedziemy do Głębowicz? Szalony kawał.

– Chwytam wiorsty rozpaczliwie i pozostało nam już tylko pięć – odrzekł Waldemar.

– A! to dobrze!

– Więc nie traćmy czasu. Do widzenia!

– Za pół godziny.

– O ile nie będzie nowego strajku panny Rity – żartował ordynat.

– Panie, bo się zemszczę!.

– Byle nie w tej chwili.

Brek ruszył naprzód, powozy jechały wolniej. Młoda księżna mówiła do męża po cichu:

– Uważałeś, jaka to ładna para: Waldy i panna Stefania? Une très belle fille<sup>36</sup>.

– Widziałem, że są rozpromienieni.

– O czym mówicie? – spytała starsza księżna.

– O młodej parze na koźle breku.

– A tak! Waldy jest jak odrodzony.

– A ona kwitnie – dodał pan Maciej.

– Dopełniają się wzajemnie.

Inna rozmowa toczyła się w powozie. Hrabina rzekła z gniewem do pani Idalii:

– Wiesz? To jest natręctwo tej dziewczyny.

– Co? – spytała pani Idalia.

– No, to... to... pakowanie się na kozioł obok ordynata.

– Słyszałaś, co mówiła Rita? Ciągnęli węzłki.

– Już tylko ty jej nie broń. Jest arogantka! Dziwię się, że pozwalasz na jej wybryki.

– Nie widzę żadnych. C'est une noble fille<sup>37</sup>, Lucia ją bardzo kocha.

Pani Idalia była dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Spozrzegła to hrabina i już niż nic więcej nie powiedziała, zaczęła tylko sapać z irytacji.

W breku tymczasem wrzało.

Rozmawiali wszyscy, hrabianka Paula z baronem, panna Rita z Trestką, Lucia i Wiluś śpiewali krakowiaki, zanosząc się od śmiechu. Na koźle Waldemar mówił do Stefci:

– Widzi pani te dwa białe słupy po bokach drogi? To są graniczne. Już jesteśmy na gruntach głębowickich. Nigdy może nie czułem tyle szczęścia z posiadania tych obszarów ziemskich, jak w tej chwili, i to z powodu pani.

– Z mego powodu? Jakim sposobem? – spytała Stefcia zdziwiona. Waldemar uśmiechnął się.

– A choćby dlatego, że te ukwiecone własne łąny mogą pani pokazać, że panią wiozę do siebie. Czy to samo nie może już dać pewnej dozy zadowolenia?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Takie niepodobne do pana to, co pan powiedział – rzekła poważnie. Popatrzał na nią ciekawie.

– A do kogo? – zapytał.

36 Une très belle fille (fr.) – Bardzo piękna panna

37 C'est une noble fille (fr.) – To jest szlachetna panna

83

– Choćby do pana Szeligi, bo ja wiem zresztą.

– Niech mi to pani wytłumaczy.

– Po co, kiedy pan sam doskonale to rozumie.

– Przyznam się pani, że niezupełnie.

– Niepodobne to do pana, bo jest zbyt szablonowe.

– O!...

– Zresztą pan był nieszczerzy, mówiąc tak...

– Jak mi Bóg miły, skandal! Dlaczego miałem być nieszczerzy? Wilusiowi wolno porównywać panią do kryształów, błękitów, złota, a ja nie mogę wypowiedzieć tego, co czuję? Dlaczego Wiluś może?...

– Bo to Wiluś! – zaśmiała się ubawiona Stefcia z łagodnym grymasem ust.

– A ja jestem Waldy...

– A pan jest ordynat Waldemar Michorowski. Żachnął się zły.

– Ordynat głębowicki, właściciel Słodkowic, Grabonowa, Biało-Czerkas i czegoś tam jeszcze z przyległościami, niech pani doda dla okragłości – przedrzeźniał ją zirytowany.

– A tak, ordynat, magnat, wielki pan, arystokrata – powtórzyła wesoło Stefcia. Waldemar wzruszył ramionami. Po czym zaczął mówić wolno, nie patrząc na Stefcię:

– Jak mię pani drażni! Ale zrozumiałem i powiem pani coś. Uwierzy pani, dobrze, nie – to trudno, ja będę szczerzy. Wszystkie tytuły i godności, jakimi mię pani obdarzyła, posiadam. Lecz ponieważ obracają się one w dusznej atmosferze, więc często uczuвам brak powietrza. Zawsze wolałem szerokie pola i rwałem się do nich, druzgocąc oszklenia sterowe, którymi barykadyją nas od dziecka. Jesteśmy egzotyczni, kochamy się w kameliach, stroimy w tuberozy, nie przypuszczając, że na naszych łąnach rosną bardzo piękne bławatki. Wiemy, że one istnieją, lecz są od nas tak oddalone przesądem, że nasze magnacko-arystokratyczne nogi nie zadają sobie trudu w odszukaniu ich, po prostu nie interesują nas. Czasem los zdarzy, że taki bławatek przypadkiem zabłąka się w naszych cieplarniach, i wówczas doznajemy różnych wrażeń: zdziwienia, ciekawości, coś na nas wionie swojskiego, obudzi się w naszej krwi ojczysta kropla, diabelnie przytłoczona cudzoziemszczyzną. Poczujemy się dziećmi swego kraju i ten, co zawsze czuł pociąg do szerokich pól, teraz poczuje pragnienie. Ojczyste pola staną mu się drogimi.

Umilkł na chwilę i mówił znowu:

– Pani jest właśnie dla mnie takim bławatkiem. Pani wśród nas jest niejako typową przedstawicielką rodzinnego kraju. Bo my, jakkolwiek możemy mieć równą i słuszną pretensję do owego przedstawicielstwa, jednak jesteśmy zbyt skosmopolityzowani, by odpowiadać wielkości zadania. Pani jest symbolem naszych złotych niw. Wiluś miał słusność, porówny-

wajac panią do natury, on zauważył to również prędko, jak ja. Na mnie pani od pierwszej chwili zrobiła wrażenie kwiatu zrodzonego na bujnych polach. Jednocześnie jest pani nieza- przeczenie mimożą.

Podniósł głowę i spojrzął na Stefcie.

– Wypowiedziałem otwarcie, co myślę o pani. I powtarzam, że czuję się szczęśliwym z posiadania obszarów ziemnych w naszej ojczyźnie, szczęśliwym nie z powodu, że ziemia ta jest zapładniaczką mej kieszeni, lecz dlatego, że czuję się jej synem, że jest mi droga. Kocha- łem ją od dziecka i dbałem o nią, lecz uczucie to dopiero teraz spotężniało, dzięki pani. Je- stem pani za to nieskończenie wdzięczny.

Podał jej dłoń serdecznie i uściskał. Była chwila, że chciał jej rękę podnieść do ust, lecz powstrzymał się. Na twarzy Stefcia odbiło się wzruszenie, usta jej drżały. Podniosła oczy na niego i spotkała jego szare źrenice, błyszczące ogniem, pełne szlachetnej a wspaniałej dumy i dziwnie miękkie w spojrzeniu, jakim ją ogarniał.

– Czy i teraz pani powie, że jestem nieszczerzy? – spytał cicho.

84

– O nie! teraz mówi pan inaczej, ziemia pańska może być dumną z takiego syna. Jest pan prawdziwym Michorowskim – odrzekła z żywością.

Zaśmiał się trochę ironicznie.

– Proszę nie chwalić mnie jeszcze, bo może na to nie zasłużyłem. Przecie w moją miłość dla kraju nie wierzą. Nazbyt długo byliśmy de Michorowscy, bym ja się stał od razu Micho- rowskim, bez obcych dodatków. Któż mi zaufa, że przekonania, jakie we mnie żyją, są istot- nie już wkorzenione w mej duszy, a nie pełzają po niej z pobudek mniej społecznych, a prę- dziej osobistych?

– Niech pan nie psuje wrażenia analizą, to najgorszy system – przerwała Stefcia. – Wy- starczy, że pan to przekonanie posiada, że odczuwa je w całej pełni. To już jest bardzo wiele, jak na pana de Michorowskiego.

Zaśmiali się oboje.

– Ma pani słuszność, nie przedstawiamy się gorszymi, niż jesteśmy, cieszymy się chwilą jak obecna.

Nachylił do niej głowę i spytał z uśmiechem:

– Czy i pani się cieszy?

Stefcia wesoło błysnęła oczyma.

– Cieszę się – odparła.

– I dobrze pani tu na koziołku?

– Znakomicie!

– Czyli że po Wilusiu nie jestem starym nudziarzem. Co?

– Cóż znowu!

– Magnatem, wielkim panem, arystokratą – mówił z wesołą przekorą.

– Tymi pan pozostanie zawsze.

– Dobrze, dobrze! nie chcę być tylko teraz. W tej chwili jestem Michorowskim, wielbię bławatki i jeden z nich bardzo cacy wiozę do swych łanów. To mię uszczęśliwia. Czemu się pani zasepiła? – spytał nagle, patrząc na nią uważnie.

– Ja?... Bynajmniej – odparła obojętnie.

– Pani jest jak roślina-czułek, stula listki za byle dotknięciem. Wiem, co pani pomyślała: że jestem magnatem, który dla fantazji zrzuca z siebie magnacką purpurę i ubiera się w bła- watek. A że panią tak nazwałem, więc to się nie podobało. Czy tak?

– Jeśli nawet jestem bławatką, to w każdym razie nie takim, w jaki można się ubrać.

– Zwłaszcza magnatowi-arystokracie. Prawda?

– Nikomu!

Spojrzął na nią przeciągle.

- Mimoza! – szepnął w duchu, a głośno zawołał: – Skandal! Zaczynamy schodzić z relsów, panno Stefanio. Nastąpi wykolejenie, a Głębowicze już widać. Odłóżmy kłótnię na inny raz. Zgoda?
  - O ile pan znowu z relsów nie zejdzie...
  - Dobrze! obiecuję to pani. Chcę, abyśmy w Głębowiczach byli w zgodzie, chcę panią widzieć wesołą, tak jak obecnie. Ja jestem szalenie wesół i szczęśliwy.
  - Czy dlatego, że dojeżdżamy do Głębowicz? – spytała figlarnie.
  - Tak, i że za chwilę będę jadł śniadanie – odrzekł z pasją.
- Stefcia parsknęła śmiechem. Waldemar zaśmiał się również i palnął z bata.
- Ech! jestem na panią taki zły – zawołał puszczając konie w cwał. Brek potoczył się ze zdwojoną szybkością.
  - Panie! cóż to znowu? Pan nas roztrzęsie! – wołała panna Rita.

85

– Au nom de Dieu!<sup>38</sup> wypadniemy – krzyczała hrabianka chwytając za ramiona Trestkę i Wilhelma.

Waldemar stanął. Jedną ręką powoził, drugą z batem wparł się pod bok i potrząsając lejcam, wołał na konie:

– Pędźcie, muzy, pędźcie!...

Konie rwały z kopyta, aż grudki żwiru sypały się gradem spod kół.

– Panie Waldemarze, czy pan zwariował? – krzyczała, szarpiąc go za rękaw, panna Szeliżanka.

– Być może.

Stefcia, Lucia i Wilhelm zanosili się od śmiechu, patrząc na wystraszone miny hrabianki, barona i nieszczęśliwego Trestki, któremu w dodatku spadły binokle z nosa. Szukał ich dookoła siebie klnąc różnymi językami. Nareszcie znalazł i zawołał z niesłychanym zacięciem:

– Psiakrew, są!

– Przecie przemówił po polsku – zaśmiał się Waldemar. To wzbudziło ogólną wesołość.

Dojeżdżali do kamiennego mostu nad bystrą rzeką. Poza nią wśród mnóstwa drzew, na górze, widniały potężne mury zamku, najeżone basztami i wieżyczkami. Na głównej baszcie w stylu staroświeckim powiewała chorągiew z herbem Michorowskich. Olbrzymie drzewa parku, otaczające zwartą masą zamek, ciągnęły się wzdłuż rzeki. Brek zahuczał na moście jak bęben, głucho zastukały kopyta i konie z kamiennej grobli wpadły w mroczną świerkową aleję. Na końcu wznosiła się wielka murowana brama, wyłożona kamiennymi płytami, z żelazną kratą, z herbem na szczycie, szeroko rozwarta. Przed bramą był drugi most kamienny, który zwisał nad fosą, biegnącą wzdłuż wału i muru okalającego park. Głęboki kanał napelniała świeża woda, przeprowadzona z rzeki. Miało to wygląd forteczny, ale malowniczy, bo drzewa parku i mur z żelazną sztachetką na wierzchu cudownie odbijały w wodzie. Na moście stały słupy z matowymi balonami lamp elektrycznych. Takie wysokie żelazne słupy strużowały obok bramy i koło budki odźwiernego, która była właściwie piękną grotą z płyt kamiennych, tonącą w zwojach bluszczu.

Gdy brek wtoczył się w aleję świerkową, Waldemar usiadł i powstrzymał konie. Jechali wolno. Wszyscy umilkli. Powaga i majestat wiały od ciemnych, strzelistych świerków, stojących podwójnym rzędem jak stróże odwiecznego zamku ordynacji.

Odczuwało się tu wielkość i potęgę – coś, co zmuszało do pochylenia głowy. Wszyscy doznali podobnego wrażenia. Tylko Waldemar miał wzniesioną głowę. On witał stróżujące świerki jak swych poddanych.

A one szumiały poważnie i chyliły czuby w powitalnym ukłonie, widząc w nim pana i dziedzica starożytnej siedziby.

Baron Weyher ciekawie patrzył dokoła. Nie widział jeszcze zamku, ale zaimponowała mu już aleja.

Hrabia Trestka spoglądał na wierzchołki świerków, podtrzymując ręką kapelusz.

– Tytany!... tytany! – mówił szeptem – nigdy nie mogę się im napatrzeć.

Panna Rita i hrabianka siedziały zamyślane, może usiłując odgadnąć, kiedy tu wjedzie ordynat w poszóstnej karecie, mając obok siebie młodą żonę, kto będzie tą wybraną. A my- śląc tak, może obie w najgłębszej komórce duszy siebie widziały w tej roli.

Waldemar jechał poważny. Czuł, że jego własność imponuje wszystkim. Doznawał róż- nych uczuć: dumy i pewnej melancholii.

Mówił sobie w duchu:

– Co mi z tego?

38 Au nom de Dieu (fr.) – Na Boga!

86

I nagle uczuł tęsknotę... Pierwszy raz pomyślał, że w tym przepychu, w tej wspaniałej rezydencji jest sam, zupełnie sam. Uśmiechnął się.

– No, przynajmniej nie w tej chwili. Spojrzył nieznacznie na Stefcie.

Siedziała cicha, jakby przytłoczona majestatem olbrzymich świerków, rzucających na nią cienie.

Trochę przybladła. Ogarniał ją chłód, nurtował w niej nieokreślony niepokój.

–Co ja tu robię?... Ja... obok tego magnata... Zabłąkałam się... bławatek w cieplarni – szeptało w jej duszy.

Jak Waldemarowi przed chwilą, tak i jej przyszło na myśl, że w tym przepychu, w tej wspaniałej magnackiej rezydencji jest sama, zupełnie sama.

Wzdrygnęła się.

Waldemar spostrzegł to i pochylony do niej, patrzył na nią długo, uważnie.

– Jaka wrażliwa – rzekł ze wzruszeniem.

Uśmiechnęła się: zrozumiał ją. Zrobiło jej to przyjemność. On szepnął:

– Bławatek!

Podniosła na niego zdziwione oczy.

– Czy odgadłem?

– Tak.

Wjechali na most. Panna Rita i hrabianka zawołały razem:

– Ach, jak tu pięknie!

– Niezrównany jest widok tej fosy i mostu.

– A brama i domek strażniczy! I stare to, i piękne.

– Niedługo nazwą panie stary cylinder ordynata niezrównanym – zżymnął się Trestka.

Hrabianka parsknęła śmiechem, Rita wzruszyła ramionami.

Brek minął wyniosły krzyż w ogrodzeniu ze skalnych odłamów i bramę. Kopyta koni zatętniały na kamiennych płytach. Odźwierny salutował przyjeżdżających.

Wjechali na dużą przestrzeń wyżwirowaną i gładką jak plac mustry. Na środku stała smukła kolumna kamienna ze stopniami w kwadrat. Na niej płaskorzeźba, przedstawiająca popiersie przodka Michorowskich, założyciela zamku z XV wieku. Medalion otaczały oznaki wojskowe rzeźbione w kamieniu, napisy i daty. Obok pomnika słupy z elektrycznymi lampami. Plac równoległy z podłużnym gmachem zamku okalały z dwóch stron potężne drzewa parkowe, idące w nieskończoną głąb. Z prawej strony wysuwała się olbrzymia okrągła baszta ze strzelnicami i galerią, dalej wieża kaplicy. Przy wjeździe pod sklepioną bramą czworoboku zamkowego stały po dwu stronach krótkie armaty, moździerz, zabytki odległych lat. Przypominało to zamek obronny, jakim był w istocie przed wiekami.

– Co za gmach! – mówił baron Weyher. – Ależ pan mógłby się nie obawiać napadów tatarskich.

– Niejeden taki napad odparł ten zamek w czasach wojen z pogaństwem – odrzekł ordynat w zamyśleniu – ale wówczas inaczej wyglądał. Miał zwodzone mosty, na tym placu stały cekhauzy wojskowe, mustrowały się chorągwie husarskie i pancerne; tu odbywały się turnieje, a w czasie oblężenia żołnierze biwakowali.

Stefcia pod wrażeniem potężnych murów i ich tradycji czuła się dziwnie małą. Bujna wyobraźnia przedstawiała jej przeszłość jak na jawie. Widziała rycerstwo, walczące o pierścień na turniejach, i wojewodzianki Michorowskie w kontusikach i wieńcach na głowie, z długimi kosami, rozdające nagrody zwycięzcom. Widziała hetmanów, sprawujących skrzydlate chorągwie, i wymarsz wojsk na obronę ojczyzny. Słyszała dźwięk kopii husarskich, szum skrzydeł i buńczuków i nabożną pieśń żołnierską:

87

Bogurodzica-dziewica, Bogiem sławiona Maryja! Twego Syna gospodzina Matko zwolena Maryja, Zyszczy nam, spuści nam!

Stefcia przymknęła oczy pod wpływem wizji z przeszłości. Ocucił ją turkot kół na kamiennej posadzce. Akustyka sklepionych murów bramy potęgowała grzmot jadącego breku.

Konie szły stępa. Cała czwórka, pochylając głowy i wygięte szyje, uderzała z góry kołymi, jakby drażniąc się i lubując stukiem o tafle kamienne.

Stefcia na widok wewnętrznego dziedzińca wydała okrzyk zdumienia. Waldemar zataczył ręką koło i wskazując jej środkowy gmach zamku z tarasem, dywanem kwiatów i srebrnym pióropuszem wodotrysku, rzekł serdecznie zniżonym głosem:

– Jestem szczęśliwy, że przywiozłem panią, symbol pól i łąk, do tego gniazda, nie sfery i przesądów, nie do egzotycznego trephauzu, lecz pod ojczystą strzechę Michorowskich, gdzie bławatek będzie się czuł swobodnym i wesołym.

Tyle brzmiało pocziwych nut w jego głosie, tak serdecznie płynęły jego słowa, że Stefcia spojrzała mu w oczy z wdzięcznością

– Pan jest bardzo dobry – szepnęła.

– Chciałbym nim być – odrzekł równie cicho.

Jechali obok klombów dywanowych i piramidalnych krzewów. Wionęło na nich zapachem róż i charakterystyczną wonią wykwinnych roślin i kwiatów cieplarnianych.

Wyniosłe mury zamku, wspaniała gra kolorów otoczenia, słoneczne blaski, rozsiewane hojnie dokoła, składały się na całość imponującą.

Wszyscy się rozweselili. Z szumem i gwarnie brek podjechał pod marmurowe filary gan-

ku. Kilku służących w czarnej liberii z pąsowym zbiegło ze schodów. Kamerdyner wysoki, postawny, z siwymi bokobrodami na wygolonej twarzy, w liberii od innych wspanialszej, schodził powoli, jakby czując swą godność starego sługi, który obecnego ordynata widział jeszcze w kolebce.



## XVIII

Głębowicze, odwieczna siedziba Michorowskich, mogła zajmować pierwszorzędne miejsce wśród najwspanialszych rezydencji kraju. Staroświecka powaga i przepych, cechy jej główne, uwydatniały magnacką potęgę. Lecz trochę ciężki styl feudalny łagodziły nowożytny freski komfortu, z wielkim smakiem i umiejętnością wplecione w stare ramy zamierzchłych czasów.

Wyglądało to jak delikatny haft na ciężkiej brokateli i tworzyło całość wspaniałą. Gmach zamkowy był potężny. Środkowy korpus ogromny, poprzerynany szeregami wysokich okien, kilkopiętrowy, stanowił silne oparcie dla bocznych skrzydeł, ozdobionych wieżyczkami, i wysokiej okrągłej baszty, na której powiewała chorągiew Michorowskich. Na wieży umieszczono obserwatorium meteorologiczne. Dwie boczne odnogi zamku, niezbyt długie, zamykała niby kłamarą trzecia poprzeczna, którą nazywano „nad arkadami” z powodu wysokich sklepień w bramie. Tu na parterze znajdowała się starożytna sala sejmikowa, a na pierwszym piętrze – zbrojownia.

Wewnętrzny dziedziniec otaczały krużganki proste i narożne, zdobne w murowane filary i poręcze. Wielki gazon kwiatowy okręzał nisko strzyżony żywopłot. Tam, wśród karłowatych piramidalnych krzewów, rozrzuconych pojedynczo na trawniku, wśród kwiatowego dywanu, stał wodotrysk z zielonego marmuru z basenem napełnionym wodą i mitologiczną grupą na skale. Grupa przedstawiała Neptuna i Nimfę owiniętą węzem. Z paszczy węża i ze skały, w którą Neptun uderzał trójzębem, wytryskiwały długie sznury wody, spadające do basenu rozwianą kaskadą. Na prawym narożniku zamkowego korpusu wznosił się taras nieduży, sięgający pierwszego piętra, z żelazną poręczą, oplecioną różami. Cały ten ogród wiszący ozdabiały drzewa cyprysów, kulistych pomarańcz, cedrów i mirtów. Portyk, wsparty na ośmiu kamiennych filarach, miał na szczycie herb Michorowskich. Schody i posadzka z jasnych kamiennych płyt. Nad drzwiami widniał napis z wypukłych liter: „Gość w dom, Bóg w dom”. Gmach zamkowy od strony rzeki otaczały pyszne tarasy na sklepionych arkadach kamiennych i marmurowych, sięgające drugiego piętra. Głębowicze słynęły ze swych tarasów i gustownych urządzeń. Parter zamkowy zdobiła długa weranda z białego marmuru, opleciona blusz-

czem, z alabastrowymi posągami bogów greckich. W jednym załamie murów świecił rżniętymi szybami ścian wyniosły półokrągły ogród zimowy.

Z tarasów roztaczały się piękne widoki parku i angielskich ogrodów; więc: słynna dolina róż, grotty układane ze skał, jedna z czerwonej gliny, druga biała, w kształcie świątyni greckiej; biały pawilon letni, mieszczący w sobie akwarium, plac tenisowy z ładną altaną, gdzie podczas gry stawiano chłodniki; wreszcie wspaniałe wiadukty zielone do spacerów i grupy drzew egzotycznych na pluszowych trawnikach, i wijące się wstęgi ulic.

Mnóstwo kwiatów, posągów, altanek, tuneli zielonych. Sadszawki w kępach irysów z białą łabędzi, fontanny, marmurowe ławki i mostki. Na górcie usypanej umyślnie stał wysoki, biały marmurowy słupek z rzeźbioną figurą Matki Boskiej Łaskawej, otoczony cyprysami. Stok góry zamkowej do rzeki wykładały niezmiernie szerokie, białe marmurowe schody, zakończone dość wąską platformą, tworzącą przystań. Tu na brzegach wznosiły się potężne dwie syreny, również z marmuru. Schody i łodzie na rzece obok przystani były jednym z piękniejszych widoków parku. Wszędzie stały gęsto słupy elektryczne.

Wspaniałość książęca i niewysłowiony czar porывały wzrok, pobudzały zmysły.

Czuło się tu miliony i silną, kochającą rękę, która kierowała wszystkim, nie żałując wkładu na utrzymanie starej siedziby pradziadów.

Waldemar kochał Głębowicze, czuł do nich przywiązanie synowskie, a typowy poważny ton, panujący tu wszechwładnie pomimo nowoczesnych dodatków, był jego chlubą.

89

Zamek, park, zwierzyniec utrzymywał tak samo wzorowo, jak i budynki gospodarskie. Stajnie głębowickie Waldemar wprost pieścił, czyniąc z nich istne pałace.

Ale do ozdób zamku i parku nie dodawał już nic nowego, siły swe i zdolności kierując na działalność pożyteczniejszą. Prócz stajni do jego namiętności należała jeszcze zbrojownia i zwierzyniec.

Charakterystycznym był w zamku pokój sypialny ordynata, odróżniający się od ogólnego przepychu spartańską prostotą. Niezbyt duży, zawierał sprzęty konieczne i wyłącznie dębowe. Nie miał firanek, dywanów ani rzeczy ozdobnych. Łóżko dębowe okrywała wielka skóra białego niedźwiedzia, upolowanego przez ordynata w podróży na Północ. Nad łóżkiem wisiała ulubiona broń w kilku odmianach, a naprzeciw duży portret matki, Elżbiety Januszowej, w ciężkich bogatych ramach, w głowach zaś łóżka – pamiątkowy krucyfik żelazny z XVI wieku. Ten magnat i milioner osobiście posiadał skromne wymagania.

Pan Maciej, chodząc po Głębowiczach, cieszył się, z uśmiechem przypominał sobie, jak wszyscy z powątpiewaniem patrzyli na ulepszenia wprowadzane przez młodego ordynata, krytykowali go, nie wierząc, aby taki magnat i hulaka mógł coś dobrego sprawić. Wiedzieli, że skończył Hallę, lecz niektórzy nawet w to nie bardzo wierzyli, dopiero po dłuższym czasie, widząc jego energię i świetne wyniki, zrozumieli, że ten hulaka potrafi być dzielnym obywatelem kraju i sumiennym pracownikiem.

Na przepych i znakomite urządzenia głębowickie gościa spoglądali z podziwem, ale różnym: pan Maciej i księżna Podhorecka z dumą, Trestka z zazdrością, książę Podhorecki z żalem.

– Miałem i ja kiedyś wiele, teraz mam tylko długi – myślał.

Baron Weyher na równi ze Stefcią pierwszy raz zwiedzał Głębowicze, chodził więc trochę odurzony, mruczając pod wąsem:

– Drugi Wersal! drugi Wersal!

Hrabina Ćwilecka i panna Paula rozmarzyły się, z panią Idalią przebiegały ciepłarnie, głosząc zachwyty nad każdym kwiatkiem. Pannę Ritę trudno było wyciągnąć ze stajni: mówiła, że choć raz chce się uraczyć końmi głębowickimi.

Tylko hrabia Ćwilecki z panną Michaliną spacerowali sennie po parku bez marzeń i zachwyków. Stefci towarzyszył Wilhelm Szeliga. Lucia biegła sama, widocznie czymś podniecona.

Waldemar dla wszystkich gości miał czas, przyjmował ich po królewsku, dając zupełną swobodę.

Nikt nie czuł się tu skrępowanym, każdy szedł, dokąd chciał, rozmawiał, z kim chciał, i zabawa szła wybornie. Ale z Lucią Stefcia miała kłopot. Nie mogła jej zatrzymać przy sobie, widziała w dziewczynce jakieś wzburzenie.

Przepych Głębowicz działał na Lucię dziwnie, jakkolwiek znała go już dawniej i od dziecka przywykła do zbytku. Słodkowce posiadały również wspaniałe urządzenie, jednak inne. Mniej tam było stylu, mniej powagi i wielkości magnackiej, jaka tu wyzierała z każdego zakątka.

Na Lucię to robiło wrażenie. Dziewczynka, rozgorączkowana, podbiegła do Stefci i biorąc jej rękę, rzekła z naciskiem:

– Mam pani coś powiedzieć, ale tylko pani.

Wilhelm Szeliga, trochę zły, odszedł na stronę. Lucia podprowadziła Stefcię na koniec alei do wielkiego wodotrysku, skąd szeroki widok padał na zamek z tarasami, na trawniki, dywany, posągi i widną z daleka oszkloną pomarańczarnię. Tam Lucia stanęła, zakreśliła ręką w powietrzu wielkie koło i rzekła uroczyście:

– Wspaniałe! Prawda?

Stefcia trochę zdziwiona, spojrzała na nią.

– Wspaniałe? – powtórzyła dziewczynka.

90

– Bardzo! – odparła Stefcia, czując się sama pod wpływem majestatu płynącego z zamku. Lucia z rumieńcami na twarzy mocno ścisnęła rękę Stefci i zaczęła mówić przyciszonym głosem:

– Widzi pani, może i ja kiedyś będę miała taki zamek, takie salony, park i tarasy. Będę miała przepych, wspaniałą rezydencję, bogactwa i tytuły. Takie życie przeznaczone dla mnie, takie, a nie inne!

– Dlaczego to mówisz, Luciu? – spytała Stefcia, niemile tknięta wybuchem dziewczynki.

– Ja pani powiem! Oto przyszło mi na myśl, że tylko w naszej sferze mogę mieć to wszystko, ten cały przepych. A ja go tak lubię! Gdybym wyszła za Edmunda, nie miałabym setnej części tego, prawda? Jakiś tam skromny dworek o kilku pokojach, otoczony jaśminem, z nasturcją na klombach. Nie posiadałabym salonów ani sali portretowej... Bo cóż Prątniccy? Czy oni mogli mieć jakich przodków? Jak to dobrze, że się urodziłam w naszej sferze...

– O zapewne! – odrzekła Stefcia z goryczą. – Toteż Opatrzność czuwała nad nim i nad tobą.

– Nad nim?... chyba tylko nade mną? Dla niego byłoby łaską Opatrzności, gdyby się ze mną ożenił.

– Moja Luciu, nie sądź wszystkich miarą swych pieniędzy i sfery.

– Jak to?... więc ja nie byłabym dla niego świetną partią?

– Byłabyś bez wątpienia, ale właśnie ta świetna partia stałaby się jego nieszczęściem, gniotłaby go, dusiła. Ty, wychowana w zbytkach, nie chciałybyś samego dobrobytu, on nie miałby za co otoczyć cię przepychem, używałby na to twych pieniędzy, co miłym nie jest; zresztą i one nie wystarczyłyby na zaspokojenie twych wymagań.

– Ależ moja sfera, parantela – czy to nic nie znaczy, nie wystarcza?

– Nie wiem, mnie by to nie wystarczyło! Ale to zależy od osobistych poglądów. Może Prątnicki byłby zadowolony...

– Na pewno więcej ode mnie!

– A gdybyś go prawdziwie kochała?

– To nic nie znaczy. Ja miałabym tylko miłość, on wszystko. On zawsze wygrałby, ja bym przegrała.

Stefcia zawołała z żalem:

– Ach, Luciu! przypomnij sobie, coś mówiła przed miesiącem: że jedynym twym pragnieniem zostać żoną Edmunda. Wiem, że to było dzieciństwo, że on niewart prawdziwego uczucia, bo sam go nie posiada, ale jakże różne są twe zapatrywania w tak krótkim czasie. A gdyby on miał wszelkie zalety, zasługiwał na szacunek i miłość twoją, czy i wówczas on by wygrywał? Powiedz!

– Pani mię nie rozumie. Ja mówię o partii i o sferze.

– Więc osobista wartość człowieka nic nie znaczy, tylko pieniądze i sfera?... O moja Luciu! tak jeszcze jesteś młoda, a już masz spaczony pojęcie.

– To nie są spaczony, tylko nasze – odrzekła Lucia z dąsem.

– Winszuję! jeśli już teraz tak myślisz, co będzie potem?

– Nigdy więcej nie popełnię takiego głupstwa, żeby się zakochać w człowieku nie z naszej sfery.

– O tak, powinnaś tego sobie raz na zawsze zabronić, bo takie głupstwa często źle się kończą.

Tyle smutku i żalu brzmiało w głosie Stefci, że Lucia spojrzała na nią badawczo. Nagle zarzuciła jej ręce na szyję i zawołała przymilnie:

– Niech się pani tylko nie gniewa, moja dobra panno Steniu! – Ja się na ciebie, Luciu, nie gniewam, ale mi przykro.

– Za pana Edmunda?...

– Nie za Edmunda, tylko że ty jesteś przesiąknięta podobnymi zasadami.

91

– To Głębowicze tak na mnie wpłynęły. Szczęśliwy Waldy!...

Z głębi alei dało się słyszeć wołanie.

– Mama mnie woła. Biegnę! – krzyknęła dziewczynka i pędem wpadła w mroczną głąb. Stefcia poszła w stronę zamku. Całe towarzystwo znajdowało się w parku, ale ona chciała pozostać samą. Idąc pomiędzy krzewami róż wchłaniała śliczny zapach, z rozkoszą zatapiając głowę w masie aksamitnych kwiatów. Czuła się upojoną barwami i wonią. Rozdrażnienie po rozmowie z Lucią zastąpiła teraz ociężałość prawie senna. Gmach zamkowy przytłaczał ją; ogromne mury, wieżyce i baszta z rozwianą chorągwią robiły na niej wrażenie ciężaru, który ją gniół. Doznała niemal fizycznej potrzeby stracenia z oczu wyniosłych ścian. Postanowiła wejść do środka, przekonana, że nie zastanie tam nikogo.

Szybko przebiegła tarasy, werandę i zaraz w pierwszym salonie spotkała starego kamerdynera.

Powitał ją ukłonem. Stefcia spytała go, którądy iść do gościnnych pokoi.

Stary sługa wskazał ręką rząd salonów i rzekł z uszanowaniem:

– Na lewym skrzydle, drugie piętro. Może hrabianka każe się zaprowadzić? Spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczyma.

– Co znaczy ten tytuł? Bierze mnie widać za kogo innego. Kamerdyner stał w pozie wyczekującej.

– Mylicie się, Andrzej, ja nie jestem hrabianką – rzekła z wesołym uśmiechem.

Teraz stary sługa otworzył szeroko oczy, ale natychmiast zapanowawszy nad zdziwieniem, rzekł z nowym ukłonem:

– Przepraszam jaśnie panią.

Stefcia lekko wzruszyła ramionami i poszła w głąb zamku, myśląc:

– Znadto są tu przyzwyczajeni do tytułów.

Mijała salony, wspaniałe gabinety. Przeszła zieloną salę bilardową, białą salę balową ze sklepieniami, zdobną w malowidła i rzeźby w stylu Odrodzenia, następnie okrągłą karmazynową salę posłuchalną, aż znalazła się w ogromnej sieni zamkowej. Stąd biegło w różne strony kilka korytarzy i wiodły szerokie schody z białego marmuru, zakończone na wysokości pierwszego piętra galerią, wspartą na filarach. Schody wyściełał karmazynowy dywan, ale główną ich ozdobą była żelazna, rzeźbiona balustrada, osłaniająca również i galerię. Wyniosłe

ściany sieni, wyłożone płytami z szarego granitu, miały sufit sklepiony, wysokości trzeciego piętra. Równolegle z drugim piętrzem otaczał się dokoła wąski balkon żelazny z poręczą w kształcie ukośnej kraty. Wychodziło nań kilkoro drzwi z wewnętrznych pokoi. Pośrodku sieni naprzeciw klatki schodowej stała okrągła grupa drzew egzotycznych. Wśród nich basen z białego marmuru z tryskającą wysoko fontanną.

Kuliste drzewa cieplarniane zdobiły schody i galerię, elektryczne lampy mieściły się u szczytu sklepień. Posadzka z tafli kamiennych tworzyła bardzo piękne wzory.

Stefcia zatrzymała się długo w tej sieni, podziwiając jej piękność. Zainteresował ją wielki zegar z kurantem, w kształcie wysokiej a wąskiej szafki, ozdobiony popiersiem brązowym króla Zygmunta Augusta. Jako antyk wiekowy nadawał otoczeniu ton staroświecki.

Na piętrze rozpoczął się nowy szereg salonów. Stefcia wśród tych bogactw straciła zupełnie kierunek. Nie mogła odgadnąć, czy jest w głównym korpusie zamkowym, czy na którymś skrzydle. Idąc spoglądała na makaty, kobierce i gobeliny. Migały jej przed oczyma bogate ramy obrazów, wielkie żyrandole z brązu, malachitu lub całe z weneckiego kryształu, zwieszające się ze wspaniałych sufitów płaskich i sklepionych, zdobnych w malowidła i rzeźby. Postać jej odbijała się w ogromnych zwierciadłach lub całych ścianach lustrzanych, w których szeregi sal przybierały rozmiary nieskończone.

Stawała często przed jakimś obrazem, posągami albo grupą roślin, szczególnie cudownych palm wachlarzowych, i przebiegając szkliste posadzki, miękkie dywany, szła coraz dalej w głąb zamku. W końcu zaczął ją ogarniać lęk. Zbłądziła, ale jak wyjść z tego labiryntu, nie miała pojęcia. Nareszcie weszła do sali bardzo długiej, ze sklepionym sufitem, zdobnej

w

92

płaskorzeźby i posadzkę dębową. Szeregi okien, ocienionych głębokimi niszami, niewiele dawały światła, tak że sala była mroczna i dziwnie surowa w tonie. Pod ścianami i na środku stały sofy kryte złotogłowiem. Staroświecki kominek przykrywała bogata wschodnia opona. Jakaś powaga zdawała się chodzić po tej olbrzymiej sali. Stefcia spojrzała w górę i dreszcz ją przeniknął. Ze wszystkich ścian spoglądało na nią mnóstwo wyrazistych oczu: sala była zawieszona portretami. Przodkowie Michorowskich naturalnej wielkości stali tu oprawni w mahoniowe ramy, okute brązem. Patrzyły na Stefcię poważne twarze dawnych wojewodów, hetmanów i senatorów. Przybrani byli w złote ryngrafy, w aksamitne delie, złotogłów, w sobole i gronostaje lub zakuci całkowicie w srebrne blachy. Innych zdobiły fraki, peruki z koronkowymi żabotami lub świetne mundury wojskowe. Wszyscy mieli typowe, trochę wydatne usta, wyraziste rysy i oczy szare, przenikliwe, z wyrazem zuchwalstwa, energii i odrobiną szyderstwa. Mrok panujący w sali nadawał martwym postaciom pozory życia. Skąpe światło dochodzące z zewnątrz pełzało po karmazynach i bogatych futrach szat, po woskowych rękach i twarzach. Stefcia miała wrażenie, że postaci te poruszają się, że martwe szare oczy spoglądają na nią zdziwione, a usta mówią:

– Czego chcesz? Skąd się wzięłaś?... Wstrząsnęła się.

Już drugi raz doznała podobnego wrażenia, drugi raz portrety Michorowskich przerażały ją wymową martwych oczu.

Zabłąkała się w tej sali i jest sama pod pręgierzem tyłu spojrzeń. Chciała wyjść, odwróciła głowę w stronę drzwi i nagle wzrok jej padł na wielki portret w pełnym oświetleniu, przedstawiający wyniosłą postać kobiecą. W ciężkiej aksamitnej sukni, ozdobionej brabancami koronkami, w perłach, stała młoda jeszcze kobieta, z głową spuszczoną na piersi i smutkiem w czarnych oczach. Bujne czarne włosy ocieniały ładny owal twarzy, wąskie usta wyrażały ból, nie dający się ukryć nawet na portrecie. Strój i uczesanie znamionowało niedawną epokę. Stefcię zaciekawiła ta postać. Podeszła bliżej, chciała koniecznie wiedzieć, kogo portret przedstawia.

Na ciemnym tle obrazu, z boku, widniał wyraźnie malowany herb z mitrą książęcą, pod nim napis: Gabriela z książąt de Bourbon Maciejowa Michorowska, ordynatowa gębowicka. Potem następowała data urodzenia i śmierci.

Więc to jest babka Waldemara, żona pana Macieja? księżniczka Bourbon? Ale dlaczego tak beznamiętnie smutna? Nawet na portrecie widać, że to nieszczęśliwa kobieta. Stefcia podeszła bliżej, wpatrzona w postać babki Waldemara. I dwie te kobiety – jedna malowana, w aksamitach, druga żywa, w białym muślinie – patrzyły sobie w oczy, jakby się rozumiejąc. Głębokie czarne źrenice Michorowskiej ogarniały dziewczynę żalosnym spojrzeniem, jakiego westchnienia szły od niej i beznadziejność, i pełna goryczy melancholia. Oczy te zdawały się mówić: „Zmęczyło mnie życie, nie zaznałam szczęścia ani odrobiny, tylko wiele bólu i zgryzoty... Nic nie pomogły bogactwa, nic tytuły, nic dostojęstwa... byłam kobietą nieszczęśliwą”.

Stefcia czytała w jej smutnej twarzy skargę. Dlaczego ta kobieta cierpiała?... czego brakowało w jej życiu?... jaka chmura złożyła w jej oczy tyle posępnych cieni?...

I w tej sali, pełnej uwiecznionych w portretach postaci, przedstawiała typ najbardziej zboleła.

Stygmat cichego dramatu piętnował jej czoło, perły, rozsypane na jej piersiach, świeciły jak łzy spadłe z bezbrzeżnie smutnych oczu. Wszystkie postacie kobiece na portretach miały uśmiechnięte twarze, klejnoty i kwiaty w dłoniach. Barwne stroje polskie, kontusiki mieszały się tu z obcisłymi sukniami z początku XIX stulecia lub z balonami krynolin. Głowy, jedne w staroświeckich kornetach, w perukach, inne zdobne w koki i pukle, w klejnotach, piórach i kwiatkach. Ona jedna odbijała nawet strojem: jej ciemna aksamitna suknia, ciężkie koronki i sznury pereł miały ton poważny, pełen majestatu. Ani kwiatka przy niej, nic tchnącego we-

93

sołością i życiem. Białą arystokratyczną rękę, ozdobioną kilkoma pierścieniami, opierała o poręcz fotelu, druga zwisała na sukni ruchem apatycznym.

Stefcia spojrzała po sali, lęk coraz większy a niepojęty wypełzał z mrocznych kątów i sunął do niej groźny, nieubłagany. Oczy portretów biczowały ją ostrym wzrokiem. Miała wrażenie, że ją wypędzają z sali, że gniewają się na nią za wtargnięcie do przybytku ich pośmiertnej chwały, że mówią do niej:

– Ruszaj stąd, dziewczyno. Tu miejsce nie dla ciebie, to nie twój świat. Idź, bo cię zgnieciemy wielkością!...

Stefcia zadrzała. Działo się z nią coś niezwykłego... Jakieś nie wypowiedziane słowa falowały na jej ustach, nie dokończone myśli, tętna zupełnie nowe napełniały jej mózg i serce. Uczucie podobnych nie znała dotąd: była to fala obca, ale silna, dopominająca się o zrozumienie. Czuła, że błądzi w jakiejś abstrakcji, jeszcze przysłoniętej mgłą, ale już powodującej niewytłumaczalny lęk. Szczupła twarz Stefci zbladła, fiołkowe oczy świeciły mocno podniecone wrażeniem i wewnętrzną gorączką. Spojrzała raz jeszcze na martwe twarze i podnosząc rękę do głowy, szepnęła:

– Idę, wyjdę stąd... nie wrócę... nie!

Utkwiła pałające źrenice w zbolełej twarzy babki Waldemara i szepnęła znowu:

– Idę, pani... idę...

Ale oczy Michorowskiej spoglądały na nią łagodnie. Smutne, pełne żalu i goryczy, zdawały się mówić:

– Biedne dziecko... spiesz... żal mi cię, polny kwiatku... ale... uciekaj do swoich!

– Boże! Boże! – jęknęła dziewczyna, uniesiona wizją.

Każdy nerw dygotał w niej, wrodzona wrażliwość znalazła silną podniecie. Pochłonięta halucynacją zmysłów, wpatrzona w portret, nie słyszała kroków w sąsiednim salonie.

Nagle w obsłonach ciemnej kotary stanęła przed nią wytworna postać Waldemara. W ręku niósł pęk żółtych, herbacianych róż.

– Ach! – krzyknęła Stefcia, cofając się w tył.

Widok jego w tej sali, przy tym portrecie, sprawił na niej silne wrażenie.

– Co pani?... co pani? – zawołał przybyły, porywając jej ręce w swe gorące dłonie. Róże rzucił na sofę i pochylony patrzył na Stefcie badawczo.

– Przestraszyłem panią?... Panno Stefanio, czemu pani taka zmieniona? Co się stało?... Dziewczyna odzyskała swobodę. Przy nim nie czuła obawy. Wysuwając ręce z jego dłoni, rzekła:

– Będzie się pan ze mnie śmiał, ale istotnie przestraszyło mnie nagłe ukazanie się pana.

– Wzięła mię pani za jakiegoś pradziadka, wyskakującego ze ściany, czy tak?

– Pradziadka?... Nie!...

– A ja pani szukałem po całym zamku. Andrzej wprowadził mnie na ślad.

– Ja zbłądziłam, zaszłam do tej sali zupełnie wypadkowo.

– I rozmawiała pani z moimi przodkami? Spojrzała na niego zdziwiona.

– Pan jest jasnowidzący!

– Więc odgadłem?

– Po części. Ja tylko odpowiadałam, oni mówili do mnie.

– Co mówili?

– Nakazywali mi wyjść stąd – rzekła z przymuszonym uśmiechem.

– Panno Stefanio!...

Ten wykrzyk zdziwił Stefcie. Brzmiało w nim pytanie i żal. Prędko powtórzyła:

– Gniewali się na mnie za wtargnięcie do ich przybytku. Tylko ta pani miała dla mnie lepsze spojrzenie.

Wskazała na portret. Waldemar odwrócił głowę, popatrzał i rzekł poważnie:

94

– To moja babka, Maciejowa Michorowska, bardzo dobra i bardzo nieszczęśliwa kobie- ta... może właśnie dlatego nieszczęśliwa, że dobra.

– Dlaczego? - spytała Stefcia.

– Och! to smutna historia. Nie chciałbym pani zasmucać.

– Proszę, niech mi pan opowie jej dzieje – szepnęła z prośbą.

Waldemar przepalał ją wzrokiem. Postąpił parę kroków i biorąc róże z sofy rzekł stłumionym głosem:

– Rwałem je myśląc o pani i niosłem dla niej... Mój ulubiony kolor... Proszę.

Podał jej rozkwitły, woniejący pęk, ogarniając postać dziewczyny gorącym spojrzeniem.

– Czy pani lubi smutne historie? – dodał prędko, chcąc przywrócić jej swobodę, bo spostrzegł, że biorąc kwiaty, zmieszala się;

– O tak! lubię... Dziękuję panu za róże. Śliczne!

– Więc opowiem pani historię babki, ale uprzedzam, że smutna, bo babka miała wiele cierpień w życiu.

– Wyjdźmy stąd – rzekła Stefcia – będą nas szukać.

– Wszyscy grają w tenisa i są zadowoleni. Nie widzę racji im przeszkadzać.

– Ale Lucia sama. Może mię potrzebować.

– Co do Luci mogę panią zapewnić, że się dobrze bawi z Wilusiem Szeligą. Pozostanie- my tu.

– Nie, nie! Trzeba iść.

Podbiegła do drzwi. Waldemar zastąpił jej drogę i rzekł energicznie:

– W tej sali panują prawa feudalne! Nie puszczę pani: historię babki trzeba wysłuchać przed jej portretem... Jest pani w tej chwili moją wasalką.

Stefcia komicznym ruchem załamała ręce.

– Suwerenie, zlituj się! uwolnij mię! – zawołała wesoło.

– O nie! żadnej łaski. Jest pani w mej mocy, nikt cię nie wyzwoli, gdy ja nie zechcę. Mam za sobą całe szeregi popleczników.

Wskazał na portrety.

– Ależ oni mnie nie chcą, wypędzają!...

Waldemar pochylił się do niej i rzekł z naciskiem:

– Gdy ja zechcę, oni zechcieć muszą!

Stefcia zaczęła tracić pewność siebie. Postanowiła wyjść koniecznie.

Lecz w tej chwili zaszło coś dziwnego. Oto w parku rozległ się krzyk, głos wpadł do sali i akustyczne ściany powtórzyły go kilkakrotnie. Zdawało się, jakby portrety przemówiły. Na Stefci, rozstrojonej do najwyższego stopnia, głos ten po słowach Waldemara zrobił wrażenie wprost piorunujące. Rzuciła się naprzód z okrzykiem przestachu.

Waldemar chwycił ją za ręce powyżej łokcia i przysuwając do siebie, szepnął:

– Nie bój się... Przy mnie nic ci nie grozi...

Trzymał ją mocno, spłonioną, z silnie bijącym sercem.

– Nie obawiaj się, jestem przy tobie – powtórzył stłumionym głosem. Oczy jego piekły, pąsowe usta drżały, w skroniach biły tętna.

Chwila ciszy... pierwszego upojenia!...

Niewidzialne dreszcze łączyły ich z sobą, zlewając się w jeden prąd, pełen czaru.

Waldemar nie przerywał go ani poruszeniem, ani słowem. Chciał go wyzyskać do ostat- ka... rozplomieniała go bliskość Stefci, rozczulała jej słabość. Czuł, że ją ta chwila męczy, ale że biedaczka jednocześnie boi się poruszyć, by nie uleciała spłoszona. To go rozrzewniło.

Stefcia była jak nieprzytomna. Pierwszy raz w życiu zadrgał w jej duszy jakiś nowy dźwięk. Doznała obawy przed tym, do którego miała już ufność zupełną. Szarpnęła się i rzekła przerywanym głosem:

– Chodźmy stąd... już chodźmy!

95

– A moja historia? – spytał.

– Opowie mi ją pan innym razem.

– O nie! drugi raz nieprędko może nastąpić podobna chwila, trzeba z niej korzystać.

Podprowadził wahającą się Stefcię do małej kanapki naprzeciw portretu i rzekł z uśmiechem, już spokojny i pewny siebie:

– Niech pani spocznie tu... Ja obok. O tak. A teraz proszę słuchać dziejów babki. Dziewczyna nie znalazła siły sprzeciwić mu się. Jego stanowczość imponowała jej.

Usiadła na kanapce. W białej sukni z pękiem żółtych róż w ręku tworzyła bardzo ładną plamę na ciemnej materii. Waldemar zaczął mówić dźwięcznym barytonem, chociaż dzisiaj nieco stłumionym w brzmieniu:

– Babka moja była ofiarą nieszczęśliwej miłości... kochała człowieka, z którym nie pozwolono jej połączyć się.

Słuchającą przeszedł leciuchny dreszcz. Podniosła oczy na twarz portretu z wyrazem głębokiego współczucia.

Waldemar mówił dalej:

– Była księżniczką z rodziny starożytnej, noszącej w swym herbie koronę królewską. Miała wielu znakomitych starających się. Odrzuciła wszystkich, kochając ubogiego chłopca, sekretarza w dobrach jej ojca. Kochali się wzajemnie pierwszą miłością, tak potężną, że mogłaby wszystko zwalczyć. On milczał, przeczuwając, że mu jej nie dadzą. Cierpiał skrycie. Ale ona, młoda, wypieszczona przez ludzi i warunki życia, naginające się zawsze do jej woli, nawet kaprysu, nie chciała milczeć. Wyznała rodzicom miłość do młodego Gwidona, prosząc ich o błogosławieństwo. Spotkał ją zawód. Ojciec, książę de Bourbon, człowiek poglądów bardzo rojalistycznych, przesiąknięty feudalizmem, ambitny i dumny, odrzucił wyznania córki. Młodziutką Gabrielę wywiózł do Paryża, a Gwidona pozbawił posady. Biedny chłopak, kochając gorąco, przy tym również ambitny, nie zniósł tak strasznego ciosu: wkrótce zakończył życie samobójstwem, pożegnawszy się listownie z Gabrielą. Księżniczka, pogrążona w bezgranicznej rozpacz, chciała wstąpić do klasztoru, ale tyran ojciec nie pozwolił na to. Musiała się bawić, musiała znosić hołdy licznych konkurentów, lecz opierała się stanowczo rozkazom ojca, który zmuszał ją do zamażpójścia. Tak przeszło kilka lat. Tymczasem dziadek mój Ma-



ciej przechodził mniej więcej to samo. Będąc ułanem, gdzieś na balu poznał i pokochał młodą osobę, córkę obywatelską. Nosiła ona imię pani.

Waldemar spojrział w oczy Stefci z jakimś rzewnym uśmiechem. Ona drgnęła i przybladła.

Spostrzegł to. Delikatnie ujął jej rękę.

– Co pani jest, panno Stefanio?...

Wysunęła rękę z jego dłoni i zanurzając twarz w różach rzekła:

– Nic... nic... niech pan mówi dalej.

– Teraz następuje okres najsmutniejszy. Muszę tu obwiniać mego dziadka. Kochał swoją Stenię bardzo, ale...

– Stenię? – zawołał Stefcia.

– Tak spieszczął jej imię i na jej pamiątkę panią tak samo nazywa. Pani podobno jest portretem tamtej. Ona była również pierwszej młodości, również wiośniana, tchnąca życiem i promieniejąca urodą. Posiadała świeżość uczuć, głęboką wiarę, miłość do świata i ludzi. Pokochała dziadka z całej duszy. Zaręczyli się, ale nieszczęście, stugłowe fatum, stanęło na ich drodze. Tu właśnie muszę oskarżać dziadka. Nie miał dość stanowczości, aby zwalczyć przesady i zastarzałe pojęcia swej rodziny. Nie pozwolono mu pojąć za żonę tej, którą kochał, która ze wszech miar zasługiwała na to, która wreszcie była może więcej warta od niejednej protegowanej przez jego sferę i rodzinę. On chciał wprawdzie przełamać zapórę dzielącą go

od szczęścia, ale walczył za krótko. Zagrożony wydziedziczeniem, pod groźbą niebłogosławieństwa uległ złej sile, nie mając odwagi stawić jej czoła do końca. Bardzo zacny i prawy, nie posiadał jednak dostatecznej siły woli. Brakło mu hartu, za słaby, zanadto ulegający

96

wpływowi miał charakter. Nie potrafił powiedzieć nieodwołalnie: „Ja chcę!” – miłość swą pozostawił w sercu, nie ujawniając jej w czynach. Fanatyzm sterowy spaczył jego najdroższe uczucia, złamał dane słowo, może go nawet chwilowo przekonał; zaręczyny zostały zerwane, życie i serce biednej kobiety stargane na zawsze. Zaraz potem wysłano mego dziadka za granicę, aby tam zapomniał... Jakie szyderstwo! Jaka ironia!... W Paryżu dziadek poznał Gabriellę de Bourbon i tak prababka moja, zaprzyjaźniona z domem księstwa, ułożyła z ojcem Gabrieli to małżeństwo. Księżniczka, zmęczona życiem, poddała się woli ojca. Dziadek, powodowany już nie wiem czym, zgodził się również. Ślub odbył się w Rzymie, lecz młoda para kroku tego żałowała całe życie. Byli bardzo nieszczęśliwi. Oboje mieli serca wystygłe, gorycz płynęła w ich żyłach. Oboje wyrzucali sobie chwilę zaślubin, dręczyli swe sumienie. Ona kochała do zgonu pamięć człowieka, który z jej powodu zginął, on stale nosił w sercu miłość dla tamtej i żał, że zwichnął jej szczęście. Nie było spokoju ani harmonii. Złośliwe fatum rzuciło na nich ciężką chmurę, wszelkie promyki światła płynącego ze świata rozjaśnić jej nie mogły. Pozostali w cieniu do końca. Ona niedługo żyła. Smutek, ciągła walka, nieskończona wewnętrzna rozterka podkopały wątki organizmu. Wkrótce rozwinęła się choroba sercowa i suchoty. Zmarła na Południu w dość młodym wieku. Wówczas dziadek oddał ordynację memu ojcu, sam zamieszkał w Słodkowcach, dokąd w kilkanaście lat potem sprowadził owdowiałą ciotkę Idalię z malutką Lucią.

Waldemar umilkł. Siedział z pochyloną głową i głęboką zmarszczką pomiędzy brwiami. Nagle wyprostował się, przeciągnął dłoń po czole i rzeki z westchnieniem:

– Teraz na innej planecie może znalazła spokój, daremnie szukany na ziemi.

– Czy pan ją pamięta? – spytała głucho Stefcia.

– Była moją chrzestną matką, pamiętam ją trochę. Dużo opowiadała mi o niej babka Podhorecka, która bardzo ją kochała.

Spojrział uważnie na Stefcie, na jej rozpalone usta, wilgotne oczy, i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

– Zmęczyłem panią... prawda? Taka pani widocznie przejęta, nawet wzruszona. Podniosła na niego oczy.

– Żal mi ludzi, którzy się tak strasznie męczą, tak cierpią...  
– O tak! żal zawiedzionej nadziei i największego bogactwa na świecie – uczuć.  
– Pan to pojmuje? – spytała Stefcia. Zmarszczył brwi.  
– A pani wątpi?  
– Myślałam, że... w pańskiej sferze nie nazywa się miłości bogactwem... że się jej nie ceni...

– Jednak dziadek Maciej cenił i pojmował miłość i moja babka również.  
– I oboje zmarnowali ją – dokończyła Stefcia.  
– To znowu co innego. Brakło im sił do zbudowania dla swojej miłości odpowiednich podstaw. Nie umieli ustawić jej na takim piedestale, z którego nikt strącić by jej nie potrafił. Niech pani wierzy jednak, że są wśród nas inni, o! być może gorsi od dziadka pod każdym względem, ale więcej energiczni, nawet uparci. Gdy ci zechcą dopiąć celu, złamią wszystko, pójdą przebojem, ale dopną go. Do takich ja się zaliczam. Mam tysiące wad, lecz posiadam niezłomną odporność na wszelkie złe siły. Przy tym, jak wszyscy Michorowscy, jestem trochę egoistą, więc szczęścia nie pozwoliłbym sobie wydrzeć za nic i nikomu. Zgnieść by mnie nie zdołali: ja bym zgniótł tych, co by się ważyli stanąć ze mną do podobnej walki. Nie zastraszyłaby mnie groza wydziedziczenia ani przekleństwo. Jestem bezwzględny, dobrze! ale czuję w sobie potrzebę szczęścia innego, niż posiadam, i gdybym do niego dążył, nikt nie śmiałby stawić mi zapory!

97

Ordynat mówił z pałającymi oczyma, z rozdętymi nozdrzami i zmarszczoną brwią. Jego szare źrenice zdawały się wtórować łowom, biła od nich wielka siła temperamentu, energia i wola, nie znająca dla siebie żadnych granic.

Stefcia z odrzuconą głową i rozchylonymi nieco ustami wpatrywała się z podziwem w jego męskie, wyraziste rysy. Imponował jej. Czuła, że to, co mówi, jest zaledwie częścią tego, co potrafi. Przeciwności mogą się o niego obijać jak o skałę. Przeszedł ją instynktownie dreszcz, mimo woli odsunęła się lekko.

On ochłonął, popatrzył na nią i ubawiony wyrazem jej twarzy, powiedział z uśmiechem:

– Pani boi się mnie? Czyż jestem taki straszny? Mogę zresztą nim być, ale nie dla pani. Trochę mię pani dotknęła zapytaniem, czy pojmuję głębię uczuć; odpowiem z szorstką otwartością: nie pojmowałem, lecz... zaczynam pojmować!...

Stefcia wstała, zwróciła się do swego towarzysza i rzekła prędko:

– Dziękuję panu za opowiedzenie mi tej smutnej historii. Chodźmy już... Okropnie długo siedzieliśmy... w tej feudalnej sali.

– Podziękowania nie poprzez uściśnienie ręki? – spytał wyciągając dłoń. Żywym ruchem podała mu swoją.

Ujął ją silnie, pochylił się i przycisnął do niej gorące usta. Stefcia zdrętwiała, płomień uderzył jej na twarz, w głowie zaszumiało wirem. Pocałunek ten palił ją, czuła na sobie oczy Waldemara.

Prędko wyrwała rękę, podążając w stronę drzwi. Chciała uciec z tej sali i spod jego wzroku.

On wolno poszedł za nią.

## XIX

Całe towarzystwo zgrupowane było na tarasie. Tenis z powodu braku kostiumów nie bardzo się udawał. Zamyślano o nowej zabawie. Stefcia i Waldemar przyszli w porę: oglądano się za nimi. Żółte róże w ręku Stefci zrobiły wrażenie; patrzano trochę podejrzliwie.

– Gdzieście państwo byli? Panna Stefania wygląda jak corso kwiatowe – rzekł ironicznie Trestka.

Zaczepona zaśmiała się.

– Ale co? Ładne róże, prawda? A Waldemar powiedział:

– Przypomina mi się bajka o zaczarowanym dworze królewskim: wyglądacie państwo wszyscy jak pośnięci.

– A pan wkracza pomiędzy nas jak tryumfator na zwycięskim rydwanie – podchwyciła Rita mrużąc oczy.

– Przy którym nie brakuje nawet i branki – dodał Trestka.

– Ach! więc to milczenie jest rodzajem hołdu dla nas?...

– Och nie! tak dalece zachwyceni nie jesteśmy, ja przynajmniej – zaśmiała się nerwowo Rita.

– Widzę, że tenis nie był zabawnym.

– Czy wszyscy państwo już grali? – spytała Stefcia.

– Ja nie grałem. Rozpocniemy na nowo – rzekł Wiluś Szeliga.

– Ja z wami także – zawołała, podbiegając, Lucia. Waldemar zwrócił się do Stefci:

– Mówiła mi pani kiedyś, że nie uprawia tego sportu.

– Cóż znowu? Panna Stefania gra po mistrzowsku!

– Złapałem więc panią na kłamstwie! A!... ładnie!

– A może pani nie chciała grać wyłącznie z panem? – wtrącił Szeliga.

– Ani jedno, ani drugie – odrzekła Stefcia. – Tenisa nauczyłam się dopiero w Słodkowcach i wówczas, gdy mi go pan proponował, nie umiałabym utrzymać rakiety.

– No, to pani nie może grać jeszcze po mistrzowsku! – zawyrokował krzykliwie Trestka.

– Toteż jest to jedynie zdanie Luci.

Zgodzili się wszyscy jeszcze na jedną partię.

– Pozwoli pani służyć sobie za partnera? – zapytał Waldemar. Stefcia skłoniła głowę. Wiluś Szeliga zmarszczył się. Rita zagryzła usta.

Gracze stanęli po bokach siatki, Stefcia z ordynatem i panna Rita z Wilusiem.

Partia zapowiadała się dobrze z powodu udziału ordynanata i panny Rity. Wiluś był wypróbowany w grze, tylko Stefcia niepewna. Trestka drażnił się z nią, dowodząc, że będą ją dopiero uczyli, i zbierał zdania, kto wygra. Powstały zakłady.

Stefcia żartowała z Trestki, bawił ją Wiluś w roli pokrzywdzonego bohatera. Waldemar tłumaczył jej główne zasady gry, twierdząc, że muszą wygrać. Stanęli w wyzywających postawach. Stefcia widząc, że suknia jej zawadza, podpięła ją zręcznie z obu stron i świecąc lakierkami pantofelków podniosła raketę w górę, wołając:

– Zaczynamy?

– Vogue la galère!<sup>39</sup> – rzuciła panna Rita. – Muszę wygrać! – dodała patrząc bystro na stojącego naprzeciw ordynata.

Waldemar skłonił się z uśmiechem trochę szyderczym.

39 Vogue la galère (fr.) – Niech się dzieje co chce!

99

Wyglądało to, jakby przyjął walkę.

Partia się zaczęła. Rita grała gorączkowo i z irytacją. Gniewał ją spokój Waldemara, który wszystkie jej ciosy odbijał zręcznie, prawie mechanicznie, z zimną krwią. Rzucane przez nią piłki zdawał się lekceważyć, mimo to nigdy nie chybił, a całą uwagę zwróconą miał na grę Stefci. Czuwał nad każdym jej ruchem. Wiluś, zły, nie ukrywał swego humoru, grał impetycznie. Lecz towarzystwo przyglądało się głównie Stefci. Dziewczyna podniecona, wesoła, grała z życiem. Ruchy miała swobodne, wdzięczne już z natury. Czasem podskakiwała w górę, biegnąc jak strzała do piłki, czasem wydawała przeciągły okrzyk, gdy dobrze trafiła. Waldemar robił jej uwagi, które ją aż zniecierplwiły.

– Niech mię pan nie poprawia, ja i sama umiem grać.

– Oto wdzięczność niewieścia za dobre chęci – zaśmiał się ordynat.

– A pewnie. Bo jak wygram, to całą zasługę pan sobie przypisze.

– Pani już wygrała. Teraz na mnie kolej.

– Mój panie! co to za konszachty? – zawołała panna Rita – Ot, ma pan!

Cisnęła piłkę z taką siłą, że ta potoczyła się na brzeg placu. Stefcia krzyknęła, podbiegła pędem i w samą porę odbiła piłkę pod nogi Wilusia.

– Uratowałam pana! – zawołała chwytając prędko powietrze.

– Dziękuję! Pani bajecznie przyczyni się do naszego zwycięstwa – rzekł znacząco. Panna Rita zagryzła wargi i obrzuciła Stefcię niechętnym spojrzeniem.

- Byłam pewna, że pan przegra, ale to jeszcze nie koniec!
  - Czekam nowego ataku – rzucił ordynat.
  - Ryzykuje pani za wiele – wtrącił Trestka – tam grają kolosalne siły i mają wenę: przeczuwam porażkę na całej linii.
  - Niech pan będzie cicho. Qui ne risque rien, n’a rien!<sup>40</sup>
  - Mais qui risque trop, aussi n’a rien<sup>41</sup> – odrzekł Trestka zły.
  - O czym państwo mówią? – spytał ordynat.
  - Niewiniątko!...
  - Panie ordynacie, piłka! piłka! – krzyknęła Stefcia.
- Waldemar cofnął się, przegiął zgrabnie i z siłą odbił nadlatującą piłkę – wprost na pannę Ritę.
- Wiluś, trzymaj! – krzyknęła ona z kolei.
- Ale już było za późno; wygrała Stefcia i Waldemar.
- Brawo, panno Stefanio! Możemy sobie podziękować i powinszować, tryumfujemy! – wołał ordynat.

Trestka popatrzał na Ritę.

- A co, nie mówiłem? To ciekawa gra.
- Nudny pan jest. Mogłam wygrać. To przez Wilusia wszystko.
- Moja droga, ty gapiłaś się, a ja miałem za ciebie grać – odciął się zaperzony student.
- Prawda! tym bardziej że gapiłeś się i ty.
- Voilà c’est le mot – zaśmiał się baron Weyher.

Całe towarzystwo, rozbawione tenisem, poszło w stronę doliny róż, skąd szły upajające zapachy i śliczny widok uderzał oczy. Wejście do doliny zamykała gotycka brama z żelaznej rzeźbionej kraty, opleciona różami. Taka sama krata, opięta różami, otaczała całą dolinę. Każde przesło zakończyły rzeźbione wazy pełne róż w ten sposób rosnących. W dolinie były altany, tunele, piramidy pnących sztamowych róż, które w festonach spływały powodzią kwiatów. Na trawnikach stały olbrzymie plecione kosze z białego drutu, napełnione różami, całe gaje, zacisza i gąszcze. Wśród nich białeły posągi bóstw mitologicznych, wazony alaba-

40 Qui ne risque rien, n’a rien (fr.) – Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma!

41 Mais qui risque trop, aussi n’a rien (fr.) – Ale kto ryzykuje za wiele, także nic ma.

100

strowe i z marmuru na wysokich słupach. Kaskady róż spływały w marmurowe baseny, wśród tej grzywy kwiatów były cienkie strumienie wodotrysków. Gdzieś tam świeciły białe żelazne ławeczki wyginane w tył i takie same fotele, w jednej kępie róż stały dwa małe foteliki z różowego marmuru, jak bombonierki. Karłowate, niskopienne róże zdobiły obie strony uliczek, tworząc dywany, wiły się w desenie na trawnikach i oplatały posągi. Wszędzie róże i róże, jak wonny, pachnący ocean. Dolina miała urok cudownego snu. Chciało się tarzać w różach.

- Bajeczne! bajeczne! – mówił zdumiony baron Weyher, nie wierząc własnym oczom. Panowie rzucali na panie różami, rozpoczęło się małe corso.
- Do Głębowicz chyba zjeżdża mnóstwo zwiedzających. To Wersal krajowy – rzekł baron Weyher.
- O tak! dość dużo! – odrzekł Waldemar. – Jest nawet stary lokaj spełniający rolę cicerona.

– Czy to się odbywa tylko w nieobecności pana?

- Nie zawsze. Często spotykam osoby zwiedzające w parku, zwierzyńcu lub w fabry-

kach. Jedynie zamek jest wówczas wyłączony. Zresztą okolica zna go już dobrze. Raz przyjmowałem owocami kilka pań z sąsiedztwa w różanej altanie i naturalnie oprowadziłem je po zamku, gdyż były ciekawe palmiarni.

– Jak to! z sąsiedztwa? Któż to taki? – spytała hrabianka Paula.

– Obywatelki z okolicznych dworów.

– Ach tak!... – skrzywiła usta ironicznie. – Musiały być piękne?

– I wykształcone, i dystyngowane także.

– Och!

Po tym wykrzykniku hrabianka odeszła w inną stronę.

– Co to za głosy dziecinne? – spytała Stefcia, kiedy mijali żelazną kratę, ogradzającą park.

– To z ochronki – odrzekł Waldemar.

Otworzył żelazną furtkę i Stefcia stanęła zdumiona. Na wielkiej przestrzeni ogrodu, na zielonej murawie, pośród klombów kwitnących krzewów bawiło się około dwunastu dzieci, od niemowląt do dwunastu i czternastu lat – dziewczynki w różowych kretonowych sukienkach, chłopcy w granatowych bluzkach. W oddali widniał duży piętrowy budynek, biały z czerwonym dachem, otoczony kwiatami, z tablicą na froncie. Na niej czerniał napis „Ochrona Opieki Świętej Elżbiety”.

Na rozległych trawnikach stały słupy z drabinami do gimnastyki oraz inne podobne przyrządy. Dzieci miały dla siebie ogródki, wózki i małe osiołki; mniejsze bawiły się w piasku. Stefcia i jeszcze kilka osób lubowało się widokiem tej sielanki, gdy wtem pośród dzieci zapanał ruch i krzyk. Wszystkie biegły do furtki, wyciągając rączki i przepychając się jedno przez drugie.

– Pan oldynat! pan oldynat! pan... pan... Maleństwa przy ziemi wrzeszczały:

– Pan dobj! pan dobj!

Dzieci z hałasem opadły ordynata ze wszystkich stron. Starsze, przywitawszy się, stały na boku, powściągając młodsze.

– Pan dobj! pan oldynat!...

– No! cicho, dzieciaki! – wołał roześmiany Waldemar – nie hałasować, przywitać się z paniami!

Cóż tu u was słychać, co?

Zaczął się powitanie z gośćmi i różne opowieści o wydarzeniach niezwykłych.

– Osiołek lozblikał się Antosiowi i wywlucił wózek! – wołała, śmiejąc się, jakaś dziewczynka.

– Marynia rozdarła sukienkę Zosi i pani ochroniarka kazała jej klęczeć.

101

– Micio Zielak noś sobie zbil...

– Jak one pana kochają, to jednak coś bajecznego! – mówił Weyher.

– Czy to dzieci służbowe? – spytała Ćwilecka.

– Tak, pani, dzieci służby dworskiej, trochę biedaków ze wsi i bardzo dużo zupełnych sierot, nawet podrzutków. Uczą się tu i bawią do czasu pójścia do szkoły.

Waldemar zwrócił się do dzieci:

– Gdzie jest pani ochroniarka?

– W ochronce. Uczy starsze dzieci.

– A Stefcia Gołąbkówna? Nie widzę jej.

– Ot, biegnie Stefcia! – zawołało kilka głosów.

Jakaś mała figurka toczyła się jak kula. Dziewczynka różowa, z warkoczykiem złotych włosów, dopadła do ordynata i chwytając go za nogi zaczęła się piąć na ręce, wołając prze- raźliwie:

– Pan dobli! na łęce, na łęce!

Wszyscy zaczęli się śmiać prócz hrabiny Ćwileckiej i pani Idalii, które wzruszały ramionami.

Waldemar podniósł dziecko do góry, pohaustał i pocałował w czoło, po czym oddał Stefcii.

– To pani imienniczka, a moja faworytka. Liczy zaledwo trzy wiosny życia. W ochronce jest od paru miesięcy. Kochamy się bardzo. No! idź do pani – rzekł do dziewczynki,

Dziecko, trzymając za szyję ordynata, spojrzało nachmurzone, ale zaraz wyciągnęło rączki.

– Ladna pani, pani dobla!

– Chrzcę panią moim imieniem – rzekł cicho Waldemar. Stefcia pochwyciła dziewczynkę i ucałowała.

Nadeszły dozorcynie z powitaniem.

Waldemar pokazał gościom wewnętrzny gmach ochrony i przedstawił ochroniarkę, starszą już, inteligentną kobietę, której, za przykładem księżnej, wszyscy podawali ręce.

Zwiedzono jeszcze szkołę i kaplicę obok, po czym całe towarzystwo powróciło do parku.

Waldemar zaprojektował przejażdżkę łodzią. Zgodzono się chętnie. Dzień był piękny i do obiadu pozostało jeszcze parę godzin. Poszli w stronę przystani.

Park, oświetlony popołudniowym słońcem wyglądał jak morze zieloności, jasnych drgających plam, pełen cieni, bujnych traw, żółtych zwirowych uliczek, wijących się kręto, i szerszych dróg powozowych. Pełno życia, śmiechu w naturze i pomiędzy ludźmi. Wszyscy szli razem i stanęli na marmurowych płytach przystani. Baron Weyher oglądał schody z ciekawością i kręcił głową.

– Bajeczne! – mówił. – Cała góra ujęta w marmur. A dekoracja!... Coś podobnego widzi się tylko za granicą.

Pan Maciej rozglądał się za czymś i nagle szybko podszedł na brzeg przystani. Stał przy pąsowej łodzi w kształcie gondoli weneckiej, z nałożonym srebrnym napisem: „Stefania”.

– Odświeżona... zupełnie nowa! – szepnął zdumiony, patrząc na przepyszne adamaszki baldachimu.

Twarz mu drgnęła, poruszył ustami i ze skupieniem patrzył na błyszczący w słońcu srebrny napis. Staruszek ciężko westchnął.

Ale i wszyscy dojrzeli wspaniałą łódź. Panna Rita rzekła do Trestki:

– Widział pan kiedy tę gondolę?

– Tak, w starej szacie... teraz odnowiona...

– Hm!...

Hrabianka Paula zaszczebiotała szeptem:

102

– Czy to imię tej... comment donc!<sup>42</sup> w której się kochał pan Maciej?

– Tak, na jej cześć zbudowana, ale to już dawno.

– Ordynat odnowił ją. Dobry pomysł – rzekł Trestka.

– Szanuje widać les vieilles histoires<sup>43</sup> swego dziada – odrzekła hrabianka z ironicznym półuśmiechem.

– Albo własne, pensez, bien comtesse!<sup>44</sup>

Hrabianka popatrzyła na Trestkę pytająco: miał bardzo ciekawą minę. Spojrzała na pannę Ritę i zdumiona podniosła brwi.

– Czy to możliwe?

Nikt jej nie odpowiedział.

Waldemar podszedł do dziadka. Pan Maciej spojrzął mu w oczy badawczo.

– Mógłbym ci podziękować, Waldy, za odnowienie, gdyby...

– Gdyby co, dziadziu?

– Gdybyś to zrobił tylko dla tradycji – rzekł prędko i odszedł w inną stronę.

Trochę szatański błysk zaświecił w oczach Waldemara, gdy patrzył za odchodzącym dziadkiem.

– Którą łodzią jedziemy? – pytał książę Podhorecki.

– Panie Michorowski, pan decyduje – wołała panna Rita.

– Wybór łodzi zależy wyłącznie od pań.

– Więc jedźmy tą błękitną.

Waldemar skinął na wiosłarzy, a ci, poubierani w pasiaste koszule, podprowadzili natchmiast błękitną łódź pod kamienne schodki. Biały maszt łopotał, poruszany wiatrem, fala cicho pluskała, kołysząc łódką; zagięty jej dziób rytmicznym ruchem zdawał się kłaniać towarzystwu.

Jednakże dla wszystkich za mało było miejsca w błękitnej; ordynat skinął, aby podprowadzono pasową gondolę. Sam usadowił w niej księżną babkę i pana Macieja, po czym spytał:

– Kto tu siada więcej?

– Ja pierwsza – rzekła hrabina Ćwilecka, podnosząc dumnie głowę. – Paula, vous aussi<sup>45</sup>.

– Oh! non, maman!<sup>46</sup> Ja wolę kolor błękitny! – zaśmiała się figlarnie hrabianka.

– Więc ja z mamą – rzekła panna Michalina i lękliwie weszła do łodzi. Waldemar wprowadził jeszcze parę osób.

– Panie Trestka, pan wiosłuje. Tak?

– Nietęgo, ale mogę ryzykować.

– Więc dodam panu wiosłarza. Proszę kierować błękitną.

– A pan?

– Ja prowadzę gondolę.

– Wiosłarz niepotrzebny, ja panu pomogę – zawołała Stefcia. Wskoczyła prędko do błękitnej łodzi, biorąc wiosła.

– Pan steruje, ja będę wiosłowała, bo nie znam drogi, a są tu podobno jakieś zakręty.

– Ja również nie znam drogi. Przy tym nic nie widzę, taki blask.

– Skandal! możemy sobie powinszować – rzekła panna Rita – ci państwo potopią nas. Une belle chance!<sup>47</sup>... Wiluś, bierz wiosła od tego pana, bo grozi nam katastrofa.

42 comment donc! (fr.) – jak jej tam!

43 les vieilles histoires (fr.) – stare historie

44 pensez bien, comtesse! (fr.) – pomyśl, hrabianko!

45 vous aussi (fr.) – ty także

46 Oh! non, maman! (fr.) – O! nie, mamo!

47 Une belle chance! (fr.) – ładna perspektywa!

103

lać.

– Ani myślę ustępować. Panno Stefanio, jazda!...

Stefcia poruszyła wiosłami, łódź zachybotała się mocniej i brzeg powoli zaczął się odda-

– Płyniemy jak na Grand Canale. Patrzcie państwo: czy ordynat nie wygląda na gondoliera? – rzekła hrabianka Paula. Trestka wzruszył ramionami.

– Chyba dlatego tylko, że stoi na cyplu łodzi, bo zresztą cóż więcej?...

– A śmiała postawa, a pewność ruchów, a malowniczość pozy?

– A rozmarzenie w oczach? – dorzuciła panna Rita.

– Już tego to pani nie widzi – zaoponował Trestka.

– Przeczuję!...

– Co to! Muzyka? – zawołała Stefcia. Wszyscy podnieśli głowy.

Od zwierzyńca dolatywały ciche dźwięki strun i nagle buchnął grzmot instrumentów. Odezwała się orkiestra szumną fanfara, sunąc po falach dźwiękliwe. Masa tonów zgodnym i wspaniałym hejnałem płynęła ponad lśniąca wodą, bijąc o burty pasowej i błękitnej łodzi.



Wszystkie twarze uśmiechnęły się, oczy błyszczały wesoło. Chwilę trwała cisza, po czym pytania i wykrzykniki rozległy się jednocześnie:

– Nowa niespodzianka ordynata!

– To głębowicka orkiestra.

Stefcia, rozpromieniona, zdwoiła pęd łódki. W oczach jej błyskały skry.

– Kocham muzykę, ale dla jej miłości nie myślę tonąć. Panno Stefanio, co pani robi?

Wypadniemy! – krzyczał Trestka.

– Nic, nic, panie hrabio. Ja płynę w takt.

– Bylebyśmy się nie wywrócili w takt. To byłoby mniej zabawne.

Baron Weyher musnął z zadowoleniem swe żółte baczki i rzekł słodko:

– Hrabianka dobrze mówiła, że płyniemy jak na Grand Canale. Oui, c'est très beau<sup>48</sup>, jak spacer dożów.

– Ale gdzież jest doża – spytała Stefcia.

– Tylko ordynat może być takim nowoczesnym dożą – rzekła panna Rita. Trestka zachnął się.

– Tylko ordynat! zawsze tylko ordynat. Dziwię się, że mu pani dotąd piedestału nie postawiła.

– Składałabym mu hekatombę, gdyby chciał, ale... nie chce.

– Osobliwa szczerłość!...

– Co oni grają? – spytał Wiluś.

– Powitalną fanfarę dla nas.

– Przedtem, ale teraz coś z motywów ludowych. Wcale ładnie grają.

– Jest ich przecie dwudziestu, to nie byle pozytywka. Mogliby koncerty dawać.

– A wszystko młodzi chłopcy w strojach narodowych. To już innowacja ordynata, dawno podobno muzykanci chodzili we frakach i byli przeważnie cudzoziemcami.

– Ordynat wiele wprowadził nowości – zauważył baron.

– O tak! Głębowicze są nie do poznania – potwierdziła panna Rita. – Nie mówię o rezydencji, lecz o całym w ogóle urządzeniu. Organizacja majątku znakomita. Ordynat ma już wielkie zasługi obywatelskie, choć taki młody.

– Zasługi obywatelskie polegające na urządzeniu orkiestry włościańskiej? – wtrącił złośliwie Trestka.

48 Oui, c'est très beau (fr.) – Tak, to bardzo piękne

104

Stefcia rozgniewała się.

– A chociażby nawet! To zasługa, że popiera sztukę na miejscu, w kraju, zamiast szukać obcych cudaków we frakach.

– Doprawdy... Vojons! myślałam, że pani pasjami lubi fraki – szydził Trestka.

– Jeśli to miał być dowcip, to się panu nie udało – odcięła się Stefcia. Trestka spojrzął na nią obrażony.

– Dobrze! ale co właściwie widzą panie tak krańcowo obywatelskiego w ordynacie? Panna Rita o mało nie podskoczyła.

– Co? pan się pyta? Więc chyba pan nie zna Głębowicz i ich urzędzeń, ale niechże pan zajrzy do wewnętrznej administracji, do fabryk, do tej samej szkoły i ochronki, którą pan dziś zwiedzał. Już nie mówię o gospodarstwie rolnym. Czyż pan nie widzi, jakie tam wszystko kulturalne, postępowe?

– Pardon! to robią pieniądze. Proszę mi dać miliony ordynata, a dokażę tego samego!

– O panie! gdybyś pan miał te majątki, zrobiłbyś z nich jaką Szwabię lub drugą Brazylię, gdzie byłby stek włóczągów z całego świata. Miliony przegrałbyś pan w bakarata. Co tu mówić! właśnie zasługą ordynata jest popieranie przemysłu w kraju. On podtrzymuje dobrobyt, dając

zarobek tysiącom ludzi. W jego fabrykach i dobrach nie ma ani jednego cudzoziemca, a mimo to kultura i postęp kwitną, jest ogólne zadowolenia tych mas ludzkich, nienasyconych nigdy, według opinii publicznej. A niech pan policzy szkoły zakładane przez ordynata, jego dbałość o oświatę ludu, a szpitale, a ochronki dla dzieci i starców, a warsztaty dla uczących się rzemieślników? Gdzie pan to więcej znajdzie u naszych magnatów? A rolnictwo. Niech pan zobaczy gospodarstwa włościańskie w dobrach ordynata, czy tam już socha ma zastosowanie? Włościanie tu są ludźmi stosunkowo ucywilizowanymi, w przyszłości analfabetów wśród nich nie będzie, bo staraniem ordynata dzieci mają się gdzie uczyć. On młodzież włościańską i ze swej służby wysłał do niższych szkół agronomicznych w kraju, sam przyjmuje na praktykę inteligentnych, młodych rolników i urabia ich na swoją modłę. Mając mnóstwo wyręczycieli, zarządza osobiście majątkami, wnikając wszędzie, nie uchyla się przy tym od szranków szeroko społecznych; on jest inicjatorem nowego towarzystwa rolniczego, a w bliskiej przyszłości zostanie prezesem, bo już dziś ma głosy za sobą. I to nie są zasługi obywatelskie? to jeszcze mało? A przecież ordynat ma zaledwie 32 lata, to zupełnie młody człowiek. Który w jego wieku zdołał już tyle zrobić, niech mi pan powie? Który z was pieniądze zatrzymuje w kraju zamiast wzbogacać nimi zagranicę?

– Dużo ich wydał i ordynat, pochłonęła Halla, Bonn i pięć lat bąblerki po całym świecie. Napęczniały nimi wszelkie kluby i jedwabne sakiewki de beautés européennes<sup>49</sup> i nie tylko européennes. Ordynat miał wenę i w Moulin Rouge.

– Mój panie!...

– No cóż? Panny Luci nie ma z nami, a panna Stefania chyba się nie zgorszy. Czy pani bardzo niewinna?...

– Raczy pan mną nie interesować się – odparła zagniewana.

– Bałbym się, choćbym chciał. Ja nie mam weny.

– Vous êtes détestable!<sup>50</sup> – zawołała hrabianka Paula.

– I o tym wiem.

– Pan mówi, że ordynat dużo puścił pieniędzy? Puszczal bo miał z czego. Niektórzy robią to samo nie mając. Używał życia w całej pełni, ale u takiego człowieka, jak on, nastąpił przesytyt prędko. Inny na jego miejscu grzązłby do końca i zapychał banknotami świat cały – nie daleko szukając, pan pierwszy.

– Pod żadnym względem rywalizować z ordynatem nie mam pretensji.

49 de beautés européennes (fr.) – piękności europejskich

50 Vous êtes détestable! (fr.) – Pan jest obrzydliwy!

105

– Bardzo rozsądnie z pańskiej strony. Hrabianka Paula i Stefcia roześmiały się.

– Jednak na tej błękitnej kwitną komplementy – rzekła Stefcia.

– Ponieważ są tu dziś wszyscy w wyjątkowych humorach – odparł Trestka poprawiając binokle.

– Pani imienniczka ciszej się zachowuje...

– Moja imienniczka?...

– Tak, gondola Stefania, ale daleko od nas odpłynęli.

– Marnie wiosłujecie państwo, skoro pan Waldemar sam jeden prześcignął was – zaśmiała się Rita.

– Nic dziwnego: ultrauniwersalny!

Stefcia pilniej zaczęła wiosłować. Pochylona nad gryfami, zamyśliła się głęboko. Całodzienne wrażenia, począwszy od rozmowy na breku, wirowały w jej głowie, nabrzmiały pewnym niepokojem. Starła się zagłuszyć w sobie scenę w sali portretowej, lecz nie mogła. Mimo woli czuła, że było to coś więcej nad zwykłą rozmowę i że swoboda jej w obcowaniu z Waldemarem ulegnie zmianie. To ją przerażało. Bała się zagłębić w analizę niepochwytnej nuty, której dźwięk zaczynała słyszeć. Potem gondola...

Stefcia doskonale zauważyła zachowanie się panny Rity, doszły jej uszu słowa Trestki i porozumiewawcze uśmiechy, połączone ze spoglądaniem na nią i na Waldemara. Z kilku podchwyconych szczegółów rozmowy ogólnej i z zachowania się ordynata doszła do wniosku, że gondola odnowiona została na jej cześć. Jej miłość własną napawała pewną dumą uprzejmość ordynata. Była mu za nią wdzięczna, ale uczucia te zagłuszała obawa opinii całego towarzystwa. Grzeczności Waldemara okazywane jej miały swój właściwy styl klasyczny, nawet nie rycerski, ale miękki, w dobrym smaku. Jego zainteresowanie się nią nie raziło ją skrawo, tylko dla osobiście interesownych było wyraźne, dla Stefci już konieczne. Lecz większość towarzystwa brała tę kwestię podmiotowo, co uwypuklało delikatne efekty hołdów ordynata, czyniąc je bardziej widocznymi. Waldemar wzbudzał w Stefci podziw. Uprzykrzony dawniej magnat, dziś wesoły towarzysz, imponował jej. Przestraszał ją trochę swą energią i pewnym akcentem feudalizmu, pozostałym w krwi jego po zamierzchłych czasach. Ale wzbudzał w niej zarazem nieograniczoną ufność i jakiś pociąg drażniący. Czuła się swobodniejszą w jego towarzystwie; on był jej obrońcą przed pociskami własnej stery, nawet sprzymierzeńcem. Waldemar od pamiętnej sceny, gdy grała sonatę Beethovena, nie nadużywał jej zaufania nawet słowem. W sali portretowej przestraszył ją znowu. Zwykle w obcowaniu z nią sam na sam, co zresztą nieczęsto się zdarzało, dziwnie poważniał, i to Stefcię drażniło. Dziewczyna, pogrążona w myślach, nie zauważyła, że i całe towarzystwo na łódce siedziało cicho.

Wszyscy, zasłuchani w grzmącą orkiestrę, spoglądali na złoto-srebrne fale rzeki, ścigając oczyma gondolę, również poważną i milczącą.

Muzyka, chociaż wesoła, spadała na tych ludzi smutną nutą, budziła pragnienia, tęsknoty... Szumem swych skrzydeł zdmuchiwała uśmiechy z młodych twarzy. Każdy przędł złote nici marzeń na kołowrotku własnej imaginacji, umyślnie cierpiąc na daltonizm, by nie ujrzeć szarej przędzy rzeczywistości. Świetność spaceru, bogata natura okalająca rzekę i ów delikatny pytek czaru, wsiąkły w nastrój chwili, działał na zmysły, podniecał, dla wielu był ciężkim brzemieniem niedoścignionych ideałów...

Gdyby konwenanse nie grały w gronie tych ludzi pierwszorzędnej roli, niejedno ciche westchnienie spłynęłoby w łyskliwą toń. Ale byli to wszystko ludzie z jedwabnego świata, może nie zawsze czysto jedwabni, lecz wypolerowani tak, że ani supełek wewnętrznej natury, ani włókienko istotnej prawdy nie uwydatniło się szczerze spoza atlasowej powierzchni. Każdy udawał zasłuchanego w muzyce lub patrzył w obłoki, jakby licząc plamiące je mewy. Nikt nie wyjawiałby swych rojeń, nawet panna Rita, zwykle uważana za mało jedwabną.

106

Stefcia stosowała się do ogólnej metody, choć może ona była najbliższej złotej rzeczywistości. Przybyli do brzegu. Przystań, wyłożona płytami kamiennymi, miała po obu stronach schodów dwa wykute z kamienia odyńce z potężnymi kłami.

Cały zastęp służby zwierzynieckiej wysypał się na spotkanie. Wszyscy młodzi chłopcy, przystojni, poubierani w ciemnozielone kurtki. Na piersiach mieli pendenty z żółtej skóry, podtrzymujące krótkie szpady, oraz rewolwery w olstrach, pasy i noże myśliwskie w oprawie rogowej, kołnierze haftowane w złote świerki i ciemnozielone czapki z rogami jelenia i głową dzika nad skórzanym daszkiem, również haftowane złotem; z ramion spadały złote sznury; z prawej strony na piersiach każdy miał wypolerowaną blachę z herbem Michorowskich i mitrą książęcą.

Towarzystwo powiększyło się: Waldemar przedstawił gościom trzech praktykantów gębowickich.

Wszyscy rozbiegli się po szerokich ulicach zwierzynca, ubawieni spacerem w lesie, utrzymanym wzorowo i pełnym zwierzyny. Po zielonych polankach śmigały bure sarny na nogach jak sprężyny, ogromne sztuki jeleni z lasem rogów na głowach sunęły poważnie, bez

obawy; plamiste daniela skubały trawę, grupując się w większym cieniu. Często zatętniał ciężki bieg łosia, łomot gałęzi i głuche rechotanie zwiastowało bliskość odyńców. Ze wszystkich kępin trawy, z krzaków sypały się zające; szare kuropatwy, wystraszone gwarem, wznosiły się w górę z właściwym furknieniem.

Świat zwierząt na ziemi zagłuszał górne sfery ptaków, najrozmaitsze krzyki, kwilenia i świsty brzmiały wśród rozłożystych koron drzewnych niby druga orkiestra. Rozśpiewany las poprawił humor całego towarzystwa. I znowu szły barwne rozmowy, wyprzedzały się dowcipy, głośnie wybuchy śmiechu płoszyły czworonożnych mieszkańców kniei.

Na jednej polance stało kilka słupów z białymi tarczami, na których wymalowane czerwone i niebieskie kółka służyły do strzałów amatorskich.

Trestka i baron Weyher natychmiast zabrali się do tego: jeden gorączkowo, drugi z flegmą. Łowczy dostarczył im flowerów i rozpoczęli strzelanie. Baron dowodził, że mu to przypomina tir aux pigeons<sup>51</sup> w Monte Carlo, tylko jest mniej zabawne. Za przykładem panów poszły i panie. Pierwsza hrabianka Paula chybiła trzy razy do czerwonego asa; próbował Wiluś Szeliga – nie trafił, próbował Trestka i baron Weyher, również bez skutku. Trestka krzyczał, że cel za mały i złe flowery. zawsze i wszędzie wynajdywał błędy. Niepowodzenie rozgorączkowało wszystkich. Podszedł książę Podhorecki z Ćwileckim i walili w nieszczęsną tablicę, aż drzazgi się z niej sypały, lecz czerwony as świecił nie poruszony.

Wreszcie panna Rita chwyciła flower i zaczęła mierzyć, ale Trestka szepnął szyderczo:

– Mierzy pani do niezwykłego. Wszelkie zabiegi na nic. Radzę zaniechać. Odwróciła się zdziwiona.

– Jak to! Co pan mówi?...

– Że ten as tak samo trudny do zdobycia jak jego właściciel – odrzekł Trestka z wybuchem szczerości.

– Panie! proszę raz zleźć z tych swoich ategorii. Mam ich dosyć!

– Czyż nie powiedziałem wyraźnie?...

– Aż nadto!

Bystro spojrzała dokoła i oddając flower Stefci. rzekła z ironicznym uśmiechem:

– Proszę, niech pani jeszcze spróbuje tego niedoścignionego celu. W tej chwili zbliżył się Waldemar.

– Pani umie strzelać? – zapytał.

– Umie.

51 tir aux pigeons (fr.) – strzelanie do gołębi

107

– A to ciekawym!

Stefcia, która słyszała krótką rozmowę panny Rity z Trestką, wzięła flower spokojnie i odstąpiwszy kilka kroków, wymierzyła w środek, niebieskiego kółka na czwartej tablicy z rzędu.

– Ależ nie tak! pani mierzy zupełnie w inną stronę – krzyczał Trestka.

– Bo ja mierzę do niebieskiej tarczy.

Strzał huknął. Stefcia drgnęła, podniosła głowę i bystro patrząc poprzez dym zawołała:

– A co, panie Trestka, trafione?...

– Parfaitement!<sup>52</sup> w sam środek. Co prawda, duże koło to nie czerwony as! Czemu pani nie strzelała do asa? O to chodziło.

– Nie chciałam – odparła krótko.

– Bała się pani kompromitacji? – zapytała z intencją Rita. Stefcia zapłonęła.

– Nie narażałam się na nią.

Waldemar śledził ich nieznacznie. Zrozumiał wszystko.

– Teraz ja, va banque!<sup>53</sup> – rzekła panna Rita. Huknął drugi strzał.

– Trafione na pewno! – zawołała. Trestka zrewidował tablicę.

– Ani trochę! Mówiłem, że to nie dla pani cel. Trzeba było słuchać. Młoda panna zacięła wargi.  
– A więc jeszcze raz panna Stefania! Koniecznie!  
– Ja panią zastąpię! – podchwycił Waldemar.

Nim kto zdołał zaprzeczyć, chwycił flower, przymierzył i wypalił. Tablica zadygotała, rozszczepiła się na dwoje i spadła w trawę z przebitym na wylot asem.

Waldemar zwrócił się do Stefci z miną zupełnie obojętną, jakby nie rozumiejąc, o co im głównie chodziło.

– Strzelałem w pani imieniu – rzekł z lekkim ukłonem. Stefcia pokręciła głową.

– Nie chciałam być pańskim przeciwnikiem w pojedynku. Strzela pan jak Nemrod.

– A ja przeciwnie! – rzekł Trestka. – Jak mi życie obrzydnie, to pana wyzwę. Przynajmniej od razu buch! na tamtą stronę.

– Trzymaj się pan tej – pewniejsza! – zaśmiał się Waldemar. Panna Rita bez słowa odeszła w głąb lasu.

Na obiad nie chciano wracać do zamku. Ordynat urządził nową niespodziankę. Gdy całe towarzystwo szło w stronę rzeki, bo Trestka głosował za łapaniem ryb, nagle zabrzmiał głośny, melodyjny dźwięk trąb.

Zatrzymali się wszyscy zdumieni.

– Co to znaczy? co to za sygnał?

– Zaproszenie na obiad! – oświadczył Waldemar. – Służę państwu.

I podał ramię księżnej Podhoreckiej.

Pośród rozłożystych dębów, w cieniu, na polance, towarzystwo ujrzało długi stół zastawiony do obiadu. Naokoło wysokie słupy, strojne w dębowe wieńce i chorągiewki z barwami Michorowskich. także wieńce i chorągiewki pozawieszane w poprzek polanki tworzyły rodzaj sklepienia nad stołem; bielizna stołowa tkana w herby i desenie przedstawiające sceny myśliwskie. Srebra, kryształ, porcelana, wszystko z myśliwskimi inicjałami. Krzesła z rogów łosi. Kosze z owocami na stole miały podstawy z rogów jeleni. Przez baldachim z wieńców i

52 Parfaitement! (fr.) – Znakomicie!

53 va banque! (fr.) – o cały bank. o całą sumę (w grze hazardowej)

108

liści słońce rzucało drgające plamy na bogactwo stołu, nadając mu wygląd jeszcze świetniejszy. Zamiast lokajów stał szereg strzelców zwierzynieckich, przeznaczonych do obsługi, w strojnej liberii, z pistoletami i nożami. Dowodził nimi główny kamerdyner zamkowy. Między drzewami przeświecała altana płócienna, przeznaczona dla służby i kucharzy.

– Zobaczysz pan coś podobnego do sławnych polowań głębowickich – mówił książę Podhorecki do barona. – Ordynat ma pyszne leśniczówki. ale co za knieje. Powiadam panu, zwierzyna na tysiące się liczy.

Obiad trwał długo. Pomysł Waldemara okazał się doskonałym, wesołość panowała niezmacona. Nie tylko młodzież, ale nawet pani Idalia i hrabina Cwilecka wyszły ze swej majestatycznej oprawy, były wesołe i naturalniejsze niż zwykle. Waldemar celował w dowcipnej rozmowie, Trestka najgłośniej krzyczał. Wznoszono toasty, przy których straż leśna wykonywała huczne fanfary na trąbach. Orkiestra w przerwach między toastami grała ciągle i las brzmiał gwarem, roznosząc echo zabawy aż na fale rzeki złoconej słońcem.

Stefcia z początku była trochę sztywna: praktykanci Waldemara przypomnieli jej Prątnickiego i minione przykrości. Ale Wiluś Szeliga, prowadząc ją do obiadu, prędko rozproszył niemiłe wspomnienia. Przy tym ci panowie w niczym osobiście nie mogli przypominać Prątnickiego; mieli bledszą urodę, ale klasyczniejsze obejście i zupełnie zastosowane do towarzystwa. Stefcia z przyjemnością zauważyła, że Waldemar jest z nimi swobodny i wesoły jak z Wilusiem lub Trestką, bez różnicy, co sprawiało, że i oni zwracali się do ordynata z uszano-

waniem, lecz bez cienia uniżoności. Stosunek ten prawie przyjacielski pomiędzy zwierzchnikiem i podwładnymi akcentował poglądy Waldemara dalekie od przesądów jego sfery. Stefcia zauważyła jeszcze coś innego, co ją dziwiło i gniewało. Widziała, że jest przedmiotem cichej uwagi całej służby. Począwszy od kamerdynera i łowczego, wszyscy przygadali się jej badawczo i z szacunkiem, obsługiwano ją uprzedzająco, a gdy Waldemar wznosił jej zdrowie, fanfara na trąbach zagrzmiała głośniejszemu, z wyraźnym staraniem. Praktykanci spoglądali na nią jak ludzie dobrze wychowani, bez natarczywości, ale ciekawie, przenosząc wzrok z niej na ordynata. Stefcię to zaniepokoiło, już zaczynała tracić swobodę.

Wyjaśnienie nastąpiło niebawem.

Waldemar, obnosząc wino, podszedł do niej. Odsunęła kieliszek.

– Ja już dziękuję.

Pochylił się nad nią i szepnął z uśmiechem:

– Teraz wzniosę toast na cześć młodości i szczęścia, uosobienia pani. Taki toast wypić trzeba do dna.

– Dobrze, ale nie chcę być uosobieniem nietrzeźwości – rzekła sucho.

– Umie się pani bronić od tego – powiedział porywczym i odszedł ze zmarszczoną brwią. Wiluś siedzący obok, rzekł do niej z ciekawą miną:

– Czy pani wie, za kogo ją tu niektórzy biorą w Głębowiczach?

– Za kogo? – spytała zdziwiona.

– Za hrabiankę Barską, domniemaną narzeczoną ordynata.

– Taaak!?!...

Stefcia zeszywniała. Przypomniał jej się tytuł nadany przez kamerdynera w zamku. To tłumaczyło zachowanie się służby...

Przeszedł ją leciuchny dreszcz, ognie uderzyły do głowy. Powtarzała w myśli:

– Hrabianka Barska... narzeczoną ordynata. Nigdy o niej nie słyszałam. Jaka ona jest? jak wygląda?...

– Dlaczego pan powiedział „domniemana”? – spytała głośno.

– Bo nic rzeczywista – odrzekł student, wzruszając ramionami. – Chcą ordynata ożenić z Barską, ale on się nie spieszy, chociaż to jedna z najpierwszych partii w kraju. Domniemana narzeczoną czeka z upragnieniem, lecz wątpię, czy skutecznie, bo ordynat grymasi.

– A dlaczego mnie biorą za nią? Czy jestem podobna?...

109

– Nikt jej w Głębowiczach nie widział, ja również, ale służba zapewne wie coś o projektach matrymonialnych względem ordynata i odgaduje, że pani jest ową wybraną, ponieważ panią widzi po raz pierwszy i...

Zawahał się.

– I co? – podchwyciła śmiało Stefcia. Wiluś spojrzał na nią z ukosa.

– Nic! po prostu przeczuwają w pani przyszłą ordynatową.

Stefcia zmarszczyła brwi. Zrozumiała, że Wiluś nie dopowiedział swej myśli, że chciał wytknąć zachowanie się ordynata względem niej.

– Muszę ich rozczarować co do siebie – rzekła oschle.

Było jej przykro. Ukrywała wrazenie, nadrabiając wesołością, ale jej się nie udawało. Rozmawiała, dowcipkowała, lecz już jak zwarzona. Gdyby Wiluś lepiej uważał, spostrzegłby w niej zmianę, wywołaną swymi słowami. Ale on tego nie widział. Bawił Stefcię w czasie obiadu i nie odstępował potem, gdy w łunie zachodu wracali łodziami do zamku.

Długo jeszcze park. oświetlone tarasy i zamek dźwięczały życiem. Przy wspaniałej kolacji, błyszczącej od starożytnych sreber, kryształów i porcelany saskiej, ponowiły się toasty i szumne fanfary orkiestry. Pyszna stylowa sala jadalna, wyłożona mahoniem, z brązami, z sufitem sklepionym, zdobnym w płaskorzeźby, tonęła w srebrnobieli lamp elektrycznych, rozbrzmiewała gwarem błyskotliwych rozmów; płynęły upajające tony muzyki. Urok tej ksią-

zęcej wystawności działał na wszystkich, przebiegał prądem we krwi, zapalał mózgi, drażnił, porywał...

Zegar na wieży zamkowej wydzwaniał północ, gdy powozy i brek wtoczyły się znowu w aleję świerkową. Jechali w takim samym porządku jak rano, bo ordynat odprowadzał gości do Słodkowic, gdzie mieli nocować. Tylko Lucię pani Elzonowska zabrała do powozu, bojąc się dla niej nocnego chłodu. Jej miejsce na breku zajęła panna Michalina.

Hrabianka Paula prowadziła cichą rozmowę z baronem. Panna Rita drażniła Trestkę, mówiąc, że będzie spała. Stefcia siedziała obok ordynata, bo Waldemar tak stanowczo podał jej rękę, że nie mogła na to nie przystać z obawy zwrócenia uwagi.

Gdy brek wjechał w aleję, masy czarnych świerków poruszyły się głuchym poszumem, nocny wiatr wypełznął w zbite korony, hucząc nimi jękliwie. Łoskot ostrych gałęzi przeszedł z brzegu w brzeg, niby groźny pomruk. Stefcia otulona płaszczem, podniosła głowę do góry, patrząc na oświetlone srebrem czuby grzmiących tytanów. Waldemar nachylił się do niej.

– Moje świerki mówią pani do widzenia – rzekł miękko, lecz z akcentem.

– Groźnie szumią – szepnęła.

– To są moje druchy, a więc i pani także. One do nas przemawiają i ja je rozumiem. Podo- bały się pani Głębowicze?

– Śliczne!

– Twoje! – wyszeptały bezpamiętne usta jego.

Grzmot kopyt na kamiennym moście zgłuszył ciche słowa i realnym swym dźwiękiem ocucił Stefcie, której serce na chwilę zamarło.

Brek wpadł między srebrne zboża, malowane księżycem, znowu pełne gwaru i rozmowy.

W gabinecie Waldemara, wybitym ciemnokarmazynową skórą, snuły się błękitne pasemka dymu, roznosząc woń dobrych cygar. Kilku zebranych panów gawędziło wesoło. Jedni siedzieli, inni przechodzili z miejsca na miejsce, jeden leżał rozciągnięty na karmazynowym szezlongu.

Był to Trestka. Leżąc na wznak, ręce podsunął pod głowę i pykając z cygara, patrzył uparcie w sufit na wymalowaną scenę powitania Odyseusza z Nauzyką.

Waldemar siedział na poręczy fotelu w niedbałej pozie i przysłuchiwał się wesołym żartom towarzyszy. Sam trochę mroczny, nieczęsto mówił, jednak nie krępował wesołości, a każde z rzadkich jego słów było jakby podniętą. Do niego zwracali się głównie, on wyglądał na arbitra wśród tej wytwornej młodzieży. Zjechała tu cała śmietanka arystokracji bliższej i dalszej, wszystko panicze, napiętnowani cechą zagraniczną. Jedni w stylu wiedeńskich jokey-clubistów lub modernizowani na sposób paryski, inni nosili poważny ton synów Brytanii.

Wśród nich Waldemar przedstawiał typ najwięcej patrycjuszowski. Choć Zachód polakierował go na ogólną modłę międzynarodowej elegancji, jednak nie zdołał go przekształcić zupełnie. Pozostał najmniej egzotycznym. Młody ordynat nie odznaczał się wybitną pięknnością, ale posiadał wydatny typ, zwracał uwagę, przykuwał oczy.

Był jednym z tych magnatów, którzy nie nosząc swego majestatu przed sobą, mają go bezwiednie w sobie. Nie myśląc o tym, był zawsze i wszędzie panem i ta jego pańskość, noszona z pewną niedbałością, zwracała na niego oczy. Wyróżniał się i wszystko mu uchodziło; żył, jak chciał, mówił, co chciał, nie stosując się do ogólnych przepisów, tylko do własnej etyki. Ale ta nie zawiodła go nigdy. Jego subtelność i przeczulenie estetyczne nie dozwalało szrankom zakreślonym przez jego swobodę czynów wejść w niezgodę z ich regułą. I owa estetyka stała się tak dalece nim samym, że wyłączała wszelkie wahania. Nie mógł jej przekroczyć bez skrzywdzenia samego siebie. Odznaczała go przy tym znamieną wypukłość charakteru, co go czyniła odrębnym. Umysłowo stał bardzo wysoko, inteligencją wznosił się nad poziom swego otoczenia, ale własna opinia mało go obchodziła, nie dbał o to, co o nim powiedzą. Posiadał niesłychanie żywy temperament, rzutkość i szaloną energię, lecz nie łączył z tym rubasznej krewkości, przeciwnie, miał wyraz trochę znudzony, w niedbałych ruchach pewną apatyczność.

Jego stalowe źrenice miały wielką różnorodność wyrazu: ironii, dowcipu, czasami błyskały w nich zimne połyski stali; często wybuchowe ognie lub płomyki łagodności i wzruszeń. Nie umiały być rysimi ani nazbyt kobiecymi w wyrazie. Męskość jego zyskiwała na tym, nie tracąc nic z uroku. Jego stanowczość, raz okazana, była niezłomną, ale sam z sobą odbywał walki bardzo uporczywe. Wiedział, czego chce i do czego dąży, lecz nie zawsze miał pewność, czy racjonalnie chce i czy dobrą obiera drogę.

Filozofował, analizował, każdą rzecz przefiltrowywał przez swe zdolności umysłowe, lecz gdy w końcu powiedział sobie: „Eureka!” – zdanie jego wychodziło skryzalizowane, z cechą wyłączną. Ale nie zawsze potrafił być drobiazgowym krytykiem samego siebie: zdarzały się wypadki, że żądania swe rzucał ze śmiałością i bezwzględnością. Gwałtowność rodowa w połączeniu z jakąś dozą feudalizmu brała wówczas górę nad filozofem. Potrafił wybuchać dziko, jak wszyscy Michorowscy. Tylko przodkowie jego nie znali samoosobowej krytyki, nie analizowali swych czynów. On, jeśli dał się unieść chwili zbyt popędliwie, za to potem przeprowadził ją przez wszystkie tory swych filozoficznych, etycznych i estetycznych poglądów i nie zawsze czuł się zadowolony; wówczas wpadał w groźne rozdrażnienie, ale młoda, żywa natura i energia nie pozwalały mu długo nurtować się w sobie.

111

Rozdrażnienie mijało, pozostawiając odrobinę niesmaku, a samoosobowy krytycyzm jego wzmagał się. Człowiek ten był pewnym siebie i swych czynów, ale nie zarozumiał, bo nie każdą myśl wypuszczał w świat, nie każdą uważał za doskonałą.

Po przyjęciu w Głębowiczach Waldemar odprowadził swych gości do Słodkowic i tam przenocował. Rano zerwało się w nim tysiące zapytań i wątpliwości, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi, pożegnał się i wyjechał. Szalała w nim burza. Zły, wściekły na siebie, nie mógł sobie darować postępowania ze Stefcia. Scena w sali portretowej i słowa jego na breku dręczyły go jak gorzki wyrzut. Obawiał się trochę spotkania ze Stefcia, myślał, że ona po tym, co od niego słyszała, przywita go albo nadąsana, albo z tryumfalnym uśmieszkiem, tak częstym u panien w podobnych warunkach. Nie chciał jej gniewu, lecz stokroć więcej obawiał się tego uśmieszku, może przeczuwając, że stałby się on zaporą rzucającą na Stefcia wielki cień. A tego instynktownie dopuścić nie chciał. Na breku po jego znaczącym słowie ona siedziała cicha, przytłoczona, mówiła mało i z przymusem, nie do niego zresztą, bo i on zamilkł.



Na szczęście panna Rita zamiast spać rozgadała się na dobre i podtrzymując rozmowę zamaskowała niezwykle usposobienie jego i Stefci.

Waldemar po nie spanej nocy doszedł do przekonania, które sformułował w ten sposób:

– Wczoraj rozważała, dziś zrozumiała i okaże mi to. Na tę myśl zaciskał zęby z jakąś złością.  
– Niechże nie próbuje, bo chybi.

I czuł, że samym posądzeniem krzywdzi Stefcię, jednak napadał na nią z zjadłością.

Był rozdrażniony, przywitał ją chłodno, bez cienia życzliwości, a choć czuł jej zdziwiony wzrok na sobie, pozostał sztywnym aż do wyjazdu. Wyjazd przyspieszył umyślnie; chciał uciec od jej widoku, bo czuł, że się na niej zawiódł, że mylnie ją sądził i że jest względem niej winnym.

Taktowna dziewczyna nie okazała mu nic z tego, co przypuszczał, nie dojrzał w niej try- umfu ani gniewu, jedynie trochę zdziwienia z powodu jego chłodu. To go wzruszyło najniepotrzebniej, jak sam myślał, i przechyliło szalę na korzyść Stefci.

– Co ona ci zawiniła, że postępujesz z nią jak z pierwszą lepszą? – powtarzał sobie wracając do Głębowicz.

I wciśnięty w kąt powozu przeprowadzał z goryczą własną krytykę.

Przypominał wczorajszy ranek, jak jechał z nią razem na koźle breku, słyszał w myśli jej słowa, jej śmiech. Widział ją przed sobą, porównywał wczorajszą do dzisiejszej i burzył się coraz bardziej.

Pogoda dopomagała mu do czarnych myśli. Wczorajszy świetlisty poranek znikł. Powie- trze było szare, nabrzmiałe deszczem wiszącym w chmurach. Na ziemię padał drobniutki mo- kry pył. Świat cały stał w jakiejś melancholijnej, ponurej ciszy. Drzewa, szumiące wczoraj, dziś milczały skupione w sobie; łany zbóż, wczoraj wesołe i wyjaśnione, stały cicho pod ciężarem wilgotnej szarżyny dnia. Czasem na przydrożnych topolach zakrzyczyły ptaki, ale i one milkły na odgłos kopyt końskich, stukających po bitym gościńcu. Powóz na gumach su- nął cicho, lecz Waldemara gniewał nawet tupot koni. Miał jednak tyle przytomności, że nie robił o to awantury stangretowi. Monologował w myśli:

– Stefcia była wczoraj zastosowana do pogody, a pogoda do niej, i ja ją zmaciłem, pogo- dę Stefci... Cóż ona mogła innego o mnie pomyśleć nad to, że byłem pijany? Piłem przecie dosyć szampana. Ba! a scena w sali portretowej?... Róże mogły się tłumaczyć uprzejmością gospodarza względem gościa, chociaż to już wykręt... ale pocałowanie ręki i niektóre słowa – zbyt uczte. Najgorszy brek... Z taką dziewczyną trzeba się liczyć, bo bardzo łatwo można stracić w jej oczach. Mimoza! gotowa mię posądzić o instynkta godne Prątnickiego, tylko w innym kierunku... A do diabła! co ja u licha narobiłem!...

Waldemar nie mógł z sobą dojść do ładu.

W Głębowiczach rozdrażnienie mijało, a przychodziła rozwaga.

112

Snuł się po parku, po zwierzyńcu, gdzie już sprzątnięto ślady wczorajszej uczty.

I wszędzie przypominał Stefcię.

Tu grał z nią w tenisa. „Jak ładnie miała podpiętą suknię!” – tu z nią rozmawiał, na tej uliczce rwał dla niej róże, a przedtem widział ją z daleka, jak zanurzała swą jasną twarz w masie aksamitnych kwiatów, i chciał te kwiaty zerwać własnymi rękoma. Potem spacer po rzece. Rozgniewała go wskakując tak prędko w błękitną łódź i wiosłując z Trestką. A strzela- nie w zwierzyńcu?... Ten przestrzelony przez niego as... Poszedł w tę stronę i z oburzeniem zobaczył, że tablicę już zabrano, stał tylko słup mokry od deszczu. Waldemar w pierwszej chwili chciał wołać strzelca zwierzyńckiego i spytać, dlaczego tablicę usunęli bez jego wie- dzy. Ale się pomiarkował. „Po co ten nieporządek? Dobrze, że zabrane”... Najdłużej przebył w sali portretowej! Usiadł na kanapce i wpatrując się w portret babki myślał;

– Po co jej opowiedziałem tę historię?... Nabije sobie głowę romantyzmem. a to się na nic się zdało. Idylle, marzenia, wszystko to oklepane paradoksy! Istnieje tylko pożądanie! jedyna prawda z nagromadzenia pojedynczych głupstw pod nazwą miłości. W pożądanie wierzę

i ono mnie popycha do niej, nic więcej. A że jest czysta jak kryształ i taka jasna, to tym lepiej. Każdy woli pióra łabędzie niż kawki.

Dojrzał na posadzce kilka zielonych i żółtych listków róży, pozostałych po wczorajszym bukiecie Stefci. Podniósł je z chciwością i nagle przypomniał scenę, jak się ona przestraszyła głosu z zewnątrz i chciała uciekać, a on jej nie puścił. Trzymał wtedy jej ręce, schowane w swych dłoniach, i przyciągał ku sobie. Patrzyła na niego wylękła, taka jakaś mimowolnie poddana, oczy mrużyła tak rozkosznie... Wprawdzie trwało to zaledwie chwilkę, ale co to było!...

Waldemar zgniótł listki w dłoni.

– Pożądanie! I to pożądanie – rzekł z ironicznym uśmieszkiem, zdejmując rękaw. W progu stanął i spojrzał na zmięte listki, rzucone na posadzce.

– Łowczy utrzymuje większy porządek w zwierzyńcu niż kamerdyner w zamku, ale ten widać szanuje pamiątki...

I wyszedł wzruszając ramionami...

Przez kilka następnych dni nie mógł się uspokoić; do jednego tylko doszedł wniosku: że jeżeli pożądanie jest dominującym uczuciem w składniku miłości, to Stefcia nie zalicza się do wyznawczyń tej teorii. Więc budzi się w niej coś innego? jakieś uczucie bardziej duchowe?...

Może odżywa... obudził je Prątnicki...

Na wspomnienie tego nazwiska Waldemar zaciskał zęby, ten objaw niepokoju go. Wiedział, że Stefcia Prątnickiego nie kochała, lecz ogarniał go niesmak na samo połączenie ich nazwisk; przeczuwał, że wzbudza w Stefci uczucia silniejsze od zwykłej sympatii, i nie zdawał sobie sprawy, dlaczego czuł się dumnym oraz jaki to był rodzaj dumy.

W wielu podobnych wypadkach w życiu odczuwał jedynie tryumf, ale dumę i jakieś wewnętrzne zadowolenie odnajdywał pierwszy raz i dziwił się.

Dlaczego ta dziewczyna wywiera wrażenie zupełnie odmienne od znanych dotychczas? dlaczego pociąga nieprzepatą siłą, staje mu się upragnioną, niemal drogą?... Ona, którą przed paru miesiącami chwłostał często cynicznym dowcipem, prześladował, drażnił... Za co? dlaczego?!...

Zrobiła na nim wrażenie od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył obok ciotki, w landzie, jadącą z kolei. Zachwyciła go od razu, przesiadł się do nich i zaczął ją badać.

Ale natychmiast zauważył, że ona to spostrzeża i że ją to gniewa. Zdziwił się.

Młoda, ładna panna nie lubiąca uporczywego wzroku młodego mężczyzny wprowadziła go w zdumienie, jak nowe zjawisko.

Życie przyzwyczało go do czegoś innego. Kobiety aż nadto okazywały mu względy, i to kobiety wysokich sfer, magnatki. A ta dziewczyna ze szlacheckiego domu, taka ładna i dziw-

113

nie wytworna, z niechęcią, a nawet obrazą w oczach przyjmowała jego hołdy.

Wprawdzie wzrok jego, skierowany na nią, miał sporą dozę ironii i nieufności, bo lask spoglądał na wszystkie panny świeżo poznane, przeczuwając w nich tysiące wadeczek bardzo pospolitych.

Na każdą nową spoglądając, myślał:

– Już ja się tobą nie zajmę.

Stefcia nie wzbudziła podobnej myśli, przeciwnie – zajęła go od razu, interesowała coraz więcej. I wiedziony jakąś nieuzasadnioną złością, mścił się na niej, sam sobie robiąc na przekór. Ale potem coś zaczęło się zmieniać. Po pamiętnym obiedzie, kiedy Stefcia cofnęła mu swą rękę, Waldemar zastanowił się:

– Po co ja ją dręcę?...

Umyślnie długo nie przyjeżdżał do Słodkowic, pragnąc zapomnieć o niej. Chciał wyrzucić z myśli jej drobną twarz, przyćmioną smutkiem. On wywoływał na niej ten wyraz, on nie dawał spokoju tej dziewczynie tak delikatnej i wytwornej, on ją dręczył, jakby przez złość, że mu się podoba. Po tygodniu uczył pragnienie ujżenia jej. Przyjechał do Słodkowic razem z całą

gromadą gości i tam przyzwyczajenie wzięło znowu górę. Przechodząc koło jej okna rzucił w nie figlarne spojrzenie i napotkał jej twarz zaciekawioną; ale na jego widok cofnęła się nagle, jakby przerażona, i aż zbladła. Coś w nim zadrgało żalem.

– Ona się mnie po prostu boi...

Zobaczył ją potem rozbawioną. Tańczyła z Lucią pełna życia i swobody, taki ładny miała uśmiech!... Więc tylko przed nim ukrywa wesołość, on ją paraliżuje?...

I zmienił się.

Odtąd nie pomijał sposobności, aby zrobić jej przyjemność, co w jego warunkach było dość łatwym. Z rozkoszą zauważył, że i Stefcia zaczyna się przeistaczać. Poweselała, lubiła jego rozmowę, nie unikała go jak dawniej i w jego towarzystwie przestała tracić swobodę. Waldemar widział te zmiany i cieszył się, lecz od jakiegoś czasu ogarnął go niepokój.

– Za wiele o niej myślę!

Pobył jej w Głębowiczach dopełniał miary, Waldemar zrozumiał, że za daleko zaszedł. Cofać się nie mógł, zabraniała mu tego własna etyka, iść naprzód jeszcze nie chciał. Takt Stefci ujął go ze względu na nią, zdenerwował ze względu na siebie.

Jest pewna, że był pijany, i chce być wyrozumiałą. To go drażniło niesłychanie.

Tak przebył kilka dni, do Słodkowic nie jechał, ale czuł, że pomimo chęci Stefcia nie schodzi mu z myśli. Aż pewnego dnia zjechali do Głębowicz koledzy Waldemara, bliźsi i dalsi znajomi, na miesięczny jour fixe<sup>54</sup> męski. Jechali z ochotą, ciągnęła ich wesoła swoboda, panująca w tej magnackiej rezydencji. Każdy mógł się tu czuć jak u siebie, co niektórym, zwłaszcza nie posiadającym wspaniałych gniazd, sprawiało zadowolenie ambicji i jakąś roz-

kosz fizyczną. Książęca atmosfera przepychu, płynąca z każdego kąta, uprzejmość ordynata, liczna wygalonowana służba, znakomite cygara i wytworna kuchnia dodawały uroku zawsze oczekiwanym zebraniom.

Tym razem wiodła wszystkich świeża wiadomość, interesująca bardzo wysokie sfery towarzyskie: hrabianka Barska odmówiła ręki księciu Lignickiemu.

Fakt sprawił wrażenie. Pewna liczba hrabianek i księżniczek liczyła na widoki, jakie się dla nich otwierały. Wielu dawniej odepchniętych konkurentów hrabianki na nowo miało zamiar rozpocząć kampanię. Ale przede wszystkim trzeba się było dowiedzieć, co na to mówi Michorowski, jaką jest jego opinia?

Wszyscy wiedzieli, że odmowa hrabianki nastąpiła z jego przyczyny – nie bezpośrednio, lecz w nawiasach.

54 jour fixe (fr.) – stały dzień przyjęć towarzyskich

114

Barscy liczyli na ordynata, uważając go za pierwszą partię w kraju. Hrabianka, delikatnie pomijając świetność przysłego z nim związku, kochała go po swojemu. Nikt nie śmiał posuwać naprzód swych starań bez wybadania poglądu ordynata. Każdy z możliwych pretendentów do ręki hrabianki, jadąc do Głębowicz, zachowywał dobrze udaną obojętność, każdy mnie więcej chciał mówić miną: „Cóż mnie obchodzi hrabianka Barska i jej wybór?” Ale jednocześnie każdy oczekiwał zdania ordynata. Wiedziano, że jeśli on ujawni swe zamiary względem hrabianki, nie pozostanie im nic więcej nad wycofanie się od brzegu. Jeden Trestka był w tej sprawie neutralnym, ale za to krytycznym widzem.

Ordynat wiadomości przyjął obojętnie: wiedział już o tym. Mówił jak o rzeczy niewielkiego znaczenia. I prędko przeszedł do innego tematu. To wywołało zdziwienie i niepokój. Trestka, który się doskonale bawił, rzekł do jednego z panów:

– Ordynat widocznie uważa odmowę hrabianki za konieczną. Wiedział zapewne o rezultacie starań księcia, może nawet są po słowie?...

Trestka kłamał z satysfakcją.

Wszystkich dziwiło niezwykle usposobienie ordynata i jego wyraźne zdenerwowanie; nie wiedzieli, jak mają to rozumieć.

Czy przeczuł ich zamiary względem hrabianki?... Tylko Trestka domyślał się istotnego powodu – odgadywał w tym Stefcie.

Ale pomimo wszystkiego bawiono się dobrze. Przed kolacją grano w bilard, potem sławne wina głębowickie jeszcze więcej rozochociły gości.

W gabinecie i przytykającej doń fajczarni wrzało życiem. Waldemar zapraszał na polowania jesienne.

Trestka, usłyszawszy to, zerwał się z szezlongu.

– Czy i w Słodkowcach będą obławy? – spytał poprawiając binokle.

– Zapewne! Cóż panu na tym zależy? – zdziwił się Waldemar. Kilku panów parsknęło śmiechem.

– Trestka jest bajeczny! Chodzi mu o to, czy goniąc dziki nie będzie pozbawiony widoku panny Szeliżanki, bez której on jest zerem, a w Słodkowcach prędzej się to może zdarzyć.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Spotkasz ją pan w Głębowiczach, bo na polowaniach będą obecne panie. Zresztą nim to nastąpi, zmienią się może warunki, zdobędziesz pan większe prawa.

– A to jakim sposobem?

– No! zostaniesz narzeczoną.

Trestka popatrzał zdziwiony, po chwili dopiero odrzekł:

– Wątpię, by to nastąpić mogło.

Młody hrabia Brochwicz, kolega z Halli i osobisty przyjaciel Waldemara, uśmiechnął się i rzekł dowcipnie:

– Mamy przed sobą wystawę. O ile słyszałem, panna Rita wystawia swe folbluty. Strzeż się pan, by twoje perszerony ich nie prześcignęły, bo wówczas...

– We sto koni jej nie dogoni – dokończył Waldemar. Odpowiedziano śmiechem. Brochwicz mówił dalej:

– Tak. Wówczas możesz powiedzieć: tout est fini!<sup>55</sup>, a nawet powinienes omijać złoty medal, najwyżej możesz mieć list pochwalny.

– Ja swoich koni nie prowadzę.

– Bardzo praktycznie!

Baron Weyher musnął żółte faworyty.

– A propos wystawy – rzekł cedząc słowa – czy ordynat będzie miał stajnię?

55 tout est fini! (fr.) – wszystko skończone!

115

– Za parę dni właśnie jadę w tej sprawie. Na wystawę prowadzę dziesięć zarodowych klaczy.

– Czy muzy?

– O nie! tylko tej samej rasy i kare. Czwórka nie rozrywam. Będzie i Apollo.

– Ten chyba jako ozdoba?

– Dekoracja, która może się stać przyczyną choroby panny Rity – podchwycił Brochwicz.

– Słyszałem, że i baronowa Elzonowska wybiera się na wystawę z dziadkiem pańskim i panną Lucią – rzekł młody Żnin.

– Tak, jadą całym domem.

– Ach! więc będzie i panna Rudecka! – zawołał Brochwicz. – Wiluś Szeliga naopowiadał mi o niej cuda. Bardzom jej ciekaw. Czy istotnie ładna?

Trestka rzucił ukośne spojrzenie na ordynata.

– Bardzo ładna i bardzo nieprzystępna – rzekł serio.

– To zaleta!

– Przeciwnie, to wada! – odezwał się Żnin.

– Nieprzystępność jest wadą mężatek, nie panien.

– Brochwicz! czyś ty trzeźwy?

– Najzupełniej!

– Bo wiesz, że dowodzisz niesłuchanie! Trestka potrząsnął głową.

– W zasadzie ma słuszość. Zbyt wielka cnota była dobrą w katakumbach rzymskich. Dziś zarówno mężatom, jak i pannom nie jest w niej do twarzy.

– Mówisz na podstawie własnych krzywd, ale panna Rita zalicza się do ultrapostępów.

– Widać nie w każdym kierunku. Brochwicz przerwał:

– Moi panowie, sąd o panie Ricie zostawmy wyłącznie Trestce. Chodzi nam obecnie o pannę Rudecką... jakie ona ma imię?... Stefania, zdaje mi się.

– Tak. uroczą Stefcia!

– O niej najwięcej powiedziec nam może ordynat jako częsty gość w Słodkowcach... a może i praktyk?... Waldy! jakiego jest rodzaju cnota uroczej Stefci: katakumbowa czy współczesna? Warto by zanotować. Ale... co tobie jest?...

Waldemar był blady, widocznie wzburzony. Jego ściągnięte brwi, rozdęte nozdrza i ironicznie skrzywione usta miały w sobie coś złowrogiego. Skierował na Brochwicza zimne, stalowe oczy i odrzekł krótko:

– Do panny Stefanii Rudeckiej podobna rozmowa nie może mieć zastosowania.

Ton jego głosu zabrzmiał szorstko. Nastąpiło milczenie, trochę przykre. Brochwicz poczerwieniał i spuścił oczy. Trestka zerwał binokle, potem zaczął je starannie na nowo wkładać. Miał przy tym minę mówiącą: „Byłem na śladzie, teraz jestem w domu!”

Weyher, gładząc faworyty, patrzył na Waldemara wzrokiem pełnym uznania i szacunku, a nawet szepnął cicho:

– Gentleman!

Inni rzucali na siebie zdziwione spojrzenia.

Waldemar milczał paląc cygaro. Dał im czas do rekolekcji. Pierwszy odezwał się Brochwicz:

– Wybacz nam, Waldy. Mówiliśmy nieogłędnie, przyznaję, lecz jesteśmy wytłumaczeni, gdyż prócz Trestki i barona nikt z nas nie zna panny Rudeckiej.

Grzeczność kolegi ujęła Waldemara. Odrzekł z uśmiechem:

116

– Ja też chciałem jedynie zaznaczyć, że trzeba się liczyć z dowcipami o nieznannej osobie, zwłaszcza o młodej panie.

Drugi cios!

Ale przez głowę Waldemara przeleciała błyskawiczna myśl, trochę gorzka:

– Ogromnie dotychczas oszczędzałem znane mi ze słyszenia panny, a ich moralizuję... Jestem dureń!...

Nie przedłużał już milczenia, rozpoczął nową rozmowę. Wesoły nastrój powrócił prędko.

Pod koniec wieczoru książę Zaniecki podniósł powtórnie kwestię małżeństwa hrabianki Barskiej. On był najwięcej interesowany. a zachowanie się Waldemara pogłębiło jego nadzieje. Postanowił upewnić się i po jakimś wstępie zapytał:

– Nie wiecie, panowie, czy Barscy będą na wystawie, czy też jadą za granicę?

- Będą na wystawie – odpowiedział ktoś z gości. A Waldemar rzekł:
- Tylko Lignicki czmychnął do Rzymu, zapewne dla odbycia żałoby, w rzeczywistości dla znalezienia nowej partii w świecie czarnym, któremu hołduje.
- Ciekawe, co by nastąpiło, gdyby się ożenił z Barską. Ona, przeciwnie, należy do białych.
- Może by sam zbiegł albo polakierował ją na czarno – zaśmiał się Brochwicz. – A że Melania jest śniada i nie do twarzy jej w czarnym, więc wycofała się z tego za pośrednictwem kosza.
- Na wystawie rozpocznie się nowy turniej. Do jej pierścienia przygotujcie. panowie, kochanie – rzekł Waldemar trochę ironicznie.

Wszystkie oczy spoczęły na nim. Zapanowała chwila ciszy. Waldemar popatrzył na nich zdziwiony.

- Cóż mię tak oglądacie? A Trestka palnął na głos:
- Oni mają un pressentiment<sup>56</sup>, że w tej gonitwie trafią na przeszkodę.
- Jaką mianowicie?
- W osobie pańskiej, którego kopia ma szansę zwycięstwa.

Waldemar wzruszył ramionami, puścił kłęb dymu i odrzekł obojętnie:

- W takim razie jesteście plus royalistes que le roi<sup>57</sup>. Posądzacie mnie o zamiary, jakich nie mam.

Słowa te zrobiły wrażenie.

Księżę Zaniecki miał ochotę dziękować Waldemarowi, ale zdołał powstrzymać wybuch wdzięczności. Uważał, że dla utrzymania się w tonie prawdziwego lorda należy zachować zimną krew zawsze i wszędzie.

Ale Brochwicz miał więcej polskiej krwi w sobie, a przynajmniej nie starał się jej prze-  
farbować, zawołał przeto z całą szczerością:

- No! jeżeli ty, Waldy, wycofujesz się z turnieju, nastąpi prawdziwa i ostra walka, do której i ja się zapisuję. Niech co chce będzie!
- Brawo, Brochwicz! – zawołał Trestka.
- Ale ty, Waldy, naucz mię, jak się to zdobywa laury u panien, bo, co prawda, nie bardzo wiem.
- Spytaj o to Trestkę. On prowadzi kampanię od trzech lat. Ja się na tym nie znam. Brochwicz komicznym ruchem załamał ręce.
- On się na tym nie zna! Słyszeliście?

<sup>56</sup> un pressentiment (fr.) – przeczucie

<sup>57</sup> plus royalistes que le roi (fr.) – więksi rojaliści niż sam król

Trestka zabrał głos:

- Nietrafnie ordynat wysyła pana do mnie na studia, bo chociaż prowadzę kampanię od trzech lat, ale bez rezultatów, panu zaś głównie chodzi o finał, czy tak?

– Zapewne, byle pomyślny.

– Nie wątpimy.

Księżę Zaniecki obrzucił Brochwicza szyderczym spojrzeniem.

- Słuchaj no, Jurek – rzekł Waldemar – na co ci czyjeś rady? Zaczynaj samodzielnie i niebawem dojdiesz do finału, ba! nawet do epilogu.

– Tak mówisz? Ha, to trudno, trzeba się zdobyć na odwagę! Waldemar podniósł brwi.

– Uprzedzam cię, że jeśli z takim wykrzyknikiem będziesz się zbliżał do Barskiej to le-  
piej od razu zamów sleeping i ruszaj za Lignickim do Rzymu, a dla odmiany obróć oczy na Kwirywał.

Brochwicz ukłonił się z udaną powagą.

– Pojadę tam, ale w podróż poślubną.

– Jesteś nieoceniony!

– Phy, ale czy hrabianka postawi nad tym swoje accent grave<sup>58</sup>, to kwestia – szydził Trestka.

– Wypijmy za pomyślność sprawy! – zawołał Waldemar. – Szampana!  
Zaczęto wznosić toasty, wesołość buchała już niezmącona, wino płynęło. Przy dźwiękach kieliszków rozbrzmiewał pełen życia, tryskający młodością i weselem Gaudeamus!

58 accent grave (fr.) – znak pisarski, dosł.: akcent poważny

118

XXI

Wrzesień pierwszego dnia ozłocił świat cudną pogodą. Słońce zalewało pola, błękit nieba miał tony czyste, ale już trochę bledsze w kolorycie.  
Rzyska żółciały, napiętrzone stertami. Leciuchny pierwszy odcień jesieni bujał w powie- trzu.  
Umilkły przepiórki, zbożowe terkotki, w trawach i ugorach ćwierkały koniki polne.

Gniada czwórka ze Słodkowic rwała pomiędzy polami, ciągnąc za sobą strojne lando i strojne postacie siedzących w nim kobiet. Pani Elzonowska, Stefcia i Lucia jechały do kościoła. Niedzielne tłumy pobożnych sunęły bokiem drogi w barwnych strojach, rozweselone pomyslnym ukończeniem zbiorów, hałaśliwe. Pani Idalia razem z pogodą była słoneczna. Wesoło zagadywała siedzącą obok Stefcie. często spoglądając na nią z prawdziwym upodobaniem. Stefcia wyglądała niesłychanie. Szaroniebieski jedwabny płaszczyk otulał ją miękkimi zwojami, czyniąc jej jasną pleć bardziej przejrzystą. Rozmawiała z ożywieniem, oczy jej błyszczały, jednak dostrzegało się w nich tęsknotę; wyraz dawniej nie znany malował się w twarzy. Czasami ciemne gęste brwi zsuwała niecierpliwie. jakby przed natrętną myślą, której odepchnąć nie mogła. Ale ten niepokój nadawał jej twarzy nowego uroku, co z wesołym ożywieniem tworzyło połączenie szczególne i śliczne.

W kościele zebrano się dużo okolicznej inteligencji, wiele osób z tych niższych sfer, z którymi Słodkowce nie zawierały bliższych stosunków. Wszyscy po zamianie ukłonów z panią Idalią i Lucią spoglądali na nie z tym mimowolnym uszanowaniem, jakie nakazuje sobie starożytność rodu i wysokie stanowisko społeczne. Na innych wywierał wrażenie nawet wspaniały zaprzęg i mitry książęce na okularach koni i że panie te są mieszkankami pałacu. Panny i młodzież patrzyli głównie na Stefcie, robiąc przy tym rozmaite uwagi. Mężczyźni przypatrywali się jej urodzie i wszyscy musieli przyznać, że jest ładna, bardzo wytworna i zupełnie pałacowa. Panie zaczęły ją cicho krytykować; jeden z panów szepnął: „sznytowa dziewczyna”, i przymiotnik ten zyskał uznanie w kółku męskim. Wiedzieli o Stefcie, że jest córką zamożnego obywatela z Królestwa. Objaśniał ich Wiluś Szeliga, który w czasie wakacji włóczył się po okolicy. Ze słów jego odgadli, że student kocha się w pannie Rudeckiej, śledzono ją z tym większym zaciekawieniem. Przed samym rozpoczęciem sumy zrobił się ruch przed zakrystią i wszedł Waldemar.

Wrażenie wzrosło. Oderwane od Stefcie spojrzenia spoczęły na ordynacie. Był on rzadkim gościem w tym kościele. Pani Idalia na jego widok podniosła brwi zdziwione. Stefcia oblała się gwałtownym rumieńcem. Nieprzewidziane ujrzenie jego wstrząsnęło nią silnie. Od owego ranka, kiedy był dla niej tak chłodnym, nie widziała go wcale. Upłynął miesiąc, on nie przyjeżdżał. Teraz nagle zjawił się w kościele, w którym prawie nie bywał. Może przeczuł, że i one są tutaj?

Waldemar podszedł do stali, powitał panie i zajął miejsce obok Stefcie, siedzącej z brzegu.

Pani Idalia pochyliła głowę w tył i spytała szeptem:

- Waldy, czy jedziesz z Głębowicz?
- Nie, byłem w Słodkowcach – brzmiała odpowiedź.
- Tiens!<sup>59</sup> więc wiedziałeś, że tu jesteśmy?
- Wiedziałem.
- Dobrze zrobiłeś, Waldy! – wtrąciła szeptem Lucia.

59 Tiens (fr.) – Ach, tak!

Waldemar wyprostował się i teraz dopiero zauważył pełne ławki naprzeciw. Na gęste ukłony odpowiedział długim skinieniem głowy. Do Stefcie nie mówił nic; parę razy spojrzął bokiem na jej ładny profil, schylony nad książką, i żywe kolory na twarzy. Wiedział, że on je wywołał, spostrzegł wrażenie, jakie zrobił na niej wejściem do kościoła. Był zadowolony i podniecony, czuł dziwną ulgę, że ją ma przy sobie. Z rozkoszą śledził każde jej poruszenie i oddech; nie patrząc wiedział, jak ubrana.



I wszystko mu się podobało, wszystko miało dla niego urok. Po dłuższym niewidzeniu znalazł ją jeszcze ładniejszą i bardziej upragnioną. Zaczynał ją po swojemu analizować, ale prędko spostrzegł, że wobec niej na nic się to nie zdało, i uległ wrażeniu.

A Stefcia dopiero teraz odczuła, że pomimo starań nie zdołała o nim zapomnieć, że ta nieokreślona tęsknota, jakiej nie mogła zrozumieć, była za nim.

Świadomość tego sprawiała jej ból i nieznaną rozkosz.

Słowa modlitwy mieszała z myślami, nic nie odczuwając silniej nad to, że on siedzi obok, że po miesiącu rozłączenia znowu są razem i tak blisko. Ostrożnie spojrzała na jego rękę, opartą o pulpit ławki. Widziała końce rękawów palta i brzeżek mankietów. Kiedy dawał pie- niądze na tacę, błysnął na jego palcu ogromny brylant. Stefcia musiała więc użyć całego wy- siłku pamięci, ażeby przypomnieć sobie, że ten brylant widziała zawsze u niego. Na razie była pewna, że jest to pierścień zaręczynowy. Słyszała o odmowie hrabianki Barskiej Lignickie- mu, potem Waldemar wyjechał z Głębowicz. W Słodkowcach komentowano ten wyjazd, łą- cząc go bezpośrednio z hrabianką. Pani Idalia twierdziła, że teraz nastąpią zaręczyny. Pan Maciej wątpił, ale stanowczo nie przeczył. Tylko panna Rita śmiała się z urojeń słodkowic- kich, a Trestka dowodził głośno, że hrabiance Barskiej „ordynackie niebezpieczeństwo” nie grozi ani trochę. Ta para miała pewniki niezbite.

Wtem Lucia pociągnęła Stefcię za rękę.

– Czego oni tak na nas patrzą? Czy my dzicy?

Zapytana podniosła oczy na ławki. Wszyscy spoglądali na Waldemara, przenosząc wzrok z niego na nią.

Ogarnął ją niesmak.

– Jacy niedelikatni! – pomyślała. Lucia z kolei zaczęła Waldemara:

– Waldy, nie pozwalasz się modlić!

– Komu?... tobie?...

– Tym państwu naprzeciw. Waldemar nic nie odpowiedział.

I on zauważył uporczywy wzrok przeciwległych ławek, ale już do tego przywykł; nato- miast myślał patrząc na modlącą się Stefcię:

– Czy ona się modli naprawdę?...

Był pewnym, że ona jest pod wrażeniem jego obecności; to go upajało, nie chciał się roz- czarować. Jednocześnie wzruszał go widok jej pobożnego skupienia.

Stefcia po pierwszym wstrząśnieniu, ochłonawszy, zatopiła się w modlitwie. Nigdy może nie miała tak szczerego natchnienia. W duszy jej śpiewał jakiś sonet radosny. Zrywały się w niej nieznanne uczucia, ogarniał ją spokój, słodycz zalewała serce. Dziękując Bogu za tę chwilę, pragnęła przedłużyć ją do nieskończoności. On siedział przy niej, dotykał jej ramie- niem, czuła wzrok jego na sobie i była szczęśliwą. Jej spokój wewnętrzny odmalował się na twarzy niebywałym wyrazem. Waldemar patrzył na nią z czułością nie znaną sobie dotąd. Odgadywał, że jest szczęśliwą, że jej modlitwa płynie ze szczęścia, i wierzył, że modli się

szczerze. Był poruszony, uwidoczniło się to we wzroku, jakim ją ogarniał.

– Taka kobieta, gdy modli się, jest aniołem – powtarzał w myśli.

Wobec niej pesymizm jego ginał, cynik i filozof przeistaczał się, skrywał za ścianę bar- dziej idealną. Ta dziewczyna wchodziła mu do duszy wolno, ale stale, wsiąkała w jego istotę, pobudziła pragnienia.

Oboje siedzieli w milczeniu, ale tak on jak i ona odczuwali się wzajemnie.

Gdy ksiądz odszedł od ołtarza, pani Idalia powstała pierwsza. Na cmentarzu spotkali całe towarzystwo.

Pani Idalia, w świetnym usposobieniu, witała się uprzejmie, łaskawa i promieniejąca. Waldemar witał panie. Otoczyli go starsi i młodzi mężczyźni. Każdy chciał zamienić choć parę słów z ordynatem, jeden przed drugim pragnął okazać, że jest na lepszej stopie z tym świetnym przedstawicielem magnaterii.

Pani Elzonowska raczyła zapytać kilka pań, dlaczego tak rzadko odwiedzają Słodkowce. Nie robiła tego w formie zaprosin, ale przez grzeczność.

Stefcia spojrzała na nią zdziwiona; nieczęsto zdarzał się dumnej pani podobny humor. Kilka panien, zawiedzionych obojętnością Waldemara, podeszło do Stefci i Luci.

Posypały

się liczne pytania i lakoniczne odpowiedzi. Lucia milczała, jakby załęczniona. Na dany znak przez Waldemara podjechało lando ze Słodkowic i amerykański gąbownik, zaprzężony w cztery muzy.

Waldemar usiadł z paniami na przednim siedzeniu obok Luci. Jeszcze trochę ukłonów – i pojechali. Za nimi potoczył się pąsowy amerykański.

Skoro tylko lando ruszyło, Lucia, korzystając z rozmowy matki z Waldemarem, rzekła do Stefci po francusku:

– Ach, nareszcie! Ja się ich instynktownie boję!...

– Teraz ja powtórzę twe zapytanie: czy oni dzicy? – odrzekła Stefcia z bladym uśmiechem.

– Ach! nie dzicy, ale jacyś inni, nie nasza sfera...

– Za wcześniej ci, Luciu, zdecydować o tym – rzekł ostro Waldemar.

Lucia zmieszała się, spojrzała z przestrachem na matkę, zwiesiła głowę i szepnęła:

– Przepraszam...

Pani Idalia spytała niecierpliwie:

– Czy długo bawiłeś, Waldy, w Orzelsku u Barskich?

– Nie byłem tam wcale.

Pani Idalia zrobiła wielkie oczy. Ogromne zdziwienie odmalowało się na jej twarzy.

– Voyons! nie byłeś u Barskich? Gdzież byłeś tak długo?

– Skąd takie przypuszczenie? ja w Orzelsku?... Jestem w komitecie organizacyjnym wystawy w tej sprawie jeździłem do W., przy tym musiałem się zająć umieszczeniem koni, które prowadzę.

– Więc chyba nie wiesz, co zaszło u Barskich? Waldemar uśmiechnął się ubawiony.

– Owszem, wiem od początku do końca.

– Do jakiego końca?

– Ciocia mówi o odmowie hrabianki Legnickiemu? A więc znam tę sprawę od początku starań księcia do kosza, jaki mu ofiarowano.

– I cóż na to mówisz?

– Nic. Życzę hrabiance Melanii nowego zwycięstwa i narzeczonego.

– Którym będzie?

– O! tak dalece nie przewiduję. Do startu staną legiony, ale kto otrzyma palmę... pewno i hrabianka jeszcze nie wie, cóż mówić o mnie – drwił z komiczną miną.

Pani Idalia wybuchnęła:

– Wiesz równie dobrze, jak ona i my wszyscy, kto najprędzej otrzyma ową palmę.

– Niestety! nie jestem domyślny.

121

– Ach, Waldy! irytujesz mię. Voilà que tu es ridicule!60 Otrzymanie jej od ciebie zależy.

– Ale ja nie będę się o nią starał – odrzekł dobitnie, już podrażniony.

– Dlaczego?

– Pozwoli ciocia, ale to jest już wyłącznie moja rzecz.

Kwestia rozstrzygnęła się. Pani Idalia spochnurniała jak noc. Wtem zawołała Lucia:

– Bardzo się z tego cieszę. Nie cierpię tej Melanii Barskiej.

– Lucie, soyez tranquille61 – zgromiła ją matka. Biednej Luci nic się dziś nie udawało.

Waldemar zaczął inną rozmowę. Mówił o przyszłej wystawie, urządzenie jej porównywał do wystaw zagranicznych, wygłaszając zdania bardzo trafne i oryginalne. Stefci nie narzucał się, ale zręcznie wciągał ją w rozmowę, tak że właściwie oboje tylko mówili. Lucia siedziała nadasana, pani Idalia ponura. Tak dojechali do Słodkowiec.

Do pana Macieja siedzącego w swym gabinecie wpadła pani Idalia i ze wzburzeniem za- pytała:

– Czy papo rozmawiał z Waldemarem? Czy papo wie o wszystkim? Starzec spojrział na nią zdziwiony.

– Widziałem go zaledwie chwilę, bo dowiedziawszy się, że jesteście w kościele, pojechał za wami, nawet koni nie zmieniał.

– Więc papo nic nie wie?...

– Co się stało? Na Boga, mów!...

– Och! niechże się papo nie przejmuję. Jest źle, ale nic nie grozi temu... temu beniamin- kowi. Niech sobie papo wyobrazi, że on nie był w Orzelsku i z całą bezczelnością dowodzi mi, że nie myśli zupełnie o hrabiance. N'est-il pas fou?62

Pan Maciej uśmiechnął się.

– Moja Idalko, nie pojmuję twego wzburzenia. Dawno wiedziałem, że Barska nie dla niego. Nawet mówiłem ci o tym.

– Ależ dlaczego? gdzie znajdzie odpowiedniejszą partię, nazwisko, posag?

– Przepraszam cię! Waldemar może pozwolić sobie na wybór żony dowolny, bez oglądania się na posag i partię – a co do nazwiska, to tych mamy więcej w kraju, nawet lepszych!...

– A cóż on może mieć przeciw samej Melanii? Panna piękna, kształcona za granicą, une fille très gentille!63...

– Widocznie on ma inne zapatrywania. Zresztą może jej wszystkie zalety uznawać, ale... nie jest ona w jego stylu.

– Niechże papo na niego wpłynie.

Pan Maciej rzucił się na fotelu.

– O nie! tego nie żądaj, tego się nie spodziewaj! oboje z twoją matką byliśmy nieszczę- śliwi dzięki podobnym wpływom. Nie ja będę je odnawiał!

– Przesada! La majesté de la bagatelle!64 – sarknęła pani Idalia. – Do czego to podobne!

Melania odrzuca najlepsze partie dla niego, a on grymasi. Będzie żałował poniewczasie, jak mu ją odbiją, co możliwe, bo to dumna dziewczyna!

Baronowa wyszła z gabinetu.

Pan Maciej, patrząc na nią, szepnął:

60 Voilá que tu es ridicule! (fr.) – Oto, jaki jesteś śmieszny!

61 soyez tranquille (fr.) – bądź spokojna, uspokój się

62 N'est-il pas fou? (fr.) – Czyż nie jest szalony?

63 une fille très gentille (fr.) – bardzo miła panna

64 La majesté de la bagatelle! (fr.) – Majestat drobnostki

– Przesada, że ja i Gabriela byliśmy nieszczęśliwi; przesada, że zbrodnią jest zabić lub nakazać miłość; przesada, że drogę do szczęścia trzeba samemu torować, chcąc mieć lekką starość.

Wszystko przesada! Gdzież smutna prawda?...

Starzec opuścił głowę na piersi.



## XXII

Na drugi dzień pan Maciej wstał w usposobieniu niezwykłym. Rozmyślał. Waldemar zastanawiał go coraz więcej. Miesiąc spowodował w nim różnicę znamioną. Pani Idalia tłumaczyła ojcu, że powodem tego jest hrabianka Melania, że Waldemar jak zwykle żartuje i nie chce wyznać, ale widocznie kocha się w Barskiej.

Pan Maciej stanowczo nie uwierzył. On jeden spostrzegł, że Waldemar walczy, że przechodzi jakąś chwilę przełomową i trzeba mu zostawić swobodę, niczym nie rozdrażniać. Wiedział, że są natury nawet szczerze, które w pewnych okresach życia zamykają się w sobie, nie pozwalają nikomu zedrzyć osłaniającej je powłoki, że podrażnione mogą zdziałać coś na przekór sobie, zniweczyć to, co się dopiero wykuwało, i zerwać osobiste szczęście. W tym wypadku pan Maciej miał poważne obawy, bo znał wnuka i jego gwałtowność. Z przenikliwością starych ludzi przeczuwał coś, co go napełniało przerażeniem. Podczas długiej nieobecności Waldemara dawne obawy znikły, teraz powróciły spotęgowane.

Po bardzo delikatnej rozmowie z Waldemarem pan Maciej doszedł do podejrzeń, przed którymi instynktownie bronił się; ukochany wnuk zaciężył mu jakoś, nie dopowiedziane słowa wisały im obu na ustach, ale nie mogli jeszcze i nie chcieli się porozumieć. Waldemar odjechał przed wieczorem, nie obiecując być prędko. Pana Macieja bolało to, lecz nie wstrzymywał go. Nie wspomniał nawet, że na drugi dzień imieniny Stefcia, choć przed miesiącem byłby to na pewno powiedział.

Pierwszy raz wyjazd wnuka sprawił mu ulgę, ale całą noc nie spał, a rano wstał rozstrojony nerwowo, z silnym bólem głowy. O dziesiątej kazał służącemu prosić do siebie Stefcie. Weszła smutna i miała zapłakane oczy. Biała, gładka suknia czyniła ją bledszą niż zwykle, tylko usta pałały gorącym pąsem, a oczy zza łez świeciły nienaturalnie. Ucałowała serdecznie ramię pana Macieja. Starzec wzruszył się, ścisnął jej głowę i posadził naprzeciw siebie.

– Czego płakałaś, dziecko? – zapytał trzymając jej rękę.

Stefcia zagryzła wargi, zaczęła prędko mrugać powiekami, bojąc piekły nowe łzy.

– Czego płakałaś?

– Bo smutno mi... Ten dzień... zawsze... przepędzałam w domu – odpowiedziała cicho.

– Czy tylko ten powód?... Spojrzała na niego bystro.

– Tylko ten... nic więcej! – zawołała prędko.

Pan Maciej cofnął się, puścił jej rękę i opadł na fotel. Jej okrzyk „nic więcej” zdradził ją w oczach podejrzliwego starca. Czuł, że poza tęsknotą do rodziny jest jeszcze coś, czego nie chciał nazwać. Patrzył na nią uparcie i szepnął do siebie:

– Stenia... druga Stenia...

– Kto? – zapytała dziewczyna z nagłym poruszeniem. Pan Maciej pokiwał głową.

– Nie znasz jej, dziecko. Kiedyś, kiedyś była taka Stenia, podobna do ciebie, ale... to już dawno. Stefcia przypomniała sobie historię Waldemara w sali portretowej w Głębowiczach. Żal ścisnął jej serce i spuściła oczy.

Pan Maciej wziął ze stolika pudełeczko oprawne w zamsz, otworzył je i z białego aksumitu zdjął miniaturę w formie dużego medalionu z gustowną emalią na złocie.

Miniatura przedstawiała młodego człowieka w mundurze ułanów polskich, z gwiazdą na piersiach i orderem Virtuti Militari. Pan Maciej, pokazując ją Stefci, rzekł wzruszony:

124

– Jest to moja podobizna z czasów, kiedy byłem najszczęśliwszym... kochałem taką jak ty Stenię, myślałem, że ona i świat cały do mnie należą... Ha! minęła młodość!... Ale... co ci jest dziecko?...

Stefcia, spojrzawszy na portrecik, drgnęła.

– Ja to gdzieś widziałam... ja to znam! Starzec zatrzymał na niej uważny wzrok.

– Widziałaś tę miniaturę? Gdzie, jakim sposobem? Chyba się mylisz, dziecko! A może... Idalka ci pokazywała?

– Nie, nie... ale widziałam na pewno.

– Może taki sam portret mój spotkałaś w jakim bardzo starym piśmie? To możliwe! daw- niej byłem człowiekiem trochę interesującym ogół.

Stefcia kręciła głową z powątpiewaniem.

– Może być – rzekła wreszcie bez przekonania. Pan Maciej podał jej miniaturę.

– Przygotowałem to dla ciebie na upominek imieninowy. Sądziłem, że będziesz rada z dawnej podobizny człowieka bardzo ci życzliwego.

Stefcia pochyliła się do niego serdecznie.

– Dziękuję bardzo. To dla mnie będzie wielką pamiątką. Czy zasłużyłam na nią? To jak relikwie rodzinne.

– Miałem takich kilka egzemplarzy, rozdałem członkom rodziny i mam dla siebie jeden. Ten ostatni przeznaczyłem dla ciebie, dziecko... Tyś taka do niej podobna, do mojej Steni. Pokażę ci jeszcze kiedy i jej miniaturę... mam jedną tylko i to moje relikwie.

Starzec, wzruszony, ścisnął głowę Stefci i rzekł dziwnie miękko:

– Baw się dobrze, dziecko. Dziś twoje święto, nie płacz i bądź szczęśliwa. Tyś jeszcze taka młoda.

Wróciwszy do siebie, Stefcia przyglądała się miniaturze z nieokreślonym wrażeniem.

Twarz przypominała Waldemara. Zmieniał ją tylko ubiór i sposób noszenia włosów. Zresztą były to te same rysy.

Stefcia starała się przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już podobny medalion.

Wspomnienie mętne łączyło się uparcie z jej dzieciństwem w pierwszych latach.

Patrzała na miniaturę, utonęła w niej wzrokiem. Podobieństwo Waldemara wydało jej się wybitniejszym. Szepnęła:

– Czy znowu nie przyjedzie tak długo? Dlaczego wczoraj odjechał, dlaczego zmieniony?...

Stefcia myślała o nim ciągle, nie chcąc przyznać sama przed sobą, że przykrym był dla niej wyjazd jego w przeddzień jej imienin.

Broniła się przed tą goryczą, chciała być wesołą i nie mogła. Dławił ją żal, czuła pustkę dokoła siebie.

Przed obiadem Lucia namówiła ją na pieszy spacer. Poszły do lasu za ogrodem. Tam Stefcia przypomniła sobie spotkanie z Waldemarem w maju, jego docinki i szyderstwo. Przypominała swój gniew, ostre odpowiedzi i niechęć, jaką wówczas czuła do szydzącego magnata. Bała się go, wzbudzał w niej paniczny strach. Zaciekawiał ją, drażnił, imponował jej zawsze i to ją gniewało, że źle czy dobrze, lecz musiała o nim myśleć.

Dziś uczucia zmieniły się: instynktowny lęk przed nim nie zniknął, nawet wzmocił się, lecz w innym kierunku. Uczuć dzisiejszych nie chciała nazwać po imieniu, zamykając przed nimi oczy.

Lucia, widząc jej zamyślenie, odbiegła opodal. W tej młodej główce powstawały domysły, których nie miała przed kim wynurzyć, matki obawiając się, przed dziadkiem nie chcąc.

Podejrzenia swe trzymała w tajemnicy, bojąc się zdradzić. Nie uszła jej uwagi zmiana stosunku Waldemara do Stefci. Lucia widziała, że się tu zmieniło wszystko, i rozumiała kie-

125

runek. Waldemar zdumiewał ją. Stefcie zaczęła badać. I ona uległa zmianie. Jej dawna wesołość stała się mniej bujną. Lucie to zastanowiło. Tak idąc, każda zajęta swymi myślami, znalazły się na drodze leśnej. Lucia szła prędko, wkrótce wyprzedziła Stefcie. Nagle na skrócie drogi stanęła zdziwiona. Naprzeciw niej jechała czwórka rozpędzonych koni. Lucia poznała zaprzęg głębowicki i orientując się, momentalnie skoczyła w bok do lasu. Zgadła, że Waldemar wiedział o imieninach Stefci i że przyjeżdża głównie dla niej; chciała z boku zobaczyć ich powitanie.

Stefcia nie zauważyła manewru dziewczynki, ale nie widząc jej przed sobą, zawołała na nią, Lucia nie odpowiedziała. Wtem zatętniał głośny bieg koni i z załamu drogi wypadła na nią strojna, brzęcząca czwórka dobrze znanych karych arabów. Amerykanem powoził sam Waldemar, stangret siedział z tyłu.

Stefcia zatrzęsa się. Ognie uderzyły jej do głowy. Stała jak wryta, całą siłą woli naka- zując sobie spokój. Waldemar spostrzegł ją. Błyskawica zaświeciła mu w oczach. Gwałtownie wstrzymał konie i uniósł kapelusz z głowy. Zeskakując z amerykana, zawołał na stangreta:

– Jedz na skraj lasu. Tam staniesz.

Stefcia oprzytomniała, widząc ordynata przed sobą. Uściskał silnie jej rękę. Przez chwilę trwała cisza. On rzekł niskim głosem:

– Jak to dobrze. Spotkałem panią znowu w tym borcu.

– Jak w maju. Teraz jesień!

– Można i w zimie stworzyć sobie maj. Stefcia milczała.

– Zapomniałem ujrzawszy panią o jedynym celu mej podróży. Dziś pani święto... Pospolitych życzeń nie znoszę... ponieważ jednak szablon trzeba zachować...

Stefcia przerwała:

– Nie, po co? Dość, że pan przyjechał. To dowodzi pamięci, to wystarcza... Dziękuję!...

Podniósł do ust jej rękę z wytwornym pochyleniem głowy. Gorące dotknięcie jego ust sprawiło na niej wrażenie prądu elektrycznego. Mówiącego wyrazu jego oczu nie zniosła – spuściła powieki.

Szli obok siebie w milczeniu, po czym on rzekł znowu:

– Imieniny są dla mnie najnieznośniejszym dniem w roku. Nie lubię biletów, które są konwencjonalnym, ale często fałszywym szyldem. Sam rozsyłałam je rzadko. Do osób, które mnie bliżej obchodzą, zjawiam się osobiście – dodał z lekkim skinieniem głowy w jej stronę.

Różowy obłok wionął na twarz Stefci. On mówił dalej:

– Nie umiem składać życzeń „wszelkich pomyślności, szczęścia”. Podobne frazesy nie sprawiają mi ulgi wówczas, gdy naprawdę chciałbym komuś nieba przychylić, nieba według mego pojęcia, jakie może nie istnieje na ziemi. Ale do tego nie potrzeba koniecznie imienin. Wyrażanie uczuć jest jak opłatek, którym się łąnią tylko w Wigilię. Imieniny to jako odpust: wszyscy się zbiegają do solenizanta, ale najczęściej chodzi o ten pospolity acte de présence<sup>65</sup>, co jest według mnie najgłupszą instytucją na świecie. Stefcia uśmiechnęła się.

– Jednak i pan został dziś członkiem tej zniechęconej instytucji. Waldemar zmarszczył brwi.

– Nie, pani. Mój przyjazd dzisiaj można postawić w nawiasy jedynie obok zdania wypowiedzianego przeze mnie wpierw. Do osób dla mnie obojętnych przyjeżdżam zaproszony na bal, ale nigdy w dzień.

Stefcia zmieszana się, zaczęła wołać głośno:

– Luciu! Luciu!

Waldemar zapytał ze zdziwieniem:

– Pani nie jest samą?

– Jestem z Lucią, ale gdzieś mi się podziała.

Wtem zaszeleściły gałęzie i Lucia z rozpędem wybiegła z krzaków. Twarz miała rozognioną i błyszczące oczy.

– Gdzie biegałaś tak długo? – spytała Stefcia.

– Zapędziłam się za orzechami. Jakie mnóstwo!

– Gdzież one są? Nazbierałaś, skoro takie mnóstwo? – pytał Waldemar, patrząc badawczo na dziewczynkę.

Lucia spuściła oczy.

– Nie zbierałam, jadłam tylko. Zresztą daleko biegałam.

– Dziwna rzecz, nie widać na tobie śladów tej dalekiej podróży po krzakach. Stefcia zaśmiała się.

– I niewiele zużyłaś na to czasu, bo znikłaś mi przed samym przyjazdem pana. Oj ty!... Ale czemu się nie witasz?

– Zaaferowana orzechami – rzekł z dziwnym uśmiechem Waldemar.

Lucia czerwona powitała Waldemara trochę nieśmiało. Zrozumiała, że odgadł cel jej wyprawy, i złękła się.

Teraz miała już pewność, że Waldemar jest zajęty Stefcią. Z ukrycia swego widziała ich doskonale. Słów dosłyszeć nie mogła, zaledwo kilka wyrazów, ale pocałunek złożony przez Waldemara na rękę Stefci wydał jej się dokumentem bardzo ważnym.

– Waldy, czy przyjechałeś konno, czy powozem? – zagadnęła po chwili z naiwną minką.

– Amerykanem. Może to już czas wracać?

Stracił ochotę do rozmowy przy Luci. Spojrzał na zegarek: dochodziła druga.

Lucia zawołała, że czas na obiad. Zwrócili się w stronę powrotną. Gdy zrównali się z końmi, Waldemar zaproponował przejażdżkę. Usadowił Stefcię i Lucię na przednim siedzeniu, sam stanął za nimi, stangreta odsyłając piechotą do Słodkowic.

– Niech pani powozi – rzekł i oddał lejce Stefci.

Dziewczyna rozbawiła się, ranne smutki pierzchły. Ze śmiechem zgarnęła lejce karej czwórki i ruszyła kłusem. On stał pochylony nad nią, drażnił konie trzaskaniem z bata, dawał jej wskazówki, napawał się jej bliskością, pochłaniał oczyma jej włosy. Niby poprawiając lejce, skierował konie na inną drogę, mijając Słodkowce. Stefcia spostrzegła to.

– Jedziemy w inną stronę! – zawołała.

– To właśnie dobrze. Po co się mamy spieszyć?

– Ale ja głodna jestem – żaliła się Lucia – z obiadem czekają!

Stefcia, nic nie mówiąc, skrzyła lejce. Rozhukana czwórka zawróciła na miejscu i zaczęła się płatać.

– Co pani robi! – krzyknął Waldemar chwytając lejce.

Szarpnął i zrównał konie, lecz w tej samej chwili orczyk uderzył dyszlową klacz w nogę.

Rzuciła się gwałtownie i cała czwórka zaczęła ponosić.

– Cicho, Luciu! – wołała Stefcia, bo dziewczynka płakała głośno.

Waldemar ściągnął lejce z taką siłą, aż konie stawały dęba, ale nie mógł wstrzymać od razu.

Amerykan chwiał się na obie strony, kamyki żwiru ze świstem wylatywały spod kół.

Stefcia chwyciła za lejce, wyciągnięte jak struny.

– Niech pani puści, proszę się mnie trzymać!

– Lucia, nie krzycz, bo straszysz konie, nic złego nie ma – uspokajał Waldemar.

Jego pewność podziałała na Stefcię. Konie zaczęły istotnie zwalniać, piana leciała kawałkami z ich boków. Stefcia podniosła wzrok i z podziwem patrzyła na męską postać Waldema-



ra, na jego siłę i spokój, z jakim wstrzymywał ponoszącą czwórkę. Stał wyprostowany, równy, jakby nie przeszkadzał mu żaden wysiłek fizyczny. Tylko lejce wpiły mu się w dłonie, aż pękały rękawiczki, na skroniach wystąpiło mu kilka kropel potu, brwi miał zmarszczone i rozdęte nozdrza.

Nagle na zapatrzoną Stefcie spłynęło z góry jego spojrzenie: spokojne, ale zabójcze. Przejęło ją dreszczem.

Patrzyli na siebie. On uśmiechnął się lekko, więcej oczyma niż ustami, i z poufałą serdecznością pochylając się szepnął:

– Nie boi się pani?...

Głos jego miał tony pieściwe.

– Nie – odrzekła cicho.

Gdyby mogła być zupełnie szczerą, powiedziałaaby mu, że było jej dobrze jak nigdy. Bojąc się, aby on z jej oczu nie wyczytał tej spowiedzi duchowej, spuściła powieki zaróżowiona, szczęśliwa.

Jeszcze trochę wysiłku i spienione konie zwolniły. Gęsta para buchała z nich na kształt dymów, rozdęte chrapy wyrzucały wulkaniczne oddechy, ziejąc strumieniami piany, oczy sypały iskry. Czarne grzbiety miały wygląd aksamitu zlanego wodą. Niespokojne i podniecone szalonym biegiem, gryzły wędzidła rzucając łbami. Miały pozór poskromionych, lecz wściekłych tytanów.

Gorąca arabska krew kipiała w nich, sieć żyłek jak splątane sznurki wiła się na ich ciach; uderzały w ziemię kopytami z dziką zajadłością i znać było, że tylko uległy potężnej sile i woli człowieka, lecz byle odrobina swobody a znowu zerwą się z szarem i hukem pruć powietrze jak stado centaurów.

Waldemar przeczuł to i miał się na baczności, trzymał silnie wodze w rękę, a gdy Stefcia prosiła go, aby jej oddał lejce, poruszył przecząco głową.

– Ależ pan zmęczony, proszę odpocząć, ja pojedę wolno – prosiła Stefcia.

– Nie, pani, jeszcze nie czas, muszę je uspokoić, aż będą jak baranki. Teraz nie pani im, ale one pani podyktowałyby warunki.

– Będę silnie trzymała, zobaczy pan. Pochylił się nad nią z uśmiechem.

– Niech się „dzidzi” nie upiera. Stefcia oniemiała.

– Waldy, po jakimu ty nazywasz pannę Stefanie? – zawołała oburzona Lucia.

– To po australsku, stosowane z powodzeniem w Honolulu – zauważyła ironicznie Stefcia.

– W każdym razie ta nazwa ze złośliwością nie licuje – odpowiedział rozdrażniony Waldemar.

Stefcia zagryzła wargi.

– Pokłóćcie się państwo! już tak dawno nie słyszałam tego – wołała Lucia.

– Siedź tam cicho, mała, i uważaj, abyś nie wypadła, bo puszczam konie. Stefcia spojrzała na niego z prośbą w oczach i szepnęła błagalnie:

– Nie, nie, one takie rozhukane. Znowu poniosą.

Waldemar popatrzał na nią długo spod lekko zmrużonych powiek.

– A „dzidzi”... będzie grzeczne? – zapytał przeciągle. Zaśmiała się.

– Będę, tylko proszę o lejce.

Stefcia znowu powoziła, a Waldemar, patrząc na nią, rozcierał zmęczone dłonie.

Rozpędzony amerykan wpadł w bramę pałacową, gdy pani Idalia siedziała z ojcem w otwartym oknie jego gabinetu. Mając słaby wzrok, nie poznała jadących.

– Papo! ktoś jedzie do nas.

Pan Maciej wyjrzał i zdziwił się.

– Waldemar jedzie!

– Ależ jakieś panie także.

– Lucia i Stefcia, nawet ona powozi. Widocznie spotkał je i zabrał.

Konie stanęły. Stangret zjawił się jak spod ziemi. Wszyscy troje wyskoczyli ze śmiechem. Panny pobiegły do siebie. Waldemar wszedł do gabinetu.

Po pierwszych przywitaniach pan Maciej zapytał:

– Gdzieżecie tak pomęczyci konie? Jak z wody wyjęte.

– Trochę się rozhukały muzy.

– Co? nosiły! – krzyknęła pani Idalia.

– Niech się ciocia nie boi, wszystko dobrze. Najlepszy dowód, żeśmy cali.

– Lucia musiała się przestraszyć.

– Toteż krzyczała jak najęta.

– A czy wiesz, że mamy dziś solenizantkę? – spytał pan Maciej, patrząc na swe buty.

– Dlatego przyjechałem – odrzekł Waldemar nieco szorstko.

– I na wiązanie nakarmiłeś ją strachem – śmiała się baronowa.

Pan Maciej pochylił głowę. Niespodziewany przyjazd wnuka i jego słowa zaniepokoiły go. Pani Idalia podchwyciła:

– A propos! chciałabym dziś zrobić jaką przyjemność Stefci, żeby ją trochę zabawić. Cóż tak na mnie patrzysz, Waldy?...

W przechadzce swej zatrzymał się na środku pokoju i stał, patrząc ze zdumieniem na ciotkę.

– Co cię tak dziwi, Waldy? – powtórzyła.

– Troskliwość cioci względem panny Stefanii. Coś niesłychanego!

Mówił wzruszając ramionami, ale widocznie zrobiły mu przyjemność słowa ciotki. Ożywił się znacznie.

– Tiens! ja ją bardzo lubię – mówiła baronowa. – Ona ma w sobie coś takiego, co mimo woli bierze. Miałam dziś prawdziwy kłopot, co jej ofiarować, no i wybrałam sześć tomów Heinego en luxe<sup>66</sup>. Chyba dosyć, prawda?

– A czy wszystkie kartki były w tych tomach?

– Co ty pleciesz, Waldy?

– O nic! w ciocinych tomach to się zdarza periodycznie. Autorowie w postaci pojedynczych kartek wychodzą sobie na świat Boży niby na wilegiaturę. Sam widziałem kiedyś, jak się Bourget bił z Szekspirem na dywanach w buduarze cioci. Rochefoucauld. Dickens, Zola podróżują sobie razem pod konsolę, kanapy, aż je lokaj w końcu pakuje do kosza i w przykładnej zgodzie idą na całopalenie.

Pan Maciej zaczął się śmiać, ale baronowa obraziła się.

– Zawsze jesteś nieznośny! – rzekła wstając.

Waldemar podskoczył i zatrzymał ją, mówiąc ze śmiechem:

– Ciociu, no już dobrze! Nie moja wina, że autorzy cioci są tak żywego temperamentu. Mniejsza o nich! Radźmy teraz nad rozrywką dla panny Stefanii.

– Radź sobie sam – rzekła nachmurzona.

Waldemar porwał ją wpół i okręcił parę razy w tempie walca.

– Voyons, Waldy, tu es fou!<sup>67</sup> Co cię wprawiło w taki humor?

– Sześć tomów Halnego en luxe i ciocia... która jest dziś cudowna!

Pani Idalia śmiała się, ale jej ojciec sposepniał. Zrozumiał, czym nie lubiana zwykle ciotka ujęła Waldemara. Siadano do stołu, gdy lokaj oznajmił pannę Ritę. Wbiegła roztrzpiotana,

<sup>66</sup> en luxe (fr.) – w luksusowym wydaniu

<sup>67</sup> Voyons... tu es fou (fr.) – Co robisz... oszalałeś!

wesoła i nie uważając na nikogo, rzuciła się do Stefci z życzeniami. Bez ceremonii ucałowała ją serdecznie.

- Całe snopy życzeń wiozłam dla pani – wołała wstrząsając rękoma Stefci.
- Ja myślałam, że pani przynajmniej z jakim anglikiem wystąpi? Co tam same życzenia!
- żartował ordynat.
- A pan może swego Apolla ofiarował? – zagadnęła z komicznym zaciekawieniem.
- Ja? Cóż ja? – tłumaczył się wzruszając ramionami.
- Nie ofiarował pan Apolla? To wstyd, panie!
- Apolla nie, ale cztery muzy miałam dziś w ręku – śmiała się solenizantka.
- Które tak były tym zachwycone, że aż ponosiły.
- Niech pan nie żartuje.
- Jestem jak na sanskryckim kazaniu – wołała Rita. Stefcia opowiedziała jej przygodę rannego spaceru.
- Gdzież jest pani attaché?<sup>68</sup> – spytał Waldemar. Panna Rita rozejrzała się.
- Trestka? Jak to, nie ma go tu jeszcze? Wszyscy się zaśmiali.

Podczas obiadu Rita mówiła do Stefci:

- Moja ciocia przysyła pani pełno życzeń. Nawet Dobrzysia śle pani ukłony, choć ją mało zna.
- Chyba wcale. Któż to taki? – pytała Stefcia.
- Dama do towarzystwa cioci.
- Ach, prawda! Zapomniałam.
- Bajeczna Dobrzysia z bajeczną twarzą, bo ma wąsy i brodę – żartował Waldemar.
- Niech pan nie kpi, to wielka pańska przyjaciółka, wiecznie pana chce swatać.
- Z taką samą z wąsami?
- Nie, ale z Bar... ską.

Waldemar ściągnął brwi, lecz odpowiedział ze śmiechem:

- Przedstawię jej innego kandydata.
- Panna Rita parsknęła krótkim śmiechem i zaczęła znowu trzepać:
- Dla pana nie wiozę nic od księżnej, bo nie wiedziałam, że go tu zastanę.
  - Dziś obowiązkowo.
  - Przecież pan jest nieprzyjacielem wszelkich „szopek imieninowych”?
  - Są okoliczności, w których to określenie nie ma zastosowania.
  - A! za... pewne!...

Obiad przeszedł wesoło. Pod koniec zjawił się nieodzowny Trestka, powitany żartami i wybuchem wesołości.

Grano w tenisa. Stefcia z Trestką przegrali partię przeciw Waldemarowi i panie Ricie. Wówczas partnerzy zmienili się. Waldemar stanął obok Stefci. mówiąc coś do niej z zajęciem. Trestka, patrząc na nich, szepnął do sąsiadki:

- Żałuję, że nie mam aparatu. Zdjąłbym ich w obecnym stadium.
- Następne może być ciekawsze – brzmiała głucha odpowiedź.
- Nie sądzę.
- Dlaczego?
- Ca n'ira pas plus haut<sup>69</sup>.

Panna Rita roześmiała się głośno.

68 attaché (fr.) – asystujący, nadskakujący

69 Ca n'ira pas plus haut (fr.) – To wyżej nie pójdzie

– To dowodzi, że nie znasz pan ordynata. Ale ja go znam i... wiele przeczuwam. Wtem ordynat zawołał:

– Zaczynajmy! Co tam spiskujecie?

– Odzwierciedlamy was – rzekł Trestka.

– Pod każdym względem – dodała Rita.

Waldemar pokazywał Stefci uszkodzoną rakiętę, nie słyszeli więc ostatnich słów. Trestka podszedł bliżej do panny Rity i spytał poważnie:

– Pani mówi: pod każdym względem? Tam panuje obopólna harmonia. Czy mogę to wziąć za nadzieję?...

Zaśmiała się ironicznie.

– Pan przecież nie wierzy w stałość tamtej harmonii.

– Dla pani gotówem uwierzyć, a nawet dopomóc.

– Obejdą się bez tego!

– Więc żadnej nadziei?...

– Nudny pan jesteś. Proszę ciskać piłkę. Plac tenisowy nie nadaje się do podobnych roz- czuć. Trestka odstąpił z nową nadzieją, ale chmurny. Na ordynata rzucił złe spojrzenie, jakby mówiąc: „To przez ciebie”.

Wieczorem zebrali się wszyscy w małym saloniku pani Idalii na poufnej rozmowie. Pan Maciej opowiadał kilka wydarzeń wybitniejszych ze swej młodości, spędzonej w wojsku pol- skim. Nie poruszał osobistej historii. Zaledwie kilku słowami napomknął o tym, co się wów- czas w jego sercu działo.

Wszyscy słuchali w skupieniu. Jakiś cichy, patriarchalny nastrój zapanował w gronie tych ludzi, nieczęsty gość w pałacu.

Słuchając dziejów starca, każdy myślał o sobie, co go czeka w życiu? jakie koleje zejdą się, aby utworzyć tę sieć, po której stąpać będzie? Jakie struny zadźwięczą na utworzenie to- nów jego istnienia? Czy przeznaczone im są świeże poranki, tchnące szczęściem i majową wonią czy smutniejsze wieczory z bladym księżycem spokoju, czy upalne dni walk lub chło- sty zimnych wichrów losu. Uroczysty nastrój spłynął tu niespodziany, a silny. Biały starzec panował nad pochylonymi głowami słuchaczy. Słowa jego wbijały się do ich dusz, znajdując oddźwięk w sercach. Jakieś oddalone echa walk, wielkich myśli, patriotycznych zapałów, tragedii wzniewały dreszcze niepokojące i w oczy ciskały iskry.

Ci ludzie nie mieli teraz nazwisk, tytułów, ale jednakową krew, kipiącą warem. Łączył ich serdeczny prąd miłości dla ojczyzny, jej dziejowe dramaty napełniały dusze smutkiem.

Wszyscy obecnie byli dziećmi swego kraju, którego rany bolały ich jak własne – więcej: jak rany konającej matki. Etykieta znikła, kryjąc się w bogatych oponach i rzeźbach ścian.

Na miejsce jej sfrunął cichy anioł pokoju, łącząc tych ludzi jakby w jedną rodzinę, skupioną pod skrzydłami siwego starca; poruszał im jedno tętno w piersi, napełniał jedną nadzieją i myślami niemal jednakimi, bo wszyscy choć może w odmienny sposób, odczuwali te same pragnienia, ten sam głód szczęścia. Pod natłokiem pokrewnych uczuć zdawali się zmieniać powierz- chownie.

Pani Idalia, surowa zwolenniczka etykiety, nie uważała, że Lucia siedzi na dywanie z głową opartą na kolanach Stefci, że Stefcia, zasłuchana, ma rozluźnione włosy, a Waldemar, siedząc blisko niej, zamyślony, bawi się kwiatkiem wypadłym z włosów dziewczyny. Nie widziała, że panna Rita oparła łokcie na stoliku, chowając w dłoniach bladą twarz, że Trestka podniósł głowę do góry w niebywały sposób i zagłębiany w fotelu, szukał na suficie gwiazd nadziei, skąpanych mu na ziemi.

Spokój i różność chwili, tak dalekiej od codziennej, przyćmił w nich magnackie piętno, wielkość usunął razem z etykietą w bogactwo otoczenia.

Wśród przepychu zebrana gromadka przypominała szczęśliwą rodzinę, zebraną w skromnym dworku szlacheckim, wśród bielonych ścian i zapachu rezedy, płynącego z doniczek u okna, gdzie w takie ciche wieczory stary ojciec opowiada baśnie przy akompaniamencie ćwierkania świerszczów i szumu starych grusz nad strzechą słomianą. Jedynie raził wykwint ubiorów. Tylko grupa Stefci i Luci nie psuła harmonii. Obie w białych, gładkich sukniach, z kwiatami we włosach, mogły się nadawać do wyniosłych ścian pałacu, jak i do niskich wiejskiego dworku.

Wtem zaszeleściła aksamitna kotara i w tę cichą grupę ludzi wpadł nagle służbowy głos kamerdynera, jak huczne uderzenie w trąby tam, gdzie melodyjnie dźwięczała fujarka:

– Proszę jaśnie państwa, kolacja podana!

Cichy obraz wiejskiego dworku zniknął, wygalowany kamerdyner przypomniał pałac, obudził wielkość magnacką. Etykieta wypełzła na widownię. Pierwsza pani Idalia ocknęła się i podała jej rękę. Wstała, elegancko zgarniając suknię, i wzrokiem krytycznym obrzuciła niebdałe pozy wszystkich.

– Moi państwo, obudźcie się, idziemy do stołu! – zawołała z lekką ironią.

Pan Maciej podniósł się z westchnieniem, żałując minionej chwili. Lucia pod wzrokiem matki zerwała się zaróżowiona, Stefcia poprawiała włosy. Trestka nerwowo nasadzał binokle. Wstając spojrzął boleśnie na Ritę. Ona, odjąwszy ręce od twarzy, rzuciła powłóczyście oczyma na Waldemara.

Gdy wszedł kamerdyner, Waldemar zmiął kwiatek w rękę i mruknął przez zęby:

– Niech cię diabli!...

Teraz był zły na panią Idalię, a gdy powtórzyła: „obudźcie się państwo” – zacisnął usta i szepnął:

– Wściekła baba!

W ten sposób witał powracającą etykietę w osobie pani Idalii. Po kolacji nikt nie miał ochoty na weselszą zabawę. Panna Rita i Trestka odjechali wkrótce. Nawet Waldemar nie chciał nocować. Pojechał do domu w usposobieniu mrocznym, ale z przebłyskami jutrzeńki w duszy.

## XXIII

Nad wielkim jeziorem w Słodkowcach zaczynała się rozciągać niewyraźna przędza świtu. Woda leżała we śnie, milcząca, przybita ciszą w naturze. Gęsta mgła łączyła mleczną powierzchnię jeziora z takim samym kolorytem nieba. Nigdzie głosu, żaden oddech nie znamionował życia. Słaba pomroka ranna wchłaniała w siebie coraz więcej jasnych pasem. Poczynający się dzień w zaraniu zapowiadał pogodę. Niewidoczną była jeszcze, ale wyczuła. O słońcu, że się ma ukazać, szemrało coś w białej mgle. Niewidoczne laufry różanej jutrztenki wirowały wśród szarych pasem; gdzie przeszły z radosną nowiną, tam robiło się jaśniej. Gdy w locie dotknęły wody, fala leciutko błysnęła zmatowionym srebrem. Złoto, drogie kamienie miały przyjść potem, tymczasem spokojne błyski srebra zapowiadały przeszłe bogactwo fali. Moment dokonywanego aktu w naturze, mistyczna chwila budzenia się poranku roztaczała poważną ciszę.

Ożywić naturę mogły tylko głosy, złane z nią, spojone nierozdzielnie: rozgwały ptasie i brzęczące korowody owadów. Ale rojne te gminy trwały jeszcze w uśpieniu. Zaledwie gdzieś wśród gałęzi zatrzepotały skrzydła budzącego się ptaszka, gdzieś lekkie bzyknięcie świadczyło, że powstający brzask wypełznął w zaciszne skrytki kory na drzewach, w zwinięte listki i w małe norki na piasku lub w trawie. Czasem wśród drzew zakwilił cichy głos, jakby obudzony ptak poziewał, strzepując resztkę snu z powiek. Ale z wolna tych kwileń i bzykań było coraz więcej. Świat się ocknął, w nieruchomym powietrzu zadrgało coś, zakręciło się, wionęło. To wstająca jutrztenka wysłała lekkie podmuchy różanych piersi na rozpędzenie mglistych pasem, szarych włókien snujących się nad wodą, powtulanych w kępy drzew. Żwawe, rześkie oddechy spełniały swe zadanie. Jak dzwonek sygnaturki kościelnej porusza pobożnych, nagłąc do modlitwy, tak tu i tam kręcące się prądy rozsuwały czystą jasność dnia, budziły rozmarzone snem ptaki, motyle, nieprzejrzaną mgłą muszek i komarów. Szare włókna, wysłańcy świtu, uciekając przed wysłańcami dnia, przypadały do ziemi, wsiąkały w trawę i drzewa, zamieniając się w gęstą wilgoć, jakby w lzy żalu za tak krótkim panowaniem. Lekkie podmuchy rozpanoszyły się wszechwładnie. W przejrzystym powietrzu nad wodą igrały swobodnie różne, wesołe. Jednolitość nieba i wody znikła, przedzielał ją teraz duży szmat żółtego ugoru za jeziorem i widna z daleka czarna aksamitka lasu.

Woda marszczyła się w drobniutką łuskę srebrną, coraz bardziej szlifowaną, coraz jaśniejszą, aż nagle sypnęły na nią cudne, różowe perły uriańskie i potop mieniących się opali. Niebo powitało jutrztenkę rumianą, złocistą, młodą i wyspaną, świeżą i uśmiechniętą. Świat stanął jak w złotej koronie. Delikatny róż rozbłysł na drgających listkach drzew, przesunął się na posępnych czubach świerków, zalśnił atlasem na żółtym ugorze, czarną wstęgę lasu owinął różowo-błękitną niepochwytą iluzją. Śliczna jutrztenka szła w górę nieba, rozsypując dookoła snopy promieni z boskich oczu. Świeciła, mieniła się, kąpała w wodzie, kraszając ją swym rumieńcem.

Świat zdumiał się! Chwilę stał oniemiały z zachwytu, po czym zerwał się dokoła głośny szum pochwalny.

Drzewa poruszyły czubami, zakołysały się liście, sypiąc roje różnobarwnych motyli. Zaintonowało kilka donośnych głosów ptasich i wnet zagrzmiała cała lutnia hucznie, wesoło, tryumfująco!

Wrzask ptaków, brzęk muszek i komarów, plusk wystrojonej fali – wszystko krzyczało, podając sobie wzajemnie wieść radosną:

– Różowa pani na niebie... prowadzi słońce... Dzień, dzień! pogoda, radość!

I hymny przepojone szczęściem leciały ku niebu wysoko, a musiano je tam słyszeć, bo jasny strop nieba stawał się coraz błękitniejszym. Niebo uśmiechało się do ziemi, a ziemia, śpiewając, słała również swe uśmiechy.

133

Nagle po opalowej fali popłynęła rzeka roztopionego złota, złotem zaświeciły drzewa, złoto sypało się w powietrzu.

Wzeszło słońce! piękne, majestatyczne, szczerozłote! Wrzawa powstała jeszcze większa, lutnia ptasia rozegrała się. Szczebioty, śmiechy, świsty, fruwanie napełniły przestwory powietrzne, bijąc w złoty pył, którym przesiąkły, jak w kastaniety. Wołania rwały się w górę:

– Słońce, słońce, król nasz! Dźwońmy mu, śpiewajmy, niech świeci, niech grzeje, niech złoci. Król! król!

A wspaniała, oślepiająca blaskiem tarcza królewskiego majestatu wznosiła się w górę poważnie, wolno, rozrzucając na ziemię miliardy iskier i błogosławiając.

Urbi et orbi!<sup>70</sup>

Stefcia spuściła głowę na piersi. Uśmiech radosny znikł z jej twarzy. Jakby na przekorę roześmianej naturze, dziewczyna posmutniała.

Siedziała na kamiennej ławeczce nad brzegiem jeziora, wtulonej w zwoje brzoź. W nocy spać nie mogła i jeszcze przed świtem, w zupełnej pomroce, wyszła cicho z pałacu i przybiegła tu, na brzeg jeziora. Myślała o słońcu, czy wszędzie...

Jej wieczór imieninowy zostawił coś niezatartego w jej duszy i myślach. Odczuwała, że jasność ta wschodzi w nią z innej, równie rozbudzonej światłości. Wiedziała, że jest świt, lecz jakiego dnia? Czy wszędzie słońce, czy chmurny połysk stali? Ogarnęło ją zamyślenie i trwoga. Powoli mroki nikły i jej twarz jaśniała, w oczach coraz więcej błyszczało iskier, w duszy nadziei.

Nieruchoma, zapatrzona i zasłuchana, w głosy natury od samego ich poczęcia. wchłaniała w siebie tyle barw, tyle złota, ile ich brała lala i kryształ powietrza. Aż rozjaśniło się promiennie, uroczyście. Słońce wzeszło!

Razem z lutnią ptasią i ona wznosiła pieśni, choć milczące, ale równie piękne. Natura powtarzała to, co się działo w jej duszy.

– Słońce, słońce! Czy dla mnie?...

Znak zapytania zawisnął chmurą na świetlnym obrazie. Słońce wzeszło, brzmiały hymny radosne...

Ale czy dla niej?... czy dla niej?...

## XXIV

Wystawa! Magiczne słowo, ściągające do środowisk ludzkich – jeszcze więcej ludzi, do zbiorników cywilizacji, wyczynów kultury – jeszcze więcej dowodów pomysłowości ludzkiej i genialnych zdobyczy wiedzy. Rojne ulice wielkiego miasta wypełniły się podwójnie, w hotelach brakło mieszkań, w ogrodach, restauracjach, cukierniach – wszędzie brzmiał niezwykle gwar.

Na dworcu kolejowym ruch ześrodkowywał się. Co chwila wpadały pod halę pociągi wypełnione publiką. Głównie jednak znać było zwiększenie przyjezdnych w pierwszej i drugiej klasie. Trzecia pozostała jednakowo pełna, bez różnicy. Czasem wysiadł ktoś z zielonego wagonu dążący również na wystawę, jakiś skromny wystawca lub kupiec inwentarza, mający dużo pieniędzy, a mało wymagań. Takich, którzy by jechali na wystawę dla przyjemności, tu się nie spotykało: do nich należały niebieskie i żółte bilety. niezwykle, świąteczny charakter przybrało miasto. Dopomagała do tego śliczna pogoda. Wrzesień całe swe złoto jesienne sypał na strojne ulice, ogrody i przybrany we flagi plac wystawowy – ciskał gorące, jasne smugi na twarze i stroje zebranych tłumów.

Środkiem głównej ulicy jechało wspaniałe lando, zaprzężone w cztery czarne, piękne araby. Uprząż lśniła od lakierów i nabijanych brązów. Stangret i lokaj w pysznej liberii wyglądali typowo. W głębi, na ciemnokarmazynowych poduszkach landa siedział Waldemar, wytworny, ubrany z pełną smaku elegancją. Często zdejmował kapelusz na powitanie znajomych lub oddawał ukłony. Strojny zaprząg i strojna postać właściciela robiły wrażenie; na chodnikach rozległy się pytania i odpowiedzi uświadomionych:

– Czyje to konie?... Kto to jedzie?...

– To z Głębowicz. Ordynat Michorowski.

– Ten magnat? On ma najwspanialszą stajnię na wystawie.

Waldemar jechał na kolej, gdzie miał spotkać dziadka i panie ze Słodkowic. Na dworcu była już panna Rita, Trestka i Wiluś. Ten gorączkowo chodził po peronie w oczekiwaniu pociągu.

Trestka żartował z niego, że opuścił kursa i tu przyjechał nie na wystawę, ale dla tego pociągu, jaki ma nadejść, i że z tęsknoty jest nieprzytomny.

Student odcinał się Trestce, jak umiał, lecz nie przeczył. Waldemar gryzł wąsy. Drażniło go to. Ale gdy po danym sygnale wyszedł na peron i zobaczył Wilusia, który stał na samym brzegu asfaltu, wychylony naprzód i wpatrzony w zbliżający się pociąg, nie wytrzymał i przechodząc koło niego rzekł z pewną ironią:

– Szkoda, że pan z bukietem nie wystąpił.

Student spojrział na niego żałośnie, spuścił oczy i poczerwieniał.

Pociąg wpadł pod halę dworca. Waldemar szedł wolno i przeglądał okna pierwszej klasy.



W jednym błysnęła twarzyczka Luci, polem ukazali się: pan Maciej i pani Idalia. Waldemar zaniepokojony wskoczył do środka zanim jeszcze pociąg stanął; Stefcia. pochyłona nad ławką, zawiązywała jakąś paczkę. Ordynat szybko podszedł do niej. podali sobie ręce w milczeniu. Spojrzał głęboko w jej oczy i przycisnął do ust jej rękę. Stefcia oblała się rumieńcem jak ogniem, len cichy hołd jego wstrząsnął nią. Lucia, widząc to, już się nie zdziwiła. Panna Rita. Trestka i Wiluś weszli równocześnie. Zaczęły się przywitania i głośna, urywana rozmowa. Niedługo polem po głównej ulicy toczyło się znowu lando ordynata wiozące pana Macieja, baronową. Lucię i Wilusia Szeligę. W drugim powozie parokonnym, także z Głębowicz, jechała panna Rita ze Stefcia, Waldemar i Trestka. Rita mówiła:

- Wie pan? moje konie robią wenę. Pańskich nie prześcignęły, ale jednak są na wysokości...
- Moich koni czy aspiracji pani?

135

ka.

- Złośliwy! Do pańskiej stajni jeszcze nie dorosłam.
  - Zabawne zestawienie!
  - A ja jestem szczęśliwy, że żadnej szkapy nie przyprowadził – rzekł krzykliwie Trest-
  - Tak, to zwiększa pańskie szansę – zauważył z uśmiechem Waldemar.
  - Właśnie o to mi chodziło.
- Panna Rita utkwiała w nich obu ostry wzrok, który jednak nie miał własności zabójczych, bo się panowie tylko uśmiechnęli zamiast przestraszyć.
- O co to panu chodziło? i o jakich to szansach pan mówi, panie ordynacie? Waldemar zrobił komicznie poważną minę.
  - Ja mówiłem o wyścigu hipicznym, łaskawa pani sportsmenko.
  - Jak to?
  - Bo każdy z nas może wyścig przegrać, a kto koni nie posiada, ten ma zawsze szansę wygrania przez to samo, że nie będzie grał.
  - Paradoks! A pan? Trestka był zaskoczony.
  - Ja? Ja mniej więcej to samo, co ordynat.
  - Mój kochany panie, pozwól sobie na większą odwagę – zaśmiał się Waldemar. Panna Rita wzruszyła ramionami i zawołała do Stefci:
  - Co pani sądzi o tych oto panach?
  - Że są w jakimś konflikcie z panią i że się państwo wzajemnie nie rozumiecie.
  - Ech! nie powiedziała pani tego, czego chciałam.

W hotelu zebrało się już całe towarzystwo. Po powitaniach i przebraniu się wszyscy zeszedli do dolnej sali restauracyjnej na śniadanie.

Było osób do dwudziestu. Dość ładna, lecz nieeuropejska sala przybrała natychmiast wygląd bardziej zachodni. Księżna Podhorecka i Maciej Michorowski nadawali główny ton zebraniu. Waldemar uświetniał je; zresztą wszystkie twarze rozpromienione, brzydsze lub piękniejsze, ale przeważnie rasowe, miały pewną cechę wyłączną. Gustowne uczesania i stroje pań przy mniej lub więcej wytwornych postaciach męskich tworzyły całość zupełnie cywilizowaną i bardzo estetyczną. Ale w mieście tym nie wszyscy byli oswojeni z towarzystwem tego pokroju, zwłaszcza tak licznym: kilka osób, siedzących przy stolikach, po wejściu i rozlokowaniu się patrycjatu cichaczem wyszło do drugiej sali.

Wesołość zapanowała niezmacona, lecz utrzymana w tonie zastosowanym do stylowych postaci głównych: księżnej i pana Macieja.

Nie przeszkadzało to młodemu bawić się z bujną swobodą. Sala, trochę za ciasna i za mało wykwintna, nieźle się jednak nadawała do utworzenia całości przygodnie wystarczającej. Kieliszki były z mierniejszego kryształu, choć restaurator powyciągał, co miał najlepszego, ale wina lały się dobre, a szkło, byle napełnione klasycznie i przy ożywionej temperaturze, dźwięczy zawsze jednakowo.

136

XXV

Wszystkie pawilony wystawy brzmiały życiem.

Mijały się z sobą rozmaite światy, różne sfery, jedną pchane myślą: obejrzenia, co najciekawsze. Ścierały się dysputy, największe tłumy dążyły na główny plac do rotundy drobnego przemysłu, ubranej w wieńce i chorągiewki, a przy wejściu w cieplarniane rośliny. Tam panowała zupełna rzeczpospolita. W dziale wyrobów wełnianych i hafciarskich aż mieniło się od jasnych sukien kobiecych. Płec piękna otaczała gromadnie drewniane lalki, na których pozawieszano trofea jednego z pierwszych magazynów strojów damskich. W jakimś kącie przyjezdny kupiec sprzedawał jaskrawe hafty wschodnie. Tam znowu piętrzyły się koszyki, koszyczki, bombonierki z gładkiej i malowanej słomy. Dział stolarski miał kilka pysznych okazów, ozdobionych wypalaniem i ręczną malaturą.

Wszędzie gwar, huk ludzkiej fali, tysiące krzyżujących się rozmów. Często zwiększały hałas próbne pasaże na licznie tu wystawionych fortepianach. To amatorzy, próbując instrumentów wygrywali przygodne marsze ku uciesze tłumów. Tam znowu brzęczy pianola lub cicho piszczał skrzypce. Szum, zamieszanie, istna wieża Babel.

W innych działach ciszej. Pawilon pszczelarski w kształcie ula, pawilon rybołówstwa, ogrodnictwa, mający w sobie całe drzewa oblepione owocami, kwaciarstwa i jedwabnictwa, wszystkie rojne i gwarne, ale z cechą wyłączną. Tam dążyło więcej starszych pań, gospodyń wiejskich. W dziale drobiu ponad głosy ludzkie wzbijały się liczne gęgania, gdakania, wrzaski perliczek, przeciągłe krzyki pawi, przy akompaniamencie trzepotania skrzydeł. Z dalszych klatek dochodziły monotonne, poważne chrapania i piskliwe głosiki trzody chlewnej. W pewnym oddaleniu, widne z daleka, piętrzyły się kolorowe maszyny krajowych fabryk. Głuchy turkot potężnych motorów ściągnął specjalistów: płynęły tam przeważnie męskie kapelusze, rozmowy prowadzono cichsze, fachowe, jakby te olbrzymie maszyny i ruch pasów przytłaczały ludzi mimo woli.

Tam, pomiędzy innymi, siedł Waldemar Michorowski, prowadząc panny, którym obja- śniał poszczególne działy. Panna Rita, Stefcia i Lucia niosły wiązanki kwiatów, ofiarowane przez ordynata w dziale kwaciarskim. Stefcia dostała pęk żółtych złocieni.

Weszły i zatrzymały się oszołomione ogromem jakiejś potęgi. Ogromne lokomobile i motory przykuwały wzrok do siebie. Wszystko było w ruchu, choć szybkim, jednak z tą cha- rakterystyczną ciszą dobrego mechanizmu.

Stefcia i Rita nieprędko wyszły spod furkających pasów: obie lubiły ten rodzaj wytwór- czości ludzkiej, ogarniało je wrażenie siły. Machiny imponowały jakby żywe jakieś twory. Waldemar objaśniał.

Mówił dobrze, ściśle i ze znajomością rzeczy. Dysputował trochę z Trestką i ze specjali- stą firmowym. Pokazywał, jakich systemów maszyny ma w Głębowiczach. Stefcia była za- chwycona, ale Lucia zaczęła się nudzić:

– Chodźmy już stąd. Ciągłe mi się zdaje, że mi jakiś pas zleci na głowę i że rozedrę suk- nię o te żelastwa.

Przeszli do działu powozów i uprzęży. Luci tu się więcej podobało.

– Waldy, kup do Słodkowic karetę – zawołała.

– Do Słodkowic? Przecież są dwie.

– Tak, ale twoje, a ja chcę, żeby mama miała swoją.

– Ma swoje lando i powóz. Jak będziesz, wychodziła za męża, to ci karetę angielską za- funduję.

– Taką jak w Głębowiczach?

– Taką samą.

137

Stefcia i panna Rita oglądały damskie siodła. Jedno podobało się najwięcej: całe z jasne- go zamszu, uzdeczki, naczolniki i pejcz nabijane srebrem, czaprak z błękitnego aksamitu, z wyhaftowanym srebrnym szlakiem.

Panna Rita spytała o cenę. Była bardzo wygórowana, ale Waldemar osądził przeciwnie i siodło kupił.

– Czy to dla przyszłej ordynatowej? – spytała Rita – bo ma pan pyszne siodła damskie w Głębowiczach...

– To przeznaczam do Słodkowic.

– Dla kogo?

– Dla panny Stefanii.

– Ależ ja prawie nie umiem jeździć! – broniła się Stefcia.

– Będziemy się uczyć.

Rita zaśmiała się nerwowo.

– Pan jest dziś un vrai chevalier de la générosité!<sup>71</sup> Ofiarował pan Luci karetę, pannie Stefanii siodło, niechże pan i o mnie raczy pamiętać. Polecam się łaskawym względem.

– Dla pani wolę zaraz coś ofiarować – odpowiedział zaatakowany wesolo.

– Ciekawam!

Ordynat odszedł w inną stronę i po chwili wrócił z piękną pejczą wytwornej roboty, z rączką oplecioną srebrnym drutem.

– Służę pani – rzekł oddając ją z ukłonem pannie Ricie.

– Dziękuję! Czy to na pana?

– Ha! jeśli zawinię względem pani.

– Zawinił pan, ale, niestety, prawo kary nie należy do mnie.

Obeszli jeszcze kilka ciekawych działów. Byli w psiarni głębowickiej, obsługiwanej przez rój psiarczyków w ciemnożółtych kurtkach, w palonych butach i pasach. Na głowach mieli płaskie brązowe czapeczki. Panował tam skowyt, charkot, piskliwe ujadanie szczeniąt i moc głosów, po których znawcy odróżniają gatunki. Odznaczały się pięknnością taksy, psy

gończe i charty. Wielki dog ordynata. Pandur, chodził swobodnie w ozdobnej, oksydowanym srebrem okutej obroży. Gdy weszła Stefcia, pies podbiegł w lwich skokach i poufale wsparł się na niej potężnymi łapami.

– Jak on panią poznał – szepnął wzruszony tą sceną Waldemar.

– O! bo my jesteśmy w przyjaźni!

– Chodźmy do koni! – zawołała panna Rita.

W stajniach spotkali znajomych panów. Konie ordynata miały powodzenie. Przed stajnią starszy stajenny trzymał za uzdę Apolla, otoczonego gromadką znawców. Objaśniał ich główny koniuszy głębowicki z pomocą kilku masztalerzy. Inni panowie oglądali klacze, przeprowadzane przez stajennych w ciemnopasowych kurtkach i białych pantalonach; ci mieli czarne lakierowane buty z nakolannikami, wysokie kaszkiety ze złotym lampasem i mitrą nad paskiem. Dalej stały konie panny Rity, a wśród nich główną uwagę zwracał rosły folblut, angielski Buckingham. Rita mówiła, że na tego konia liczy najwięcej. Istotnie dorównywał on pięknością folblutom ordynata.

Panie, słysząc specjalną rozmowę przy stajniach, cofnęły się. Do Waldemara podszedł jakiś wysoki, po sportsmeńsku ubrany pan i zdejmując kapelusz, przemówił grzecznie.

– Panie ordynacie, chcieliśmy zapytać pana o tego ogiera Apolla. Wszak to czysta rasa?

– Pełna krew, importowany wprost z Arabii jako żreback. Ale... wybaczy pan, że teraz mówić o tym nie mogę: jestem z paniami.

– A... przepraszam, bardzo przepraszam!

71 un vrai chevalier de la générosité! (fr.) – prawdziwy rycerz hojności!

138

– Bliższych szczegółów udzieli panom mój koniuszy i przedstawi papiery Apolla. Ale koń nie jest na sprzedaż.

Sportsmen dotknął kapelusza i cofnął się z ukłonem. Ordynat i panie obejrzeliby jeszcze kilka stajen; dochodzili do obór.

– Czy bydlęta panie nie są ciekawe? – zapytał Waldemar.

– O nie! – zawołała Rita – wracajmy do Idalki. Zemdlify ją pewnie te wędliny.

Pani Idalia była ekspertką wędlin i serów, uproszoną przez komitet wraz z innymi paniami. Hrabina Ćwilecka prowadziła ekspertyzę konfitur i win, młoda księżna Podhorecka najrozmaitszych wódek, miódów i nalewek. Wszystkie siedziały w obszernym pawilonie wytworów wiejskich, ładnie udekorowanym. Towarzyszyło paniom kilku mężczyzn. Baronowa próbowała wędlin, podawanych jej na talerzykach z kartkami producentów i wygłaszała swe zdania.

Dużo przy tym było żartów, ale i czysto spiżarnianej rozmowy. Hrabina Ćwilecka spod oka patrzyła na Stefcię i na złocenie w jej ręku. Gniewał ją ordynat, towarzyszący tej „nieciekawej trójce” – liczyła w to pannę Ritę i Lucię.

Pani Idalia, ujrawszy ich, rzekła:

– Pewnie się lepiej od nas bawicie, bo ja już jestem horriblement fatiguée<sup>72</sup>.

– Niech panie zmieniają wędliny na konfitury, a wujenczka niech od nalewek przejdzie do serów – żartował Waldemar.

– Dobra rada! a potem ty nas będziesz cucił, bo po takiej zmianie rozchorowałabym się na pewno.

– Jakże panie znajdują owe produkty?

– Są przeważnie wyborne. Zwłaszcza wędliny zasługują na uznanie.

– To dowodzi, że dobrych gospodyń u nas nie brakuje. Ma to dla kraju utylitarne znaczenie.

Jeden z panów zwrócił się do Waldemara:

– O ile się nie mylę, i pan, panie ordynacie, jest ekspertem.

– Tak, panie: narzędzi rolniczych, bydła i koni.

– I jak pan opiniuje?

– Ze maszyny i kultywatory nasze robią olbrzymie postępy. Wprawdzie nie doścignęły jeszcze zagranicy, ale to wada nie ustalonego systemu, brak intensywności w wykonaniu. Wina ta ciąży i na obywatelach, odbiorcach. Zanadto wierzymy w zagranicę: co zagraniczne, zyskuje uznanie, a co nasze, najczęściej ironiczny śmiech. Ale śmiać się łatwo, trudniej działać.

– Więc pan przeciwny jest maszynom zagranicznym? – spytał ktoś z grupy panów.

– Bezwarunkowo, ale w naszym kraju. My powinniśmy przede wszystkim dbać o to, aby własną glebę uprawiać własnymi narzędziami. Im większy będziemy kładli nacisk, tym ta prędkość da lepsze wyniki. Wówczas nasze fabryki zrozumieją, że trzeba postępować, bo jest dla kogo. Zwiększy się zdolność producentów, gdy się konsumpcja rozszerzy. Lecz nieprędko to nastąpi, mamy bowiem zbyt wielu starowierców Zachodu, którzy są ślepi i głusi na nasz postęp. Wtrąciła się hrabina Ćwilecka:

– Zapomina pan, że zagranica daje nam to, czego w kraju znaleźć nie możemy, każdy zaś woli zagraniczne jedwabie niż miejscowe drelichy.

– Dobrze! ale niech pani stale kupuje drelichy i rozszerzy ich wytwórczość – mówię w przenośni – a z czasem dojdziemy do jedwabów. Jest to w naszej mocy.

– Toteż pan stosuje u siebie swoje poglądy, słyszałam – odrzekła z ironią.

72 horriblement fatiguée (fr.) – potwornie zmęczona

139

– Tak, stosuję i dobrze na tym wychodzę, a majątki moje choć mają wygląd zupełnie europejski, lecz przede wszystkim nasz własny, i tym się cieszę najwięcej. To jawny dowód, że przy dobrych chęciach rezultaty być muszą.

– Jednak dawniej zagranicą pan nie pogardzał, częściej przebywając tam niż tu.

– Nie przeczę! Nie tylko przebywałem, ale i hulałem tam. Lecz gdyby nie owe lata, nie miałbym dziś obecnego poglądu.

Hrabina umilkła zaczerwieniona z gniewu. Nie wiedziała już, co odpowiedzieć. A panna Rita utkwiała w niej złośliwo-szydercze spojrzenie, które hrabinę obezwładniało zupełnie. Waldemar mówił dalej:

– Dzięki swym podróżom znam główne źródła cywilizacji zachodniej i śmiało twierdzę, że powinniśmy iść z nią w zawody, badać pilnie dodatnie strony i stosować je u nas, bo nauka i wynalazki są dla wszystkich. Nie powinniśmy tylko oddawać obcym pieniędzy, malować się ich farbami, bo to co innego, i to zabija naszą indywidualność. Wytwarzajmy u siebie nie surogaty, ale rzeczy doskonałe, a przekonamy się, że i u nas głów ani rąk nie zabraknie. Będzie nam brakowało jedynie wytrwałości i patriotyzmu, tego zaś nauczyć się możemy w poglądowych lekcjach od Niemców i Anglików. Wiele punktów cywilizacji z trudnością da się u nas zastosować, lecz motorem do tego kultura i zawsze kultura. Gdy ona stanie się postulatem całego narodu, osiągnięcie celu już niedalekie.

Trestka obudził się z zamyślenia.

– Ordynat ma rację. Póty będziemy pogrążeni w ciemnościach, aż elektryczność u nas stanie się jak zapałki.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Waldemar zawołał:

– Brawo, panie Trestka! Jesteśmy więc skazani na długie ciemności. Ale domyślam się, mówiłeś pan pod przerośnią do oświaty i kultury naszej. Nie świecimy elektrycznie, ale i nie zapalowo; jedynie w pewnych okolicach lud nasz poprzestaje na owym mdłym światełku.

– Źle się wyraziłem. Mniejsza o to! Właściwie chciałem powiedzieć co innego, i to o postulatach. Gdyby wszystkie postulaty miały doprowadzać do celu, musiałbym dostać złoty medal za swoją oborę, a tymczasem przeczuwam, że czeka mnie najwyżej list pochwalny, i to wątpliwe.

– Owszem, osiągnąć pan może złoty medal, ale później. Hodowlę prowadzi pan zaledwo od paru lat. To za mało!

Stefcia szepnęła cicho do Rity:

– Pan Trestka ma inne, ważniejsze postulaty i również czeka złotej nagrody.

– Dostanie, jak zawsze, grochową.

Trestka zauważył ruch Stefci i domyśliwszy się treści jej słów, kiwnął zabawnie głową w jej stronę.

– Wiem, co tam pani przeciw mnie knuje, ale to już przestaje być moim dążeniem.

– Bardzo szczęśliwie, jak dla mnie. Ale i medalu za oborę pan nie dostanie. Ja w tym!

– Szczęściem nie pani jest ekspertem, tylko ordynat.

– A propos! jak pan znajduje hodowlę bydła i koni? – spytał znowu Waldemara jeden z panów.

– Znakomicie! Wśród bydła i koni są okazy najróżnorodniejszych ras. Odznaczają się doskonałością linii i świetnym utrzymaniem. Tu widoczna intensywność chowu.

– A dlaczego pan nie ma obory głębowickiej?

– Miałem na poprzedniej wystawie w M.

– Pańska obora dostała wówczas złoty medal, pamiętam. Dziś za konie i zboża dostanie pan znowu medale, a ja pracowałem nad swoją oborą i nic – narzekał Trestka.

– Cierpliwości, panie!

– E! pan też niewiele jej zużył, nie siedzi pan wieki w Głębowiczach.

– Ale ma miliony i energię – podchwyciła panna Rita.

140

Waldemar z uśmiechem uklonił się.

– Za ostatnie dziękuję.

– Za energię?... To każdy wie!

– Tegoroczna wystawa ma jednak okazowe działy – ozwał się książę Giersztorf, starszy człowiek, mocno już posiwiały.

Waldemar poruszył głową.

– O tak! bardzo pocieszający fakt i obiecujący – rzekł z żywością. – Niektóre działy do- wodzą, że nasz krajowy przemysł ma wielkie dane do rozwoju, nawet szybkiego. Zdolność w narodzie jest, nie zbywa na dobrych chęciach i pomysłowości. Tylko jak zawsze brak szerszej kultury ekonomicznej, głównie u niższorzędnych producentów, oraz inicjatywy płynącej z wyższych sfer. Potrzebna solidarność, a wyniki na przyszłość zapowiadają się bardzo dobrze. Nasze towarzystwo rolnicze powinno się zająć owym rozwojem z pomocą obywateli, zachować moralną i ekonomiczną jedność, uświadamiać włościan. Lecz aby utrzymać podobny system, pożądanym byłoby jak najmniej akcji starowierców Zachodu, obracających się do nas plecami i zapatrzonych w geniusz obcych narodów. Oni brudzą, za wiele mają cudzych błasków w oczach, aby patrzeć na szarzyznę swego kraju.

Książę zatarł ręce.

– Zawsze to samo mówię: Jest to punkt najważniejszy. Nie może być solidarności tam, gdzie nie wszyscy są ożywieni jednym duchem patriotycznym. Zwłaszcza między nami zdarzają się najczęściej zachodowcy, całkiem egzotyczni. Ci na nasz kraj nie mogą mieć dodatniego wpływu, raczej ujemny, zarażający innych obywateli. Prezes hrabia Mortęski jest owia-

ny tym samym duchem. Zresztą człowiek to bardzo wiekowy. Towarzystwo wasze rozwinię-  
łoby skrzydła wówczas dopiero, gdy berło oddać w twoje ręce, panie ordynacie. Tak dziel-  
nych ludzi jak ty mało mamy w kraju.

I ksiązę z uznaniem podał rękę Michorowskiemu. On skłonił się, ścisnął dłoń księcia,  
którego bardzo wysoko cenił.

– Wdzięczny jestem księciu za jego opinię o mnie, ale hrabia Mortęski mógłby jeszcze wiele  
dobrego zdziałać. To człowiek zdolny, tylko poddający się wpływowi. Gdyby inne  
wpływy, wszystko poszłoby inaczej. Ksiązę mógłby się podjąć tego zadania.

– Ja jestem stary. Gdybym miał takiego syna jak pan, wówczas...

Dalszą rozmowę przerwało wejście koniuszego z Głębowicz. Był to postawny szlachcic, stroj-  
ny jak na paradę. Mundur miał szamerowany złotem i złote sznury na ramieniu, błyszczące  
botforty

aż za kolana z ostrogami. zamszowe białe rękawice i wysoką czapkę z białym  
pióropuszem. Wszedł, ukłonił się po wojskowemu i sprężystym krokiem zbliżył się do  
Waldemara.

– Proszę pana ordynata, przyszli do naszych stajen panowie eksperci.

– Idę natychmiast. Czy kapy z koni pozdejmowane?

– Wszystko w porządku.

– Dobrze! Proszę, niech Badowicz idzie, ja zaraz nadejdę.

Koniuszy ukłonił się i wyszedł z pawilonu równie majestatycznie, jak wszedł.

– No! złoty medalik brzęknie w pańskiej stajni – zawołał Trestka.

– Któż może wiedzieć? Ale jestem dość pewny swych koni. Trestka pokiwał żałośnie głową.

– On może być pewny!

Po odejściu ordynata ksiązę Giersztorf zwrócił się do pań:

– Przeszkodził mi panom, w ekspertyzie, ale z ordynatem rozmawia się tak ciekawie,  
że chyba i panie nie są zbyt poszkodowane?

– Odetchnęliśmy, zawdzięczając panom – rzekła uprzejmie baronowa Elzonowska. Ksiązę  
zacierał ręce.

– Ale ordynat! – mówił kręcąc głową. – Gdyby nam więcej takich, lecz... Ksiązę machnął ręką  
w sposób wiele mówiący.

141

## XXVI

Na wielkim placu popisowym w środku wystawy, zebrały się tłumy publiki. Miał być  
wyścig hipiczny. Dokoła bariery otaczającej hipodrom falował gęsty wianek strojów męskich  
i kobiecych. Poza tym ruchomym i barwnym pasem wznosiły się trybuny, udekorowane w  
festony i chorągiewki. Bliżej wysunięte łoże błyszczały świetnymi ubiorami pań, szumiąc z  
lekka gwarem rozmów, przeważnie prowadzonych w językach cudzoziemskich. Zebrała się tu  
sama arystokracja – wyborowe towarzystwo, strojne, rozbawione, z pewną odrębną cechą,  
znamionującą wysokie sfery.

Spod koronkowych obszyc wysuwały się białe ręce w eleganckich rękawiczkach lub ob-  
nażone i pokryte klejnotami. W uszach świeciły brylanty, na piersiach połyskiwały złote łań-  
cuchy. Pyszne kapelusze wznosiły się dumnie na pysznych uczesaniach. Oczy błyszczały,  
uśmiechały się usta. Pełno było cichych rozmów i błyskotliwych dowcipów. Strojne,  
pachnące i rozbawione łoże w ogólnym zarysie miały wygląd piękny i spokojniejszy; zagłuszał je huk  
na innych trybunach i ruchoma fala publiki pieszej. Wyścig się rozpoczął.

Od stajen zbliżały się do startu eleganckie sylwetki jeźdźców na rasowych koniach. Sku-  
piał ich przed sobą ksiązę Giersztorf, ubrany w cylinder i długie palto z połami. Trzymał on kartkę z  
wyliczeniem nazwisk jeżdżących panów oraz ich wierzchowców i według spisu puszczał  
na tor. Wyjeżdżali po czterech. Konie szły z wdziękiem, brały przeszkody z mniej-  
szym lub

większym powodzeniem, ogólnie jednakże dobrze. Czasem obsunęła się deska z przeszkody, zacementowana kopytami, ale nim drugi jeździec nadjechał, stajenni naprawili barierkę. Orkiestra na osobnej estradzie ożywiła i tak już szeroko płynące humory.

W jednej z większych łóż znajdowało się towarzystwo ze Słodkowic, księżna Podhorecka i Rita, strojna, świetna, ale niespokojna. Na jej koniu miał jechać Wiluś. Panna Rita była jak w gorączce. Siedziała obok Stefci i zaczęła jej się żalić:

– Czy tylko Wiluś dobrze weźmie przeszkodę?

– Chciałby na pewno, zależy to i od konia – odparła Stefcia.

– Dużo zależy! zwłaszcza, że Wiluś niezbyt świetny jeździec. Przy tym i Buckingham ma swe narowy.

– Czemuż nie jeździ kto inny? Na przykład pan...

– Trestka zapewne? O, dziękuję! Znarowiłby mi konia. Zresztą... nie chciałam. A Wiluś uparł się. Nauczyłam go tylko, jak ma postępować z Buckinghamem.

– Uważajcie, panie, ordynat wyjeżdża! – zawołał, wychylając się z następnej łoży, baron Weyher.

Stefcia zwróciła oczy na tor i całą postać podała się naprzód. Wyglądała ślicznie w kremowej sukni i strojnym białym kapeluszu. Nie miała na sobie żadnych błyskotek, tylko wpięta do stanika parę herbacianych róż. W innych łożach siedzące panie przyglądały się jej natarczywie. Niektóre dziwił poufały stosunek jej z panną Ritą, serdeczność pana Macieja, Luci i nawet zwykle mało przystępnej pani Idalii. Ta młoda dziewczyna z nazwiskiem nie „z towarzystwa”, a wesoła, rozmowna, dowcipkująca śmiało z Trestką, który miał sławę zagozłałego sferowca, zaciekawiała nawet gniewała. Była dobrze ubraną, ładną i nie raziła niczym prócz nazwiska, lecz to wystarczało, by spoglądać na nią z ukosa. Ale Stefcia nie dręczyła się tym. Miała poparcie w liczonym gronie z okolicy Słodkowic, a że wiele z tych osób uważano powszechnie za najpierwsze w wysokich sferach, więc czuła się swobodną pomimo nieprzychylnych spojrzeń innych. Teraz, kiedy wychylona z łoży spoglądała na tor, nikt na nią nie patrzył. Każdy był zajęty tym samym.

Od startu ruszyło czterech jeźdźców: Waldemar, Trestka, młody Żnin i Brochwicz.

Wszyscy na koniach ordynata, on sam na Apollu. W obcisłym ubraniu i żółtych sztylpach, w białych rękawiczkach, miał w swej postawie dużo klasycznej dzielności przy pewnym zanie-

142

dbaniu. Siedział jak przymurowany na koniu, z zimną krwią i wielką pewnością siebie. Spokojnie normował rozgorączkowanego wierzchowca. Był wspaniały. Trestka siedział i jechał pretensjonalnie, klnąc i wciąż majstrując koło binokli. Żnin miał minę znudzoną. Brochwicz najwięcej zbliżał się podobieństwem do Waldemara, tylko tamten go przewyższał. Bieg się rozpoczął. Chociaż wszyscy czterej równocześnie ruszyli, Apollo natychmiast wysunął się naprzód. Brał przeszkody z fantazją, bez trudu, jak piłka podrzucana w górę przez rakiety. Przejeżdżając w cwale naprzeciw łoż, Waldemar zręcznym ruchem uniósł w górę kapelusz. Odpowiedziało mu gorączkowe powiewanie chusteczkami zachwyconych pań. Stefcia ani drgnęła, tylko na twarzy jej wykwitły silne kolory i oczy pociemniały od wewnętrznego wra-żenia.

Podobał jej się ten świetny jeździec. Cała jej dusza rwała się do niego, tysiące słów wy-rywało się na tor, ale usta milczały. Siedząc bez poruszenia, mówiła sobie: „Nie można”. Tym jeźdźcem był Waldemar Michorowski, ordynat gębowicki, pan z panów, magnat jeden z naj-pierwszych w kraju, noszący starożytne nazwisko, opromienione mitrą książęcą w herbie, w aureoli nieprzejrzanym szeregom hetmanów, senatorów, kanclerzy i wojewodów. A ona Rudecka – ze starej i dobrej szlacheckiej rodziny, z rodziny bez skazy, ale tylko Rudecka. Budził się w niej bunt, zadawała sobie pytanie, dlaczego i ona nie może okazywać mu swych uwielbień, jak panie z arystokracji. Na trybunach zajmowanych przez inteligencję, nie arystokrację, panował również zapal, wzbudzony ukazaniem się ordynata, a nawet i w tłumie okalającym



hipodrom. Ale Stefcia czuła, że będąc tam, szczerzej mogłaby objawiać swe zachwyty. Tu – nie wolno jej...

Konie obieły tor dwa razy. Wszystkie przeszkody wzięto dobrze, przed ostatnim biegiem Waldemar dał rozkaz podwyższenia barier. Przebiegając koło startu, porozumiał się z towarzyszymi. Żnin i Brochwicz przyjęli zmianę, tylko Trestka zląkł się.

– Czy pan jest pewny Salamandry? – zapytał ordynata.

– Jej – tak! ale skoro pan siebie niepewny...

Konie ich rozniosły. Trestka wstydził się pozostać, lecz nie ufał sobie.

Podwyższone bariery zrobiły wrażenie w lożach. Pan Maciej obawiał się wyraźnie, Stefcia drżała, panna Rita była wprost zachwycona.

Ruszyli. Waldemar jechał na czele.

Pierwszy skok... Dobrze! Apollo przez mgnienie oka zawisł w powietrzu, spadł lekko na ziemię i pomknął rażno. Druga przeszkoda... Dobrze!

Trzecia, czwarta... Doskonale!

Apollo szarżował dzielnie, pierwszy dopadł do startu.

Książę Giersztorf wieszował, z łóż brzmiały brawa. Wszystkie konie ordynata popisały się dobrze, ale najlepszym jeźdźcą był sam ordynat: potrafił kierować wierzchowcem swobodnie i zręcznie. Apollo fruwał nad barierami lekko, bez wysiłku. Żnin i Brochwicz przesadzali sztywniej. Trestka na Salamandrze, ślicznej gniadej wierzchowce ze Słodkowic, jadący na końcu, zaczepiał o każdą barierę, gdyż ściągał nadmiernie cugle, widocznie bojąc się. Rasowa klacz cierpiała nad swym upokorzeniem, szła wdzięcznie, płynnie i czuła się na siłach zawiśnięcia w powietrzu. Ale obawa jeźdźcy udzielała się i jej. Ściągnięta w pysku, traciła pewność siebie, gorączkowała się, za każdym uderzeniem kopyt w deski barier drżała nerwowo, zdwajając pęd. Przed nową przeszkodą wznosiła głowę do góry, jakby z dumą i zapowiedzią, że teraz już weźmie, że się wyzbyła lęku, że okaże swe zdolności. Ale Trestka, przestraszony widoczną determinacją klaczy, ściągał gwałtownie cugle, zaciskał kolana i kopyta uderzały znowu w deski. Tak dopadł do startu.

– Szlachetne zwierzę, ale słaby jeździec! – odezwał się dość głośno książę Giersztorf.

Waldemar, zły, podsunął się do Trestki i rzekł z wymówką:

– Panie, trzeba mię było uprzedzić, że pan się obawia. Ostatniego biegu mógł pan nie próbować.

143

– Ale ba! wszyscyście lecieli na złamanie karku, ja sam cofnąć się miałem? Ta pańska szkapa warta kuli w łeb. Myślałem, że mnie diabli wezmą. Ja te uderzenia dotąd czuję w głowie.

Wtrącił się książę „starter”:

– Klacz dobra, tylko pan nie nadaje się do arabów, panie hrabio. Nic trzeba się było afszować. Mógł pan zresztą jechać na folblucie, może angielska krew prędzej pasowałaby do pańskiej gorączki. A tak wyszło fiasko!

Trestka zrzucił binokle.

– Nie mam weny, c'est sur!<sup>73</sup> To mię pociesza, że pewno nikt na mnie uwagi nie zwrócił. Byli lepsi!

– A panna Szeliżanka? – zapytał Brochwicz.

– Ech! może nawet nie widziała, że jeżdżę.

Na drodze do stajen konie musiały iść wolno, gdyż tłumy publiki cisnęły się, by lepiej widzieć wracających jeźdźców. Jakaś młoda osoba, niezłe ubrana i przystojna, patrzyła chciwie na ordynata i w chwili kiedy koń jego przechodził obok, zawołała dość głośno:

– Jaki dzielny i jaki piękny!

Waldemar, chociaż zamyślony, usłyszał i spojrzął na nią z roztargnieniem; widząc zachwycony wzrok utkwiony w siebie, uśmiechnął się zrobił mimowolny ruch ręką do kapelusza, co nieznaną panią zachwyciło jeszcze więcej. A on spowaźniał. Przyszło mu na myśl: czy też Stefcia widziała go dobrze i czy jej się podobał. Po czym szepnął do siebie w duchu:

– Zaczyna interesować mnie własne powodzenie? Nadzwyczajny objaw.

I lekko wzruszył ramionami.

Rozpoczął się nowy bieg. Teraz pomiędzy innymi jechał Wiluś na Buckinghamie. Zniżono bariery do dawnej wysokości. Panna Rita, stojąc w łoży, niespokojna, drżąca, cisnęła przez zęby:

– Buckingham wzięłby wyższą przeszkodę, ale nie z Wilusem. Byłoby tak jak z Trestką. Cały czas stała wychylona, przed każdym skokiem koni krzywiła twarz, jakby doznając fizycznego bólu. Ale bieg udał się. Wiluś przesadzał i jechał śmiało, z dobrą miną, rzucając ukośne spojrzenie na łożę, w której siedziała Stefcia. Walczył pod jej sztandarem. Gdy bieg się skończył, Rita odetchnęła.

– A co! Wiluś a de la chance!<sup>74</sup> Trochę mi żal wyższych przeszkód, ale taką wysokość mogły brać jedynie konie ordynata, znakomicie trenowane. Weźmie złoty medal, bez kwestii.

– A pani? – spytała Stefcia.

Wtem obok ich łoży jakiś młody głos kobiecy przemówił po francusku. Jednocześnie rozległ się wesoły, kokieteryjny śmiech.

Stefcia spojrzała w tę stronę.

Młoda panna, wysoka, śniada, bardzo piękna brunetka ubrana strojnie, szła obok łóż w towarzystwie starszego pana i dwóch młodszych. W jednym z nich Stefcia poznała księcia Zanieckiego. Panna Rita wychyliła się także i z pośpiechem odrzuciła w tył swą pyszną figurę,

zagryzając wargi.

– To Barska z ojcem – szepnęła do Stefci.

Obie cofnęły się w głąb łoży. Hrabianka wstępowała na schody.

Pani Idalia witała pierwsza z wielkim wylaniem czułości, księżna Podhorecka uprzejmie, lecz poważnie. Lucia chłodno. Kilku panów z następnych łóż podniosło się, idąc z powitaniem i szablonowym uśmiechem na ustach. Hrabianka tryumfowała. Panna Rita nachyliła się do Stefci i udając, że nic nie widzi i nie słyszy, mówiła:

73 c'est sur! (fr.) – to pewne!

74 a de la chance! (fr.) – ma szczęście!

– Widzi pani ten tłum?... o! widzi pani?... Niech się pani nie ogląda... A co, dobrze idą konie?... Proszę słuchać, jak się rozczuła Idalka... jak dla własnego syna... Piękne konie!... Niech się nią nacieszy, ale nic z tego! Ach, ta wystawa!...

Stefcia słuchała ubawiona i wpadając w ten sam ton, odpowiadała również bez sensu.

Obie panny miały wygląd bardzo zainteresowany... wystawą.

Ale hrabianka, witając się, podeszła już zbyt blisko. Udawać dłużej było niepodobieństwem, zwłaszcza że hrabia Barski zawołał głośno:

– Ah! mademoiselle Marguerite! Bonjour!<sup>75</sup> zachwycam się Buckinghamem. Pyszny koń!

Panna Rita doskonale udała zdziwienie.

– Gdzież hrabia był? Nie widziałam go w łożach!

– Byliśmy w łoży przy trybunie sędziów. Jest i Melania. Otóż i ona.

Podczas powitania dwóch pań hrabia patrzył z ukosa na Stefcie, nie wiedząc, kto to i jak wypada się wobec niej zachować. Ale wybawiła go z kłopotu panna Rita:

– Hrabia Barski... panna Rudecka.

Forma prezentacji sprawiła, że hrabia przywitał Stefcie jak osobę „z towarzystwa” – nawet podobała mu się, ale w głowę zachodził, skąd ona jest. Zmarszczył brwi i przebiegł myślą

Niesieckiego, szukając nazwiska Rudeckich. Hrabiankę i Stefcie panna Rita poznała również w sposób nie wzbudzający podejrzania. Hrabianka była wesoła, lecz jakby zaskoczona. Nie szperając w Niesieckim jak ojciec, na równi z nim rozmyślała, kto to być może. Ją przede wszystkim uroda Stefcia dotknęła niemiło.

Rozmowa zaczęła się lekka, uprzejma, z obopólnym zaciekawieniem, lecz małą dozą sympatii. Zbliżenie się panów od startu zmieniło ton, hrabianka skierowała ku nim całą swą postać, humor, dowcip. Ordynat miał powodzenie. Winszowano mu gorliwie, co go jednak nie wzruszało. Z konieczności znalazł się w orszaku hrabianki, wciąż przez nią zaczepiany. Trestka usiadł obok Stefcia i Rity.

– Wszyscy chwalą ordynata, mogłyby choć panie mnie pochwalić – rzekł niby żartem, ale kwaśno.

Panna Rita wzruszyła ramionami. Stefcia zaczęła mu dowodzić, że gdyby nie nieszczęsna trema, wszystko byłoby inaczej.

– Ale wyglądał pan nieźle – zakończyła z komiczną powagą.

– Nieźle! dziękuję za łaskę, nie wysadziła się pani na komplement.

– Bo też nie miałam go na myśli.

– Ale za to pani robiła wene. Buckingham mógłby o tym coś powiedzieć, a nawet i Apollo...

– A pańska Salamandra? – podchwyciła żywo Stefcia.

– Salamandra nie darmo nosi swą nazwę: żaden płomień jej nie wzruszy.

– Tylko dobry jeździec.

– Sapristi!<sup>76</sup> pani zaczyna być gorzką. Zawsze jednak jest pani szczerą, a to wolę od fałszywych pochwał, jakimi witała mnie hrabianka Paula, mrugając na tego osła Weyhera. Do diabła! przecież nie potrzebuję jej protekcji.

– Staje się pan niemożliwym, panie hrabio.

– Pardon! otworzyłem swój codzienny słownik, zapominając o obecności pań. Pardon! Hrabia Barski śledził rozmawiających i upatrzwszy chwilę, spytał Zanieckiego, poruszeniem brwi wskazując na Stefcie:

– Qui est ça?<sup>77</sup>...

75 Ah! mademoiselle Marguerite! Bonjour! (fr.) – A! panna Margerita! Dzień dobry!

76 Sapristi! (fr.) – Psiakosć!

77 Qui est ça? (fr.) – Kto to jest?

145

– Nauczycielka i dame de compagnie<sup>78</sup> małej Elzonowskiej, mademoiselle Stéphanie Rudecka.

Hrabia nasrożył się. Wielkie, okrągłe jego oczy zbieleły z oburzenia.

– Nauczycielka?... A cóż znowu ta Rita? Czy to zwykła?...

Zaniecki z porozumiewawczym uśmiechem szepnął do hrabiego:

– Jest bardzo dobrze uważana. On l'accepte très bien<sup>79</sup>, szczególnie starszy Michorowski... i ordynat.

Barski rzucił na Zanieckiego bystre, niespokojne spojrzenie. Dumne usta magnata skrzywił ironiczny grymas.

– Ja uważam, że wszyscy. Que c'est ridicule!<sup>80</sup> I skąd ona jest?...

– Córka jakiegoś obywatela z Królestwa.

– Ach! więc szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie? Minęły te czasy, a w rzeczywistości nigdy nie istniały.

– Mais elle n'est pas mal?<sup>81</sup>

– Oui, pas mal<sup>82</sup>. Tylko ta Rita...

Hrabia skrzywił się, nie dopowiedziawszy myśli, że panna Rita popełniła wielki błąd w prezentacji. Bo można mieć wśród siebie wiele osób „innych”, zwłaszcza w miejscu publicznym, ale trzeba zawsze wiedzieć, kto kim jest. Hrabia zrobił ruch ręką, jakby mówiąc:

– Nie można zresztą tego wymagać od Szeligów.

I wielką swą głowę barską tryumfalnie wznosił do góry.

78 dame de compagnie (fr.) – dama do towarzystwa

79 On l’accepte très bien (fr.) – Przyjmuje się ją bardzo dobrze

80 Que c’est ridicule! (fr.) – Jakież to śmieszne!

81 Mais elle n’est pas mal? (fr.) – Ale jest niebrzydka?

82 Oui, pas mal (fr.) – Tak, niezła

przemówieniem rozdawał nagrody. Orkiestra wykonywała huczną fanfarę, jakby akompaniament. Konie ordynata otrzymały złoty medal, ofiarowany właścicielowi z nadzwyczajną uprzejmością, z całą serią miłych stów i uśmiechów. Wysoki dostojnik umiał odpowiednio falować swą postacią i doborem słów. Panna Rita dostała srebrny medal, ocukrzony dobrym frazowaniem i uśmiechami już więcej zalotnymi. Skromniejsi wystawcy dostawali nagrody w mniej wytwornych ramach, grzecznie, ale bez naddatków.

Wieczorem, po koncercie i odwiezieniu pań, w wesołej restauracji Hofmana zebrała się pewna część panów z magnaterii.

Oświetlona sala pełna była dymu z cygar i zapachu win. Orkiestra cygańska grała skoczne, dzikie melodie. Brzęk kastanietów, targanych przez namiętne dłonie smagłych Hiszpanek, mieszał się z krzykliwymi głosami cygańskich śpiewaczek. Barwne stroje, gorejące oczy, wycięte staniki kobiet, dowcipy, śmiechy nadawały temu zbiorowisku ludzi wygląd przedpiekła.

W jednym z gabinetów siedział przy fortepianie Brochwicz i z nadzwyczajną gestykulacją wygrywał Małgorzatkę. Trząśł głową i rozwichrzoną czupryną; śmiały mu się ładne ciemne oczy, białe zęby błyskały wesoło. Nagle obejrzał się i zawołał:

– Trestka, do chóru!

Młody hrabia podszedł powoli, stanął przy fortepianie, umocował binokle i wpatrzony w jeden kąt sali. zrobił taki ruch szyją, jakby sobie poprawiał w gardle jakąś ukrytą maszynę.

Brochwicz roześmiał się.

– No? aparat gotów?

– No! no! zacznaj – burknął uroczysty Trestka.

Małgorzatko, godna uwielbienia, Małgorzatko, nie bądź że z kamienia! Małgorzatko, mej miłości wierz...

– Ha! ha! ha! – wybuchnął śmiech ogólny.

– Cóż znowu? – obejrzał się obrażony Brochwicz.

– Do kogo pan to śpiewa, panie Trestka? – posypały się pytania. Trestka zaperzył się.

– Jak to? śpiewam Małgorzatkę, nie słyszycie, panowie?...

– Brawo, panie, brawo! Nie mógł Jurek dobrać dla pana stosowniejszego śpiewu.

– Albo co? – zdziwił się Brochwicz. Nagle wybuchnął śmiechem.

– Ach, prawda! Bajecznie! Dalej, Trestka, śpiewajmy. Zaczął nucić:

– Małgorzatko – Margaritko – Ritko...

– Czyś się wściekł? – huknął Trestka.

– Śpiewałeś pan przecie mniej więcej to samo. Trestka zakręcił się na pięcie.

– Sapristi! – zawołał zły i poszedł w kąt sali, w który się przed chwilą wpatrywał.

– Powariowali – mruknął Wiluś Szeliga. Śmiech trwał jeszcze.

– Gdzież ordynat? Obiecał przecie być – zapytał Żnin.

147

– Spóźnia się. Ha! każdy ma swoją Małgorzatkę – zadeklamował Brochwicz.

– Daj pan spokój, bo jak usłyszysz... – obejrzał się Żnin.

– Natrze wam uszu za siebie i za mnie – mruknął Trestka, ale go nie dosłyszano.

– Jednak przyznacie, że ta Stefcia ma w sobie diabliska. W niej coś po prostu goreje – rzekł Brochwicz.

Żnin podniósł palec na wysokość twarzy i kiwając nim, jakby komuś groził, rzekł z przyciskiem:

– To esencjonalna dziewczyna, tylko nie bardzo pozwala badać temperaturę swych gorejących oczu.

– Ale może pozwoliłaby ją podnieść – mruknął baron Weyher.

– W każdym razie nie panu – sarknął Wiluś.

- No!... i nie panu także.
- Do tej chemii ma najwięcej zdolności ordynat.
- I szans, proszę dodać.
- Moi panowie – dodał Brochwicz – uwagi o panie Stefanii radzę zakończyć przed wejściem Michorowskiego, inaczej bowiem, w tym gabinecie temperatura może się podnieść do takiej skali, że zostaniemy zwęgleni.
- Czyż ordynat aż tak jest podniecony? – spytał Zaniecki.
- Il l'adore!<sup>83</sup> przy tym jej duma bierze go na munsztuk. to królewiatko w skórze szlacheckiej.
- Mimo to nie widzę dla nich dość wyraźnej sytuacji.
- Michorowski ją sobie sam znajdzie bez pańskiej pomocy, pomaluje, na jaki zechce kolor.

- A la Pompadour. Prawda?
- Nie, prędzej a la chapelle!<sup>84</sup>
- Młody książę Giersztorf oburzył się.
- Cóż znowu! o ile znam pannę Rudecką, ona nie zostanie kochanką ordynata, a znowu Michorowski z nią się nie ożeni.
- O ile go pan zna? – podchwycił Brochwicz, podnosząc brwi.
- Na pierwsze się zgadzam, ale drugie już podlega kwestii. Michorowski jest jak ognio- trwała kasa sztucznie zamknięta. Otworzyć go bez jego własnej pomocy nie zdołamy, tym bardziej zajrzeć, co on w sobie nosi.
- Jeżeli jest jak ogniotrwała kasa, to powinien wytrzymać pożar oczu Stefci – rzekł Trestka.
- Ona go przepali! – mruknął Brochwicz. – Niebiańsko cnotliwa, ale w oczach nosi diabła, i to z rodziny niebezpieczniejszej, bo z temperamentu. Kokietyjny diabeł nie znalazłby u ordynata poparcia, nawet oddźwięku.
- Żnin podniósł głowę i pokiwał nią w sposób twierdzący, mówiąc z przekonaniem:
- O! temperament Stefci ma, a że królewiatko, to lepiej. Największa właśnie rozkosz zdjąć ową koronę. Taka detronizacja ma szampańskie własności! Gdybym wiedział, że mi się uda, chciałbym zostać bodaj paziem. Czasem skromne posady wynoszą bardzo wysoko... Cóż mię pan tak zjada oczyma? – spytał, spostrzegłszy wściekłą minę Wilusia.
- Czekam, kiedy pan skończy swą tyradę o panie Stefanii – odrzekł szorstko student.
- A cóż to panu przeszkadza? Ej, panie Wilhelmie! masz pan minę, jakbyś był moim współzawodnikiem w owej obiecanej posiadzie. Niech się pan tak nie unosi, bo gotowiśmy sądzić, że się pan kocha w panie Stefanii.

<sup>83</sup> Il l'adore! (fr.) – Uwielbia ją!

<sup>84</sup> a la chapelle (fr.) – w kolorze kaplicy

Brochwicz podniósł ramiona.

- Odkrył Amerykę! – zawołał z dowcipną miną. – Pyszny pan jesteś! Zapleśniałe prawdy bierzesz za swój wynalazek i jeszcze zastrzegasz czas przyszły.

Żnin rozśmiał się.

- Ach, tak! brawo, panie Wilhelmie! Trzeba jednak przyznać, że pan ma dobry gust. Jeśli i szansę będą równe...
- Cicho!... Ordynat!... – szepnął Trestka. Wiluś zaśmiał się ironicznie.
- Szukajcie panowie nowego tematu do żartów, ten już traci kurs.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem i rozejrzał się bystro dokoła.

– Cóż, dobrze się bawicie? – spytał wesoło.

– Nieźle! – zawołał Brochwicz.

– Cóż Trestka siedzi jak zgalwanizowany?

– Obrażony na ekspertów, którzy za jego krowięta i wołęta nie obdarzyli go złotym medalem – wołał Brochwicz.

Ale Żnin mu przerwał:

– Nie, powód jest inny. Hrabia Trestka przed chwilą śpiewał Małgorzatkę i treść tego utworu pobudziła go do rozmyślań.

– Pan śpiewał Małgorzatkę? – spytał z uśmiechem Michorowski. – Bardzo trafnie! Trestka utkwiał w nim żbiczce oczy.

– A pan co robił tak długo? – zapytał.

– Ja?... byłem na wystawie. Zachorowała Salamandra. Weterynarz mówi, że z przeprowadzania – dodał Waldemar śmiejąc się.

Brochwicz klasnął w dłonie.

– Ależ naturalnie! Trestka obudził w niej chorobę nerwową: dostanie hysterii niewątpliwie. Patrząc na nich, jak biegali w wyścigu żałowałem, że nie jestem w skórze tej klaczy; z irytacji zrobiłbym ruch, który by wyniósł Trestkę ponad bariery, ba! nawet ponad hipodrom, a dla osłodzenia mu tej zniewagi cisnąłbym go w łóżkę panny Rity.

– No, Jurek! daj mu spokój! – rzekł Waldemar. – Muszę waszą uwagę zwrócić na pewien fakt z dnia dzisiejszego, który mię oburzył. Ale co to! nie macie wina?...

– Prawda! nie pomyśleliśmy jeszcze o tym.

– Hej, służba! – zawołał ordynat. Zwrócił się do towarzyszy:

– Będziecie co jeść? Spojrzeli po sobie.

– Chyba nie, jesteśmy po kolacji.

– Ja jem ostrygi – rzekł Brochwicz. – No, ostrygi można i homary.

– Ostrygi, homary i szampan – rzekł Waldemar lokajowi. Brochwicz pociągnął Michorowskiego za rękaw i szepnął:

– Waldy, przyjrzyj się tej bandzie Cyganek. Pikantne, co?... szczególnie ta w cekinach: oczy mają jak Wezuwiusze! A Hiszpanki? mnia, mnia! Ho, Hofman popisał się, frontowe okazy!

Waldemar spojrział przez półotwarte drzwi i lekko wzruszył ramionami.

– Fertyczne papugi – rzekł częstując towarzyszy cygarami. Brochwicz rozgniewał się.

– Diabło jesteś lakoniczny!

Wszedł książę Zaniecki ojciec, hrabia Morykoni, zięć księżnej Podhoreckiej, i książę Franciszek Podhorecki. Za nimi majestatycznym krokiem wtoczył się hrabia Barski. Wyniesiono szampana, kilku panów podeszło do stołu. Ordynat wypił kielich wina i rzucił się na fotel. Palił cygaro w milczeniu. Muzyka grała w sali dziko i hucznie.

149

– Wracam do swego – rzekł ordynat – czy uważaliście, panowie, dziś, w czasie rozdawania nagród, jeden fakt? Co was uderzyło?...

– Układna mina gubernatora, gdy ci wręczał medale, i zdziwione oczy Trestki, gdy mu nic nie dano – rzekł Brochwicz.

– Hrabia Trestka dostał pochwalny liścik, o ile wiem – wtrącił książę Zaniecki.

– Ho! ho! ho!

Waldemar puścił kłęb dymu.

– Nie żartujcie! Ale fanfary nie zdziwiły was?... Książę Giersztorf odwrócił się od stołu.

– Fanfary! Owszem! trochę zanadto wyróżniały wystawców z tytułami.

– Ależ to skandaliczne! – zawołał Waldemar i zerwał się z krzesła. – Taka rzecz tolerowaną być nie może. Jest to drobnostka, ale już świadczy o stronniczości. Słyszeliście, panowie? Ile razy otrzymał nagrodę ktoś z naszej sfery lub nawet z plutokracji, orkiestra głośzyła wszystko,

fanfary grały długo i dobrze. Gdy zaś kto z przemysłowców, tych skromniejszych, z drobnych obywateli lub ktoś z mniej znanych wystawców z Warszawy, fanfary ledwo raczyły się odzywać, a zauważyłem, że parę razy milczały zupełnie. To wstyd! to wina organizacji! Cóż u diabła! kto słyszał robić takie różnice? Albo się jest wystawcą, albo się nim nie jest! Skoro kto odznaczył się i dostaje nagrodę, fanfara powinna zagrać tak samo Michorowskie- mu, jak i każdemu panu Dziurdzialskiemu czy Łapciakiewiczowi. Tu różnic być nie powinno, a były, i bardzo krzyczące. Ci wszyscy panowie pokrzywdzeni w tym względzie nie będą się skarżyli, bo to niby drobnostka, ale będą szemrali, a dowcipniejsi wezmą nas na zęby. Wiedzą, że w komitecie organizacyjnym jest najwięcej członków z naszej sfery, a to wygląda na lekceważenie i dla wystawców nie może być zachęcającym. Mówiłem o tym prezesowi, ale... Waldemar podniósł brwi.

– A co, nieprawda? – rzekł młody książę Giersztorf– hrabia Mortęski, zacny skądinąd staruszek, ale widzi na metr przed sobą, a słyszy na kilka uncji. Mój ojciec zna go dobrze. Michorowski wzruszył ramionami.

– To prawda! i przy tym hrabia patrzy w naszą sferę jak w lustro, nie uważając na ramy.

– Jak to? – spytało parę głosów.

– Bardzo prosto: hrabia popiera wystawców z arystokracji, nie oglądając się na innych, których jest więcej, z ziemiaństwa, z przemysłowców, z mieszczan i nawet z włościan. My jesteśmy lustrem – dobrze, ale to są nasze ramy: bez nich i lustro mniej warte. Bez tych mas nie byłoby nas! A tymczasem zamiast ich zachęcić do postępu, to się ich na wystawach dla tego celu organizowanych wprost zraża. Taki przykład, fakt, jak z tym włościaninem z Lubelskiego. Że on nie dostał srebrnego medalu za swe pszczelnictwo, to jest niesprawiedliwość krzycząca, to prawie rozbój! List pochwalny tam, gdzie jak na włościański produkt i pomyślowość mógł być złoty medal! To nie zachęca, to odstręcza i tym samym zmniejsza postęp. Michorowski podszedł do stołu, strzepnął popiół z cygara i wypił znowu kielich szampa-  
na.

– Ostrygi wyborne! Nie skosztuje pan? – spytał Zaniecki.

– Dziękuję!

– Waldy, zjedz homara... mówię ci, zjedz homara! – nalegał Brochwicz.

– Ja polecam ostryżki – mówił pan Świrko, stary kawaler i pieczeniarsz.

Włóczył się za arystokracją i nigdy nie opuszczał sposobności, aby się dobrze najeść i napić.

– Ja polecam ostryżki – mówił schylony nad talerzem – tłuściutkie, smaczne, milutkie, prawdziwe pieszczoszki. Niech pan ordynat raczy spróbować jedną... o tę, tę figlarę. Jaka apetyczna, co? Po niej przyjdzie ochota na wszystkie.

– A dajcież mi pokój z ostrygami! – odrzekł niecierpliwie Waldemar.

– Jemu się coś stało! On skapcaniał! – wołał podchmielony Brochwicz.

150

Książę Zaniecki, który nie pił za dużo wina, ale za to mocno niepokoił się synem i jego rozmarzonymi oczyma, podszedł do spacerującego Waldemara.

– Pan ma słuszność, zbłądaliśmy się. Ale mówiłem panu już dawniej, że Mortęski to mumia – dodał ciszej. – On wierzy tylko w wyższe sfery, sam obracając się w najwyższych.

– Więc czerpie swą potęgę z obowiązujących uniformów? Ha!... strój wprawdzie błysz- czy z daleka, ale to nie zaszczyt.

Zbliżył się do nich hrabia Barski.

– Słówko, panowie! – rzekł z miną, jakby zapowiadał zbombardowanie świata – Słucha- łem, co mówił ordynat, i dziwię się. Jednak pewne odróżnienie między patrycjatem a plebem być musi. Mówię o fanfarach, to wielki, według mnie, takt dyrektora orkiestry.

– Osioł – zmełł w zębach Waldemar.



– Co zaś do wystawców, wszyscy zostali ocenieni dobrze: nie można zbyt wysuwać naprzód drobniejszych producentów bez zaćmienia większych.

– Więc hrabia nie znajduje miejsca dla prostej sprawiedliwości, dla bezstronnego sądu? – wybuchnął ordynat. – Więc na cóż jest ustanowiona ekspertyza? Wywieśmy na wystawie wielki szyld opiewający naszą chwałę i zasługi, a na wytwory niższych producentów nie zwracamy uwagi. Zróbmy już świństwo zupełne, kiedy się do tego dąży.

Hrabia Barski wznosił głowę jeszcze wyżej. Zaokrąglone oburzeniem oczy magnata zwróciły spojrzenie na twarz Waldemara. Rzekł tonem mentorskim:

– Za pozwoleniem! szyld my już mamy, nie potrzebujemy go wywieszać. Naszym szyldem jest nasza sfera i ona powinna kierować masami. Na wystawie dajemy pole wszystkim producentom, możemy ich oceniać i nagradzać, ale... w miarę.

– Głupstwo! – mruknął Waldemar.

– Przyznam się hrabiemu, że niezupełnie rozumiem – rzekł młody Giersztorf. – Czy to ma znaczyć, że musimy liczyć się z postępowaniem niższych mas, aby nie dopuścić zrównania z nimi?

– Hrabia widocznie ma na myśli owe ramy lustrzane, jakie porównałem do tych mas – rzekł z pyszną miną Michorowski. – One, według mniemania hrabiego, rozszerzając się, mogą nas kiedyś zdruzgotać. Obawy przedwczesne, ale słuszne, bo w kulturze wieków my będziemy się zwężać, oni rozrastać, aż nastąpi kataklizm przypominający potop. Zaleją nas te masy, jeśli nie będziemy mieli Noego, który by dość wcześnie pomyślał o arce. Ale i tu jeszcze w interesie naszym leży uświadamiać masy, szerzyć postęp, zachęcając bodaj w drobnostkach. Przez to zasłużymy na wdzięczność potomków naszych, bo lepiej być zatopionym w czystej bieżącej wodzie niż w brudnej kałuży. Postępując wedle programu hrabiego, nie zyskiwalibyśmy zwolenników, lecz wrogów, co już dla nas najmniej pożądane, nawet niebezpieczne.

Hrabia patrzył zdumiony, z miną pyszałka, który widzi, że jego dzieło toczy robak. Namyślał się nad wyborem stosownej broni do zmiżdżenia zuchwałego przeciwnika.

Giersztorf uśmiechał się, zupełnie zadowolony. Swirko raczył się ostrygami i mówił wywijając palcem:

– Tak, tak! doskonale! człowiek, co tak potrafi mówić, powinien lubić ostrzygi... te pieszczoszki, te figlarki...

– Pozostają zatem dwie alternatywy – rzekł znowu ordynat – albo dopomagać do wzrostu niższym producentom i rządzić sprawiedliwie, albo nie urządzać wcale wystaw.

– Warunek za silny! – wtrącił hrabia Morykoni, podnosząc brwi i pocierając dłoń o dłoń, jakby coś w nich wałkował.

– Połowiczność tu niemożliwa! – zaprzeczył ordynat. – System hrabiego Barskiego doprowadziłby sam przez się do unicestwienia wystaw. Bez wytworów i udziału tych mas nasze wystawy przypominałyby karnawał, na który zjechalibyśmy się z końmi i inwentarzem dla

151

własnego użytku. Zabaw byłoby bez liku, ale nic nadto. A nagrody? Zapewne, sypałyby się. Gdybym wystawił swoje stare palto i zdeptane kalosze, dostałbym złoty medal na pewno. Brochwicz i Trestka zaczęli się śmiać, po czym odezwał się Trestka:

– Podoba mi się ten system. Jeśli tak łatwo można otrzymać złoty medal, może wówczas i ja nie wyszedłbym z kwitkiem.

– Pan masz list pochwalny za oborę.

– Zdaje mi się, że zawdzięczam go głównie łaskawemu ekspertowi.

– Nie, panie! gdybyś nie zasługiwał, nie miałbyś nic. ale że ci się należał list pochwalny, więc go masz. Gdyby mi ofiarowano złoty medal za konie i bydło niesłusznie, wykazałbym to, ale gdyby mi urządzono taką kabałę, jak temu włościaninowi z Lubelskiego, tobym nauczył ekspertów lepszego sądu.

– Ekspertkami pszczelnictwa były panie.  
 – Byli i panowie! Może w tym tkwi cały błąd: flirt przeszkodził sprawiedliwości.  
 – Ostry pan! – rzekł śmiejąc się książę Zaniecki.  
 – Ale bo tak jest! Każdy zrozumie, kto zechce, że o wiele słuszniej należała się wyższa nagroda owemu włościaninowi niż mnie i wielu innym. Ja mam pieniądze, wykształcenie i znajomość najnowszej kultury, mogę działać intensywnie, on zaś tylko własną pracą, oszczędnością i pomysłowością. To różnica! i winna być usprawiedliwiona bez oglądania się na herby, nazwiska i stanowiska.  
 Barski dotknął ręką szyi, jakby w przewidywaniu apopleksji, i rzekł zdumionym szeptem:  
 – I to mówi Michorowski?... magnat?..  
 Hrabia miał minę tak zabawną w swym obrażonym patosie, że Waldemar uśmiechnął się pod wąsem i zapalając cygaro, mruknął do siebie:  
 – Ten sam, tylko na szczęście nie zidiociał razem z tobą.  
 Hrabia milczał, wpity oczyma w ordynata, wreszcie wybuchnął:  
 – To są zdania niesłychane! barbarzyńskie! to bluźnierstwo w ustach arystokraty!... Waldemar zaczął się głośno śmiać. Podniósł ręce do góry i udając wzniosłość hrabiego zawołał:  
 – Hrabio, litości! twe słowa nas czynią barbarzyńcami. W imieniu arystokracji protestuję!  
 Hrabia wstał, uroczysty, ale zdumiony, z rozszerzonymi oczyma.  
 – Co?... jak?... vraiment?<sup>85</sup>..  
 Waldemar śmiał się, nie przestając chodzić. Brochwicz szepnął mu na ucho:  
 – Spójrz! Barskiego napadł magnacki szał. To chwila osłupienia, zaraz się wścieknie. Starszy książę Zaniecki dotknął ramienia Barskiego i rzekł spokojnie:  
 – Zaniechajmy dyskusji! Może kochany hrabia pozwoli wina?  
 I pociągnął zaperzonego magnata do stołu. Na widok pełnych kielichów Barski się uspokoił. Ordynat stanął i spoglądał na niego, po czym z ironicznym wyrazem ust pokiwał głową.  
 – Wszystko się u nas na tym kończy – rzekł z bladym uśmiechem.  
 Kielichy krążyły gęsto. Brochwicz trącił w ramię Michorowskiego i Żnina.  
 – Patrzcie na Wilusia! – szepnął z zabawną miną.  
 Student stał w półotwartych drzwiach, pochylony naprzód, i zjadał oczyma śpiewające Cyganki. Twarz mu zbladła, oczy miał zamglone. Widok pięknych szansonistek pochłaniał go; przypatrywał się z ciekawością nowicjusza i przyparty do drzwi, z wyciągniętą szyją, wyglądał jak kot zaczajony na myszy.  
 Waldemar uśmiechnął się.  
 – Konfiturki, co? Ładny ogródek chwastów! Ale Wiluś nie słyszał.

85 vraiment? (fr.) – naprawdę?

152

Brochwicz cicho podsunął się do chłopca i wypchnął go lekko za próg. Wiluś, oszołomiony, znalazł się na środku sali.  
 Dwie Cyganki cisnęły nań kwiatami, jedna zaczęła tańczyć czardasza. Wiluś miał minę zupełnie ogłupiałą.  
 – Ha! ha! – zaśmiał się basem hrabia Barski.  
 Wtórował mu dystyngowanym dyszkantem Morykoni. Waldemar skrzywił się.  
 – No, Jurek! głupstwa robisz. Do czego to podobne! Brochwicz zanosił się od śmiechu.  
 – Ależ patrzcie tylko na niego: opędza się jak od much. Nie wiedziałem, że z niego taki skowronek.

Trestka wprowadził Wilusia z powrotem do gabinetu. Chłopak był więcej oburzony niż zły, ale patrzył na Brochwicza chmurnie; miał już w głowie kilka kieliszków wina.

– Patrzcie! Trestka w roli niańki! – wołał Brochwicz. – Nic dziwnego, przyszedł szwagier- rek...

– Dajcie mu spokój! Ty, Jurek, jesteś dziś zupełny wariat – mówił Michorowski.

– Ja chciałem tylko wprowadzić średniowiecznego trubadura do lamparciej jaskini, bo mu się widocznie podobała.

– I chybiłeś dzięki interwencji pana Trestki, no i gołęmbim instynktom jego pupila – zaśmiał się Żnin.

– Tak! Trestka bajecznie zna swoje obowiązki – zapewniał Brochwicz. Książę Giersztorf podniósł do góry kielich z szampanem.

– Panowie! toast na cześć dzisiejszych zdobywców nagród, ordynata w pierwszym rzę- dzie!

– Nie można pić: brak panny Rity, która jest również nagrodzona.

– Zdrowie panny Rity! W pańskie ręce! – zawołał Waldemar do Trestki.

– No i za mój list pochwalny wypijcie.

– Ależ koniecznie!

Toasty wznoszono coraz nowe. Na sali muzyka grzmiąca. Dzikie, namiętne tony czar- dasy zakipiały w nerwach. Brochwicz wstał i otworzył drzwi szeroko.

Waldemar chodził po gabinecie z rękoma w kieszeniach, ruchy miał niedbałe, trochę go- rączkowe. Czardasz zaczął wirować po mózgu, wino robiło swoje. Michorowski był trzeź- wy, lecz i na niego uderzały niespokojne prądy z buchającej gwarem sali. Wiał z niej żar jak z huty. Niebieski dymek z cygar unosił się, przesłaniając lekką mgłą światła lamp elektrycz- nych. Do gabinetu wpływał strumień zapachu trunków, zmiętych kwiatów, dusznych perfum. Na sali zaczynały się zabawy. Hałaśliwe śmiechy, szepty, śpiew Cyganek znalazły echo w gabinecie. Kilka głów odwróciło się do sali, kilku panów podeszło do drzwi. Waldemar stanął i patrzył.

– Szkic do bachanalii – mruknął przez zęby.

Czarnowłose wulkaniczne Hiszpanki potrzasały kastanietami, ciskając płomienie z czar- nych jak węgle oczu.

Namiętne tony śpiewu szły po sali, drażniąc nerwy. Przedpiekle to budziło wstręt, ale po- stacie barwnych jak motyle kobiet nęciły pięknnością i plastyką ruchów. Śpiew, muzyka, szmery idące stamtąd, dźwięk kastanietów i mdły zapach rozgorączkowanej sali odurzały. Szare źrenice Michorowskiego zaiskrzyły się, błysnął w nich ogień, czoło pociemniało na- miętą falą. Zagrały mu nozdrza, po twarzy przeleciał prąd jak burza. Stał prosty, dumny, ale gorąca krew grała już w nim, kipiąc jak war. Uczuł silne tętna w żyłach i dziwny ból w skro- niach. Postąpił krok naprzód. Ironia się w nim odezwała, ale prąd idący z sali porywał silniej. Nagle, niby puch jakiś delikatny, niby włókienko błękitnej mgły, przesunęła się przed nim jasna twarzyczka Stefci i jej duże ciemnofioletkowe oczy, pysznie ocienione, migotliwe jak

153

gwiazdy wśród nocy. Wstrząsnął się... widzenie uleciało. Ale teraz już ironia zapanowała wszechwładnie. Twarz jego zmieniła wyraz. Spojrzył na salę obojętnie. odwrócił się i wzru- szył ramionami.

– Zamknij, Jurek, tę budę – rzekł z niechęcią.

– Co znowu? Tak pięknie śpiewają, takie ładne te Cyganki!

Brochwicz marudził, lecz Trestka zatrzasnęła drzwi z miną bardzo zadowoloną.

– Świętoszki! – sarknął chłopak zły i rzucił się na kanapę.

Michorowski powiódł okiem po wszystkich. Świrko drzemał na krześle, trzymając jesz- cze w ręce skorupkę ostrygi. Giersztorf i Żnin mieli miny podniecone, nawet hrabia Morykoni i Barski wpatrzni byli w drzwi w osłupieniu, jakby im kto nagle złoty obraz zamazał sadzą. Książę Zaniecki przyprowadzał do porządku niezbyt przytomnego syna, zakłopotany, spo- tniały.

– Popili się czy co? – mruknął do siebie ordynat.

Jeszcze raz spojrzął na dziwne miny Barskiego i własnego wujaszka i uczył niesmak w ustach.

– Świństwo – rzekł głośno.

Podszedł do kanapy, gdzie rozprawiał Brochwicz z Trestką.

– Jurek! – zawołał ordynat.

Chłopak zerwał się, ale usiadł znowu i z milutkim uśmieszkiem wskazał ordynatowi miejsce przy sobie.

– Na rozkazy... ale pozwól, że nie stanę, bo nie mogę.

– Zwariowałeś, Jurek!

– Jak Boga kocham, nie mogę! W głowie mi się trochę kręci. Mój drogi, jeżeli Świrko może spać, to już mnie choć na zawrót głowy pozwól.

– Jedź do domu.

– Ani myślę! Albo mi tu źle? Opowiem wam zaraz historię, którą sobie właśnie przypomniałem.

– Cóż to za historia? – podchwycił Trestka. Brochwicz rozparł się na kanapie.

– Znaście tego poliszynela? – spytał, kładąc ręce pod głowę i wyciągając nogi.

– Kogo mianowicie?...

– Barona Z.

– Ach! tego, co kupił brylanty aktorce?

– To wy już o tym wiecie?

– Ba! od dawna.

– Od paru dni – poprawił Waldemar – bo się to stało na wystawie. Dobrze jednak, że wśród nas baron Z. nie ma przyjaciół: za tytuł, jaki mu ofiarowałeś, mógłbyś wpaść w kabałę.

– Kto by się tam za nim ujął? Ale jak to uważacie?

– Uważam, że mimo wszystko dobrze go określił – rzekł Waldemar – baron popełnił głupstwo podwójne – raz, że kupił brylanty za bajeczną cenę i nie znając się, przegalopował, a po wtóre – nie było dla kogo.

– Przeciwnie – rzekł Żnin – szykowna facetka i piękna jak odaliska... jak Wenus.

– Wenus w skórze prostej awanturnicy, ogródkowej szansonistki! Słaby gust! – drwił Michorowski.

– Mój drogi! nie każdy może sobie pozwolić na królową – rzekł Brochwicz.

– Cóż to znaczy?

– Nic... to, że baron Z. wolał szansonistkę niż królową.

– Tyś już tego pijany! – powiedział ostro ordynat.

– Bo sami powiedzcie, czego napadacie na biednego barona za to, że mu się podobała taka właśnie, a nie inna? – zalił się płaczliwym głosem Brochwicz.

154

– Sam go przecie nazwałeś poliszynelem.

– Brochwicz jest niepoczytalny – zawyrokował Trestka.

– Owszem, wiem, co mówię: baron swoim czynem...

– Dowiódł stopnia swego umyślowego rozwinięcia – dokończył Waldemar. – On ma rozmiękczenie mózgu, skompromitował kółko arystokracji, z której pochodzi. Przyjechał, porobił znajomości i raz, dwa, trzy – kupił brylanty pierwszej spotkanej baletniczce. Jediną ma zasługę, że będą miały o czym rozprawiać tutejsze dewotki, mocno zgorzone jego cieniem, o którym jednak wiedzą, jak o każdej nowinie... A stanowią one tu osobną, dość liczną kolonię.

– Aaa! – ziewnął szeroko Brochwicz. – Waldy, teraz wszystko krytykujesz. Dawniej by- łaś towarzyszem co się zowie... w Paryżu, pamiętasz? Teraz z ciebie filister.

– Jurek, zaśpiewaj nam co – zaprojektował Trestka.

– Małgorzate, z tobą do chóru. Chcesz?...

– Dajże pokój!

– Śpiewam! – zawołał Brochwicz.

Zerwał się z kanapy, dopadł do fortepianu i uderzył parę silnych akordów. Pan Świrko poruszył głową.

– Tłu... tłuściutkie kochaneczki... milutki – szeptał budząc się.

– Ten się uraczył – rzekł ordynat i klasnął w dłonie.

Wszedł lokaj. Michorowski rzucił mu banknot i kazał sobie podać palto.

– Cóż ty, płacisz? Wychodzisz? A my? – wołał zdziwiony Brochwicz.

– Paradny jesteś, Jurek! Dobranoc panom.

– Ja idę z ordynatem – rzekł młody Giersztorf.

– I ja także! i ja! – zawołało kilka głosów.

– No to i ja z wami! Czas rzucić tę budę! – krzyknął Brochwicz. Trestka podniósł się także, pociągając za sobą zaspanego Wilusia. Po chwili gabinet opustoszał.

Kiedy przechodzili przez salę, jedna z Hiszpanek zastąpiła drogę Michorowskiemu i uderzając w kastaniety, zagrała mu przed oczyma ogniem czarnych źrenic.

Ordynat odsunął się szorstko.

– Idź precz! – cisnął przez zęby i krzyknął do lokaja: – Otwieraj drzwi i pilnuj porządku! Na ulicy stały landa i karety. W najętych stangreci prawie wszyscy spali, kiwając się na koźle. Ale Brunon z Głębowicz czuwał. Waldemar pożegnał obecnych i rzucił się zdenerwowany na poduszki landa. Obok niego usiadł Brochwicz.

Gdy konie ruszyły, po długim milczeniu odezwał się pierwszy Brochwicz.

– Tyś się bajecznie zmienił, Waldy.

– Zmieniłem się – jak echo odparł ordynat.

## XXVIII

Nazajutrz pani Idalia ze Stefcią i Lucią powracały z wystawy landem Waldemara. On sam siedział na przedzie, obok Luci. Gdy wysiedli w hotelu szwajcar podał Stefci zaadresowaną kopertę. Na widok jej dziewczyna krzyknęła radośnie:

– Od ojca!

Rozpieczętowała list, przebiegając go szybko oczyma.

– Ojciec mój jest w Hotelu Europejskim... Był tu, ale że mnie nie zastał... – zająknęła się i spojrzała błagalnie na panią Idalię. – Pani mi pozwoli pojechać do ojca?

– Owszem, ale na noc pani wróci?

– O tak!

– Spodziewam się, że ojciec pani nas odwiedzi...

– Mój powóz zawiezie panią na miejsce – rzekł Waldemar.

– Dziękuję panu! pojedę dorożką.

Stefcia pożegnała pana Macieja i Lucię.

– Czy stanowczo nie chce pani jechać mymi końmi? – zapytał Waldemar.

– Stanowczo! Wolę dorożkę – odpowiedziała z uśmiechem.

– Bardzo taktowna dziewczyna – rzekła baronowa do ojca po wyjściu Stefci. – Ale Wal- dy czasem galopuje się.

– Jemu wypadło zaproponować, a jej odmówić. Są siebie warci – odrzekł pan Maciej.

Waldemar odprowadził Stefcię do dorożki.

– Panno Stefanio, co się z panią dzieje? – zapytał patrząc na jej gorące rumieńce i pod- niecenie.

– Jadę na spotkanie ojca – odparła.

– Dobrze, ale ja już od kilku dni nie poznaję pani. Wystawa dziwnie na panią działa. Stefcia przygryzła usta.

– Źle czy dobrze?

– Przede wszystkim odmiennie: Pani się czymś kłopotuje. jakiś niepokój panią dręczy...

Podniosła na niego zdumione oczy.

– Więc przeczułem? Tak? Jakiś niepokój?...

Nic nie odpowiedziawszy, szybko zbiegła ze schodów. Ściskając jej rękę na pożegnanie, szepnął serdecznie:

– Proszę być wesołą i... ufać mi.

– W czym? – zapytała dumnie.

Waldemar zmarszczył brwi. iskry zamigotały w jego oczach.

– Pani wie, tylko pani nie chce zrozumieć – rzekł z przyciskiem.

Stefcia odetchnęła w dorożce. On odgadł, zrozumiał to. czego się bała najwięcej, co już w niej istniało, a co chciała ukrywać nawet przed sobą.

## 156

Ogarniało ją uczucie szczęścia, jakby błądziła wśród łąki, pełnej kwiecica. woni, słońca i błękitów. Wiedząc, że błądzi, nie szukała jednak innych dróg. Zaczarowany ogród kwitł przed nią. pachniał, pociągał i była pod jego urokiem. Z zamkniętymi oczyma, w upojeniu słuchała cudnej nuty, nie myśląc o całości harmonii, nie przewidując rozdźwięków. Dawniej lubiła życie, teraz kochała je. Rozwinęła się jak biały kwiat pod wpływem słońca, ciepło jego promieni wchłaniając w siebie. Często wstrząsał nią dreszcz, jakby wśród tej złotej pogody wio- nął na nią nagle nieprzyjazny prąd, dotknął i zniknął, a złote promienie ogrzewały, błękit cza- rował. Oczy dziewczyny nabrały dziwnego blasku, stały się wymowne aż do zbytniej szcze- rości.

Cała postać odzwierciedlała wewnętrzny stan duszy. Usta gorzały żywym koralem, jakieś namiętne drgania nieświadomie błędziły po nich, potęgując ich czar. Miała w sobie pewien niepokój, aby nie być odczuta, i te obawy w połączeniu z rozpromienieniem oczu nadawały jej wygląd podniecony i śliczny.

– Stefcia! – wykrzyknął radośnie pan Rudecki, zrywając się na widok wchodzącej córki.

– Ojczuś!...

Po długich powitaniach Stefcia wypytywała ojca o matkę, młodsze rodzeństwo, dom i sąsiadów. Pan Rudecki przyglądał się jej z uradowaniem, ale badawczo. Wreszcie rzekł:

– A jakże tam tobie, dziewczusko? Listy pisujesz wesołe. Dobrze ci? Stefcia zarzuciła ręce na szyję ojca, kryjąc twarz.

– Bardzo mi dobrze, ojczusiu! Lucia miła dziewczynka, kochamy się z sobą.

– No, a pani Elozonowska? A ten wasz ukochany dziadek, którym się tak zachwycasz... Jakże on się nazywa? Zawsze zapominam.

– Pan Maciej.

– Aha! pan Maciej Michorowski... Więc on cię tak lubi?

– O, dziadzio najlepszy! ale i wszyscy oni nie tacy, za jakich często ich biorą.

– Bo prawdziwa arystokracja.

– Tak! to są magnaci pod każdym względem – zawołała Stefcia z zapalem. Pan Rudecki odsunął się trochę i z uśmiechem spoglądał na córkę.

– Patrzcie! jaka zawojowana! Czarodzieje jacyś ci państwo. Ale niech im Bóg szczęści, że się na tobie poznali. Wyglądasz ślicznie, jeszcze wyładniałaś. Zachwyciałem się tobą na wyścigu hipicznym.

– Jak to! ojczuś już wtedy był?!...

– Byłem! Przyjechałem wczoraj rano, ale mając pilne interesa, w żaden sposób nie mogłem się z tobą wcześniej zobaczyć, a do tej loży, gdzie siedziałaś, nie chciałem iść. Witałem cię z daleka, ale nie dostrzegłaś mię w tłumie.

– A gdzie ojczuś siedział?

– Ja przechodziłem tylko przez plac wystawowy, siadać nie miałem czasu. Zatrzymałem się dopiero ujrawszy ciebie. Byłaś bardzo zajęta wyścigiem.

Stefcia zaróżowiła się mocno.

– Trafiłem właśnie na punkt kulminacyjny: biegały konie z majątków ordynata. Ładne ma widać stajnie! A na tym pięknym arabie podobno jeździł sam ordynat.

– A tak, pan Waldemar na Apollu.

– O! dzielny koń, ale i dzielny jeździec. Czy on często bywa w Słodkowcach?

– Dosyć.

Pan Rudecki trochę się zamyślił. Stefcia pochyliła głowę, zakłopotana i nagle oniesmielona. Ojciec nieznacznie spojrział na nią kilka razy. Następnie zapytał:

– Powiedz mi, dziecko: jak to było z Edmundem Prątnickim? W listach niewiele o tym pisałaś.

– Ach, ojczusiu! to takie przykre! Po co wspominać?

– Jednak jak to było?

157

Stefcia opowiedziała pokrótce. Mówiąc, mimo woli zapalała się. Pan Rudecki nie spuszczał z niej oczu.

– Więc głównie ordynat przyczynił się do uwolnienia ciebie od obecności tego błazna?...

– Tak, ponieważ nie odpowiadał jego wymaganiom.

Pan Rudecki uśmiechnął się; argument Stefcii nie trafił mu do przekonania. Nurtowała w nim uparta myśl, czy Prątnicki okazałby się niegodnym Michorowskiemu, gdyby Stefcia nie była w to zamieszana, i miał co do tego pewne wątpliwości. Niemniej musiał być wdzięczny ordynatowi.

Spacerował po pokoju szybkim krokiem, rozmawiając z córką o rzeczach zwykłych, ale ciągle przyglądał jej się z uwagą. Stefcie drażnił uporczywy wzrok ojca. Wyraz jego twarzy zastanowił ją, odbierając swobodę. Wkradło się pomiędzy nich przykre uczucie. Wreszcie pan Rudecki przerwał swą przechadzkę i siadając obok córki, wziął jej rękę. Zaczął mówić powoli:

– Stefcu, czy wiesz, jakie ja mam polecenie od mamy względem ciebie?...

– Polecenie od mamy? Jakie? – spytała.

– Żeby cię już zabrać do domu. Tęskno nam bez ciebie, dziecko.

Stefcia znieruchomiała, ognie załaty jej twarz, po czym przybladła nagle. Usta jej otworzyły się jakby do krzyku. Szeroko otwarte źrenice utkwiła w twarzy ojca niemal z przerażeniem.

– Ja... do domu?... Ojczusiu!...

– Przyjechałem po ciebie – powtórzył pan Rudecki.

Dziewczyna spuściła głowę. Oczy jej patrzyły na ojca zdumione, wylękłe, aż zakryły się powiekami. Na zbladła nagle twarz padły sinawe cienie od rzęs niezmiernie długich.

– To niemożliwe! – wyjąknęła.

– Dlaczego?...

– Bo... z panią Elzonowską jest umowa... na rok. Nie można jej łamać... Ja... dałam słowo.

– Wierzę, że ona chciałaby cię mieć jeszcze dłużej, ale i nam się coś należy. Stefcia gwałtownym ruchem przytuliła się do ojca.

– Ja wiem, ja wiem, ale, ojczusiu, to niemożliwe! Co oni by pomyśleli?... Nie, nie, tak nie można. Ojczusiu! przecie ja was bardzo kocham, po dawnemu, ale... wracać teraz?... niepodobna!... trzeba dobrać do końca.

Mówiła gorączkowo, odrywając się od piersi ojca i patrząc mu w oczy z błaganiem. Pan Rudecki tulił ją do siebie, ale twarz jego oblekła się wielkim niepokojem, podejrzenia nabierały pozorów prawdy.

– Biedna mama zmartwi się bardzo, ona cię tak serdecznie kocha – rzekł z nie tajonym smutkiem.

Stefcia zerwała się. Twarz miała w ogniu, oczy pałające, zaszklone łzami. Zrobiła rękoma ruch, jakby się chciała chwycić za głowę rozpaczliwie. Zaciśnęła usta nerwowo. Pan Rudecki patrzył na nią z podziwem.

– Dziecko, co tobie?...

– Nic, ojczusiu, nic!... tylko chciałam powiedzieć, że jeśli to dla was... konieczne, to ja powrócę, ale...

– Stefcu!...

Rudecki chwycił ją w ramiona.

– Dziecko moje! kochane, dobre... ja żartowałem. Zostaniesz na miejscu... nie można zrywać umowy, masz słuszność, daliśmy słowo. Chciałem tylko zobaczyć, czy...

Zająkał się.

– Czy kochasz nas zawsze.

– Ojczusiu! tyś wąpił? – krzyknęła z oczyma pełnymi łez.

158

Ale w jej wykrzykniku brzmiało już trochę tryumfalnej nuty.

Zaczęła ojca z pieśczołą ścisnąć za szyję, całować w twarz, w oczy, tulić się do niego z widoczną wdzięcznością, nie umiając ukryć rozradowania. Poczuła żal do ojca, że go wywołała. Serce jej zabiło obawą, że mu sprawiła wielką przykrość, serdecznością chciała zagłuszyć niemiłą chwilę.

Ale pan Rudecki, jakkolwiek odgadł wiele, udawał, że nie widział nic.



Po długich rozczuleniach Stefcia wpadła w doskonały humor, dokazując po dawnemu. Opowiedziała kilka wesołych zdarzeń z teraźniejszego życia, mówiła o wycieczce do Głębowicz, o dowcipach Trestki, śmiała się, żartowała, aż i pan Rudecki rozruszał się. Ale patrząc na nią, gdy mówiła o arystokracji, myślał w duszy z niepokojem:

– Zasmakowała w nich, ten świat ją porywa... Dziwni ludzie, że umieją tak wpływać... Czy ludzie, czy jeden człowiek?...

## XXIX

Przez dwa dni Stefcia prawie ciągle przebywała z ojcem. Razem chodzili, razem jadali obiady. Wieczorem Stefcia wracała do hotelu, wpadając-w objęcia Luci, która kwaśna i bez humoru, żaliła się na nudy.

– Już ja bez ciebie nie mogę, tak mi tęskno!

Lucia nazywała już Stefcię po imieniu. Węzły przyjaźni między nauczycielką i uczennicą w ostatnich czasach mocno się zacieśniły.

Pewnego dnia pan Rudecki złożył wizytę pani Elzonowskiej i panu Maciejowi. Podobał się bardzo. Umiał zachować odpowiednią powagę przy wielkiej grzeczności i pewnego rodzaju uwagi. Był elegancki, obyty w wyższym towarzystwie i miał pewność siebie zupełnie w dobrym guście. Zrobił korzystne wrażenie. Pani Idalia znalazła go „jeszcze lepiej” niż przy pierwszym widzeniu w Warszawie i przyjmowała nadzwyczaj uprzejmie. Pan Maciej dojrzał w nim wiele sympatycznych stron, a trzeźwy, wesoły umysł obywatela podzielał na staruszkę jak najlepiej. Pan Rudecki jeszcze się za kimś oglądał, lecz Waldemara nie było podczas tej wizyty. Ale pan Maciej, jakby odgadując myśli swego gościa, razem z panią Elzonowską zaprosił go na drugi dzień na obiad.

– Będzie zebrane nasze kółko najbliższe i mój wnuk. Chciałbym, aby go pan poznał. Stefcię uradowało powodzenie ojca.

Obiad nie zachwiał, przeciwnie – wzmocnił wrażenie.

Oprócz miejscowych osób był Waldemar, księżna, panna Rita z bratem i nieodzowny Trestka.

Pan Rudecki wyszedł z próby zwycięsko. Przy stole nie obniżył swej opinii żadnym szczegółem, nawet wobec argusowych oczek pani Idalii. Z Waldemarem przywitani się typowo, z niezupełnie ukrytym zaciekawieniem i wielką dozą wzajemnych grzeczności w dobrym stylu. Tylko pani Idalia zmarszczyła się na Waldemara za jego powitalny ukłon: z większym szacunkiem nie kłaniał się żadnemu ze starszych panów własnej sfery, a niektórym ze znacznie mniejszym. Pan Rudecki przez wszystkich był mile przyjęty, nawet Trestka, przekonany do Stefci, powitał go bez fanfaronady.

Wykwintne towarzystwo i dobra rozmowa rozbudziły w panu Rudeckim światowca. Zaczynał lepiej pojmować córkę, zrozumiał, że ta sfera ma w sobie jakiś magnes, mimo woli pociągający natury estetyczne; że poza tym, co by się o nich dało powiedzieć, nęcą wzrok jak drogie kamienie.

Z ordynatem pan Rudecki rozmawiał dużo o koniach, wyścigach, trochę o uniwersytetach w Bonn i w Halli, wreszcie o wystawie. Ordynat umiał kierować rozmową. Prowadzono ją ogólnie i z ożywieniem. Czasem okraszał ją dowcipem dobrego gatunku, czasem odrobiną ironii, mającej wyłączny styl.

Niekiedy Trestka wyręczał ordynata w dowcipach, ale on miał humor inny, więc w klasyczny nastrój wplatał nieco burszowską nutę, która jednak nie psuła całości.

Szlachcic-obywatel wśród magnatów nie raził, zyskiwał sobie ich sympatię i nie miał wyglądu intruza.

Jego natomiast zaciekawiał najbardziej Waldemar. Młody ordynat imponował mu i przyciągał go zarazem. Rudecki był pod wrażeniem jego wielkopańskiej postaci, szlachetnej i ujmującej w obejściu. Ale przestraszał go ze względu na córkę. Lękał się o nią, bo towarzy-

stwo świetnego magnata uważał za niebezpieczne dla Stefci. Czuł, że niemożliwym byłoby, aby dziewczyna pozostała obojętna, aby jej nie porwał dziwny urok otaczający ordynata. Sam łatwo zauważył skłonność Waldemara do Stefci, niby nieznaczną, ale dość silną, aby upoić ją czarem. Stary obywatel zastanowił się, przypomniał sobie rozmowę ze Stefcią w hotelu i teraz widząc ją rozpromienioną jak nigdy, myślał z goryczą w duszy:

160

– Ona już jest w upojeniu, już jest pod jego urokiem.

Po czym straszna myśl przeszła mu mózg, bo nagle przybladł i spojrzął na ordynata prawie z nienawiścią. Wzrok jego miał w sobie grozę.

– Czy ty staniesz się niedolą jej życia? – pomyślał.

## XXX

Na raut do hrabiego Mortęskiego ordynat przyjechał późno. Obaj z Brochwiczem namawiali panią Idalię, aby jechała również, lecz baronowa uparła się: była trochę niezdrowa. Księżna Franciszka chciała matkować pannom, ale i Stefcia odmówiła; zostały w hotelu. Waldemar, zły, wzruszał ramionami. Brochwicz machnął ręką i rzekł z komiczną miną:

– Baby się rozkaprysiły. Jedźmy sami.

W pałacu hrabiego, począwszy od przedsionka, zaczęto napastować ordynata. Wszedł do sali otoczony frakami panów, po czym znalazł w barwnym tłumie strojów kobiecych. Bawił się bez zwykłego humoru, ale nie przestał być głównym pulsem zebrania. Książę Giersztorf rozpytywał ordynata o filantropijną działalność Towarzystwa. Prezes Mortęski zarzucał mu zbytnią krańcowość w przeprowadzaniu reform w Głębowiczach.

– Pan sieje kulturę zbyt obficie – mówił stary hrabia, trzęsąc siwymi kłaczkami włosów.

– Tego nigdy za wiele! – bronił się ordynat. – Zresztą niech Głębowicze będą rozsadnym kiem idei kulturalnej na szerszy okrąg.

Hrabia złościł się. Giersztorf pytał o program dalszych działań.

– Dlaczego pan Towarzystwa nie popycha silniej? Wy tu zaczynacie spać. Ordynat śmiał się ubawiony.

– Ależ, książę! ja nie jestem premierem w instytucji.

– A inicjatywa? inicjatywa?...

– Daję ją.

Mortęski pokiwał palcami.

– Wybujają! wybujają!... za górna.

– Nic to, panie prezesie, polecim! mamy siłę – drażnił się Waldemar.

Hrabia i książę nie dawali spokoju ordynatowi, aż uwolnił go od nich Brochwicz.

– Zabieram Michorowskiego z tej sesji na inną, mianowicie do dam – rzekł energicznie.

– Niewiele on o nie dba! – odparł Giersztorf.  
– Ale one o niego dbają. Tam jest zawsze premierem.  
– Dokończymy rozmowę potem – powiedział wesoło Waldemar. Odchodząc, Brochwicz szepnął mu na ucho:  
– Obaj ci starszankowie niewiele już wskórają u pań, dlatego nudzą innych. Ale, ale! spotkasz znajomą.  
– Ja?... Kogo?..  
– Zobaczysz!... Błękitne niebo Italii, Corso rzymskie, ba! nawet ogrody Florencji, Ateny, Korfu... – deklamował Brochwicz.  
– Co ty pleciesz?..  
Brochwicz znikł. Waldemar zdziwiony poszedł dalej. W jakimś gabinecie przysunęła się do niego z wyciągniętym nagim ramieniem wysoka szatynka.  
Spojrzał badawczo i drgnął.  
– Wera?!  
– Tak, to ja. Pan mię poznał?  
– Co pani tu robi?..  
– Jestem przejazdem z mężem. Wstąpiłam na raut do hrabiego. Jedziemy do Petersburga.  
Waldemar patrzył na nią z niechęcią i ciekawością. Lekka łuna przemknęła mu przez twarz.  
Margrabina schwyciła go za rękę, piwne powłóczyście źrenice, zmysłowe i gorące, przysunęła do jego oczu. Z wąskich ust wypadły namiętne słowa:  
– Mój zawsze! Kocham cię!..  
Odstąpił krok w tył, usta mu zdrząły irytacją.

162

– Wero! nie jesteśmy w Palazzo Silva. Zastanów się!  
– Zapomniałeś o mnie? Zapomniałeś!... Gniew błysnął mu w oczach.  
– Margrabino, proszę się uspokoić – rzekł z naciskiem.  
Wyprostowała się dumnie, zimne spojrzenie przesunęła po jego postaci.  
– Ja jestem spokojna, tylko chcę panu coś powiedzieć. Więcej się w tym czasie nie zobaczymy: jutro jadę.  
– Słucham – rzekł oschle.  
Wsunęła rękę pod jego ramię i weszła z nim do narożnego gabinetu, zamykając drzwi. Ordynat patrzył na nią spod rzęs. Ironiczny uśmieszek drgał mu na ustach, oczy zaświeciły humorem. Margrabina stanęła tuż przy nim dotykając go piersią. Obnażone, pachnące ramiona gwałtownie zarzuciła mu na szyję, wargi wpiła w jego usta, szepcząc:  
– Kocham cię zawsze, pragnę cię! Przyjeżdżaj do Rzymu, jestem twoja... twoja... bierz mię!..  
Odsunął ją od siebie trochę szorstko.  
– Wero, nie przypominaj minionych dni. One już są poza terażniejszością.  
– Zaśniedziałeś w tym kraju. Przyjeżdżaj do Palazzo Silva, tam u nas, pamiętasz?... paliowy buduar...  
Ogarniała go coraz mocniej ramionami, cisnęła się do niego z palącą siłą pożądania, twarz mu zalewając ognistym oddechem.  
– Wero, to już cztery lata; powinnaś zapomnieć o mnie i o paliowym buduarze – rzekł znudzony.  
– A ty zapomniałeś?..  
– Prawie.  
– Więc niech ci się przypomni! Patrz, czym nie ta sama? Kocham cię jednakowo, pragnę ciebie i marzę o tobie. Patrz!..  
Odchyliła głowę i mrużąc podłużne oczy, zalotnie błysnęła ustami, ukazując szereg białych zębów.

– Strojna jesteś – rzekł ordynat. – Jakże się miewa książę Tolledo? Margrabina zeszywniała, usta jej zwarły się.

– Po co o niego pytasz?...

– Przypomniał mi się paliowy buduar... Wspomnienia stamtąd i do niego należą.

Wera oderwała ramiona od jego szyi i odeszła parę kroków. Waldemar najspokojniej otworzył cygarniczkę i stojąc obok wysmukłej lampy, przyćmionej czerwonym jedwabiem, spytał żartobliwie:

– Pozwolisz zapalić?

– Proszę – rzuciła gniewnie.

Zapalając, ordynat patrzył na nią, jak odwrócona białymi plecami do niego rwała chus- teczkę koronkową w zębach. Piękna była i wspaniale zbudowana. Michorowski uprzytomnił sobie chwile spędzone z tą kobietą w zabytkowym pudełku paliowego buduaru i wzdrygnął się, nie z rozkoszy, lecz z dziwnego wstrętu. Usiadł na niskim foteliku, założył swobodnie nogę na nogę i puszczając kłąb dymu spytał znowu:

– Czy wywiad już skończony?

Wera żywo podbiegła, ale zatrzymała się, spuściła głowę i rwąc chustkę patrzyła mu w oczy spod zsuniętych brwi. Jej postać gięła się kokieteryjnie, rozchylone usta drżały.

Ordynat badał ją wzrokiem. Nareszcie rzekł, strzepując popiół cygara:

– Widzę, że oduczyłaś się tupać nóżką. A wiesz, że do tej pozy to było odpowiednie. Te- raz zanadto wyglądasz po pensjonarsku.

Wera upadła na otomanę obok lampy, ręce podłożyła pod głowę i zaczęła się cicho śmiać. Ciężka materia sukni spłynęła na dywan, odsłaniając wytwornie przybrane stopy, złożone z wdziękiem. Pierś margrabiny falowała gorączkowo, po ciele jej przelatywały płomie-

163

nie. Gibkim ruchem odwróciła do ordynata głowę i biust i świecąc zębami, śmiała się ciągle. Oczy jej ciskały kolące ognie.

Ordynat spytał:

– Co cię tak bawi?!

– Ha! ha! twoja obojętność!

– Nie wierzysz w nią?...

– Ach! nie jestem dzieckiem, wiem, żeś ostygł, boś mię nie widział cztery lata. Wy, męż- czyźni, zawsze jednakowi: wam trzeba nieustannej podniety.

– Hm! za to wasza wierność dorównywa naszej zdradzie, co?...

– Jesteś zazdrosny o Tolleda?

– Nie. Zresztą obecnie powracasz do mnie, wybaczam więc mu jego winy.

– Jesteś zbyt pewny siebie! Skąd wiesz, że powracam?

– Mam cię przecież, dajesz mi nadzieję dość niedwuznacznie.

– Musiałabym wpieryw poznać dokładnie listę mych współzawodniczek. Ile ich było po mnie?...

– Prawdopodobnie tyle, co przed tobą, ale z pewnością mniej niż moich następców w tej kronice buduarowej – rzekł cynicznie.

Margrabina przeciągnęła się rozkosznie. Prężąc ramiona, mówiła rozwlekłym głosem:

– Jesteś zawsze wspaniały, tylko palisz jakieś zatrute cygaro i ono cię czyni odmiennym niż w Rzymie. Ale ja to rozumiem: ten kraj ochładza. Tu nie ma prawdziwie pięknych kobiet. Chociaż i tu miałeś szanse kolosalne. Znam te północne rywalki. Musiały cię znudzić?

– Zapewne – odrzekł obojętnie.

Wera przegięła się bliżej ordynata, poruszając miękko ciałem jak zaspana tygryska; ręką uderzała niecierpliwie po adamaszkowej poduszce otomany.

– Jedź na zimę do Rzymu, sułtanie mój! Mówiłam, że cię kocham. Pojedziesz?... Ordynat wyduł usta z lekceważeniem. W źrenicach igrał mu szatański śmiech.

– Po co?... Gdybym chciał pobić Tolleda i odnowić wspomnienia z paliowego buduaru, to...

Pochylił się i z łobuzerskim uśmieszkiem popatrzył w oczy margrabiny. Ona przymknęła powieki oddychając szybko. Stopy jej drżały.

– Jestem twoja – szepnęła.

– A widzisz! Północ cię nie zmroziła.

Michorowskiemu zmysły wypełzły na usta. Oczy mrużyły się satyrycznie, ale nozdrza zaczęły wachlować prędkim tempem. Nie poruszył się. Patrzył na leżącą okrągłą figurę Wery, na wypukłą jej pierś i różowe ciało; burzyła mu się trochę krew. Posiadał tę kobietę, dziś ona jest znowu taka sama, oddana mu, zalotna. Tylko chłód jakiś owiewał go teraz mimo we- wnętrzej gorączki.

Margrabina położyła rękę na jego kolanach i zaczęła szeptać:

– Lwie mój! Pamiętasz?... tak cię nazywałam. Mon lion<sup>86</sup>. Oparła się drugą ręką na nim, wisząc półciałem w powietrzu.

– Rzuć tę wstrętną lodowatość! to mię podnieca. Ale już dosyć! – syknęła przez namięt- nie zaciśnięte wargi.

Po czym rzuciła się w tył jak wąż, wołając z wybuchem:

– Nie patrz tak na mnie! tyle masz drażniącej ironii!... Przybyło ci stali w oczach, wyglą- dasz jak lew nad ofiarą. Pyszny jesteś, ale straszny!...

Ordynat zaśmiał się. Wzgarda tryskała z jego głosu.

– Uwalniam cię, Wero, od swych szponów, ha! ha! ha!

## 86 Mon lion (fr.) – Mój lwie

164

Głos jego brzmiał dziko.

Margrabina wyciągnęła głowę z ciekawością i błyskiem w oczach. Rzekła ciszej, niespo- kojnie:

– Ciebie ktoś trzyma... Powiedz, kto jest... nową sułtanką?... ona istnieje, czuję to.

Ordynat zgniótł cygaro. Miał już dosyć. Wstał i podszedł do niej, oczy jego piekły żarem. Były istotnie straszne. Usta, wykrzywione ironią, przerażały.

– Wero! – zawołał porywczo.

Margrabina podniosła się, wyciągnęła ramiona. Brylanty na palcach błysnęły obfitą za- wieją kolorów. Waldemar porwał jej ręce w kostkach i zdusił wściekle. Ona opadła na hafto- waną poduszkę otomany, mdlejącym głosem szepcząc:

– Teraz niech nas pokryje mgła...

Waldemar pochylił się i rzekł już spokojnie:

– Tylko panią: Ja odchodzę. Proszę się dobrze bawić w Petersburgu. Puścił ją i odstąpił.

Wera zerwała się i usiadła. Twarz jej zaszła purpurą.

– Odchodzisz?!

– Tak. Wypaliłem cygaro.

Uklonił się i wyszedł z cichym, ironicznym śmiechem. W sali zapytał go młody hrabia Mortęski:

– Gdzie moja kuzynka, ordynacie?

– Margrabina Silva jest w czerwonym gabinecie. Mortęski mrugnął filuternie.

– Piękna zawsze, prawda?...

– Za wiele szminki: to psuje najklasyczniejsze linie – odrzekł Waldemar z grymasem.

– Cóż pan chce? Czterdziestka!

Ordynat odszedł. Młody hrabia lisim krokiem podążył w stronę gabinetu.

## XXXI

– Więc ojczuś stanowczo nie będzie na koncercie i na balu? – spytała Stefcia pana Rudeckiego w dzień wielkiej zabawy.

– Nie, dziecko! Jadę do domu jutro, a mam jeszcze bardzo wiele interesów. Stefcia nadąsała się.

– Ej! Tak liczyłam na to. Wolałabym być z ojczusiem. Na balu będzie dużo osób nie znanych mi zupełnie i przeważnie z arystokracji.

– Będą również i obywatele z okolicy, no i główniejsi wystawcy. To przecie bal publiczny na jakiś cel, znajdą się na nim i mniej karmazynowi. Czy bal odbędzie się bezpośrednio po koncercie?

– Tak, i w tej samej sali. My nawet na koncercie nie będziemy. Przyjeżdżamy wprost na bal.

Pan Rudecki pożegnał się z córką do następnego dnia. Chociaż jednak zapowiadał, że na balu nie będzie, wybierał się nań w rzeczywistości, ale jako widz z galerii. Chciał zobaczyć Stefanię w otoczeniu, któremu niezbyt ufał, aby się jej przypatrzeć z daleka, nie będąc widzianym.



Dość wcześnie przyszedł na koncert do sali wielkiego hotelu, znalazł dobre miejsce w krzesłach i równie dobre na galerii. Wśród publiki siedziało wiele pań ubranych po balowe- mu, lecz z arystokracji nie było nikogo.

Koncert nie zachwyił pana Rudeckiego, ponieważ znał się na muzyce, a grymasił w śpiewie. Ale urządzenie estrady podobało mu się. Był tam brzoźowy lasek, naturalny, wysłany mchem. Pomiędzy drzewami stały krzesła i pulpity dla muzykantów. Zasiadła na nich grupa artystów niemiejskowych, jedynie na czas wystawy przybyłych tu z wielkiej stolicy. Pan Rudecki doznał zawodu: sławna orkiestra nie zachwyiła go.

– Tylko tyle, że huczą, ale, dalibóg, gdzie tu melodia? Śpiew i śpiewaczka porwały go jeszcze mniej.

Na estradę weszła młoda panna, dobrej tuszy, w białej wygorsowanej sukni. Obnażone ramiona wyglądały mocno różowo, bez żadnych subtelniejszych odcieni. Na piramidce tych różowości piętrzyła się czarna głowa, jak nastroszona czapka angorska. Czarne małe oczki świeciły jak ćwieki wbite w bardzo kolorowe tapety.

Wyszła podtrzymując suknię i złożywszy parę ociężałych, niemiłosiernie wdzięcznych ukłonów, stanęła mnąc w ręku zeszyt z nutami. Po czym zaczęła śpiewać z wzniesioną do góry głową.

Pan Rudecki patrząc na nią doznawał pewnych obaw. Najpierw zdawało mu się, że de- biutantka nie przetrwa tej próby, bo kolor jej biustu nabierał coraz więcej makowej barwy. Przy tym tak się widocznie dławiała, że niektórzy ze słuchaczy sięgali do własnych kołnierzyków w przekonaniu, że są za ciasne.

Nagle do uszu ojca Stefci przysunął twarz jakiś młodzieniec siedzący obok, ale rzekł wcale nie szeptem, wskazując oczyma pełne ramiona debutantki:

– Panie, czy to ręce, czy łydki? bo nie mogę rozpoznać.

I nie czekając na objaśnienie, bardzo kontent z siebie i swego dowcipu, zaczął go szerzyć w inną stronę sali.

Gdy nareszcie piskliwe dławienie umilkło, wszyscy odetchnęli, jakby zwalając ciężar z piersi.

To poprzedziło oklaski, których jednak nie skąpiono. Kilka wdzięcznych ukłonów – i debutantka wolno pomiędzy brzoźami zaczęła się oddalać, świecąc z daleka bielą sukni i rumianym karczkiem, wyciętym w kwadrat.

– Co ona będzie teraz robiła? – zapytał dowcipny młodzieniec, nie zwracając się wyłącz- nie do niego.

166

– Zapewne weźmie zimną kąpiel – odpowiedział jakiś głos z następnego rzędu krzesel.

W czasie ostatniej przerwy wiele osób wyszło na korytarz i marmurowe schody, wiodące z kontramarkarni. Zaczynał się już tam charakterystyczny ruch przed balem w hotelu. Biegali lokaje, z cukierni wynoszono torty i piramidy cukrów na podstawach kryształowych. Wnosili kosze kwiatów do ubrania sali. Pan Rudecki, oparty o poręcz schodów, przyglądał się ciekawie.

Ten wstęp do balu miał w sobie wiele znamienności. Cechował go przede wszystkim gorączkowy ruch służby, uwijającej się z gorliwością niemal podniosłą. Rudecki pomyślał, że zawsze tak samo niższe klasy pracują dla umilenia zabawy klas wyższych, uprzywilejowanych. I chociaż są płatne, jednak często robią to jakby z dumą, że ich do tego użyto. Rozmyślenia jego przerwał głuchy turkot karety u podjazdu. Kilku lokai rzuciło się do drzwi. W kontramarkarni zrobił się większy ruch.

– Zaczynają się zjeżdżać, trzeba iść na stanowisko – pomyślał pan Rudecki.

Lecz spojrział jeszcze na dół. Weszło dwóch panów; rozmawiali ze sobą głośno, pozby- wając się pałt za pomocą służących.

– Czy te wycia nie skończone? – rzekł jeden z nich, młody, cienki i łysy już. Lokaj zgiął się w ukłonie z przymilającym się służbowym uśmiechem.

– A nie jeszcze, proszę jaśnie wielmożnego hrabiego, choć to już czas...

– Nie do ciebie mówię fagasio – syknął jaśnie wielmożny. Lokaj znowu ukłonił się.

– Arystokracja! – szepnął do siebie pan Rudecki.

Dwaj panowie stali przed lustrem, sprawdzając fryzjerską robotę na głowie, sztywną białość wielkich plastronów bielizny i znudzone-kapryśny wyraz zwiędłych ust, po czym wolno, miarowym krokiem wchodzili na schody i przymrużając oczy spoglądali z góry na stojącego obywatela.

– To ktoś z koncertowej tłuszczy – rzekł do towarzysza łysy hrabia.

Pan Rudecki słów tych nie słyszał, zobaczył natomiast coś lepszego. Lokaj, który dotąd stał w postawie wyczekującego, gdy panowie znikli za drzwiami, zwrócił się gwałtownie w ich stronę i pokazał język... ale panu Rudeckiemu. Spostrzegłszy omyłkę, spieszenie się cofnął do kontramarkarni, zupełnie skonfundowany.

Pan Rudecki, ubawiony tą sceną, poszedł prosto na galerię. Z miejsca swego widział oszklone drzwi wchodowe, schody i część górnego korytarza. Ostatni numer koncertu nie zajmował go wcale, jak i przeważną liczbę osób siedzących bliżej drzwi.

Coraz ktoś nowy przyjeżdżał, ruch wzmógł się. Ojciec Stefci siedząc obok filaru, widział wszystko, sam w razie koniecznym mógł, przechyliwszy się za filar, być z dołu niewidzialnym. Dotychczas zjawiali się tylko nieznajomi panowie. Jeden z nich zatrzymał na sobie dłużej wzrok pana Rudeckiego. Był to człowiek już bardzo stary, ale prosty i sztywny, w obcisłym fraku. Twarz miał bladą jakby, woskową, na niej odznaczał się duży orli nos i ogromne czarne oczy. Siwe, prawie białe włosy miał zaczesane w staroświeckie pukle nad uszema, wąskie usta, zaciśnięte dumnie, wyrażały pychę magnacką.

Pan Rudecki wiedział, że jest to Andrzej Mortęski, prezes miejscowego towarzystwa rolniczego i dyrektor wystawy. Duma i wielkość były od tej postaci, czyniąc ją niesympatyczną. Obok hrabiego stał jakiś niski pan, gruby, czerwony i spocony na twarzy, z ogolonymi wąsami i białym zarostem à la Moltke. Ręce trzymał założone w tył, z miną, jakby sobie nic z nikogo nie robił. Jednak na hrabiego spoglądał pokornie, uśmiech pełen uszczęśliwienia nie schodził mu z ust. Gdy hrabia zwracał się do niego, zawsze trochę z góry, założone w tył ręce grubego jegomościa odrywały się nagle od fraka i tłuste czerwone palce zaczynały gmerać koło dewizki. Z taką unізonością przeginał swą beczkowatą figurę, takie robił układne miny, że pan Rudecki patrzył na niego z obrzydzeniem.

– Pewnie jaki młynarz z dóbr hrabiego, bo przecie chyba nie obywatel.

167

Koncertu nikt nie słuchał. Zaczęły się zjeżdżać panie z arystokracji. Mężczyźni wybiegali do kontramarkarni. Pan Rudecki wypatrywał pani Elzonowskiej i Stefci, ale jeszcze nie nadjechały. Przyjechał natomiast hrabia Trestka i Wiluś Szeliga. Nowe rzucenie się lokai do drzwi i wszedł ordynat Michorowski prowadząc pana Macieja.

Wszyscy panowie poruszyli się. Młodzi wyszli aż na schody. Hrabia poważnie posunął naprzód swą imponującą postać. Powitanie dwóch starców odbyło się z obopólną atencją, po czym już hrabia odstał pana Macieja, a gruby jegomość z zarostem à la Moltke odszedł w skromniejsze szeregi męskie.

Waldemara otoczyli młodszy panowie. Pan Rudecki z za swego filaru pilnie na niego patrzył. Młody ordynat wyglądał już inaczej niż na koniu i przy obiedzie, ale może jeszcze świetniej, gdyż nieposzlakowany frak uwydatniał zręczną i elegancką postać. Miał w sobie dużo wielkopańskiego tonu i swobodnej a wytwornej niedbałości w ruchach. Wyróżniał się z całego otoczenia. Poznawało się w nim pana bardzo wysokiej krwi, nie przeciętnego salo- nowca. Bał był dla niego, nie on dla bału. Pan Rudecki spoglądał na niego i cieszył się, bo lubił panów tego pokroju, co Waldemar.

– Gdyby wszyscy nasi arystokraci byli podobni, stalibyśmy na szczycie cywilizacji – myślał z zalem.

Przyjechała starsza księżna Podhorecka, w czarnych drogocennych koronkach, i panna Rita. Księżnę prowadził hrabia prezes Mortęski, Ritę jakiś pozujący na Anglika młodzieniec, który zręcznie uprzedził Trestkę.

Baron Weyher wprowadził tryumfalnie kapiącą klejnotami hrabinę Ćwilecką. Za nią postępowała sztywno panna Michalina z łysym hrabią, co miał scenę z lokajem, i roześmiana Paula, wsparta na ramieniu równie roześmianego towarzysza. Waldemar, widocznie zniecierpliwiony, spoglądał na drzwi wchodowe.

– Czemu one nie przyjeżdżają? – pomyślał pan Rudecki.

Wtem zwrócił się do niego jakiś starszy pan, siedzący obok, i spytał patrząc spod okularów:

– Panie, czemu muzyka nie ustaje? Bębnią i bębnią, choć nikt nie słucha, a tam arystokracja już wali gremialnie i pewno się także złości.

– Ktoś tu komuś powinien ustąpić: koncert arystokracji czy vice versa – odparł zagadnięty.

– Tymczasem nikt nie ustępuje, ale to dowodzi, że ci wszyscy panowie niewiele sobie robią ze sztuki, przy tym są niezbyt grzeczni, bo i sami nie słuchają, i innym nie dają.

– Zachowują się jednak dość cicho, a co do muzyki dzisiejszej, niewarta ona lepszego traktowania.

– Panie! przecie to sława stolicy i ostatni koncert!

– Może być! ja się nie zachwycam.

– A był pan na poprzednich koncertach?

– Nie!

– A – ba!...

Ten wykrzyk przekonał pana Rudeckiego, że nie zawsze ostatni akt równa się pierwszemu.

Pan w okularach mówił dalej:

– Zanim tę salę uprzętną z krzesel, to się biedne panie diabelnie znudzą w buduarach, a my tu na galerii.

– To i pan przyszedł oglądać bal?

– A tak. Ja, panie, po nocach nie sypiam, a nic lepszego nie mam do roboty, więc pomyślałem sobie: trzeba popatrzeć jak oni tańczą. A pan dlaczego tu przyszedł?

– Ja? ot, dla zabicia czasu.

– A widzi pan!

168

Głośniejszy ruch przy drzwiach zwrócił uwagę rozmawiających. Pan Rudecki spojrzął i cofnął się za filar. Na schody wchodziła pani Idalia w pysznej aksamitnej sukni i w brylantach, prowadzona przez starszego księcia Giersztorfa.

Waldemar prowadził młodą księżną Podhorecką. Biała jak śnieg Lucia szła z Wilusiem Szeligą. Stefcia, owiana seledynową krepą, świeża jak maj, wspierała się na ramieniu Trestki. Pan Rudecki, zaciekawiony zapomniał o potrzebnej ostrożności, wychylił się z galerii, by lepiej widzieć wchodzących. Stefcia wydała mu się śliczną. Gdy przechodzili koło grupy mężczyzn, wszystkie głowy pochyliły się przed pierwszymi parami. Pani Idalia skinęła głową trochę dumnie, a młoda księżna, drobna i ładniutka, z nieopisanym wdziękiem. Na Lucię i Stefcie posypało się moc spojrzeń, głównie na Stefcie, bo nie wszyscy ją tu znali. Ale Trestka prowadzący dziewczynę robił jej reklamę, miał przy tym bardzo dumną minę.

W ślad za nimi przyjechali hrabiostwo Barsecy. Do hrabianki podbiegł książę Zaniecki.

Koncert skończył się.

Po długich oklaskach zaczęto wychodzić, ale jeszcze połowa publiki nie wyszła, a już zgraja lokajów wpadła do sali, chwytając krzesła i z rumotem wynosząc je na korytarz. Wszczęło się zamieszanie i hałas. Zza Filarów wyszedł Waldemar, wskazał ręką w kierunku drzwi i zawołał krótko spokojnym, lecz stanowczym głosem:

– Służba na potem! Teraz proszę tam.

Lokaje spiesznie cofnęli się obsługiwać odjeżdżających. W sali ucichło. Publika wychodziła swobodnie.

– Oho! temu nie przytrafi się to, co tysemu hrabiemu – pomyślał z zadowoleniem pan Rudecki.

A pan w okularach zawołał:

– Oto zuch! to ordynat, panie... Michorowski z Głębowicz. Ho! ho! to wielki pan, ale nie taki, jak oni wszyscy.

– Jak to nie taki?

– Bo rozumniejszy od wielu innych. Pan nie słyszał o jego dobrach? Jak on prowadzi gospodarstwo, a jaki popularny i ludzki. Przy tym patriotą: żyje po magnacku, ale dla cudzych – milionów nie trwoni. W jego dobrach ludzie żyją jak u pana Boga za piecem i otaczają go prawdziwą czcią. Ech! żeby nam więcej takich, nie oglądalibyśmy się na zagranicę!

Pana Rudeckiego uderzyło podobieństwo myśli sąsiada do jego własnych.

– Czy pan zna osobiście ordynata? – spytał.

– Osobiście, panie. Ale poznałem go już na wystawie, bo mam tu swoje torfy, drewno, i rozmaite plany. Ja jestem inżynier, panie. A że ordynat jest członkiem komitetu, czynnym przy organizacji, więc miałem sposobność rozmawiać z nim przy lokowaniu swoich artykułów. On ma na wystawie ogromną stajnię. Dziesięć klaczy różnych ras, ze wszystkich majątków, i tego pięknego ogiera, panie, araba czystej krwi, na którym tak dzielnie jeździł na wyścigu hipicznym, pewno pan widział? Ma także swoje zboża, psy myśliwskie i jeszcze tam coś w dziale myślistwa.

– Za konie dostał złoty medal.

– Bo też ma śliczne.

– I psiarnia dostała dobrą nagrodę. On widać ogromnie kulturalnie gospodaruje.

– I rozumnie, co dziwniejsze, że taki młody człowiek. Ja przecie znam dobra głębowickie już za jego własnej administracji. Przedtem hulał, panie, po świecie jak nabab, błyszczał za granicą. Teraz jakoś woli siedzieć w kraju, ale o żeniactwie nie słychać, choć mu hrabiankę Barską swatają na gwałt.

Pan Rudecki zamyślił się.

Salę uporządkowano. Ogrodnicy ustawiali kwitnące wazoni roślin. Posadzka odświeżona błyszczała jak szyba.

169

Nagle z buduaru wyszła Stefcia z Lucią i chwyciwszy się za ręce przebiegły wzdłuż sali. Za nimi ukazały się dwie panienki w wieku Luci, węższe i drobne jak laleczki, w białych sukniach, uczesane w secesję. Były to księżniczki Podhoreckie, wnuczki księżnej z Obronnego. Wszystkie zaczęły wirować po sali. Wesołe śmiechy odbijały się srebrnym dźwiękiem o freski ścian i sufitu. Wśród cieplarnianych kwiatów i drzew panienki fruwały niby jasne motyle. Stefcia, najwyższa i najsmuklejsza, wodziła rej. Obie księżniczki kręciły się z rozradowaniem nowicjuszek, pociągając i Lucię, nieco poważniejszą. Nie zwracały najmniejszej uwagi na galerię ani na służbę, która się grzecznie cofnęła. Na korytarz wszedł Waldemar, rzucił oczyma na salę i wpadł w rozbawione koło dziewczęce.

– Waldy! Waldy! – krzyknęły księżniczki.

– Panienki, kółko! – zawołał wesoło.

Porwał rękę Stefci i jednej z księżniczek, inne chwyciły się także za ręce i w tempie mazurkowym okręcił je parę razy dookoła.

– Waldy, ty stań w środku i będziesz wróblem, a my będziemy śpiewały – zawołała zadyzana Lucia.

– Nie można, idziemy! – rzekł prędko i pociągnął je za sobą wskazując brwiami pełne galerie. Panienki rozbiegły się spłoszone. Waldemar wolno podążył za nimi.

Zaczęli się zjeżdżać goście z miasta, muzyka zagrała walca, dając hasło do balu. Ale pan Rudecki nie widział wchodzących par, tak pochłonęła go drobna scena z panienkami i ordynatem.

– Wzięli mi ją całą, wsiąkła w nich – powtarzał w myśli i nie bardzo słuchał zachwytów sąsiada.

– Oto, panie, młódź rozdokazywana! Jakie to były ładne te ich piruety. Ale ordynat i do tańca, i do różańca. Z panienek najładniejsza jasnozielona. Kto to taki? Pewnie także jakaś księżniczka.

– Żebyś wiedział, że jestem jej ojcem! – pomyślał pan Rudecki z prawdziwą dumą.

Bal rozpoczął się szumnie, z życiem. Prowadził tańce Waldemar i hrabia Brochwicz z pomocą kilku innych.

Mieniło się na sali od barwnych strojów pań, przeplatanych czarnymi frakami, od przybranych w kwiaty i brylanty głów kobiecych. Wytworna woń perfum, kwiaty, powiewanie wachlarzy tworzyły odurzającą atmosferę balową.

Błyszczały oczy, świeciły klejnoty, nogi w lakierkach i jasnych pantofelkach ślizgały się rytmicznie. Wiotkie postacie kobiet, przegięte z wdziękiem na ramionach mężczyzn, rozkosznie pochylone głowy miały w sobie jakąś zmysłowość, idącą w krew, a estetycznie piękną.

Mężczyźni wyglądali zwycięsko, czarne ich ramiona obejmowały śmiało gibkie stany tancerek, jakby z energicznym tryumfem. Niektóre pary, tańcząc, zdawały się szeptać sobie na ucho tak samo porywające słowa, jak rwącym był szumny walc, który je unosił.

Waldemar, przetańczywszy z kilku pannami z arystokracji, porwał Stefcie w zakłęty wir.

I wówczas zrozumiał czar tańca.

Po raz pierwszy otaczał ramieniem jej smukłą postać i czuł ją tak blisko siebie, przechyloną, wdzięczną, oddaną. Trzymał ją silnie i doznawał rozkoszy słysząc bicie jej serca. Gorący oddech dziewczyny palił go, jej włosy musnęły mu usta. Sam pochylił się nieznacznie, aby dotknąć puchu jedwabistego. Oczy spod zmrużonych powiek trzymał utkwione w strojnej główce, ozdobionej pękami białej koniczyny. Widział obfite rzęsy Stefcy i delikatne rumieńce, widział jej ładny profil, gorejące usta, białą welinową szyję i ramiona wychylające się z seledynowych obsłon krepy. Czar ogarniał go potężnie. Czuł, że i on oddziaływa na dziewczynę silnie. Stefcia tańczyła dobrze i lekko, ale była jak nieprzytomna. Nie zdawała sobie sprawy z uroku, jaki ją otaczał, czuła się szczęśliwą aż do upojenia. Wspaniale oświetlona sala, kwiaty, dobra muzyka, – olśniła ją, tańczyła z zapamiętaniem, całą duszę wkładając w zabawę. Gdy

170

zobaczyła obok siebie Waldemara, ogarnęło ją przerażenie pełne błogości. W jego ramionach prawie zdrewniała, pierś jej rozsadzały uczucia dotąd nie znane. Dreszcze niepokojące wstrząsały nią gwałtownie. Nie patrząc czuła, że on przepala ją wzrokiem. Unoszona przez niego, lekko i zręcznie płynęła po niezmiernych falach szczęścia. Oboje tańczyli jak artyści. Tak byli wytworni i dobrani, że w tłumie mnóstwa par zaczynali zwracać na siebie uwagę. Upojenie ogarnęło ich wichrem, ich taniec stawał się namiętniejszym i trwając długo, przykuwał do siebie oczy baczniejszych widzów.

Panu Rudeckiemu łąza zakreśliła się pod powieką, westchnął cicho. Nie mógł oderwać wzroku od pięknej pary, a bolał go jednocześnie jej widok.

– Wyrwać ją stąd, unieść, zabrać! – zaszumiało mu w głowie. Za późno!

Pan Rudecki czuł, że za późno.

Chwila przerwy. Szum, gwar, poprzedzający ważną chwilę balu, słysząc komendę ordynata. Brochwicz zwija się, ustawiając pary.

Nagle runął na salę huczny, dziarski mazur. Zakipiał spieszny tętnem w sercach, rozgrzał krew w żyłach.

Zerwały się, popłynęły wszystkie pary.

W pierwszej ordynat z młodą hrabiną Wizembergową, córką księcia Giersztorfa, z którą ordynata niegdyś swatano. Druga para: hrabianka Barska i książę Zaniecki, następnie Trestka z panną Ritą, Brochwicz ze Stefcie, Lucia i młody Żnin. Zaroiło się na sali od czwórek.

Zapał rósł, kipiała krew tańczących, promieniały twarze pań, silne prądy, namiętne dresz-  
cze rosły dokoła. Donośny głos ordynata podniecał do życia.

Mazur gorętszych wprost porywał za włosy, zniewalał do szału, budził entuzjazm. Waldemar,  
niewyczerpany w pomysłach, układał coraz nowe figury. Widząc go tak roz-  
bawionym, pan Maciej dziwił się po cichu, ale pani Elzonowska głośno mówiła, że takiej we-  
rwy dawno nie widziała u ordynata.

– Chyba w czasach, gdy hulał po świecie, lecz i wtedy był inny.

Mazur trwał długo, ale ordynat nie pozwolił mu słabnąć: przerwano go w pełni życia,  
choć wszyscy byli już pomęczeni. Sala opustoszała. Większość taneczników poszła do  
obfitego zastawionych bufetów, a kółko arystokracji do dolnego gabinetu, gdzie była  
zamó- wiona osobna kolacja. Do sali balowej wpadła służba, uzbrojona w szczotki, i  
zaczęła od- świeżać posadzkę, niby arenę przed nowym występem gladiatorów.

Pan Rudecki rozpamiętywał swe wrażenia. Dopomagał mu w tym sąsiad w okularach,  
który mówił bez przerwy, robiąc różne uwagi o tancerzach i tancerkach. Z pań chwalił naj-  
więcej błękitną, istotnie piękną hrabinę Wizembergową, księżycową pannę Ritę i jasnozieloną  
Stefcię. Tak je nazywał od koloru sukien.

W dolnym gabinecie bawiono się wybornie. Stefcia miała z jednej strony Trestkę i pannę Ritę, z  
drugiej młodzieńca z monoklem, który się nią ogromnie zajmował, a naprzeciw Wal-  
demara z hrabianką Barską. Stefcia, uradowana z sąsiedztwa, miała złoty humor. Z wesołą przekorą  
drażniła się z Trestką, z pustym śmiechem przyjmowała umizgi młodzieńca w mo-  
noklu.

Razem z panną Ritą tworzyli czwórkę niezrównaną. Waldemar dorzucał często swe atuty,  
co zwiększało grę stów, płynących szeroką rzeką, pełnych wytrysków dowcipu.

Hrabianka krzywiła się: drażniły ją ucieczki Waldemara do przeciwnego obozu; dokła-  
dała wszelkich usiłowań, aby go zatrzymać przy sobie, stosując wyraźną kokieterię. Na Stef-  
cię czarne oczy hrabianki ciskały złe spojrzenia. Instynktownie czuła większe niebezpieczeń-  
stwo z tej strony. Panna ta, w swej gorącopomarańczowej sukni, za bogatej i za poważnej na  
jej wiek, śniada, z włosami i oczyma czarnymi jak noc, przypominała cygańską  
królową, walczącą z dziką zazdrością o zdobycze.

Gdy patrzyła na Stefcię, z twarzy jej znikало rozczulenie dla ordynata, a wypełzał gniew, prawie  
nienawiść, pokryta maską uprzejmego uśmiechu. Oczy gorzały dziko.

171

Książę Zaniecki, który pochłaniał ją wzrokiem, szepnął w zachwycie:

– Demoniczna dziewczyna! ale jaka śliczna!

Popełnił nieostrożność: siedząca obok hrabianka Paula dosłyszała i rzekła z przekąsem:

– Ordynat nie lubi demonów w kobiecie.

Gniewało ją, że książę, siedząc przy niej, zwracał oczy w inną stronę.

Zaniecki, zamiast skruchy, uradował się niezmiernie. On chciałby otoczyć ordynata ca-  
łym legionem aniołów, byle mu tylko tego demona zostawił. Księżciu chodziło najwięcej o  
oprawę; był z liczby ludzi, którzy w pewnych wypadkach więcej cenią ramy niż obraz.

Stefcia dostrzegała nieprzychylny błysk w oczach hrabianki, lecz nie psuły one jej we-  
sołości. Bawiła się wybornie, nie czując skrepowania.

Dobrze przeczuwał pan Rudecki: wsiąkła już w sferę tych ludzi. Miała przy tym powo-  
dzenie.

Jej karnecik szczerze zapisano nazwiskami. Michorowski powtarzał się w nim kilka razy.

Dziewczyna z rozkoszą wchłaniała wonny dymek uwielbień, unoszący się dokoła niej. Każde  
spotkanie jej oczu z Waldemarem wstrząsało nią, każdy taniec z nim odurzał. Bała się jego  
zbliżenia, zaczynała drżeć, gdy na nią patrzył, a jednocześnie ten błogi niepokój sprawiał  
jej niewysłowioną rozkosz.

Kolacja trwała niedługo, po czym tańce znowu zaczęły się ze zdwojoną siłą.

Waldemar, przetańczywszy ze Stefcią kontredansa, posadził ją pod grupą olbrzymich palm  
i rzekł nieco szorstko, jak zwykle, gdy mu na czym zależało:

– Niech mi pani pokaże karnecik.

Stefcia podała mu seledynowy, malowany gracik z maciupcim ołówkiem tegoż koloru. Waldemar przeczytał na okładce:

Lepsza w kwietniu jedna chwilka  
Niż w jesieni całe grudnie.

Uśmiechnął się i usiadł obok Stefci na krześle w ten sposób, że odgrodził ją od sali.

– Czy to pani sama wybierała ten karnecik?

– Dostałam go od baronowej.

– Bardzo dobry aforyzm. Mickiewicz dla siebie go widać ułożył, bo jednak czasami jest inaczej. Na przykład u nas chwile wiosenne były złe, nieufne, drażliwe, słowem brzydkie! Dzisiaj są lepsze, a mamy jesień!

– Ale nie grudzień!

– W grudniu będzie jeszcze lepiej.

Przerzucił kartki karnecika, odczytując nazwiska.

– Ależ tu cała armia wpisana! Bajeczny rejestr! Moje litery bledną wobec tej potęgi. Co? co?... kotylion – Brochwicz? No, mogła pani kotyliona zostawić dla mnie.

– Nie mogłam odmówić panu Brochwiczowi. Zresztą bał to jak bitwa: zdobywa ten, kto pierwszy przychodzi.

– Nie zawsze! czasem drugi pobije pierwszego. Ja właśnie mam ten zamiar. Spojrzał jej w oczy z demoniczną pewnością siebie.

Stefcia zmieszana się, ale odrzekła bez wahania:

– Tak nie można. Pan Brochwicz byłby słusznie obrażony.

– Potrzeba mi tylko zgody pani, a już ja tak urządzę, że się Jurka ułagodzi. Ale teraz mi pani naturalnie odmówi.

Powstał z krzesła i rzekł z uśmiechem:

– Idę po Brochwicza. Za chwilę!

Gdy odszedł, podsunął się do Stefci młodzieniec w monoklu i zapytał z umizgiem:

– Pani kotyliona tańczy?

– Tak, panie.

172

– A!... pardon! spóźniłem się... i zawsze ordynat...

– Co pan tu przeciwko mnie spiskuje? – zapytał niski głos ordynata tuż za nim.

Młodzieniec bąknął coś po francusku i z ukłonem odszedł. Waldemar stanął przed Stefcią, trzymając pod rękę Brochwicza.

– Mój Jurku, ja tu zaatakowałem karnet panny Stefanii i twoja pozycja w kotylionie bardzo mi się nie podoba. Nie chcę z tobą batalii, mając nadzieję, że sprawę załatwimy polubownie.

– Dobrze! ale to zależy ode mnie, a ja się nie zgadzam – rzekł Brochwicz.

– Mój drogi! nie jesteś wyrocznią w tej sprawie.

– Zależy i ode mnie, lecz tym samym pan wygrywa – dodała Stefcia.

– Dziękuję pani! A co Waldy!

– Nie tryumfuj przed czasem! Uciekam się do ostatniego środka i przekonam was, że słuszność żądania jest po mej stronie. Pani obiecała mi pierwszego kotyliona jeszcze w Słodkowcach – ten będzie pierwszym. Ty zaś, Jurku, podobno starasz się o rękę hrabianki Melanii, a ją znudził już Zaniecki, wierzaj mi!

– Przekonywa mnie jedynie pierwszy argument. Jeśli pani obiecała kotyliona najpierw tobie, muszę się cofnąć, chociaż z głębokim żalem.

Stefcia, mocno różowa, wyciągnęła rękę do Brochwicza.

– Przepraszam pana. Istotnie zapomniałam. Chłopak ścisnął jej rękę z ukłonem.

– Jestem pobity, ale trzymając się zasady: nic darmo, proszę panią o ostatniego mazura. Stefcia złożyła rękę z zabawnym grymasem.

– Niestety! wpisał się już pod nim pan Żnin.  
 – A więc proszę o nadprogramowy. Waldy, ty, jako dyrygujący, urządzisz to.  
 – Z całą przyjemnością.  
 Stefcia na końcu karnecika napisała dużymi literami: „Biały mazur – Jerzy Brochwicz”.  
 Chłopak z ukłonem odszedł w stronę Barskiej.  
 – Czy zadowolona pani? – spytał cicho Waldemar.  
 – Dlaczego pan skłamał? Ja panu kotyliona nie obiecywałam.  
 – A dlaczego pani skłamała?  
 – Chciałam ratować sytuację.  
 – A ja chciałem z panią tańczyć. Wcześniej nie mogłem o to prosić z powodu ścisłej ba- rykady fraków otaczających panią. Użyłem podstępu.  
 – Tak, ale co pan Brochwicz pomyśli?  
 – Pan Brochwicz uwierzył święcie, a teraz – o! niech pani patrzy – kłania się hrabiance i został przyjęty.  
 Przesunął się koło nich hrabia Barski. Zmierzył dumnym wzrokiem Stefcię i ordynata, ale w jego oczach ujrzał niezbyt zachęcający wyraz, bo spiesznie odszedł dalej.  
 – Co pani sądzi o tym panu? – zapytał Waldemar Stefcię.  
 – O hrabi Barskim? Niesympatyczny i wydaje się nieprzystępnym. Zresztą – mało go znam.  
 Waldemar wyduł usta.  
 – Napuszony arlekin wielkości, karykatura sterowa. Człowiek ten jest przekonany, że nie on istnieje dla świata, ale świat dla niego. W jego mniemaniu on jest osią, dokoła której wszystko się obraca. Ja nawet wątpię, czy on wierzy we własną śmierć, chyba w taką, że zo- stanie żywcem wniebowzięty, razem z herbem i koroną. Ale niech szanuje swą wielkość, jak sam chce, byle przestał być apostołem swych idei, gdyż one posiadają zarazek niebezpieczny.  
 – Więc hrabia ma jakieś idee i szerzy propagandę? – zdziwiła się Stefcia. – Nie posądza- lam go o to; ma wygląd sobka, troszczącego się jedynie o swe miliony, tytuł i o... dobrą partię dla córki.  
 Waldemar z uśmiechem skłonił głowę.

173

– Odgadła go pani trafnie, lecz to są względniejsze wady hrabiego, można by mu je wy- baczyć, bo za wiele mamy podobnych w kraju. Ale hrabia ma przy tym niemożliwe doktryny etyczne i społeczne i w sposób kaznodziejski chce je rozpowszechniać wśród młodzieży na- szej; a że posiada mózg raczej żółwi niż orli, a więc może sobie pani wyobrazić, jakie zdania wygłasza. To już nie fanatyk, to barbarzyńca sterowy, naszpikowany dumą. On nie uznaje ludzi, tylko magnatów. To ciekawy typ, okazowy! lecz powinien być w muzeum, nie w świe- cie.  
 Stefcia poruszyła głowę ze zdziwieniem.  
 – Jeżeli znany jest ogółowi pańskiej sfery jako człowiek wątpliwego umysłu więc nie może szkodzić.  
 – Tak, umysłem cięższym, ale mamy duży procent głów bardzo niewykształconych, umy- słów niemowlęcych; na nich wpływ hrabiego działa. W ten sposób rozszerzają się jego poję- cia i szkodzą. Gdyby nic miał milionów i pięknej córki, może by jego apostołstwo mniej znajdowało przychylnych obozów, ale to jest margines, który ściąga bawełniane głowy pod jego hasło.  
 – Czyli że hasło hrabiego brzmi: precz ze światem, niech żyje Olimp! – zawołała wesoło Stefcia.  
 Waldemar roześmiał się.  
 – Brawo, panno Stefanio! doskonale! pani go lepiej zna, niż sądziłem. Hrabia istotnie arystokrację uważa za bogów, siebie bez wątpienia za Jowisza.  
 – Czy hrabianka podziela zapatrywania ojca?  
 – O tak! wprawdzie w inny sposób, lecz treść jednakowa. Tylko ona, jako panna na wy- daniu i kobieta piękna, nosi swe zasady jak suknię, stosownie do okoliczności. Więc do salo- nu: aksamity, gazy, białe puchy, zwłaszcza gdy widzi przed sobą choć jedną dobrą partię z



nazwiska, tytułu lub majątku. Na co dzień szata jest ostrzejsza: wełna, brokat, dla ogółu ludzi stać ją tylko na płótno, perkalik, a dla służby nawet zgrzebny drelich jest zbyt kosztowny.

– Wypowiedział pan to zręcznie, lecz złośliwie.

– Nie, pani, może w sali balowej moje zdanie wydaje się za ostre. Zresztą hrabianka jest dziś w najpiękniejszej ze swych ceremonialnych szat, jest w otoczeniu wielbicieli i widzi przed sobą paru, o których jej wyjątkowo chodzi.

Stefcia uśmiechnęła się i skłaniając głowę w stronę mówiącego rzekła:

– A jeden z najpiękniejszych rozmawia z przedstawicielką klas upośledzonych. To może hrabiankę gniewa.

– O, i pani powiedziała to złośliwie.

– Nie. tylko szczerze.

– Więc powiem i ja tak samo. Jestem egoistą i dla hrabianki nie zaniecham rozmowy z panią. Ale otóż grają. Służę pani.

Stefcia wsparła się na jego ramieniu. Ordynat, otaczając jej gibki stan, spojrzął na nią spod zmrużonych powiek wzrokiem, jakim potrafił wprowadzać kobiety na manowce. Stefcia drgnęła i spuściła długie rzęsy. Ordynat objął ją silniej. Popłynęli na salę.

Kotylicjon wił się z niebywałym życiem. Przygotowanych kwiatów zabrakło, szły na ofiary dekoracyjne. Waldemar miał na piersiach istny pancierz kwiatowy. Stefcia wyglądała jak jeden bukiet, panna Rita, hrabianka Melania, hrabina Wizembergowa, nawet Lucia i młodzień- kie księżniczki Podhoreckie pływały w kwiatach. Sala miała wygląd ogrodu: wszystkie panie. różowe, rozpromienione, z gwiazdami w oczach, były jak kwiaty. Panowie. niby czarne motyle, uwijali się gęsto przy najpiękniejszych.

Szał ogarniał tańczących, przeszedł we wzajemne oświadczenie się sobie za pomocą kwiatów. Upajająca woń roślin, roznamietnienie, czar unosił się w blaskach sali omotując wszystkich niebezpieczną siecią, przeźroczą jak mistyczna jakaś pajęczyna. Waldemar otrzeźwiał pierwszy i zakończył kotylicjon huczną figurą mazurową.

174

Pomęczone panie uciekały do buduarów. Lokaje roznosili chłodzące napoje. Stefcia. księżniczki i Lucia wybiegły na korytarz. Naręcze kwiatów złożyły na balustradzie, same zaczęły chłodzić się wachlarzami. Wtem na schody wbiegł lokaj, niosąc ogromny pęk róż, gwoździków i storczyków. przeplecionych pierzastą paprocią, znikł w drzwiach sali.

– Ciekawam, dla kogo to? – szepnęła Lucia. – Pewno Zaniecki dla Barskiej.

Kilku mężczyzn otoczyło panienki. Młodzieniec w monoklu prawił Stefci miłe grzeczności. Zniecierpliwiona zabrała kwiaty, chcąc się schronić do buduaru. Panienki poszły z nią razem.

W przejściu pod filarami spotkały Waldemara.

Szedł niosąc w rękę świeżo przyniesiony pęk kwiatów. Błysk żywej radości zapalił mu się w oczach. Rozdzielił kwiaty na dwie części: jedną połowę wręczył Stefci, a drugą sypnął na nią jak na corso. Rzekł przyciszonym głosem:

– To nad program. Kwiaty składają pani hołd w moim imieniu.

Aksamitne róże pozaczepiały się na krepie sukni, upadły na szyję i ramiona Stefci, inne u jej stóp. Jeden storczyk zawisł na włosach. Stała jak w powodzi.

Waldemar znikł za filarami, zanim zdumiona Stefcia zdążyła mu podziękować. Obie księżniczki z okrzykiem rzuciły się podnosić rozsypane kwiaty i zaczęły je ciskać wesoło na Stefcię. Ona, ochłonawszy odrzucała na nie. Bawiły się jak dzieci. Tylko Lucia stała sztywna, jak zdrętwiała, patrząc nieruchomo na roześmianą trojkę.

– To już tak?... aż tak? – szepnęła do swej zdumionej duszyczki.

Pani Idalia, nawet nie widząc sceny z bukietem, zaczynała się dąsać na powodzenie Stefci. Dziewczynę spotykały same tryumfy. Arystokratyczna młodzież dobijała się o tańce z nią. Otaczano ją stale ścisłym kołem. Zmęczona, rozpromieniona jak zorza, wirowała po sali niby motyl, niby cudny kwiat, porywający oczy. Pani Idalia widziała ożywienie ordynata, tańczył z

nią zbyt często i zbyt namiętnie. Lecz najgorzej bolało baronową, że Waldemar hrabiankę

Melanię zanedbywał.

Po kotylionie, w bocznym buduarze, podeszli do baronowej: hrabia Barski z jednej strony, z drugiej hrabina Ćwilecka, i oboje mocno zgorzeleni rozpoczęli atak. Hrabia mówił:

– Popęłniła baronowa odstępstwo od zasad arystokracji wprowadzając w nasze kółko tę Rudecką. To trochę skandal! *Ca ressemble un peu mal!*<sup>87</sup>

Panią Idalię uraził ton tych słów. Nie lubiła czynionych sobie uwag. Spojrzała z góry na hrabiego i odrzekła sucho:

– Skandalu nie widzę, gdyż w sali jest wiele panien podrzędniejszych od Rudeckiej. Ta zaś, skoro jest *dame de compagnie* mojej córki, ma prawo do pewnych względów.

Barski podniósł dumnie głowę.

– Tak! ze strony baronowej i jej córki, nie przeczę. Ale ja tu widzę dokoła panny Rudeckiej hołdy młodzieży naszej. To już zbyt liczne.

– To kwestia jej urody i powodzenia – odcięła się pani Idalia.

– Idalko! – przemówiła pani Ćwilecka – nie broń jej. Hrabia ma słuszość: ta dziewczyna zaćmiewa sobą nasze panny. Był to największy nierozsądek z twej strony brać ją na bal.

Pani Elzonowska rozgniewała się.

– Zostawić jej w hotelu przecież nie mogłam. Z trochę dziwnymi państwo występujecie pretensjami.

– W ogóle popełniłaś nieostrożność biorąc ją do Słodkowic – mówiła zirytowana hrabina.

– Ona jest zbyt piękna tam, gdzie przebywa ordynat.

Barski zadrzał niespokojnie i złym wzrokiem przeszył hrabinę.

– *Permettez, comtesse!*<sup>88</sup> stanę w obronie ordynata. Ta panna wpływu tak silnego mieć nie może, aby mówić tu o niebezpieczeństwie. Ona nie zaćmiewa naszych gwiazd, ale wpro-

87 *Ca resemble un peu mal!* (fr.) – To do niczego niepodobne!

175

wadza niepokój, demoralizuje młodzież. Lecz zakusy ordynata mogą być względem niej inne, które łatwo wybaczyć: ona jest ładna, to prawda, ale i... subretki bywają ładne. Pani rozumiemy?...

Tłuste wargi hrabiny uśmiechnęły się do mówiącego rozkosznie, mrużąc z dowcipną miną. Nagle wyszła na środek buduaru hrabina Wizembergowa, dotąd stojąca w drzwiach niepostrzeżenie, i rzekła chłodno:

– Ale subretkom nie powierzamy swych córek, nie wprowadzamy ich do towarzystwa, nie podajemy ręki. Porównanie hrabiego jest co najmniej niewczesne. Panna Rudecka *c'est une fille jeune, belle et très bien élevée!*<sup>89</sup> Ona istotnie zaćmiewa nasze panny urodą, wdziękiem, inteligencją, porywa młodzież i ordynata – to wam się nie podoba. Ale można sarkać na nią, jeśli was gniewa, tylko nie ubliżać, szczególnie wobec osoby, której córka jest pod jej opieką. Hrabina odwróciła się powolnym ruchem i dumnie wyszła z buduaru, ciągnąc za sobą szumiącą falą błękitnej mory.

Hrabia zły, napadnięty zniechęca, gryzł wąsy, a gdy pani Idalia również wyszła, syknął przez zaciśnięte zęby:

– Histeryczka.

Hrabina Ćwilecka wzruszyła ramionami.

– Poszaleli na punkcie Rudeckiej! Oboje powrócili do salonu.

Tańce trwały do rana. Biały mazur przepłynął ostatnią dźwięczną falą, zahuczał raz jeszcze, rozniósł już trochę senne echo wesela po zmęczonej sali i zamilkł. Bo i sala była zmęczona. Świadczyła o tym wytarta posadzka, walające się na niej poobłamywane listki i gałązki zmięte, bezbarwne. Świadczyły poobłamywane dekoracyjne kwiaty i ten wyłączny stygmat

skończonej zabawy. Zdawało się, że we freskach ścian, wśród zdobiących je roślin tułają się jeszcze westchnienia, śmiechy i resztki marzeń razem z tonami muzyki. Przed podjazdem huczały karety, nawoływania służby i głuchy tętent koni. Wschodzące słońce, połyskując na lakierach karet i zaglądając ciekawie do okien, mówiło odjeżdżającym „dzień dobry”. Pan Rudecki, schowany w dorożce, wracał do siebie zmęczony, z pochyloną głową, pełną ciężkich myśli.

88 Permettez, comtesse! (fr.) – Pani pozwoli, hrabino!

89 c'est une fille jeune, belle et très bien élevée (fr.) – to panienka młoda, piękna i bardzo dobrze wychowana

176

XXXII

Wieczór zapadł nad miastem. Zabłyśły szeregi świateł na ulicach, okna domów migotały, przed hotelem, zawieszona wysoko, ziała białym blaskiem wielka lampa elektryczna.

W numerze pana Rudeckiego panował ruch. Lokaje wynosili walizkę i paczki, zdawali rachunek, dorożka czekała. Pan Rudecki, już w palcie, opłacał służbę.

Przy oknie oparta Stefcia, patrząc na ulicę, drżała wstrzymując łzy. Przed nią stało łubiane pudło, pełne kwiatów z wczorajszego kotyliona. Posyłała je matce wraz z paką cukrów dla siostrzyczki i brata. Wszystkie kwiaty ułożyła na mchu warstwami, ale ogarnął ją teraz niepokój. Prędko otworzyła pudło i przebierając między kwiatami, wzięła bladożółtą różę i parę gwoździków. Gorączkowo wsunęła je za stanik, zamknęła pudło i znowu otworzyła, biorąc wspaniały purpurowy storczyk.

To symbol jego... to on. Spieszenie schowała storczyk razem z różą i gwoździkiem. Pochodziły one z bukietu Waldemara, którym obsypał ją po kotylionie. Pozostałej masie kwiatów przesłała z figlarnym uśmiechem od ust całusa i zaczęła zapakowywać pudło.

Do numeru wszedł szwajcar hotelowy.

– Czy wszystko gotowe? – spytał pan Rudecki.

– Proszę pana, dorozka gotowa, ale pan ordynat Michorowski przysłał swoją czwórkę i lando. Jest i lokaj, a oto list...

Pan Rudecki rozerwał kopertę.

Na bilecie Waldemara, skreślonym silnym, oryginalnym pismem, było kilka uprzejmych słów zawierających prośbę, aby jego powozem odjechali do kolei, gdzie i sam obiecywał być. Pan Rudecki zmarszczył się. Wszedł lokaj ordynata i uklonił się z uszanowaniem.

– Czy pan ordynat sam pojechał na dworzec? – spytał go pan Rudecki.

– Nie, z hrabią Trestką i z panienką z Obronnego. Pan Rudecki odetchnął.

– Bardzo grzeczny i bardzo taktowny człowiek – pomyślał zadowolony.

Na ulicy stało wytworne, błyszczące lando z małym herbem i mitrą książęcą na drzwiczkach, zaprzężone w cztery kare klacze w strojnej uprzęży. Krakowskie chomąta świeciły srebrnymi okuciami.

Konie rwały się niecierpliwie, gryząc wędzidła, ale poważny stangret Flawian, starszy kolega Brunona, który jeszcze woził pana Macieja jako ordynata, umiał utrzymać je na wodzy. Kiedy lando ruszyło, Stefcia przytulona do ojca zapytała cicho:

– Czy ordynat był wczoraj u ojczusia?

– Tak, był po obiedzie. Zabawił parę godzin. Bardzo się z nimi ciekawie rozmawia. Po długiej chwili szepnął znowu, jakby do siebie:

– Bardzo, bardzo elegancki człowiek.

Stefcia milczała. Coś ją ścisnęło w krtani... żal za odjeżdżającym ojcem i zarazem gorycz do samej siebie. Miarowy tupot koni, cicho sunące lando i dobrze znajoma liberia nasuwały jej uparcie na myśl Waldemara. Jechała jego landem, jego końmi – to samo już ją upajało. Pan Rudecki także milczał. Z ukosa patrzył na ładny profil córki, śledził jej widoczne wzruszenie, a w duszy jego gromadziły się złe obawy skłębioną masą.

Oboje mieli sobie dużo do powiedzenia i oboje milczeli. Zamykały im usta wrażenia, wiążące się w całość podobną. IM z jednego wypływały źródła. Przerazili się ujrawszy dworzec kolejowy. Lśnił tysiącami świateł, migotał, huczał. Przeciągły świst lokomotywy przesyłał serce Stefci dziwnym zgrzytem. Z nie dającym się ukryć przestachem przytuliła się do ojca.

177

– Ojczusiu, ty jedziesz, a ja zostaję znowu sama – szepnęła z taką przejmującą obawą, że pan Rudecki zadrżał.

– Stefciu! dziecko! a przecież nie chciałaś wracać... dobrze ci tu, oni cię tak lubią, uznają. Stefciu, czego się boisz?...

Lando stanęło. Lokaj zeskoczył z kozła, gromada tragarzy rzuciła się do stopni powozu.

Wszczął się zgiełk i zamieszanie. Stefci serce waliło jak młotem. Gorączkowo, jakby sama miała jechać, wysiadła i szła z lokajem, niosącym pudło.

Nagle uczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Obejrzała się: był to Waldemar.

– Pani sama... Gdzież ojciec?...

– Poszedł kupować bilet.

– Niech mi pani poda rękę. Tu taki ścisk.

Oparła się na jego ramieniu. On ją przytrzymał mocno i bez słowa prowadził wprost do sali pierwszej klasy.

Panna Rita i Trestka powitali ją okrzykiem. To ją rozweseliło. Za chwilę wszedł pan Rudecki. Rozmawiano niedługo.

– Czy pan prędko opuszcza wystawę? – pytał pan Rudecki Waldemara.

– O nie panie! jeszcze zabawimy tu czas jakiś. Jutro zaledwo wyjeżdża pierwszy – a przyjeżdża drugi personel mej administracji. Gdy wszyscy obejrzą wystawę, a moi panowie praktykanci wybawią się należycie, wówczas wracamy do domu.

Rozległ się pierwszy dzwonek, trzeba było siadać. Pożegnanie trwało krótko. Stefcia niełatwo oderwała się od ojca. Waldemar zniósł ją prawie ze stopni ruszającego pociągu.

Jeszcze trochę ukłonów, powiewań chusteczki i pociąg z szumem pogrążył w czarną czeluść nocy.

Lando wracało w milczeniu. Panna Rita i Stefcia siedziały cichutko, zamyślane. Panowie nie odzywali się także. I znowu Stefcia słyszała miarowy tupot koni, cichy turkot kół na gumach, znowu w blaskach świateł ulicznych migały przed nią złote guzy liberii na koźle. Jechała jego landem, jego końmi, ale obecnie i z nim. Wiedziała, że on siedzi naprzeciw, lecz wrażenie było już inne. może więcej skomplikowane, ale mniej potężne. Tylko czar płynął tą samą co zwykle falą.

178

### XXXIII

Na wystawie ruch zaczął się zmniejszać, wiele osób wyjechało. Zabawy przycichły. Wszyscy zdawali się być pomęczeni. Tylko ordynat Michorowski, niewyczerpany w pomysłach, urządzał ciągle nowe przyjemności swym krewnym i znajomym. Odbywano wspólne wycieczki w śliczne okolice podmiejskie, końmi lub na samochodach, włączono się po mieście, zwiedzając magazyny. Na placu wystawowym, gdy ruch się nieco zmniejszył, oglądano szczegółowo ciekawsze działy. Pewnego dnia byli wszyscy w stajniach i pawilonach głęboczkich.

Stajnie, przybrane w barwy pąsowe z czarnym, najeżone chorągiewkami, strojne w festony zieleni, przedstawiały widok piękny. Kręciło się tam pełno chłopców stajennych w dżokejkach i pąsowych kurtkach oraz masztalerzy strojniejszych już, pod dyrekcją koniuszego

Badowicza. Konie miały na sobie kapy sławuckie, haftowane w monogramy z mitrą, i żółte zamszowe uździenice.

Porządek w stajniach panował wzorowy. Zachwycano się najwięcej Apollem. Opro- dzał go sam koniuszy. Apollo ordynata zarzął cicho i dymiące nozdrza zwrócił w jego stronę. Szyję wyginał klasycznie, oczy pełne i inteligentne w wyrazie gorzały jak pochodnie, kręcił się, bił kopytami ziemię, chrapiąc w sposób znamionujący wyborną rasę.

Stefcia podeszła do konia, klepnęła go po wygiętej szyi, gładziła śliczną główkę.

– Stefciu, on ciebie uderzy! – wołała przestraszona Lucia.

– Nie uderzy. Owszem, niech go pani pieści – szepnął Michorowski – niech mu pani da rękę do pocałowania.

– O. już tego nie potrafiłby! – zaśmiała się Stefcia.

– Powinien znać swe obowiązki.

Waldemar dotknął pejczem kolan Apolla i z lekka uderzył parę razy. Koń stęknął, zachrapał i zginając kolana ukląkł na przednie nogi przed zdumioną Stefcią.

Panna Rita zagryzła wargi aż do krwi. Trestce rozszerzyły się oczy. Rządca głębowicki i praktykanci spojrzeli na siebie błyskawicznie. A Brochwicz z miną rozradowaną nadzwyczaj uprzejmie usunął się przed Barskim, jakby mu chcąc odsłonić niezwykle widok.

– Kosiu! košku! śliczny, cacany! – zawołała, ochłonawszy, Stefcia. Objęła głowę konia ramionami i pocałowała w białą gwiazdkę na czole.

Apollo, jakby tego tylko czekał, zerwał się gwałtownie, wyrzucając łbem i parszczając rażno.

– Wariat! – mruknął Barski.

– Kto? ordynat czy Apollo? – spytał z umizgiem Brochwicz. Hrabia spojrział na niego z góry z taką miną, jakby chciał rzec:

– Obaj siebie warci, a i pan nie lepszy – i obrażony założywszy w tył ręce, odszedł w przeciwną stronę, gwiżdżąc.

– Ależ to cyrkowy koń! Jakim sposobem pan go tego nauczył? – spytała Stefcia trochę zmieszana.

– A od czego wola – rzekł Waldemar.

– Zaimponowało mi to, muszę przyznać – mówiła panna Rita. A Wiluś, stojący na boku, myślał:

– Szczęśliwy człowiek! może jej okazać hołd nawet przez konia. Ciekawym. kogo bym mógł zmusić do zgięcia przed nią kolan. Chyba samego siebie...

Westchnął rozgoryczony.

Pawilon łowiecki był również ciekawy. Tam przeważały barwy szare i zielone. Wieniec z dębowych liści, głowy łosi, jeleni i danieli o potężnych rogach, łby odyńców, zadziwiające kłami, ozdabiały budynek. Przy wejściu stał ogromny wypchany niedźwiedź, trzymający w łapach stalowe wieszadło do kapeluszy. Dział ten przedstawiał okazy fauny i flory z lasów

ordynackich, plany wzorowego urzędzenia lasów, dokładny wykaz ilości starodrzewiu i zagajników, a także mapy i trofea myśliwskie ordynata. Jeden kął pawilonu zajmowały zdobycze jego z podróży do pustyni Afryki. Były tam skóry lwie, tygrysie i lamparcie, jeden tygrys bengalski, całkowicie wypchany. Były kły słonia i głowa antylopy oraz okazy ptaków podzwrotnikowych. Każda sztuka miała tabliczkę z objaśnieniem, gdzie zabita i kiedy. Dział ten obsługiwał typowy Murzyn z wełnistą głową, ubrany w zielony jedwab. Na ścianach wisiały fotografie zwierzyńca głębowickiego, a także strzelby, rewolwery, trąby i noże obsługi leśnej. Dyrygował i objaśniał łowczy Urbański z pomocą strzelców. Odznaczał się strzelec Jur, ulubieniec ordynata, olbrzymi chłop, mający dumną minę i pyszny moderunek. Jego zielony uniform lśnił od złotych szamerowań.

Zwiedzili jeszcze pawilon ze zbożami ordynata i poszli na plac główny do cukierni.

Zajęli miejsce na werandzie przy kilku stolikach. Michorowski siedział z panną Ritą, Stefcią i Lucią. Trestka przysunął się do nich również. Naprzeciw był stolik wolny. Za chwilę

usiadło przy nim dwóch panów: tłusty jegomość z czerwoną spotniałą twarzą i młody zbie-  
dzony urzędniczek.

– Kawy! – zawołał ostrym basem gruby pan do chłopca w białym fartuchu.

Po czym wsparł brodę na olbrzymiej kościanej gałce od laski i rzucał wzrokiem na  
wszystkie strony. Sapał przy tym jak lokomotywa.

– To jakiś restaurator na pewno – mruknął Trestka. – Bada, czy więcej ma gości cukier-  
nia, czy  
jego restauracja. A może to jakiś rzeźnik?...

– Nie krytykuj pan z pozoru – rzekł Waldemar. – Zobaczymy dalej.

– Czy pan nie jest fizjonomistą? – zapytała panna Rita.

– Ja, pani? Owszem! bywają wypadki, nawet częste, że odgadują usposobienie danej  
osoby, czasem myśli – trudniej przeczuć, czym się ona zajmuje, o ile nie ma zewnętrznych  
znak. Stopień wykształcenia, inteligencji wykazuje najczęściej zachowanie się i dlatego ten pan  
robi na mnie wrażenie podejrzanego.

– To rzeźnik na pewno – twierdził Trestka i zaczął opowiadać Stefci i Luci jakąś zabaw-  
ną anegdotkę.

Rita rzekła do Waldemara:

– Jeżeli pan odgaduje niekiedy myśli innych proszę powiedzieć coś o mnie. O czym my-  
śle?

– O czym pani myśli czy o czym pani myślała? – spytał z przekornym uśmiechem.

– Kiedy?

– Tak... trochę wcześniej... w stajniach.

Panna Szelizanka utkwiała w nim surowy wzrok.

– Owszem, proszę – rzekła.

– Myślała pani o mnie...

– Zarozumialec!...

– Niech mi pani pozwoli dokończyć! Myślała pani, że... jestem narwany i jeszcze, że rzu-  
cam rękawicę pewnym osobnikom, o których w mniemaniu ogółu powinno mi chodzić. Ech!  
myślała pani, że jestem wariat. No, czy nie zgadłem?

Patrzył jej w oczy z uśmiechem. Rita gryzła usta. Nagle prędkim ruchem podniosła głowę,  
rzuciła bystre spojrzenie na Stefcię i odrzekła niepewnym głosem:

– Tak, zgadł pan. Ale nie myślałam, że pan wariat, broń Boże! ani to, że pan rzuca rękawicę  
Barskiemu. Wiem, że panu o niego nie chodzi. Dziwiłam się tylko, że... wysuwa pan zbyt  
śmiało naprzód sytuację... mogącą być jeszcze w cieniu.

Michorowski ściągnął brwi.

– Dlaczego? A jeśli ja ją chcę mieć w pełnym świetle? Czy mi nie wolno?... Pani Rita pobladała.

180

– A któż wątpi?... Tylko... zdawało mi się, że był pan pod wrażeniem chwili i trochę mi-  
moli... przeszarżował prawa zwykłych grzeczności.

Waldemar popatrzał na nią i rzekł z przyciskiem:

– Więc zapewniam panią, że byłem szczerzy. Gdzie istnieją całe szeregi chwil, nie pod-  
daję się wyłącznie wpływom jednej. Zatem nie szarżowałem, raczej przeciwnie, przez wzgląd  
na osobę interesowaną zawsze i wszędzie niesłuchanie normuję swe wrażenia, nie chcąc wy-  
prowadzać jej z dotychczasowego obiektywu pod bardziej szczegółowy rozbiór opinii, która nie  
oszczędzi nikogo.

Rita siedziała blada, panując nad sobą. Ta walka ubrała ją w maskę chłodu. Odrzekła  
sztywno:

– Danej osoby opinia nie naruszy, ale u pana wynurza się już subiektywność kwestii...

– Pozwalam wszystkim na rozcząstkowanie siebie i swych myśli, byle się kontestowano tylko ze mną. To zastrzegam – dodał kładąc nacisk na ostatnich słowach.

Panna Szeliżanka dumnie rzuciła głową.

– Niech pan zastrzega innym, gdyż ja rękawicy pańskiej nie podniosę... mogę ją najwyżej popierać w pewnych sferach, gdy już będzie rzuconą.

Michorowski skłonił się.

– W panią wierzę – rzekł grzecznie.

– Och! – zawołała młoda panna.

– Czy dostanę kawy? Co u diabła! – ryknął nagle tłusty jegomość przy bocznym stoliku.

Ordynat spod brwi podniósł na niego zdziwiony wzrok i zatrzymał chwilę.

– Garson! trutniu jakiś! kawę podawaj!

Gwar panował na werandzie. Środkiem płynęła fala kobiecych kapeluszy i męskich głów. Lokaj nie zjawiał się.

– Garson! – krzyknął jegomość, podnosząc głos do wyżyn niemożliwych. – Błazny, hul- taje! czy to w waszej podłej cukierni nawet dowołać się nie można?

Waldemar nie spuszczał oczu z rzucającego się jegomościa, tylko wzrok chłodniał mu stopniowo.

– Dzika bestia! – mruknął.

– A co! nie mówiłem, że rzeźnik? – dowodził Trestka. Jemu się nawet zdaje, że jest w oborze. Jegomość stuknął laską w podłogę, wreszcie i tego mu było za mało. Zadarł głowę do góry i z miną wolarza zaczął walić laską w marmurowy blat stolika, aż brzęczały naczynia poustawiane na innych.

Lucia i Stefcia zaniepokoiły się, panna Rita zaczęła się cicho śmiać. Michorowski wstał.

– Panie! bez skandalu – szepnęła błagalnie Stefcia, przechylając się przez Lucię.

Oczy jej spotkały zimne źrenice ordynata. Złagodniał, na ustach jego mignął ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Bądź spokojna – wyczytała Stefcia w jego oczach.

Waldemar zbliżył się do jegomościa, ale miał taką minę, że szczupły urzędniczek pociągnął krzykacza za rękaw.

– Panie łaskawy – rzekł Waldemar przyciszonym głosem, lecz dobitnie – pan zapewne wraca z rajtżuli. ale tu jest cukiernia i są damy.

– Co to pan?! – zaperzył się zdumiony jegomość, prostując potężne bary.

Wystraszony urzędnik ciągnął go niemiłosiernie za rękaw. Michorowski niedbale oparł się dłonią na stoliku.

– Niech pan raczy poszukać sobie odpowiedniejszego miejsca dla swej... bujnej natury – rzekł szczególnym tonem.

Kilka osób stanęło. Oglądało się na nich.

181

– Co to znaczy! co pan znowu? – wrzasnął, zrywając się, jegomość. Waldemar stał jak posąg z lodu.

– To, panie, że ja mam tu pewne prawa i na ich zasadzie nie pozwalam w miejscu publicznym, gdzie są kobiety, urządzać knajpy – mówił dobitnie.

Przerażony urzędnik ściąga już ubranie z ramion towarzysza.

– Panie, to ordynat Michorowski – szepnął do ucha zaperzonego jegomościa jakiś przechodzący pan.

Tłuscioch zmytygował się od razu.

– Ale mnie kawy nie dają – rzekł znacznie grzeczniej.

– Niech się pan upomina, lecz ciszej, proszę! – rzekł Waldemar i odszedł do swego stolika.

Rozejrzał się bystro po werandzie... Nadbiegł wezwany przez kogoś chłopak. Ordynat



zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Pilnować służby – rzekł krótko i wskazał na stolik. Uspokojony jego sapał zawstydzony. Chłopak spuścił oczy, szurgnął nogami przed ordynatem i pospieszył na stanowisko. Waldemar usiadł i zwrócił się do Stefci.

– Pani wzrokiem mogłaby poskromić lwa – szepnęła z uśmiechem.

– Trochę wątpię – odparła.

Waldemar zaczął się śmiać z przerażenia Luci. Trestka rzekł do Rity:

– Ordynat pożarł rzeźnika, uważała pani?

– Zawsze wspaniały! – odparła zamyślona.

– Chyba nie rzeźnik?

– Niemądry pan jest.

– Zwyczajne zakończenie! – rzekł z rezygnacją Trestka.

Panna Szeliżanka zamyślona spuściła głowę. Słońce, zachodząc, wyrzało raz jeszcze przez pawilony, rozświetliło drzewa, jak ostatnie tchnienie rzuciło blask na werandę cukierni i na stolik z lodami, przy którym każdy myślał o czym innym, lecz wszystkie te myśli ścigały się do jednego mianownika.

W połowie września mieszkańcy Słodkowic i Obronnego opuścili wystawę. Ordynat zo- stał, aż do jej zamknięcia. Z pewnym smutkiem wyjeżdżali wszyscy, ale zegnali się za ledwo na tydzień. Zapowiedziane przez ordynata polowania w Głębowiczach miały na nowo rozpocząć szereg zabaw. Wiele pań rozmyślało nad zabraniami odpowiedniej ilości strojów oko- licznościowych i na bal kostiumowy, będący w programie. Wszystkich dziwił zapał ordynata.

Na wystawie on najwięcej przyczynił się do ogólnego życia, sypał pieniędzmi, imponował oryginalnością pomysłów. Odgadywano, że w Głębowiczach wystąpi jeszcze świetniej, mając stosowne do tego ramy. Nikt nie domyślał się, co go tak pobudza, choć wielu chciało dojść prawdy. Niektórzy przeczuwali w tym hrabiankę Barską; należała do ich liczby i pani Idalia. Lecz większość, z panem Maciejem na czele, nie wierzyła.

Tylko w kołach najbliższych, panny Rity, Trestki i Brochwicza, wszyscy zrozumieli wielką prawdę, ale i oni zaliczali ją do bajek.

Niespodziewane ukazanie się w salonach Mortęskiego margrabiny Silva zaciekało uświadomionych. Czy to był figiel hrabiego, czy przeczcucie margrabiny? Nagłe zniknięcie jej zainteresowało podwójnie...

– Przegrała Werka! – szeptały zadowolone panie.

Brochwicz opowiadał wszystkim, że ordynat zakończył ostatnie rachunki włoskie i wszelkie inne rubryki rzucił do pieca.

– A krajowe? – spytał dowcipnie młody książę Giersztorf. Trestka zacisnął usta i mocno ściągnął czoło.

182

– Hm! tu będzie trudniej: księżna Krystyna twardsza od Silvy...

– Nie nałóży habitu... na pewno – mówił Brochwicz. – Będą spazmy, awantury i na tym koniec. Ordynat już ofiarował Kryśce carte blanche<sup>90</sup>– mogła się oswoić. On usunie poboczne pretensje, skoro tylko zechce.

Panna Rita smutnie kiwała głową.



## XXXIV

Wystawa zamknięta. Większość towarzystwa przeniosła się do Głębowicz, gdzie nastąpił sezon polowań jesiennych. Zamek głębowicki z łatwością pomieścił gości. Waldemar przyjmował ich po królewsku.

Miała się odbyć wielka obława na wilki, polowanie na łosie, dziki i w zwierzyńcu na bażanty. Cała armia leśnej służby ordynackiej była w ruchu. Łowczy Urbański wypełniał gorliwie polecenia ordynata, komenderując z kolei podłowczymi, ci zaś mieli pod sobą zastępy gajowych i masy naganki. Psiarczyki trzymali na smyczach psy gończe i małe podpalane jamniki do wytrapania lisów z nor.

Dokoła dziedzińca zamkowego jeździły z wolna bryczki i wolanty, ciągnięte przez rosłe, spalone konie.

Masztalerze uwijali się pomiędzy wierzchowcami. W wielkiej marmurowej bramie stali na koniach trębacze, oznajmiając rozgłosną fanfarą zbliżających się gości z sąsiedztwa. Całe obywatelstwo ordynat zaprosił do Głębowicz.

Wszystko to miało wygląd wyprawy wojennej. Michorowski, w ubraniu myśliwskim, jak główny wódz był wszędzie. Witając przyjeżdżających, doglądał ostatnich przygotowań, nawet bawił panie, zebrane w wielkiej sali jadalnej, gdzie mężczyźni jedli śniadanie przed wyjazdem do kniei. Nikt prawie nie siadał, każdy stojąc trzymał talerz przed sobą. Taka swoboda sprawiała niezwykłą przyjemność. Godzina była wczesna, więc tylko młodsze panie i panny towarzyszyły wyjazdowi. Po głośnych pożegnaniach bryczki, wolanty i myśliwi konni wyruszyli z bramy zamkowej długim sznurem. Przeprowadzał ich odgłos trąb, jakby zamek, wysyłając swą drużynę na bój, dodawał jej otuchy tym dźwiękiem spiżowym.

Ordynat jechał konno, za nim strzelec Jur wiózł dwie strzelby i naboje. Waldemar miał przy sobie rewolwery w olstrach i sztylet w srebrnej pochwie. Olbrzymi dog Pandur biegł obok jego konia poważnie, lecz z butną miną. I on rozumiał ważność wyprawy. Udano się najpierw do bliższych borów. Majaczyły czarną linią i w miarę zbliżania się do myśliwych rosły w olbrzymów. Od przepaścistych głębi wiało obfitością zwierzyny. Orszak wbił się kłębem w lasy i zaraz w pierwszej kniei rozpoczęto łowy. Obława na wilki dała pyszne trofea. W pierwszych zakładach Waldemar nic strzelał, ustępując gościom najlepszych stanowisk. Dopiero w następnych zabił ogromnego wilka w biegu pomykającego wśród krzaków. Łowczy Urbański polował również i dwaj praktykanci. Główną komendę nad ustawianiem naganki prowadził jeden z podłowczych, drugi kierował psiarnią w zakładach gdzie puszczano psy. Ale nadzór ogólny miał sam ordynat. Zajęto nową część lasu, gdzie przebywały łosie.

Gęsty bór sosnowy, wysoki, podszyty liściastymi krzakami, szumiał poważnie, miał wewnątrz wielką różnorodność kolorów. Żółte i czerwone liście, cicho, prawie bez szelestu spadały na ziemię. Gdzieniedzie czerwieniły się borówki, grzyby wysuwały spod mchu tłuste swe czoła. Czerwone plamki surojadek, żółte, towarzyskie gąski, różowe rydze, okryte rosą, tworzyły ładne desenie na ciemnym mchu. Jesień wysadziła się na bogactwo, darząc las wszystkim, co mógł mieć w sobie o tej porze roku. Białe nitki babiego lala, zaczepione o złotawe pnie sosen, wiewały w powietrzu srebrnymi pasmami, owijając liście, tworząc pajęczą siatkę oplatającą las. Razem z masą włókien spływała dziwna melancholia, jakby sonety jesiennie. Jakiś ociążały spokój i łagodna cisza w naturze, i bezpretensjonalność i powaga. Cała natura zdawała się mówić: „Oto szczęśliwie dobiegam kresu”.

I dreszcz szedł po wielkich konarach drzew w obawie nadchodzącej zimy. Liście i kwiaty, i zioła przeróżne czuły, że kres idzie, żółkły im lica i więdły ciała. Uśmiechały się jeszcze

do słońca, ale już przedśmiertnie. boleśnie wspominając z żalnym poszumem miniony, złoty maj. Tylko grzyby panoszyły się butnie, słyszeć nie chcąc o jakiejś tam zimie; zaledwo wyjrzały na świat Boży i były pełne pretensji.

184

Dziś bór miał wiele różnorodności. Po ustawieniu się myśliwych zagrzmiąta donośnie trąba na wyruszenie naganki, po czym zapadła głucha cisza. Cała linia strzelców jakby zamarła, tylko gęste korony sosen huczały w górze jednostajną melodią kołysanki leśnej, tylko liście szeleszcząc spadały na ziemię. a czasem zakwilił ptak wśród gałęzi. Linie obstawiono gęsto; prawie za każdym myśliwym stał strzelec.

Waldemar miał miejsce pod ogromną sosną. Trzymał strzelbę w pogotowiu. druga stała oparta o drzewo. Nie lubił mieć za plecami służącego; jego strzelec, olbrzymi Jur, stał w pewnej odległości, mając polecenie przynosić zabitą zwierzynę po skończonym zakładzie. Nagonka ruszyła daleko, myśliwi nic słyszeć nie mogli. Bór milczał, jakby się gotując do mającej nastąpić kanonady. Waldemar wsparł się plecami o sosnę, nie bardzo uważając na ciemne głębie przed sobą. Oczy jego nie miały ironicznego wyrazu, sarkazm, częsty gość w nich, schował się głęboko, wysyłając na swe miejsce trochę tęskną zadumę. Pełne, nieco zmysłowe usta przeciągnęły się w linię stanowczą, jakby do walki, przez tęsknotę oczu przelatywały chwilami groźny błysk. Wówczas brwi tworzyły złowrogi łuk. O czymś rozmyślał, coś postanawiał, może nawet marzył... Lecz na fali marzeń musiały być jakieś porohy nieprzyjemne. One wywoływały groźne cienie w jego oczach i na twarzy.

Nagle roz pogodził się, jakby jasny blask słońca padł wprost na jego głowę. Lekki uśmiešek, prawie rzewny, przemknął po jego ustach. Wyszeptał niemal z czułością:

– Stefcia...

Wiatr wionął, żółte liście drzew poruszyły się zgodną harmonią, zaszumiły głośniejsze wyniosłe czuby sosen, kilka głosów ptasich uderzyło w niebo.

– Stefcia... Stefcia... – szeptały dokoła drzewa i kwiliły ptaki.

Z daleka zerwał się hałas kołatek i przeciągłe pohukiwanie idącej zgrai. Szła nagonka. Jeszcze chwila nateżonej uwagi... Zadudniał głuchy, potężny tętent, ozwał się trzask łamanych gałęzi i Waldemar ujrzał pędzącego z boku olbrzymiego łosia. Zwierzę rwało przez zarośla ociężałym kłusem, z podniesioną głową i położonymi na grzbiet rogami jak sękaty gałęzie.

Waldemar wymierzył, lecz nie strzelał; oddał pierwszeństwo księciu Zanieckiemu. Ten raptownie podniósł strzelbę do oczu, ale łos dojrzał ruch i skręciwszy w miejscu, rzucił się w stronę Waldemara. Zaniecki strzelił z obu luf – spudłował! Łos zadarł głowę i farbując posunął się bliżej ordynata.

Wówczas Waldemar wypalił, mierząc w komorę, raz i drugi. Olbrzym ryknął przeciągle i ciężko ranny poszedł dalej.

Brochwicz dokończył mord. A Zaniecki szepnął do siebie:

– Ordynat rozmarzony, zaczyna pudłować.

Padło kilka łosi, inna zwierzyna sypała się gęsto. Ordynat zabił dużo, otaczał go ładny wianek zdobyczy.

Gdy nagonka podeszła blisko, myśliwi zgromadzili się przy księciu Giersztorfie. Każdy opowiadał o swych zdobyczach.

– Ja najwięcej dałem strzałów – wołał Trestka.

– A zabił pan ile sztuk?

– Ile?... coś chyba... ech, nie wiem! To się potem policzy.

– Panowie, baczność! uważam, że Trestka chce ściągnąć każdemu z nas po jednym zajączku dla zwiększenia swego tryumfu – zawołał wesoło Brochwicz.

Trestka obraził się.

– Szczególnie tobie nie mógłbym tego zrobić, bobyś od razu poznał. mając najmniej na rozkładzie.

– Przepraszam cię! zabiłem sześć zajęcy, wilka i kozła. To trochę więcej niż u ciebie, gdzie tylko jedna lisia kita błyszczy w otoczeniu dwóch szaraków.

185

– Dobrze strzelacie obaj i zwierzyny mnóstwo – rzekł pojednawczo Giersztorf. Hrabia Barski zbliżył się do Waldemara.

– Czekamy ze śniadaniem na panie? – zapytał biorąc go pod rękę.

– Zapewne, już wkrótce przyjadą. Hrabia pociągnął go na stronę.

– A propos! niech mi pan powie... raczej określi bliżej stosunek tej... tej... comment donc! panny Rudeckiej do naszego towarzystwa?

Waldemar stanął jak spiorunowany, gniew zawrzał w nim, ostry wzrok zwrócił na hrabiego i spytał:

– Jaki stosunek? Nie rozumiem!

– Ah Dieu! panie ordynacie! chcę, abyś mi jaśniej wytłumaczył pozycję tej panny między wami.

– Jest nauczycielką Luci Elzonowskiej i zarazem towarzyszką... przyjaciółką.

– Nie. To wiem... Ale ona ma prawa jakieś wyższe nadane jej przez was?... Ona jest traktowana na równi z pannami ze sfery?... Ale Rudecka to trochę za mały szczebel do naszych wyżyn... za mały!

– Pozwoli pan, nasze wyżyny, jak pan się wyraził, to rzecz bardzo względna i wymagająca szerszego omówienia – przerwał Waldemar.

Hrabia skrzywił się, przybierając postawę pełną godności.

– W ustach pana trochę fałszywie brzmią jego słowa – to nuta nieodpowiednia dla potomka jednego z pierwszych rodów naszej arystokracji.

– Nie jestem, panie hrabio, fanatykiem sterowym. Cenię swój ród, lecz nie kłaniam mu się bałwochwalczo. Stygmat wyższości widzę w czynach, nie w herbie, bo taki sam noszą inne rody w kraju.

– Ale masz pan nad nim mitrę, czego ci inni nie mają. Waldemar roześmiał się przykrym, szyderczym śmiechem.

– Ach!... więc to?... u mnie mitra, u hrabiego dziewięć pałek?... to stanowi owe wyżyny? Aa! jeżeli tak, to panna Rudecka istotnie do nas nie sięga razem z Szeligami, Żninem i wszystkimi, którzy są uważani za naszych, są wśród nas, a jednak mają tylko pięć pałek w koronie.

Hrabia spojrział ciekawie, lecz z gniewem na ordynata.

– Nie pojmuję pańskiego oburzenia!

– Daruje hrabia, ale ja nie pojmuję całej naszej rozmowy. Waldemar był wzburzony i nic ukrywał tego, nie bacząc na nic.

– A jednak ja wciąż dążę do tego, aby pana przekonać.

– Nie hrabio, to na nic. Proszę się nic trudzić! Barski mówił dalej, jakby nic słysząc:

– Nasz stygmat nie leży w tej samej koronie, lecz w tradycji. To, co cały świat nazywa arystokracją, wymaga u nas pewnej bacności, nawet pieczołowitości. Nie wolno nam zapominać o tym! nie wolno wprowadzać obcych pierwiastków w nasze zgromadzenie, aby nie wywołać gangreny, paraliżującej nasze poglądy, najświętsze dążenia. Ferment taki byłby katastrofą naszych idei: nie wolno nam zapominać o tym!

Hrabia podniósł wskazujący palec do wysokości swej twarzy i wpijając w Waldemara oczy jak sztylety, powtórzył dobitnie:

– Nie wolno!

– Patetyczny głupiec! – pomyślał Waldemar. – Gangreny... paraliże... fermenty?... Co to ma za związek z panną Rudecką? – wybuchnął głośno.

– O, ma! i wielki. Ona jest właśnie pierwiastkiem...

– Mogącym nas zgangrenować?... Ha! ha!... niech pan wierzy, że jeżeli kto kogo, to z pewnością my ją prędzej zgangrenujemy.

Hrabia poruszył się obrażony.

– My przede wszystkim powinniśmy takie osoby trzymać na daleką metę. lecz nic wprowadzać w nasz świat bezpośrednio. To szerzy niepokój, budzi nieufność w towarzystwie.

– Wszystkie te wypowiedziane przez hrabiego... komunały nie mają zastosowania u nas.

W naszym domu i okolicy panna Rudecka jest uważana jak najlepiej, zasługuje na zupełne uznanie i staramy się traktować ją w sposób odpowiadający jej osobistej godności; chcemy, aby się nic czuła obcą, i każdy, kto przebywa wśród nas, musi się do tego stosować bezwzględnie. Waldemar mówił prawie niegrzecznie, szorstkim tonem. Nic dbał już o to, że hrabia jest jego gościem. Wrodzona popędliwość unosiła go jak burza. Ale hrabia zdawał się słów jego nie rozumieć; nie chciał się obrażać, bo chodziło mu o ordynata, lecz jednocześnie pragnął rozmowę wygrać.

– Ja godności tej pannie ujmować nie chcę, elle est m'eme bien tenue<sup>91</sup> i ostatecznie w Niesieckim jest zapewne jakiś zakątek na pomieszczenie Rudeckich. Mon Dieu! przecież i wśród naszej służby są osobniki z nazwiskami. których herbarz nie pominął. A jednak nie są oni zaliczeni do towarzystwa, nie bawią się z nami, nie prowadzą salonowych rozmów...

– Panie hrabio, proszę nie wyprowadzać mię z roli gościnnego gospodarza i nie robić takich porównań. To mię oburza! Jeśli pan wszedł na tę drogę, muszę go uprzedzić, że dziś przy obiedzie siądzie z nami do stołu mój rządca, łowczy i marszałek dworu. I pan, panie hrabio, przez szacunek dla mnie i dla mego dziadka, musisz im podać rękę. Co zaś do panny Rudeckiej, rola jej wśród nas jest jasno określona i ubliżyć jej bez ubliżenia nam... nie można.

– Za pozwoleniem, panie. Ja mówię z punktu tradycji. Takie osoby, jak ona, zarażają nas. Mamy dowód na panu: zbyt gorliwie jej pan broni. W sprawie takich panien można stawać, nie przeczę, można... lecz w inny sposób. N'est-ce pas?<sup>92</sup>

– Panie! – wybuchnął ordynat.

– Pardon! ale wśród nas ona jest niewłaściwym elementem, elle n'est pas pour nous!<sup>93</sup> nie trzeba się z nią zbliżać i poufalić. Panna Rudecka jest dla nas – trędowata.

Waldemar rzucił się gwałtownie. Ostre, obrażające słowa zawisły mu na ustach... Już, już miał je wypowiedzieć. Hrabia to odczuł i raptownie zwrócił się do nadchodzących panów. Jednocześnie zatętniało i na drożynie leśnej ukazała się czwórka koni, zaprzęzonych do breku pełnego wrzawy. Przyjechały panie.

Myśliwi pobiegli je wysadzać. Wszystkich rozweseliła obecność dam i przywieziona przez nie nadzieja śniadania.

Waldemar, nie zważając na nikogo, zarzucił strzelbę na plecy i ruszył pomiędzy wysokie sosny i żółtawy gąszcz podszycia. W oczach miał złe błyski, na ustach ironiczny wyraz.

Dojrzał go Brochwicz i dogonił.

– Waldy, dokąd zmierzasz? Panie już są i śniadanie dymi w pawilonie. Głodny jestem jak ten wilk, co go zabiłem.

– Idź jedz i zajmij się tam wszystkim w moim imieniu. Zwłaszcza nie zaniechaj spoić dobrze tego... cymbała!...

– Kogo, Barskiego?

– Ależ zgadłeś!

– Mój drogi! Jeden jest tylko cymbał między nami. Nic też dziwnego, że odgadłem.

– No dobrze, idź już.

– Albo co?

– Ja zostanę sam,

91 elle est m'eme bien tenue (fr.) – ona nawet ma prezencję

92 N'est-ce pas (fr.) – Czy nie?

93 elle n'est pas pour nous! (fr.) – ona nie dla nas!

– Zachwycająca naiwność! cóż tam może być bez ciebie?

– Ach! nie nudź.

Brochwicz chwycił Waldemara za ramię.

– Waldy, słuchaj! jeśli mię kochasz i chcesz udelektować Barskiego, to właśnie wracaj. Nie rób sobie z niego nic, ale to nic na owinięcie palca, to będzie najlepsza kara dla tego ma- muta. Nie wiem, czym ci dokuczył, i w ogóle dziwię się, że to zrobił, bo diablo podkopał szanse swej córki, nawet w zwykłych warunkach nie kiełkujące pomyślnie. Ale nie poznaję ciebie, Waldy! Dawniej sam pokazałbyś plecy Barskiemu. Z twej irytacji wnoszę, że zaszło coś ważnego.

– Masz słuszość! ten stary szyld wymagowanej wielkości staje się świetnym, że aż głupim, i tym zirytował mię.

– Waldy! Waldy! że on ma więcej barw w ustach niż w głowie, to o tym nawet wrony kraczą. Nie ma się czym przejmować.

Waldemar uśmiechnął się.

– Wybornie malujesz przyszłego swego teścia!

– Pochlebiam sobie, że nim nie zostanie. Papa mię mrozi – brrr! A Melania nawet ze swą gorącą cerą nie zdoła jakoś poruszyć mej północnej natury. Zaniecki bardziej nadaje się do tej kombinacji. Powiem ci coś o Barskim, czego pewnie nie wiesz. Pysznie się znalazł twój praktykant, ten najstarszy.

– Otockie?

– Tak. Wyobraź sobie, kiedy stanęliśmy na pierwszym stanowisku, hrabia najpierw skrzyczał koniuszego.

– Badowicza, za co?

– Za to, że ten przez pomyłkę powiedział do hrabiego „proszę pana”, bez tytułu. Sam sły-  
szałem.

– Bestia! – mruknął Waldemar. – Idźmy do pań. Zawrócili do pawilonu.

– Więc dalej o Barskim – ciągnął Brochwicz. – Kiedy już naganka miała ruszyć, hrabia zeszedł z przeznaczonego miejsca na drugie, bo uznał je za lepsze – z nim zawsze tak. Idąc, zapomniał strzelby, a że jego strzelec gdzieś się zawieruszył, więc Barski, niewiele myśląc, patrzy z góry na Otockiego, który właśnie stał blisko, i mówi po swojemu: „Słuchaj no, te... te... przynieś mi tam strzelbę spod krzaka”...

– Przecież mu przedstawiałem praktykantów. Jak on śmiał! – wybuchnął Waldemar.

– Tak, ale Barski już się dowiedział, że Otockie jest najbiedniejszy i że mu płacisz – to dla niego dosyć. On przecież wszystkich pracujących za pieniądze nie uważa za ludzi.

– Otockie mu pewno dał dobrą naukę? Nie jest przyzwyczajony do podobnych wybryków.

– Poczekaj. Najpierw udał, że nie słyszy, ale gdy się hrabia po raz drugi tak samo ode-  
zwał, wówczas Otockie kłania mu się z powagą i mówi: „Byłem już hrabiemu przedstawiony przez ordynata, nazywam się Otockie”. Powiedział tak i odszedł w drugą stronę.

– Pysznie! – zawołał Waldemar ubawiony.

– Ja i Żnin daliśmy brawo Otockiemu, ale Barski musi być wściekły. Waldemar zaśmiał się.

– Tym bardziej kiedy mu nadmieniałem, że przy obiedzie musi podać rękę panom z admi-  
nistracji, którzy będą na nim obecni. Wykręca się, abym mu nie przedstawił łowczego, ale go złapię wieczorem i przy wszystkich poda mu rękę.

Brochwicz klasnął w dłonie.

– Doskonale! to i o tym była rozmowa.

– Ach, daj mi spokój!

– No widzisz! i ty chcesz, abym wszedł w związki z takim utytułowanym zacofańcem? Choćby mi ciocia księżna nie dała miliona, a Barska sama się oświadczyła, jeszcze bym nie chciał. Wstydziłbym się takiego teścia. My z tobą, Waldy, jesteśmy ludzie innej rasy.

– A przynajmniej innych poglądów – rzekł Waldemar.

Powrócili do towarzystwa w samą porę. Nadjechał drugi brek pełen pań i amerykańan. Śniadanie przeszło wesoło, ale trwało niedługo, bo Waldemar spieszył. Powstał projekt, że każda z pań wybierze sobie towarzysza na stanowisko. Do Waldemara podbiegła żywo rozpromieniona hrabina Wizembergowa. Skłonił się jej z wdzięcznością, zadowolony, że wyprzedziła hrabiankę Melanię, niedwuznacznie obiecującą mu ten zaszczyt przy śniadaniu. Waldemar, pod rękę z hrabiną, niepokoił się o Stefcię. Razem z Lucią stała na uboczu, mierząc z floweru do wielkiej sosny. W gronie panów Barski coś spiskował, pewno nic dobrego dla Stefci. Niepokój Waldemara zwrócił uwagę hrabiny.

– Monsieur, vous me troublez!<sup>94</sup> wydaje się pan niezadowolony z mego towarzystwa.

– Przeciwnie, pani, jestem zachwycony. Lecz nie wszyscy mają pary, idzie trochę marudnie.

Hrabina bystro spojrzała na ordynata i pobiegła oczyma w ślad za jego wzrokiem.

– Ach! rozumiem! Lucia i panna Stefania nie mają pary. Czemuż same nie wybierają? Z pewnością wielu na to czeka. Mrugnę do Żnina, będzie mi wdzięczny. Waldemar wesoło pocałował w rękę piękną panią.

– Już nie potrzeba, Jurek się tym zajął.

– A prawda!

Brochwicz przymilał się do Stefci, aby go wybrała. Zgodziła się chętnie, poszły razem z Lucią.

Barski popatrzał na nich spod oka.

– Porwanie Sabinki! – rzekł ironicznie. – Brochwicz zapomina, że i u nas są jeszcze damy.

Zaniecki uśmiechnął się.

– Panie hrabio, prędzej porwanie sióstr syjamskich, bo one są zawsze jak przyszyte do siebie.

Barski nie lubił, gdy mu kto psuł dowcip. Spojrzał z góry na Zanieckiego i rzekł kwaśno:

– No dobrze, idź pan na stanowisko. Moja córka czeka.

Wszyscy powiadali na bryczki i wolanty, aby podjechać do dalszych kniei.

Niektóre panie i panna Rita polowały również. Ale nowy zakład w towarzystwie pań nie bardzo się powiódł.

Stefcia, Lucia i Brochwicz stali obok ordynata i nie krępowali się w rozmowie, nawet śmiech hrabiny Wizembergowej zadźwięczał czasem. Cała linia brzmiała echem rozmów. Strzały częściej szły w powietrze niż w zwierzynę, jednak ilość zabitej przedstawiała się niezłe. W jednym zakładzie nagonka ruszyła stado dzików. Z rechotem i głośnym tętentem racie waliło wprost na strzelców. Strzelanina nie ustawała, lecz myśliwi gorączkowali się, pudłując często. Na księcia Zanieckiego wyszedł olbrzymi odyniec. Kłusował ostro i przewalał na dwie strony czarne, nasiąknięte żywicą cielsko. Spod rozsuniętych wściekłością warg zwierzęcia błyskały potężne kły. Książę nie stracił głowy, wymierzył spokojnie i wypalił. Kula drasnęła dzika w grzbiet, nie robiąc mu krzywdy. Rozjątrzony potwór sapnął i ruszył obcesem naprzód. Dano do niego jeszcze dwa strzały. Kula księcia Giersztorfa zraniła odyńca w nogę. Barski przestrzelił ucho. Rozjuszony do szaleństwa zwierz, tocząc pianę, rozejrzał się krwawymi ślepiami i ruszył wprost na Stefcię. Rwał na nią ciężkim galopem, sapiąc przeraźliwie i świszcząc nozdrzami.



Stefcia zdrętwiała z przerażeniem, zbladła, lecz nie tracąc przytomności zasłoniła sobą Lucię i cofnęła się wstecz. Powstała straszna panika wśród strzelców. Brochwicz, przerażony, krzyknął na Stefcie, aby uciekała, i sam zakręcił się, jakby do ucieczki. Michorowski stał blady, groźny, lecz spokojny.

Do ostatniej chwili, kiedy myśliwi osłupieli ze zgrozy na widok rozjuszonego odyńca rzucającego się na Stefcie, nagle Waldemar przypadł do niej, błyskawicznie cofnął ją za sosnę i przyskoczywszy do dzika, szalonym rzutem ramienia wpakował kordelas aż po rękojeść w samo serce zwierza. Ugodzony śmiertelnie dzik runął na trawę, czarna krew tryskała, cielsko drgnęło w kurczu śmierci i zwierzę znieruchomiało.

Waldemar, trzymając skrwawiony kordelas, przeciągnął ręką po mokrym, bladym czole.

W oczach miał grozę, usta zacięte. Spojrzał na martwego dzika i prędko podszedł do Stefcie.

Ona, ochłonawszy, wysunęła się do niego z Lucią, bardzo blada, lecz z ogniem w łzawych oczach. Waldemar rzucił kordelas i porwał jej rękę. Wpił w nią przerażone oczy i spytał zdławionym głosem.

– Bardzo się pani zlekła?... Boże! co za wypadek! Gorąco uściśnęła mu dłońe.

– Dziękuję panu... ocalił mi pan życie z narażeniem siebie... Tego... nie zapomnę...

– Miałem straszną chwilę!... Nie mówmy już o tym.

A myśliwi i panie zaledwo teraz otrzeźwieli z przestachu, zgrozy i zdumienia. Śmiałość ordynata zaimponowała wszystkim. Pierwszy ocknął się Brochwicz, lecz był trochę zawstydzony. Wszyscy podeszli do sosny, winszując Stefcie ocalenia, a ordynatowi odwagi.

Ściskali dłoń jego z podziwem, patrząc nań ciekawie. Zwłaszcza panie przenosiły upo- rczywie wzrok z ordynata na Stefcie. Brochwicz uspokajał struchlałą Lucie. Rękę ordynata ścisnęła z kolei hrabina Wizembergowa.

– Vainqueur! maintenant vous l'avez prise, elle vous appartient<sup>95</sup>. Ordynat złożył pocałunek na jej rękę.

Po zachodzie słońca orszak myśliwych powracał do zamku, witany odgłosem trąb i or- kiestrą umieszczoną na krużganku.

Podczas kiedy myśliwi przebierali się, straż leśna pod nadzorem łowczego ułożyła zabita zwierzynę na dziedzińcu zamkowym w olbrzymią klamrę. Mieszały się razem lisy i zające, przetykane gęsto ciemną aksamitną sierścią kozłów, których głowy ładnie podparte wysuwały pysznie rogi. Koronę klamry tworzyły łosie i dziki, w środku leżało kilka wilków. Na samym przedzie, zręcznie umocowany, stał odyniec zakłuty przez Waldemara. Z półotwartej paszczy wisiały sople skrzepłej krwi, ostre, białe kły były, rzec można, urągowskiem minionej potęgi. Szklane oczy stały słupem, przerażone, jakby zwierz zdziwił się, że tak niedawno wzbudzał szalony popłoch wśród ludzi, że wywołał grozę a teraz oni trąbią nad nim larum, na sławę dla siebie, na pohybel jemu. Wilki miały wysunięte języki i wyszczerzone zęby, jakby zgrzytające z gniewu, że zwierzyna, którą tępiły teraz w tak licznym wyborze otacza ich ponure cielska tryumfalnym wieńcem. „Myśmy polegli, ale i was, tyranów, nie stało”.

Kiedy panie wyszły na dziedziniec, kilku strzelców w zielonych kurtkach, w długich bot- flotach, stojąc na boku klamry, uderzyło w trąby radosną fanfarę myśliwską. Było coś rycer- skiego w ich postaciach. Podniesione w górę trąby opiewały grzmiąco historię dzisiejszej ob- ławy, niby marsz pogrzebowy dla zgrai poległych mieszańców boru.

Goście przysunęli się bliżej, panie zaczęły oglądać zwierzynę grubszą i leżące dalej wianki ptactwa. Pieściły zgrabne główki jeleni i śliczne płowe kuropatwy. Mężczyźni opo- wiadali sobie szczegóły każdej zabitej sztuki, przy czym najgłośniej krzyczał Trestka, wyre- czając Brochwicza, bo ten nie mógł jakoś otrząsnąć się po wypadku z dzikiem, czując że ode-

95 Vainqueur! maintenant vous l'avez prise, elle vous appartient (fr.) – Zwycięzco! teraz pan ją zdobył nale-

ży do pana

190

grał w nim nieszczęśliwą rolę. Zaczęły się sprzeczki o to, kto najwięcej zabił zwierzyny. Okazało się, że właśnie Brochwicz. Ordynat ogłosił go królem. Ale Trestka, zły na to, rzekł złośliwie:

– Nie miałbyś pan tej weny, gdyby ordynat strzelał swobodnie. Ale ordynat ustępował dziś strzały gościom i oddawał im wyborowe stanowiska. W tym tkwi klucz do rozwiązania zagadki szczęścia pańskiego: ordynat oddał ci tytuł króla.

– Czemuż, na przykład, pan się o to nie postarał? – zapytał Brochwicz – jesteś także gościem. Trestka machnął ręką, jakby mówiąc:

– Każde szczęście nie dla mnie.

Stefci rękę panowie umoczyli w krwi dzika. Ją i ordynata ogłoszono bohaterami dnia. Hrabianka Melania z ojcem z wielkim wysiłkiem panowali nad sobą, aby nie wybuchnąć gniewem i oburzeniem. Z pań najwięcej zwierzyny położyła panna Szeliżanka. Waldemar wziął jedną z kuropatw zabitych przez nią i wśród wesołych żartów umazał krwią jej rękę jako tryumfatorki.

– Wiwat nasza nemrodka! – zawołał.

Młoda panna cieszyła się choć z takiego powodzenia. Ale Trestka gryzł wąsy.

## XXXV

Wieczorem zamek zajaśniał światłem elektrycznym. Okrągłe, złożone z szyb ściany zimowego ogrodu lśniły się okrągłym blaskiem i zielenią roślin. W wielkiej sali jadalnej stół, zastawiony w podkowę, nakryto na sto kilkanaście osób; zatrzęsiony masą kwiatów nurzał się w mnóstwie świateł i blasku wspaniałej zastawy! Z sali prowadziły kręte żelazne schody do zimowego ogrodu, skąd dochodził cichy szmer fontanny i sztucznych wodospadów. Schody, oplecione wieńcami kwiatów, oświetlone bukietami lampek z kolorowego szkła w kształcie tulipanów, były jak cudny przesmyk wiodący z przepysznej sali do raj, którym śmiało mógł być nazwany ten ogród. Liczna służba w galowych uniformach, pełno woni świeżych kwiatów, jakaś charakterystyczna atmosfera milionów – wszystko to wywoływało lekki zawrót głowy.

Stefcia chodziła po zaczarowanych salach trochę upojona. Oczy jej się mrużyły od widoku bogactw i gustu w rozmieszczeniu ich. Dziewczyna czuła się podniecona, jej zmysły rozdrażniły się, urok wiał na nią zewsząd i potężniał.

Inne wrażenia kołysały hrabiankę Melanię i jej papę. Ona obiecywała sobie użyć wszelkich sposobów, aby zostać panią tego zamku. Na ordynata hrabianka spoglądała z uwielbieniem, niemal z pokorą, co go drażniło i tym bardziej odsuwało od niej. Hrabia chodził po zamku napuszony; rozmyślał o efekcie, jaki zrobią jego miliony włączone w ten przepych. Może szukał, czego tu jeszcze brak. Wszystko imponowało mu, ale dobry gust panujący w rezydencji wydawał mu się zbyt skromnym.

Przy obiedzie hrabia siedział zły, bo ordynat przedstawiał rządce, łowczego i marszałka dworu w ten sposób, że panowie podawali im rękę i hrabia nie mógł postąpić inaczej. Dobre wina zdołały hrabiego rozchmurzyć, szampan dokonał reszty i pod koniec biesiady Barski pogodził się z obecnością administracji. Czynił sobie tylko w duchu postanowienia, że gdy zostanie teściem w tym zamku, wówczas wystąpi z pewnymi warunkami w przeprowadzeniu reform sferowych, na których ordynat się nie znał.

Podczas obiadu orkiestra grała na tarasie. Zamek, park, tarasy i ogród angielski były iluminowane, nawet rzeka płonęła od ognisk rozłożonych dokoła, nawet brzeg zwierzyńca i łądzie. Kolorowe lampy ozdabiały schody prowadzące do przystani, dywanowe klomby i aleje z kwiatów. Sznury drobnych lampek kołysały się pomiędzy drzewami i tworzyły poprzeczne baldachimy w alejach. Z trawników wytryskiwały światełka, niby niezliczona moc błędnych ogników. Sztuczne wodospady oświetlono ogniami bengalskimi; strzelały w górę smukłe rakiety.

Po obiedzie nikt nie pozostał w zamku. Jedni rozbiegli się po alejach i klombach, inni szli oglądać tryskające fontanny w ukwieconych basenach. Każdą oświetlał odmienny kolor ogni

bengalskich. Rozpylone pióropusze wody lśniły niby tęczowe smugi. Wiele osób dążyło do łodzi, strojnych w girlandy i różnobarwne płomyki. Gondolę „Stefanię” ozdabiały lampki tylko purpurowe i wieńce z róż, spływające aż do wody.

Druga orkiestra, fabryczna, grała na zmianę w altanie nad rzeką. Pan Maciej błąkał się też po parku, a widząc, że wszędzie jest coraz piękniej, kiwał smutnie głową. Bał się odgadywać dla kogo te cuda, ale mimo woli rozumiał.

Na tarasie hrabianka Barska wsunęła rękę pod ramię ordynata.

– Czy zechce pan pokazać mi iluminowane groty? – szepnęła z prośbą.

Była jakaś senna i zmysłowo pociągająca. Mocno wygorsowana suknia dodawała jej podniet, ciemny, gorący ton ciała odbijał od jasnych materii i pajęczych koronek. Perły drżały na jej szyi.

Wsparła ciężko obnażone ramię na jego ramieniu i pochylając głowę z pieszczotą, powtórzyła:

192

– Dobrze? pokaże mi pan te groty?

– Owszem, jeśli pani pragnie...

– Podobno są cudne.

W milczeniu zeszli z tarasu i udali się w głąb kwiatowego ogrodu między fontanny. Mięło ich kilka osób i panna Rita, która rzuciła na hrabiankę wzrok ironiczny, dziwnie przykry.

Za Waldemarem obejrzała się zdziwiona. Hrabianka mówiła:

– Śliczne są Głębowicze! Nawet sobie nie wyobrażałam, że są tak piękne. Mieszka pan jak w raj. Czy to daje panu wielką dozę szczęścia? – spytała zaglądając mu w oczy.

– To zależy, jak kto rozumie szczęście. Ja Głębowicze kocham nie za ich przepych, lecz że są moje. To moja gleba, mój teren pracy, który chcę doprowadzić do możliwej doskonałości.

– I pan potrafi. Dekoracje są wspaniałe! ma pan kobiecą rękę i gust w urządzeniu rezydencji.

Waldemar spojrział na nią niecierpliwie.

– Och! nie mówiłem o dekoracjach. W tym nie ma mej pracy. To są jeszcze pamiątki gustu babki Gabrieli. Ja jedynie dbam o zachowanie tych zabytków. Babka chciała z Głębowicz zrobić drugi Wersal, pielęgnowuję więc jej dzieło, nie żałując wkładów.

– Tak, kobiety mają zwykle większy pociąg i zdolność do tworzenia arcydzieł efektu.

Pańska żona jednak nie będzie miała pola do samodzielnych występów, gdyż wszystko, co wymarzone, już jest. Chyba zapragnie zmian...

Waldemar uśmiechnął się. Odgadł intencje hrabianki: wyciągano go na oświadczyzny.

– Jak niektóre kobiety są płaskie! – pomyślał. Hrabianka spojrziała na niego z umizgiem.

– Czy pozwoliliby pan swojej żonie na zmiany, gdyby je zaprowadzić chciała?...

– Nie wiem, pani. To są rzeczy względne.

– Rozumiem! zależałoby to może od stopnia pańskich uczuć względem żony? Ale wielkie przywiązanie, miłość zmusza poniekąd do poświęceń... największych.

Waldemar spojrział zdziwiony.

– Pani to rozumie?

– O tak! wiele rzeczy dawniej niepojętych rysuje się wyraźnie, gdy... następuje w nas zmiana.

– Dobrze, ale pani, na przykład, cóż by poświęciła dla uczuć?

– Ja?... Wszystko!

– Aż tak! No, sfery by pani nie poświęciła.

– Nie rozumiem!

– Gdyby pani kochała kogoś nie z arystokracji, czy w imię miłości zostałaby pani jego żoną?...

– Ach nie! taki wypadek mi nie grozi, quelle idee!<sup>96</sup> Nawet nie podnoszę oczu na ludzi nie naszych. Kochać mogą jedynie najwyższych.

Strojna głowa hrabianki pochyliła się na ramię Waldemara, jakby ten niemy znak miał mu powiedzieć: „Tyś najwyższy – jam twoja”.

Waldemar zrozumiał, lecz nie odczuł. Zaśmiał się trochę szyderczo.

- A więc gdzie jest to „wszystko”, co pani ma poświęcić dla ukochanego? Hrabiankę uraził jego śmiech. Zaciśnęła usta.
- Pan stawia pytania tak... dziwnie i zdaje się, że pan nie ufa w siłę mych uczuć... A jednak ten, którego pokocham, zdoła to ocenić.
- Zapewne! takie odkrycia należą do najświetniejszych tryumfów.

96 quelle idee! (fr.) – cóż za pomysł!

193

- Czy pan ich nie doznał?
  - Owszem, pani, dość wiele, ale odkryć tylko. Tryumfem nazywam szczęście wynikające z nich i mam przeczucie, że jest bajeczne, lecz tego jeszcze... nie doświadczyłem.
  - Bo może się pan o to nie starał?
  - O szczęście starać się trudno, to przychodzi samo, a chęć znalezienia szansy jest dość bładym celem.
- Hrabianka przez chwilę milczała, po czym zaczęła mówić ciszej, jakby do siebie:
- Chciałabym być mężczyzną. Mężczyźni mogą wypowiadać to, co czują, iść za popędem serca. Nam tego nie wolno.
- Głos jej dźwięczał tęsknie, oczy wzniosła w gwiaździste niebo. Były pełne iskier, gorzały niecierpliwością, ubraną w szatę melancholii.
- Waldemar patrzył na nią z ukosa. Uderzyła go jej uroda, istotnie przepyszna.
- Szkoda, że Zanieckiego tu nie ma – monologował w myśli. – Miałaby go u nóg, bo zewnętrznie... warta zachwytu. Ja, profan, zawsze wolę rękę niż rękawiczkę, zwłaszcza w sytuacji, o jakiej ona marzy... Ej! gdyby tak dawniej!...
- Waldemar spod rzęs, rzucił na hrabiankę łobuzerskie spojrzenie.
- Pani mówi, że kobiety są skrupowane w wyrażaniu swych uczuć? Ja tego nie znajduję.
  - Cóż pan chciał, żeby się same oświadczały?
  - E nie! ale one zwykle dają wenę do oświadczyn. Ich uczucia, gdy są wyraźne, ułatwiają zakochanym sięgnięcie po szczęście. Jest to taka pieśń bez słów.
- Ordynat mówił umyślnie, wiedział, że wchodzi na śliską drogę i że zarzuca haczyk, na który hrabianka może się złapać. Ale bawiło go to, nie zaliczał się do tych zbyt skrupulantów uczciwości tego rodzaju. Gwałtowny rumieniec na twarzy hrabianki rozśmieszył go, złośliwość cisnęła mu na usta nowe słowa:
- Bywają kobiety jak owe rośliny, które do słońca roztulają swe kielichy, odurzając czarem zapachu, a gdy księżyc zastąpi słońce, zamykają się, skąpią barw, chowają czar, jakby w obawie, że mniej zostanie dla ukochanego. Do takich roślin zalicza się powój, jeden z kwiatów ulubionych przeze mnie. Gdy kobieta w ten sposób daje odczuć ukochanemu swą miłość, jak powój daje słońcu barwę i bardzo subtelną woń, wówczas bez słów mówi: „Jestem twoją, bierz mię”. Są to ciche oświadczyń, po których następują słowa wypowiedziane przez męskie usta.
- Hrabianka słuchała go z napięciem, zręcznie udając upojenie. Usta jej drżały szczęściem, cel swój dostrzegła już blisko i w tęczy barwach.
- Pan lubi powój? – spytała cicho.
  - O tak! bardzo.
  - Pan tak mówi, że można się zasłuchać. Ale czy zawsze słońce odczuje mowę rośliny. Tyle się oczu doń podnosi, tyle uwielbień płynie... Czy zdoła biedny... zakochany powój dobrać cieplejszy promień dla siebie?...
  - Z pewnością, skoro powoduje nim prawdziwe i szczerze uczucie. Słońce, widzi pani, jest zbyt inteligentne, by całą sumę uwielbień podciągnąć pod jeden rodzaj. Ono potrafi różniczkować, wie, co jest wyłącznie dla niego, a co dla jego blasków, nigdy się nie myli. Wszelkie odcienie niesłuchanie łatwo odczuwa, to go jedynie broni przed zarozumiałością.

Barska drgnęła niespokojnie, bo głos ordynata i jego słowa zastanowiły ją. Spuściła oczy. Waldemar znowu zerknął na nią z boku, oczy jego miały wyraz szatański.

– Czy ja jestem słońcem, to mniejsza. Ale żeś ty nie powój, lecz zwykły słonecznik, to pewno – pomyślał.

Zbliżyli się do iluminowanych grot, skąd dochodził gwar wesołej zabawy. Hrabianka zwolniła kroku i rzekła nie patrząc na ordynata:

– Czy pan wie, że księżę Alfons Zaniecki stara się o mnie?... Głos jej miał pewne tony wyniosłe.

194

– Wiem, pani.

– Mój papa dość go proteguje, a ja... Co pan o nim sądzi?

– To bardzo dobry człowiek – trochę próżny, lecz w naszej sferze to się liczy za zasługę.

– Próżny? Nie zauważyłam! Więc mi go pan poleca?... Głos mówiącej zdradzał.

– Proszę pani, ja nigdy w podobne sprawy nie wchodzę. Zdanie o nim wyraziłem, co zaś do dalszych kombinacji, to rzecz osobistych zapatrywań, uczuć, bez udziału osób trzecich.

– Jednak mi go pan nie odradza?

– Panno Melanio, wyraża się pani w sposób ubliżający dla księcia. Jego się przyjmuje lub nie, ale radzić i odradzać nie można.

– Dlaczego pan mówi wymijająco?

Waldemar zmarszczył brwi: spostrzegł zagadkowy uśmiezek hrabianki i poruszyło go to. Był już znudzony, pragnął skończyć rozmowę, ale postawa hrabianki wzburzała w nim krew. Odrzekł szorstko:

– Nie pojmuję, dlaczego pani tak stanowczo chce znać mój pogląd na kwestię, nawiasem mówiąc, dla mnie obojętną. Lecz skoro tak jest, więc powiem. Zanieckiego uważam, za najważniejszego ze wszystkich starających się o panią.

Pannie Barskiej zamarł oddech w piersi.

– A gdybym się zdecydowała wyjść za niego?...

– Życzyłbym pani szczęścia z całą szczerością.

Hrabianka stała się bladą jak kreda. Usta jej drżały nerwowo. Oddychając szybko, szła jak przytłoczona. Milczeli długą chwilę.

Nagle Melania wyrwała rękę spod ramienia Waldemara i zawołała wzburzoną głosem:

– Dziękuję panu, sama obejrzę grotę.

– Jak pani każe – odparł z ukłonem.

Ona pobiegła do grot, on zawrócił do zamku.

– Spaliłem jeden złoty most za sobą... Ale śmieszna dziewczyna!

Stefcia wymknęła się cichaczem z parku, gdzie ją prześladował młodzieniec w monoklu, jej wystawowy wielbiciel. Razem z Lucią i młodymi księżniczkami Podhoreckimi poszła do zimowego ogrodu. Chodziła po uliczkach, wśród puszystych paproci i aksamitnych liści begonii barwnych jak emalia, po mostkach wiszących nad źródłkami. Zatrzymywała się przy skałach, z których spadały sztuczne wodospady. Mech i pleśń na kamieniach wybornie udawały naturę. W zagłębieniu skały siedzi napuszona sowa, tam znowu pod kamieniem wije się wąż, w źródłkach pluskają złote rybki.

Baseny wodotrysków z alabastru lub konchy perłowej, otoczone wieńcem kwiatów, pełne wody i pływających na niej nenufarów. Obok rosną kępami niezapominajki, smukłe lilie i żółtawe irysy. Rozpylone pióra wody szemrzą cicho. Małe ławeczki z lapis-lazuli lub różowego marmuru, ukryte wśród skał, drzew pomarańczowych i cyprysów, wśród mirtów i magnolii, nęcą wzrok malowniczością widoku. Gdzieniedzie błysnie alabastrowa figurka amorka lub boginki.

Na małej okrągłej sadzawce, której brzegi toną w krzewach irysów i paproci, buja bacik, cały z różowych muszli, w kształcie łabędzia, z bladoniebieskim jedwabnym żaglem, mogący pomieścić dwie osoby; w świetle elektrycznych lamp mieni się barwami. Olbrzymie palmy wachlarzowe i strzępiaste ozdabiają szklane ściany; kryształ rżniętych szyb w żelaznej kratce

błyszczą jak fosforyzujące morze. Tak samo świeci wysokie sklepienie, jak jedna rozeta kryształowa podtrzymywana w odstępach, w formie krokwi, żelazną rzeźbą. Na szczycie szklany dach podniesiony: widać pogodne niebo, usiane gwiazdami, trochę zaczerwienione od iluminacji. Matowe balony lamp, umieszczone wśród palm, nadają pyszny ton roślinom. Wzrok błądzi z jednych cudów na drugie, ucho śledzi z rozkoszą szmery, nie chce się wierzyć, by to była rzeczywistość.

195

Papugi spacerują poważnie po uliczkach i huśtają się na gałęziach. Wszystko tworzy ułudę jeszcze plastyczniej. I tu pełno róż, pełno dywanów aksamitnych begonii, pełno zapachów. Z każdego kwiatka wзира wdzięk, każdy szmer wachlarzowych palm podnosi urok. Rozkosz jakaś słodka, mistyczna a potężna, wnika w krew, wywołuje silne tętna, nerwy grają podniecone. Upojenie ogarnia sennie a błogie, aż do zawrotu głowy. Czar trąca w struny zmy- słów jak w harfy, śpiewa słodką, usposabiającą do marzeń pieśń rozkoszy, pieśń snów nie- ziemskich.

Stefcia chodzi, patrzy, słucha, nozdrzami wchłania wonie i nie wie, czy to jawa, czy sen? Ale nawet snów tak odurzających nie miewa nigdy. W zachwycie nie uważa, że Lucia zabrała księżniczki, aby im pokazać kostium myśliwski, przygotowany do bażantarni. Stefcia została sama. Czuje się ogłuszoną i szczęśliwą aż do bezmiaru. Nie widzi, że od kilku minut na ukwieconych schodach, wśród kwiatów stanął on, pan i właściciel tych skarbów, świetny, strojny, w aureoli kolorowych lamp; że spogląda na nią z góry, w milczeniu, jakby się napa- wał jej widokiem. Stefcia, oparta o wielki pień mirtu, zapatrzona w głąb ogrodu, stoi przyku-

ta; w swej balowej sukience, zwrócona profilem do schodów, tworzy śliczną, żywą dekorację ogrodu. Rozmarzona, nie widzi, że on wolno, krok za krokiem, zstępuje ze schodów, z utkwionymi w niej oczyma, nie słyszy jego stąpań na uliczce. On bojąc się ją przestraszyć, stanął. Wówczas drgnęła, instynkt ostrzegął ją, że ktoś jest blisko. Odwróciła się gwałtownie. On wyciągnął do niej ręce. Stefcia nie krzyknęła, ale zbladła bardzo. W tej chwili, gdy cała jej dusza przepojona była nim, widzieć go jednak nie chciała, czuła się zbyt rozstrojoną. Złękła się jego obecności i jego wzroku.

On wziął jej ręce w swe gorące dłonie, stanął bliźniutko. Czar uderzył w harfę ich uczuć, kwiaty swe wonne, zawrotnie cudne rzucił na ich twarze.

Oboje zadrżeli.

– Już drugi raz przestraszyłem panią w Głębowiczach – szepnął niskim, cichym głosem.

– Panno Stefanio, co pani?...

– Nic... nic... niech mię pan puści, proszę pana.

– Dlaczego się pani mnie boi? czemu unika?

Spojrzała na niego. Szare oczy gorzały mu ciemnym ogniem, wydawały się prawie czarne. Brwi zbiegły się na czole. W całej twarzy młodego magnata, w drzeniu ust, w nerwowym poruszaniu się nozdrzy przebijała wielka namiętność i gwałtowność, lecz zarazem jakby tkliwość. Stefcia widziała go już takim w sali portretowej... Szarpnęła się mocniej.

– Niech mię pan puści – zawołała zdławionym głosem.

On ją przyciągnął ku sobie, ręce ścisnął kurczowo. Stefcia czuła, że słabnie. Zbyt potężne siły złożyły się na odurzenie jej podnieconych zmysłów. On ją pożerał oczyma, przyciągnął do siebie i szeptał:

– Pani się mnie boi?

– Ależ nie... tylko...

– Myślałaś o mnie! Ja wiem. Nie wrywaj się na próżno. Jesteś w mej mocy... Prócz nas dwojga nie ma więcej nikogo w zamku. Zostań!

– Proszę mię puścić – krzyknęła Stefcia rozpaczliwie.

Gwałtownie, z wysiłkiem wyrwała mu ręce i jak ptak szybko pobiegła na schody. Za chwilę znikła.

Waldemar patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem, przetarł ręką czoło, przeszedł parę kroków i ciężko usiadł na ławeczce marmurowej.

– Musi być moja, choćbym miał świat zwalić – wyrzekł z namiętną energią. Spojrzał na schody, gdzie znikła Stefcia, zerwał się i poszedł za nią.

Długo szukał jej wśród towarzystwa. Znalazł obok Luci w gronie kilku osób. W oświetlonej altanie hrabina Wizembergowa grała na cytrze. Wszyscy słuchali w skupieniu. Waldemar stanął pod drzewem, za krzesłem Stefci. Widział, jak była poruszona i jak zadrżała na

196

jego widok. Gdy hrabina skończyła grać, powstało trochę hałasu. Dziękowali jej rozgłośnie. Stefcia zerwała się z krzesła. Waldemar skorzystał, pochylił się do niej i rzekł poważnie i serdecznie:

– Niech mi pani wybaczy, byłem szalony... teraz przepraszam... Na zgodę niech mi pani poda rękę.

Podawała mu ją cała drżąca.

– Tak więc już dobrze? – szepnął z prośbą.

– Tak – odrzekła.

– Byłem szalony, powtarzam, ale cenię panią nad wszystko. Poszli do grupy osób otaczających hrabinę.



## XXXVI

Na drugi dzień była przerwa w polowaniu. Całe towarzystwo bawiło się na zamku. Jedni grali w bilard w wielkiej stylowej sali, inni na placu w tenisa. Zwiedzano umieszczone na wieży obserwatorium meteorologiczne, którym zajmował się ordynat, a także bibliotekę i galerię obrazów.

Niezmiernie długa hala galerii miała sklepiony sufit, malowany ręcznie w sceny wojenne. Płótna znakomitych malarzy wisiały w pewnych odstępach w stylowych ramach. Niektóre obrazy były wielkich rozmiarów, prawdziwie imponujące. Kilka oryginałów Matejki, Siemiradzkiego, Norblina, parę dzieł Kossaka. Kopie i oryginały, nabyte niegdyś za szalone sumy, Rembrandta, Tycjana i innych artystów wszechświatowych. Wiele obrazów przedstawiało epokę napoleońską oraz motywy swojskie: heroiczne walki z historii polskiej, portrety królów, typy i krajobrazy. Galeria zdawała się nieskończona. Mieściła bardzo piękne posągi z marmuru, rzeźby i popiersia znakomitych ludzi. Z galerii wchodziło się do sali biblioteki, zawierającej w swych oszklonych, dębowych szafach niezliczoną ilość tomów. Portrety wielkich pisarzy otaczał malowany sufit. Środek sali zajmował stół dębowy, ozdobiony rzeźbą, także krzesła, ciężkie i wysokie, oraz kilka wygodnych foteli, obitych brązową skórą. Wyso- kiej weneckie okna i drzwi miały niezwykle piękne rzeźby na ramach. Stefcia przeglądała tomy z chciwością. Znajdowały się tu dzieła wszystkich autorów i stylistów polskich. Były nawet księgi stare, pisane ręcznie na pergaminach, różne statuty i listy. Literatura obcokrajowa występowała również pokaźnie, począwszy od starożytnych klasyków.

Z biblioteki wchodziło się do salonu-czytelni. Ten miał ściany jasne, posadzkę zasłaną dywanami. Wśród gaju palm stał zgrabny mahoniowy fortepian.

Sufit przedstawiał artystycznie oddany sąd Parysa. Wielkie oszklone drzwi prowadziły na balkon z marmurkową poręczą, ozdobioną figurami dziewięciu muz. Z balkonu roztaczał się

widok na tarasy i rzekę. Zwiedzono jeszcze salę muzyczną, w stylu gotyckim, nadzwyczaj wyniosłą i bogatą. Pierwsze miejsce zajmowały tam wspaniałe, odpowiadające stylem organy; był też fortepian, skrzypce, wiolonczela. Stefcia знаła już te sale ze swej bytności w lecie, lecz i teraz nie mogła się im napatrzeć.

– Sala muzyki, ale dziwnie poważna w tonie, prawda? – zagadnęła Ritę. Młoda panna lekko westchnęła.

– O tak! bo i tu więcej rozbrzmiewało skarg niż śmiechów. Widzi pani organy? One wiele pamiętają. Gabriela de Bourbon... Ale czy pani zna jej historię? To babka ordynata.

– Znam...

– Kto ją pani opowiedział?

– Sam ordynat.

– Ach tak! Otóż ona podobno wszystkie swe żale i smutki powierzała organom. Była mistrzynią w tej grze. Ordynat również grywa na nich i wysoce je ceni. Jakie na pani robi wrażenie ta sala?

– Sądzę, że ma w sobie coś klasztornego. Może to sprawia staroświecki ton ogólny. Zresztą organy widziałam tylko w kościołach; to zapewne jest powodem mego wrażenia.

– Na mnie wieje z tych wyniosłych ścian ukryty smutek – rzekła w zamyśleniu Rita.

Przeszli do przedniej części zamku, gdzie mieściła się zbrojownia. Tam najdłużej zabawił zwiedzający. Bogate zbiory broni, począwszy od zamierzchłych wieków aż do najnowszych zdobyczy, porozwieszane były w malowniczych grupach. Całe zbroje husarskie ze skrzydłami i krzyżackie stały w pełnym rynsztunku, tworząc jakby historię uzbrojenia wieków. Drogocenne, kamieniami sadzone, złote i srebrne ryngrafy z wizerunkami świętych. Hełmy, przyłbice, szable polskie, jatagany tureckie. Sztylety niektóre miały głównie skrzące

198

klejnotami. Halabardy, lance, łuki, kopie i szturmaki. Zbrojne rzędy na konie. Trąby i bębny wojskowe, piszczałki i litaury. Wszystko poumieszczane na staroświeckich makatach lub choągwiach. Na zbrojach z herbami Michorowskich tabliczki objaśniały, którego członka rodu były własnością i w jakich bitwach były użyte. W innej sali gromadziły się trofea myśliwskie, wypchane niedźwiedzie, wilki, dziki, głowy łosi o olbrzymich rogach, orły, sokoły i ładniejsze okazy ptaków brodzących i wodnych. Wśród tych zbiorów wiele zaliczało się już do zdobytych Waldemara, jeden oddział całkowicie z jego wyprawy myśliwskiej do Indii.

Stefcia widziała to na wystawie. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Murzyna, salutującego zwiedzających. Zbrojownia i sala myśliwska, zachwyciła wszystkich. Stefcia nie wiedziała, co woli: bibliotekę z czytelnią, galerię obrazów, ogród zimowy czy te zbiory.

W zamku każda sala posiadała wyłączny charakter. Zwiedzono jeszcze pamiętną dla Stefci salę portretową, słynną z płaskorzeźb, i salę gobelinową.

– To nic. Nie widziała pani jeszcze koni – mówiła Rita do Stefci.

Po obiedzie postanowiono zwiedzić sławne stajnie głębowickie, szorownie i straż ogniową. Inni upierali się przy papierni i nieco odległej cukrowni, ponieważ kampanie były już rozpoczęte. Ale Waldemar śmiał się zapewniając, że na fabryki będzie jeszcze czas. Pochlebiało mu, że mógł się poszczycić Głębowiczami, które istotnie kochał. Sam objaśniał i cieszył się podziwem wszystkich. Ale głównym ciceronem był Brochwicz. On zawsze coś nowego wynalazł i prowadził tam całe towarzystwo. Zwiedzili murowany gmach zbiornika elektryczności i poszli do stajen. Tam panna Rita wpadła w zachwyt, a Stefcia, choć przyzwyczajona do wykwinu stajen słodkowickich, stanęła zdumiona. Sam budynek ogromnych rozmiarów przedstawiał się wspaniale. Wewnątrz stajnie miały pozór salonów; każdy koń, okryty bogatymi derami, przy porcelanowym żłobie stał jak we własnym pokoju. Wszędzie przepych, wszędzie widoczne zamiłowanie właściciela. Lampy elektryczne, strojne posadzki dodawały świetności. Gdy Waldemar wszedł, głowy koni odwróciły się do niego z cichym rżeniem, nozdrza węszyły w jego stronę, kopyta uderzały niecierpliwie. Cała stajnia знаła go i witała z rozradowaniem.

Ze stajen wielkie oszklone drzwi wiodły do szorowni. Tam znowu kilka oddziałów, równie wytwornie urządzonych. Na ścianach i sztalugach wisiały najrozmaitsze uprzęże, na kamiennych posadzkach stały pojazdy w wielkiej ilości i kosztowne. Wyróżniała się uprzęż na ośm koni, zwana ceremonialną. Wyborowy zamsz, srebrne pozłacane okucia, pióropusze zdobiły ją gęsto. Ceremonialną miała swą karetę pozłocistą, ozdobioną na szczycie wielką mitrą, a wewnątrz wybitą karmazynowym adamaszkiem. Była to karetka niemal dworska. W następnych oddziałach mieściły się rzędy na konie wierzchowe, również drogocenne. Wielu panów gryzła zazdrość, innym błyszczały oczy z zachwytu. A wśród tych skarbów chodził ordynat z typowym spokojem, pełen wytwornego taktu, uprzejmy, ale i trochę dumny. Stefcia im więcej widziała jego bogactwa, tym bardziej ją przestraszał. I dziwnie było jej gorzko. Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego jego miliony zrażają ją. W Głębowiczach nie czuła się z nim swobodną, unikała go. W lecie Głębowicze oczarowały ją, teraz przeraziły. A prowadzono ją dalej i dalej. Za szorownią mieściła się wielka sala dla zwiedzających gości. Tam panował gust zupełnie odrębny, w stylu stajennym. Meble z rogów łosi, kryte żółtą, ręcznie wypalaną skórą, dębowe ściany zawieszane obrazami wyłącznie przedstawiającymi sceny z wyścigów: derby angielskich i na torach krajowych. Fotografie wielkich rozmiarów i malowane płótna przedstawiały konie rozmaitych typów w całości lub tylko sylwetki głów, Apolla w całej jego piękności; obok nich wisiały fotografie stajen głębowickich. Był portret pana Macieja na koniu w ubraniu ułańskim i Waldemara na Apollu z biegnącym obok Pandurem. W inne ramy były oprawione drzewa genealogiczne stadnin, listy pochwalne, złote medale za konie, wśród nich i medal tegorocznej wystawy.

199

Stefci podobał się bardzo portret Waldemara na koniu. Stała przed nim nieco dłużej. To zwróciło uwagę tych, którzy ją śledzili. Kilka osób z mniej życzliwych uśmiechnęło się znacząco. Hrabia Barski podszedł do niej.

– Kogo pani podziwia: jeźdźca, wierzchowca czy ramy?

Stefcia, zaskoczona zniechęta, spłonęła, lecz prędko odzyskawszy zimną krew, odrzekła swobodnie:

– Wszystko, panie hrabio, bo całość godna uwagi.

– Ale jeździec najwięcej, nest-ce pas?

– Bez wątpienia, jako punkt główny. Głos hrabiego zasyczał:

– Lecz nie dla wszystkich... przystępny. Zresztą... zachwycać się wolno... każdemu. Stefcia utkwiała w nim oczy.

– Co pan hrabia przez to rozumie?

– Och! nie będę się pani tłumaczył. Zabawne pytanie! Pani wydaje mi się wykolejoną i wkracza w horyzonty nieodpowiednie dla niej. Ale takie eskapady najczęściej źle się kończą, dla płci pięknej naturalnie... Mówię to pani przez życzliwość.

Stefcia zbladła. Podniosła dumnie głowę i mierzając hrabiego roziskrzonym wzrokiem, rzekła dobitnie:

– Panie hrabio, życzliwość pańska jest tu zbyt uczynna. O moim wykolejeniu sądzić mogą tylko ja sama. Nadto... nie ma pan prawa obrażać mię.

To rzekłszy, odeszła z pozornym spokojem.

Łzy cisnęły jej się do oczu, straszny żal gniótł serce. Lucia pytała, co zaszło, ale na próżno. Stefcia milczała.

Panna Rita, widząc scenę z hrabią, jakkolwiek nie słyszała słów, domyśliła się, o co poszło. Wracając do zamku, podeszła do Stefci.

– Co pani zrobił ten napuszony hrabia? Zagadnięta zachowała spokój.

– Mnie? Nic – odparła.

– Ależ ja widziałam; on pani czymś ubliżył. Nieznośna kreatura! Lucia podniosła na Stefcie zdziwione oczy.  
– Co! hrabia Barski ci ubliżył? ten obrzydły dziad? Ja mu dam! Zaraz powiem Waldemara. On go przykróci!  
I dziewczynka zerwała się bieć, lecz Stefcia chwyciła jej rękę.  
– Ani mi się waż, Luciu.  
– Bo ten dziad myśli, że on tu już panem, ale on ci dokuczać nie ma żadnego prawa. Ja mu tego nie daruję.  
Stefcia uspokajała dziewczynkę. Panna Rita niczego dowiedzieć się nie mogła.

200

### XXXVII

Pewnego dnia polowano na polach z chartami. Cały orszak jeźdźców i amazonek wyruszył na żółte rżyska. Ordynat powybierał najlepsze konie wierzchowe pod siodła damskie. Dla Stefci masztalerz podprowadził karą arabkę Erato, wierzchówkę Waldemara. Klacz z fantazją uderzała kopytami w ziemię, chrapiąc, z oczu jej sypały się iskry. Wszystkie konie miały bardzo bogate siodła i czapraki, nie zauważono więc, że Erato była w nowym siodle zamszowym i w błękitnym czapraku, kupionym na wystawie. Tylko panna Rita, czujna i uważająca, od razu to spostrzegła. Stefcia wzdragała się, nie chcąc jechać w tak licznym towarzystwie, ale znużona ulubioną jazdą, zgodziła się wreszcie. Waldemar sam podstawił jej rękę. Lekko wskoczyła na siodło, wyglądając powabnie w obcisłej amazonce z czarnego sukna. Na głowie miała mały kapelusik sportsmeński, ładnie ułożony na jej złotomiedzianych włosach. Jechała z Brochwiczem. Młody hrabia nie czuł jakoś ochoty do rywalizowania z księciem Zanieckim. Hrabianka, mimo swej olimpijskiej urody, nie zajmowała go. Czuł większy pociąg do Stefci i podziwiał ją szczerze. Brochwicz, towarzysząc Stefci, dogadzał i ordynatowi, dopomagając mu do utworzenia nad nią dobrej opieki. Spisków przeciwko dziewczynie nie brakowało w obozach Melanii i jej ojca. Hrabina Ćwilecka dokładała swych usiłowań, wciągając córkę Paulę i barona Weyhera, ale ten okazał się twardszym. Brochwicz drażnił pewne osoby własnej sfery, lecz mu to sprawiało zadowolenie. Wynik był ten, że się ze Stefcia bawili doskonale.

Gdy towarzystwo konne wjechało na pola, puszczono ze smyczy charty. Dojeżdżacze na siwych koniach, poubierani w czerwone kurtki i długie czarne botforty, jak maki rozsypali się na żółtych przestrzeniach pól. Charty goniły szare zające, które jak wicher pomykały do lasu. Kilkunastu jeźdźców i kilka amazoнок puściło się w cwał, rozpoczynając krwawy pościg. Odgłos trąb, wrzaski „hallali”, tętent koni mieszały się z przeraźliwym krzykiem rozdzieranych przez psy zające. Amatorów to upajało. Trestka pędził na oślep, hrabianka Barska i Zaniecki gnali na złamanie karku. Czarne ogniste oczy hrabianki płonęły, nozdrza jej poruszały się, z lubością wietrząc krew. Zmysły grały w niej jak struny w dzikim jakimś instrumencie. Książę Zaniecki, flegmatyk pozujący na Anglika, nerwowa! się na jej widok. Podniecała go...

– Demon! demon! – szeptał w zachwycie.

I gnał za nią, aż piana dmuchała z pyska jego rumaka.

Waldemar stał na boku, pilnował polowania. Sam wyruszał często w skok, ale strzelał do zająca lub lisa, zanim go charty dopadły. Nie lubił procesu rozszarpywania zwierzyny. Bawiły go głupie i zdumione miny chartów na widok padającego przed ich ciosem zwierzątka. Waldemar strzelał z konia w biegu. Apollo przyzwyczajony był do strzałów spośród własnych uszu. Częściej jednak orli wzrok ordynata biegł za karą arabką Erato...

Stefcia uganiała się po polu nie za zwierzyną, lecz dla własnej przyjemności. Lubiła konną jazdę, zwłaszcza na Erato, doskonałej wierzchowce. Stefcia uciekała jak najdalej od krwawych scen, lecz sprawiał jej przyjemność widok rozpędzonych jeźdźców i czerwonych kurtek dojeżdżaczy. Bawiły ją okrzyki i trąby, drażniły zajadłe, śmigające charty, niby wąskie pstre tasiemki. I jej oczy biegły za smukłą sylwetką ordynata. Podobał jej się sposób polowania Waldemara, widziała w tym pewną estetyczną doskonałość w połączeniu z dzielnością. Har- cując po polach spostrzegła pędzącą naprzeciw pannę Szeliżankę. Gdy Buckingham w pędzie zrównał się z Erato, młoda panna krzyknęła głośno:

– Na bok! Hala... li!...

– Proszę za mną! – usłyszała jeszcze.

Pomknęła żywo za Ritą, rozbawioną, aż jej oczy żarzyły się jak iskry. Nagle usłyszała rozdzierający wrzask zająca. Skręciła klacz na miejscu. Zaciśnęła usta, brwi ściągnął kurcz

201

bólu. Za delikatną miała naturę, zbyt wytworną na podobne odgłosy. Zwolnił biegu, jadąc tęgim klusem w stronę lasu.

– Nie mogę, cóż poradzę! – szepnęła do siebie zmartwiona.

Z boku zajeżdżał ją Waldemar. Apollo zarżał zalotnie. Erato odpowiedziała mu z wdziękiem. Konie się zrównały.

– Dlaczego nie dotrzymała pani placu pannie Ricie? – zapytał hamując konia.

– Nie mogłam, zlekłam się wrzasku zająca. Widzi pan, jaka ze mnie niezdara – odparła trochę zawstydzona.

Ale jemu oczy błysnęły.

– To dobrze, niech pani będzie sobą, tak najlepiej! Jest pani jak biały kwiat rzucony między krwiożercze zwierzęta. My tu wszyscy przy pani wyglądamy jak szakale.

Stefcia zaśmiała się.

– No, nie wszyscy. Pan na przykład...

– Ja? Morduję nie w ten, to w inny sposób. Ale uchylam czoła przed instynktami pani.

Przegalopowała obok nich panna Barska, rozogniona, z rozwianymi włosami, istna królowa burzy. Za nią pędził Zaniecki.

– Halali! – hop! hop! – krzyczała hrabianka, nie widząc Stefci i ordynata. Oczy miała utkwione w charty pędzące za koniem. Już dosięgały zająca.

Waldemar popatrzał za nią z uśmiechem.

– W swym żywiole – rzekł z lekką ironią.

Stefcia nic nie odpowiedziała, klepiąc wygiętą szyję Erato. W milczeniu odjechali dalej, a gdy konie ich rozniosły, nie zawrócili już, tylko oczy obojga goniły za sobą.

W parę dni potem po rannej obławie na wilki, w której brały udział panie, zamek głęboko- wicki zalegała głucha cisza. Polowanie odbyło się o wschodzie słońca, o dwunastej powrót, a po krótkim śniadaniu każdy zamknął się u siebie dla wypoczynku. Słońce oświecało pusty park, tarasy i uliczki wśród kwiatów, jakby zdziwione ciszą niebywałą od dawna.

Ordynat nie spał. Odbył długą naradę z łowczym i koniuszym, wydał nowe polecenia, odwiedził stajnię, fabrykę i powróciwszy do zamku, wałęsał się po nim trochę znudzony.

– Dobrze są obławy ranne, ale nudne te sjęsty – pomyślał.

Na drugim piętrze, w ogromnym sklepionym korytarzu, przeszedł się kilka razy, patrząc na staroświeckie obrazy i posągi w niszach. Nagle zatrzymał się. Jeden obraz, już zblakły ze starości, przedstawiał jakąś scenę religijną. Z boku stała odwrócona profilem Maria Magdale- na. W niebieskiej opończy, z przewiniętym dokoła szyi białym welonem, miała rozpuszczone włosy i śliczne rzeźbione rysy. Oczy pełne wyrazu ocieniały bujne, ciemne rzęsy i regularne łuki brwi. Cała postać miała w sobie dużo powagi, lecz i ślicznej zalotności. Waldemar pa- trzył długo i usta drgnęły mu nerwowo.

– Stefcia... – wyszeptał. A po chwili znowu:

– Bajecznie do niej podobna. Ten sam typ. Przetarł dłonią czoło. Idąc dalej, myślał:

– Stefcia... Samo imię. wchodzi mi do mózgu. Dziwne!...

Czuł, że w korytarzu postać Magdaleny będzie go przykuwała do siebie, postanowił wyjść. Zeszedł cicho ze schodów i w wielkim przedsiionku, łączącym dwa piętra, stanął zdu- miony. Naprzeciw niego również ze schodów schodziła Stefcia. Była w bladoniebieskiej flanelo- wej sukni z luźną bluzką, na ramionach miała zarzucony biały miękki szal, spod którego wyglą- dały włosy spuszczonego warkocza. Przed chwilą widziana postać Magdaleny stanęła przed oczyma ordynata – podobieństwo stroju wzmocniło wrażenie. Rozradowany jej widokiem, pa- trzał na nią bez słowa, stojąc w miejscu. Stefcia zatrzymała się także. Róż oblał jej jasną twarz.

– Pan nie śpi?

– O to samo chciałem panią zapytać.

202

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– A to zabawne! byłam pewna, że cały zamek chrapie. Chodzę już po nim dawno, nawet zbłądziłam i muszę przyznać szczerze: nie wiem, gdzie jestem. Pan ukazał mi się jak widmo.

Pewno i ja zrobiłam podobne wrażenie? Miał pan minę zdziwioną.

Waldemar podszedł bliżej.

– Na mnie pani nie zrobiła wrażenia widma, ale widzenia. To różnica! Przed chwilą wi- działem pani pseudoportret. Pójdźmy, pokażę go pani.

Stefcia żywym ruchem podbiegła naprzód i... stanęła. Biały szal zaczęła zsuwać, zakry- wając spuszczonego warkocz. Wahala się czegoś.

Waldemar lekko dotknął jej ręki.

– Idziemy.

– A czy to daleko?

– Już się pani boi? Czy odległości, czy mego towarzystwa? Zapłonęła, biegnąc śmiało naprzód.

– Idziemy!

Waldemar, idąc za nią, myślał:

– Ja już cię teraz zanadto czczę, abyś się mnie obawiać miała. W korytarzu stanęli przed obrazem.

Waldemar wskazał Stefci postać Magdaleny.

– Przed chwilą przyglądałem się jej myśląc o pani... Ogromnie podobna. Trzeba trafu, że bezpośrednio potem ujrzałem panią, nawet w podobnym stroju.

Stefcia szepnęła jakby do siebie:

– Czy jestem taka... ładna?...

Ordynat przysunął się bliżej i pochylił.

– Ładniejsza! boś żywa, a tamta martwa... bo ta spłowiła, a pani... kwitnie. Stefcia oddychała szybko, poruszona brzemieniem jego głosu. On mówił dalej:

– Ale Magdalena ma włosy puszczone swobodnie, a pani swoje zakrywa. Widzę panią w takim uczesaniu pierwszy raz.

– Nie spodziewałam się, że kogo spotkam – odrzekła zarumieniona.

– Ależ pani jest w tym prześlicznie! Pani powinna częściej tak chodzić. Kto ma lat dziewiętnaście, ten, ma prawo do spuszczonego warkocza. Dlaczego pani tak nie nosi włosów?

– W domu nosiłam, ale tu... nieetykietalnie – odrzekła z uśmiechem.

– Ach! dość tej etykiety!

– Pan jej nie lubi? A jednak to stały mieszkaniec tych murów.

– Wiem. Wprowadzony tu jeszcze w latach zamierzchłych, nie da się wykorzenić. Zresztą może to nadaje główny styl zamkowi.

Stefcia rozejrzała się.

– I tu nie byłam ani razu. Olbrzymi korytarz! To dziwne: takie wysokie sklepienia straszą mię. W zamku pańskim pełno tego. Dokąd ten korytarz prowadzi?

– Do prawej wieży, gdzie jest kaplica. Chodźmy tam.

– Ale...

– Żadne ale. Cały zamek w uśpieniu, jakby wymarł. Cóż pani będzie robiła sama? Do parku iść nie można, bo deszcz pada, chociaż słońce świeci. O! widzi pani?

Przez wysokie, wąskie okno w niszy wskazał jej błękitne niebo, splamione szarymi obłokami. Padał obfity, kroplisty deszcz, bijąc o szyby i spływając po nich strumieniami jak łzy.

Przyćmiony korytarz i to wąskie okno, zalane deszczem, w ciszy potężnych murów czyniło ponure wrażenie, trochę klasztorne i ciężkie. Mury te wydały się Stefcie klatką, ogromnym pomnikiem, przygniatającym wielką przeszłość ludzką, ale niewesołą; skałą, z której wyfrunęły młode orły, pełne życia, z szerokimi skrzydłami i silnym lotem, a wracają poranione, dźwigając kajdany, nałożone przez życie, jakby tradycję tych murów.

203

Dziwna ta myśl przejęła Stefcie grozą. Spod zsuniętych brwi spojrzała ostro na Waldemara.

– Co pani myśli – zapytał cicho – coś niemiłego? Skinęła głową.

– Ten zamek – to skała, a pan – młody orzeł... i już pan wyfrunął z gniazda, prawda? – rzekła dziwnym głosem. Patrzył na nią uważnie.

– Wyfrunąłem, ale wrócę. Dziewczyna spuściła oczy.

– Wróci pan... słabszy.

– Przeciwnie, silniejszy.

– I nie połamię pan skrzydeł?

– Będę o nie walczył.

– Wróci pan bez kajdan?

– Może z berłem w szponach, z berłem szczęścia, które wydrę światu...

Podniosła na niego ciemne źrenice. On patrzył na nią poważny, z fałdą na czole i odrobiną smutku w zagięciu ust.

Chwilę milczeli. Stefcia oparła się o mur i rzekła śmiało:

– Ma pan wolę i siłę hetmańską, ale czy to wystarczy?...

– Mam prócz tego nadzieję i ostre szpony, którymi w walce o swój byt duchowy potrafię rozkrwawić. Albo zginę, albo wydrę światu owo berło i skończę Austerlitzem. Jestem dziki!

– Straszny! – rzekła Stefcia w zamyśleniu – ale takie natury zwyciężają, chociaż... po największych zwycięstwach następuje Waterloo.

Brwi Waldemara ściągnęły się groźnie, w oczach zatlił ponury cień.

– Dziwnie mi pani dziś przepowiada. Moje Waterloo nastąpić może... nie jestem pyszny,

ale wątpię, czy w otwartej walce z ludźmi. Chyba zgniecie się potęga, z jaką walka jest ponad siły ludzkie. Co jednak wpłynęło na tak smutne myśli u pani, wolno wiedzieć? Stefcia wysunęła się na środek korytarza i robiąc ręką ruch okrągły, jakby ogarniający cały zamek, powiedziała bez uśmiechu:

– Te mury i tradycja ich.

Pobiegła naprzód kilka kroków, po czym odwróciła się i zarumieniona wyciągnęła do Waldemara rękę:

– Jeśli zrobiłam panu przykrość, przepraszam. Zatrzymał drobną jej dłoń w swojej i rzekł poważnie:

– Tradycja jest smutna, ale może ja będę orłem, który ją rozjaśni?...

– Daj Boże! pragnęłabym tego dla pana. Ale teraz... chodźmy już. Wielki czas. Poszli oboje poważni, zamyśleni.

W dolnym salonie stanęli w oszklonych drzwiach, prowadzących na mniejszy taras.

Deszcz padał ciągle, mimo że spoza chmur wyglądało słońce. Grad wielkich kropli bił w marmurową posadzkę tarasu. Z twardych błyszczących liści drzew pomarańczowych spadały perełki wody, lśnią w słońcu jak klejnoty.

Grupy drzew egzotycznych parkowych i kwiaty wyglądały przepyszenie w dziwacznej mieszaninie deszczu z blaskami słońca. Miało to swą odrębną cechę dekoracyjną, jakby olbrzymi, niewidzialny wodotrysk skrapiał rośliny obfitą zawieją rosy. Waldemar otworzył drzwi i tuż koło Stefci padały duże krople wody, opryskując jej suknię. Dziewczyna wyciągnęła stuloną dłoń i napełniała ją wodą, wylewając potem na kwiaty.

– Mówią, że taki deszcz w słońcu to błogosławieństwo Boże – zauważył Waldemar – więc pani zbiera błogosławieństwo w swe dłonie. Stefcia błysnęła uśmiechem.

– Zamoczy się pani, przejdźmy do czytelnicy, tu obok. Prosiła mnie pani wczoraj o „Times”. Tam są wszystkie pisma.

204

Stefcia strzepnęła ręce, dłoń wysuszyła chusteczką i weszła przed nim do małej czytelnicy, obok zielonego gabinetu Waldemara. Ordynat podał jej fotel, sam usiadł przy stole zarzuconym gazetami.

– Zaraz tu znajdę, czego pani żądała – rzekł przerzucając papiery.

– Ach, prawda! w porę przypomniałam sobie – zawołała Stefcia. – Czy pan już wysłał na pocztę?

– Już. Pocztywy odjechał rano, ale jeśli pani każe, pojedzie umyślny.

– Ależ nie. To jutro. Mam list. Chciałam go panu oddać, bo mogę jutro rano spać. Proszę, oto on.

Ordynat wziął list i spojrzawszy nań uważnie, poruszył brwiami, wydymając lekko usta.

– Ładne, oryginalne pismo i koperta, ale bardzo szablonowy adres – rzekł trochę ironicznie. – Myślałem, że pani nic podlega ogólnej modzie, raczej epidemii adresowania w kraju po francusku: Monsieur Stanislas Rudecki à Ruczajew. To samo łatwo wyrazić po polsku, prawda?

Stefcia poczerwieniała.

– Daje mi pan dobrą naukę... i ma pan zupełną słuszność. Uśmiechnął się.

– Uznaje pani to?

– O tak! pan dobrze nazwał epidemią: widzę u innych i bez zastanowienia robię tak samo.

Niech mi pan nie posądza o chęć popisania się francuszczyzną.

– Co znowu! wiem, że ją pani posiada wybornie. Ale język francuski u nas w kraju to istna szarańcza, w wielu miejscach wypiera rodowity. Już nie mówię o powszechnie przyjętych adresach, nawet listach francuskich, ale niech pani zauważy, jakie ten język ma szerokie zastosowanie, i to przeważnie w dziedzinach, w których obracają się panie. Niezbyt do pocholebne dla Polek. Większe firmy sklepowe, przybytki mody, piszą rachunki i adresy tylko PO francusku, na drzwiach umieszczają: Entree97. Panie, a i niektórzy mężczyźni modlą się



z książek francuskich, bo modlitwa po polsku jest dla nich zbyt ordynarną. Bilety wizytowe także francuskie. Dzieci nie znając dobrze własnego języka trzepią po francusku. Znałem pewną dziewięcioletnią dziewczynkę, która zapytana przez ojca, nad jaką rzeką leży Warszawa, krztusiła się: „Wis... Wis...” – wreszcie wycedziła: „Vistule”. Po prostu nazwa Wisły nie mogła dziecku przejść przez gardło. Lucia była w ten sam sposób wychowana. Nigdzie pani tego nie zobaczy za granicą, tam każdy szanuje swój język i ceni go. Francuz nie napisze na sklepie ani na etykiecie po polsku, choćby większość jego odbiorców była Polakami. Nie przeczę, że francuszczyzna jest nieodzowna, jak i inne języki europejskie, ale nie

trzeba stosować ich w kraju na każdym kroku. One mają wszechświatowy byt zapewniony, nasz tylko u nas, i jeszcze go wypędzamy. Jaki to wstyd! Śmieją się z nas obcokrajowcy, bo oni podobnego grzechu nie znają i tej dzikiej mody dawania pierwszeństwa obcym. To wyłącznie nasza cecha.

Stefcia patrzyła na niego z wdzięcznością. Rzekła porywczo:

– Zawstydził mnie pan, ale nauczył. Teraz już nigdy języka francuskiego używać nie będę bez wyraźnej potrzeby.

Zajrzał wesoło jej w oczy.

– Doprawdy? Bardzo jestem rad. Niech pani przede wszystkim będzie Polką i patriotką, a nigdy taką światową kobietą, która dla mody usuwa ojczysty język ze swego słownika. Rozumiem posługiwanie się obcą gwarą w razach koniecznych, przy służbie lub w pewnych przysłowiach. Ale mieć ją często albo stale w ustach to bluźnierstwo. Więc pani obiecuje poprawę? To już bardzo wiele. Mam nadzieję, że wyrzeknie się pani zupełnie zamiłowań hra-

## 97 Entree (fr.) – Wejście

205

bianek Ćwileckich, Barskich, wszystkich Trestków, Weyherów i tak dalej. Z naszych pań panna Rita jest najwięcej Polką.

– I to pewno stała się nią pod wpływem pana – wyrwało się Stefci. Ordynat uśmiechnął się.

– Może być. Zresztą wszyscy oni strasznie egzotyczni. Ale na nich już rady nie ma: na- zbyt czczą zagranicznych bożków, aby mogli się oduczyć od składania im hołdów.

W bocznym korytarzu rozległy się kroki lokaja. Stefcia powstała.

– Pani już odchodzi?

Podniosła ramiona, jak ptak skrzydła do odlotu.

– Uciekam, już pewno wszyscy wstali.

– Szkoda! tak nam było dobrze razem. Zabiera pani list?

– Zmienię adres. Już bym go teraz wysłać takim nie mogła. Waldemar skinął jej ręką.

– Z pani mam prawdziwą pociechę. Dobre i... śliczne „dzidzi”.

– Już pan zaczyna?

– No, już nie! Do widzenia! Oto żądany dziennik. Zaraz obiad.

– Długo siedzieliśmy – rzekła Stefcia już w progu.

– Żałuje pani tych chwil?

– Żałuję, że minęły.

Uśmiechnęli się do siebie raz jeszcze i dziewczyna znikła w bocznym salonie. Waldemar ścisnął dłońmi skronie. Szybko chodził kilka minut wzdłuż salonu.

– Ja szaleję! – zawołał rzucając się na fotel.

## XXXVIII

Nazajutrz polowano w zwierzyncu na bażanty. Zabito ich sporą liczbę. Wieczorem obiad był zastawiony na przystani zwierzynieckiej. Stojący pośrodku duży posąg Diany-łowczyni z białego marmuru otaczały stoły w podkowę pod baldachimem z żaglowego płótna i festonów dębowych, przystrojone w inicjały myśliwskie. Na słupach, okręconych wieńcami, porozwieszano strzelby i trąby. Orkiestra grała na łodziach. Po toastach szeregi gajowych, przybranych w szare kurtki z zielonym i błyszczące blachy, dawały salwy ze strzelb. Przy stołach obsługiwała straż zwierzyniecka w galowych uniformach. Kierował nią stary marszałek dworu i kamerdyner Andrzej, stojący za krzesłem ordynata. Rzeka iluminowana płynęła krwawą lalą, odbijając w sobie porozkładane na brzegach ogniska i lampy na przystaniach. W oddali na ciemnej rzece błyszczały jak gwiazdy pojedyncze światełka, ognistą wstążką okalając park i zwierzyniec. Łodzie z muzyką, iluminowane rzęsiście, cicho sunęły po czarnej tali. Z najwyższej wieżycy zamkowej wielka lampa elektryczna ciskała snopy światła, jak

nasiąknięte srebrem słońce. Przy stole panowie i panie pozostali w strojach myśliwskich. Stefcia w kostiumie z ciemnomalinowego sukna i w miękkim białym kapelusiku tyrolskim. Obie z Lucią miały zgrabne flowery i ładowniczeki, ofiarowane im przez pana Macieja. Stefcia była trochę jak zgaszona: drażnił ją impertynencki hrabia i przykry wzrok hrabianki. Waldemar ją krępował, serce jej biło dziwną obawą, gdy podchodził. Ordynat odgadł jej niepokój, a przeczuwając, że on jest powodem, unikał jej dyskretnie.

Ale inni mężczyźni pochłaniali ją wzrokiem, podobała się ogólnie. Dwóch młodych hrabiów szeptało z sobą:

– Czy to możliwe, aby ordynat pozostawił ją „na boku”? Za ładna jest... Musi tam coś być – mówił jeden.

– Traktuje ją jak księżniczkę – dodawał drugi.

– To pozor: dba o jej opinię, by mu jej nie odebrano.

– Ale można mu zazdrościć. On się w czepku rodził, zawsze i wszędzie odnajduje gwiazdy.

Rozmowy takie prowadzono z bardzo wielką ostrożnością: zmuszał do tego zupełnie towarzyski stosunek względem Stefci osób, z którymi trzeba się liczyć. Młody Michorowski, nazbyt sprytny, odczuwał wszystko i z daleka, lecz stale otaczał Stefcie opieką. Czynił to zręcznie, nikt nie domyślał się prawdy. Jedna panna Szeliżanka rozumiała jego grę. Znając Waldemara od bardzo dawna, nie zauważyła nigdy, aby się kim tak zajmował i tyle okazywał szacunku, nawet czci. Chwilami, gdy patrzył na Stefcie, Rita dostrzegała w jego oczach iskry i te ją niepokoiły. Młody magnat stał się dla niej zagadką, Stefcia dziwem. Ale spostrzeżenia swoje zachowywała dla siebie, nie dzieląc się nimi z nikim, jedynie z Trestką.

Ta para, mimo ustawicznych kłótni, nie traciła do siebie ufności. W czasie polowania panna Rita spytała swego adoratora:

– Panie, czy pan się tylko bawi, czy trochę obserwuje?...

– Dlaczego się pani o to pyta?

– No... tak sobie. Czy pan nic nie zauważa?

– O! nawet bardzo wiele. Uważam, że osoby, które chcą być wywyższone, są poniżone.

– Cóż to za styl biblijny!

– I dalej, że osoby, które nie pną się na wyżyny, mają je.

– Brawo! pan mówi o Barskiej i Rudeckiej. Tak?

– Oczywiście! Druga, nawet nie wiedząc o tym, diabło prędko leci na szczyty, pierwsza zaś... àbas le roi!98...

98 àbas le roi! (fr.) – precz z królem!

207

– Tak, jej rola tu nieciekawa. Ostatecznie widzi wszystko, bo w takich razach wzrok, słuch, instynkt niesłychanie potęgują się. A tu nawet i tego wszystkiego nie trzeba, by dojrzeć credo ordynata. Chyba każdy lepszy obserwator zauważy to, nawet zwykły widz – coż dopiero mówić o osobach interesowanych. Praktykanci i administracja ordynata albo służba... uważał pan?...

– Administracja już składa jej cichy hołd, a służba skacze koło niej jak koło pani tego zamku. To impuls wywołany taktyką ordynata. Sam obecnie trzyma się dyskretnie na uboczu.

Panna Szeliżanka pokręciła głową.

– Kto by chciał wierzyć w owo „na uboczu”, mógłby na tym bardzo źle wyjść. Ordynat czuwa niewidocznie, lecz otacza ją nimbem swej opieki. Wie o tym każdy, nawet Barski. Chciałby ją sterroryzować swą wielkością, ale czuje miecz Damoklesa w postaci ordynata. Raz jeden, kiedy ordynat był w szorowni, a ona w sali stajennej. Barski coś do niej mówił. Nie dowiedziałam się, co, ale na pewno jej ubliżył: zauważyłam jej wzburzenie. Musiała mu

też dobrze odpowiedzieć. Jest ona pod wieloma względami gołębicą, ale potrafi być i sokolicą. Nie daje powodu do impertynencji i... nie pozwoli na nią nikomu.

– O! to orlątko! – rzekł Trestka. – Ale czy ona sama jest au courant<sup>99</sup> własnego powodzenia, czy odczuwa hołdy?

– Z pewnością! – odrzekła Rita. – Ona jest inteligentna, wrażliwa i sprytna, ona w lot chwyta wszystko, ale ma takt godny salonów. Po niej każda intryga może się ześliznąć jak ślina po kryształach.

Trestka zawołał z ożywieniem:

– Fenomenalne połączenie! Takt i ognisty temperament. W niej się to bajecznie kojarzy. Może to stanowi ów czar, który ją otacza jak perfumy? Ale czy wiedząc o względach ordynata, odpłaca mu tym samym – trudno odgadnąć.

Panna Rita oburzyła się.

– Ach, pan! czyż może być inaczej?... Być przez niego tak czczoną, jak ona, i nie szaleć?... To niemożliwe.

Trestka wielkie oczy krótkowidza zatrzymał na twarzy mówiącej. Machnął ręką i rzekł apatycznie:

– Prawda! zapomniałem, że to mowa o Michorowskim... Za nim trzeba szaleć. Słyszę to co godzina, mam dowody i jeszcze wątpię. Zaiste zaczynam idiociec.

– Istotnie! – rzuciła prędko panna Szeliżanka i poszła dalej.

Było więcej osób, prócz Trestki i Rity, widzących wszystko. Niepokoił się pan Maciej. Panią Idalię drażniło to ze względu na hrabiankę. Melania nie ukrywała zazdrości... Upragniona partia wymykała się jej bez nadziei... nie pozostawało nic więcej, jak zręcznie udawać obojętność. Ale panna Barska czuła się obrażoną, więc począwszy od Waldemara, skończywszy na jej panie służącej każdy słyszał zgrzytanie i znał powód.

Hrabianka na polowaniu w zwierzyńcu ujrzała scenę, która ją przybiła zupełnie. W bażantarni Stefcia zaciął się flower. Nie mogąc go naprawić, podeszła do jednego z podłócznych. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przy niej sam łowczy Urbański, który wtedy rozmawiał z Barskim. Przeprószył hrabiego i prędko podszedł do niej. Z nadzwyczajnym uszanowaniem zaczął jej naprawiać broń. W tej chwili nadszedł drugi oddział służby zwierzynieckiej. Na widok Stefcia skłonili się nisko i jakby niechcący stanęli w dwa szeregi. Na końcu tego szeregu

była ona z łowczym. Gdy flower został naprawiony, Stefcia wdzięcznie skinęła głową łowczemu i spojrzała przed siebie. Zdziwiła się trochę, lecz nic widząc innej drogi, rzuciła flower na ramię i szła swobodnie między szeregami strzelców, którzy przed nią pochylali głowy. Odpowiadała na ich ukłony z pełnym wdzięku uśmiechem i choć już zmieszana, doszła na

99 au courant (fr.) – świadoma

208

stanowisko z godnością księżniczki oswojonej z hołdami. Za nią szedł Urbański i odprowadził na miejsce.

Hrabia Barski zaklął zły, niemal wściekły. Córka jego zakłapała z gniewu, musiała jednak podziwiać Stefcie. Tak wdzięcznego i pełnego taktu przejścia wśród kłaniającej się służby mogła jej pozazdrościć największa magnatka. Hrabianka gryzła wargi, palce wpijała w żelazo swej strzelby z głuchą zawiścią.

– Oni ją tu honorują jak... narzeczoną jego – myślała.

Ordynat stał oddalony wśród sosen i niewidzialny śledził całą scenę. Gdy Stefcia doszła do miejsca, szepnął do siebie z uśmiechem:

– Zuchy moje chłopcy! wiedzą, jak trawa rośnie. Ale ona... wspaniała! – dodał.

I dumnie wzniosł czoło do góry.

## XXXIX

Polowania, zabawy, turnieje konne trwały dziesięć dni. Wielki bal kostiumowy, od dawna będący w programie, zakończył sezon gębowicki. Biała sala balowa w zamku, podtrzymywana przez marmurowe filary, owinięte bluszczem, tonęła w świetle lamp elektrycznych, w blasku kryształowych żyrandoli, w masie kwiatów i zieleni. Sala pomieściła miejscowe towarzystwo i mnóstwo osób przyjezdnych. Kostiumy były kosztowne i oryginalne. Wyróżniała się hrabina Wizembergowa w symbolicznym ubiorze burzy. Fantastyczną, perłowo-szafirową materię ciężkiej, powłóczystej sukni ozdabiały pęki z gazy w odcieniach kłębiących się chmur, więc: brudnozłote, ciemnofioletowe, niebieskawe i szarobiałe – wszystkie łączyły się z sobą bardzo harmonijnie. Na stażowych chmurach złościły się ogniste gzygzaki piorunów ze złotych blaszek. Błyskawice udawały wszywane w gazę kawałki materii, usiane drobnymi brylantami. Taki sam sznur roziskrzonych, ale z wielkich brylantów, otaczał szyję. Ramiona owijały złote węże z kamieniami. Od krótkich rękawów spływał bujny, roztargany pęk traw, tak lekkich, że od ruchu ramion wiewał nieustannie, jakby szarpany wichrem. Czarne ciężkie włosy hrabina miała rozpuszczone; na głowie piętrzył się ciemny obłok fioletowej gazy. przesyty złotym piorunem z wielkim brylantem na końcu. Spod obłoku spływały wiotkie, długie, rozwiane trawy. W ręku hrabina miała wachlarz ze złotych blaszek i brylantów oraz złotą laseczkę. zakończoną piorunowym gzygzakiem z brylantów. Laseczka posiadała w osadzie małą pękawkę, która za przyciśnięciem wydawała suchy trzask. Kostium był artystyczny i niezwykły, zastosowany do klasycznej, lecz groźnej piękności hrabiny. Rozwiane trawy, udające do złudzenia miotanie wiatrów, i nagłe błyski brylantów czyniły kostium niesłychanie efektownym. Hrabianka Melania, przebrana za bogatą Izraelitkę, wyglądała równie dobrze, w sukni ze złotej lamy. w białym welonie, podtrzymywanym na głowie przez wysoki diadem szyty perłami. Tworzyło to wielce udatną całość z jej wschodnią urodą. Panna Rita przemieniła się w Katarzynę Howard. Lucia we włoską kwiaciarkę. Stefcia była damą czasów dyrektoriatu, w różowej powłóczystej sukni z lekkiej wełny, z jedwabną szarfą i w czarnym kapeluszu z wielkimi strusimi piórami. Włosy miała zaczesane wytwornie: bujna fala loków spływała na jej plecy. Szyję ozdobiła sznurkiem pereł dosyć cennych. W tym stroju, z wachlarzem z czarnych strusich piór, pękami różowych kamelii przy gorsie i we włosach, była poważniejszą niż zwykle, ale tak ładną i dystygowaną, że więcej biegło oczu męskich za nią niż za wspaniałą Żydówką. Waldemar i większość panów nie mieli kostiumów. Tańce szły z wielkim ożywieniem. Dwie orkiestry zmieniały się z sobą. Bal ten miał już odmienny styl niż podczas wystawy. Składała się na to przepyszna sala, dobór towarzystwa, bogate stroje i duch inny niż na balu publicznym. Ramy magnackiego zamku różniły się od hotelowych. Tu ordynat występował w roli gospodarza zabawy i właściciela. W czasie figury mazurowej do młodego Michorowskiego podbiegł Brochwicz, trzymając pod rękę hrabiankę Melanię i Stefcie.

– Elektryczność i ogień au naturel!100 – zawołał.

– Wolę ogień. Elektryczności mam dosyć – odparł Waldemar. Brochwicz oddał mu Stefcie. Hrabianka zaśmiała się przykrym, szyderczym śmiechem.

– Les extrêmes se touchent!101 – rzuciła z ironią.

Ordynat tańczył mazura klasycznie, z dystynkcją i junakierią zarazem, Stefcia płynęła: wyglądali niesłychanie. W tańcu spoglądał jej często w oczy. Ona swych nie spuszczała. W zawrotach przygarniał ją silnie, lecz bez zapału. Jego taniec, pomimo zręczności i zuchwałej

210

brawury, układał się jednak trochę posągowo, co nadawało mu wyłączny wyraz. Twarz miał prawie poważną, Stefcia pomimo zorzy w oczach – zamyśloną. Oboje byli szlachetni w ruchach. Wiał od nich urok. Musiano ich podziwiać.

– Cette fille a l'air d'une princesse!102 – zmeła w zębach hrabianka Melania. Brochwicz. dosłyszał.

– Tak, pod tą parą napisałbym: l'état c'est moi103 – rzekł z zapałem. Hrabianka rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

Na boku pod filarem stał pan Maciej. Oczy jego ściagały tańczących z uporem, ale bez przyjemności. Przeciwnie zsunięte brwi starca wyrażały grozę, oczy świeciły ponuro. Widywał tańczącego wnuka, lecz jakoś inaczej. Mazur z tą dziewczyną przeistaczał go. On, nie- wielki zwolennik tańca, teraz wkładał weń całą duszę, patrząc na Stefcie nie widział już nic więcej. Albo ta Stefcia?... Pana Macieja ogarniał niepokój. Jak ona dziś wygląda! Ta różowa dama z czasów dyrektoriatu, z wytwornym wdziękiem podnosząca do ust wachlarz, z uroczą powagą płynie przez salę jak księżniczka. Pan Maciej nie poznaje codziennej Stefcie, w skromnych sukniach, wesołej, nieraz rozbawionej jak dziecko albo z tęskną myślą na świeżej twarzy. Co ją dziś czyni poważniejszą?... Zawsze jest zręczna, lekka jak powiew, zawsze delikatna, pełna powabu i uroku. Ale ten majestat, wykwintna dystynkcja, zdobiąca ją dzisiaj, uderza starca. Patrzy na nią. patrzy i przypomina sobie chwile zasnute mgłą odległych lat; przemyka oczy, słucha, jak serce bije mocno z grozy, poruszone wspomnieniami, i nagle z piersi jego wydobywa się jęklivy starczy głos:

– Ona... zupełnie ona... Skąd to podobieństwo?... Co to jest?... A po chwili znowu prawie z przerażeniem:

– Imię, uroda, wiek, czar – wszystko jak u tamtej... Boże!...

Starzec stoi jak przykuty i śledząc różową postać, coraz nowe odkrywa podobieństwa i rani swą zdrętwiałą duszę.

– Ten sam charakter, usposobienie... te same ruchy i głos... Czy to ona w odrodzeniu?... Zadrzał na całym ciele.

– Czy i przeznaczenie takie same?... Jakieś fatum naszej rodziny... Boże zmiłuj się! Pan Maciej był silnie zdenerwowany, unikał wnuka, nawet jego wzroku.

Po skończonym mazurze ogród zimowy, zamkowa oranżeria i palmiarnia, przytykająca do sali balowej, napełniły się strojnymi postaciami pań i panów. Inni przechadzali się po ogromnej, pysznie urządzonej hali. będącej dopełnieniem białej sali. Stąd wchodziło się na żelazną rzeźbioną galerię zimowego ogrodu, biegnącą dokoła szklanych ścian z widokiem na całe urządzenie wewnętrzne.

W spacerowej hali zwracały uwagę płaskorzeźby sufitu, przedstawiające walki i pochody wojskowe z szeregami jeźdźców na koniach. Cała hala miała ton niebieski i nadzwyczaj cenną wenecką posadzkę mozaikową.

Wszędzie bawiono się wesoło. Wachlarze powiewały wolno, gorączkowo i namiętne. Rozległy się głośnie lampki, nieznacznie poumieszczane wśród palm i kwiatów, łagodnymi błyskami pełzały po obnażonych ramionach, kładły w oczy melancholijne cienie.

Waldemar usiłował spotkać Stefcie, ale mu ciągle ktoś w drogę wchodził. Sam zresztą miał zbyt wielkie powodzenie. Po długich poszukiwaniach odkrył jej różową suknię za grupą drzew palmowych, usłyszał jej wesoły młody głos i stanął, chcąc się przekonać, z kim rozmawia.

Obok niej ujrzał Trestkę. nieco dalej pannę Ritę w towarzystwie miejscowego lekarza z Głębowicz. Trestka miał minę bardzo zajętej, dowodził coś z ożywieniem. Waldemar, zaintrygowany zbliżył się.

O czym oni mówią?

102 Cette fille a l'air d'une princesse! (fr.) – Ta panna ma wygląd księżniczki!

103 l'état c'est moi (fr.) – państwo to ja

– Widzi pani – rozprawiał Trestka – ja jestem szczerzy: zmieniła się pani na awantaż. Nie powiem, żeby pani wypiękniała, gdyż i dawniej nic pani nie brakowało, ale jakaś zmiana jest – i to nasza zasługa.

– A to jakim sposobem?

– Miała pani rasę. ale trochę tremy, co psuło efekt. Nie mogła się pani zorientować w nowych ramach.

– Czyli że teraz mieniłam się na lepsze?

– Ba! i jak jeszcze. W tym stroju jest pani zachwycająca. Wyobrażam sobie Napoleona na moim miejscu.

Stefcia parsknęła śmiechem.

– Skąd panu znowu Napoleon przyszedł na myśl? Czy z powodu mego kostiumu? Nie przypominam chyba Józefiny Beauharnais.

– Strasznie pani cnotliwa, skoro widzi Napoleona tylko przy Józefinie.

– Więc może do Marii Ludwiki jestem podobna?

– Ach. co znowu! to była glista, nie kobieta. Stefcia zaśmiała się.

– Wyborny pan jest! Jakże można robić takie porównanie?

– W każdym razie moje jest mniej potworne niż zestawienie pani z Marią Ludwiką.

– Ach! mam to uważać za komplement i podziękować? Tego musi się pan wyrzec, bo nie dziękuję nigdy za komplementy.

– Ale je pani lubi, co tu gadać! Ode mnie one nic robią wrażenia. Gdyby tak Napoleon...

– O! niech już pan nie nudzi tym Napoleonem. Czy on mówił komplementy?

– Jemu mówili.

– W każdym razie nie kobiety.

– Ajej! najwięcej! On miał szaloną wenę, na tuziny liczył wielbicielki! Chce pani, to je wymienię, bo widzę, że pani słaba w epoce napoleońskiej.

– Dziękuję, znam ją dokładnie.

– Czy ze szczegółami?...

– Zdaje mi się.

– No więc egzamin: które wielbicielki byty z nim pod Trafalgar, które pod Berezyną, a które w wąwozach Somosierra – bo on i tam flirtował.

– Niech pan sam na to odpowie i postawi sobie piątkę, a już z góry wołam: brawo!

– I bis?

– Nie, i zapuszczam kurtynę.

To rzekłszy, Stefcia frunęła w drugą stronę palmiarni.

– Dowcipna i umie się bronić – mruknął Trestka.

Dziś Stefcię napastowano ze wszystkich stron. Zaledwo odeszła od Trestki, gdy spotkała się z monoklem swego adoratora z wystawy. Chciała go minąć, lecz posunął się do niej żywo, uprzedzając Waldemara.

– Panno Stefanio, pani mię dziś tyranizuje. Nie otrzymałem ani jednego lepszego słówka, a z tańców tylko ten nędzny walc.

– O! panie hrabio, powinno to panu wystarczyć.

– Merci! wygląda pani jak królowa, ale dla swych poddanych jest pani bezlitosna.

– Doprawdy? Kogóż to pan uważa za mych poddanych?

– Siebie przede wszystkim.

– Radzę panu przejść pod inne berło. Będzie to korzystniej dla stron obu.

– Jestem rojalistą, przywiązany do dynastii.

– Ależ hrabio, ja przedstawiam republikę dzisiejszym strojem.

– To nic. Mimo to władza pani berłem. Ale ja nie mam szansy. Szczególnie ta palmiar- nia... Ciągłe mi się pani kryje.



- Cudowne palmy!
- Jak wszystko w Głębowiczach. Panie nawet ordynata nazywają cudownym.
- Pan się na to nie zgadza?
- A pani?...

Stefcia się zająknęła.

- Ordynat jest zastosowany do swego otoczenia – odrzekła prędko.
- To znaczy cudowny.
- Och, nie! Lubię cudowne rzeczy, ale cudownych ludzi nie znoszę.
- To nie wiele mówi! Przy tym jest pani sama z sobą w niezgodzie. Stefcia złożyła mu dworski, powłóczysty ukłon.
- Monsieur! je suis enchantée<sup>104</sup>. Zaśmiała się i znikła.

Hrabia ruszył wytrwale za nią.

Waldemar, słysząc wszystko, przeciągnął ręką po czole.

- Jak ona potrafi ich zbywać i jak sobie z nich nic nic robi – szepnął zadowolony. Postanowił zbliżyć się do niej sam.

Siedziała na marmurowej ławeczce z księżniczką Lilą Podhorecką w otoczeniu kilku pa- nien i panów. Gdy Waldemar podszedł. Stefcia zwróciła się do niego:

- Panie Michorowski, prosimy na kongres międzynarodowy. Jest tu dosyć narodowości w kostiumach. Jedni obstają za menuetem, a drudzy chcą jeszcze napawać się palmami.
- A pani do których należy?
- Ja zajmuję stanowisko pośrednie, bo menueta nie tańczę. Wybrano mię na arbitra.
- Zatem interwencja moja nie jest potrzebna?
- Ale do jakiego należy pan obozu?
- Ja jestem za menuetem. A większość głosów?
- Tak samo. Więc sprawa rozstrzygnięta.

Wdzięcznym ruchem uderzyła się wachlarzem w dłoń. Wodzirej, młody książę Giersz- torf, wybiegł na salę. Wkrótce zagrzmiała muzyka. Menuet popłynął melancholijną, dźwięczną nutą. Stefcia i Waldemar stali w drzwiach palmiarni pod wielkimi festonami róż i zieleni.

- A pan nie tańczy?
- Nie, pani.
- A jednak pan głosował za menuetem?
- Umyślnie. Wolę rozmawiać z panią.

Stefcia umilkła. Rozbawionymi oczyma ściągała barwny sznur wijących się par. Biała sala, ubrana w palmy i kwiaty, strojna we fraki i wspaniałe złocenia, fantastyczne postacie, chylące się ku sobie w wytwornych ukłonach, sprawiały wrażenie z pierwszych lat stulecia.

- Tak musiały wyglądać bale w Sans-Souci i Wersalu – rzekła Stefcia do ordynata.
- Tak, tylko brakuje peruk i koronkowych żabotów, no i pończoch.
- I muszek na twarzach pań oraz kokieterii – dodała Stefcia.
- Tej zawsze dosyć. Nawet i pani ma trochę kokieterii.
- Doprawdy?
- Ale u pani jest ona wyłączna. Kokieteria mimozy pociąga bezwiednie i nawet jest wy- bredna.
- Z czego pan to wnioskuje?

Michorowski z ładnym uśmiechem poruszył głową.

– Stawia pani dość śmiałe pytanie. Gdy zechcę być szczerym, muszę być zarozumiałym, a na to mi nie pozwala własna etyka.

Dziewczyna zmieszała się, ale odpowiedziała szczerze:

– Może i jestem wybredną, lecz... tam, gdzie przestają nią być, tracę zwykłą odwagę i wówczas zapewne mam bardzo naiwną minę.

W oczach ordynata błysnął promień radosny. Ogarnął ją pieśczośliwym wzrokiem.

– Nie naiwną, broń Boże! ale zakłopotaną – i to na panią rzuca dziwnie ładny refleks, wzruszający. To stanowi doskonały kontrast ze zwykłą pani wesołością i swadą. Trudno się domyślać, że jej wdzięczna zuchowatość może mieć takie chwile, jak obecna, i ... śliczne.

Stefcia spojrzała na mówiącego. Po twarzy jej przebiegła jasna błyskawica rumieńca, charakterystyczna u niej, a zawsze czarująca Waldemara.

– Zdaje mi się, że pan...

– Wkracza w zarozumiałość? Sama mię pani do tego upoważniła, niechcący naturalnie.

Ja zaś pochlebiam sobie, że w oczach pani mam nieco więcej szans od hrabiego z monoklem, Wilusia i Trestki.

Stefcia uśmiechnęła się.

– Trzeba przyznać, że nie wybrał pan zbyt silnych przeciwników. Tu zarozumiałość pańska trochę blednie.

Waldemar skłonił głowę wytwornym ruchem. Był to rodzaj podziękowania. Milczeli jakiś czas, po czym on rzekł znowu, wskazując tańczących:

– Niech pani zauważy entuzjazm niektórych pań. Menuet nazwałbym tańcem najśenniejszym, a jednak rozgrzewa. Dobry wynalazek! Często w tańcu odkrywa się temperament. Ale każdy widz z daleka musi się dziwić, co tych ludzi tak podnieca.

– Tak. Lecz podobnego wrażenia może doznać człowiek nie tańczący, zatem nie amator. Gdy jest przeciwnie, widok tańczących musi porywać. Chciałabym jednak wiedzieć, jaki człowiek pierwszy raz zatańczył?

– Albo wariat w przystępie szału, albo jakiś beżmiernie zadowolony osobnik, może jaskiniowiec z epoki jurajskiej wykonał taki radosny odruch przy szczęśliwie zdobytej zwierzynie.

– Albo po zjedzeniu własnej żony, którą to biesiadą zakończył miodowy miesiąc – odezwał się za nimi głos Trestki.

Stefcia i Waldemar zaśmiali się.

– Skąd pan wiedział, o czym rozmawiamy? Zapytany zrzucił binokle.

– Mam wyborny słuch, a że także nie tańczę menueta, bo mi działa na nerwy, więc podążyłem do państwa. Kwestia postawiona przez pannę Stefanię podobała mi się. Jeżeli mię tu nie chcecie, pójdę sobie. Liczę jednak na waszą uprzejmość. Spójrzcie państwo na Barskiego:

co za niesłychany wzrok skierował na nas. Uważacie? Michorowski zmarszczył się.

– To także jaskiniowiec nowoczesny.

– Gdzie jest panna Rita? – zapytała Stefcia.

– Kłaniają się sobie ze Żninem i są zadowoleni.

– A pan nic na to?

– Cóż mam zrobić: w łeb sobie palnąć czy powiesić się? – odparł krzykliwie.

– Nie, ale razem tańczyć.

– Ani myślę. To byłaby za wielka ofiara z mej strony.

Księżę Giersztorf zakończył menueta. Pary rozsypały się. Wachlarze poszły w ruch. Krótki odpoczynek i przy dźwiękach orkiestr długi barwny sznur ruszył do sali jadalnej, poprzedzany przez marszałka dworu. On umieszczał pary przy świetnych stołach. Była to już uczta pożegnalna – wszystkich na tę myśl ogarniało wzruszenie...

Nazajutrz umyślnie sprowadzony fotograf zdejmował grupę towarzystwa w kostiumach. Stefcia stała w drugim szeregu, trochę z boku. Waldemar nadszedł, kiedy już grupę ustawiono. Stał za Stefcia. Przewyższał ją, ale musiał się nieco przesunąć w bok, gdyż jej duży kapelusz zasłaniał mu dół twarzy. Hrabianka w pierwszym rzędzie nie zauważyła tego. Rita, przeciwnie, szepnęła cichutko do Trestki:

– Pierwsze publiczne tête-à-tête 105. Trestka skinął głową twierdząco.

Oprócz zbiorowej grupy wszystkie panie zdejmowały się osobno, w kostiumach i w balowych strojach, Stefcia w swym kostiumie z czasów dyrektoriatu, a na prośby Luci – w codziennej szarej sukience i w koralach.

Była grupa myśliwska w zwierzyńcu, grupy na łodziach; zdejmowano konne kawalkady, partie tenisa i grę w bilard. Cały dzień zeszedł na zdjęciach. Niektórzy goście przed wieczorem wyjechali na kolej, inni mieli opuścić Głębowicze na drugi dzień rano. Odjeżdżające panie otrzymywały od ordynata bukiety, orkiestra grała na kruzganku.

Ostatni wieczór zgromadził w sali jadalnej znacznie szczuplejsze towarzystwo i dziwnym trafem najsympatyczniejsze. Wyjechali Barscy i kilka osób ich pokroju. Zaraz inny duch powiał.

Wyjazd hrabianki nie był tryumfalnym. Dostała bardzo piękny bukiet, orkiestra grzmiała jak dla innych, wiozła ją wspinała kareta i cztery siwe araby, ale hrabianka miała złość na twarzy. Spotkał ją zawód. Nic została narzeczoną ordynata i żadnej nadziei mieć nie mogła. Najwięcej ją gniewała świadomość kto jest winien jej porażce.

Hrabia jechał posepny jak chmura. Wymarzona godność teścia w Głębowiczach uciekła przed nim, w jej doścignięcie już nie wierzył. Miał głuchy żal do córki, wyrzucał jej obojętność dla ojca i dla własnego herbu, nie myśląc, że jej ambicja cierpi również dotkliwie, nawet więcej. Hrabia patrzył na pyszną urodę córki, przymykał oczy, haftował ją sobie na tle olbrzymiego posagu i dziewięciopałkowej korony z herbem na żółtym polu. Ogarniało go zdumienie. „I to wszystko nie podziałało na ordynata? Ależ idiota, głupiec!” Ilekroć przed oczyma dumnego pana przesunęła się delikatna, wdzięczna postać Stefcia, zaciskał pięści.

Uosobienie rozgoryczonej pary hrabiowskiej zdawało rozsadzać karete. Ale ogiery arabskie pędziły do stacji kolejowej wyciągniętym kłusem, oddalając się od niewdzięcznych Głębowicz, co jak złoty sen hrabianki przechodziły w mgłę.

W zamku nie było smutno, lecz trochę odmiennie. Wszystkich ogarniał melancholijny spokój po gwarnych dniach. Chodzili po wąskich uliczkach zimowego ogrodu, zaglądali do winnicy, do ananasarni, do uroczej doliny róż.

Każdy myślał z żalem, że jutro trzeba opuścić zaczarowany zamek. I niejedno westchnienie wionęło, niejedne oczy szukały tego, który stanowił minionych zabaw, środkowy punkt zamku.

Stefcia nie wdychała, nie oglądała się za Waldemarem, cicha i milcząca. Doznawała dziwnych uczuć: że chce się stąd wyrwać i nie może, chce uciekać – coś ją trzyma, chce się bronić – coś woła za nią: „Za późno!” Było jej tak ciężko, jakby ten ogromny zamek walił się na nią. Przepych, wspaniałość znowu zaczęły ją dławić. Żal niestłuchany rozrywał piersi łkaniem. Tłoczyły ją uczucia i paliły ogniem.

W parę dni potem odjeżdżali goście ze Słodkowic. Księżna Podhorecka wyjechała wcześniej z synem, synową i Ritą.

Głębowicze były trochę smętne w tonie, jakby pierwsze dni październikowe tak je nastroiły. Służba miała zgorzkniałe miny, lokaje włóczyli się sennie. Choć czekał ich zasłużony odpoczynek, żalowali świetnych dni, obliczając zyski, mogące zadowolić najchciwszych. Rządca Ostrożęcki i dwaj praktykanci, schodząc z tarasu ujrzeni naprzeciw siebie wstępującego na schody ordynata. Szedł z cieplarni zamyślony, w ręce niósł pyszny bukiet żółtych róż. Panowie usunęli się grzecznie. Spojrzał na nich i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dokądże to panowie dążą?

– Tak włóczymy się po zamku, wywołując minione echa – odrzekł jeden z praktykantów.

– Smutno będzie teraz w Głębowiczach, co?

– Zapewne... Rozbałamuciliśmy się trochę.

– Nie dziwię się wam, bo i ja jestem rozbałamucony. Nudniej mi teraz będzie samemu w Głębowiczach.

Skinął im grzecznie głową i wszedł na taras. Po chwili znikł. Ostrożęcki rzekł półgłosem:

– Cóż panowie na to? Ordynat z bukietem róż, przyznający się do nudów w przyszłości...

Osobliwość!...

Młody praktykant, hrabia L., włożył ręce w kieszenie marynarki.

– Wcale nie osobliwość. Bukiet dla panny Rudeckiej i nuda za nią. kwintesencja zaś tego: panna Rudecka przysłała ordynatową.

– Sądzi pan? – zdziwił się Ostrożęcki.

– Czy sądzę? Wierzę w to jak w ewangelię. On przecież za nią szaleje, ślepy by dojrzał.

Z tego powodu Barski wścieka się, z tego powodu wyniknie wiele krzyków, hałasów, bo arystokracja stanie dęba, lecz rezultatem będzie Veni Creator. Ordynat inaczej nie dostanie Rudeckiej, a że jest wprost oszalała, więc u stóp ołtarza sprawa musi się zakończyć. Ona zaś takiej partii nie odrzuci, to pewno.

Ostrożęcki zmarszczył się.

– Czy tylko ordynat naprawdę myśli o ołtarzu? Ostatecznie... to magnat z krwi i kości, choć wyjątkowy, ale zawsze feudalny, a że jest widocznie podniecony... To na nią działa i musi działać. On się może podobać. Otacza ją królewskimi hołdami: to samo zdoła odurzyć pannę Rudecką, nie mówiąc o jego własnej osobie, która już, zdaje mi się, nie jest jej obojętną. Jego miliony zastawiają tu na nią sidła. Lecz jak się to skończy – nie wiadomo. Jeśli on ma względem niej zamiary szlachetne... szkoda byłoby dziewczyny... To kwiatek za ładny, za świetny na zmarnowanie, nawet w takim przepychu.

Hrabia praktykant zaśmiał się.

– Dlaczego? czy pan sądzi, że panna Rudecka nie może zostać płomieniem ordynata... bez żadnych sakramentalnych zastrzeżeń?...

– Szkoda by jej było!

– Bagatela! nie z takimi miał ordynat do czynienia i nie myślał o żadnych zobowiązaniach. Miałby się zastanawiać nad panną Rudecką? Jest ładna, wytworna, to tym lepiej, jest z temperamentem, to podnieca mocniej. a że jest cnotliwa – to zaostrza apetyt. Ordynat doskonale to rozumie.

– Niech pan tak nie mówi. To byłaby nikczemność. do jakiej ordynat zdolnym nie jest. Panna Rudecka stoi towarzysko bardzo dobrze, w Słodkowcach ma swoje fory. z czym ordynat musi się liczyć.

– Och, panowie! to nie są skrupuły dla ordynata. Jego przeszłość dowodzi, że się lubował tylko w wytwornych i wyszukiwał je w wysokich sterach. Nie szlifował diamentów nie oce-

216

niał nigdy; to esteta! Ale bywały zawilsze sytuacje i zawsze potrafił wybrnąć zwycięsko. Nie zawahałby się i tu, lecz... tu jest coś innego... coś, co pachnie sakramentem. Panna Rudecka nie tylko rozplómiła ordynata, lecz włązi mu do mózgu.

– I wszyscy to rozumieją – dodał Ostrożęcki – nawet służba. To nie jest przelotna sła- bostka. Kwestia tylko, czy ordynat potrafi wytrwać do końca i czy zdoła złamać przeszkody, jakie będzie stawiała jego zamiarom stera, do której należy.

Rozległ się głuchy turkot kół i tupot koni przed podjazdem zamkowym. Poszli spiesznie. Stefcia stała w głównej sieni zamkowej przy schodach, już w płaszczyku i w kapeluszu. Zapinała rękawiczki, bawiąc się z Pandurem. Lucia biegła po schodach, wołając matki. Z bocznego korytarza wyszedł Waldemar, stanął obok Stefcii i wręczając jej bukiet rzekł z powodu obecności służby po angielsku.

– Niech te kwiaty przypominają pani Głębowicze i pachną tam w jej pokoiku. Stefcia spłoneęła. Patrząc serdecznie na niego odpowiedziała:

– Dziękuję. O Głębowiczach nie zapomnę, bez pośrednictwa kwiatów. Pocałował ją w rękę.

– One również zachowają pani obraz. Ukraszała je pani. teraz osieroca... Zostanę tu jak pustelnik.

– Więc niech pan jedzie z nami.

Spojrzał na nią błyskawicznie. Iskierki zatliły mu się w oczach. Odwrócił się do zebra- nych lokai wydając rozkaz:

– Niech osiodłają Apolla.

Młodszy pokojowiec wypadł na ganek. Jednocześnie ze schodów schodziła pani Idalia z Lucią i pan Maciej, prowadzony przez kamerdynera. Słyszeli ordynata.

– Jedziesz z nami? – spytała baronowa, patrząc na zaróżowioną Stefcie i żółte róże w jej ręku.

– Tak – odrzekł Waldemar – Boję się tych pustych ścian. Nigdy nie wydadzą mi się bar- dziej smutne jak teraz.

Podskoczył na schody i usunąwszy lokaja, sam podał ramię dziadkowi.

Nadszedł Ostrożęcki z praktykantami, marszałek dworu i łowczy. W portyku pod filarami zebrali się lokaje i pokojowcy. W drzwiach stał koniuszy Badowicz. Orkiestra grała na kruz- ganku ulubioną Stefcii uwerturę Suppego: Chłop i poeta. Pani Idalia i Lucia miały również ogromne bukiety kwiatów. Lando, wybite karmazynowym aksamitem, zaprzężone było w czwórkę rosnących folblutów złotogniadej maści, z forysiami na koniach i z tyłu landa. Obok osiodłany Apollo wyrzucał niecierpliwie głową, pieniać się i bijąc kopytami w żwir podjazdu. Od portyku do bramy w arkadach stały dwa szeregi strzelców na koniach w strojach odświe- nych, z Jurem na czele. Stefcia zajęła przednie siedzenie wraz z Lucią.

Ordynat wskoczył na konia.

– Powracam jutro – mówił żegnając się z administracją. Lando ruszyło. Szeregi strzelców pochyliły się salutując odjeżdżających. Gdy lando wyjechało za pierwszą bramę, szeregi roz- łamały się i formując w czwórki, pocwałowały w ślad za nim. Jur prowadził kolumnę. Z wie- ży zamkowej zagrzmięła fanfara na trąbach hucznie, trochę żałośnie. Był to wyjazd królew- ski, ale uradował tylko Lucie. Pani Idalia siedziała nadęta, pan Maciej smutnie zamyślony. Oboje odgadywali, że te parady i towarzystwo Waldemara nie jest dla nich, lecz dla Stefcii. Pan Maciej unikał wzroku dziewczyny. Ona to odczuwała. Ciężar nieznośny gniótł jej piersi, na twarz wystąpiła łuna. Waldemar jechał obok i także milczał. Stefcia widziała giętkie nogi Apolla w energicznym rytmie tęgiego kłusa, widziała stopy Waldemara w wytwornych bu- tach, z błyszczącymi ostrogami. Trochę nerwowo szarpnęła strzemieniem. Siodło i uzdeczki wydawały cichy skrzyp. Apollo gryzł wędzidło, plując pianą. Stefcia chciała spojrzeć wyżej,

lecz bała się wzroku Waldemara, który czuła na sobie. Rozmowa nie szła, wszyscy mieli zwa- rzone miny, prawie w milczeniu dojechano do Słodkowic.

Przed wieczorem Stefcia, siedząc w bibliotece, zobaczyła przez okno młodego Micho- rowskiego. Spacerował w parku, automatycznie po alejach.

Żółte liście spadały mu pod nogi. Błękitnawy dymek z cygara pływał, omotując się ba- biego lata, co jak srebrne włosy unosiło się wśród drzew. Ordynat był głęboko zamyślony. Świadczyły o tym jego ruchy mniej elastyczne niż zwykle i ociążałość w całej postaci.

Stefcia wiedziała, że na drugi dzień Waldemar wyjeżdża do Głębowicz, a potem jedzie na polowanie do znakomitych domów w kraju, gdzie zabawi do zimy. Dziewczyna oderwać się nie mogła od okna. Tysiąc myśli wirowało w jej głowie, serce ścisnął bolesny kurcz – zapo- wiedź tęsknoty za nim. Śliczne oczy Stefci zaszyły łzami, łkanie szarpnęło piersią.

Waldemar chodził ciągle.

– O czym myśli? Czy o tym, co ja?...

I wielka, choć nieśmiała nadzieja spływała jej do duszy, rodząc niezmierną błogość. Dziewczyna przymykała oczy, słuchała tętna własnych pulsów, słuchała biegu swych myśli –

i one ją przerażały śmiałością. Na twarzy jej pojawiał się radosny uśmiech, jak jutrzeńka, lecz nikł natychmiast. Walka w niej trwała i zmagaly się moce, jakich nazwać nie potrafiła. Ro- zumiała siebie i... kryła się sama przed sobą.

A Waldemar w alei chodził wolno, szeleszcząc opadłym liściem, z natłokiem myśli w mózgu.

Nie dziwił się już, że bezmiary jego dawnych marzeń i ideałów przyoblekły się w ciało i stanęły przed nim tak uroczco... Zastanawiał się, czy ta rzeczywistość dla niego? czy sięgnie

po nią? czy ją dostanie? I ten człowiek, zepsuty powodzeniem, szczęściem w życiu rozbała- mucony, pytał teraz sam siebie:

– Czy ten czar dla mnie?...

Budziły się w nim nadzieje, pełne szczęścia i piękne. Postanowił trwać w nich jeszcze. Rwało go naprzód, ale przezwyciężył się.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**

**Helena Mniszkówna**  
**TREĐOWATA**

POWIEŚĆ  
Tom drugi





## I

Lato, wystawa, złota jesień, polowania w Głębowiczach należały do przeszłości. Słotne, zamglone dni zastąpił mroźny podmuch z północy i siał na obnażoną ziemię wielkie białe płaty. Śnieg sypał, kłębił się, otulał białą puchów nagie gałązki drzew i wysokie ciemnozielone świerki. Rozścielał na ziemi olbrzymią białą oponę. Zakrywał pola, żółtą, przegniłą trawę, przemieniając świat w grotę z cukrów i kryształu. Słońce oczyściło się z chmur, rozpędziło mgły. Otoczone nieskończoną przestrzenią błękitów, uniosło tarczę wysoko, sypiąc na mleczną ziemię złote blaski. W śniegu krzesła iskry, pełne barw drogich kamieni. Pogoda lśniła cudowną zimową szatą, mróz nadawał jej energię i tęgość, orzeźwiająca ludzi. Ptaki kręciły się wśród zamrożonych drzew z kwileniem radosnym. Czerwone gile odbijały

od białej dekoracji, jak wielkie maki wśród łanów dojrzałej gryki.

W Słodkowcach park, ogród, rozłożyste i smukłe krzewy otulają zwoje śniegu. Jezioro, stężełe w uścisku lodowego powiewu, bieli się gładką przestrzenią. Filary ganku i schody pokrywa mroźna powłoka. Zamiast kwitnących róż widać pagórki pokryte śniegiem. Kuliste lipy przed pałacem, oblepione sadzą, wyglądają jak wielkich rozmiarów dmuchawce, tak ich gałązki są delikatne i przezrocze. Z niezmiernie białych przestrzeni płynie martwota, skrzepły spokój i wielka potęga skryzalizowanej natury. Wszystko jest nieruchome, milczące, niepokalanie czyste, zimne w swej piękności, jak posagowe.

Na końcu wielkiej alei grabowej, jak w korytarzu z alabastru, stoi pod ciężkimi splotami gałęzi wiotka postać, prawie mała wśród mroźnych olbrzymów.

Stefcia opiera się plecami o skostniały pień grabu. Spod czapeczki patrzy na śnieżną przestrzeń i ciemniejszą taśmę drogi. Stoi na wzgórku. Mur okalający park nie zasłania jej widoku.

Wzrok leci i leci w sinawą dal, jaskółczym skrzydłem przebija szafirowy wał lasu i pędzi dalej, bez końca. Jest punkt, gdzie się zatrzymuje, dokąd właściwie dąży, punkt świetny, rdzeń wielkiego koła ziemi, co go otacza. Dziewczyna stoi bez poruszenia. Pomyśleć by można, że szron spadający z drzew i ją ścina w posąg, ziębi ostrym tchnieniem.

W oczach jej błyszczy tęskna myśl, śle ją na drogę, wysyła daleko... tam, gdzie i dusza rwie się z niepowstrzymaną siłą... Wielkie oczekiwanie czegoś, co napełnia rozkoszą, ale tak subtelną, że ledwo wyczują, jest niepokojące jak oczekiwanie katastrofy. W takiej chwili wzrok, słuch skupia się w sobie, wysila do naprężenia i męczy. Żal odwrócić oczy, aby nie stracić jednego momentu, żal się poruszyć, aby nie spłoszyć najbliższego szelestu. Cała istota ludzka zamienia się w posąg, pod którym można by napisać: „Czy nadejdzie”... szczęście lub rozpacz. W taki posąg oczekiwania zaklętą była Stefcia. Oczy wpiła w drogę, bojąc się ruszyć. Powstrzymywała oddech w piersi, chwytając uchem każdy szmer. Przyszła tu wiedziona przecuciem, że on ma przyjechać i czeka cierpliwie. Nikt jej nie mówił, nikt się go nie spodziewa, ale ona wie, że już jest w Głębowiczach... jakiś głos jej szepce: „Dziś tu będzie”.

Wyjeżdżał daleko, na polowania. Długo nie wracał. Musiał odbyć kampanię zaprosin.

Jak się ten czas włókł sennie, bezbarwnie!... Szare, dżdżyste dni zdawały się płakać, szlochały drzewa. Wichry jękiem zwabiały wcześniej czarne noce, nieskończone, pełne łkań, skargi, ponurej grozy. Wielka melancholia, ociążałość tych dni bez jaśniejszego promyka dławiała serce. Rwało się wszystko głuchą rozpaczą na widok przegniłych liści, szarpanych wichurą, oślizgłych gałęzi, z łopotem bijących o siebie. Ale natura jest usposobienia wesołego, nie znosi długich łkań, nawet po pięknym lecie nie potrafi płakać bez przerwy.

Następuje przesyt smutku: wówczas nabiera hartu, zamraża łzy, chce gwałtem przykryć swą zgniliznę, lecz jej brakuje barw. Nie stać ją już na zieleń i kwiaty. Otacza ją blada złość. Tężeje, tworzy

zwoje bieli, sypie na drzewa delikatną sadz, na szerokie konary rzuca wielkie szmaty puchów. Jest biała jak panna młoda, ale nie odpowiada tej nazwie. Szpeci ją chłód. Pragnie okrasić się złotem. Rozsuwa ciężkie granatowe zasłony chmur, wypuszczając słońce z uwięzi. Radosny, rozweselony, wyspany, wygląda złocisty krąg na świat Boży i staje w osłupieniu. Blednie z przerażenia, cofając się wysoko w górę. Gdzie są łąki pełne kwiatów? Gdzie owoce, gdzie drzewa zielone, które zmieniły się pod jego tchnieniem w śliczne, jaskrawożółte lub krwawe jak pożar? Rozpanoszyła się biel oślepiająca i pokryła wszystko grubą warstwą. Jakby na urągowisko wywołuje słońce, by spoglądało na jej martwość. Złoty krąg cola się w górę, rzuca słabe ukośne promienie. Jest nieufne, oburzone. Tyle wieków patrzy ono na kaprysy ziemi i zawsze się zdumiewa. Przez ciąg wiosny i lata zapomina o przyszłych szarzyznach. Szczęście zagłusza wszystko, co nie ma złota w blaskach. Gdyby się działo przeciwnie, rozkosz w szczęściu nie byłaby całkowitą. Słońce wyrzuca sobie własną opieszałość, przygotowuje się do walki z ziemią. Przeczuwa wiele pracy, zanim ten pancierz lodowy rozkruszy, zanim spruje pyszną szatę ze srebrnej lamy, ciężko strojącą świat. Ze wzdargą spogląda na groźne szanice śniegu i systematycznie rozpoczyna pracę. Wypatruje ciekawie, aby znaleźć najłabsze miejsce, uderzyć i przebić zaporę. Wszędzie napotyka ostre uzbrojenie: chłód, marmur bieli, mróz. Zniechęcone przeglądem zaczyna się zasuwac do snu. Jest gniewne, pło- nie gorącą falą, stacza się niżej i niżej, zalewając ziemię potopem czerwieni. Ciska na błądy koloryt nieba snopy jaskrawych obłoczków – swych paziów. One zapowiadają niewdzięcznej ziemi następującą noc – jako karę słońca.

Stefcia stoi w łunie pożarów, rozświetlona, rozbłysła ogniem. Mruży oczy, różowe płomyki ślizgają się po jej twarzy. Dla niej ta biała szata nie przyniosła zmiany. Dnie wloką się tak samo nieskończenie mętne, bezświetne, jak wówczas gdy mroki i wichry panoszyły się wszechwładnie. Piękna, chłodna biel trwała już czas jakiś, ale srebrna droga pusta. Głucho było w duszy Stefci. I teraz łuny się palą na niebie, idzie mroźna, długa noc. Przeczucia zawiodły: coś, co ją pchało na ten wzgórek, skryło się, pozostało bez nazwy. Droga błyszcząca, wyslizgana złociła się do najdalszych granic zachodem słońca. Białe pola przybrały ton delikatnej barwy różowej. Wierzby strojące drogę miały fioletowe odcienie; im dalej w głąb, tym stawały się bardziej fioletowymi. Małe stadka szafirowych kawek spadały z głośnym krzykiem na zamrożone łąny, błyszcząc niby dzety na pluszach. Czasem zrywały się, jakby przestraszone.

Nagle w uparcie wpatrzonych oczach Stefci coś zamajaczyło. Na różach pól, w oddali, wśród fioletowych wierzb, ukazał się punkcik drobniutki, zaledwo widoczny. Ale pojawiwszy się, nie zniknął. Rósł w oczach, wyraźniał, potężniał i sunął naprzód. Jak błyskawica, ukazując się, zatamowuje oddech w piersi w oczekiwaniu gromu, tak Stefcia, wpatrzona w płynący punkt, znieruchomiała. W ciszy krwawego zachodu zadźwięczało w oddali i rozlewało się brzmieniem coraz głośniejszym.

Dziewczyna, niby rażona gromem, zadrżała. Ramiona jej podniosły się do ucieczki, ale nogi miała jak z ołowiu. Chciała się zerwać, bieć w głąb parku i nie mogła. Przestrach, radość, burza wzruszeń odbiła się na jej twarzy. Poznała janczary z Głębowicz.

Nie omyliło przeczucie.

Z wysiłkiem zdołała się cofnąć głębiej. Oparta o oszroniały pień, z szalonym wirem w pulsach słuchała brzęku janczarów i parskania kłusujących rażno koni. Łowiła uchem lekki skrzyp płóz i delikatne dźwięczenie upręży. Spod przymkniętych oczu widziała eleganckie sanki i parę tęgich koni, przykrytych szafirową siatką. Widziała ich wygięte głowy, rozwarłe chrapy i oczy czerwone w zachodzie słońca jak pochodnie. Widziała koło uszu końskich powiewające ogony lisie, futrzaną liberię stangreta i lokaja, złote guzy, błyszczące jak świeczki. Serce jej tłuło w piersi, miała wrażenie, że pęknie i że zajdzie coś złego. Wrażenie rosło, stało się strasznym. Sanki przed murem skrzyły w bok. Stefcia zdrewniała, rozkołatane serce zamarło. Siedzący w sankach mężczyzna zrobił nagły ruch, jakby chciał wyskoczyć. Lecz się

wstrzymał, tylko drżącą ręką uniósł czapkę, pochylając nisko wytworną głowę. Sanki pomknęły, dźwięcząc już niewidocznymi janczarami.

Stefcia schwyciła się za głowę.

– Przyjechał! – krzyknęła w obłąkaniu – widział mnie!

Szczęście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. Porwała się z miejsca i lekka jak ptak pobiegła śnieżną aleją w stronę pałacu. Na zakręcie, koło zamrożonego basenu fontanny, stanęła. Krew zastygła w jej żyłach. Naprzeciw szedł Waldemar.

Zbliżał się prędko, w rozpiętym futrze, z oczyma utkwionymi w niej. Obok biegł w su-  
sach Pandur, dopadł do Stefci i wesoło poszczekując wspinał się łapami na jej zakieci-  
k.

Dziewczyna oniemiała. W głowie jej huczało. On!...on!...

Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dłonie jej zlodowaciałe ręce.

Wpatrzeni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatywały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły błękitne pierzchają, otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesłychaną a cudowną. Czuła, że jej marzenia, sny niepochwytnie ubierają się w formy prawdziwe, przecucie mówiło, że ta nowa szata będzie jeszcze droższą od dawnej. Stefcia przeżywała jedną z chwil, w których dusza ulatuje z człowieka w tęczowej aureoli niezmiernego szczęścia.

On cisnął jej ręce w dłoniach, siłą oczu wdzierając się w głąb jej duszy. Stał poważny z męskim dreszczem rozkoszy, z nie znanym dotąd, już rozkwitłym uczuciem. Stał pewny swej siły, świadomy celu, trochę dumny z uroku, jaki wywierał. Pochylił głowę i długo a serdecznie ucałował ręce drżącej Stefci. Oczy jego mówiły: „Czekałaś na mnie... tęskniłaś... oto jestem i... i...” Stefcia zrozumiała, oblał ją gorący war. Powoli, z dygotem szczęścia, wysunęła dłonie z jego rąk i zaczęła iść szybko do pałacu.

On postępował obok.

Nie mówili do siebie nic. Pandur wyprzedził ich, stanął na marmurowych schodach werandy i patrzył na zbliżającą się parę z podniesioną głową i powagą w swych rozumnych, psich oczach. Dziwił się, że nie uważają na niego.

Byli już koło werandy. Nikt nie wychodził. Otwierając drzwi, Waldemar rzekł pierwsze słowa:

– Pani odgadła, że dziś przybędę. Czy to przecucie?

– Tak.

– Więc sugestia! Jadąc myślałem, że zastanę panią w parku, i... ujrzałem cię w tych wieczornych. Odesłałem konie od bramy, by cię powitać pierwszą.

Słowa jego sprawiały Stefci niewysłowioną rozkosz. Na odgłos otwieranych drzwi zjawił się Jacenty z całym zastępem lokai.

Ruch powstał w cichym przed chwilą pałacu.

– Ordynat przyjechał – brzmiało wszędzie, wywołując radość ogólną.

Do wieczery zasiedli wszyscy w wybornych humorach. Pan Maciej, rozczulony przyjazdem wnuka, patrzył na niego jak w obraz. Pani Elzonowska wypytywała Waldemara o polowania i znajomych. Pomimo częstych sprzeczek witała go mile: jego wytworność i trochę sarkastyczny dowcip działały na nią ożywczo. Waldemar odpowiadał na zapytania uprzejmie, ale męczyły go te wywiady. Głównie pani Idalia i pan Ksawery nie dawali mu spokoju. Lucia i Stefcia siedziały najcichsze, tylko dziewczynka bez przerwy wpatrywała się w Waldemara, a Stefcia wyraźnie unikała jego wzroku. Bała się, aby z jej źrenic nie wyczytał tego, co powie-  
działy jego oczy w zaśnieżonym parku. Nie domyśliła się, że i on odgadł wszystko, że zajrzał do głębi jej duszy, wyczuł tętno jej serca...

Ogarniał ją niepokój. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu i spadnie na jej głowę. Czuła gorączkę, jakiej się doznaje przed odjazdem w daleką podróż, w ostatniej chwili pożegnania z najdroższymi. Męczyła się, nie pojmując, skąd pochodziła ta niepojęta trwoga, coraz bardziej wzrastająca. Lekką bladość na jej twarzy zauważył pierwszy ordynat, dostrzegł po-

mieszanie dziewczyny, lecz nie chciał jej dręczyć pytaniami wobec wszystkich. Jej niepokój udzielił się jemu...

Pan Maciej popatrzał na nią przeciągle. Zachowanie się Stefci zastanowiło go.

– Co ci jest, dziecko?

– Boję się... – odparła szczerze.

Spojrzeli po sobie. Mgła przeleciała po twarzach.

– Ale czego?

Zapytana uśmiechnęła się blado.

– Proszę nie uważać na mnie. To minie... Rozmowa przycichła. Wszyscy byli zwarzeni.

Herbatę podano w małym salonie. Przy płonącym kominku, rozmowa ożywiła się.

Nagle wszedł służący, niosąc srebrną tackę. Zbliżał się wprost do Stefci. Ona wpiła w niego oczy.

– Co to? – spytał ordynat.

– Telegram, proszę jaśnie pana, do...

– Do mnie! – zawołała Stefcia. Lokaj skłonił się twierdząco.

Wszystkich oczy spoczęły na niej, potem na twarzy ordynata.

– Tak, do pani – rzekł ten ostatni powstając i oddał jej kopertę. Rozerwała opaskę. Na policzkach miała gorące wypieki.

Obecni zataili oddech w piersi. Niepokój nauczycielki przy obiedzie i ten telegram do niej przeraził ich.

Stefcia przeczytała i opuszczając papier na kolana, rzekła bezdźwięcznym głosem:

– Babcia umarła. Wzywają mię na pogrzeb. Odetchnęli. Spodziewano się czegoś gorszego.

Tylko pan Maciej zadrżał, jakby mu widmo zajrzało w oczy.

– Czy to zmarła babcia Rembowska? – spytała Lucia. Stefcia wybuchnęła płaczem.

– Tak. Biedna babcia! Tak ją kochałam!... Boże! Boże!...

– Długo chorowała?

– Zmarła nagle w Ruczajewie... Nic nie rozumiem. Babcia bawiła ciągle za granicą. Muszę zaraz jechać, inaczej nie zdążę: telegram spóźniony.

Zerwała się z miejsca. Młody Michorowski spojrział na zegarek.

– Czy pani stanowczo chce dziś jechać?

– Muszę. Abym tylko zdążyła na pociąg.

– Na pociąg pani zdąży, ale trzeba jechać zaraz, a teraz noc. Złożyła ręce błagalnie.

– Ja muszę jechać prędko.

– Ha, w takim razie każę zaprzęgać.

Przeszli do sali jadalnej. Waldemar wydał odpowiednie polecenia. Pani Idalia wzięła Stefcię za rękę.

– Musi się pani pakować. Tylko proszę nie płakać. Biedna Stenia! – rzekła całując dziewczynę w czoło.

Lucia płakała na dobre.

Razem wyszły, udając się do swych pokoi.

W sali został pan Maciej w obszernym fotelu. Waldemar chodził nerwowym krokiem ze zmarszczoną brwią i płomieniem w oczach. Pan Ksawery kręcił się sennie. Trwało milczenie.

Kroki Waldemara rozlegały się jednostajnie w sali. Wielki zegar tykał poważnie.

Pan Maciej siedział zaszępiiony. Spod brwi rzucał szybkie spojrzenia na chodzącego wnuka. Naraz zapytał:

– Czy nie wiesz, jak się nazywała z domu jej babka?

Zagadnięty potrząsnął głową przecząco. Starzec dotknął ręką czoła.

– Dziwnie mię wzruszył wyjazd Stefcia i... ta śmierć.

Wszedł lokaj, oznajmiając, że konie gotowe. Za nim weszły panie. Stefcia już w czapeczce na głowie i w ciepłej sukni. Oczy miała zaczerwienione, usta pałające i jasne kolory na twarzy. Wzruszona zbliżyła się z pożegnaniem do pana Macieja. Staruszek bez ceremonii przyciągnął ją do swej piersi. Przemawiał do niej jak ojciec. Lucia płakała rzewnymi łzami.

– Stefcia, powrócisz prędko do nas, prawda?

– Będę się o to starała.

Gdy podeszła do Waldemara, cichy spazm zatkał w jej piersi. Jemu drżały usta. Pierwszy raz wobec wszystkich ucałował jej rękę.

Pan Maciej drgnął. Pani Idalia zacięła wargi, zwięzając oczy w typowe szpareczki. Lucia spojrzała z rodzajem tryumfu, jakby mówiąc: „Ja o tym dawno wiem”.

Wychodzili do przedpokoju. Pan Maciej zatrzymał Stefcie za rękę.

– Moje dziecko... twoja babka nazywała się Rembowska. Czy tak?

– Stefania Rembowska – odrzekła Stefcia i pociągnięta przez Lucię, wyszła z sali.

Dziewczynka coś jej szeptała do ucha.

Pan Maciej został sam. Drzwi do przedpokoju były otwarte. Oparł się ciężko o ścianę i drżący zwrócił zdumione oczy na żyrandol, jakby liczył w nim pojedyncze światełka.

– Co to jest?... Stefania? Co to jest?... Ach, przewidzenie! Postąpił krok i zawołał głośno:

– Waldemarze!

Stefcia, już ubrana, schodziła do dolnej sieni. Otwierano wielkie drzwi na ganek. Lucia i ordynat szli z nią razem. Pani Idalia, oparta o poręcz schodów, usłyszawszy okrzyk ojca, zawołała:

– Waldy, dziadek cię prosi!

Trochę niecierpliwie spojrział na ciotkę i szybko wpadł na górę. W roztargnieniu nie zauważył niepokoju pana Macieja.

– Zapytaj Stefcia, jak z domu jej babka... Prędzej!...

– Co się stało?

– Prędzej!

Waldemar wybiegł z powrotem. Stefcie zastał na ganku. Lokaj otwierał karetkę na saniach. Noc była jasna, księżycowa, skrząca od mrozu i śniegu. Konie parskały, słupy skręplej pary wychodziły z ich nozdrzy. Na koźle siedział Benedykt i lokaj kareciany z Głębowicz.

Ordynat umieścił Stefcie w karecie. Sam otulał jej nogi wilczura.

– Przepraszam. Jak nazywała się babka pani? Stefcia spojrzała zdziwiona.

– Rembowska.

– To wiem, ale z domu?

– Stefania Korwiczówna.

Michorowski wstrząsnął się. Krew uderzyła mu do głowy.

– Co panu jest? – spytała przerażona Stefcia.

– Nic, nic! Do widzenia! Niech pani oszczędza się i... jak najprędzej do nas wraca. Czy dobrze?...

Stefcie chwycił płacz.

– Nie wiem – wyjąknęła.

– Proszę o to bardzo.

Ucałował gorączkowo jej rękę i zatrasnął drzwi.

– Benedykt! uważnie jechać. Wawrzyniec niech na dworcu wszystko pani ułatwi – krzyknął.

Waldemar patrzył za oddalającą się kareta, po czym odwrócił głowę w stronę, gdzie stały inne sanki.

– Pan ordynat jedzie? – spytał Jacenty.

– Nie wiem. Pewno nie. Czy aby szczęśliwie dojadą?

– Jasna noc, jak dzień. Droga jak po stole i przecie Benedykt na koźle – rzekł uspokajająco Jacenty.

Waldemar wszedł do sieni i wstępował na schody ciężkimi krokami. W głowie mu हुआ, był blady. Wchodząc na ostatnią kondygnację schodów, zobaczył stojącego u ich szczytu pana Macieja.

Starzec wyglądał jak posąg. Nieruchomy, zmartwiły, opierał się ciężko o aksamitną poręcz. Oczy wpił we wnuka. Patrzyli na siebie w milczeniu, z przerażeniem... i zrozumieli się.

– Ona?... – jęknął starzec.

– Jest wnuczką tamtej – dokończył Waldemar.

Pan Maciej chwycił się za piersi. Twarz mu zsiniała. Ordynat poskoczył do niego.

– Dziadziu! Na Boga!

Starzec zwił mu bezwładnie w ramionach.

W kwadrans potem młody Michorowski wyszedł z sypialni dziadka do wylękłej służby blady, ale spokojny.

– Konie, którymi miałem udać się na kolej, niech natychmiast jadą po doktora. Pan zachorował.

Służba rozchodziła się w milczeniu.

## II

W Ruczajewie zapadł cichy wieczór zimowy. Śnieg sypał gęsty, rozpylając się w białe tumany. Od ganku obszernego dworu odjechały sanki, które przywiozły Stefcie. Weszła wita-  
na przez rodziców, rodzinę i służbę. Twarze rozjaśniły się na jej widok. Stefcia w objęciach  
matki zapomniała o istotnym powodzie przyjazdu. Tuliła się do niej z cichym łkaniem. Pani  
Rudecka odgadła, że to coś innego niż żal po babce.

– Spóźniłaś się trochę, dziecko – mówił ojciec – już jest po eksportacji. Jutro pogrzeb.

– Ja, ojczusiu, wyjechałam natychmiast, ale telegram był spóźniony.

Wszyscy przyglądali się Stefcie z ciekawością, matka z rozczuleniem. Od czasu wyjazdu z domu  
dziewczyna wyładniała i nabrała powagi, zwłaszcza dystynkcji, potęgującej naturalny wdzięk.  
Ojciec znalazł w niej różnicę nawet od jesieni: w jego oczach Stefcia zwałła. Jej śliczna cera  
nabrała tonów bledszych, stała się podobną do konchy perłowej. Różowe, kształtne usta  
uśmiechały się mniej wesoło. Oczy mogły zastanawiać. Fiolet ich wzmocnił się, delikatne  
brązowe obwódki i długie rzęsy ocieniały je w sposób nieco tragiczny. Wszystkie wrażenia jej  
duszy odzwierciedlały się w nich. Błyszczące iskry krasily je, nadawały wyraz bujności  
temperamentu i lekkiej egzaltacji. Odgadywało się w ich głębiach uczucia jeszcze inne:  
tęsknoty, smutku, może nawet żalu nie wypowiedzianego jasno... Jeden z jej młodych kuzynów,  
Narnicki, wyraził się o niej, że jest tak natchniona, że dawne diabluki w jej oczach wprawdzie  
nie zginęły, lecz stały się innymi, mniej błyszczącymi, ale więcej przykuwający- mi. Nastrój  
całego domu był poważny, więc niezwykła powaga Stefcie nie raziła. Ją zastana-  
wiał ojciec i  
matka. Widziała w nich zmianę, spoglądali na nią z obawą. Troska malowała się zwłaszcza na  
czole ojca. Gdy dziewczyna wspomniała rodzicom coś o panu Macieju, oboje przybledli i  
zamienili z sobą szybkie spojrzenia. Stefcie to zaniepokoiło. O Waldemarze sta-  
rała się nie mówić. Nikt zresztą o niego nie pytał. Tylko raz kuzyn Narnicki zagadnął ją  
znieca:

– Czy Słodkowce to prywatny majątek, czy jedno z dóbr ordynackich?

– Prywatny majątek.

– A w jakim wieku jest ordynat?

Stefcia zaróżowiła się najniepotrzebniej.

– Ma lat trzydzieści dwa.

– Ach, to zupełnie młody człowiek! – zauważył Narnicki, patrząc na nią badawczo. Pan Rudecki  
podchwycił:

– Widziałeś jego portrety w dziennikach, gdy obejmował ordynację po śmierci Janusza i po  
wyprawie do Afryki.

– Tego nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że podobizny jego podawały pisma po  
wystawie. Przystojny człowiek, a nade wszystko...

– Wspaniały... czy tak? – rzekł pan Rudecki.

– I typowy wielki pan. Można to poznać od razu. To nie jakiś dorobkiewicz udający pa-  
na, ale karmazyn rodowy. Widać to nawet z twarzy. Ma przy tym wiele pewności siebie i du-  
my, ale w dobrym rodzaju.

Stefcia miała ochotę wypowiedzieć, jakim jest Waldemar, ale czuła, że nie potrafi mówić  
o nim obojętnie. Ograniczyła się do krótkiej uwagi:

– Kuzyn ma słuszość. Prawdziwa arystokracja różni się pod każdym względem od swych naśladowców. Szczególnie przy bliższym poznaniu różnica występuje znamienne i bardzo na jej korzyść.

Pan Rudecki spojrział z ukosa na córkę.

– Byle nie przy najbliższym – szepnął do siebie, a głośno dodał: – O tym najczęściej decydują fakty.

10

Nie bardzo rozumiano, co chciał przez to powiedzieć. Późno w nocy, gdy się wszyscy rozeszli, Narnicki swe uwagi o Stefci sformułował w jeden pewnik:

– Jest pod wpływem arystokracji, zwłaszcza ordynata – może nawet...

Nie chciał dokończyć myśli, gdyż Stefcię widział od dawna w swym programie życiowym – teraz punkt ten podkreślił jako stanowczy.

Pogrzeb na drugi dzień odbył się z licznym udziałem okolicznego obywatelstwa, chociaż zmarła nie była stałą mieszkanką Ruczajewa. Zwłoki złożono tymczasowo w rodzinnym grobie Rudeckich, skąd potem miano je przewieźć do majątku Rembowski.

Stefcia w orszaku żałobnym odmówiła ramienia Narnickiemu. Szła sama, trochę z boku, brnąc w śniegu zmiecionym ze środka drogi. Czarne ubranie i welon krepowy dodawały smukłości jej zręcznej postaci. Szła smutna i zamyślona. Zmarłą babkę widziała przed rokiem, wówczas gdy Prątnicki bywał w Ruczajewie jako starający się.

Siwa staruszka wzbudzała poszanowanie, przy wielkiej słodczy obejścia. Rysy twarzy, jakkolwiek zwiędłe, zachowały do końca regularność linii. Zastygła w nich tragedia, przeżyta w zaraniu życia. Stefcia była żywym portretem babki, co stwierdzały stare jej fotografie.

Od wczesnego dzieciństwa, słysząc o jakiejś smutnej historii w młodości babki, Stefcia interesowała się nią niezmiernie. Ale jakiego rodzaju mogły być te smutki, nikt nie chciał jej objaśnić. Staruszka, zapytana wręcz, zbladła, zalecając wnuczce, aby na przyszłość nie zadawała podobnych pytań.

Babka Stefci od dawna cierpiała na serce, uważano bardzo, aby jej nie rozdrażniać. Z tego powodu nie wiedziała długi czas, że Stefcia nie jest w domu. Wiadomość o zerwaniu z Prątnickim staruszka przyjęła ze wzruszeniem, nie chciano tego ponawiać.

Śmierć staruszki była dla Stefci zagadką. Na wszelkie jej pytania ojciec odpowiadał:

– Dowiesz się potem.

– Może ja gram tu jaką rolę? – pytała siebie Stefcia.

Ciekawość dręczyła ją, zachowanie się ojca niepokoiło. Gniewał ją także Narnicki. Stefcia łatwo odgadła, że on ma względem niej zamiary. To ją zirytowało, postanowiła zaraz po pogrzebie wyjechać z powrotem do Słodkowic.

Zadrzała na tę myśl, oczy zaćmił obraz Waldemara widziany ostatni raz, krótko, lecz pamiętnie. Powitanie ich w parku nie schodziło jej z myśli. Wówczas wyraźnie odczuła, że jest kochaną. We własnej duszy odkryła tę prawdę już dawno. W czasie jego długiej nieobecności utwierdziła ją w tym tęsknota tak silna jak sama miłość. Kiedy przy pożegnaniu pocałował ją w rękę, żar jego pocałunku wstrząsnął nią, biorąc górę nad zmieszaniem z powodu obecności wszystkich. Widziała jego sanki, oczekujące przed gankiem. Jacenty wyjawiał ich cel. Waldemar miał ją odprowadzić na stację. Coś jednak zaszło, że tego nie uskutecznił. Może pani Idalia przeszkodziła? Na nią by nie uważał. Więc pan Maciej?

Ostry ból przeszył serce Stefci, ale rozumiała, że trudno wymagać od starego magnata, aby tolerował postępowanie wnuka idące w takim kierunku. Ta pewność spotęgowała jej żal i trzeźwiła ją.

– Nie wolno, nie wolno mi myśleć o nim! – powtarzała sobie z uporem.

Idąc po kopnym śniegu zmęczyła się, rozmyślenia o Waldemarze zaciężyły jej. Ogarnęło ją znużenie. Gdy podszedł Narnicki podając jej ramię, tym razem nie odrzuciła go. Oparła się



na nim ciężko. Nic mówili do siebie nic. Stefcia pochyliła głowę i przymknęła oczy. Chciała sobie uprzytomnić, że idzie w ten sposób z Waldemarem, lecz nic potrafiła, czując, że tego z tamtym nie można porównać. Wstrząsnęła się. Narnicki pochylił się do niej.

– Czy ci nie zimno, kuzynko? Może jesteś zmęczona? Zaprowadzę cię do sanek.

– O nie, wolę iść piechotą.

Narnicki patrzył z boku na jej śliczny profil, widział jej poruszenie, lecz składał to na wrażenia wyłącznie pogrzebowe. Szary, mglisty dzień i długi kondukt, wijący się pod górę z czarnym wozem i krzyżem, nasuwał posępne myśli. Na szczycie pagórka czerniały wysokie

11

świerki cmentarne, gąszcz krzyżów tulił się pod masą drzew. Zimowe ptactwo świergotało, mieszając swe głosy z monotonną, urywaną nutą śpiewu. Ciężki żal owiewał idących ludzi. Za żalobnym orszakiem płynęły przejmujące głosy dzwonów, na spotkanie szumiały tęsknie świerki. Kondukt sunął wolno, poważnie, wiodąc pomiędzy drzewa i krzyże jedną z dusz ludzkich, skołatana życiem.

W ceremonii pogrzebowej jest zawsze ponury i groźny nastrój. Bezmierny smutek, beznadziejność skłania do głębszych rozmyślań. Nigdy nie rozwiązane zagadnienie tajemnicy pozagrobowego bytu, nieprzenikniona abstrakcja przyszłego istnienia muszą oddziaływać poważnie, nawet przerażać. Odczuwa się niepokój i dreszcz obawy, a jednocześnie budzi się zaciekawienie, jak tam jest i co się roztacza przed ludzkim duchem. Stefcia, zwykle bardzo wrażliwa, odczuwała to głęboko. Śmierć wydała się jej pierwszy raz straszną. Czuła, że kocha życie, kocha świat. Nie ukrywała już swych uczuć przed sobą, kochała Waldemara całą potęgą młodej duszy. Dawna skłonność do Prątnickiego przy nowych uczuciach była kroplą mgły wobec oceanu, sam Prątnicki karykaturą, robaczkiem. Bo każda rzecz wzniosła zagłusza nędzną. Kłosa zawsze zaćmią kąkole, choćby te były najbarwniejsze.

Z uczuciem smutku wsiadła Stefcia do sanek po skończonym pogrzebie. Śpiewy, dzwony, woń kadzidła – rozdrażniły ją. Nerwy miała poruszone, bujna jej wyobraźnia przedstawiała wizje męczące. Ocknęła się w domu, zgodziła się nawet na ciągłą obecność Narnickiego, byle zapomnieć, byle zrzucić z siebie nieznośny ciężar.

W parę godzin po powrocie z cmentarza nadszedł telegram kondolencyjny do państwa Rudeckich ze Słodkowic, z podpisami obu Michorowskich, pani Idalii i Luci. Drugi był do Stefci od Waldemara, w mniej ceremonialnym, serdecznym tonie. Waldemar wzmiankował o nagłym zasłabnięciu pana Macieja. Na Stefcię wieść ta podziałała piorunująco. Nie potrafiła ukryć wzruszenia. Na twarzy wykwitły ogniste wypieki.

– Co się mogło stać tak nagle? – rzekła pokazując telegram ojcu. Ale gdy Narnicki chciał wziąć, odebrała mu prawie z ręki. Zdziwiony wzruszył ramionami, lecz w domysłach swych posunął się naprzód. Nie czytana depesza Waldemara zaintrygowała go w dziwny sposób.

Pod wieczór mało osób pozostało w Ruczajewie, ale Narnicki nie wyjechał. Stefcia na wyraźną wolę rodziców musiała przebyć w domu jakiś czas.

Gdy znalazła się sama z ojcem w jego gabinecie, spytał ją ciekawie:

– Czy pan Maciej wiedział, jak się nazywała babcia?

– Wiedział i powiedziałam mu to jeszcze przed samym odjazdem, bo się pytał – odrzekła, blednąc z nieznannej trwogi.

– Czy wiedział również, jak z domu? To niemożliwe!

– Nie, o tym nie mówiłam nigdy, dopiero na końcu ordynatowi, gdy się zapytał.

– Ach! więc jednak pytał?

– Gdy wsiadałam już do karety.

– Ach tak! A czy pan Maciej był zupełnie zdrow, jak wyjeżdżałaś?

– Nie narzekał na nic.

– Musiał się od ordynata dowiedzieć i zachorował – szepnął pan Rudecki jakby do siebie.

– Co ojczuś mówi? Czego się miał dowiedzieć?

– Czekaj, dziecko. Za chwilę zrozumiesz.

Otworzył biurko i wyjął spory pakiecik, starannie zawinięty w pożółkły papier, obwiązany czarną wstążeczką. Oddał go Stefci, mówiąc drżącym głosem:

– To dla ciebie, dziecko, od babci. Poleciała mi to oddać tobie po pogrzebie. Babcia, umierając, troszczyła się o ciebie bardzo i oddała w twe ręce najdroższą swą pamiątkę. Była to jej świętość... uszanuj to, dziecko moje, i... niech cię Bóg strzeże! Dobranoc!

Poruszony, ze łzami w oczach, pan Rudecki ucałował oniemiałą Stefcię i prędko wyszedł z pokoju.

Stała na miejscu jak przykuta, obracając w ręku pożółkły, dość ciężki pakiecik. Ulaty-

12

wała z niego woń starych papierów. Stefcię ogarnął niepokój, strach paniczny i ciekawość, co się znajduje pod czarną wstążeczką związaną na krzyż. Palcami chciała wyczuć zawartość paczki, rozumiała, że jest w niej książka. Pobiegnęła do siebie, szepcząc jak nieprzytomna:

– Najdroższa pamiątka babci... jej świętość... Przeznaczyła dla mnie... Dlaczego?...

Głucha obawa przyspieszyła bicie jej serca. Stefcia wpadła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

– Czy oddałeś jej? – spytała pani Rudecka wchodzącego męża.

– Tak. Poszła do siebie. Biedne dziecko! Pani Rudecka miała pełne oczy łez.

– Zmieniła się bardzo... Ale co sądzisz o niej?

– Kocha ordynata na pewno.

– I znowu Michorowski!... Boże! Boże!...

– Wina twojej matki, że tak mało znając jej historię, nie znaliśmy wcale nazwiska.

Stefcia w swym pokoju, przy biurczku, odwiązywała paczkę. Przedtem paliła ją cieka- wość, teraz umyślnie zwlekała.

Odwinęła jeden papier, drugi. Gorączka zaczęła ją opanowywać, na twarzy miała wypie- ki, oczy płonęły. Nerwowym ruchem zerwała ostatni papier. Leżał teraz przed nią dość gruby zeszyt, ładnie oprawiony w ciemnopąsową skórę. Na środku widniał złoty, nieco poczerniały napis: „Nasz pamiętnik”. Na dole zeszytu stały obok siebie pojedyncze duże litery: S.K. M.M. Stefcia długo patrzyła na pąsową książkę, nim ją wreszcie otworzyła. Wypadł z niej mały przed- miot, owinięty w bibułkę, i brzęknął na podłodze. Podniosła go, rozwinęła i z piersi jej wydarł się krzyk. Trzymała w ręku miniaturę pana Macieja... taką samą, jaką jej dał na imieniny... Dziewczyna stała jak ogłuszona, ściskając oburącz skronie.

– Co to jest? On... tu? Co to znaczy?...

Z pośpiechem, trzęsąc się jak w febrze, otworzyła książkę. Szalone przecucia targwały nią rozpaczliwie. Na drugiej kartce, na welinie, czerniał wyraźny, ładny charakter kobiecej ręki. Stefcia czytała gorączkowo:

„Pamiętnik ten poświęcam naszej głębokiej miłości, jako dokument wieczny nigdy niewyga- szych uczuć, stałej i obopólnej względem siebie wiary, bezgranicznej ufności i przywiązania...”

Pismo kobiece urywało się, tuż pod nim stały litery kreślone męską ręką:

„...by z czasem przyszłe pokolenia miały żywe świadectwo, że miłość jest potęgą kruszącą wszyst-

ko, że gorące uczucia zdolne są iść przebojem, łamać zapory i paść sobie w ramiona z okrzykiem nie- zmiernego szczęścia. Aureola otaczająca szczęśliwą miłość błyszczy tak jasno,

jak nad głowami świę- tych. Aureola taka zajaśniała nad nami i dozgonną miłość naszą opromieniać będzie wiecznie”.

Pod tym następowały podpisy: Stefania Korwiczówna.

Maciej, ordynat Michorowski.

– Jezus Maria!... – jęknęła Stefcia, padając ciężko na kolana.

Była jak martwa. Krew jej skrzepła w żyłach. Opanowało ją znieczulenie. Serce biło słabo z przerażenia i grozy. Klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Głuche łkania wydzierają się jej z piersi przemocą, ale więzły w ściśniętej kurczowo krtani.

Wreszcie płacz wielki, rozdzierający, brzemienny bólem niewysłowionym, zatargał jej postać. Zrozumiała wszystko, co było dla niej tajemnicą. Stała w jej myśli sala portretowa w Głębowiczach i opowiadanie Waldemara. Więc tamta nieszczęsna narzeczona pana Macieja, którą kochał i porzucił, to jest jej babka?!... Więc ta wyniosła pani na portrecie, księżniczka de Bourbon, zajęła miejsce jej babki? Ona zabrała wszystko, co się tej należało, i miłość ukochanego człowieka... Miłości nie wzięła – to jedno pozostało własnością skrzywdzonej. Ale... może nawet o tym nie wiedziała?... Ona czuła się nieszczęsną, lecz i tamta kobieta miała ciężkie życie, i tamta cierpiała... Tu i tam sfera, fanatyzm, przesady zagroziły drogę do szczęścia.

A jednak on myślał inaczej. On mówił na pierwszej stronie pamiętnika, że gorące uczucia łamią wszystkie zapory. Stało się inaczej. Uległ fanatyzmowi własnej sfery, porzucił kochaną i kochającą kobietę dlatego tylko, że nie pochodziła z arystokratycznego domu. Nie wytrwał w zasadach, jakie głosił, jakie ją upajały. Zerwał zobowiązania, poszedł nie za głosem serca, lecz tam, gdzie wiodła go sfera i pyszny ród magnacki. Mitra dążyła do drugiej mitry, nie troszcząc się, że zdruzgotała serce, zbyt skromne, by się na nie oglądać. Dobry herb szlachec-

14

ki, dobre nazwisko, lecz nie wpisane do złotej księgi magnatów, nie mogło łączyć się z błyszczącym herbem i nazwiskiem Michorowskich. Taka sobie pięciopalkowa korona może być chwilową zabawką dla mitry, ale nigdy zespolić się z nią. Na to istnieją odpowiednie przepisy

i paragrafy. Przekroczenie ich uważane jest za zdradę stanu, za zbrodnię sferową. Takie przekroczenia karane są wydziedziczeniem, usunięciem z wyżyn sfery. Maciej zląkł się kary, poświęcił serce dla Molocha i całe życie nie zaznał szczęścia.

– Straszne! straszne!

Stefcię, wnuczkę tamtej, los zaprowadził w te same progi, rzucił prawie w te same warunki. Ona tego człowieka pokochała jak ojca...

Los nie tylko się na tym ograniczył, złe fatum poszło dalej. W tych samych progach jest znowu młody ordynat, noszący to samo nazwisko, i jest równie świetny.

Powtórzenie przeszłości. Straszna ironia losu!

Stefcia zerwała się z klęczek; rozpaloną twarz przyciskając rękoma, przebiegła kilka razy pokój.

– Muszę to przerwać, muszę skończyć, choćby mi serce miało pęknąć – szeptała w gorączce. – A teraz czytać, czytać!

Oparła głowę na dłoniach, wpiła się palcami w skronie i czytała z bolesną chciwością. Stefcia Korwiczówna opisywała krótko swe życie, rodzinę, warunki, wśród których wzrastała, wreszcie następował rozdział zatytułowany Królewicz z bajki.

Stefcia Rudecka czytała:

„Marzyłam o nim, nie znając... byłam pewna, że przyjdzie taki i od razu mię weźmie. Miałam już przecucie szczęścia. Śmiał się ze mnie ojciec, nakładając długi cybuch fajki, i zwykł był mawiać: «Marzycielka, marzycielka!»

Jakoż była to prawda. Może pod wpływem starej niani, która mię karmiła bajkami, lubi- ła marzyć i snuć złote sny. Kochałam piękne wieczory majowe i zachody słońca, bo wów- czas, bujając w przestworzach rojeń, widziałam jego – królewicza z bajki. Lubiłam słuchać śpiewu słowika i rechotania żab, nasuwało mi to słodkie myśli. I zdarzył się dzień przepiękny.

Pozostanie on dla mnie pamiętnym. Ujrzałam jego – królewicza z bajki...

Było to na wielkim festynie w bogatym pałacu szambelana Łosiatyńskiego. Mój ojciec jest jego kolegą szkolnym i serdecznym przyjacielem. Zjechaliśmy na bal całym domem. I kiedy w gronie panien wchodziłam z ogrodu na taras, w różowej tarlatanowej sukni i kwieciu we włosach, ujrzałam jego w stroju ułańskim. Od razu poznałam swój wymarzony ideał. Przystojny, zgrabny, z niedbałą elegancją, wytwornym obejściem i z wielkopańskim tonem w całej postaci, zachwyił mię, przykuł do miejsca. Zbliżył się do nas prędko i przedstawiony przez szambelana, pierwszy raz uściskał mi rękę. Ach! te jego ciemnoszare oczy! Miały tro- chę szyderstwa, ale tyle przy tym ognia i siły...”

Stefcia podniosła głowę, ręce splotła kurczowo i szeptała:

– Zupełnie jak ten... zupełnie!... Przystojny, z niedbałą wielkopańską elegancją, z szarymi oczyma, z szyderstwem i siłą w wyrazie. Zupełnie jak ten... Dalej!... co dalej?

„Pokochaliśmy się od razu, dusze nasze leciały ku sobie bez słowa. Ze mną tańczył naj- więcej i tak umiał mówić, tak porywać!... Wyjechałam z balu oczarowana. Przestrasza mię jego wielkość. Przyjaciółki mówią mi, że on magnat, ordynat na Głębowiczach. Michorowski, z mitrą księcia w herbie, milioner. Nie chcę o tym słyszeć, mając w oczach jego obraz. Przy- jaciółki ostrzegają mię, że taki magnat nie dla mnie, że nie powinnam o nim nawet śnić”.

– Boże! Boże! – jęknęła Stefcia.

„Ale nie wierzyłam, czując, że i on mię pokochał. Jakoż wiara mię nie zawiodła. W kilka dni po balu był u nas w Sniażewie i już widuję go prawie co dzień. Najpierw przyjeżdżał od

15

Łosiatyńskich, potem parę razy prosto z Głębowicz rozstawnymi końmi, choć to szalony ka- wał drogi. Ach! co za szczęście, gdy usłyszę trąbkę strzelca głębowickiego! Znam już ją tak dobrze jak dzwonek naszego kościółka. Tymczasem Maciej kupił w naszej okolicy nieduży majątek (zdziwił tym wszystkich weteranów) i tam zamieszkał, odwiedzając nas stale. Wszy- scy zrozumieli powód dziwnego kupna. Ojciec mój z początku krzywo patrzył na te konkury, ale już nie bronił. Jemu zaimponowało świetne nazwisko i ordynacja. Polubił Macieja za jego dzielność i za prawe, szlachetne zasady. Bardzo prędko wyznaliśmy sobie naszą miłość. Teraz Maciej deklarował rodzicom. Ojciec mój z początku gniewał się, mówił, że powinien naj- pierw otrzymać pozwolenie własnej rodziny, ale Maciej za to ręczy swoim honorem. A po- nieważ jego matka i stryj, najbliżsi krewni, nie są w kraju, więc zaręczyny nasze już się od- były. Jakże go kocham i jak on mię kocha! Odtąd życie płynie nam w blaskach promiennej zorzy i chyba przetrwa wieki, bo tak wielkie szczęście nie może mieć kresu”.

Trochę dalej był jego dopisek:

„...Szczęście nasze wzmocni się, ukochana, gdy się połączymy węzłem nierozzerwalnym... gdy wsparta na mej dłoni przejdziesz przez życie zawsze taka czysta, biała i urocza. Nie trwóż się, nie obawiaj, zawierz memu słowu: będziesz moją, ty albo żadna!... I nie myśl, że szczę- ście nasze natrafi na jakoweś przeszkody stawiane przez mój świat. On stanie się i twoim: nie ma różnic sferowych tam, gdzie jest miłość. Muszą się na to zgodzić wszyscy moi i pokochają cię, jedyna, boś godna tego”.

Stefcia oddychała szybko, płacz ją chwycił na nowo. Tłumiąc łzy, siłą woli uspokoiła się i czytała. Następowaly rozdziały tchnące szczęściem, bezmierną radością młodych, gorących dusz. On dopisywał się w wielu miejscach. W jednym rozdziale ona pisała:

„Boję się, czy ta wielkość jego nie zaćmi nam promiennej drogi... czy sfera, do której on należy, nie skuje go kajdanami. To jak chmura plami moją zorzę”.

Po tym urywku był znowu jego dopisek, już w drugim rozdziale:

„Gdyby nawet nastąpiła walka, jak przypuszczasz, moja najdroższa Steniu, pamiętaj, że twój Maciej zaręczył honorem; zanadto cię kocha, żeby pozwolił sobie wydrzeć największe szczęście. Zwalczę wszelkie przesady, gdyby istniały, chcę iść przebojem, a nie dam się skuć w kajdany. Proszę cię, jedyna, ufaj mi bezgranicznie. Zobaczysz, ile szczęścia oczekuje nas!”

Widocznie on odczytywał pamiętnik narzeczonej i dodawał własne myśli. Razem opowiadali cudną epopeję swej miłości, razem nurzali się w szczęściu. Były w pamiętniku opisy wspólnie przebytych dni i opisy rozmów. Potem obraz zaczął się zaciemniać. On wyjechał do rodziny po pozwolenie i błogosławieństwo, ona miała się przygotowywać do ślubu. Rozdział ten był wstrząsający. Babka Stefci pisała:

„Straszną miałam chwilę, gdym ujrzała kocz jego zaprzężony do drogi. Staliśmy oboje w ogrodzie. Bzy kwitły, śpiewały słowiki i tak było cudownie na świecie!... Maciej, wzruszony bardzo, całował mię, tuląc w objęciach. Prosił, bym się nie obawiała, mówił, że wkrótce powróci z pozwoleniem matki i zawiezie mię do niej po błogosławieństwo. Boję się tej dumnej pani. Jest podobno bardzo piękna i pochodzi ze znakomitej rodziny hrabiowskiej na Węgrzech, Esterhazych. Wierzę Maciejowi i ufam głęboko, ale gdy wyjeżdżał, serce pękało mi z bólu, rozplęwałam się we łzach. Nareszcie wybiła godzina rozstania: musiał jechać. Po długich pożegnaniach i zakłęciach, gdy kocz ruszył z miejsca, krzyknęłam przeraźliwie: «Ma-

16

cieju, nie odjeżdżaj!» – Ogarnęła mię rozpacz. On zatrzymał się, wyskoczył z pojazdu i udało mu się mię utulić. Tyle wzbudził we mnie wiary, że ostatecznie pożegnałam go z uśmiechem. Ojciec mój błogosławił go krzyżem. W miarę jak się oddalał, głucha rozpacz wzbierała w moim sercu, czarna zasłona spadła mi na oczy. Gdy kocz jego zniknął na zakręcie drogi, padłam bez czucia!”

Stefcia Rudecka potarła czoło.

– To było pewno... ostatnie ich widzenie się – szepnęła zbladłymi ustami.

Dalsze stronic miały w sobie pełno smutku. Osobno powklejane listy od niego, bardzo czule, świadczyły, że kochał ją stale. Długim szeregiem kart rozwodziły się zale i tęsknota młodej narzeczonej. Rozdziały szły coraz krótsze, coraz smutniejsze. Miejscami plamiły welin wyraźne ślady łez, nie zatarte przez lata. Listy od niego urwały się. Jeszcze kilka smutnych stronic i Stefcia zobaczyła wklejony krótki list, zapisany obcym pismem, oprowadzony czarną obwódka z atramentu, widocznie zrobioną przez jej babkę. Był to list od stryja, Cezara Michorowskiego, opiekuna ordynata Macieja. W zimnych słowach oznajmił on Stefci Korwi- czównie o zerwaniu zaręczyn z Maciejem – z jego wiadomością i zgodą. Stawiał za główny powód nierówność partii i różnice sferowe. Zresztą nie tłumaczył się bardzo. Dopisek Macieja zdradzał pewien wstyd, nawet smutek, ale nic więcej. Młody Michorowski odsyłał pierścionek dodając, że los dzieli ich nieodwołalnie. Życzeń na przyszłość nie składał, nie nazywał przeznaczenia głównym winowajcą. Musiał pojmować, że rani jej serce, i nie chciał takimi wykrętami dobijać jej.

Stefcia powstała oburzona.

– Więc tak?... Więc gdzież są jego zapewnienia, które czytałam na początku pamiętnika... Gdzież miłość krusząca wszelkie przesady? Więc ta sfera jest aż tak silną, że łamie najświętsze zobowiązania? Ze pozbawia honoru z taką łatwością, z jaką ściąga się pierścionek z palca?... Gdzież są jego słowa wobec czynów?... Więc blask tej sfery jest tak wielki, że potrafi wchłaniać w siebie ciemne i brudne plamy bezkarnie? Więc będąc magnatem można deptać serca ludzkie? zabijać je niemiłosierną doktryną swych przesądów? poświęcać je dla milionów i blichtrów? Gdzież sumienie?!... gdzie serce?! gdzie uczciwość?! gdzie wreszcie własne pragnienie szczęścia, wkorzone w duszy każdego człowieka? Czy to wszystko dąży za sferą – dla zasady?...

Stefcia biegła gorączkowo, mówiąc do siebie urywane słowa jak w malignie. Pierś jej falowała szybko, pełna niewysłowionej goryczy.

– A Waldemar?... i ten tak samo mówił w sali portretowej. On winił dziadka, zarzucał mu brak energii i stanowczości. Ale czy sam potrafiłby postąpić inaczej? Czy zdołałby złamać przekonania, zdruzgotać fanatyzm swego świata? Czy tytuł, sfera, miliony nie są jego wyłącznym dogmatem, wpojonym w krew? Czy dla niego miłość ukochanej kobiety mogłaby być absolutną i czy dla niej położyłby wszystko na szali? Czy jego słowa nie są równie puste i beztreściwe, jak były tamtego?...

Pytania cisnęły się Stefci na usta z bolesną ironią. Serce broniło Waldemara, dodawało mu skrzydeł, apoteozowało go niemal. Lecz rozum zimną i szorstką dłonią tłumił idealne porwy, nasuwając krytyczniejsze myśli. Stefcia wołała w uniesieniu:

– I ten postąpiłby tak samo! Boże! Boże!... dodaj mi sił do wycofania się z tego błędnego koła. Całe szczęście, że on może nie kocha mnie tak, jak tamten babkę. Jak ona to zniosła, jak przeżyła?

Stefcia, mówiąc do siebie, chwilami głośno, często nie rozumiała się. Ostatnie pytanie wznowiło jej ciekawość, rzuciła się do książki.

Już tylko kilka kartek, pisanych nierównym pismem. Czytała:

17

„Wszystko kłamstwo: i jego miłość, i jego zapewnienia, i ta wiara, którą mnie poił – wszystko! Sam zbudował nasze krótkotrwałe szczęście i sam zakopał je w grobie, by sadzić na nim kwiaty swej przyszłej chwały. Nikczemny! podły!... Nie, nie – zawsze kochany, na wieki, na życie całe! To tamci podli... ci, co go obezwładnili, co mu nałożyli pęta. A jednak dał słowo honoru, uległ im, więc któż on jest?... Słaby, bezsilny. A może nie kochał mię? Niechby pozostała choć ta nadzieja, jako jedyny kwiat z cudnej łąki, jako jeden promyczek tęczowy z świetlistej zorzy! Czy on mię kocha jeszcze, czy cierpi nad zerwaniem? – to pytanie poniosę do grobu. Zgniótł mię, zdruzgotał, strącił z wyżyn szczęścia. Kilka nielitościwych słów wystarczyło do zabicia duszy, żyjącej dla niego, i serca, które sam obudził. Przeklęty świat! przeklęta sfera! ona mi go zabrała!... Nie! bo on jest z niej, on wśród niej żyje. To tylko przeklęty los! Kocham go – nienawidząc, kocham – pogardzając! Jak mi ciemno, jak głucho, jak bezgranicznie głucho! Znikąd światła! nic, nic!...”

Pismo kończyło się. Kilka kartek nie zapisanych, pustych jak dusza, co w nich zamarła... Na ostatnich stronicach Stefcia czytała ze ściśniętym sercem:

„...Ożenił się w Paryżu... z księżniczką de Bourbon, córką znakomitego rodu, spokrewnionego z królami. Gazety roznoszą ich podobizny: piękni oboje; nie wyglądają jednak na szczęśliwych, ale to może tylko moje oczy tak coś ćmi. Pobrali się i będą szczęśliwi... A ja? a ja?... Wobec księżniczki de Bourbon cóż znaczę? Nic dla niego, nic dla świata. Złamane mam

serce, złamaną duszę, ale wobec mitry księżęcej i to nie znaczy nic. Dwie korony, świetne, błyszczące, i ja... z krwawą raną. Ach! jakaż nędza!...”

Długa przerwa, potem kilka gorzkich słów i znowu ślady łez.

„...Taka wielkość... i taka podłość! Jak on mógł tak postąpić? I dlaczego ręczył? Czyż i on rozczarował się, czy wierzył w nasze połączenie?... Och! on wierzył! Niepodobna, aby był tak niesłuchanie obłudnym. On szlachetny, tylko słaby, a ta sfera to potęga, tytaniczna siła... porwała go, chwycił go prąd bez ratunku. Gdyby już nie pisał, nie odsyłał pierścionka... Ale taki lód w jego słowach! O Boże!

Przyjechał z Głębowicz jakiś urzędnik, podobno sekretarz. Sprzedaje Wołokszę, jego majątek w naszym sąsiedztwie. Pewno! już mu teraz niepotrzebny. Wołoksza. Wołoksza!... jakie to dla mnie było drogie imię. Stracone wszystko! pustka, pustka... zabijająca, okropna! i czarne robactwo rozpaczy. Mrowie... mrowie... robactwa!

Taka ironia! Kochałam świat, teraz go nienawidzę. Napoił mię goryczą. To już moja Golgota.

A żyć trzeba. Nie dano mi umrzeć: odratowali mię, wydarli truciznę z mego organizmu... Rozpacz! rozpacz! Nasz kapelan mówi mi wiele o Bogu i obowiązkach względem Niego. Czy to ratunek?...”

Znowu przerwa – po czym kilka słów:

„Ojciec mój miał atak sercowy. Maciej i jego zabił. Jestem jedynaczką, kocha mię bardzo i cierpi, strasznie cierpi”.

Szereg czystych kart, na ostatniej zakończenie:

„...Rok po śmierci ojca... Wychodzę za mąż. Musiałam to przysiąc umierającemu ojcu, spełniam ostatnią jego wolę. Wychodzę za człowieka, którego mi sam wybrał, i na łożu śmierci, w ostatniej chwili złączył nam ręce, kazał przysięgać. I już jutro mój ślub. Mój ślub!

18

Czy to możliwe? Boże, jaka męka! Tak się kończy na świecie wszystko, na tym okrutnym, kłamliwym świecie. Rana moja nie zagojona i pozostanie otwartą. Powiedziałam Rembow- skiemu wszystko, jednak zgodził się wziąć mię za żonę.

Podziwiam jego odwagę! On mię kocha... Gdyby było inaczej, gdyby nie kochał, wobec mego wyznania mógłby mię rozwiązać z przysięgi. Znalazłabym spokój może za kratą! Ale ja się nie boję nowego życia. Nic mię już gorszego nie czeka. Tylko dziś, dziś w wilię ślubu, gdy zamykam na zawsze ten nieszczęsny pamiętnik, dziś przeklinam minione szczęście! Nie zaznam go już więcej. A on, jeśli zapomniał i jest szczęśliwy... niech nim pozostanie. Ja go nie przeklinam, ale to się mści, to się zemścić musi!”

Koniec.

Stefcia zamknęła gwałtownie książkę. Przerazenie, ból niezmierny, żal i ostatnie słowa pamiętnika: „To się mści, to się zemścić musi!” – porwały ją z miejsca.

– Straszne! Straszne!

Dziewczyna, rozdrażniona wrażeniami i długim czuwaniem, nie panowała już nad ner- wami. Stanęła przed nią wizja bladej mary, mścicielki, rodowej Nemezys i wyciągała do stru- chlałej ramiona.

Stefcia krzyknęła głośno.

Drzwi się otworzyły, weszła jej matka.



Stefcia przypadła do niej z okrzykiem trwogi, kolana się pod nią gięły, uklękała.

– Mamo! mamó! wiem wszystko, czytałam... Straszne! To się mści, to się mści! Pani Rudecka pochyliła się nad córką.

Błady zimowy świt, wpełzający przez okna, uwypuklał zboląłą grupę, nad którą zawisła groza.

19

IV

Długi czas Stefcia nie mogła się uspokoić. Odkryta prawda była dla niej tym boleśniej- sza, że i sama kochała Waldemara. Dramat babki zdawał się w niej powtarzać.

– Jak to się stało, mamó? Jak to było z babcią? – pytała Stefcia. Pani Rudecka tuliła załzawioną córkę, razem z nią przerażona.

– Słyszałaś, moje dziecko, że babcia nic nie wiedziała, gdzie się właściwie znajdujesz. Nie wymieniałam nazwiska pani Elzonowskiej: to by ją od razu uświadomiło, że jesteś w

domu arystokratycznym. Ona obawiała się dla nas arystokracji. Napisałam, że jesteś w rodzinie obywatelskiej, u naszych znajomych. Pytała się o ciebie często, wyrzucając nam, żeśmy cię oddali do obcego domu. I nas to gryzło, tęskniliśmy za tobą. Ale czekaliśmy cierpliwie do roku. Tak się tobą cieszyłam, kiedy ojciec powrócił z wystawy i opowiadał, żeś jeszcze wyładniała, że masz wielkie powodzenie. Te kwiaty przysłane mówiły o tym. Byłam szczęśliwą, tylko... – zresztą mówmy o babci.

Stefcia zrozumiała, co matka chciała powiedzieć.

– Mówmy o babce – ciągnęła pani Rudecka. – Jak wiesz, była ona patriotką, interesowało ją, co się dzieje w kraju i u nas. Na jej żądanie ojciec opisał wystawę dość obszernie i dużo wspominał o tobie. Stało się to niedawno. W liście wymienił nieostrożnie nazwisko pani Elzonowskiej jako matki twej uczennicy; dodał, że jest z domu Michorowska. Nie pojmuję, co się ojcu stało. Same nazwiska świadczyły, że przebywasz u magnatów. Ale biedny ojciec nie wiedział, co wstrząśnie najbardziej babcią. Przy tym chcąc jej zrobić przyjemność, posłał kilka ilustrowanych pism z czasu wystawy, gdzie były szczegółowe informacje dotyczące wystawców, ekspertów oraz opisy zabaw. Między portretami znajdował się wizerunek młodego ordynata, Waldemara. W liczbie pań ekspertek wymieniono panią Elzonowską, z domu ordynatównę Michorowską, córkę Macieja i księżniczki de Bourbon. Wszystko to zrobiło na biednej babci nagłe i straszne wrażenie. Nastąpił silny atak sercowy i pomimo przedstawiań doktora i panny Elwiry natychmiast wyjechała do nas. Musieliśmy powiedzieć prawdę. Słuchając opowiadań ojca, zresztą dość oględnych, patrzyła mu w oczy badawczo, ciągle pytając nie o Macieja, lecz o Waldemara. Musiał go jej ojciec opisać szczegółowo. Była bardzo zmieniona, nie mogliśmy pojąć, co ją tak przeraża. Gdy ojciec mówił o wielkiej sympatii pana Macieja do ciebie, że nazywasz go dziadkiem i że jesteś do niego bardzo przywiązana, babcia niespodziewanie rozplakała się. Byliśmy przestraszeni, nic nie rozumiejąc. Ale babcia nie objaśniała nas, mówiła tylko, że chce, abyś jak najprędzej powróciła. Ojciec do ciebie napisał nawet list i pokazał babci. Pod wieczór zastałam babcię w salonie. Oglądała chciwie fotografie z Głębowicz. Gdy weszłam, pokazała waszą grupę w kostiumach. Ordynat stoi tam tuż obok ciebie, ma pochyloną głowę i patrzy na twój profil z wyrazem istotnie zastanawiającym. Ty jesteś także jak natchniona. Nas to również uderzyło. Ale babcia, jak się okazało, znała dobrze ten wyraz i te rysy. On podobny do swego dziadka, a ty do niej. Grupa ta wstrząsnęła nią... „I wy to widzicie? i wy na to pozwalacie? przecie to jasne jak dzień, że oni się kochają” – mówiła wzburzona, gniotąc moją rękę. Zaczęła bardzo nalegać, żeby cię stamtąd zabrać. Całą noc spędziła w niezwykłym podnieceniu. Czuwaliśmy przy niej. Majaczyła. Nad ranem nastąpił gwałtowny atak. Już zdawała się konać. Szczęściem, przeczuwając to, sprowadziliśmy lekarza. Atak minął, zażądała księdza. Po olejach świętych, wezwawszy nas oboje do siebie, powiedziała wszystko. Straszłą przeżyliśmy chwilę! Ten człowiek, który złamał jej życie i uczynił ją nieszczęśliwą, to Maciej Michorowski – dziadzio, o którym tyle i tak serdecznie pisałaś. Ogarnęła nas straszna obawa o ciebie, dziecko, bo gdyby nie młody ordynat... ale ten szczegół i babcię najwięcej przeraził. Ciągle mówiła o tobie z miłością i lękiem. Oddała ojcu paczkę z pamiętnikiem, oglądała fotografię, szepcząc sobie różne uwagi. Na ciebie mówiła: „Biedna śliczna”. Patrząc na niego szeptała: „Taki sam, taki sam”, albo „Widzenie z młodo-

20

ści, moje fatum”. Przeczuwała śmierć, bo poleciła ojcu, aby oddał ci pamiętnik po pogrzebie. Nazywała tę książkę skarbem, nie mogła się z nią rozstać. Przyszedł nowy atak i odebrał jej życie.

Pani Rudecka podniosła chustkę do oczu.

Stefcia, oparta o jej kolana, trzęsła się. Łkania rozrywały jej piersi.

– Dlaczego, mamo, nie wezwaliście mnie wcześniej?

– Nie było czasu, dziecko, wszystko to stało się tak nagle.

Pani Rudecka gładziła włosy Stefci, ze łzami w oczach patrząc na jej śliczną, złamaną bólem postać. Tuląc ją do siebie, spytała cicho:

– Stefciu, dziecko moje, bądź ze mną szczerą, powiedz prawdę: ty... kochasz ordynata? Dziewczyna załkała głośniej.

– Tak, tak!

– Jak ona odgadła, jak zrozumiała! – szepnęła pani Rudecka o zmarłej matce. – Stefciu, ty powinnaś wyjechać stamtąd.

– Wyjadę, mamó, powrócę do was, ale – tak mi ciężko...

Państwo Rudeccy zatrzymali Stefcię na parę tygodni. Była rozstrojoną, bali się o jej zdrowie. Matka starała się łagodzić żal córki. Ojciec oddziaływał na Stefcię zawsze jak najlepiej. Dziewczyna uspokajała się powoli, tęskniąc za Słodkowcami. Odwracała uparcie myśli od Waldemara, lecz daremnie: stał ciągle w jej oczach, świetny, wspaniały, zwycięski. Takim samym był niegdyś i Maciej. Stefcia czytała pamiętnik babki, coraz nowe odnajdując podobieństwo Waldemara do Macieja. Tylko Waldemar posiadał więcej energii w życiu codziennym i więcej ironii. A także posiadał słabszą wiarę w ludzi i większą niezłomność charakteru.

– Czy i on postąpiłby tak samo?

Chciała zagłuszyć w sobie tęsknotę, ale nie mogła. Przywykła do innego życia. Bez komfortu żyć łatwo, gdy się go nie zaznało, ale odzwyczaić się trudno. Stefcia nie okazywała tego, jednak brakło jej czegoś. Zabawy z ośmioletnią Zosią, zawsze bardzo kochaną, nie mogły jej teraz rozruszać. Brat Jurek, wesoły czternastoletni urwis, uczący się w domu, drażnił Stefcię hałasami. Dziewczyna nie poznawała samej siebie; przed rokiem i ona bawiła się w konie z bratem i siostrą, nie mniej od nich sprawiając hałas. Teraz Zosia spoglądała na nią z pewną obawą, a w obejściu jej przebijał wielki dla siostry szacunek. Nie ciągała jej jak dawniej za suknie. Ale pieśszczoty Stefci robiły na małej wrażenie.

– Co tam Jurek mówi, że Stefcia się zmieniła! On kłamie. Stefcia taka sama dobra jak przedtem. I wyciągając różaną buzię w długi ciup, dodawała zaraz:

– Stefciu, mów mi o Luci, ja ją tak lubię.

Zaczynało się opowiadanie, które i Stefcia lubiła, bo ją przenosiło do Słodkowic.

Z Jerzykiem sprawa była trudniejsza. Chłopak zerkał na starszą siostrę oburzony i wszystkim po kolei powtarzał:

– Stefa to już całkiem dorosła panna. Nawet w konie nie chce się bawić, tylko tak coś myśli i myśli. Jej już trzeba tren dodać do sukni.

Stefcia zjednała go sobie, opowiadaniem o stajni, zwierzyńcu i psiarni w Głębowiczach.

Za to nie miała już spokoju, domagał się ciągle nowych szczegółów. Raz podczas lekcji zapytał swego nauczyciela, młodego studenta prawa, wielkiego demokraty:

– Jak się panu podoba Stefa?

– Bardzo ładna panna i bardzo miła.

– E! pan tak mówi dlatego, że ja jej brat. Ale niech pan mi powie jak swemu koledze, w zaufaniu.

– Mówię prawdę: ładna i miła, tylko... wielka dama. Jurek otworzył szeroko oczy i usta.

– Jak to? – Stefa to jest Stefa, nie żadna wielka dama.

21

– Ty tego nie rozumiesz. Panna Stefania jest przesiąknięta arystokracją. Jest sympatyczna i niedumna, bo jej nie zdążyli jeszcze zmienić, ale i to przyjdzie z czasem. Oni ją przerobią na swój sposób.

Jerzyk ujął się za siostrą:

– Wcale nie! Stefa będzie zawsze naszą, nie jakąś tam arystokratką. Szkoda, że tak spoważniała, ale to pewno tylko teraz, bo babcia umarła. Ona się potem poprawi.

Zamyślił się i spytał znowu:

– A czy arystokracja to co złego?

Student skrzywił usta z lekceważeniem.

– Nic mądrego, w społeczeństwie to zero. Ale powtarzam, ty tego nie rozumiesz.

– Ale takich koni, jakie są w Słodkowcach i Głębowiczach, to nawet u nas nie ma. Oho! ja wiem, Stefcia mi opowiadała. A jakie zwierzęta, a jakie psy! a najładniejszy wielki dog Pandur, co biega zawsze za ordynatem. Pan go widział na fotografii głębowickiej ze zwie- rzyńca.

Student wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy mu ktoś wspominał Głębowicze, bo ordynat, którego znał ze słyszenia, dziwnie jakoś paczył jego pojęcia, jakie sobie urobił o arystokracji, a młody prawnik wyjątków w swej regule nie uznawał.

Śledził także Stefcie Narnicki. Z prowadzonych z nią rozmów doszedł do wniosku, że ordynat Michorowski nie jest jej obojętnym. I to go drażniło. Czy Stefcia ma wzajemność, nie mógł dociec. Ale Narnicki niedługo pozostawał w niepewności.

Klucza do rozwiązania tej zagadki dostarczyły mu fotografie głębowickie. Zresztą wie- dział, że taka Stefcia musiała się podobać i że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony ordynata, zwłaszcza jeśli on dostrzegł jej skłonność ku sobie. Narnicki nie znał dokładnie smutnej histo- rii zmarłej ciotki Rembowskiej, prócz mętnej legendy, krążącej w rodzinie. Nie wiedział o rzeczy najważniejszej, polegającej na zbiegu okoliczności – o owym złym fatum, które zawi- sło teraz nad Stefcie. Nie rozumiał, co się z nią dzieje. Nie chciał wierzyć, że Stefcia kocha się bez wzajemności: miał na to za wiele dowodów przeciwnych. Ale w jego mniemaniu to jedynie mogłoby ją ocalić. Tymczasem otaczał Stefcie opieką, chcąc ją najdłużej zatrzymać w Ruczajewie. Nie narzucał się jej, ale czuwał bez przerwy. Stefcia zawsze go miała przy sobie. Któregoś dnia poprosił ją o fotografie z Głębowicz. Poszli razem oglądać. Stefcia rozłożyła wielkie kartony zbiorowych grup i przyglądała się z takim namaszczeniem, jakby je widziała po raz pierwszy. Narnicki patrzył na nią uważnie.

– Czy was tu kto pozował, kuzynko? – spytał wskazując na grupę w kostiumach.

– Naturalnie. Fotograf.

– Ordynat nie wygląda na upozowanego.

– Tak, on stanął sam.

– A widać to.

– Podoba ci się? – spytała Stefcia, udając obojętną minę.

– Kto, ordynat?

– No, tak...

Narnicki chciał powiedzieć: “wymuskany lalusz”, ale spostrzegł się w porę, że byłoby to kłamstwo zbyt rażące i że Stefcia odgadłaby jego intencję. Zazdrość wyrażona w ten sposób wydała mu się niską i Narnicki odpowiedział szczerze:

– Przystojny i bardzo elegancki, a nade wszystko wybitnie typowy. Stefcia spojrzała na kuzyna z wdzięcznością.

– Tak, dobrześ powiedział. To jego cecha główna.

Narnicki zauważył jej nagłe ożywienie i postanowił mówić dalej, nie spuszczać z niej oczu.

– Wśród nich wszystkich on wygląda na luminarza. Ma rozumny wyraz twarzy i znać w nim lwią energię. Tacy ludzie idą do celu śmiało, depcąc wszelkie przeszkody, i dlatego nie

są bezpieczni. A przeszłość ordynata, bardzo zresztą świeża, znana jest ze swej burzliwości.

– Dlaczego to mówisz? – spytała sucho Stefcia. Narnicki wzruszył ramionami.

– Mówię o nim jako o typie, a dodaję uwagę, że ludzie z taką energią i swobodną prze- szłością, zwłaszcza gdy mają miliony, potrafią nie przebierać w środkach dla zadowolenia swych kaprysów, nawet chwilowych. Ordynat jest wytwornym, tym gorzej. Taki aksamitny płaszczyk pokrywający feudalizm – bo u niego i ten rys jest widocznym – ułatwia mu zaspo- kojenie jego fantazji.

– Nie powinieneś o nim mówić z taką pewnością, bo go nie znasz.

– Czy określiłem go fałszywie?

– Nie, ale źle go sądzisz.

– Przepraszam cię, kuzynko! Jeśli ja nie mam podstawy sądzić go w ten sposób, tym bardziej ty nie możesz za niego ręczyć.

– Ja go znam bliżej.

– Z salonu! jako wielkiego pana i wytwornego człowieka, jeszcze jako sportsmena, causeur<sup>1</sup>, tancerza. Ale to niczego nie dowodzi. To jest właśnie ten aksamitny płaszczyk, o jakim mówiłem.

Stefci zaiskrzyły się oczy.

– Znam go jeszcze jako obywatela kraju, jako właściciela wielkich obszarów ziemi, dobrego patriotę i...bardzo kulturalnego człowieka. Jest wybitnie inteligentny i zupełnie liberalnych pojęć – rzekła.

Narnicki patrzył na rozgnioną Stefcię spod oka. Wargi mu drżały z tajonego gniewu. Głos miał syczący, gdy odpowiedział:

– Słowem, doskonały! Jednak widocznie sam sobie tego nie przyznaje, bo ma dziwnie bajroniczny grymas na ustach i satyrę w oczach, naturalnie wyłączając grupę w kostiumach.

– Doskonałym nie jest, wady posiada jak każdy człowiek, ale nie jest zarozumiałym...

– W to nie wierzę. Człowiek na takim stanowisku, bogaty jak nabab, pełen powodzenia w świecie, nie wiedziałby o tym?

– Wie, lecz posiada przy tym rozum, wcale niepospolity. Jest pewny siebie, ale to co innego.

– To samo, tylko inna nazwa. Główna rzecz wiedzieć, czym się jest i co można mieć na skinienie.

Stefcia umilkła, rozumiejąc już, do czego Narnicki zmierzał. Nie okazała przykrości. Zaczęła mu opowiadać o polowaniach w Głębowiczach, wymieniając osoby na grupach, z krótką biografią każdej. Wreszcie wzięła swe pojedyncze fotografie na długich kartonach, jedną w kostiumie i drugą w codziennej sukni.

– Jaką wolisz? – spytała.

Fotografia w kostiumie była lekko kolorowana i nadzwyczaj efektowna – przede wszystkim niesłychanie podobna; druga również dobra, lecz skromniejsza, robiła wrażenie codziennej. Narnicki spoglądał to na jedną, to na drugą, porównywając je z sobą. W końcu rzekł:

– Wolę tę: korale przypominają mi ciebie taką, jak przed rokiem, i dlatego jest mi drogą.

Ta w stroju z czasów Dyrektoriatu jest śliczna, ale już nie nasza. Wyglądasz jak księżniczka, tchniesz atmosferą pałacową. Ja cię nie lubię w tej roli. Wolę, jak jesteś swojska – taka nasza i niepodzielna.

Stefcia poruszyła się.

– Nie lubisz arystokracji?

– Jest mi obojętną, ale nie lubię ciebie wśród nich.

1 causeur (fr.) – interesujący rozmówca

23

– Mówisz tak, bo ich nie znasz. Zresztą czyż jestem zmienioną? Narnicki popatrzał na nią niemal groźnie.

– Tak, jesteś – rzekł z przyciskiem.

– Ja?!

– Jesteś pod ich wpływem. Daj Boże, aby się to zmieniło.

Stefcia zamyśliła się. Zrozumiał ją. Odgadł jej uczucia i ostrzegął. Przypomniały się jej Głębowicze, ich historia, wspaniałość magnacka, świetne towarzystwa. Istotnie wsiąkła w tamtą sferę, polubiła ich wszystkich. I oni mają wielkie wady, wśród nich są osobniki bez wartości, nawet częste. Ale są wyjątki, skoro można spotkać takiego Waldemara, taką księżnę Podhorecką jedną i drugą lub Macieja. A kto ich nie zna bliżej, sądzi ogólnie i często niesprawiedliwie. Tak myślała Stefcia.



W zamku w Głębowiczach panowała wielka, przynębiająca cisza. Ordynat przesiadywał w swym gabinecie albo w bibliotece lub też snuł się po zamku zamyślony, poważny. Administracja i służba nie widziała go jeszcze takim. Stał się drażliwym, prędkim. Po wyzdrowieniu pana Macieja, który miał ataki nerwowe, Waldemar był na wyborach prezesa towarzystwa rolniczego, ponieważ hrabia Mortęski ustąpił dobrowolnie, znękanym starością i złym stanem zdrowia. Wybrano jednogłośnie ordynata, lecz wybór ten nie zachwycił go. Odbył kilka posiedzeń, po czym powrócił do Głębowicz i zamknął się w nich. Co się działo w jego duszy, nikt nie odgadywał. Kamerdyner Andrzej widział go często w sali portretowej, na kanapce, wprost portretu babki. Czasem, obłożony papierami, starymi księgami o żółtych stronicach, zagłębiał się w nie do nieskończoności, nie jedząc i nie śpiąc. W stajniach dziwił się koniuszy, bo ordynat nie zaglądał do koni. Wyjeżdżał na polowania z licznym zastępem służby, lecz po pierwszych kniejach wracał znudzony. Albo odprawiał służbę i sam, ze strzelbą na ramieniu, włóczył się po lesie, nie strzelając wcale.

Jakiś zmierzch padł na cały majątek. Służba zamkowa, zwierzyniecka, sztab ogrodniczy, wszyscy stajenni, robotnicy fabryk – szeptali tylko o dziwnym humorze ordynata. Na folwarkach ekonomowie dopytywali się Ostrożęckiego, co się stało. Ale i on nie wiedział. Tylko młody hrabia praktykant, ogromnie zaintrygowany, wdał się w rozmowę z Kleczem ze Słodkovic i dowiedział się trochę drobnych szczegółów, dotyczących się choroby pana Macieja i wyjazdu Stefci, lecz nic z tego wywnioskować nie mógł. A ordynat z każdym dniem pochmurniał więcej, stawał się groźniejszym. Do Słodkovic jeździł rzadko i na krótko, tylko w celu odwiedzenia pana Macieja.

Wszelkie narady gospodarcze odbywał przez telefon, ze swego gabinetu. Dyrektorzy fabryk, gorzelni, wszyscy rządcowie i nadleśni porozumiewali się z nim nie inaczej, zdając raporty, otrzymując polecenia. Przez telefon rozmawiał z dzierżawcami, lekarzem ordynackim, ze szpitalem, ochronką i szkołą. Z zamku wychodził rzadko. Czasem bywał na mszy w kościele głębowickim i odwiedzał proboszcza, który także nie poznawał „swego chłopca”, jak go nazywał. Tylko raz w nocy, kiedy paliła się sąsiednia wieś, ordynat wystąpił z dawną energią. Pojechał na czele straży ogniowej i zastępując chorego naczelnika, dyrygował oddziałem błyszczących kasków i skórzanych kurt i z narażeniem siebie uratował wieś od rozszalałego ognia, wyciągając ze swymi ludźmi chłopstwo z płonących domów. Nikt nie padł ofiarą pożogi. Ogień został szczęśliwie umiejscowiony i opanowany. Ale gdy na drugi dzień ludzie przyszli dziękować ordynatowi, kazał im rozdać znaczną sumę pieniędzy na zapomogę, sam jednak tym razem nie wyszedł. Przesiadywał w bibliotece zatopiony w starych foliach. Tak przeszły tygodnie.

Pewnego dnia przed wieczorem Waldemar jak zwykle siedział przy głównym stole w bibliotece, założonym tomami porzucanymi w nieładzie.

Rozpostarty na fotelu, palił cygara i myślał.

Przeczytał już wszystkie te księgi i nie zajmowały go teraz. Obecnie wołał się zagłębiać w historii własnego życia i w jego psychologii. Działo się w nim coś szczególnego, czego nie odczuwał nigdy. Przebiegał myślą swe burzliwe lata, spędzone za granicą, i czasy studenckie. Było w tych wiele zdarzeń ciekawych i takich, które w jego duszy pozostawiły ślady. Tam-tym czasem zawdzięczał pesymizm, ironię i gorycz, z jakimi teraz nie mógł sobie dać rady. Zachodziło wiele przeróżnych kolizji w jego dzisiejszej istocie, dziwna abstrakcja w myślach i uczuciach. Jeden tylko miał pewnik niezbity, jasny jak słońce, w który musiał uwierzyć: kochał Stefcię.

To uczucie występowało zbyt wyraźnie, aby mógł o nim wątpić. A wątpił długo.

25

Za wiele miał w życiu powodzenia i na tym tle za wiele miłostek. Nie wierzył, że potrafi kiedy inaczej patrzeć na ładną kobietę, jak na klejnot mniej lub więcej cenny, którym się może zabawić do woli. Klejnoty takie zmieniał bardzo często, odrzucając bez skrupułu te, co już dla niego straciły blask nowości. Miał wieczne pragnienie szukania, ale nigdy długo nie czuł się zadowolonym. Często, goniąc za nową namiętnością, miał pewność, że gdy cel jej osiągnie, znajdzie uspokojenie. Bywały wypadki, że z niesłychaną odwagą drwił z wszelkich niebezpieczeństw. W tych pogoniach zahaczał o sfery i warunki, gdzie każdy inny znalazłby drzwi zamknięte. On zamkniętych podwoi nie obawiał się; wiedział, że gdy zechce, otworzą się przed nim, nie udawał się do podstępów. Takie walki podniecały go. Ale gdy był u kresu swych pożądań, rozczarowywał się zawsze. Nie czuł nawet dumy z powodu własnych zwycięstw. Pesymizm jego względem kobiet rósł i potężniał. Tylko dwie z nich cenił wyjątkowo: babkę Podhorecką i zmarłą matkę. Nie pamiętał jej prawie, ale czcił za pamięć, jaką po sobie zostawiła w Głębowiczach. Teraz ma cześć dla Stefci. Ona zdruzgotała jego złe pojęcia o kobietach siłą kontrastu. Znał jej uczucia względem siebie i zrozumiał, że ona jest dogmatem jego życia. Różnica sferowa nie przerażała go, zastanawiał się jedynie nad pytaniem, czy na barki Stefci nie okaże się za ciężkim stanowisko, które ją tak wysoko wyniesie. Lecz nie wątpił. Inteligencja jej pozwalała wierzyć, że podoła obowiązkom, wymaganiom i etykietce sfery, do jakiej wejdzie. Doświadczał lekkiej ciekawości, jak ona przyjmie jego wyznanie. Ogarniał go dreszcz na myśl, że będzie ją nareszcie miał w swych ramionach – Stefcię, taką pożądaną, upragnioną... Czasem wyobrażał ją sobie swą kochanką, oddaną mu zupełnie. Czy mogłaby się nią stać? Kochał ją bardzo wiedział o tym. Więc gdyby chciał, mógłby ją może doprowadzić do dania najwyższych dowodów miłości. Miał do tego wypróbowany talent... lecz, co mu się nigdy nie zdarzyło, brakło mu odwagi. Stefcia była jak biały kwiat, nieskalany i dziwnie przezroczysty, uważałby za świętokradztwo dotknąć jej brudną ręką. Ona musiała pozostać czystą pomimo namiętności, jakie potrafiła wzbudzać, jak obłok biały pozostaje białym, choć płynie przez chmury. Ona poniekąd już należała do niego, ale takie oddanie się nie skala nawet anioła. Właśnie z powodu, że ona już jest jego, on jej nie zbruka, nie ściągnie do poziomu swych namiętności, pozostawi na wyżynach i tam będzie szukał rozkoszy. I on, który w stosunkach z kobietami wzdrygał się na wszelkie zobowiązania sakramentalne, teraz pieścił się myślą o Stefci jako swjej żonie.

Sam siebie nie poznawał. Najpiękniejsze panie i panny z arystokracji francuskiej w Paryżu, gdzie jako wnuk księżniczki de Bourbon miał wyłączne i wielkie fory, nie zdołały go natchnąć podobnie. Szalał za demoniczną pięknnością Węgierok, pociągał go szyk wiedeński, w Rzymie wirował wśród panien i mężatek z magnaterii włoskiej, wybierając zawsze klejnoty, ale szafy te kończyły się jednakowo, oprawione w mniejsze lub większe zachody, poprzedzające zwycięstwo. Nigdy nie myślał o żadnych zobowiązaniach i śmiał się z rodziny własnej, która albo z obawą spoglądała na jego wybryki, lub też namawiała go do stanowczych kroków. Był cyniczny, sceptyczny i sam sobie wydawał się niezdolnym do innych wrażeń. Wiedział w sobie tylko namiętność, do bardziej uduchowionych uczuć nie miał przekonania ani ochoty. Teraz wykrył coś nowego. Za Stefcią dla jej urody szalałby zawsze, stałaby się jedną z jego namiętności, gdyby nie była Stefcią. Ale ona działała na niego w sposób całkiem odmienny.

– Co to jest, jakim to się stało sposobem? – zapytywał sam siebie.

Słońce zaszło, w bibliotece zapanował mrok, szare macki włóczyły się mętnie po oszklonych szafach, wciskały się w każdy kąt, potęgując ciemności. Waldemar wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż biblioteki i zadzwonił. Kamerdyner wszedł cicho jak duch.

– Światła! – rzucił krótko ordynat.

Andrzej nacisnął guziki elektryczne w ścianach. Białe światło opromieniło bibliotekę. Z kryształowego pająka sypnęło mnóstwo tęczyowych iskierek.



– Mogłem to sam zrobić – pomyślał ordynat po wyjściu kamerdynera. – Co on kombi-

26

nuje widząc mnie takim?

Wszedł do czytelnicy i otworzył fortepian. Spod adamaszkowej kapy instrument błysnął palisandrem i słoniową kością klawiszy. Waldemar uderzył parę akordów. Zabrzmiała w nich nuta ulubionej sonaty Beethovena, granej przez Stefcię. Urwał, oparł rękę na pulpicie i wykręcił się z taburetem w stronę salonu. Spojrzał dokoła krytycznym wzrokiem.

– Czy do twarzy będzie Stefci w tej oprawie? – pomyślał.

Zmrużył oczy, wywołując wizję: Stefcia siedzi przy fortepianie, gra sonatę, jest ubrana, w eleganckiej sukni wizytowej – nie, lepiej w codziennej. Włosy ma upięte na tyle głowy i taki ładny profil... On wtulony w kąt kanapki, pod palmami, patrzy na nią, na swą żonę. Jest szczęśliwy i ona również. Kocha go. On ją otacza swą miłością i przepychem, na jaki zdobyć się mogą jego miliony.

– Stefcia moją żoną? Ja będę miał żonę? Waldemar uprzytomnia ją sobie.

– Jaka ona młoda! O całe dwanaście lat młodsza od niego: ma zaledwo dwudziesty rok.

– Ale co na to powie jego rodzina, jego sfera? Waldemar gwałtownie powstał i zatrzasnął fortepian.

– O tym już tylko ja decyduję – rzekł do siebie głośno.

– Czy masz prawo? – szepnęło mu coś w duszy, jakiś opiekuńczy duch zamku. Waldemar zatrzymał się w swej przechadzce.

– Czy mam prawo? Wyrobię je sobie! Ale duch szeptał znowu:

– Ostatnie panie tego zamku, ostatnie ordynatowe, były księżniczkami znakomitych rodów.

– A ona będzie moim szczęściem – odpowiedział twardo.

Szybkim krokiem poszedł w głąb zamku, zapalając elektryczność w każdej sali, w każdym pokoju i korytarzu.

Zamek rozbłysnął światłem. Ordynat przeszedł halę spacerową, galerię obrazów i wszedł do sali portretowej. Ciemna i ponura, zajaśniała blaskiem żyrandoli. Ożywiły się portrety, rozbłysły martwe twarze. Purpura i złote blachy strojów, jasne wycięcia staników kobiet wyrzużyły się z wypukłą wyrazistością.

Waldemar robił przegląd swych antenatów.

Spoglądał w groźne, posepne twarze najwybitniejszych członków rodzinnych, prawdziwych klejnotów. Czytał ich tytuły głośne nazwiska kobiet, z którymi się żenili. Przechodził od portretu do portretu, nie odnajdywał tylko szczęścia w tych obliczach raczej ponurych. Zatrzymał się dłużej przed pradziadem Andrzejem, generałem wojsk polskich, ożenionym z hrabianką Esterhazy. Wyrazista, typowa twarz, ale jakieś dramatyczne linie skaziły czystość rysów. W oczach przebijał apatyczny wyraz. Waldemar uśmiechnął się.

– Może portretowany w czasie, kiedy miał się rozwodzić z żoną sławną z piękności, bogactw i paranteli – szepnął z sarkazmem.

Portret ojca miał te same cechy smutku, to samo obojętne spojrzenie.

Matka, bardzo podobna do księżny Podhoreckiej, piękna i młoda, nie nosiła w swej twarzy śladów szczęścia.

Waldemar obszedł dokoła całą salę. Był podniecony, ironiczny wyraz na jego ustach potęgował się. Nareszcie stanął przed portretem babki. Patrzył długo, uważnie.

– I tu to samo – szepnął osuwając się na kanapkę.

Patrzył na tragiczne oczy, z których wiała rozpacz, na zgnębiony wyraz całej postaci. Smutek wylaniał się z każdego szczegółu, nawet, zda się, z fałd ciężkiej sukni.

Waldemar siedział pogrążony w zamyśleniu. Nagle powstał, rzucił dokoła ironiczne spojrzenie i zawołał głośno tonem pełnym gorczy:

– Mają tytuły, stanowiska, parantele, miliony, ale gdzież szczęście? Nie widzę tego.

Roześmiał się gorzko i wzruszywszy ramionami rzekł ciszej:

– Nie znam szczęścia w historii naszej.

Portret Gabrieli Michorowskiej, naturalnej wielkości, umieszczony blisko drzwi, po obu stronach miał ciężkie aksamitne opony, zwieszające się od sufitu. Waldemar podniósł jedną z lewej strony. Ujrzał puste miejsce na ścianie, wyłożonej dębem. Nie zapuszczając aksamitu, spojrzął na drugą stronę portretu i pomyślał:

– Tam miejsce dla dziadka Macieja, a tu?...

Gładka, błyszcząca słojami dębu ściana wydała mu się zagadką, lecz nie pojmował, dla- czego przejmuje go lekkie jak cień uczucie trwogi. Dziwny niepokój wiał z tej pustej ściany, wciskał się do duszy.

Ordynat zadrzał.

– Co to jest? – spytał sam siebie, marszcząc brwi. Zapuścił oponę stanowczym ruchem...

Znowu usiadł na kanapce i ścisnął rękoma skronie.

– Strasznie jestem znerwowany, strasznie!

Tęsknił za Stefcią w czasie długich polowań, potem ujrzał ją na krótko i tęsknota do niej wzmogła się, nie dając mu spokoju.

Kiedy powrócił do gabinetu, zobaczył na biurku list, zaadresowany ręką Luci Elzonow- skiej. Szybko rozerwał kopertę. Dziewczynka pisała:

„Przyjedź Waldy, dziś, jeśli chcesz powitać Stefcie: wraca jutro rano. Bardzo bym chciała pojechać na jej spotkanie, ale boję się mamy. Nikt nie wie, że do Ciebie piszę. Chcia- łem telefonować, ale jak wiesz, telefon znajduje się blisko mamy, a do pawilonu do Klecza przecie nie pójdę. Dopomógł mi poczciwy Jacenty do wysłania posłańca. Przyjeżdżaj ko- niecznie. Lucia”.

Waldemar uczył przyływu krwi do mózgu.

– Wraca, ona wraca!

Dziki, gwałtowny szal radości zawrzał w nim. Ordynat zadzwonił gorączkowo.

– Kto przyniósł ten list? – spytał służącego nienaturalnym głosem.

– Paweł, stajenny ze Słodkowic, przed kwadransem. Nie śmiałem przeszkadzać jaśnie panu, położyłem na biurku.

– To źle. Czasem list jest pilny. Czy posłaniec czeka?

– Już pojechał. Spieszył bardzo. Panienska nie kazała czekać na odpowiedź.

– Możesz odejść.

Andrzej ruszył do drzwi.

– Zaczekaj... Która godzina? – zawołał Waldemar, patrząc jednocześnie na zegarek.

– Pół do ósmej.

– Dobrze! Niech natychmiast Brunon zaprzęga siwe ogiery do większej karety na sa- niach. Jur na koźle. Przygotować dla mnie wszystko na dobę.

Andrzej wypadł z gabinetu. Odczuł w głosie swego pana jakieś tony, które go zastano- wiły i zatrwożyły.

– Czy się tam co stało, czy pan ordynat chory? – myślał biegnąc do kredensu. Waldemar chodził prędko i rozmyślał:

– Czy ona wie wszystko o zmarłej babce, czy zna jej historię? To możliwe! a w takim ra- zie wraca tylko po to, by się pożegnać. Nie zostanie tu dłużej, bo mię kocha. Przyszłość ją przerazi ze względu na przeszłość. My w niej budzimy trwogę, skoro już świadoma przeszło- ści. Czy we mnie jest litość dla niej, czy miłość?... Kocham ją, kochałem przedtem, nim się wszystko wyjaśniło. I ona kocha, może teraz nienawidzi? A sfera? a rodzina? Oni nie dopusz- czają... niechże spróbują. Będą stawiali trudności zwalczę je! Nie zdepczą, nie sponiewierają

mych uczuć, na to nie pozwolę!...

Waldemar zatrzymał się, podniósł rękę do czoła.

– Chcę, pragnę jej... czuję głód szczęścia! Znalazłem je i nie dam sobie wyrwać. Walka zmoże ich... ulegną mi... muszą!... chcę tego... pragnę... i dopnę.

Ktoś zastukał.

– Można.

Wszedł marszałek dworu.

– Czego pan sobie życzy?

Stary człowiek zgiął się w powitalnym ukłonie.

– Przepraszam, że ośmieliłem się przeszkadzać, ale pan ordynat wyjeżdża, a za parę dni ma być w zamku obiad proszony in gratiam wyborów. Czy dostanę jakieś wyłączone rozporządzenie?

– Nie – rzekł Waldemar trochę niecierpliwie – jutro wracam. Niech pan przygotowania robi jak zwykle. Zjazd będzie duży, ale oprócz obiadu żadnych zabaw.

Marszałek ukłonił się i wyszedł.

Waldemar znowu zaczął chodzić. Tysiące myśli szumiało mu w głowie, nawał uczuć rozsadzała pierś, krew w nim wrzała. Był tak podrażniony ostateczną rozmową z duszą i sumieniem, tak przeczulony, że zdawał się słyszeć każdą kroplę krwi, jak sączyła się przez żyły i wpływała do mózgu rozpalona niby kropla ognia. Cały ferment wahań, zagadnień, przez który przeszedł w ostatnich czasach, skryzalizował się jasno, z wypukłą wyrazistością. Wiedział już, do czego dąży, czuł, że już jest na pewnym gruncie. Teraz nie zachwieje się, pójdzie na przód z podniesioną głową. Doda mu tężyzny krew rozkipiała, która w swym warze już ma bunt, opór przeciw spodziewanemu oporowi. Doda mu energii niezmiernie pragnienie osiągnięcia celu. Gorące pulsa rozsadzają mu żyły, kołaczą w mózgu i woła – tytaniczna woła!

Z nią wespół dokona wszystkiego, ona złamie przeszkody, zmiażdży je. Czuł w sobie wulkan siły.

– Karetą czeka – rzekł wchodząc kamerdyner.

W kwadrans potem siwe ogiery ostrym klusem niosły karetę na saniach. Ordynat jechał już spokojny, zimny, pewny siebie. Zamek otaczał się białą zaćmą śniegu. Oświetlone okna gasły jedno po drugim.

## VI

Przez wielkie przestrzenie białych pól, przez ciemne lasy biegł z szumem i łoskotem krótki pociąg osobowy, rozwiewając potężną kłębiącą się szarą dymu. Dwie latarnie na parowozie świeciły jak oczy cyklopów. Wyprostowana lokomotywa z wysuniętą zwycięsko piersią sunęła równo; mechanicznym ruchem poruszały się potężne śruby kół, niby płetwy olbrzymia.

Wilgotny plant i dwie linie szyn błyszczały krwawo przed pędzącym potworem.

W jednym z okien drugiej klasy rysowała się bladawa twarzyczka Stefci. Oparta na dłońiach, spoglądała przez podwójne szyby na nienajbardziej pagórki i drzewa pokryte szarym od wieczornego mroku śniegiem. Świetliste pasemka iskier przelatowały jak złote nitki, rozpluwając się w mętnej szarzyźnie. Jedne zastępowały drugie i w miarę jak się ściemniało, coraz więcej szło tego złota, aż okna rozbłysły niby zorzą, niby gradem ognistym. Już nie pasma, ale potoki, powódź złota falowała, mieniła się, powłóczyła szatą zalewała pociąg. Migwały w tej błyszczącej masie ognistoczerwone gzygaki, leciały pioruny, ostre dzidy i roje krwawych żądłek. A wszystko w szalonym wirze, skrzycone, chybkie, palące.

Stefcia przyłgnęła czołem do szyby. W ciemnych oczach dziewczyny płonące iskry odbijały się złotą luną, na włosy rzuciły miedziane refleksy, różowiły ściągłe, delikatne rysy. Ale w nich nie było już dawnej pogody: bujna, pełna życia i wesela twarz Stefci zmierzchnięta, zbłękitniała w swym wyrazie.

Można by myśleć, że artysta snycerz wybrał ją sobie na pierwowzór i rzeźbił kameę z jej rysów. Wycieniował z finezją, wlał w nią tyle duszy, tyle uczuć, aby twarz ta mogła czarować czymś więcej niż przepyszną urodą młodej, ładnej panny. Teraz przede wszystkim wiał z niej smutek i przejmujący żal. Po trzytygodniowym pobycie w domu jechała do Słodkowic ostatni raz. Miała niezłomne postanowienie zerwać zobowiązania z panią Elzonowską, pożegnać ich wszystkich na zawsze i wracać do domu, do dawnego życia.

Pożegnać ich na zawsze!

Stefcia powtarzała to sobie z bolesną jakąś rozkoszą i czuła, że każde z tych słów rani ją jak sztylety, że sama wlewa do duszy własnej truciznę. Bo. czymże będzie dla niej to rozstanie? Straszna, nieskończona męką...

A jednak trzeba, powinna przezwyciężyć siebie, powinna wyrwać się z tego czaru, który już ją boli zbyt silnie.

Biedne, złamane, zranione życie!...

Nadeszła noc czarna, przepaścista. Stefcię zabolowały oczy od patrzenia na iskry płonące za oknem. Osunęła się na ławkę. Była sama. Zaczęła ją ogarniać senność. Obrazy mieszały się w myślach. Tylko jeden uparcie stał jej przed oczyma, sama go sobie rysowała.

Pełny, zielony ogród, kwitnące bzy, świergot ptactwa i śpiew słowików, a wpośród tego maja zgrabny ułan, przy nim młoda dziewczyna o złotawych włosach i fiołkowych oczach. Stoją wpatrzeni w siebie. On trzyma w dłoniach jej ręce i pieści je, obiecuje szczęście bez granic i upaja, i czaruje nadzieją. Rozkoszą tchną oboje.

Obraz zmienia się.

...Teraz zaśnieżony park, cały jak z cukru. Zachód maluje drzewa na różowo. W powietrzu czuć zbliżający się mrok. Kawki plamią niebo czarnymi punktami. Na białej od śniegu ścieżynce stoi młody pan wykwinny w futrze fokowym, oczy jego ciemnoszare, rozpalone, pochłaniają stojącą przed nim dziewczynę o złotych włosach i fiołkowych oczach.

Trzyma silnie jej dłonie w swoich i słów nie wypowiada żadnych, ale tyle jej mówi oczyma, tyle obie- cuje! Dreszcze dziwne a rozkoszne przebiegają po nich prądem. Szczęście roztacza nad nimi swe skrzydła...

A pociąg rwie naprzód niepowstrzymanie, monotonna turkoczą koła stukają łańcuchy,

30

wagon chwieje się lekkim chybotem, a za oknami płynie i płynie złota rzeka.

Stefcia senną głowę oparła o miękką poręcz ławki i majaczy coraz słabiej, coraz mniej wyraźnie. Obrazy zacierają się, nikną w jakiejś mętnej otchłani. Sen zasuwa je dalej i dalej... i Stefcia znieruchomiła, zasnęła twardo silnym, młody snem. Wrażenia, nerwy umilkły przed tą potężną wolą natury.

Ocknęła się na jakiejś większej stacji. Do jej przedziału weszło kilka osób. Niemłoda, okazała dama z córką i synem. Panna miała szumny kapelusz, świecące grzebienie we włosach i mocno wymalowaną twarz. Młodzieniec nosił binokle, widocznie tylko dla szyku, bo je ciągle zdejmował i przecierał zbolące od szkielek, ale zdrowe, pozbawione wyrazu oczy. Rozsiedli się wygodnie, usuwając energicznie na bok ręczną walizkę Stefci.

Młodzieniec usiadł przy niej i impertynencko zajrzał jej w twarz. Stefcia oparła się znowu o poręcz i chciała zasnąć. Ale okropna rozmowa francuska, prowadzona półgłosem, nie pozwoliła jej na to. Te panie dokładnie obejrzały czarną angielską suknię, pysznie opinającą smukłą postać Stefci, rzuciły okiem na wiszący krepowy kapelusz z welonem i uznały, że dobry, lecz za mało fantazyjny. Zbadały oczyma futrzany żakiet z dużym kołnierzem ze skunksów i wreszcie po obejrzeniu toalety przeniosły wzrok na jej właścicielkę. W świetle latarni włosy Stefci, okalające czoło miękką falą, mieniły się jak stare złoto. Ciężki ich węzeł rozluźniony, opadał na kark, ciemne sztyldkretowe grzebienie i szpilki połyskiwały dyskretnie wśród złotomiedzianych jedwabistych zwojów. Delikatny, ładnie zaokrąglony owal jej twarzy, śliczny rysunek nosa i drobnych różowych ust mniej zwracał ich uwagę – patrzyli głównie na sposób jej czesania się i na ubranie. Młodzieniec jednak śledził z uporem długie rzęsy Stefci leżące na twarzy i cienie, które szły od nich na białą, prześlicznie zaróżowioną skórę. Obejrzał jej ręce białe, wąskie i drobne, o długich i cienkich palcach, ozdobionych jednym pierścieniem z dużą perłą uriańską. Zbadawszy to wszystko, młodzieniec zaczął półgłosem wyklądać matce i siostrze swe spostrzeżenia o Stefci; dowodził, że jest „niczego”, tylko strasznie „chuchrowata”, on zaś woli takie panny, co to jest na co spojrzeć pod względem objętości. Wykonał przy tym odpowiedni ruch, którym dosadnie objaśnił towarzyszące mu damy, że lubi kształty niepośledniej miary. Wszyscy razem zaczęli robić o Stefci różne uwagi, usiłując odgadnąć, kto to być może.

– Jakaś arystokratka – zgodzili się na jedno.

Stefcia, znerwowana tym, nie chcąc się zdradzać, że słyszy, siedziała cicho i wkrótce znowu zasnęła.

Dzień już był, gdy do przedziału wszedł konduktor. Przemówił grzecznie do Stefci:

– Proszę pani, Rudowa już blisko, pozostaje jedna stacja. Stefcia zerwała się i otworzyła oczy.

– Rudowa?... Już? Dobrze, dziękuję.

Zacząła spieszenie wyjmować z torebki swe przybory toaletowe, a widząc, że jest przedmiotem nieustannej uwagi ze strony dwóch pań i młodego człowieka, wyszła z przedziału. Gdy w kilka minut potem powróciła już uczesana i umyta, wyglądała świeżo, przypominając jakiś biały, smukły kwiat.

Młodzieniec czym prędzej ściągnął binokle, by się lepiej przyjrzeć, obie panie patrzyły na nią z podziwem. Świst lokomotywy oznajmił bliskość Rudowy. Stefcia trochę drżała. Włosy żakiet, kapelusz i zaczęła zapinać rękawiczki. Pociąg zwalniał biegu, a jej stanął w myśli pierwszy przyjazd z panią Elzonowską. Wówczas, jadąc od kolei, na granicy Słodkowic poznała Waldemara. Jechał amerykańcem, sam powożąc karą czwórka. Od pierwszego wejrzenia podobał jej się bardzo, głównie z niedbałej a wytwornej elegancji, ale już witając się spojrzął na nią oczyma, w których dojrzała szyderstwo, i to ją zmroziło.

Jego silny, męski uścisk dłoni pamięta doskonale. Jednak zanim dojechali do Słodkowic, już czuła do niego dziwną niechęć.

A teraz?... a teraz?...

31

– Boże! czy tamte czasy istniały? – pytała siebie.

– Mamo, mamo! jakie śliczne konie na stacji i kareta! – zawołała młoda panna, stojąc przy oknie.

– Bardzo ładne czyjeś araby, cała czwórka siwych – potwierdził jej brat. Stefcia zdrzała.

Czyżby z Głębowicz?... – przemknęło jej przez głowę. Przeciągły gwizd, dzwonek, stuk hamulców – i pociąg stanął. Stefcia serce biło zdwojonym tempem.

Do przedziału wpadł tragarz.

– Czy są konie ze Słodkowic?

– Jest, proszę jasnej pani, „karyta” z Głębowicz i sam jasnie pan ordynat. Ze Słodkowic jest tylko panienka baronówna. A ot idzie... pan strzelec.

Posługacz, najwidoczniej z nadmiaru zadowolenia, sadził się na tytuły.

Ustąpił z pośpiechem przed olbrzymią postacią strzelca Jura, który wyglądał jak generał na paradzie.

Olbrzym uśmiechnął się do Stefcia, zdjął stosowany kapelusz i skłonił się nisko, z uszanowaniem.

– Co pani rozkaże zabrać?

Stefcia podała mu ręczną torbę. Walizkę porwał tragarz. W tej chwili wszedł Waldemar.

Przywitali się w milczeniu, ale z nie dającym się ukryć wzruszeniem. Stefcia poczerwieniała.

On pocałował jej rękę gorąco, unosząc czapkę nad głowę. Było tyle wyłącznej nuty w ich powitaniu, pozornie chłodnym, że odczuli ją nawet obecne panie i pewny siebie młodzieniec.

Zamienili z sobą bystre spojrzenie: „Narzeczeni” – mówili sobie oczyma. Olśniły ich konie, kareta. Jur, tytuły, wreszcie pańska postawa ordynata. Waldemar zwrócił się do strzelca:

– Niech kareta podjeżdża.

– Jedziemy natychmiast. Pani wydaje mi się zmęczona – rzekł do Stefcia.

– Jak pan chce – odrzekła cicho.

Wychodzili z przedziału. Stefcia z uśmiechem skłoniła się towarzyszom podróży. Widząc to ordynat uniósł z lekka czapkę.

Panie odkłoniły się nadzwyczaj uprzejmie, młodzieniec hałaśliwie zaszurzał nogami.

Zdziwiła ich grzeczność młodej pary, zwłaszcza tak wspaniałej.

Wbiegła Lucia.

– Ależ marudzicie państwo! – zawołała rzucając się na szyję Stefcia. – Waldy kazał mi tam czekać w sali... nie mogłam wytrzymać. Stefa! kochana! miła! jak dobrze, że już jesteś...

Ucałowały się serdecznie.

Wyszli z wagonu. Na peronie oczekiwał Jur i Jan, lokaj ze Słodkowic.

– Jechaliśmy z jakąś arystokratką, nie ulega wątpliwości – rzekła starsza dama, gdy zostali sami.

– To są narzeczeni. Jakiś widać bardzo bogaty pan. Ładna para! Stanęli w oknie.

Kareta odjechała pierwsza, za nią potoczyły się sanie z Janem i rzeczami. Lucia opowiedziała Stefcia o chorobie pana Macieja i o swej tęsknocie.

– Jak się ma obecnie pan Michorowski? – pytała Stefcia. Lucia się zaperzyła.

– Dlaczego nie mówisz dziadzio, jak dawniej?

– No więc dziadzio, czy już zdrowszy?...

– O tak, i ciągle panią wspomina. – Waldemar odrzekł, patrząc na Stefcia palącym wzrokiem.

Jego spojrzenie dziwnie miękko ogarniało jej postać. Tylko na krepowy welon spoglądał z marsem. Przekro go dotknął jej strój żałobny. Lucia zawołała, jakby odgadując jego myśli:

– Stefa, po co tobie ta krepa? Ładnie wyglądasz w niej, ale to straszne! Po babce nie nosi się welonu.

– Ja ją bardzo kochałam. Zresztą niedługo będę nosiła.

Chciała powiedzieć: „Niedługo będziesz mię już widziała” – ale wstrzymała się. Na samo wspomnienie łzy jej napłynęły do oczu.

Nie wyobrażała sobie chwili rozstania.

Waldemar był milczący, Stefcia również. Oboje czuli, że coś stało między nimi, i odgadywali co. Tylko Lucia rozgadała się jak nigdy.

W Słodkowcach zaledwie wysiedli z karety i Jacenty uradowany ucałował ręce Stefcii, ukazał się stary kamerdyner pana Macieja, podszedł wprost do niej i nachylając się, szepnął:

– Starszy pan prosi panią do siebie. Jest w swoim gabinecie.

Dziewczyna zbladła, lecz odważnie poszła naprzód, nie rozbierając się wcale. Waldemar ją dogonił.

Byli sami w małym, stylowym saloniku. Wziął jej ręce i przytulił do ust.

– Panno Stefanio, czy pani wie wszystko?...

– Wiem – odparła ze drżeniem. Popatrzał w jej oczy długo, przeciągle.

– Poznałem to od razu w wagonie. Biedactwo!... Ale niech się pani nie rozdrażnia, bo i dziadzio jest niesłychanie wstrząśnięty. Proszę to zrobić... dla niego i być spokojną.

Odprowadził ją aż do drzwi gabinetu.

Pan Maciej siedział w fotelu. Trzy tygodnie sprawiły na nim różnicę wielką: zbladł i włosy zbieleły mu jeszcze więcej; pochylił się, zgarbił, miał wygląd bardzo stary. Stefcia na jego widok nie wytrzymała. Łzy zalały jej oczy, pędem podbiegła do staruszka, uklękła przy jego kolanach i twarz schowała w dłoniach, chcąc stłumić płacz.

Pan Maciej trzęsący się otoczył ją ramionami.

Po tym wybuchu Stefcii zrozumiał, że ona już wie wszystko. Coś jakby łkanie jęknęło w jego starej piersi.

– Dziecko, ty płaczesz? Więc ty wiesz? Od kogo? Skąd?...

– Z jej... pamiętnika.

Zapanowało milczenie – ciężki, głuche. On znał ten pamiętnik!

– Pisałaś.. do Luci, że zmarła nagle na serce... Czy była przyczyna? – spytał zmienionym głosem.

Stefcia zawahała się.

– Mów, dziecko... mów wszystko... chcę wiedzieć, widzisz – jestem spokojny.

Stefcia opowiedziała, że babka, bawiąc za granicą, nie miała dokładnych wiadomości, gdzie się ona znajduje, i dopiero list ojca, w którym wymienił nazwisko Michorowskich...

Umilkła, nie chcąc wyjawić, że to właśnie przeraziło babkę. Nie chciała wymieniać szczegółów, gdyż występował w nich Waldemar.

Ale pan Maciej dopowiedział sobie resztę, pochylił głowę i ciężko oddychał, po czym mówił z ogromną goryczą:

– Więc nie przebaczyła... pamiętała zawsze... samo nazwisko przeraziło... bała się o wnuczkę, że jest wśród nas.

Stefcia przylgnęła ustami do jego ręki. Czowała, że kocha tego starca.

– Nie, dziadziu, ona przebaczyła wszystko... sama cierpiała, nawet rodzone dzieci nie wiedziały nazwiska do końca.

– Jednak bała się nas... bała się o ciebie. Dlaczego? Stefcia wstrząsnął dreszcz.

Starzec nagle zrozumiał, przed oczyma jego stała postać Waldemara. Zadrżał.

– Tak, to być musiało główną przyczyną jej obawy. Prawda! prawda!... sam fakt istnienia młodego ordynata Michorowskiego obok jej wnuczki musiał ją przerazić.

Starzec wyprostował się. W zapadłych oczach palił się ponury ogień ciężkiej zgryzoty. Położył rękę na ramieniu Stefci.

– Wstań, dziecko, idź do Idalki. A nie zapomnij o starym dziadziu, masz do mnie zawsze wstęp.

Stefcia ucałowała jego ręce i cicho wyszła z gabinetu. Pan Maciej ścisnął głowę rękoma.

– Znowu to samo... powtórzenie minionych lat, pogrzebane chwile wróciły. To ją zabiło! pamiętnik... nieszczęsny... został! moje świadectwo! Stefcia go czytała... Chryste! – jęczał chrapliwie.

Po długiej minucie nacisnął guzik elektrycznego dzwonka, umieszczonego na poręczy fotela.

Stary kamerdyner wsunął się bez szelestu.

– Co robią państwo? – spytał pan Maciej.

– Panienki są u pani baronowej na górze, a pan ordynat w swoim gabinecie; polecił mi zawiadomić, jak wyjdzie panienka. Czy mam prosić?

– Nie, nie trzeba! Obiad prędko?

– Zaraz podają.

– Niech Franciszek przeprosi panią baronową – nie będę dziś na obiedzie.

– Jaśnie pan nie zażywał jeszcze bromu.

– Dobrze, dobrze, podaj.

Kiedy służący wychodził, pan Maciej zatrzymał go jeszcze.

– Chcę być sam. Proszę powiedzieć panu ordynatowi, żeby po obiedzie... i... po czarnej kawie był łaskaw przyjść. Teraz nie.

Franciszek wyszedł mocno zgorszony i zdziwiony, że jego pan nie chce widzieć nawet ukochanego wnuka. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić.

Wzruszył ramionami i mruknął do siebie:

– Tu się jakieś niedobre rzeczy dzieją.



## VII

Działo się istotnie źle. Wieczorem tego samego dnia Stefcia z Lucią, siedząc przytulone do siebie na małej kanapce w pokoju Stefci, obie płakały. Lucia wyrzekła:

– Ach, Stefa! nigdy nie myślałam, że mię tak nagle opuścisz. Więc nie kochasz już? Skąd ten nagły projekt wyjazdu?

Stefcia płakała. Serce jej się krajało na myśl opuszczenia Słodkowic. Ale jednocześnie bała się pozostać dłużej. Sam widok Waldemara wstrząsnął nią. Rozmowa z panią Idalią zmęczyła Stefcię. Baronowa nie chciała słuchać o jej wyjeździe, a widząc stanowczość dziewczyny, postanowiła zbadać prawdę. Stefcia jednakże prawdy wyjawic nie mogła i podawała za powód to, że rodzice żądają jej powrotu. Pod wpływem córki baronowa stała się niewzruszona.

– Stefciu, powiedz, że tylko żartowałeś, powiedz, że zostaniesz z nami – błagała Lucia.

– Nie, nie mogę ci obiecywać. Nie żartuję. Muszę jechać, muszę!

– Więc tak ci źle u nas?

Stefcia okryła dziewczynkę pocałunkami.

– Nie mów tak, Luciu, bo mię to rani. Dobrze mi u was, bardzo dobrze i nigdy was nie zapomnę, ale muszę wracać do rodziny.

Lucia wybuchnęła:

– Ależ my cię kochamy jak swoją! Stefa, czyż nie jesteś jak w rodzinie? I ja cię kocham, i dziadzio, i mama cię często wspominała. Tęskniłam do ciebie jak do siostry. Stefciu, rzuć te myśli! Widzisz, zaraz po świętach Bożego Narodzenia wyjeżdżamy na Riwierę do Nizy, do Włoch, do Rzymu, do Wenecji, będziemy i w Paryżu, i w Wiedniu, i w Szwajcarii. Stefciu, bój się Boga! i ty byś miała z nami nie jechać? Ja tak o tym marzyłam. Nie widziałam jeszcze tamtych krajów, a z tobą tak by nam było przyjemnie. Stefa! zastanów się! Nie tylko my jedziemy, ale jedzie i dziadzio, i Waldy, a już jak on będzie z nami, możemy być pewne świetnej zabawy. Będziemy używały, Stefa! Ale... jak nie pojedziesz, to i Waldy zostanie.

Stefcia drgnęła.

– Co ty pleciesz, moja Luciu!

– Wcale nie plotę, mówię prawdę. Jak ty pojedziesz, pojedzie i Waldy. W przeciwnym razie nie – już ja to wiem.

Stefcia spojrzała ukradkiem na zapłakaną twarzyczkę Luci: ujrzała na niej smutek i zamyslenie.

Więc już i to dziecko czegoś się domyśla? Stefcię ogarnęła rozpacz.

– Muszę uciekać, muszę!...

Ale stanęły jej w myśli nieznane kraje, morza, góry, wielkie miasta, centra cywilizacji, o których tyle marzyła. I ona byłaby wśród tych cudów i... z nim! Tyle szczęścia, takie niesłychane spełnienie marzeń, i wszystko od niej zależy, od jej postanowienia, od jej woli. Usta Stefci uśmiechnęły się, już chciały wypowiedzieć: „zostanę”. Lecz nagle jak na jawie ujrzała przed sobą Waldemara. Jego spojrzenie oblało ją warem. W uszach słyszała słowa Luci: „Jak ty pojedziesz – pojedzie i Waldy”. Chwila wahania minęła. Stefcia podniosła hardo głowę i rzekła z mocą:

– Nie mogę. Muszę wracać! Będę z tobą, dziecko, korespondowała. Bądź ze mną szczerą, wszystko mi zwierżaj, co cię boli i cieszy. Smutno mi opuszczać twoją młodą duszyczkę, która się tak ładnie budzi do życia, ale muszę, Luciu, muszę!

W parę dni potem był wielki obiad proszony w Głębowiczach z powodu wyboru Waldemara na prezesa towarzystwa rolniczego. Ze Słodkowic pojechał pan Maciej, baronowa i pan Ksawery, Stefcia z Lucią zostały.

Pod wieczór kazały sobie zaprząć do małych sanek i pojechały na spacer. Stefcia powo-

35

ziła parą siwych kuców. Jechały ostro po wybornej sannie, śnieg skrzypiał pod płozami, spod kopyt koni wylatywały zbite grudki śniegu, rozsypując się na szafirowej haftowanej siatce. Dzień był jasny, mroźny, pełen bieli, błękitów i przestworzy powietrznych. Stefcia zapomniała na chwilę o swych zmartwieniach i dała się porwać urokowi ślicznej pogody zimowej, rozmawiając dość wesoło. Lucia, zasepiona, rzucała ponure spojrzenia na towarzyszkę. Nagle wybuchnęła głośnym płaczem;

– Luciu, co ci to? – pytała Stefcia – czego płaczesz?

– Bo ja nie mogę myśleć, że ty chcesz wyjechać, i tak mi smutno, a tyś wesoła – nic ja ciebie nie obchodzę.

– Ależ, dziecko, i mnie ciężko... oj! jak ciężko! Rozweseliłam się, bo tak ładnie na świe- cie. Czy myślisz, że mi wesoło was porzucać? oj, Lucia! Lucia!...

Tyle prawdziwego żalu brzmiało w jej głosie, że dziewczynka spojrzała na nią ciekawie.

– Więc czemu jedziesz?

Stefcia zacięła kuce i nic nie odpowiedziała. Lucia pokręciła głową.

– Ty coś przede mną ukrywasz, Stefa, nie chcesz być szczerą, a ja... ja może lepiej zgaduję, niż sądzisz, powody twojej ucieczki. I tak mi żal! Ja już wiem, jak tu smutno bez ciebie. Żebyś wiedziała, jak tu było ponuro przez te trzy tygodnie twojej nieobecności! Ach Boże! dziwię się, że nie zwariowałam.

– Luciu, przesadzasz! – zawołała Stefcia, udając swobodę. Wstrząsnęło ją słowo „ucieczka”.

– Przesadzasz – powtórzyła.

– Ani trochę! Nie masz pojęcia, co za smutek! Najpierw zaraz po twym odjeździe, może zaledwo wyjechałaś za bramę, zachorował dziadzio. Miał jakiś straszny atak nerwowy. Waldy go na rękach przyniósł do sypialni. Mama się przestraszyła, dostała spazmów i także zachorowała. Waldy chodził ponury, zły, bałam się do niego przemówić. Przez cały czas choroby dziadzia prawie go nie odstępował. Odwiedzał i mamę, ale rzadko. Raz przemówili się z mamą dość ostro. Słyszałam, jak mama mówiła: „To dzieciństwo, niewarte pamięci”, a Waldy, bardzo widać oburzony, odrzekł: „Trzeba nie mieć sumienia, żeby tak sądzić jak ciocia”. Ja wiem, o co się sprzeczali, bo ja wiele rzeczy odgadłam i usłyszałam. Wiem, co spowodowało chorobę dziadzia, ale nic nie mówię, bo ciągle i ty przede mną milczysz. Potem, kiedy już dziadzio wyzdrowiał, ciągle był smutny. Waldy przyjeżdżał rzadko i zawsze zły. Tylko przez telefon dowiadywał się o zdrowie dziadzia. Pewnego dnia przyjechał po obiedzie, kiedy wszyscy spali. Zobaczywszy sanki, obszukałam cały pałac, nie znajdując go nigdzie. Zastałam go niechcący... w twoim pokoju. Siedział na kanapce pod oknem i trzymał w ręku... zgadnij, co?...

Stefcię przebiegały dreszcze. Opowiadanie dziewczynki obudziło w niej wszystkie wrażenia i bóle jej duszy.

– Nie wiem – odrzekła.

– Twoje korale.

– Korale?...

– Tak, wyjeżdżając spieszyłaś się bardzo i nie schowałaś ich: leżały na konsolce pod lustrem. Waldy siedział z głową opartą na jednej ręce, w drugiej trzymał korale i przewijał je sobie przez palce, pieścił się nimi. Był tak zamyślony, że ledwo mię spostrzegł. Widziałam, że się rozgniewał na mnie za to, że weszłam, ale nie okazał mi tego. Wstał, położył korale na stoliku, ucałował mię, a potem rozejrzał się po pokoju i powiedział: „Trzeba ten pokój ubrać kwiatami na przyjazd panny Stefanii”. Te kamelie i białe rododendrony, co u ciebie stoją, to on kazał przynieść. Tę palmę przy lustrze sam ustawiał. Oglądał ciekawie twoje malowidła pastelowe i kredkowe szkice, a ten duży karton, który szkicowałaś w Głębowiczach, fragment z parku z widokiem na rzekę, zabrał ze sobą. Bardzo mu się podobał. Widzisz, Stefa, i Waldy tęsknił za tobą.

Lucia umilkła. Stefcia siedziała cicho, wzruszona i przygnębiona zarazem.

Więc on się nawet nie ukrywał? Więc on tęsknił za nią, był w jej pokoju, trzymał w ręku jej korale, pokój ozdobił kwiatami?...

Stefcia musiała użyć całego panowania nad sobą, żeby nie zapłakać z radości, z goryczy, z tysiąca uczuć pomieszanych razem.

Wtem Lucia odezwała się niespodziewanie:

– Stefa, powiedz szczerze, który przystojniejszy: Waldy czy Prątnicki?.. Stefcia zatrzęsa się.

– Ach! Luciu, nie porównywaj Prątnickiego z panem Waldemarem!

– Jednak tamten przystojniejszy! Edmund jest piękny jak obrazek, ale powiem ci szczerze, Stefa, że teraz, kiedy już o nim zapomniałam, wolę Waldemara. Ten ma urodę bardziej męską i pańską, nieprawdaż? Prątnicki przy nim jak ładna lalka. Gdyby Waldy był mi obcym, szalałabym za nim. On ma w sobie coś takiego, je ne sais quoi!<sup>2</sup> Dziwnie umie porywać.

Stefcia bała się spojrzeć na Lucię. Czowała tylko, że łuna uderza jej na twarz. Dziewczynka po chwilowym milczeniu rzekła znowu:

– Waldy ogromnie może się podobać. Są dowody. Kocha się w nim panna Rita i ta oślica Barska, której się zdawało, że na jej skinienie on padnie przed nią plackiem. Ale się nie udało. Podobno kocha go i hrabina Wizembergowa, i księżna Krysta Turyńska, i wiele innych. Są takie, co liczą na jego miliony, ale Waldy ma dobre oko, od razu takie pozna. Barska może go i kocha, ale właśnie chciała być głównie ordynatową i panią Głębowicz, a Waldy to zwęszył i dał kosza.

– Źle się wyrażasz, Luciu. Zresztą skąd wiesz? Przecie się tobie nie chwalił.

– On nie, ale to każdy rozumiał w Głębowiczach. Łapała go do obrzydliwości, kokietowała, a potem chodziła jak struta. Słyszałam raz, jak Trestka mówił do Rity: „W Barską strzelił ordynacki piorun”. Aha! do czegoż by się to stosowało więcej?

Stefcia uśmiechnęła się.

– Hrabiego Trestkę poznałabym tylko po jego dowcipie.

– Lubisz go?

– Owszem, bardzo, chociaż mi czasem dokuczał.

– I on ciebie lubi. Przyjeżdżał odwiedzać dziadzia. Pytał się o ciebie, kiedy wracasz, nawet jak na niego bardzo serdecznie. Ale go teraz nie ma w domu. Pojechał do Berlina. Mówił, że po zaręczynowy pierścionek.

– Doprawdy?

– Ale co znowu! Rita go nie chce. Może wtedy za niego wyjdzie, jak się Waldy ożeni. A że to prędko nie nastąpi...

– Dlaczego?

– Bo on niełatwo znajdzie sobie żonę, choć każda chętnie by nią została. A szczególnie teraz Waldy...

Lucia słodkim, cichym ruchem przygarnęła się do Stefci i rzekła niespodziewanie:

– Stefa, bądź ze mną szczerą, jak cię tak kocham... bądź szczerą.

– Czego chcesz Luciu? – spytała Stefcia łagodnie.

– Powiedz... ty wiesz, że Waldy się w tobie kocha?

– Luciu, na Boga! nie mów tego nigdy! daj mi słowo, że podobnych rzeczy nie będziesz mówiła.

– Nikomu więcej, ale tobie. Zresztą dużo osób o tym wie. Podobasz mu się bardzo od dawna i kocha cię. A ty, Stefa?... To niemożliwe, żebyś była obojętna! Kochasz go również... prawda?... Stefcia rozumiała, że jej tajemnica została odgadnięta, że Lucia pyta umyślnie, ale że wie wszystko... Co począć? Dusił ją łyzy, dusił żal do Luci i do siebie samej. Milczała, wie-

dząc, że tym potwierdza prawdę.

Nagle zabręczały brązy upręży, zaskrzypiał śnieg, zaparskały konie i zrównał się z ich saneczkami strojny zaprzęg panny Rity. Stangret wstrzymał rozpędzone konie.

Stefcia ściągnęła lejce kuców z wielką wewnętrzną radością. Pannę Szeliżankę uważała w tej chwili za swą wybawicielkę.

– Jak się macie? jak się macie? – wołała Rita, wychylona z sanek, podając rękę Stefci i Luci. – Jadę właśnie do Słodkowic. Dobrze, że was spotkałam. Naturalnie wracamy razem, bo ja mam dość spaceru.

– Myślałyśmy, że pani w Głębowiczach.

– Miałam tam być z cicią, ale przyjechali Franiowie Podhoreccy i oni mię zastąpią.

– Waldy będzie zmartwiony – rzekła Lucia. Panna Rita zmarszczyła brwi.

– Obejdzie się! – odparła z irytacją. Stefcia potrząsnęła lejcami.

– Więc wracamy. Pani nas wyprzedza, bo nasze kuce nie wygrają wyścigu z jej końmi.

– Ja mam inny projekt: wy obie siadacie ze mną, a waszego pająka odprowadzi Karol. Lokaj natychmiast zeskoczył z kozła.

Stefcia usiadła obok panny Rity, Lucia na kozle, zwrócona do nich twarzą.

Rozmawiały niby wesoło, ale przymus jakiś tamował zwykłą swobodę. Panna Rita była kwaśna, Stefcia roztargniona, Lucia smutnie zwiesiła główkę. Kiedy na pytanie Rity Stefcia mówiła jej o bytności w Ruczajewie, młoda panna nie spuszczała z niej oczu, jakby chcąc wyczytać wszystkie jej myśli. Ale gdy Lucia z żalem opowiedziała o projekcie wyjazdu Stefci, panna Rita drgnęła.

– Jak to, pani jedzie?... ależ dlaczego?...

– Rodzice tego żądają i ja sama postanowiłam nieodwołać.

Powiedziała to w ten sposób, że panna Rita i Lucia umilkły. Dziewczynce łzy zakreśliły się w oczach.

W Słodkowcach panna Szeliżanka została na noc. Wieczorem obie ze Stefcią grały w bi-lard. Lucia przy kominku w sąsiednim salonie siedziała splakana.

O wyjeździe Stefci nie było już mowy. Panna Rita odgadła powód. Od pani Idalii wiedziała, że Stefcia jest wnuczką Korwiczówny.

– Czy wie pani, dlaczego głównie do Głębowicz nie pojechałam? – mówiła Rita – oto dlatego, że będą tam wygłaszane różne pompatyczne mowy na cześć ordynata, że będą mu kadzić, a on tego nie lubi i zawsze jest wówczas zły. Tym wszystkim panom zdaje się, że mu koronę na głowę włożyli wybierając go na prezesa. Postąpili mądrze i sprawiedliwie, ale to nie łaska, to mu się należało. Jest najlepiej myślący z nich wszystkich, a stanowiskiem jeden z najwyższych. Ten wybór nie był dla niego niespodzianką i dla nikogo. Tymczasem posypią się mowy, toasty wielce wzruszające, wielce podniosłe i szumne, a ten, który będzie najgłośniej krzyczał, z pewnością po cichu zgrzyta zębami z gniewu, że ordynat znowu wypłynął na widownię, a on siedzi w kącie. Ba! nawet gotów wymyślać na sprawiedliwość, nazywać ją ślepą, wygadywać na poparcie milionów, tylko sobie nie przyzna, że jest filistrem. I ordynat przez prostą światową grzeczność musi takiemu panu dziękować za jego tyradę. Całe szczęście, że się z tym prędko załatwia: jego mowy, zwłaszcza dziękczynne, są zawsze krótkie i zwięzłe.

– Ależ prócz podobnych mówców są zapewne i poważni, jak ksiązę Giersztorf, młody hrabia Mortęski. Ich mowy muszą być ciekawe i bez pochlebstw. Takie miło usłyszeć, zwłaszcza że pani ordynatowi... sprzyja...

Stefcia zacięła się.

Panna Rita wpiła w nią oczy.

– Niech pani się nie żenuje swych słów i mnie. Ja nie tylko sprzyjam ordynatowi, ale ko-

cham go, nie umiem patrzeć obojętnie na niego i na to, co go otacza. A jeszcze jeden powód, że nie jestem na obiedzie, to nieobecność Trestki.

Stefcia mierzyła właśnie młotkiem do kuli – stanęła zdumiona.

– Trestki?...

– A tak: niech pani nie sądzi, że mam połowiczność uczuć, nie. Trestka niekiedy bywa koniecznym, przywykłam, do jego asysty, innej nie znoszę. Jak on jest ze mną, zabezpiecza mię już od wszelkiej. Wyjątek robię jedynie dla ordynata, lecz... tu zmieniają się role: ordynat nie dba o mnie.

– Bardzo panią lubi i ceni – rzekła Stefcia z żywością. Zrobiło jej się przykro, bo w głosie panny Rity odczuła smutek i żal.

Młoda panna wybuchnęła śmiechem.

– Czy to ma być pociecha dla mnie? Jakaż marna! mętna woda zamiast wina! Lubi mię, nie przeczę, ale woli swoje konie, nawet Pandura. A że ceni? zapewne, tym więcej że zna moje uczucia. Jest bardzo delikatny i nigdy mi nie da poznać, że wie o nich. Powtarzam to, co już kiedyś mówiłam. Ten człowiek wybierze sobie kobietę zupełnie swoją, dla niego stworzoną, która mu będzie odpowiadała urodą, typem, temperamentem, słowem, wszystkim. Będzie to wyłącznie jego kobieta. Wszystkie najpiękniejsze świata całego mogą się o niego ocierać – mówię trywialnie, mniejsza o to! – i żadna nie wzbudzi jego uczuć, prócz może chwilowego zapału krwi, ale to inna rzecz. On wybierze sobie kobietę, którą zechce nazwać żoną, nie wśród głośnych nazwisk i partii, nie wśród tytułów, ale tam... gdzie się nikt nie spodziewa, i... pierwsza przed tą kobietą gotowam zniżyć głowę.

Rita umilkła. W ciszy rozlegał się tylko stuk młotków o kule, bo panny grały zawzięcie.

Nadeszła Lucia. Po jakimś czasie, Rita, nachyliła nad zielonym sukniem, rzekła jakby do siebie:

– A ja taki typ znam... jego typ. I jeśli się sprawdzi...

Nie dokończyła. Zaczęła mówić o czym innym. Lucia popatrzyła uważnie na Ritę, potem na Stefcię i wolno, ze zwieszoną główką odeszła znowu do kominka.

Pan Maciej i pani Idalia nocowali w Głębowiczach. Powrócili na drugi dzień rano. Baronowa, rozbawiona, opowiadała z ożywieniem szczegóły obiadu. Pan Ksawery przytaczał niektóre mowy, kiwał przy tym łysiną, powtarzając:

– Tak, tak, ordynat ma zasługi. O! to dzielny pan, hojny, energiczny! Tylko wczoraj nie był w dobrym usposobieniu.

– A tak, jego humor nawet raziił – potwierdziła pani Elzonowska.

Panna Szeliżanka zagryzła wargi i bokiem nieznacznie spojrzała na Stefcię. Pan Ksawery mówił dalej:

– W ostatnich czasach ordynatowi trafia się to często. Wczoraj odgrywał rolę uprzejmego gospodarza, chociaż z przymusem.

Spod krzaczastych brwi spojrzął w posępną twarz pana Macieja i dodał:

– I pan dobrodziej niewesoły. Może jaka zła wieść?... Pan Maciej uśmiechnął się.

– Zaraziłem się od wnuka – odparł.

Obiad przeszedł sennie. Tylko pani Idalia i pan Ksawery rozmawiali ciągle o Głębowiczach. Po obiedzie panna Rita odjeżdżała.

– My już chyba zupełnie pożegnamy się – rzekła do niej Stefcia z bolesnym uśmiechem.

– A niechże Bóg broni! Przede wszystkim sądzę, że Idalka pani nie puści. Zresztą ja tu wpadnę jeszcze i... w razie czego, pani chyba pożegna osobiście moją ciocię w Obronnem.

– A prawda! księżna była dla mnie zawsze tak łaskawą.

– Bardzo panią lubi – odrzekła Rita, całując Stefcię serdecznie.

## VIII

cza.

Przeszedł jeden dzień, smutny i posepny.

Stefcia pakowała rzeczy. Ostatnia jej rozmowa z panią Elzonowską była bardzo stanow-

– Niech mi pani wyjawi właściwy powód – mówiła baronowa, szczerze zmartwiona. – Ja nie pojmuję tego uporu. Czy może z Luci pani jest niezadowolona? Stefcia zachnęła się.

– Luci mi bardzo żal. Pokochałam ją. Żal mi opuszczać państwa, ale ja muszę, muszę koniecznie.

Pani Idalia spojrzała na nią uważnie.

– Mamy jechać na Południe. Liczyłam na to, że pani Luci nie opuści.

– Znajdzie pani inną nauczycielkę.

– Comme vous êtes ridicule!<sup>3</sup> pani nie uważamy za nauczycielkę, ale za towarzyszkę Luci, za jej przyjaciółkę. Ona do pani niesłychanie przywiązana. Brak jej wszelkiego towarzysztwa. Pani jest dla nas jedyną. W Luci widzę wielką różnicę, znać dobry wpływ. Jej umysł rozwinął się lepiej niż przez te wszystkie lata, dzięki pani inteligencji. Nie! pani nas nie powinna opuszczać!

Baronowa objęła Stefcie i z miłym uśmiechem pocałowała ją w czoło.

– Niech się Stenia nie upiera, bo ją tu bardzo lubimy i smutno nam byłoby bez niej.

Stefcia odczuła jej chwilową serdeczność, chciała się do niej przytulić, ale nie miała od-

Pani Idalia zawsze ją mroziła.

Rzekła więc tylko:

– Nie zapomnę państwa nigdy, będę z Lucią korespondowała, ale... jechać muszę! Pani mi wybacz, że zrywam przed rokiem jednak... to już konieczne.

Pani Elzonowską spochmurniała.

– A może pani ma jakie skrupuły ze względu na tę... dziwną historię mego ojca i zmarłej babki pani? Niechże się pani tym nie przejmuję. To są rzeczy zapomniane, pogrzebane! Śmierć pani Rembowskiej podziała na ojca dosyć żywo, nie przeczę – głównie bytność pani, jej wnuczki, w naszym domu. Ale teraz ojciec już jest uspokojony, będzie mu przykro, skoro pani odjedzie. Przecie pani nie ma racji uciekać od nas dla jakiejś przestarzałej historii. Stefcia uśmiechnęła się gorzko. Ogromna przykrość zgłuszyła w niej wszelkie inne uczu-

cia. Pani Idalia spostrzegła ten wyraz na jej twarzy, patrzyła na nią badawczo.

Stefcia spuściła oczy. Mocny rumieniec opływał ją z zwojna, usta jej drżały. Całą postacią i tym rumieńcem zdawała się mówić:

– Ta przestarzała historia właśnie mię wypędza, ona jest powodem mej obawy, boję się, by nie zmartwychwstała.

Długi czas siedziały naprzeciw siebie bez słowa. Duże piwne oczy pani Idalii, wpatrzone w Stefcie, zwięzły się coraz bardziej i na twarzy pozostały tylko wąskie, brązowe szpareczki. Jedna brew drgała nerwowo. Baronowa białą ręką bawiła się złotym łańcuszkiem od zegarka, głęboko coś rozważając.

Stefcia wolno i poważnie podniosła na nią oczy, błyszczące wilgocią łzawej powłoki. Pani Elzonowska powstała.

– Stanowczą odpowiedź dam pani jutro. Tak od razu nie mogę... pani pojmuję?... Dziewczyna zrozumiała, że jest odgadniętą. Krew jej buchnęła do mózgu.

Matka Luci podała jej rękę już chłodniej niż przedtem.

Stefcia schodziła z wielkich schodów chwiejnym krokiem. W głowie jej szumiało.

3 Comme vous êtes ridicule! (fr.) –Jaka pani śmieszna!

40

Oparła się ciężko na aksamitnej poręczy.

– Trzeba jechać... jechać... na zawsze. Boże! Boże! daj mi sił!...

Jej postać odbiła się w wielkim lustrze wiszącym na zakręcie schodów. Stefcia ujrzała swą twarz zmienioną do niepoznania, bladą, z podkrążonymi oczyma i wyrazem bólu w tragicznych żrenicach.

Wtem dały się słyszeć za nią czyjeś kroki.

Obejrzała się. Młodszy lokaj zbiegł szybko ze schodów, przeskakując po kilka naraz. Za nim szedł Jacenty.

– Co się stało?

– Pan ordynat przyjechał.

Dziewczyna zadrżała. Zrobiła ruch jakby do ucieczki, ale nogi jej zaciężyły. Na dole szwajcar otwierał już drzwi.

Była na ostatnich stopniach, kiedy wszedł Waldemar.

Twarcz mu zajaśniała, prędko zdjął czapkę i ściągnął rękawiczkę. Podała mu rękę.

On bez słowa przycisnął ją do ust, przy czym spojrzał na zmienioną twarz Stefci i brwi zbiegły mu się na czole.

Ona znikła w przyległych drzwiach. Wpadła do swego pokoju i cisnąc w dłoniach rozpalone skronie, zawołała z wybuchem płaczu:

– Boże! Boże! ratuj mię!...

Ogarnęła ją gorączka, działo się z nią coś niezwykłego. Na kanapce pod oknem, wtulona w kącik, siedziała płacząc i rozmyślając na przemiany, rada, że Lucię zatrzymała matka i że mogła być zupełnie samą.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Ja, Jacenty. Kamerdyner wszedł.

– Pan ordynat pragnie się widzieć z panią. Jest w białym salonie. Stefcia uczuła bolesny kurcz w krtani.

– Dobrze, idę zaraz.

Chwilę siedziała nieruchomo. Potem zbliżyła się do okna, przyciskając rozpalone czoło do szyby, otarła oczy i podbiegła do drzwi.

– Czego on chce ode mnie?

Cofnęła się, policzki ją paliły jak ogniem. Parę razy przeszła pokój, załamując dłonie.

– Boże! Boże! spokoju!

Otworzyła drzwi i nie oglądając się już, nie zatrzymując, biegła w stronę białego salonu. Na progu, w cieniu adamaszkowych zasłon stanęła zdyszana, z bijącym sercem.

Waldemar zbliżył się do niej, wziął ręce i gorąco je uściśnął. Wymowne oczy wpił w jej spuszczone powieki. Rzekł pewnym głosem:

– Przejdźmy do oranżerii, tu obok. Tam spokojnie. Chcę panią o coś zapytać.

Puścił jedną jej rękę, drugą delikatnie wsunął sobie pod ramię i z pieszczotą przykrył ją dłonią. Stefcia, oniemiała, drżąca, dała się prowadzić bez oporu.

Czuła, że traci przytomność. Jego bliskość i uścisk upajały ją aż do zawrotu głowy. Wyszli do stojącej oranżerii, przytykającej do salonu.

Kwitnące kamelie, rododendrony, wspaniałe mirty i cedry rzuciły ruchome siatki na te-  
raketowe uliczki. Słońce oświetlało szyby okien jaskrawym blaskiem.

Waldemar zamknął drzwi salonowe i wszedł w boczną uliczkę, obsadzoną kameliami. Szli w milczeniu, po czym on przemówił serdecznym, pieściwym tonem, pochylając do niej głowę:

– Czy pani istotnie chce wyjechać? Czy to zamiar prawdziwy, stanowczy?

41

Stefcia odzyskała mowę.

– Najzupełniej stanowczy.

– Kiedy powzięty?

– Powróciłam już z tą myślą.

– Więc w domu zamiar powstał, w Ruczajewie? Silniej przycisnął jej rękę.

– Domyślałam się, że wypadki ostatnie źle na panią wpłyną, ale... czy pani sądziła, że ja pozwolę na jej wyjazd?... na taki wyjazd?...

Stefcia osłupiała. Odrzekła drżącym głosem:

– Wzbronić mogłaby mi pani Elzonowska, pan... nie. Waldemar zwolnił kroku.

– Ciotka? Zapewne z innych względów. Aleja panią kocham... i wyjechać stąd może pani tylko... moją narzeczoną.

Powiedział to z energią, w sposób trochę nerwowo. Stefcia zmartwiała. Płomień gorący ogarnął jej mózg. Ukwiecone kamelie zaczęły jej wirować w oczach. Rękę przesunęła po skroni.

– Jak to... pan... mnie?

On pochylił się nad nią. Jego niski głos brzmiał teraz miękko, tkliwie.

– Kocham cię, jedyna. Czyś ty tego nie wiedziała? Chcę cię mieć, zostaniesz moją żoną... I ty mnie kochasz, dlatego uciekasz... ale tyś moja, moja!...

Wielkie szczęście bywa czasem tak potężne, że staje się cierpieniem. Uczucie Stefci w tej chwili było niemal bólem. Odurzenie trwało. Niespodziewane słowa Waldemara wlały do jej duszy tyle bezmiernej szczęśliwości, tyle światła, że dziewczyna straciła władzę nad sobą. Stała ogłuszona, jak wykuta z alabastru, tak białą powłoką zastygła jej twarz. Tylko oczy wielkie, pysznie ocienione, mieniające się ciemnym fioletem, patrzyły w rozognione źrenice Waldemara z niemą prośbą, z bolesnym błaganiem, jakby mówiła nimi:

– Nie męcz mię! Nie wódź na pokuszenie!...

Pałający wzrok Waldemara pochłaniał ją, pieścił, całował. Ordynat mocno ścisnął jej rękę i nachylony szeptał rozpalonymi ustami:

– Szaleję za tobą!... słyszysz? Musisz być moją i będziesz... Kochasz mię, ja wiem!...

Stefcia nagłym ruchem wyrwała rękę z jego dłoni. Olbrzymia fala szczęścia, szalony wir radości porwał ją huraganem.

Ognisty rumieniec oblał policzki. Chwyciła się za skronie i łapiąc szybko powietrze w rozchylone wargi, wyrzuciła z piersi wielki, potężny krzyk serca, niby hejnał dziękczynny:

– Boże! Boże! Boże!...

Waldemar porwał ją w ramiona, z ogniem w oczach, oszalały, wściekły.

Lecz w tej samej chwili błyskawicą stanęła w oczach Stefci biała postać jej babki w objęciach ułana, w ogrodzie śnieżewskim, przed laty. Rozpacзлиwa siła oderwała ją od piersi Waldemara, zanim zdążyła złożyć na niej głowę zwichrzoną szczęściem, bezmiarem radości.

Wyrwała mu się, cofnęła gwałtownie, przerażona, oślepla z nagłej trwogi. Wysunęła na przód ramiona, jakby się broniąc przed nimi.

Waldemar, zdumiony, znowu chwycił jej rękę i ścisnął jak w kajdanach.

– Co tobie?

– Ja pana... nie kocham... nie kochałam nigdy... nie! nie! – krzyknęła Stefcia głuchym, zmienionym głosem.

– Co tobie?... uspokój się!... co mówisz?...

– Nie kocham pana!... nie chcę!...

– To kłamstwo! – wybuchnął Waldemar. – Kochasz mnie i będziesz moją!



– Nigdy! nigdy!...

Drżała wzburzona bez granic, piersi jej gwałtownie falowały, oczy ciskały iskry.

42

Waldemar był straszny. Gniótł jej ręce powyżej dłoni, aż kurczyły się z bólu. Źrenice prawie czarne, pałające jak wulkan wpił w jej oczy i mówił chrapliwie:

– Musisz! musisz... bo ja tak chcę!

Nerwowy, podniecony śmiech wybiegł z ust Stefci niby jęk męczeński. Spojrzała mu w oczy jak zraniona i zawołała:

– Teraz... tak... a potem?

W pytaniu jej był cały dramat zmarłej babki.

Stefcia gwałtownym szarpnięciem wyrwała ręce z rąk ordynata i odskoczyła od niego. Zatrzymała się dumna, pewna swego zwycięstwa, ale wstrząśnięta do głębi duszy. Szalonym wysiłkiem woli uspokoiła głos i wyraz twarzy. Poważnie, wolno i dobitnie rzekła, nie patrząc na Waldemara:

– Nie kocham pana i... proszę zapomnieć o mnie.

Odwróciła się, podążając w stronę drzwi, zmieniona, ze zroszonym czołem od męki jaką sobie zadała, ale z dumnie podniesioną głową. Dopiero w białym salonie załamała ręce strasznym ruchem rozpaczy i pędem pobiegła do siebie. Przed łóżkiem runęła na kolana. Przerażliwy płacz buchnął z jej piersi.

– Skończone! skończone – jęknęła wśród łkań.

Waldemar pozostał jak wbity w ziemię. Jej okrzyk wypowiedział mu wszystko. Miała na myśli babkę i Macieja. Ostatnim słowem Stefci nie uwierzył. Przeciwnie – sposób, w jaki były wypowiedziane, utwierdził go w pewności, że ona go kocha. Ale patrzył na nią osłupiały z podziwu, gdy odchodziła. W oczach błysnął mu tryumf.

– Dzielna i dumna! – szepnął z uznaniem.

Stał, patrząc na rozhuśtane gałęzie kamelii, poruszone przez Stefcię, i z wolna twarz jego uspokoiła się, wzburzenie minęło.

Łagodny wyraz okolił jego wydatne usta, w oczach zadrgała tkliwość.

– Kocham ją nad wszystko... zostanie moją...

Przeszedł się parę razy po uliczce, mając pełne oczy, pełną duszę obrazu Stefci.

– A gdyby?...

Przyszła mu na myśl rodzina. Odmówią mu stanowczo. Co wówczas?... Dziki ogień błysnął mu w oczach. Brwi ściągnął groźnie.

– Zobaczymy! – syknął z wściekłością.

Po strasznym wybuchu płaczu Stefcia z klęczek osunęła się na podłogę i skulona wlepiła oczy w jasny, drgający promień, co jak rakietą wypadł z okna i szerokim pasem przerznął pokój, rozświetlając delikatne pyły. Oczy Stefci pomimo łzawej mętności gorzały. Buchała z nich szalona miłością dusza, obudzony a palący żar młodej natury. Na ustach jej zakrzepły ból zmalął; rozchyłał je teraz dziki krzyk wewnętrznej nawałnicy. Wrzała w niej męka i krew rozkipiała, bijąca ogniem na twarz. Dłonie łamały się w żywiołowej walce. Wszystkie siły duchowe Stefcia wezwała na pomoc. Za słabe były, nie mogły zwyciężyć. Miłość jej tragicz-

na, głęboka a poważna przez swą ciszę, gwałtownie, jak pożar od iskry piorunu, targnęła jej sercem, porywając w bezkresny wir zmysły i duszę. Pożoga olbrzymich uczuć zatrzęsła istotą Stefci, waląc w mózg niezmierną potęgą, płomieniem, niosąc z rozpędem huraganu gorące zarzewia do jej żył.

Krótką chwilą uścisku Waldemara pozostała w nerwach. Stefcia czuła się opasaną żelaznymi okowami jego namiętych ramion, czuła rozpalony oddech jego ust obok swej skroni przez jeden błysk oka.

Skąd przyszła ta siła, ta moc nieludzka, co ją wyrwała z tytanicznej władzy ukochanego? To rozpacz, to wizja przeszłości.

Stefcia wyjęczała rozdzierającą serce skargę:

– Kocham go do szaleństwa, bez pamięci! Jego być chcę, jego niewolnicą!

Wpychała chusteczkę w usta, aby nie skowyczeć z bólu, z pragnień słodkich, niosących ją w zawrotną przepaść tęsknoty.

– Kocham go! Waldy! Waldy! mój panie!

Dygotała leżąc na ziemi, ale obuch groźnej prawdy uderzył w jej umysł brutalnie i otrzeźwił. Z rękoma przy skroniach dźwignęła się, ukłękła. Oparta na krawędzi łóżka, odczuwała, jak wielka konieczność miażdży w niej wybuch szału, jak lodem ścina gotującą się krew i wolno, boleśnie, niby gradem ostrych kamyków pada jej na mózg.

Nie mogę, nie wolno mi!... muszę stąd jechać!...

– Muszę! – krzyknęła, powstając. Ale zachwiała się i padła na łóżko, twarz zanurzyła w poduszce.

– A on? On kocha... on szaleje! A on?! Uciec, uciec!... on zapomni!... wszystko runie!...

Wiedziała, że nie, znając już potęgę jego miłości, nosiła ją w sobie, dopełniała własną.

Ale uciekać trzeba, zejść z oczu tych ludzi, zatrzeć ślad po sobie, uciec przed ukochanym, byle go więcej nie widzieć, byle nie czuć go blisko siebie. On ją chce mieć za żonę, ofiarował jej nazwisko z zupełną świadomością swych pragnień i uczuć, ale ona przyjąć go nie może.

Stefcia rozumiała, że piękny gmach szczęścia z Waldemarem nie dla niej, że powinna go

odsunąć dobrowolnie, choćby duszę swą miała rozszarpać na strzępy. Bała się ponownej rozmowy z nim, jego oczu, głosu, słów, dotknięcia ręki. Samo wspomnienie jego zmysło- wych ust parzyło ją. Zamykała oczy, by odpędzić rozkoszną wizję jego drapieźnych źrenic. Stefcia miała wrażenie, że gdyby on zatrzymał ją w swych ramionach, byłaby już jego... że gdyby usta dotknęły jej ust, omdlałaby ze słodkiej, upajającej niemocy...

I ten błękitny sen własnoręcznie rozproszy – wszystko się skończy bezpowrotnie, zatara- sowane barbarzyńskim murem niemożebności.

Potworne macki nieszczęścia wypełzały do Stefci groźne i nieubłagane, zabijając w niej życie. Sfera ordynata jak hydra złośliwa wciągnęła ją w siebie i piła jej krew ssawkami czaru aż do zatracenia. Uratuje się, wyrwie z tej przemocy, lecz poraniona, prawie martwa, ocięła potem gorzkiej niedoli, w zupełnej nędzy duchowej, z zanikiem wszelkich sił do życia. Drewnem zostanie, materią bez ducha i zmysłów; hydra zniweczyła w niej najistotniejsze atomy bytu, wchłaniając samoistne popędy i młodą moc natury. Wyznanie Waldemara było

44

ostatnią macką hydry, wypijającą krew z serca. Odejdzie stąd włóknem, moralną ofiarą, w tragiczną otchłań tęsknot, w grzęzawiska rozpacz. Byle od tych blasków, byle od uroków, które zabijają! W świat! w świat czarny, okropny... Rzucić tę Ikarię świetlistą, bo się stała piekłem, bo rozbrzmiewa szatańskim chichotem ironii. Zamknąć oczy i gnać na przepadłe bez oglądania się, bez myśli, bez westchnień.

– Czy potrafię?...

Dziewczyna wiła się jak na torturach, ale szare oczy Waldemara patrzyły na nią prze- mująco, usta piekły żarem, budząc dreszcz namiętny, głos jego, nabrzmiały miłością, chra- pliwe rzucał słowa:

– Szaleję za tobą!... Słyszysz?... Musisz być moją i będziesz. Kochasz mnie, ja wiem.

Och, wiedział! wiedział wszystko i nie puści jej: straszny jest; orzeł! lew! gromy miał w oczach, sztylety na ustach, gdy mówił ostatnie słowa:

– Musisz, musisz, bo ja tak chcę!

To potęga, cyklon rwący, wszechmocny.

– Jego być do niego należeć! Boże, zabij mię za te pragnienia! – skarżyła się Stefcia. Chwilami słabła. Wówczas ciche pasemka nadziei wsuwały się w jej dramat, słodko szmerząc. Jakby we śnie, doznawała złudzenia nad wyraz błogiego, że on jest obok niej, że kładzie dłoń na jej skroni i przemawia łagodnie. Ona opiera głowę na jego piersiach z ufno- ścią, z nieziemskim uczuciem szczęścia; uczuwa na ustach pocałunek; palące dotknięcie jego pożądlivych warg niby słodka trucizna odurzają... W upojeniu bez granic mdleje, pada w promienisty krąg niewysłowionej błogości.

Czy to już śmierć?... Stefcia drży, nie śmie podnieść głowy, otworzyć oczu, trwa w nie- pamięci, owiana wonią zaczarowanych kwiatów marzeń.

Ciche pukanie do drzwi. Świat! świat ją woła.

– Nie otworzę! – myśli Stefcia – nikt nie ma prawa deptać złotych rojeń o nim, nikt!

Cicha nuta w jej duszy wpada znowu w szloch. Dziewczyna spazmatycznie łka. Rozkłę- bia się na nowo piekielny gad nędzy i przesuwą przed Stefcia ohydne cielsko. Przyciszony muzyką anielskich harf odżył nikczemny, jak upiór straszny. Zdruzgotał marzenia.

Płacz, płacz... popiół w duszy... pogorzel nadziei... klęska!

Pukanie do drzwi powtarza się. Rzeczywistość czuwa i nadchodzi, by wyrwać ofiarę. Za- słona cudnych widoków zapada ze złowrogim szelestem. Ginie czar.

Stefcia nie otwiera drzwi.

– Boże! Boże! daj siły, daj wytrwanie! – szepnęła gniotąc konwulsyjnie czoło w dło- niach.

I zapadła w odrętwienie, z załamanyi rękoma skamieniała. Łzy się w niej zapiekły cier- pieniem, przenikliwy mróz ścinał krew w jej arteriach, pokrywał szronem zapalne wyskoki

krwi, dusił ją chłodną, bezwzględną prawdą. Jakby muśnięte powiewem śmierci, stężały w niej uczucia, zlodowaciał mózg. Stefcia była głazem.

Oczy Waldemara, uporczywe, silne wola, niemiłosierne w wyrazie, stały wciąż przed nią, jak zaporą odgradzająca zmałowane przestrzenie i ponure groby, dokąd bezwiednie szła jej dusza. Postać Waldemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmiał niby wzburzone wody oceanu. Ramiona potężne, ramiona mogące skruszyć wulkan otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi do wyżyn rozświetlonych, do apoteozy boskiej szczęśliwości. Stefcia majaczyła z jego ideałem w całej swej istocie.

Po paru godzinach stukanie do drzwi ponowiło się i cichy, łzawy głos szeptał błagalnie. Gdy współprzytomna Stefcia otworzyła, Lucia wpadła, z głośnym spazmem rzucając się w jej objęcia.

45

X

Co się stało w pałacu, nikt nie wiedział, ale nawet służba czuła, że coś jest. Wieczery nikt nie jadł. Pan Maciej po krótkiej rozmowie z ordynatem zamknął się w gabinecie. Ordynat przyjął wprawdzie rządce Klęcza, ale narada niedługo trwała. Rządca, wychodząc, spytał szeptem strzelca Jura:

– Co się stało ordynatowi? Zapytany szeroko rozłożył ręce.

– Ja tu jestem głupi, ale coś się stało, i to wszystkim.

Cicho, z tajemniczą miną zaczął opowiadać, że ze starszym panem jeszcze gorzej, że pani baronowa podobno biega wciąż po swoim buduarze – tak mówiła Anetka, panna służąca – a baronówna ledwo się dostała do pokoju panny Stefanii i teraz obie płaczą, ale że drzwi zamknięte, więc Anetka nie może wiedzieć, czego. Klęcz poruszył głowę.

– Tu się coś święci.

I odszedł rozmyślając. Zastanawiał go fakt, że od pierwszego wyjazdu panny Rudeckiej w pałac jakby uderzył grom.

Na drugi dzień Stefcia oznaczyła swój wyjazd: miał nastąpić wieczorem.

Nikt się temu nie sprzeciwił, ale Lucia zapuchła od płaczu, nie wychodząc z pokoju przyjaciółki. Stefcia napisała krótki serdeczny list do panny Rity, żegnając ją i prosząc o pożegnanie w jej imieniu księżnej. Sama obiegła park, ogród, zaszła nawet do borku. Przed obrazkiem Bogarodzicy, który jeszcze w maju zawiesiła na potężnym grabie, modliła się teraz długo, klęcząc w śniegu. Chciała go zabrać z sobą, lecz zaniechała tej myśli.

– Niech on tu zostanie jako pamiątka po mnie.

Wieczery, jak poprzedniego dnia, nikt nie tknął. Wszyscy byli przygnębieni. Nawet pan Ksawery nie miał apetytu.

Waldemar odsuwał półmiski ruchem stanowczym, wypił tylko parę kieliszków burgunda.

Zimny, spokojny, na Stefcie nawet nie patrzył.

Ona siedziała jak martwa. Wodząc oczyma po sali, żegnała portrety, freski i rzeźby ścian. Dreszcz przebiegał jej członki, dreszcz chłodny, wstrząsający. Była blada, tylko oczy gorzały jakimś ogniem tragicznym, palącym się w duszy, tylko usta rozpalone piekły ją żarem. W piersi czuła prędkie, suche uderzenia serca, szum w głowie ogłuszał ją.

– Jadę, jadę na zawsze! – powtarzała sobie w myśli z dzikim uporem.

– Straszne to, okrutne!...

I przedstawiły się jej, oczom szeregi dni w Słodkowcach spędzone, pierwsze chwile dość przykre, wesołe lato i jesień pełna czaru.

– Głębowicze! Głębowicze! – huczało jej w myśli. – Nie ujrzę ich już nigdy!...

Wystawa, polowania, bal kostiumowy, wszystkie drogie wspomnienia stawały teraz przed nią jakby na urągowisko.

I znów zobaczyła szeregi dni, które tu płynąć będą po jej odejściu. Te same osoby siądą jutro do stołu, tylko już bez niej. Nic się nie zmieni. Waldemar będzie tu bywał, jak zwykle. Na wiosnę zakwitną bzy, narcyzy i mnóstwo irysów na trawnikach. W borku zaśpiewa słowik. Nad jeziorem zakwitną mewy, krzyk wesołej kukułki rozlegnie się echem po parku. Ale już ona tego nie usłyszy, chyba tam, w Ruczajewie.

I nagle rodzinna wieś wydała się Stefci czymś ogromnie oddalonym, za szarą mgłą, gdzieś w nieskończoności.

Słodkowce i Głębowicze, przeciwnie, były dla niej złotą smugą, gasnącą na zawsze.

W sercu dziewczyny obudził się żal: dlaczego odmówiła Waldemarowi? On ją kochał! Więc sama dobrowolnie zniszczyła swe szczęście? Dlaczego?... Z powodu minionej, przebrzmiałej historii babki?... Rozum w samą porę zniewolił rzut jej serca.

– Co to jest rozsądek, co to jest zimny rozum – zastanowiła się. – Czy to skrzydlaty duch,

46

unoszący się nad nami? Nie widząc go odczuwamy jego tchnienie i kierującą dłoń.

W rozbudzonej wyobraźni swej ujrzała Stefcia rozum w postaci staruszka z siwą brodą, trzymającego tablicę z prawami dla ludzi. I kiedy piękny bożek czaru, bożek upojeń i pokus wabi urokiem swych uśmiechów, staruszek-rozum przed oczyma ludzi przesuwając tablicę obowiązków i plan właściwej drogi, patrząc łagodnie, lecz stanowczo. I zwycięża, tłumi nawet porwy serca.

Staruszek ten ma siłę magnesu, trudno mu się oprzeć – on nieczęsto zachwyca, on magnetyzuje i pociąga odruchowo. Jest bardzo szanowny, ale idąc za nim zrzuca się jasną, wygodną szatę, wkładając tę którą on przeznaczy, i każdy obejrzy się za siebie mówiąc: „Jak tam pięknie!” Stefcia zdrzała.

– I ja się obejrzę, i ja tak powiem!

Łkanie porwało ją nagle. Chcąc je ukryć, zaczęła kaszleć, ale łzy zaszkliły się w jej oczach.

Waldemar błyskawicznie spojrzał na nią, twarz mu się skurczyła jakąś walką. Pierwszy dał znak powstania. Pani Idalia tym razem nie skrzywiła się na ten brak etykiety.

Pożegnanie trwało niedługo. Waldemar naglił do wyjazdu. Baronowa czule ucałowała Stefcię.

– Pisuj, Steniu, do Luci jak najczęściej. Ty ją prawdziwie osierocasza. Do widzenia! Mam dla ciebie wiele serca, wierz mi.

Stefcia z wybuchem żalu rzuciła się do rąk pana Macieja, gdy starzec siwą, skołataną głowę pochylił nad włosami dziewczyny. Waldemar odwrócił oczy. Wzruszenie zatamowało mu oddech. Z ironią patrzył na czułości pani Idalii, lecz pożegnanie Stefci z dziadkiem dziwnie go przejęło.

– Powrócisz tu moją albo ja zginę – powtarzał sobie w duchu.

Lucia z rozdzierającym krzykiem padła w ramiona Stefci. Obie płakały gorzko, tylko Stefcia cicho, Lucia rozpaczliwie. Pan Ksawery, ocierał chustką nos i chrząkał rozczulony.

– Smutno nam będzie bez pani – rzekła całując Stefcię w rękę.

– Stefa!... jedyna, złota! – wołała, szlochając, Lucia.

Waldemar przerwał wybuch dziewczynki dosyć szorstko, oznajmił, że wielki czas jechać.

Stefcia uczuła dotkliwą przykrość.

– Po co on mię tak wygania?...

W bocznym przejściowym saloniku oczekiwał rządca Klęcz. Pożegnał Stefcię z wielkim uszanowaniem. Waldemar bardzo życzliwie spojrzał na niego.

W obszernej sieni pałacowej czekała niespodzianka, która wzruszyła Waldemara, nawet panią Idalię. Stał tam szereg lokajów, młodszych pokojowców, z Jacentym i Franciszkiem na czele, ochmistrynii pałacowa, panna służąca Anetka, pokojówki i kucharz w swym białym rynsztunku. Wszyscy na wyścigi rzucili się żegnać Stefcię, całowali ją po rękach. Stary Ja-

centy mrucał coś, co u niego oznaczało żal i wzruszenie. Stefcia wobec służby wstrzymała wargi, żegnała wszystkich uprzejmie, tylko usta jej drżały.

Waldemar włożył na nią futerko. Gdy przypinała do włosów czapeczkę, ze zdziwieniem zobaczyła, że i Waldemar nakłada futrzany płaszcz.

Ogarnął ją niepokój.

– Po co się ubierasz? – spytała pani Idalia ordynata.

– Odprowadzam panią na kolej – odrzekł sucho.

Wszyscy zrobili wielkie oczy. Pani Idalia zacięła usta, pan Maciej cofnął się za próg. Stefcia z żywością rzekła do Waldemara po francusku:

– Proszę pana nie robić tego. Dojadę sama bezpiecznie. Spraw mi pan wielką przykrość! Było w niej tyle szczerości, taka wyraźna prośba widniała w jej oczach, że pan Maciej i pani Elzonowska aż się zdziwili.

Ale Waldemar najspokojniej, lecz stanowczo podał jej ramię.

47

– Proszę panią pędzej, bo się spóźnimy.

– Niech pan zostanie!... błagam pana!... ja... nie chcę, aby pan jechał!

– Niechże pani nie robi sceny, służba patrzy – rzekł podrażniony.

Stefcia rzuciła dokoła rozpaczliwym wzrokiem. Jechać z nim razem wydało jej się strasznym.

Pan Maciej dostrzegł jej niepokój. Wyciągnął do niej rękę.

– Nie upieraj się, Steniu... owszem, niech cię Waldy odprowadzi, będzie bezpieczniej. Staruszek w razach koniecznych umiał być dyplomatą.

Jeszcze trochę przykrych pożegnań, spazmatycznego płaczu Luci – i Waldemar wyprowadził Stefcie na ganek. Tam żegnał ją stangret Benedykt i stajenni. Stary ogrodnik z żalem kiwał głową, ocierając siwe wąsy.

Wszyscy jej żalowali, każdy po swojemu.

Przed filarami ganku stała karetka i czwórka z Głębowicz. Brunon zdziwiony patrzył na uroczysty wyjazd. Jur wynurzał się z liberyjnych futer jak zawsze pompatycznie, ale miał tajemniczą minę.

Waldemar umieścił Stefcie w karecie, bardzo uprzejmie podał rękę Kleczowi i sam siadając zawołał do stangreta:

– Ruszaj żywo!

Jur zamknął drzwiczki i pędkiem wygramolił się na kozioł.

Karetka cicho pomknęła po białej, wyslizganej drodze, janczary dzwoniły raźnie, znacząc sobą ślad odjeżdżającej Stefcie.

Ona w kącie karety siedziała cicho, tamując oddech w piersi. Minęli bramę, zawrócili na bok i Stefcia ujrzała pałac, biały, wyniosły, błyszczący w księżycu blaszanym dachem i rzędem oświetlonych okien.

Ostatni raz!

Łzy spłynęły z jej oczu. Nie uważając już na obecność Waldemara, załkała żałośnie. Waldemar delikatnie wziął jej rękę, bez słowa, tulił ją w swych dłoniach i wolno zdejmował rękawiczkę.

Stefcia szarpnęła się, ale nie wyrwała ręki. Zatrzymał ją mocno.

– Spokojnie... spokojnie... proszę – przemówił miękko głosem.

– Dlaczego pan ze mną jedzie?... dlaczego zrobił mi pan taką przykrość! po co to? – wybuchnęła Stefcia z żalem.

– Nie mówmy już o tym, droga moja. Czyż ja mogłem cię puścić bez rozmówienia się inaczej jak tam w oranżerii? Chcę przekonać cię, najdroższa.

Stefcia poruszyła się. Jego serdeczny, łagodny głos, jego słowa i sposób mówienia działały na nią zabójczo. Zrozumiała, że on zaczyna mieć władzę nad nią. Dłoń jej pieścił, całował; to ją onieśmieliło, ale chciała się jeszcze bronić. Szepnęła błagalnie:

– Niech mię pan zostawi w spokoju. Ja wyjadę i wszystko się skończy. Tak być powinno. Niech mi pan zrobi tę łaskę.

– Stefciu, mówmy poważnie, a nade wszystko spokojnie. Ja wiem, o co głównie idzie. Ty zawsze masz na myśli zmarłą babkę i jej dramat. Nie przeczę, to może nasuwać bardzo bolesne porównania. Ale nie masz jeszcze do nich prawa, gdyż dramat miniony w naszych rodzi- nach nie może się powtórzyć. Ja cię kocham od dawna i głęboko. Nie jest to chwilowy szał ani kaprys – znam swe uczucia. Nie mam lat dwudziestu, żeby się unosić chwilą. Poważnie analizowałem siebie i doszedłem do wniosku, że kocham cię uczuciem prawdziwym i bardzo potężnym. Kochałem się wiele razy, lecz to co innego! tamto właśnie były chwilowe szały, zrodzone z lekkich romansów, jakie każdy z nas liczy na tuziny. Ale nie spotkałem kobiety, której typ nosiłem w sobie, ani jedna nie weszła mi do duszy. W uprawianych przeze mnie flirtach głównym czynnikiem były zawsze zmysły. Ty pierwsza wzbudziłaś we mnie uczucia inne. Ciebie nie tylko pragnę, ale cię kocham niezmiernie. Z początku miałem złe myśli. Za-

48

chwyciłaś mnie od pierwszej chwili spotkania, bo w samej powierzchowności odnalazłem mój typ, i chciałem cię mieć, ale – inaczej. Chciałem cię rozkochać, chciałem, abyś mi się oddała sama. Byłem niegodziwy, rozbałamucony życiem. Widziałem, że mi się nie udaje, i jakiś czas mściłem się na tobie, nawet arogancko. Chwilami nienawidziłem cię, doprowadzałaś mię do wściekłości. Widzisz! widzisz, jedyna!...

Wziął drugą jej rękę i gorąco przycisnął obie do ust. Stefcia siedziała jakby śniąc. On mówił dalej cichym, przepojonym namiętnością głosem:

– I uspiłaś we mnie lamparta, zacząłem patrzeć na ciebie inaczej. Ogarniało mię zdumienie, widząc twą nieprzystępność i taką szlachetną dumę. Szanowałem cię, czciłem. A przy tym byłaś zawsze taka śliczna, taka wdzięczna w każdym ruchu, tyle odnajdywałem w tobie ponęt, umiałaś mię porwać nieświadomie, a tak uroczo. I pokochałem cię nad wszystko, zdobyłem! nareszcie jesteś moją, bo i ty mię kochasz. Nie broń się, nie zapieraj! wiem wszystko... Walczyłaś! ale to się zwalczyć nie da, to silniejsze, zwycięża zawsze! Podziwiałem twój hart, z jakim rzuciłaś mi wczoraj zaprzeczenie swych uczuć, ale tym bardziej wiem, że mię kochasz. I ja miałem poprzestać na twojej wczorajszej odpowiedzi? Więc zdobyłem cię po to, by pożegnać?... po jednym słowie, które podyktowała ci duma, obawa, gorycz, wywołana obrazem przeszłości? Gdybym ci był zupełnie obojętnym, jeszcze szedłbym do celu z nadzieją, że cię zdobędę. Ale wiedząc, że posiadam twą wzajemność, ja miałbym ustąpić?... Nie znasz mię, jedyna. Będiesz moją żoną, bo mam pragnienie szczęścia, bo tobie chcę je ofiarować.

Stefcia słuchała z upojeniem, z nie znaną dotąd rozkoszą. On ją kochał i mówił to nie w jakimś szale, ale spokojnie, poważnie. Patrzył na nią tak przejmująco. Czuła ten wzrok, przepalał jej krew, niweczył wolę. Ordynat przyciągnął ją do siebie i pochylony szeptał nagłaco:

– Jedyna moja, złota, najdroższa, nie zaprzeczaj, nie wypieraj się... kochasz mię... powiedz, chcę, byś mi to powiedziała!...

Stefcia osłabła. Nazbyt silnie kochała, by móc się oprzeć. Świadomość jego uczuć, niski, nabrzmiały miłością głos odurzył ją. Przymknęła powieki oczarowana, uniesiona szczęściem w jakieś nieznane krainy. Otaczała ją przestrzeń jasna, ze złotych gwiazd utkana, pełna woni i cichej a świetnej muzyki. Nie umiała się bronić nawet wtedy, gdy on energicznym ramieniem otaczał ją delikatnie, pieszczące. Przygarnął ją do siebie i cicho złożył jej głowę na swej pierś.

Stefcia trwała w odrętwieniu.

Waldemar odsunął jej czapeczkę z czoła i zanurzył usta w jej włosach.

– Szczęście moje! ptaszyno moja! – mówił w uniesieniu – powiedz, że kochasz.  
Nagłym ruchem przytuliła się do niego, szczęśliwa, niemal nieprzytomna z rozkoszy.  
– Kocham!... tak... kocham! – wyszeptała z głębi udręczonej duszy.  
– Moja ty! moja!...  
Cisnął ją do siebie, jej usta, oczy, włosy okrywał bezpamiętnymi pocałunkami.  
Długa, rozkoszna chwila czaru, nieziemskiego upojenia zawisała nad nimi. Wszystko, co świat posiada najpiękniejszego, mieści się w takich momentach. Taka uroczystość duchowa, w połączeniu z namiętnością, przewyższa, wszelkie uroczystości ziemskie. Takie chwile stworzone być muszą przez aniołów: są zbyt czarowne.  
Waldemar pieścił Stefcie, szeptał najczulsze, kochające słowa. Miał ją nareszcie, tę upragnioną, jedyną.  
– Będiesz moją żoną... moją na wieki – powtarzał. Stefcia drgnęła i rzekła bezmiernie smutnym głosem:  
– Kocham pana nad życie... ale... żoną nie będę nigdy.  
– Dlaczego, jedyna. Co mówisz?  
– Bo to niemożliwe! pan jesteś magnatem... to... to nie dla mnie!  
– Ależ, na Boga, nie rozmyślaj o podobnych rzeczach, droga moja! Kochamy się – to do- syć, to decyduje o wszystkim. Jesteś moją i nie pozwolę cię wyrwać sobie nikomu. Sfera nie

49

wzbroni nam szczęścia, bo nie wyrzeknę się ciebie, jedyna. Mój dziadek mówił kiedyś to sa- mo swej narzeczonej, ale on był w innych warunkach, bo o dziesięć lat ode mnie młodszy, więc mniej odporny na wpływy rodziny. A może był słabszy? Proszę cię, ukochana, zaniechaj podobnych myśli, ufaj mi, ja cię nie zawiodę. Będiesz bardzo szczęśliwa, tylko wierz w szczęście.

Stefcia wysunęła się z jego objąć.

– Ja pańską żoną? Czy to możliwe? W tyle szczęścia nie wierzę! Waldemar tulił ją do siebie z promiennym uśmiechem.

– Zobaczysz, jedyna! zobaczysz! wszystko, co nam stanie na przeszkodzie, zgniotę, zdepczę, a ciebie mieć muszę!

– Ale ja nie chcę być zakałą w waszej rodzinie. Pana by zagryźli, zadreczyli. Ja nie chcę tego dla pana, bo go kocham. Ja i tak za długo byłam wśród was. Kochając pana od dawna, czemuż od razu nie uciekłam? Żyłam jak we śnie, bez zastanowienia, a teraz już... nie zapo- mnę!

Zaczęła znowu płakać.

– Uspokój się, dziecko! – mówił Waldemar tuląc ją do piersi. – Stefcu złota moja, nie powinnaś tak mówić, skoro kochasz. Zostaniesz moją żoną, którą wszyscy muszą szanować, będziesz ordynatową Michorowską i na tym stanowisku przy mnie nic ci nie grozi. Jestem pewny, że przeciwko tobie, jako mojej żonie, nikt głośno szemrać nie będzie śmiał, a ciche mruczenia nas nie obchodzą. Ptaszyno najdroższa, prędzej zginę, niż cię porzucę! Wierz mi.

Przycisnął usta do jej ust. Jego wąsy muskały ją w policzek, gorący żar oddechu odurzył Stefcie aż do utraty zmysłów.

– Powtarzam ci, droga moja: twój Waldy nie zawiedzie, tylko mu zaufaj zupełnie. Przyj- dzie czas... pojedę do Ruczajewa i zabiorę cię. Wówczas podasz mi sama rękę na całe wspól- ne istnienie. Pragnę twego szczęścia i zwalczę przeciwności, gdyż inaczej mielibyśmy oboje zwichnięte życie. Moja ty mimozo! Od dziś jesteśmy narzeczeni i proszę, bądź spokojna. Wjechali w obręb dworca. Preraźliwy gwizd parowozu wyrwał ich z upojenia. Kareta stanęła, pociąg już był na stacji.

Ruch, gwar, zamieszanie.

Ordynat umieścił Stefcie w osobnym przedziale i wysłał telegram do Ruczajewa. Jur za- jął się rzeczami. Pozostało jeszcze kilka minut do odejścia pociągu.

Stefcia drżała febrycznie. Waldemar ścisnął jej ręce.



– Do widzenia, ukochanie moje! Spodziewaj się mnie w Ruczajewie i ufaj! Zrobię wszystko dla naszego szczęścia. Jesteś dla mnie jedyną! Rozległ się trzeci dzwonek. Stefcia krzyknęła głucho. Waldemar porwał ją w ramiona i gorąco ucałował jej splekane oczy. Brwi miał ściągnięte i wielkie poruszenie w twarzy. Usta mu drżały.

– Do widzenia, najmilsza, do widzenia!

Stefcia wyrwała mu się z objęć. Do przedziału weszła jakaś starsza i dystyngowana kobieta. Waldemar obrzucił bystrym spojrzeniem sympatyczną twarz przybyłej. Znał ją z widzenia, była to obywatelka z okolic Obronnego. Skłonił się z wytworną grzecznością.

– Opiece szanownej pani polecam moją narzeczoną. Jestem ordynat Michorowski.

Zdziwiła się mocno, ale natychmiast z uśmiechem podała mu rękę, mówiąc swe nazwisko.

– Niech pan będzie spokojny. Jedziemy z panią w jedną drogę, zaopiekuję się nią aż do mej stacji.

Waldemar podziękował, uściśnął rękę Stefci i wybiegł z wagonu. Pociąg ruszył.

Ordynat, idąc przy oknie, gdzie stała Stefcia, uniósł z głowy futrzaną czapkę i posyłał pieszczące słowa za bladą twarzyczką dziewczyny, niknącą na tle szyby w natłoku wagonów.

50

Pociąg wypadł poza stację, na księżycowej, błękitnej przestrzeni toczył się szybko, hurkotał, opasany zbitym wałem dymu.

Waldemar doszedł do pompy stacyjnej, stanął i patrzył na oddalającą się masę, łowił uchem silniejszy, to słabszy turkot kół, z dziwnie rzewnym uczuciem.

– Przyjadę po ciebie niedługo, mój ty ptaku złoty! – rzekł prawie głośno.

Stał dotąd, aż ciemna plamka pociągu wsiąkła w błękitną sadz księżycy, po czym zawrócił.

– A teraz do walki! – zawołał.

W sali bufetowej zatrzymał go ukłonem zawiadowca stacji.

– Bardzo przepraszam pana ordynata, że wcześniej nie złożyłem mego uszanowania. Czy to odjechała panna Rudecka? Waldemar podał mu rękę.

– Tak, panie, moja narzeczoną pojechała do rodziców.

– A-a-a!...

Urzędnik tak się zdziwił, że nie zdobył się już na żadne więcej słowo, zapomniał nawet o obowiązującym powinszowaniu.

Waldemar nie dał mu na to czasu, pożegnał go natychmiast.

Strzelec Jur, przechodząc obok, usłyszał zdumiewającą wieść i również osłupiał.

– Podawać karetę! – rzekł do niego Waldemar.

– Czy do Słodkowic, jaśnie panie? – spytał Jur stojąc przy drzwiczkach.

– Do Głębowicz. Pojechali.

Waldemar zdjął czapkę i rozpiął futro.

Nozdrzami wchłaniał delikatny zapach perfum Stefci, pozostały w karetce.

W Obronnem księżna Podhorecka siedziała w swym gabinecie zamyślona. Otoczenie odpowiadało wyniosłej i poważnej postaci właścicielki. Pokój, obity ciemnym adamaszkiem, pełen mrocznych tonów, przypominał komnaty matron polskich w staroświeckich zamczyskach.

Długi mahoniowy fortepian, przykryty makatą, ciężkie meble, stare koronki w oknach i kilka wypłowiałych portretów dopełniało całości. Przy oknie stał olbrzymi, rozrośnięty figus, niżej parę potężnych kaktusów. Gdański zegar tykał poważnie. Na wprost kłęcznika wisiał duży portret młodej przystojnej kobiety w białej sukni i klejnotach. Na kolanach trzymała dwuletniego chłopczyka w aksamitnym ubraniu z koronkami. Była to córka księżnej, Elżbieta Januszowa Michorowska, ordynatowa głębowicka, z synem Waldemarem. Dziecko miało długie loki i twarzyczkę nie tyle piękną, ile już wyrazistą. Po bokach portretu wisiały dwa inne. Jeden przedstawiał zmarłego ordynata Janusza, drugi obecnego, Waldemara. Janusz przypominał typ Michorowskich z rysów, oczy miał matki, Francuzki, duże, czarne, palące, podobne do oczu pani Idalii, ale większe i milsze w wyrazie; twarz piękną i bardzo łagodną. Waldemar, sportretowany w czasie, kiedy obejmował ordynację, miał w szarych oczach fi- glarne błyski. Zagięcie brwi i pewien rys w twarzy wskazywał niezłomną energię. Księżna siedziała na staroświeckiej sofie przy okrągłym stole, zarzuconym mnóstwem drobiazgów przygotowanych na Gwiazdkę dla biednych dzieci. Leżało tam pełno gotowych ubrań, sukmanek, chustek i paciorków. Były tam trzewiki i małe włóczkowe trepki obok różnych zabawek i łakoci.

Księżna, w czarnej surowej sukni, przebierała białymi rękoma wśród nagromadzonych przedmiotów, dzieląc je na osobne gromadki. Jej dama do towarzystwa, niemłoda kobieta, pani Dobrzyńska, kręciła się ciągle, znosząc coraz nowe rzeczy na przepełniony stół. Księżna, przerywając zamyślenie, spoglądała na widny portret Waldemara z chmurą na bladej twarzy.

Od pewnego czasu wnuk ją niepokoił, zauważyła w nim wielką zmianę. Ostatni raz na proszonym obiedzie w Głębowiczach księżna przestraszyła się.

– Co mu jest? co go dręczy? – pytała samej siebie.

Dziwili ją wszyscy: i pan Maciej, i Rita, zwykle wesoła, rezolutna, teraz wiecznie zamyślona i bez humoru. Księżna parę razy spostrzegła, że płakała.

– Co się dzieje? – myślała staruszka.

Zajęta robotą, oczekiwała powrotu Rity, która natychmiast po otrzymaniu listu od Stefci pojechała do Słodkowic. Nagły wyjazd Stefci zastanowił księżnę, a głównie wyraz twarzy Rity, kiedy list przeczytała.

Zbladła i zaciskając usta szepnęła do siebie:

– Jaki ona ma hart, ta dziewczyna!

Księżna nie dowiedziała się, co to miało znaczyć, ale od tej chwili w jej niespokojnych myślach błędziła Stefcia dziwnie natarczywie. Księżna chciała zagłuszyć w sobie wszelkie niedobre podejrzenia, zajmowały ją przygotowania na Gwiazdkę.

– Moja Dobrzysiu, nie powiedziałaś mi, czy dwoje dzieci tej wyrobnicy – wiesz? zostały przyjęte do ochronki w Głębowiczach?

Pani Dobrzyńska skinęła głową.

– Tak, ordynat polecił je przyjąć. A jakże! dostały, jak wszystkie, pościel i łóżeczka.

– Ale pamiętaj, że ubranka nasze to my dajemy. Wymogłam ten wyjątek na ordynacie.

– Są nowe na święta. Tymczasem noszą dawne, jeszcze dobre. Pan ordynat dzielnie się ochronką opiekuje. Bardzo dobre są te kobiety, które przeznaczył do dozoru, i pani ochroniarka zająca osoba. Ochronka i szkoła pełna, ale przytułek dla starców stoi pustkami.

52

– Dlaczego to?

– Bo z włóczęgów nikt nie chce porzucać swego rzemiosła. Mówią, że wolą żebrać, niż mieć stałe mieszkanie, dobrą strawę i jakie takie zajęcie. Każdy przyjdzie, zje, prześni się i dalej znowu w świat. Mówiłam panu ordynatowi, że to chybiony cel, po co im dogadzać, kiedy oni wolą żebrać. Ale pan ordynat jest za dobry.

– Cóż powiedział?

– Powiedział mi tylko tak: „Moja Dobrzysiu, albo się jest żebrakiem albo się nim nie jest.

Ci widać mają zamiłowanie do sportu. Trudno im bronić: mogliby się pochorować na nostalgię za włóczęgą. Niech już lepiej tylko jedzą i śpią zamiast się wywracać po rowach”.

Uśmiech mignął na ustach księżnej. Pani Dobrzyńska mówiła dalej:

– Jest tam kilka zgrzybiałych staruszek i starców, z rodzin robotników fabrycznych i strażaków. Ci sobie drą pierze albo drzemią pod piecem. Pan ordynat nazywa ten oddział „pałacem inwalidów”.

Księżna znowu spojrzała na portret Waldemara.

– Kochany, dobry chłopiec! – szepnęła z uczuciem.

– Ale czy księżna pani uważa, że ordynatowi coś jest? Chyba nie chory, a jednakowoż nieswój. Ordynat już powinien żenić się, szkoda marnować takie piękne lata.

Księżna nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła cicho. Ale gadulska pani Dobrzyńska ciągnęła dalej prędkim głosem:

– Już to widać, że ordynatowi niełatwo się kto podoba, i nasza panna Margeryta jakoś mu nie do gustu. A szkoda! Dobra panienska i dzielna. A z hrabianką Barską już się skończyło, proszę księżnej pani? Bo to wszyscy mówili, że ordynat się z nią ożeni.

– Nie, moja Dobrzysiu, nic z tego nie będzie. Masz słuszość, mój wnuk niełatwo znaj- dzie żonę.

– Szkoda! szkoda!

Do pokoju weszła panna Rita w kapeluszu i futrzanym kołnierzu, zarumieniona z mrozu, z dziwnym wyrazem twarzy. Przywitała się z księżną w milczeniu. Pani Dobrzyńska natych- miast wyszła.

Księżna podniosła oczy na swą wychowanękę.

– Cóż tam w Słodkowcach?

Rita usiadła na krześle, gwałtownie zdejmując rękawiczki.

– Stefcia Rudecka wyjechała onegdaj.

– To wiem, ale dlaczego, co się stało?

– Och! dowie się ciocia bardzo prędko... Ona postąpiła taktownie, lecz nie zakończyła kwestii.

– Pozwól, moja droga, ale nie rozumiem, o czym ty mówisz.

– To się wyjaśni, może dziś jeszcze. Wczoraj ordynat był w Słodkowcach, dziś będzie tu.

– Waldemar? Skąd wiesz?

– Mówiła mi Idalka.

Tragiczne, długie spojrzenie rzuciła na portret Waldemara i rzekła gorąco:

– On zwycięży do końca!

Po czym wybiegła z pokoju.

Księżna patrzyła na nią przez chwilę.

– Co jej się stało?... – Dobrzysiu! – zawołała głośno. Dama do towarzystwa weszła pospiesznie.

– Proszę cię, idź do Rity i wybadaj, czy nie chora. Wydaje mi się dziwnie rozdrażnioną. Zanieś jej starego wina. Jeśli zechce, niech przyjdzie do mnie.

Bardzo prędko potem panna Rita zjawiła się znowu.

– Dziękuję cioci za troskliwość. Dobrzysia mię winem częstowała, lecz właściwie nic mi nie jest.

53

– Ale mówisz zagadkowo. Nic nie pojmuję, to jedno widzę, że wyjazd Stefci spowodowa- wał w Słodkowcach jakiś niepokój. Lecz jaki? dlaczego?...

– Ach, ciociu! trudno mi o tym mówić.

– Dlaczego wymieniłaś Waldemara? Powiedziałaś: „On zwycięży”.

– Zobaczyci ciocia... zobaczy! Zastukano do drzwi.

Wszedł służący i wręczył Ricie telegram z Wiednia od Trestki. Panna Szeliżanka prze- czytała i z niezwykłą irytacją cisnęła papier na stół.

– Cóż tam znowu? – pytała księżna, biorąc telegram. Trestka pisał:

„Wracam wkrótce. Nostalgia mię pożera. Do Rzymu nie pojedę, licząc, że w lecie poje- dziemy tam razem. Obecnie wiedeński mię nie bawią. Zamiast cudnych profilów Węgierki wolę męczeńską palmę w Obrońnem.

Księżna zaśmiała się i rzekła wesoło:

„Nieodzowny Edward”

– Oryginalny telegram i zabawny człowiek. Wierny jak Troilus. Już chyba teraz uszczę- śliwić go zechcesz.

Rita bystro spojrziała na księżnę.

– Dlaczego teraz?...

– No, nie wiem. Skoro, ci tak zapowiada Rzym, widocznie ma nadzieję...

– Ach, ta nadzieja! c'est son cheval de bataille<sup>4</sup>, ale... długo poczeka. Chociaż... ciocia dobrze mówi. Teraz może prędzej zdobęde się na uszczęśliwienie go niż w zwykłych warunkach.

– Znowu cię nie rozumiem. Co do Trestki to zawsze ci mówię, partia niezła: człowiek bardzo dobry, trochę dziwak, ale to nie szkodzi. Przy tym ładny majątek, rezydencja zupełnie możliwa, a nade wszystko – on kocha cię.

– Ciociu, nie mówmy o tym! ciociu, proszę! przynajmniej nie teraz! – wołała panna Rita, biegając po pokoju silnie wzburzona.

Księżna wzruszyła ramionami.

– Dziwna dziś jesteś, Ryciu.

Znowu pukanie do drzwi. Wszedł lokaj, oznajmiając krótko:

– Pan ordynat.

Rita stanęła jak słup wyprostowana.

Waldemar wszedł prędko, swobodnie powitał babkę i pannę Ritę, nie spostrzegając jej martwoty. Ona chwilę stała nieruchomo i wyszła z pokoju.

Wówczas Waldemar usiadł blisko księżnej na fotelu i z pieszczotą wziął jej rękę. Miał w oczach wyraz serdeczny, trochę filuterny.

– Dobrze, że cię widzę, mój chłopcze – rzekła księżna, uśmiechając się do niego. – W ostatnich czasach nieczęsto bywałeś u mnie, zapomniałeś, o starej babce.

– Niechże Bóg broni! Ale babcia rada, żem przyjechał? Więc kocha mię... czy tak?...

– Czyżby mogło być inaczej? Mam cię jednego tylko, i wnuka, i syna razem, bo Franio... ach, Boże!...

Staruszka machnęła ręką zniechęconym gestem.

– Gdyby Franio był choć trochę do ciebie podobny!...

– Ależ, babciu, ja wzorem być nie chcę dla nikogo.

– Jednak możesz nim być.

Waldemar uśmiechnął się pod wąsem.

4 c'est son cheval de bataille (fr.) – to jego konik

54

– Będę kiedyś dla mego syna.

– Otóż to! Szkoda, że nie myślisz o założeniu rodziny – to twój obowiązek. Jesteś ostatni z linii głębowickiej, powinieneś, Waldy, o tym pamiętać, ale... ty zawsze tylko żartujesz. Waldemar spoważniał. Spojrzał prosto w oczy księżnej.

– Nie, babciu, ja teraz nie żartuję. Mam stanowczy zamiar wziąć sobie żonę, założyć rodzinę, nie obowiązkową, nie dla tradycji, lecz z powodu własnych pragnień.

Księżna rozumne ciemne oczy utkwiała w źrenicach wnuka z wyrazem niedowierzającym. Jego głos zastanowił ją.

– Ty się chcesz żenić, Waldy?

Powiedziała to z tak bezgranicznym zdumieniem, że Waldemar zaśmiał się ubawiony.

– Ach, babciu! zawsze i przed chwilą nawet wymawiałaś mi, że o tym nie myślę, a teraz ta wiadomość tak cię zdziwiła, że niemal przerażoną jesteś.

– Więc... to prawda?

– Ależ tak, droga babciu, teraz nie żartuję! Przyjechałem umyślnie, aby ci to powiedzieć i prosić o błogosławieństwo.

– O... błogosławieństwo? Już? Nic nie słyszałam, abyś się o kogo starał, Waldy. Skąd tak nagle?...

– O, babciu! ta, którą chcę mieć za żonę, jest mi od dawna drogą. Znasz ją i lubisz. Ale sądziłem, że odgadniesz sama, ja się nie ukrywałem.

– Kto to, Waldy... kto? Czyżby Melania Barska? – pytała księżna niespokojnie.

– Ależ! cóż znowu? Barska była i jest mi najzupełniej obojętną.  
– Więc któż inny?...

Waldemar utkwiał w twarzy księżnej wzrok przejmujący i wyrzekł miękkiem głosem, ale dobitnie:  
– Stefcia Rudecka.  
Księżna szeroko otwarte źrenice zwróciła na wnuka.  
– Kto?!  
– Stefcia Rudecka – powtórzył.  
– Waldy! ty żartujesz?  
– Nie, babciu, mówię prawdę, to moje postanowienie już nieodwołalne. Księżna podniosła rękę do czoła.  
– Jezus Maria! – jęknęła całą piersią.  
Waldemar zacisnął zęby, brwi zbiegły mu się w ciasny łuk. Rzekł zmienionym głosem:  
– Co babcię tak przeraża? Co to za tragizm niezrozumiały? Doprawdy, gdybym umierał, mniejsza byłaby rozpacz.  
– Waldemarze, opamiętaj się, nie rań mi serca! Już widzę, że mówisz prawdę, ale to okrutne! Ty tego nie zrobisz nigdy! nigdy!  
Ordynat dumnie podniósł głowę, usta mu drżały.  
– Dlaczego?  
Księżna, blada jak zjawa, chwyciła go za ramię, oczy płonęły gorączkowo, głos wydobywał się z krtani chrapliwy.  
– Zaklinam cię, Waldemarze, nie czyn tego! Zastanów się, wspomnij na swój ród, na swe nazwisko. Nie wolno ci deptać bezkarnie starego rodu twych przodków – nie wolno ci!  
Waldemar znieruchomiał, stłumił gniew i zaczął mówić ze straszliwym spokojem.  
– Dobrze. Ale ja prócz nazwiska, rodu, herbu i całej tej oprawy mam jeszcze serce i duszę, a te znów posiadają trochę pragnień osobistych, nie rodowych. Dla siebie chcę czegoś, jedynie dla siebie. Nigdy dla swych ram nie chciałem poświęcać uczuć. Moją żoną może zostać tylko ukochana kobieta. Szukałem długo i znalazłem ją w Stefci.  
– Ależ pamiętaj, pamiętaj, że twoja babka była z domu księżniczką de Bourbon, spokrewnioną z dworami królów, że twoja matka Podhorecka, córka jednego z najznakomitszych

55

rodów książęcych w kraju!

Ordynat poruszył się niecierpliwie.

– A moją żoną będzie Rudecka, z dobrej szlacheckiej rodziny polskiej, nic więcej – i będę z nią bardzo szczęśliwy, w to wierzę.

– Więc ją aż tak kochasz?...

– Kocham sercem, duszą, krwią – wszystkim, czym mężczyzna może kochać kobietę.

– A ona czy wie o tym?

– Wie ode mnie, ja jej to powiedziałem.

– Czy mówiłeś o zamiarach?...

– Tak, wyznałem jej wszystko.

Rysy księżnej skrzywiły się przykrym uśmiechem.

– I naturalnie zgodziła się uszczęśliwić cię, nie wątpię!

– Przeciwnie, odmówiła mi.

Księżna spojrzała na Waldemara ze zdumieniem i wzruszając ramionami, rzekła oschle:

– Nie rozumiem! Czy się bawisz moim kosztem?

– Ani trochę! Mówię poważnie. Nie chce zostać moją żoną dla przyczyn wymienionych przez babcię, ale kocha mię, kochała od dawna – i to był główny powód jej wyjazdu. Jest szlachetna i dumna, pragnęła poświęcić własne uczucia, lecz ja nie pozwolę, aby miała być nieszczęśliwą. Zresztą i o moje szczęście idzie.

Księżna siedziała jak martwa. Ręce splotła rozpaczliwie.

– A przecież mówisz, że ci odmówiła? Jednak zdobyła się na tyle taktu – dodała jakby do siebie.

– Ale to był tylko jej takt. Powtarzam, ona mię również kocha. Uczynię wszystko, aby przemóc jej upór. Pojadę do Ruczajewa do państwa Rudeckich prosić o rękę ich córki.

– Boże! Boże! Boże! – jęczała księżna. Waldemar zniecierpliwiał się.

– Babciu, proszę nie rozpaczać, bo zbrodni nie popełniam. Sądzę, że moje szczęście powinno trochę inaczej usposabiać tych, co mię kochają, a widzę, że jest przeciwnie.

– Nie o takim szczęściu dla ciebie marzyłam! Nie widziałam dość stosownej partii w kraju, a ty... a ty... na moje stare lata cóż mi dajesz?... Boże miłosierny!

Księżna rozplakała się, zakryła powieki rękoma i zagłębiona w fotelu, trzęsła się, łkając z przejmującym żalem.

Ordynat wstał, przeszedł się po pokoju, panując nad sobą. Płacz babki rwał mu serce, lecz ani na chwilę nie zachwiał postanowionej walki. Zaciskał zęby, a w duszy przemawiał do Stefci, przywoływał ją najczulszymi słowami:

– Malutka moja, dla ciebie zniosę wszystko, będziesz moją i oni cię przyjmą!

Podszedł do księżnej i pochylony, ogarniając ramionami jej skurczoną postać, ucałował serdecznie rozpaloną skroń staruszki.

– Babciu! jeśli mię kochasz, uspokój się, z mego szczęścia nie czyn dramatu. Wiem, chciałaś dla mnie jak najlepiej, ale każdy nosi w sobie świadomość własnych pragnień... ja dążę do swych najdroższych. Proszę cię, babciu, nie płacz. To mię rani i obraża Stefcię.

Księżna, łkając, załamała ręce.

– O Waldy! Waldy!

Waldemar przyklęknął u jej kolan, pieszczotliwie całował jej dłonie, mówił dobrym głosem:

– Zawsze jestem ten sam, twój Waldy, i zawsze nim pozostanę. Kocham cię i cenię, ale właśnie dlatego pragnę, abyś mię zrozumiała, abyś nie tak tragicznie zapatrywała się na moją miłość i małżeństwo. Ty, babciu, różniłaś się pojęciami od naszej arystokracji, miałaś tyle dobrych zasad. Nie spostrzegłem w tobie przesądów fanatyzmu i ceniłem Cię bardzo wysoko.

A zresztą... czyż Stefcia zasługuje na taką niechęć z twej strony, czy jej nie znasz? Ona taka

56

wdzięczna, wytworna, a przy tym taka szlachetna – sama to zauważyłaś. Księżna spojrzała na wnuka surowo.

– Może być najpiękniejsza, najszlachetniejsza, ale jest nie dla ciebie.

– Czy tylko dlatego, że nazywa się Rudecka?...

– Choćby dlatego.

– Ależ babciu, mogę ci pokazać herbarz, gdzie nazwisko Rudeckich umieszczono bardzo wyraźnie. Jest to rodzina stara, ozdobiona dobrym herbem szlacheckim. Nie jest to ród gorszy od Żninów, Szeligów ani Cwileckich, razem z ich nabytym tytułem.

– Wśród tych, których wyliczasz, nie szukałam dla ciebie żony. Ordynat wstał.

– Więc miałem się żenić z panującą księżniczką czy z królowną z tysiąca i jednej nocy? Księżna błysnęła oczyma.

– Chciałam dla ciebie księżniczki Lignickiej – odmówiłaś. Chciałam hrabianki Prawdycówny

– znakomity ród i po Lignickiej pierwsza partia w kraju – także nie. Już pomijam księżniczki zagraniczne i panny ze sfer dworskich, gdzie miałeś wielkie szansę. W ostateczności zgodziłam się na Barską, która ma świetną parantelę – i ta nie!

Machnęła ręką zniechęcona.

– Moja babciu! czy Michorowski ma się koniecznie oglądać na parantelę?... czy ten szczegół ma być nieodzownym w wyborze żony?... My już mamy dosyć świetnych nazwisk. Na partie oglądali się moim dziadowie i pradziadowie, niechże mi będzie nareszcie dozwolone pominąć ten szanowny tradycyjny punkt i zostać szczęśliwym. Dotychczas nasze kroniki rodzinne mówią wiele o szumnych partiach, ale o szczęściu milczą zagadkowo. Ja chcę rozświetlić ten jedyny cień na ich szpaltach.

- Przesadzasz, Waldemarze! twoi przodkowie żenili się stosownie i bywali szczęśliwi. Ordynat wzruszył ramionami.
- Wiem, że pradziad Andrzej ożeniony z hrabianką Esterhazy, spokrewnioną z Habsburgami, chciał się z nią rozwodzić mimo jej bogactw i piękności. Wiem, że dziadek Maciej ze swą francuską księżniczką byli razem parą najniezwyklejszych ludzi i że mój ojciec z księżniczką Podhorecką również do szczęśliwych się nie zaliczali.
- Twoi rodzice kochali się, ale byli różnych pojęć – to ich dzieliło.
- Zawsze jednak jakieś „ale” stało na drodze. Zresztą, o ile wiem, mama, wychodząc za mąż, kogo innego nosiła w sercu.
- Ach! to dzieciństwo!
- Dzieciństwo? Łatwo to powiedzieć! ale ono niesłuchanie przeszkadza, są dowody na mamie i na dziadku Macieju. W jego młodości takie dzieciństwo zatrzymało późniejsze życie. Zaczął chodzić po pokoju.
- Księżna wodziła za nim przestraszonymi oczyma i nagle spytała:
- Czy to prawda, że ta... Stefcia jest wnuczką tamtej... historycznej Korwiczówny?...
- Tak, jest jej rodzoną wnuczką.
- I ty może dlatego?... dla powetowania?... Waldemar stanął.
- Cóż znowu! Kochałem Stefcię nie wiedząc jeszcze o niczym i nie dam jej sobie wydrzeć tak, jak tamtą wydrzono dziadkowi.
- Więc ty sądzisz, że tobie pozwolę na taki mezalians? na ożenienie się z tą Rudecką?... tobie... ordynatowi na Głębowiczach? Michorowskiemu?
- Waldemar rzucił dumnie głowę.
- A kto mi zabroni? – zapytał wyzywająco.
- Rodzina! sfera! tradycja! ja! – wołała gwałtownie księżna.
- Za pozwoleniem! Ja jestem pełnoletni, więc rodzina nie ma prawa zabronić mi tego. Sfera? Kpię sobie z niej! Tradycja mię nie wzrusza, a ty, babciu? ty się nie będziesz upierać.

57

Jesteś na to zbyt rozumna.

- Mylisz się. Ja nie pozwolę nigdy!
- Pozwolisz, babciu, choćby pod groźbą mego nieposłuszeństwa. Moją żoną zostanie tylko Stefcia Rudecką. Na to się zgodzi i rodzina, i sfera, bo tradycja nic tu nie przeszkadza.
- I to ty mówisz, Waldy?... ty?!...
- Ja, Michorowski, ordynat głębowicki i twój wnuk.
- I ty, pierwszy magnat w kraju, za którym szalały córki najznakomitszych domów, ty zrobisz takie odstępstwo?...
- Ja, babciu! Szalały za mną kobiety, jak sama mówisz, teraz ja szaleję za jedną. Księżna wyciągnęła ręce przed siebie.
- Ależ szaleję za nią, ile chcesz, szalejcie oboje, tylko się nie żeń! Waldemar rzucił na babkę pełne zdumienia spojrzenie.
- Teraz na mnie kolej zapytać: i to ty mówisz, babciu, ty?...
- Waldemarze, nie doprowadzaj mię do ostatecznej rozpaczki. Ja nie chcę jej dla ciebie, nie chcę! nie chcę!
- Gwałtownie powstała z kanapki, blada i drżąca. Waldemar łagodnie wziął jej rękę.
- Babciu, błagam, uspokój się! Pomyśl o tym poważnie, a jestem pewny, że wszystko inaczej odczujesz.
- Nigdy! nigdy!...
- Ordynat zacisnął zęby, krew rozszalała się w jego żyłach. Ale potężną wolą stłumił wybuch, tylko po twarzy latały mu ognie.



– Babciu, zgodzisz się, bo ja nie ustąpię za nic! Znasz mię, niełatwo daję się zginać. Nawet twoja ręka nie może mieć wpływu tam, gdzie jest miłość i silna wola. Nie chciałbym z tobą walki i dlatego proszę: uspokój się.

Po namyśle zrozumiesz, że upierać się nie ma zasady. Sama pokochasz Stefcie i pobłogosławisz nam.

Księżna wyrwała mu rękę.

– Nie licz na to nigdy. Już chociaż to ode mnie zależy! Ja wam nie pobłogosławię! Waldemar, blady, straszny, przeciągnął ręką po czole, na którym wystąpiła lekka rosa potu. W oczach już nie miał ognia, ale zimny, przerażający chłód. Rzekł z okropną siłą w głosie, jakby wydawał wyrok śmierci:

– Więc ja... wbrew twojej groźbie zaślubię Stefcie.

Księżna patrzyła na wnuka przerażona, załamała ręce i prędko wyszła z pokoju.

– On mię i do tego zmusi!... on i do tego zmusi. Boże! Boże! – szeptała sinymi wargami.

Waldemar po jej wyjściu ścisnął rękoma głowę i ciężko usiadł na fotelu. To, czego się najwięcej obawiał, nastąpiło. On wiedział, że bez błogosławieństwa i bez pozwolenia babki Stefcia nie zostanie jego żoną. Pierwszy raz ten człowiek silny, jakby z granitu uczuł się złamanym. Jakaś głucha rozpacz zatargła jego duszę. Bunt, gniew, oburzenie rozrywało mu piersi. Przed oczyma stanęła mu postać Stefci. Jej ciemne fiołkowe oczy spojrzały na niego błagalnie, pełne miłości i słodkich ponęt. Jej różowe usta szeptały gorące słowa, długie rzęsy kładły się na ślicznej twarzy z jakąś rozkoszną pieśczęcią. Obraz ten czarował go, upajał!

– Dziecko moje, szczęście moje!... zwalczę wszystko dla ciebie... bądź spokojna! – przemawiał do wizji.

Gorycz, żal, ból niezmierny miotają nim na samą myśl, że ją odtrącają – tę jego złotą dziewczynę. Cierpiał, lecz nie uległ. Ból go nie zmiażdżył, przeciwnie – podniecał do walki. Czuł napływ do krwi nowych, niezmierzonych sił... czuł, że mur, który przed nim wznoszą, rozerwie własną pierś, zetrze w miał. Czuł, że przeskoczy tę przepaść, która się przed nim otworzyła. Posiadał siłę, lot sokoli i szpony orła. Będzie nimi pruł owe masy przeciwne, rozdzierał mgłę niechęci, aż dotrze do jasnej przestrzeni swych pragnień. Tam wprowadzi Stefcie, pogrążoną w trwożnej niepewności. On trzyma w swej dłoni jej los, szczęście – i nie za-

58

wiedzie jej.

– Musi tak być! musi tak być!

W strasznej wichurze zbuntowanych uczuć szarpał nerwy, rozpalał krew żądzą zwycięstwa. Otrzeźwił go szelest sukni kobiecej. Podniósł głowę: przed nim stała panna Rita ze łzami w oczach, bo uderzył ją jak piorun widok jego złamanej postaci. On zmarszczył się, powstał zły. Rita dotknęła ręką jego ramienia.

– Niech się pan nie gniewa, że weszłam... musiałam, wiem o rozmowie pana z cicią... proszę nie tracić nadziei.

Spojrzał na nią zdumiony i wzruszył ramionami.

– Ja tracę nadzieję? Kto to pani powiedział? Skoro walkę rozpoczynam, nie ustąpię. Ricie głos się załamał.

– Ja wiem, źle się wyraziłam, chciałam powiedzieć: niech się pan nie martwi... nie zabija złą myślą... księżna da się przekonać – ja... dołożę wszelkich starań do tego.

Waldemar wiedział o uczuciach Rity względem siebie i słowa jej wzruszyły go. Patrzył na nią z uznaniem. Ona zrozumiała inaczej, myśląc, że on się tylko dziwi. Hardo podniosła głowę do góry.

– Niech mi pan wierzy i nie zdumiewa się. Ja obiecuję to szczerze... choć Bóg widzi, jak mi ciężko.

Łzy spłynęły z jej oczu. Ordynat ucałował jej rękę.

– Dziękuję, droga pani, wdzięczność zachowam, ale niech się pani nie naraża babci. Ja sam zwalczę wszystkie przeciwności.

– Chcę szczęścia dla was obojga... jesteście tego warci. Wybiegła z pokoju.

Waldemar stanął przy oknie, szarpał dewizkę i usta gryzł do krwi.

W godzinę potem, spokojny już i zimny, żegnał się z panną Szeliżanką, która mu oznajmiła, że księżna jest bardzo zdenerwowaną i że przez nią posyła mu pożegnanie. Siedząc w sankach,

Waldemar rzekł do siebie:

– Pierwszy akt odegrany.

Postanowienie ordynata wywołało burzę w całej rodzinie. Księżna była nieubłagana, popierała ją pani Idalia i książę Franciszek. Hrabina Ćwilecka żyła jak w gorączce. Nie należąc do rodziny, nie mogła mieć głosu, to ją dręczyło. Oburzona, zła, starała się w inny sposób szkodzić Stefci: wyszydzając ją i jej stosunek do Waldemara. Lecz niedługo bawiła się w ten sposób obrażona hrabina. Pewnego dnia otrzymała od ordynata grzeczny, ale treściwy list, po którym straciła ochotę do wszelkich żartów ze Stefci.

W Słodkowcach panowała niewyraźna atmosfera. Pan Maciej zagadkowo milczał, dziwnie surowy. Zwykle odważna pani Idalia bała się teraz wejść do gabinetu posępnego starca. Burzyła się w niej błękitna krew z powodu Stefci, lecz nie śmiała z ojcem mówić o tym. Pan Maciej,

zamknięty w sobie, przesiadywał na fotelu, przeżuwał ciężkie myśli. Jego skołatana głowa nie mogła pomieścić ich nawału. Wiedział o oświadczeniach Waldemara tego samego dnia, wiedział również o odmowie Stefci i łudził się, że wyjazd jej może zmienić postanowie- nie wnuka. Żałował Stefci, czuł wyrzuty sumienia, męczył się, ale jednocześnie pragnął, aby się to przerwało. Gdy Waldemar odprowadził Stefcię na kolej, pan Maciej zrozumiał, że nadzieja stracona. Był pewny, że w tej karecie Stefcia ulegnie przekonywającym słowom Waldemara, że sama kochając, nie zdoła oprzeć się jego uczuciom, I starzec dziwił się, że znając wnuka mógł się łudzić choć przez chwilę, że postąpi inaczej. Kiedy na drugi dzień pan Maciej zobaczył przed gankiem konie głębowickie, wiedział już, z czym Waldemar przyjeżdża, nie omylił się. Wysłuchał spokojnie gorącej mowy wnuka, pełnej uczucia i niesłuchanej stanowczości, ale zaczął go błagać, aby tego nie czynił. Waldemar powiedział tylko, patrząc mu w oczy, z przyciskiem:

– Jak to? I ty, dziadziu, wzbranasz mi szczęścia... po wszystkim, co zaszło w twym ży- ciu? Ty chcesz nowego dramatu w naszej rodzinie, powtórzenia przeszłości? Chcesz zgębić Stefcię i uczynić ją również nieszczęśliwą? Ty, dziadziu, odradzasz mi małżeństwo z nią, wnuczką tamtej nieszczęsnej kobiety, którąś sam kochał?...

Pan Maciej uczył się przybitym. Gorzkie, choć prawdziwe słowa spadały z ust wnuka na jego głowę, ciężarami kłuły go w serce tysiącem żadeł, ostrych, bolesnych. Starzec zrozumiał, że przeszłość zemściła się na nim, dotykając go w strunę najboleśniejszą.

W podnieconej wyobraźni jego przesunął się szereg faktów poprzedzających godzinę zemsty: przyjazd Stefci do Słodkowic, miłość Waldemara i śmierć tamtej kobiety. Od tej śmierci rozpoczęło się wszystko najgorsze. Wyjazd Stefci przyspieszył katastrofę, bo pan Maciej już nie wątpił, że nastąpiłaby prędzej czy później. Ujrzał przepaść bez wyjścia. Waldemar miał go w rękę. Pan Maciej odczuł własną bezradność, i to go najwięcej gnębiło.

Zwiesił głowę na piersi, splótł kurczowo wyschłe ręce i siedział tak bezmiernie stary, skołatany, wzbudzając litość. Waldemar po pierwszym wybuchu łagodził go, tłumaczył mu bezzasadność przesądów mogących mu wzbronić związek ze Stefcią. Mówił o swych uczuciach względem niej i delikatnie przypomniał dziadkowi jego własną miłość, nie poruszając jej zakończenia. Stary magnat ostatecznie został wzruszony, gdy Waldemar, mówiąc o Stefci, odpiął od dewizki złoty medalion, ozdobiony brylancikami i rubinami, i podając go dziadko- wi, nacisnął sprężynę, śliczna twarzyczka Stefci, artystycznie odkolorowana, w skromnej su- kience, w koralach i z grubym warkoczem, zwieszonym przez ramię. Jej oczy, choć tak zmniejszone, spjrzały na pana Macieja z wyrazem nieopisanego słodyczy, rozmarzenia i tęsk- noty. Usta drobne, uśmiechnięte figlarnie, miały w sobie niezgłębiony, jej właściwy czar. Z pochylenia głowy wiał wdzięk, zdobiący ją zawsze.

Pan Maciej popatrzał i drgnął. On przede wszystkim ujrzał w jej twarzy podobieństwo do miniatury Korwiczówny, którą czcił jak relikwię. Oczy Stefci wydały mu się błagające. Dziewczyna uśmiechem i tęsknotą wejrzenia prosiła go, aby nie bronił jej szczęścia z Wal-

60

demarem, aby jej nie zabijał odmową. Stała mu jak żywa przed oczyma kiedy klęczała przy jego kolanach po powrocie z pogrzebu babki. Płakała wówczas i tuliła się do jego ręki ser- decznie z ufnością dziecka.

Pan Maciej uczył zimny pot na ciele, coś zatargało sumieniem.

– I ty ją chcesz zabić?... za co? – wołał jakiś głos wewnętrzny.

Spod obwisłych brwi spjrzał na wnuka. Waldemar, pochylony, wsparty na dłoni, patrzył na portrecik Stefci z wyrazem niewysłowionego szczęcia w twarzy, obejmował ją gorącym spojrzeniem, pieścił oczyma. I znowu jakiś głuchy głos zawołał w duszy starca:

– Ty chcesz zabronić mu szczęścia? Jakim prawem?... Zamknął oczy i odpowiedział sobie z goryczą:

– Nie wzbronisz, bo on cię nie usłucha.

– Skąd ty ją masz? – zwrócił się do Waldemara.

- Zmniejszyli mi ją z fotografii robionej w Głębowiczach. Noszę ją od tamtej pory.
- Śliczna dziewczyna! – szepnął staruszek.
- Ty ją kochasz, dziadziu, przez pamięć dla tamtej; pokochaj dla niej samej, jak swą wnuczkę, a moją żonę. Ona, dziadziu, da mi szczęście, jakiego dla mnie pragnąłeś.

Pan Maciej był bardzo poruszony.

Waldemar nie nalegał więcej. Zrozumiał, że starzec powinien się uspokoić i przełamać. Dał mu czas na to, będąc już pewnym wygranej.

Kilka dni przeszło. Waldemar nie pokazywał się. Pan Maciej wiedział, że był w Obronie i że księżna odmówiła błogosławieństwa. Starzec przebywał straszną rozterką duchową. Milczenie ordynata drażniło go. Z córką nie widywał się prawie, bo jej głośnie oburzenie na „idiotyzm Waldemara” gniewało go. Sam nie chciał Stefci dla wnuka, ale zaprzeczenia innych mężczyły go niesłychanie.

Lucia przechodziła różne wrażenia. I ona uważała Stefcię za nieodpowiednią do ich sfery. Nie mogła wierzyć, aby ta jej Stefa, jej przyjaciółka, miała zostać ordynatową Michorowską, milionerką, magnatką, większą panią od jej matki. Lucia w listach do Stefci pomijała tę sprawę, jakby nie wiedząc o niczym. Ale żałowała Stefci, całą złość zwracając na Waldemara, jako bezpośrednią przyczynę jej wyjazdu ze Słodkowic. Wszyscy, każdy po swojemu, potępiali ordynata.

Kilka dni minęło w strapieniu i niepewności. Posłańcy krążyli nieustannie pomiędzy Słodkowcami, Obronnem i Głębowiczami. Księżna prowadziła układy z Waldemarem listownie.

Nareszcie pan Maciej i baronowa otrzymali listy od księcia Franciszka Podhoreckiego, zapraszające na zjazd rodzinny do Obronnego w sprawie ordynata.

Wszyscy zebrali się w salonie, obok gabinetu księżnej, czekali tylko na Waldemara. Księżna w głębokim fotelu, niespokojna, mnać chusteczkę w rękę, z trwogą spoglądała na zrezygnowaną twarz pana Macieja. Książę Franciszek i hrabia Morykoni, zięć księżnej z drugiej córki, spacerowali rozmawiając cicho. Pani Idalia z hrabiną spoglądały w okno. Księżna Franciszkowa i panna Rita miały zagadkowe miny.

Księżna mówiła szeptem;

– Wszystko to robi na mnie wrażenie szopki, zupełnie zbytecznej. Jeśli sądzą, że prze- straszą ordynata, czeka ich zawód.

– Ja natychmiast odejdę, skoro tylko przyjedzie – odpowiedziała panna Rita. – Nie mo- głabym spokojnie słuchać.

– Owszem, to będzie ciekawe. Oni myślą zaimponować ordynatowi, lecz stanie się prze- ciwnie. Przykro mi tylko, że Franio tak wyraźnie akcentuje swoje contra w tej mało szlachet- nej awanturze.

– Więc książę jest aż tak przeciwny małżeństwu ordynata? Dlaczego głównie?

– Prawdopodobnie idzie w ślady matki, dla tradycji. Dziwię się i mamie, nie posądzałam jej o tyle fanatyzmu.

– Bo to się najczęściej uwydatnia w takich właśnie faktach. Księżna wskazała oczyma panią Elzonowską.

– Albo Idalka! Ona mię oburza. Agituje przeciw Rudeckiej najgorliwiej. Panna Szeliżanka skrzywiła usta lekceważąco.

– Ech! Idalka! Jej głównie żal Barskiej, dla której ma niezrozumiałą sympatię. A może li- czyła na jakiś piękny cadeau<sup>5</sup> za wyswatanie. To do niej podobne.

– Jedzie! – zawołał od okna hrabina Morykoniowa. W salonie zrobiło się trochę ruchu.

Panowie wyprostowali figury jak przed walką, paniom na twarze wystąpiły rumieńce.

Tylko starsza księżna mocniej zbladła, a pan Maciej westchnął głęboko.

Rita wysunęła się z salonu do przyległego gabinetu.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem. Szybkie spojrzenie rzucił na zebraną grupę osób i w oczach jego błysnął śmiech, usta przybrały ironiczny, przykry wyraz.

Powitanie odbyło się z zachowaniem wszelkich przepisów etykiety, ale pan Maciej uca- łował wnuka jak zawsze serdecznie, a księżna Franciszkowa mocno uściśnęła jego rękę z wymownym spojrzeniem.

Ordynat rozejrzał się po sali.

– Widzę, że jestem ostatnim. Już chyba nikogo nie brakuje?

– Tak, spóźniłeś się – rzekła księżna. Waldemar ściągnął brwi.

– Przepraszam – odrzekł sucho, siadając na bocznym fotelu.

Zapanowała długa i bardzo kłopotliwa cisza. Księżna kręciła się niespokojnie, pan Maciej oczy wbił w zaścielający posadzkę dywan.

Ordynat niedbale bawił się medalionem przy dewizce, trochę dumnie patrząc na wszyst-

5 cadeau (fr.) – prezent

kich. Wreszcie, znecierpliwiony milczeniem, odezwał się pierwszy:

– Zostałem wezwany na zjazd rodzinny dla omówienia mej sprawy. Cytuję słowa listu.

Przyjechałem. A teraz słucham.

Księżna poruszyła się, książę Franciszek i hrabia odchrząknęli i spojrzeli na siebie zna- cząco.

Pierwsza zabrała głos księżna.

– Zebraliśmy się tu, aby wspólnie odwieść cię od twych... szalonych projektów... które obrażają nas i tobie przynoszą ujmę.

Pan Maciej bystro spojrział na księżnę. Uderzył go stanowczy ton jej mowy. Słowa „od- wieść” wszystkim wydało się za silne.

Waldemar podniósł brwi, nozdrza poruszały mu się z irytacji. Uśmiechnął się złośliwie.

– Stawia babcia kwestię krańcowo. Widzę, że ultimatum na mnie wydane. Ale ja jestem pełnoletni, więc dzisiejszy... sejm może mi wyłożyć motywy swych niechęci dla mych postanowień, jestem przygotowany na odparcie wszystkich – jednak odwieść mię, czyli to samo, co zmusić, nie zdoła nikt i... nie ma do tego prawa.

Po ustach pana Macieja przeleciał uśmiech. Wszyscy stropili się. Księżna spłonęła krwawym rumieńcem.

Waldemar mówił dalej:

– Niech babcie moje słowa nie obrażają: odpowiedziałem w tonie jej słów. A teraz proszę o motywy.

– Nie możesz się żenić z panną Rudecką.

– Za pozwoleniem, to jest przedmiot, ale ja proszę o szczegóły, dlaczego nie mogę? o subiektywne rozebranie tej kwestii.

Tu odezwał się książę Franciszek:

– Nie możesz zaślubić osoby niższej sfery. Byłoby to wykroczeniem przeciw zasadom rodu Michorowskich, przeciw tradycji rodowej... byłoby to nawet występkiem przeciw etyce.

Ordynat dumnie podniósł głowę.

– Zasady, tradycje – są to nasze frazesy już tak oklepane, że nie robią wrażenia, na mnie przynajmniej. Co zaś do etyki, moja różni się od waszej, choć nie jest w gorszym stylu. Według mnie małżeństwo zawarte tylko dla tradycji rodowej, dla partii, staje się nieetycznym. Wy sądzicie przeciwnie, pojęcia wasze i moje dzieli cała przepaść.

Hrabia Morykoni zrobił zdziwioną minę.

– Ależ my nie wykluczamy zupełnie strony uczuciowej, o jaką ordynatowi, zdaje się, najczęściej chodzi. Lecz nie można absolutnie uczuciem się rządzić, ewentualność taka mogłaby przynieść wiele szkody dla arystokracji naszej. W wyborze żony trzeba zawsze kłaść główny nacisk na jednakową rasę! Voilà!

Waldemar zaśmiał się.

– Gdybym się jednak żenił z jakąś udzielną księżniczką niemiecką, hiszpańską, nikt nie uważałby na rasę. Mój dziad był żonaty z Francuzką i nikt się nie oburzał, bo to była magnatka. Gdybym się nawet ożenił z księżniczką chińską, poczytano by mi to za oryginalność, lecz nie za rzecz karygodną. Panna Rudecką jest polską szlachcianką, dobrej rodziny, więc o różnej rasie mowy być nie może.

– Ale jest różna sfera – przerwała księżna.

– Temu nie przeczę, lecz uważam to za drobnostkę nie mogącą mieć wpływu na połączenie się i szczęście dwojga ludzi.

– Owszem, ta drobnostka jest bardzo potężnym punktem, gdyż inaczej nie istniałyby mezalianse ani morgantyczne małżeństwa – rzekła pani Idalia.

– Nie rozumiem tej wzmianki. Mezalianse w arystokracji naszej bywają gorsze, a morgantyczne małżeństwo może być tam, gdzie się żeni panujący z poddanką lub vice versa, albo członek dynastii z osobą niższych sfer społecznych, co się zdarza na dworach. W takich ra-

– Pod pewnymi względami... owszem – rzekł wolno i z namysłem książę Franciszek. Wszyscy spojrzeli na księcia i na ordynata. Pan Maciej, nagle zatrwożony, niespokojnie patrzył na wnuka.

Ale Waldemar pięknym, lecz dumnym ruchem zwrócił głowę do księcia i zapytał wesoło:

– Doprawdy? I jakież to względy? Bardzom ciekaw.

Książę Franciszek utkwiał w twarzy pytającego nieprzyjemny wzrok.

– Ordynacja ma swoje prawa wyłączne, które w danym wypadku można wypośredkować. Jak majątki objęte ordynacją są zawarowane, i przez to stają się nietykalne, tak samo i... i...

Książę zająknął się.

– I sam tytuł ordynata zmusza do pewnych obowiązków... że tak powiem... tytułarnych zobowiązań.

Książę najwidoczniej nie wiedział, co mówić.

– Paradoks! – szepnął dość głośno pan Maciej. Waldemar uśmiechnął się lekceważąco.

– Tytułarnych zobowiązań? Zapewne. Ale nie tyczą się one wyboru żony.

– Owszem, noblesse oblige! 6

– Panna Rudecką nie zrobi ujmy tej zasadzie. Zupełnie śmiało może zostać ordynatową Michorowską, ma do tego wszelkie kwalifikacje.

– Prócz praw – sarknął książę.

– Prawa nadam jej sam, zaślubiając ją.

– To pogląd osobisty, nie ogólny, ogół naszej sfery takiego prawa nie uzna.

– Gdy przedstawię pannę Rudecką jako moją żonę, uzna z pewnością.

– I ty sądzisz, że my ją przyjmiemy? – spytała ironicznie pani Idalia. Waldemar przeszył ją wzrokiem.

– Ogół arystokracji przyjmie, choćby ze względu na mnie. Zajmuję pewne stanowisko społeczne, mam rozległe stosunki i znane magnackie nazwisko. To są powody, dla których trzeba się ze mną liczyć. Pojedyncze osobniki niezadowolone istnieją zawsze, nawet w zwykłych warunkach, ale o nich mniejsza: zginą w ogólnym prądzie.

– Pozwolę sobie zrobić uwagę – rzekł hrabia Morykoni. – W zwykłych warunkach małkontenci mogą być jedynie na podstawach osobistych uraz lub zawodów. Tu zachodzi niechęć i odraza sferowa. To nas łączy solidarnie, wywoła oburzenie w całej arystokracji. Panna Rudecka powinna być względem nas obcą zawsze, ona dla naszej sfery jest – trędowata! Voilà! Waldemar zmrużył oczy, spod rzęs popatrzał na hrabiego strasznym wzrokiem, z bezmiernym szyderstwem i chłodem, po czym rzekł:

– Brawo, panie! Trędowata! To samo słyszałem już raz od Barskiego, lecz ponieważ wszyscy wiedzą, kim jest tamten pan pod względem intelektualnym, więc nie spodziewałem się usłyszeć powtórzenia w dzisiejszym zgromadzeniu. Nie wiem, czy to określenie jest zapożyczone od Barskiego, czy też to nowe wydanie – w każdym razie winszuję! Jest to bajeczny dowcip i genialny w swej naiwności.

Wszyscy osłupieli, bo Waldemar mówił niby spokojnie, lecz z niesłychanym podnieceniem, i kto go znał lepiej, ten zadrżał. Hrabia był również zapaleniem. Zaciął wargi, ale podniósł butnie głowę, świecąc złotą oprawą szkieł. Odezwał się obrażonym tonem:

– Dziękuję ordynatowi za jego uwagi, które są... zbyt cenne. Krytyka pańska nasuwa myśl stanowczego zakończenia tej gry na słowa.

6 noblesse oblige! (fr.) – szlachectwo zobowiązuje!

Zaległo groźne milczenie. Skandal wisiał w powietrzu. Obaj przeciwnicy patrzyli sobie w oczy bez słowa, tylko hrabia sapał i mienił się na twarzy, a Waldemar, posągowo spokojny, patrzył na niego jak wilk na ofiarę. Jeszcze chwila, a nastąpiłoby coś nieoczekiwanego. Ale ocknęła się pierwsza młoda księżna.

– Panowie, proszę o głos – zawołała wzburzona i zaczęła mówić: – Wszystkie motywy, jakie ordynat podaje na obronę panny Rudeckiej i kwestii zamierzonego z nią małżeństwa, ja podzielałam w zupełności i twierdzę, że panna Rudecka, jakkolwiek nie jest z naszej sfery, nie pochodzi jednak z klasy ludzi, z którymi stosunki nasze absolutnie nie mogłyby istnieć. Poza tym znamy osobiście pannę Rudecką i bezstronnie mówiąc, wiemy, co o niej sądzić. Wypowiedziałam swój pogląd, teraz odstępuję głos ordynatowi.

Waldemar jął mówić spokojnie:

– Żeniąc się z panną Rudecką nie popełniam skandalu, nie wprowadzam do rodziny osoby z gminu ani też podejrzanej. Mezaliąsem nazwać możecie różnicę stanowiska obu rodzin, wyraźną, lecz nie jaskrawą, i różnicę majątkową. To tworzy ową sferę. Jest to mur, poza który bardzo rzadko wyglądamy, gdyż każdemu brak odwagi. Ten mur sterowy jest tak najeżony przesadami, pielęgnowanymi od wieków, tak przesiąknięty fanatyzmem, że zatruwa każdego, kto się doń zbliży. Lecz usuńmy truciznę, a przekonamy się, że mur nie jest strasznym i nie-możliwym do przekroczenia.

– Takie wycieczki są nie dla karmazynów – przerwał księżę Franciszek.

– Właśnie o tych naszych karmazynach mówię – rzekł Waldemar.

– My do tamtych sfer nie mamy pretensji. *Le jeu ne vaut pas la chandelle*<sup>7</sup>.

– Przeciwnie, korzyści byłyby po przekroczeniu sterowego muru.

– Na przykład jakie?

– O! tylko pozbądźmy się tremy, wówczas będziemy mogli rozejrzeć się swobodnie, bez chloroformów, udzielanych nam przez tradycję. Ujrzymy świat, nazywany dziś „trędowatym”, w stanie może lepszym, a na pewno moralnie zdrowszym od naszego. Ujrzymy w nim jednostki bardziej rycerskie pod względem etyki i często szlachetniejsze. Wiele z nich zaimponuje nam nie tytułem i milionami, nie cudzoziemszczyzną i umiejętnością eleganckiego łądaczania się, bo to nasz przywilej – lecz niezaprzeczoną wyższością na punkcie psychologii i humanitarnych, ideowych dążeń. Nasza wyniosłość rodowa, wyrosła na zamierchłej tradycji, stawia nas na wyższych piedestałach, popychanych w górę przez miliony i tytuły, rzadziej przez osobiste cenne zalety. Na takim tradycyjnym, uświęconym przez sferę monumencie stoi często osobnik bez wartości, nie wytrzymujący porównania z członkiem sfer społecznie niższych. I niechże tych dwoje ludzi zbliży się z sobą – daję tylko przykład – poczytanym to zostanie za mezaliąs, ale orzeczenie to stosować należy do sfery społecznie niższej z powodu kultury osobistej, nie tradycyjnej. To nie jest bagatela, to już kwestia, która nasuwa tysiące porównań – dla nas niepochlebnych.

– Jakobini francuscy takie same głosili zdania – zaśmiał się księżę.

– I w antraktach strącali głowy z karków magnackich – dokończył Waldemar. – Ja nie jestem jakobinem, tylko trzeźwym arystokratą.

– Patrzącym przez pryzmat demokracji.

– Nie, mości księżę, najwięcej liczę na własny wzrok i robię bajeczne odkrycia. Księżę umilkł. Ordynat mówił dalej:

– Co jest jeszcze ważnym czynnikiem sterowym, broniącym odstępstwa od jej zasad, to parantela. Skoro twój dziad i pradziad żenili się w domach magnackich, i ty powinienes pójść ich śladem – oto nasza śpiewka. Nie wystarcza nam samo nazwisko narzeczonej, choćby naj-

7 *Le jeu ne vaut pas la chandelle* (fr.)—Gra niewarta świeczki.



świetniejsze; my szukamy dalej, wygrzebujemy z grobów jej pradziadów i starannie sprawdzamy ich herby i tytuły. Jeśli błyszczą jaskrawo, umieszczamy ich portrety w naszych zamkach, na miejscach najwidoczniejszych, choćby nie byli warci wspomnienia. Jeśli są skromniejsi, wieszamy ich gdzieś na uboczu, mówiąc z lekceważeniem: „Jakiś tam daleki krewny”. Ja na to nigdy się nie zgodzę, we mnie zwykły człowiek prawy i bez skazy więcej wzbudzi szacunku od pysznego hetmana czy wojewody, który często całą swą wartość nosi w purpurze i klejnotach. To są moje poglądy na sferę i mezaliansy. Nie wedle oprawy sądzi się drogi kamień, lecz wedle prawdziwej wartości. I w złocie znajdują się falsyfikaty.

Waldemar rozdrażniony rzucił się w głąb fotelu, a wszyscy zrozumieli, że walka z nim nie doprowadzi do pożądanego wyniku. Twarze obecnych sposepniały.

Nagle księżę Franciszek poruszył się i wydobywając z siebie cały zapas energii, pewien efektu, rzekł dobitnie:

– Panna Rudecka może zostać Michorowską, ale nie ordynatową i bez praw do ordynacji.

– A to jakim sposobem? – spytał spokojnie Waldemar.

– Franiu, pleciesz głupstwa – rzekła młoda księżna, cała w ogniu.

– Jakim sposobem moja żona nie będzie ordynatową?

– Bo przez mezalians twego małżeństwa z nią możesz ordynację utracić.

Waldemar spojrzał na księcia rozbawionym wzrokiem, usta mu zaczęły drgać śmiechem i nie wytrzymał. Na salę runął jego śmiech szyderczy, pełen ironii, ale wybuchowo wesoły.

– Ha! ha! ha! a to mię bawi! i któż zostanie tym egzekutorem, kto mnie wydziedziczy z ordynacji?

Zwrócił się do księcia:

– Czy pan? Ha! ha! ha!

Śmiał się swobodnie, ale tak szatańsko, że wszystkim zrobiło się zimno. Księżę siedział czerwony, niemy z oburzenia, hrabia skubał nerwowo brodę, panie były ogłuszone, księżna bliska omdlenia. Nedorzeczny występ syna zawstydził ją, śmiech Waldemara gniewał, nie wiedziała, co z sobą począć. Pan Maciej mienił się na twarzy. Stała przed nim podobna chwila z pierwszej młodości jego życia. Jemu tak samo grozili, ale on nie posiadał odwagi Waldemara, on nie śmiał się tak swobodnie, zląkł się i uległ.

Stary magnat wstrząsnął się na to wspomnienie, zabołało go porównanie.

A tymczasem Waldemar przestał się śmiać i mówił chłodnym, pewnym głosem:

– Chcieliście mię nastraszyć morganatycznym małżeństwem, teraz straszycie wydziedziczeniem z ordynacji. Na mnie kolej zapytać: jakie prawa macie do tego? Pomijam morgantyczność, gdyż to jest absurd niegodny wzmianki, mówmy o wydziedziczeniu. Kto może tego dokonać?... Istnieje tylko jedna odpowiedź – nikt. Ja nie mam lat osiemnastu, ale trzydzieści dwa, wyszedłem z wszelkiej opieki i nie daję nikomu pełnomocnictwa do rządzenia sobą. Godnością i postępowaniem swym kieruję sam i zupełnie czuję się na siłach; w takich zaś kwestiach jak małżeństwo i osobiste szczęście nie zasięgam rad niczyich. Wiem, czego pragnę i do czego dążę. Wydziedziczyć mię nie można, ponieważ jestem ostatni Michorowski z linii głębowickiej. Zresztą, gdyby było więcej członków tej linii lub gdybyście chcieli powo-

łać innych Michorowskich na ordynację, to i tak nic z tego, bo ja się nie zgodzę, a ponieważ jestem pełnoletni, więc prawo mię broni. Wszyscy to rozumieją, niepotrzebne paragrafy, dziwię się, że księżę tak stanowczo dowodził o odebraniu mi tytułu. Wyglądało to tak, jak straszenie dziecka pozbawieniem go grzechotki. Na szczęście nie jestem płochliwy, swe prawa znam i wyrzec ich sobie nie pozwolę, a dobrowolnie ordynacji, stanowiska i tytułu się nie wyrzeknę, choćby dlatego, żeby złożyć to wszystko w hołdzie ukochanej kobiecie.

Cichy szmer rozszedł się po sali. Hrabia Morykoni patrzył na ordynata nie wierząc własnym uszom. Starsza księżna szeroko otwarte źrenice wpiła w dumną postać mówiącego. Pan Maciej zwiesił głowę; w twarzy miał podziw i wstyd, jakby po tylu latach teraz dopiero od- czuł go wyraźnie.

Po chwilowej ciszy Waldemar począł znowu, coraz więcej się zapalając:

– Ożenię się z panną Rudecką wbrew utartym zasadom mego rodu wedle waszych pojęć, czyli że małżeństwo moje nazwiecie mezaliansem. Nie wzrusza mię to: ja mam pojęcia inne. Żenię się powodowany uczuciem i szczęśliwy jestem, że mogę nie oglądać się na partię ani na posag. Nie będę wyliczał zalet panny Rudeckiej, gdyż kto ją zna, sam osądzić może. Nadmie- nią tylko, że jest starannie wykształcona i dobrze wychowana, przy tym dumna i ambitna o wiele więcej od pewnych panien z naszej sfery, które potrafią same oświadczać się mężczy- znom. Powierzchowne i wewnętrzne zalety panny Rudeckiej odpowiadają w zupełności sta- nowisku, jakie zajmie w naszej sferze.

– To za mało – przerwała hrabina Morykoniowa. – Na stanowisko ordynatowej Micho- rowskiej powierzchowne i zewnętrzne zalety to za słaby atut. Można mieć wygląd cesarski, a nie być nawet paziem.

– Tak – wycedził hrabia – pod purpurą płaszcza Michorowskich nie można kłaść byle ak- samitu, tylko gronostaje.

Ordynat rzucił się na fotelu.

– Ona ma jeszcze inne zalety. Ona potrafi nosić moje nazwisko i mój tytuł, będzie do- brym typem wielkiej pani. Stanie się również dobrą matką naszego rodu, nie zawiedzie nas w swej godności. Moje miliony nie zaślepią jej, gdyż jest delikatna i inteligentna. Dla was ona może być niepożądanym intruzem, dla mnie jest wybraną jedyną kobietą i wymagam, abyście ją przyjęli z należyтым uznaniem. Przystanie być dla was panną Rudecką, a będzie Waldema- rową Michorowską, ordynatową głębowicką i waszą krewną.

Pani Idalia parsknęła przykrym śmiechem.

– Rudecka naszą krewną? Nie, to więcej niż śmieszne, to jest obrażające!

– Dlaczego? – spytał Waldemar spokojnie.

– Jak to! ty się o to pytasz? Doprawdy, nie myślałam, że potrafisz się tak po... studencku zakochać.

– Powiedz lepiej, ciociu, po gminnemu, boś to miała na myśli. W naszych pojęciach tylko prostakom wolno mieć uczucia. Rozumiałbym wasze oburzenie, gdyby panna Rudecka była osobą nie z towarzystwa...

– Bo i nie jest nią – przerwała pani Idalia.

– Ach tak? Ciekawym, jakie jeszcze zarzuty spadną na moją narzeczoną, bo sypią się już jaskrawe, na jakie nawet odpowiedzi nie ma.

Hrabia Morykoni potarł dłoń o dłoń i wyseplenił:

– Jest odpowiedź: niepewny ród. W prawdziwie dobrych rodach nie ma tego nazwiska. To coś nowego. O Rudeckich nikt z nas nie słyszał.

Waldemar spojrzął na hrabiego przelotnie.

– Bo my, zamknięci w naszych kołach rodowych, nie znamy bardzo wielu kółek w społe- czeństwie, które jednak istnieją. Rodzina Rudeckich jest znaną i szanowaną w Królestwie. Najlepiej was objaśni i przekona Niesiecki. Ja mam już dosyć tej rozmowy bezcelowej. Spy- tam tylko, czym się różni panna Rudecka od naszych panien? Chyba wytwornością, no i uro- dą. Nie każda może się taką poszczycić.

– Uroda, uroda! – syknęła pani Idalia – przywilej tęgich wieśniaczek... w naszej sferze ma znaczenie poślednie.

Waldemar roześmiał się.

– Wolne żarty, kochana ciociu! ale nie mnie brać na nie. Panna Rudecka poza urodą ma wszystko, co obowiązuje nasze towarzystwo. Jest obyta, utalentowana, obce języki posiada wybornie, umie prowadzić lekką salonową rozmowę, jak i poważną. Potrafi dowcipnie żarto- wać, ładnie siadać do karety, nawet elegancko obchodzić się z trenem, czego dała dowód w kostiumie. Wymieniam wszystko, czego brak w niej mógłby was razić.

Książę Franciszek skrzywił się.

– Daje pan przykłady dziecinne. Dobre dla panny Rudeckiej, lecz nie dla ordynatowej Michorowskiej, która mogłaby być pierwszą damą w kraju.

– Bądźcie pewni, że nie zrobi zawodu i zakasuje niejedną dzisiejszą gwiazdę salonów. Pani Elzonowska dodała z ironią:

– Szczególnie z tymi rękoma i ruchami. C'est plus que ridicule!<sup>8</sup>

Wszyscy spojrzeli na baronową z pewnym zdziwieniem.

Twarz jej była sina z gniewu. Waldemar uważnie popatrzał na nią.

– Z rękoma? To coś nowego! A jakież ona ma ręce?...

– W każdym razie nie dla nas – odrzekła dumnie baronowa. Wtrąciła się młoda księżna:

– Nie unos się, Idalko, bo zaczynasz być niesprawiedliwą. Ręce panny Rudeckiej są ładne, białe, drobne, zupełnie arystokratyczne, ruchy wytworne i dystyngowane. Przeczyć nie można.

Waldemar z szatańskim uśmiechem rzekł wolno, jakby się drażniąc:

– Ach, co do rąk, bądźcie spokojni! Z natury są ładne, a gdy je wybrylantują, wówczas mogą się schować rozmaite łapki magnackie, nie zawsze odpowiadające pochodzeniu.

– Żartujesz sobie z nas, Waldemarze – przemówiła starsza księżna z urazą.

– Nie, odpowiedziałem tylko na uczyniony mej przyszłej żonie zarzut.

– Za wcześniej pan zaczyna tytułować pannę Rudecką – odezwał się z ironią hrabia Morykoni.

– Powtarzam, moją żoną zostanie panna Stefania Rudecka. Proszę, abyście mi państwo uwierzyli i przestali mię dręczyć, gdyż to do niczego nie doprowadzi.

Głos Waldemara zagrział trochę i umilkł. Głucha cisza zaległa salę.

Ordynat wstał, wyprostował się i minąwszy półkole rodzinne, wolno poszedł w głąb salonu, przeglądając obrazy.

Starsza księżna powiodła za nim przestraszonym wzrokiem i poprawiła się na fotelu, mnąc koronkową chusteczkę. Książę Franciszek chrząknął znacząco. Waldemar najwyraźniej dał im do zrozumienia, że posiedzenie uważa za skończone. Wszyscy to odczuli. Po długich porozumiewawczych spojrzeniach i lekkim wzruszeniu ramion przez panią Idalię i hrabinę Morykoniową rozległ się drżący, niepewny głos starszej księżnej:

– Czy to ostatnie twoje słowo, Waldemarze?

– Tak. Tego, co powiedziałem, nie zmienię.

Księżna była zgnębiona. Słowa wnuka przeraziły ją. Szukała jeszcze ratunku. Błagający, rozpaczliwy wzrok rzuciła na pana Macieja, jakby wzywając jego pomocy. Teraz dopiero zauważyli, że przez cały czas nie odzywał się. Wszyscy śladem oczu księżnej spojrzeli na niego. Odruchowo zwrócił nań wzrok i Waldemar.

Pan Maciej zrozumiał, że należało mu wystąpić.

Starzec zaciął usta, w oczach błysnął mu ogień jakiś złowrogi, pochylił się do księżnej i kładąc dłoń na jej ramieniu, rzekł silnym głosem:

– Proszę, niech się księżna uspokoi. Waldemar ma swe poglądy wyłącznie i zawsze jednokowe. Nasze zasady brzmią inaczej. Nie mamy nad nim opieki prawnej, lecz mamy obowiązek opieki moralnej i ten nakazuje nam bronić naszej sprawy do ostatka.

Umilkł, oddychając szybko.

Na twarzy księżnej błysnął cień nadziei. Książę i hrabina z uśmiechem zamienili spojrzenia.

A Waldemar cofnął się o krok, przegnięty w tył, wyprostowany, sztywny, z podniesioną głową i zmarszczonymi brwiami. Oczy, pełne zdumienia, ale pyszne w wyrazie utkwili w twa-

8 C'est plus que ridicule! (fr.) – To więcej niż śmieszne!

rzy starca, stał tak, jak uderzony obuchem, ale nie złamany, przeciwnie – gotowy do nowej walki. Może tak wyglądał Cezar przy pamiętnym wykrzyku: „I ty, Brutusie?!”...

Pan Maciej odetchnął i mówił dalej wolno, dobitnie:

– Ale można bronić, można perswadować temu, kto się waha, kto nie jest pewny siebie, podaje słabe motywy, nie jest przygotowany do racjonalnego i trzeźwego stawiania kwestii, kto wreszcie sam nie bardzo wie, do czego dąży, a brak mu stanowczości i energii, bo za słaby ma charakter. Tak przed laty było ze mną. Przeżywałem dziś po raz drugi tamtą chwilę i boleśniej niż wtedy. Ja wahałem się, ja nie miałem pewności siebie ani woli, ani energii. Nie wiedziałem, kto ma rację: ja czy ci, z którymi walczyłem. Boże mój! co to były za nierówne siły. Brakło mi słów na obronę własnego szczęścia, czy może kochałem mniej, czy też miałem za słaby charakter. Zagrożono mi również wydziedziczeniem z ordynacji, a ja, chociaż miałem te same warunki, co Waldemar, bo byłem jedynym z naszej linii i pełnoletnim, chociaż matka i stryj opiekun wydziedziczyć mię nie mogli, jednak zląkłem się i pod presją uległem. Nastęstwa tego kroku wiadome: zwarzyłem życie sobie i tamtej kobiecie...

Pan Maciej spuścił głowę i zamilkł na chwilę:

Obecni patrzyli na niego ze zdziwieniem i obawą. Ordynat przesunął się poza plecami siedzących i oparty o staroświecki kominek, nie spuszczał oczu z dziadka.

Pan Maciej mówił dalej:

– Teraz, gdy jestem już nad grobem, znowu staje przede mną ta sama sytuacja. Tylko zmieniły się role. Mój wnuk Waldemar imponuje mi. Jemu trudno zabronić tego, w czym widzi szczęście własne i swej ukochanej kobiety. Jest pełnoletni, jest rozumny, posiada szaloną wolę, której nikt i nic nie złamie, i wszelkie prawo za sobą. Nie jest to opór, lecz stanowczość dojrzałego człowieka, który wie, że ma przewagę w stawianiu motywów, nie ulęknie się ostateczności i jest zbrojny w szlachetność uczucia oraz wiarę w przyszłość. To nie szalony chwilowy, to mocne, niezłomne postanowienie. Tu nie ma zaślepienia, lecz jest trzeźwa i wielka racja, której cała nasza sfera nie zaćmi. Więc próżne są nasze dowodzenia przeciwne, bo on je zbije, próżny nasz opór – on go przełamie albo przejdzie po nim, nie licząc się z nami. Ja się oburzałem, nie chciałem słyszeć o czymś podobnym, ale – on mię przekonał. Trwożny szmer rozszedł się po sali. Księżna zrobiła ruchu, jakby chcąc powstać. Oczy jej świeciły gniewem.

Wszyscy odczuli jakby uderzenie gromu, a pan Maciej z rumieńcami na twarzy mówił dobitnie, zwrócony głównie do starszej księżnej:

– Powtarzam: on mię przekonał. Ta kobieta, którą on ukochał, przez to samo jest godną uznania, że przez niego została wybrana. Mówię o nim nie jak o swym wnuku, lecz jak o szlachetnym i rozumnym człowieku zasługującym na szacunek wszystkich. Tę, którą on wybrał i wprowadzi do naszej rodziny, powinniśmy przyjąć bez zastrzeżeń jak swoją. Ja, Michorowski, jego dziad, uznaję jego wolę. zgadzam się na jego małżeństwo... i błogosławie! Uczynić to samo. księżno, proszę cię o to. Nie zachmurzaj jego szczęścia, nie zabijaj tej dziewczyny: ona go kocha prawdziwie i bardzo głęboko – wiem o tym. Ona, powodowana prawością charakteru i ambicją, odmówiła mu ręki, uciekła, nie chcąc dla niego walki z rodziną...

Pan Maciej wyprostował dumnie starczą pierś. Czoło magnata rozjaśniło szczere uniesienie. Głos potężniał.

– Więc ona poświęca własne szczęście, życie niemal, a my nie możemy poświęcić naszych przekonań, opartych, być może, na przestarzałych przesądach? Mamy się okazać mniej szlachetnymi od tej wątłej dziewczyny szlacheckiej? My, magnaci?! Bądźmy wspaniałomyślni, księżno! pozwólmy sobie na okazanie serca tam, gdzie fanatyzm nasz stawia zapory. Przełamać go nam trzeba! Waldemar to twój wnuk, księżno, i mój. Na starość cieszymy się jego szczęściem. W nich może odżyją nasze młode marzenia, zniweczone przez życie. Księżno, daj mi zezwolenie i pobłogosław. Proszę cię o to przez pamięć na nasze dzieci, których on jest synem.

Starzec, porwany zapałem, powstał z fotela z ogniem w oczach. Wyciągnął rękę.

– Wnuku mój! cześć tobie i niech ci Bóg błogosławi!

Waldemar poruszony, z głuchym dźwiękiem w piersiach, objął chwiejącą się postać dziadka i gorąco, z uczuciem przylgnął do jego ramienia. Pan Maciej głowę wnuka ścisnął rękoma, drżące usta starca spoczęły na jego dumnym czole.

Wszyscy mimo woli powstali. Uroczystość chwili podniosła ich z miejsc. Parę głów zwróciło się machinalnie w stronę kotary, gdzie panna Rita zanosila się spazmatycznym płaczem.

– A ty, babciu?... a ty?...

– Nigdy! nigdy! – krzyknęła księżna i zwiśla na fotelu. Zemdląca.

Zrobiło się zamieszanie, zaczęto cucić.

Waldemar wziął staruszkę na ręce i niósł do jej sypialni. Cała procesja szła za nim.

W przejściowym korytarzu stała Rita, oparta o rzeźbiony filar, spłakana, drżąca. Na widok ordynata, niosącego bezwładną księżnę, cofnęła się z lękiem. Jej przerażony wzrok uderzył Waldemara.

– Babcia zemdląca – rzekł krótko.

Do salonu powrócili tylko pan Maciej i Waldemar. Księżę i hrabia gdzieś się ukryli, nie śmiejąc spojrzeć na ordynata. Pan Maciej uściskał wnuka.

– Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Ten krzyk księżnej był odruchowy, ale to minie.

Zwyciężyłeś, Waldemarze, i będziesz szczęśliwy! O, jaką tyś mi dał naukę! Ale kamień mi spadł z serca.

Staruszek rozplakał się, lecz serdeczność Waldemara wróciła mu prędko uśmiech na zoraną twarz.

Księżna nie chciała widzieć nikogo i Waldemar musiał powtórnie wyjechać z Obronnego bez zgody babki, bez jej błogosławieństwa.

## XIV

Cisza zapanowała w Obrońnem, głucha, przygniatająca cisza... Minęły święta Bożego Narodzenia, pierwszy raz tak ponuro zaznaczone w okolicy. Jasny, mroźny styczeń dobiegał połowy. Księżna Podhorecka nie wychodziła ze swych pokoi zdenerwowana w najwyższym stopniu. Nie chciała widywać panny Rity ani lubianej zwykle pani Dobrzyńskiej. Papugę swą kazała zabrać z buduaru, bo ta ciągłym krzykiem: *L'amour c'est la vie*<sup>9</sup> – nauczonym przez pannę Ritę, drażniła nerwy księżnej. Nikt nie mógł staruszce dogodzić, nie znosiła obecności ludzi. Miejscowy pleban odwiedzał ją czasem, ale gdy raz zapytany wręcz wziął stronę Waldemara, księżna nie chciała go więcej widywać. Pozostał lekarz, który z obowiązku bywał u niej codziennie. Księżna wybierała się za granicę, lecz wzbroniono jej tego z powodu stanu zdrowia. Waldemara od pamiętnego zjazdu nie widywała wcale, nie pozwoliła sobie o nim nawet wspominać. Mimo to posłańcy z Głębowicz nawiedzali Obrońne, dopytując się o zdrowie staruszki. Rozczulona tą troskliwością wnuka, księżna wysłała do niego list, zaklinając, aby zaniechał zamiaru żenienia się ze Stefcją. Na list Waldemar odpowiedział również listem i pozostał niewzruszony. Potrafił jednak w tak serdecznych, lecz stanowczych słowach wypowiadać swą wolę i prośbę, że księżna zmartwiła.

– On mię zmusi, zmusi! – mówiła z rozpaczą.

Pan Maciej był raz w Obrońnem. Chciał wpłynąć na księżnę, ale stało się przeciwnie, bo właśnie pani Podhorecka miała ten sam zamiar względem niego. Jej tłumaczenia przestraszyły pana Macieja. Starzec zawahał się. Uczuł skruchę przed własną sferą i przed księżną, że tak prędko zezwolił na to małżeństwo skandaliczne, wedle pojęć księżnej. Już zupełnie zdał się być przekonany, nieledwie obiecywał cofnąć słowo dane Waldemarowi. Księżna tryumfowała, pani Idalia dokładała paliwa całą duszą, aby podtrzymać wahanie ojca. Tylko panna Rita cofnęła się od spisku, zupełnie usunięta na bok.

Waldemar od niej wiedział o wszystkim i zaciskał zęby. Postanowił jechać do Ruczajewa i skłonić Stefcję do prędkiego ślubu. Przechodził straszną walkę wewnętrzną i tym bardziej cierpiał, że przeczuwał niepokój narzeczonej. Ona czekała na niego, może już z nieufnością w duszy. Ale i jego cierpliwość wyczerpała się. Napisał stanowczy list do pana Macieja i do księżnej, dając im termin tygodniowy do namysłu. Po czym zapowiedział, że zerwie wszelkie względem nich zobowiązania i zmusi Stefcję do zaślubienia go wbrew ich woli.

Pan Maciej przeraził się, ale księżna ułożyła natychmiast list do Stefci, zabraniając jej zaślubienia Waldemara. List swój księżna bardzo niezręcznie pokazała panu Maciejowi. Przejął go grozą. On wiedział, że to byłby ostateczny a straszny cios dla wnuka, bo Stefcja życiem by to przypłaciła, lecz po tym liście nie wyszłaby za ordynata za nic. Pani Podhorecka sama zepsuła całą sprawę, już chylącą się na jej korzyść.

Staruszka miała charakter śmiały, despotyczny – postanowiła iść przebojem do ostatka.

Ale przed oczyma pana Macieja stanęła znowu przeszłość i okrutny list jego stryja, którym łamał bezwzględnie szczęście Korwiczówny. Pan Maciej przestał się wahać. Śmiało

oznajmił dumnej pani, że zgadza się na zamiary wnuka, a chcąc swe słowa poprzeć czymś realniejszym, napisał list do Stefci i posłał go Waldemarowi nie zapieczętowany. Pierwej przeczytał go księżnie i pani Idalii. List był czuły i zupełnie ojcowski. Starzec prosił w nim Stefcię o uszczęśliwienie Waldemara i nazwał ją swą wnuczką.

Pani Elzonowska rozumiała, że wszystko stracone. Ale księżna nie ustąpiła. Zamknęła się w swym uporze, głucha na wszelkie przekładania, zimna, sztywna i nieubłagana. Pan Maciej, pełen goryczy i żalu do niej, przestał nalegać. Usunął się, dotknięty głęboko. Waldemar

## 9 L'amour c'est la vie (fr.) – Miłość to życie.

71

dla Obronnego nie istniał, ale księżna wiedziała, że bywa w Słodkowcach i że lada dzień wyjedzie do Ruczajewa.

Chwilami opanowywała księżną dzika zawziętość. „Niech jedzie, niech się żeni, nie chcę go znać – przeklnę!” Ale natychmiast po takim wybuchu łkanie rozdzierało jej piersi. Toż ten Waldemar to jej wnuk jedyny, jej chluba, ozdoba całej rodziny i świetna ozdoba. On był dla staruszki najdroższym. Kochając go, ceniła zarazem. Z własnych dzieci księżna nie miała pociechy, a Waldemar był synem najukochańszej zmarłej córki. Więc rozpacz gryzła księżnę i walka toczyła się w niej straszna. A godziny zdawały się policzone. Waldemar wyjedzie z listem Macieja, z jego błogosławieństwem i Stefcia musi się zgodzić, bo skoro Maciej jest po ich stronie, patriarcha Michorowskich, to już wszystko! On ma większe prawa do Waldemara i on już jest zupełnie przekonany. Pominą babkę, nie będą na nią uważali, bo ostatecznie ona jest osobą drugorzędną. Księżna czuła, że miłość wnuka, a może i szacunek jego wymyka się z jej rąk, że Waldemar groźbę swą zerwania z rodziną zastosuje do niej jedynie, ale surowo. Okropne obawy napełniały duszę pani Podhoreckiej. Gniew, upór, obrażona duma, ambicja własna – wszystko wrzało w niej, tworząc nieznośną szarpaninę uczuć. Nie miała już poparcia z żadnej strony, bo i pani Idalia siedziała cicho w Słodkowcach, obawiając się narazić ojcu. Księstwo Franciszkowie milczeli, jakby przekonani. Zresztą o zapatrywaniach synowej księżna wiedziała. Hrabiosstwo Morykoniowie, bojąc się wyraźnie występować przeciw ordynatowi, nie przyjeżdżali zupełnie do Obronnego. I panna Rita również zamknęła się w sobie. Milcząca, poważna, snuła się po zaśnieżonym parku bezcelowo. Nie bawiły jej nawet konie, poddała się całkowitej apatii. Upór księżnej oburzał ją. Chciała szczęścia dla Waldemara, poświęcając własne serce. Ale o Stefci nie mogła myśleć spokojnie. Jakiś żal wewnętrzny a ogromny nie pozwalał jej zastanawiać się nad tą dziewczyną. Jednak doznawała nieco złośliwej radości na myśl, co powiedzą Barscy i wiele innych domów arystokratycznych na wieść o małżeństwie ordynata. Ją, Szelizankę, uważano za coś niższego, za partię dla ordynata niestosowną; nawet księżna i pani Idalia zapatrywały się tak samo. Mają nauczkę. Teraz może księżna ją wolałaby widzieć żoną Waldemara, ale już za późno. Muszą się zgodzić na Rudecką.

Panna Rita znajdowała pociechę chociażby w tym, że nie Melania Barska zostanie ordynatową. I wmawiała w siebie, że jakkolwiek małżeństwo młodego Michorowskiego jest dla niej ciosem, który musi przeboleć, to jednak chyba nie przeżyłaby tego, gdyby się zenit z Melanią. Niechęć do hrabianki przeszła u niej w nienawiść. Rita przy całej swej inteligencji nie mogła darować Stefci czaru, jakim ona wzięła ordynata, a jemu stanowczości i energii, z jaką dążył do celu. Na równi pragnęła dla niego zwycięstwa i czuła żal.

Dusza się w niej rwała z bólu i uczuć gorących a zawiedzionych, ale nawet nie walczyła z sobą w chęci dopomagania im. O ile tylko mogła, wpływała na księżnę dodatnio i naraziła się staruszce.

Pewnego dnia, w wilię imienin księżnej, panna Szeliżanka siedziała w swym pokoju przy kominku. Płonął suty ogień. Otulona w miękki szkocki szal, pogrążyła się w myślach. Wtem zawiadomiono ją, że przyjechał hrabia Trestka. Zaledwo teraz powrócił ze swej długiej podróży. Bez wrażenia, bez podniesienia głowy poleciała go prosić.

Hrabia wszedł cicho jak do kaplicy, co było u niego dowodem nadzwyczajnego nastroju. W milczeniu, gorąco ucałował obie ręce panny Rity i również w milczeniu usiadł na foteliku, który sam sobie przysunął. Binokle parę razy spadły mu i zwisły na sznurku. Hrabia, zdawało się, był mocno wzruszony samym widokiem panny Rity. Po długiej chwili przemówił:  
– Niesłychane zmiany zastałem w okolicy. To dziwne. Na stacji kolejowej spotkałem Zyżemskich. Mówili mi, że w Szalach jest jak po katastrofie. Widzę, że i w Obronnem nie lepiej. Panna Rita patrzyła w ogień.

– Jak po katastrofie – powtórzyła machinalnie. Trestka kręcił się na foteliku.

72

– Cóż ordynat?

Rita podniosła na niego zdziwione oczy i wzruszyła ramionami.

– Pan się pyta?...

– No, ja wiem, wszystko wiem, ale czy już usankcjonowane?

– Tylko przez księżną nie.

– Sapristi! to źle. Dlaczego księżna się upiera? Z ordynatem walka trudna, prawie niemożliwa. Słyszałem o jego występie. Na radzie rodzinnej bronił się podobno pysznie. On ma wymowę!

– I pobił wszystkich – dodała panna Rita.

– Raczej zdruzgotał! Księżna musi ulec! Rozumiem jej stan obecny. Przejść Rubikon najtrudniej. Ale pani? co panią tak złamało?

Spojrzała na niego przez łzy.

– Mnie? co mnie?... Ach, Boże!...

Spuściła głowę i kilka łez spadło jej na szkocki szal, jakby nieme wyznanie. Trestka pochylił się, wziął jej rękę i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

– Wiem... ja wiem, co panią boli... jednak ten ból to może przełom, to przesilenie, po którym rozpocznie się nowa era dla mnie – tak oczekiwana. Pani droga, dałbym wiele, aby ordynat dziś ożenił się, bo może wówczas dostanę panią dla siebie. On był tamą, o którą zawsze rozbijałem się bez nadziei, bo nie mnie z nim rywalizować. Widzi pani, jestem szczery, życie dałbym, aby pani za mną tak płakać mogła, lecz ponieważ nie każdy posiada szczęście jednakowe, więc ja pragnę chociaż odrobiny dla siebie, trochę nadziei... Rita gniewnie wyrwała mu rękę.

– Panie, bez tego! Niech mię pan nie męczy. Mnie co innego w głowie.

– Zawsze ordynat?

Spojrzała mu śmiało w oczy.

– Tak, pragnę dla niego szczęścia.

– On je tam znajdzie w tej, którą kocha.

– Ale ja mu chcę dopomóc, czym mogę, choćby wpływami na ciocię, choćby kosztem własnego szczęścia.

Trestka zwiesił głowę.

Długi czas trwało milczenie. Panna Rita patrzyła w ogień. Trestka bawił się binoklami i świecąc nimi w blasku płomienia, nie spuszczał z oczu bladej twarzy i apatycznych ust panny Szeliżanki. Cicho zapytał:

– Czy z panną Stefanią już po słowie? Ordynat jej się oświadczył?

– Dawno! jeszcze w Słodkowcach. Ale mu odmówiła i wyjechała.

– Odmó... wi... ła?...

– Cóż się pan tak dziwi? Odmówiła powodowana taktem, ale kocha go. I ona biedna! Żal mi jej.



- Gdyby trafiła na kogo innego, może bym żałował, ale tak! Zostanie ordynatową, czyli prześcignie własne marzenia.
- Lecz ile przecierpi!...
- Miłość ordynata wynagrodzi wszystko. Wiem od Brochwicza, że on ją bardzo kocha. Przeczuwałem to dawno, lecz nie sądziłem, że się to tak prędko rozstrzygnie. Sapristi! tu idzie crescendo!.
- Alboż pan nie znał ordynata?
- Owszem, ale nie posądzałem go o zamiary matrymonialne. Myślałem, że to un amour passant<sup>10</sup> – trochę trwalsza, lecz nie ostateczna, a przede wszystkim bardzo intensywna.

10 un amour passant (fr.) – przemijająca miłość

73

- Wyrażenie dziwaczne w danym razie.
- Przeciwnie, dobrze zastosowane. Uczucia ordynata dla panny Stefanii stanowczo są intensywne. Mają wielką dozę serca, ducha, czyli platonicznych cech, są zmysłowe, gwałtowne i posiadają wszystkie zasoby namiętnego temperamentu Waldemara. Teraz okazują się nie tylko zwycięskimi i zaborczymi, lecz i matrymonialnymi. Wiedziałem, że Stefcia szampańska, ale żeby doprowadzić Michorowskiego aż do kaplicy, tego się i po niej nie spodziewałem, pomimo zapewnień Brochwicza.
- Gdzie go pan spotkał?
- W Berlinie. On mi pierwszy opowiedział o tej awanturze.
- Jakież są jego poglądy? To przyjaciel ordynata.
- On twierdzi, że Waldemar robi dobrze przekraczając łańcuch sferowy i że będzie szczęśliwy. Brochwicz ma swój wyłączny kult dla Rudeckiej.
- A pan?
- Ja lubię ją bardzo, uznaję jej zalety, jest ładna i zajmująca. W roli ordynatowej będzie jej do twarzy i potrafi z niej wybrnąć szczęśliwie. Ona ma duży takt. Dla jej pastelowej urody potrzeba tła, aby się uwydatniała lepiej. Głębowicze będą dla niej aż nadto wspinała ramą. Ale w liczbie nazwisk, w paranteli Michorowskich nie zabłyśnie jaskrawo, raczej przeciwnie – bardzo skromnie. Po Bourbonach, Esterhazyach, Podhoreckich – Rudecka... skandalicznie trochę zabrzmi.
- Panna Rita zwiesiła głowę. Pomyślała sobie, że i jej nazwisko – Szeliga – zgasłoby przy tych potentatach. Ironia zbudziła się w niej i skierowała na Trestkę. Rzekła z przekąsem:
- Jeżeli pan tak potrafi różniczkować brzmienie nazwisk, to się dziwię, że panu o mnie chodzi. Jestem przecie tylko Szelizanką, a pan aż Trestką, tytułarny, zrodzony z tytułu. Ja mam zaledwo dwóch hrabiów w rodzie, nie stanowią partii!
- Zaśmiała się krótko, sarkastycznie.
- Po co to pani mówi? – spytał z żalem Trestką. Oparła się na fotelu ociężałym ruchem.
- Ach! mniejsza o to!...
- Senne powieki spuściła na oczy i siedziała tak z obojętnym wyrazem twarzy, zmieniona, niepodobna do siebie.

Trestką wbił oczy w mozaikę kwiatów na dywanie i również milczał, tylko sapał trochę. Zmrok zimowy zapadał wolno, ścieląc się szarymi pasmami na błękitnym obiciu ścian, zasnuwał mgłą wiszące obrazy, zmacał lustra, rzucał posępne cienie w każdy kąt pokoju, zamakając go w coraz ciaśniejsze ramy niewyraźnych szarzyzn. Ogień na kominku przygasł. Już tylko słabe, błękitne jęczyczki płomieni ogarniały zwęglone głowienki. Trochę rozpalonych węgla żarzyło się czerwoną plamą. W popiele sypkim i białawym tyskały złote, migające iskry. Przygnębiająca cisza zawisła jak pająk nad tym ładnym zakątkiem pałacu i przedając smutek wdzierała się nim aż do serc dwojga ponuro zamyślonych ludzi.

Błada twarz Rity wtuliła się do połowy w miękkie zwoje szalu. Tylko jej włosy obfite, błyszczące połyskiwały w świetle gasnącego dnia. Na złotym grzebieniu pełzały słabe refleksy iskier.

Te dwie postacie w szarzyznach zmroku, wpatrzone w spopieliały ogień na kominku, mogłyby być uosobieniem ukrytej tragedii. Każde z nich miało w sercu żal i zwątpienie, a pajak smutku omotywał ich coraz silniej swą ciemną szatą, wysysał nadzieję z najgłębszych tkanek serca. Nagle oboje poruszyli się. Panna Rita podniosła głowę. Zwrócił ich uwagę szmer przy drzwiach. Spojrzeli w tę stronę i zerwali się, niby jedną podrzuceni siłą. W drzwiach stała księżna, wyniosła, blada, straszna. Chwiała się na nogach, jej oczy płonęły gorączką.

74

– Ciociu! – zawołała Rita, podbiegając do staruszki z przerażeniem.

– Kto tu jest więcej? – wyszeptwała księżna.

– Pan Edward, ciociu.

Trestką zgiął się w głębokim ukłonie.

– Wróciłem dziś z podróży i pospieszyłem złożyć paniom uszanowanie.

– To dobrze... Dziękuję – wyszeptwała księżna podając mu rękę. Trestką ucałował ją z powagą.

– Może ciocia spocznie tu na kanapce – troszczyła się panna Rita.

– Nie, nie, tylko chcę, abyś wysłała posłańca. Ryciu, proszę cię, zajmij się tym... natychmiast. Może by kamerdyner... albo stangret...

– Dobrze ciociu. A dokąd ma jechać?

– Do... Głębowicz – wyszeptwała pani Podhorecka.

Panna Rita zamieniła z Trestką szybkie jak błysk spojrzenie.

– Czy będzie list? – spytała jeszcze.

– Nie, tylko niech prosi Waldemara, żeby dziś jeszcze... przyjechał... koniecznie!... Panna Rita wybiegła z pokoju.

– Może księżna każe zapalić światło? – spytał Trestka.

– Nie, wracam do siebie... trochę mi słabo.

– Ja księżnę odprowadzę. Potrząsnęła głową przecząco.

– Dziękuję. Nie. Pójdę sama.

Wyszła z pokoju wolno, majestatycznie.

Trestką został sam, podszedł do kominka i stalowymi grabkami rozgrzebywał siwy popiół, rozgarniał iskry, mrużąc po cichu do siebie:

– Czy to będzie już finał, czy ostateczny krach? Po kilku minutach wróciła panna Rita.

– Gdzie ciocia?

– Poszła do siebie. Cóż, wysłała pani do Głębowicz?

– Pojechał mój stangret. On prędzej dojedzie.

– Co to może być?...

Panna Rita była wzburzona.

– Nie wiem, nie wiem! W każdym razie jakieś zakończenie. Księżna wygląda dziwnie. Pójdę do niej.

– Niech ją pani zostawi w spokoju. Pewno woli sama przebyć czas do jego przyjazdu, zwłaszcza jeśli rozmowa z ordynatem ma być ostateczną. A na to wygląda.

– Ach, Boże! żeby choć Waldemar jeszcze nie wyjechał!

– Dokąd zamierzał jechać?

– Słyszałam od Luci, że miał jechać do Ruczajewa.

– Dokąd?...

– Do rodziców Stefci, prosić o jej rękę.

– Awantura! – mruknął Trestką.

– Ach, Boże! żeby go zastali!

- Hm! a cóż pani Idalia mówi na to wszystko i Lucia?
- Lucia zdumiona, ale kocha Stefcie, więc się cieszy. A Idalka?... oburza się, lecz już nie oponuje, bo pan Maciej całkowicie nawrócony. Stefcia przypomina mu tamtą. Czy pan zna całą historię o babce Stefci, zmarłej Rembowskiej?...
- Wiem, która była narzeczoną pana Macieja. Mówił mi Brochwicz. Istotnie nadzwyczajny wypadek, dziwny traf! Ale terażniejszość wynagrodzi przeszłość.
- Kto to wie! – westchnęła panna Rita i znowu pogrążyła się w zadumie.

75

## XV

Wieczór włókł się długo, nieskończenie. Panna Rita biegła z pokoju księżnej do swego, gdzie siedział Trestka. Najłżejszy szum wiatru w parku, każdy skrzyp śniegu na dziedzińcu – wszystko wzbudzało czujność pałacu. Oczekiwano ordynata z natężeniem, ale godziny dłużyły się.

Stary zegar w sali jadalnej wybijał kwadransy, wygrywał kuranty. Służba snuła się po korytarzach, szepcząc z sobą tajemniczo. Panna Rita, rozgorączkowana, wyglądała przez okno na szumiący park, gdzie śnieg sypał gęsto wielkimi płatami, jakby całe Obronne razem z parkiem, pałacem i tą garścią ludzi potrudzonych, zniecierpliwionych oczekiwaniem, chciał otulić swą białą, miękką i zimną płachtą.

Do pokoju, w którym znajdowali się Rita i Trestka, znowu weszła księżna.

- Czy Waldemar nie przyjechał?
- Jeszcze nie, ciociu, ale pewno zaraz będzie, niech się ciocia położy.
- Nie mogę... Na dworze zawieja, prawda?...
- Tak, ciociu.

Księżna usiadła na kanapce, splotła białe dłonie na kolanach i z pochyloną głową znieruchomiła.

Oczy jej błędziły po dywanie, usta poruszały się lekko, szepcząc pacierze. Nie uważała zupełnie na obecnych.

Panna Rita kręciła się, nie wiedząc, co począć ze sobą. Trestka oglądał kwiaty, umieszczone w koszach, z takim zajęciem, jakby je pierwszy raz widział. Rzucił na księżnę niepewne spojrzenia. Wreszcie, schowany za kwiatami, napisał coś w notatniku i wsunął kartkę w rękę przechodzącej Rity. Przeczytała: „Szkic do rzeźby: Matka zbuntowanego Graccha”.

Rita rzuciła mu ostre spojrzenie, wzruszając ramionami.

Przeszło jeszcze kilkanaście minut. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła panna służąca, tuż za nią lokaj. Oboje nie zauważyli księżnej i razem zawołali:

- Nie ma pana w Głębowiczach! Stangret wrócił. Powiada, że wyjechał do kolei. Księżna zerwała się przerażona.
- Co!... Wyjechał!...

Panna Rita i Trestka struchleli na jej widok. Służący zaczęli się cofać, bladzi z przestachu.

- Kiedy wyjechał? – krzyknęła znowu księżna.
- Proszę pani... stangret powiada, że dziś przed wieczorem – odparł, jękając się, pokojowiec.
- Boże! Boże! – załkała księżna. Rita mrugnęła na Trestkę.
- Natychmiast po dwóch posłańców do stacji Rudowa i Trębe. Nie wiadomo, gdzie pojechał... ale prędzej...

Trestka wybiegł z pokoju, pociągając służących.

- Nieszczęście! nieszczęście! – jęczała księżna – pojechał już! do niej pojechał, odepchnął mnie! Boże! Boże! moja wina, moja wina...

Panna Rita razem z panią Dobrzyńską zaledwo zdołały uspokoić księżnę. Ale staruszka wpadła w jakąś martwość, siedząc jak nieżywa. Bez słowa pozwoliła rozebrać się z sukni, lecz do łóżka nie chciała się położyć. Dziwne iskry tliły się w jej czarnych oczach, usta zaciskał ból, aż kurczący mięśnie twarzy. Dała znak panie Ricie i Dobrzyńskiej, żeby wyszły, chciała pozostać samą.

– Kogo pan wysłał? – spytała Rita Trestki.

– Pojechał znowu pani stangret i stajenny do Rudowy. Ale co mu się stało, że tak pospieszył?

76

– Pospieszyl! czekał przecież dwa miesiące. Nie dziwię się wcale wzruszeniu cioci. To dla niej straszne! Odrzącała go stale, a teraz pojechał bez jej błogosławieństwa.

– I powróci po ślubie, bo u niego idzie prędko – dodał Trestka.

– Och! tego boję się najwięcej. Stefcia bez błogosławieństwa księżnej nie zgodzi się na ślub, a ordynat jest rozdrażniony.

– Przecież jej nie wykradnie, minęły owe czasy.

– Ale doprowadzony do ostateczności może zrobić coś takiego, co księżnę zabije. Jezus Maria! on jest niebezpieczny w gniewie!

– Tak, ale umie przy tym bajecznie zaciskać zęby. Nosi w sobie lwa i pęta na niego. Będzie się szarpał, lecz potrafi się skuć jednocześnie. To olbrzymia siła!

– Pan go jednak dobrze zna. Pocieszam się tym, że on księżnę bardzo kocha. Ale znowu miłość dla Stefcia może go w razie dłuższego oporu babki uczynić szaleńcem.

Panna Rita zaczęła się cicho modlić.

Lęk wpełznął do pałacu i nurtował w sercach nawet służby. Ordynat był w myśli wszystkich, jakiś straszny, przejmujący grozą.

Zegar wydzwonił godzinę drugą po północy, kiedy panna Szeliżanka dojrzała wśród zawiętych czarnych kontur sanek, sunące prędko do podjazdu. Leciutko zabrzączały janczary i sanki stanęły.

– Przyjechał! – krzyknęła Rita.

Jak strzała zbiegła ze schodów. Za nią podążał Trestka. W sieni Waldemar zdejmował z pomocą kamerdynera zaśnieżone bobry. Przywitani się w milczeniu.

– Co tu się stało? – spytał. – Wszyscyście wystraszeni, macie miny grobowe. Mówił mi posłaniec, że babcia zdrowa.

– Pragnęła pana widzieć koniecznie. Jest mocno zdenerwowana i osłabiona – odrzekła panna Rita.

– Ogromnie pan długo nie przyjeżdżał – dodał Trestka.

– Długo! pan chyba żartuje! Jadę z Rudowy. Posłaniec wyrwał mi już z wagonu. Spieszyłem, jak mogłem, ale w taką zamieć niepodobieństwo. Piekielny czas!

– Pójdę, zawiadomię ciocię o pańskim przyjeździe – odezwała się panna Rita.

– Idę z panią.

Księżna siedziała w swej sypialni w fotelu, niedaleko łóżka. Miała na sobie biały flanelowy szlafrok, ozdobiony ciężkimi koronkami. W tym stroju, z bladą twarzą i gorejącymi oczyma, w białej koronce na siwiejących włosach, była piękna w swej starości, jak z portretu. Wspaniałe, ciemne obicie sypialni, poważne złocenia inkrustacji sufitu, ciężkie adamszkowe kotary hebanowego łoża – wszystko to w księżycowym blasku amplii przybierało poważne tony, układające się w pyszne tło dla tej stylowej postaci. Obok księżnej stał rzeźbiony klęcznik, na którym leżała otwarta Biblia.

Panna Rita weszła, pochyliła się lekko i szepnęła:

– Ciociu!... przyjechał ordynat... Czy ma wejść? Ognie uderzyły na bladą twarz księżnej.

– Przyjechał?... już przyjechał?

Rozejrzała się w pokoju i z westchnieniem cofnęła się w głąb fotela.

– Gdzie jest Waldemar?

– Czeka obok, w saloniku.

Nagły płomień silnego postanowienia błysnął w oczach księżnej.

– Proś go, niech wejdzie – rzekła głośno.

Panna Rita w saloniku chwyciła Waldemara za rękę.

– Niech pan idzie, ale... proszę ją oszczędzać. Jest silnie zdenerwowana i słaba.

– Niech pani będzie spokojna.

Wszedł do sypialni i serdecznie ucałował obie ręce księżnej.

77

Patrzała mu w oczy z niemym pytaniem, sztywna, poważna. Czarne źrenice wpijała, zda się, w głąb duszy wnuka, jakby chcąc w niej odkryć wszystko, co tam utajone. Białą dłońią, na której świecił szmaragd niby zielona gwiazda, ścisnęła rękę Waldemara. On usiadł obok, uśmiechnął się z przymusem i spytał:

– Dlaczego, babciu, tak na mnie patrzysz?

– Chcę dojrzeć w tobie zmianę – wyszeptwała księżna.

– Zmianę we mnie?... Doprawdy?...

– Tak, chciałabym widzieć cię zmienionym – rzekła z przyciskiem. Waldemar zrozumiał.

– Nie, babciu, ja się tak łatwo nie zmieniam, jestem stanowczy – odpowiedział z siłą w głosie i dumnie podniósł głowę.

Księżna puściła jego rękę.

– Czy trwasz stale w swym postanowieniu?

Oczy jej błysnęły dziko. Waldemar wytrzymał ten wzrok spokojnie.

– Tak, babciu.

– Więc, nic... nic nie wpłynie na zmianę... twych uczuć?...

– Uczuć? Nic nie wpłynie na zmianę mych zamiarów, o zmianie uczuć mówić nie wolno.

– Więc nic... nic?...

– Nie, droga babciu. To postanowione nieodwołalnie. Zgódź się z tym jako rzeczą konieczną. Proszę cię o to, ja, twój wnuk jedyny, twój Waldy, i proszę najczulej. Kocham Stefcię więcej niż własne życie, ona mię również kocha. Ja jej nie zawiodę, bobym chyba sobie serce wydarł z piersi. Dziś jechałem do Ruczajewa. Potrafiłem czekać długo, ale już nie mogłem. Chwila – i byłoby za późno. Jesteś babciu, surowa, nieubłagana, lecz ja mam do ciebie przywiązanie synowskie. Ono mię wstrzymywało od ostatecznego kroku. Wiem, że Stefcia nie chciałaby mię bez twego słowa, ale potrafiłbym ją przekonać. To dziecko ma bardzo delikatne uczucia i wielką subtelność natury. Na listy moje odpowiadała nadzwyczaj wstrzemięźliwie. Ona miłość swą chciałaby ukryć w taką głąb serca, gdzie by się jej nikt nie domyślał.

– Korespondowałaś z nią?

– Pisałem parę listów – odpowiedziała mi raz tylko – i powtarzam, że w słowach jej brzmiało wyraźnie głębokie uczucie, lecz tamowane przez jakieś wędzidła, które kaleczą jej czystą miłość – taką prawdziwą, taką świętą!

– Waldemarze... ty ją... bardzo kochasz?

– Jest dla mnie jedyną kobietą. Gdyby nie była mi drogą nad wszystko, nie walczyłbym o nią tak uparcie – odrzekł Waldemar z powagą w głosie.

Przeszył babkę spojrzeniem swych szarych źrenic, w których przy prawdziwie męskiej sile widniała potęża uczucia.

Księżna spuściła oczy i długimi cienkimi palcami rozgarniała zdobiące szlafrok koronki.

Na twarzy wystąpiło kilka krwawych plam, usta zacisnęły się stanowczo. Cała postać wyrażała walkę ostateczną, zmaganie się dwóch przeciwnych sił: miłość dla wnuka i uporczywa dumy.

– Co zwycięży? – to pytanie wisiało w powietrzu, tchnęły nim bogate ściany sypialni, dyshała księżycowa ampla.

Waldemar patrzył na babkę pewnym wzrokiem. Znał staruszkę i w jej wahaniu widział już pomyślny wynik. Serce mu biło mocno, bo nie chciał dłużej walczyć z tą kobietą. Kochał ją i czcił jak matkę. W źrenicach jego błyszczał bunt, cierpliwość już była wyczerpana. Całą duszą, całą siłą energii wołał przez nie: „Dosyć, dosyć, bo zerwę ostatnie pęta!”.

Księżna, jakby uczuła dotknięcie tego wzroku, podniosła na wnuka szybkie spojrzenie, lecz w jego oczach musiała wyczytać wszystko, bo prędko spuściła powieki. Krew uderzyła jej do głowy, zalewając policzki i czoło. Wystąpiła na nim pionowa bruzda, jakaś stanowcza, jakby staruszka już teraz sama sobie coś rozkazywała. Oczy wnuka przeraziły ją.

78

Jeszcze milczała chwilę, pragnąc ochłonać: wreszcie szepnęła cicho:

– Nie widziałam jej dawno... Czy masz jej fotografię?...

Waldemarowi zapaliły się ognie w oczach. Radosny uśmiech mignął na jego pysznych ustach, z jego rysów znikła groza, zaśnił w nich rój promiennych światełek, rozżarzył sta-  
lowe źrenice, rozjaśnił pąsowe wargi pod ładnym wąsem. Cała twarz wyglądała tak, jakby padła na nią luna wschodu.

Księżna zauważyła tę zmianę.

– Jak on ją kocha! – pomyślała.

Waldemar odpiął od dewizki medalion, otworzył i szepnął w duchu do smutnie uśmiech-  
niętej twarzyczki Stefci:

– Teraz zwyciężysz, jedyna!

Wyjął elegancki portfel z kieszeni, wydobyl z niego wąską, długą fotografię Stefci w ba-  
lowej sukni na ciemnym tle i razem z medalionem wręczył księżnej.

Staruszka, zdziwiona, spojrzała na medalion.

– Ty ją tu nosisz?

– Jako swoją narzeczoną, babciu – odparł śmiało.

Księżna przyglądała się długo, podnosząc medalion i fotografię do oczu. Jakieś błyski ślizgały się po jej twarzy, wrażenia nieuchwytnie a głębokie. Ręce jej drżały, głowa zwiśla na piersi.

W pokoju panowała cisza prawie uroczysta, jakby w oczekiwaniu cudu. Nagle księżna odjęła od oczu sztyldkretową lornetkę na długiej rączce. położyła fotografię i medalion na klęczniku, opierając o Biblię, i jeszcze wpatrywała się w promienne, przepaściste oczy Stefci.

Po czym rzekła jakby do siebie:

– Bardzo ładna i... dziwnie urocza.

A po chwili znowu, ledwo dosłyszalnym głosem:

– Jak księżniczka...

Spuściła powieki, bruzda na czole pogłębiła się, w skroniach delikatnych jak welin pulsa biła prawie widocznie.

Znowu podniosła oczy na fotografię i nagłym ruchem podała Waldemarowi obie ręce.

– Podoba mi się... twoja Stefcia... Waldy – rzekła z uśmiechem.

On ścisnął dłonie staruszki, pochylił się do niej z wichrem szczęścia w oczach.

– Moja Stefcia!... moja!...

– Niech wam... Bóg błogosławi – rzekła księżna poważnie, kładąc dłoń na głowie wnuka.

Waldemar wiedział, co kosztowały księżnę te słowa. Gorące usta przycisnął do jej rąk.

– Dziękuję ci, droga babciu! Szczęście nasze będzie twoją nagrodą – mówił wzruszony. Księżna ucałowała kilkakrotnie jego głowę. Łzy spływały z jej oczu.

– Daj Boże, abyś był szczęśliwy, daj Boże! Nie chciałam być gorszą od Macieja, bałam się, że mnie pominięsz... jestem zazdrosną o twe uczucie... więc... niech się spełni.

– Będiesz miała moją miłość i miłość Stefci. Pokochasz ją sama.

Oboje spojrzeli na klęcznik, gdzie fotografie Stefci miały wyraz dziwnie natchniony, jak-  
by dusza dziewczyny sfrunęła na te nieme podobizny, czyniąc je żywymi.

Uroczysta chwila oczekiwania cudu zmieniała się w inną, równie uroczystą – jak po cudzie już spełnionym.

Bogate ściany sypialni otaczały fotografię dziewczyny przepychem. Księżycowa ampla dziergała na niej srebrne, ruchliwe błyski. Wszystko dyszało dokoła, wszystko tchnęło jakby mistycznym hejnałem:

– Cud się spełnił!... zwyciężyła Stefcia, zwyciężyła!...

I namiętne oczy Waldemara, wpatrzone w fotografię, i jego rozpalone usta mówiły również:

– Zwyciężyłaś, jedyna!...

79

## XVI

Długo rozmawiał Waldemar z babką, aż niecierpliwiła się panna Rita, a Trestka narzekał.

Wybiła godzina wpół do trzeciej i trzecia. Nareszcie wszedł Waldemar. Panna Rita nie ruszyła się. Coś ją przykuło do miejsca. Trestka podszedł do ordynata. Nie mówił nic, ale jego mina wyrażała samą ciekawość.

Waldemar był wesół, lecz spojrzawszy na kamienną twarz Rity, spoważniał, brwi zsunęły mu się na czoło.

Chwila nastąpiła trochę kłopotliwa, bo i Trestka milczał. Rozgrywały się tu losy.

Waldemar podszedł do panny Rity. Ona spytała z wysiłkiem:

– Cóż ciocia?... czy...

Zdławiło ją w krtani – nie mogła dokończyć. /

– Ciocia chce się położyć – podchwycił ordynat. – Jutro, a właściwie dziś zjeżdżamy się tu wszyscy na imieniny babci, potem jadę do Ruczajewa.

Panna Rita zbladła jak pod ostatecznym ciosem, jęknęła jej w piersi, lecz zagryzła silnie wargi i przemocą zapanowała nad wrażeniem. Podała Waldemarowi ręce, patrząc na niego z bolesnym wyrazem.

– Niech panu Bóg szczęści.

Waldemar ucałował jej rękę, nisko pochylając głowę. Trestka wieszował hałaśliwie. Nazwał ordynata bohaterem i obiecywał wspaniałą mowę na ucztę weselnej, na złość hrabiemu Morykoniemu, którego nie lubił.

– Szczególną miałbym werwę, gdyby byli Barscy. Ale to wątpliwe.

Po odjeździe ordynata i hrabiego panna Rita poszła do siebie. Chodziła jak nieprzytomna, aż nagle zerwał się w jej piersi płacz straszny, zamykający w sobie wszystko: całą miłość dla Waldemara, dawną i gorącą, żal nieuzasadniony do niego i do Stefci, głuchą rozpacz. Wtuliła głowę w poduszki i klęcząc przed łóżkiem, trzęsła się w spazmatycznych dreszczach. Nigdy nie miała nadziei, żeby ordynat zwrócił ku niej swe uczucia, nigdy się nawet nie łudziła, ale nie myślała i o tym, że on w końcu wybierze sobie kobietę, którą ukocha i nazwie żoną. Było to coś tak dalekiego, tak niewyraźnego w zarysach, że gdy nadeszło, stało się dla niej ciosem. Wiedziała o jego uczuciach dla Stefci od dawna i o przychylności pana Macieja, słyszała pełne zapału słowa Waldemara na zjeździe rodzinnym, a jednak wahała się oporu księżnej jeszcze zdawała się odgradzać ją od strasznej prawdy. Sama pragnęła dla niego szczęścia i gdyby już teraz tylko od niej zależało, bez wahania oddałaby mu Stefcię. Ale natura ludzka jest zawiła, często niezrozumiała. Panna Rita dopiero teraz jasno pojęła przepaść pomiędzy nią a ordynatem, odczuła obuchową siłę, która miażdżyła jej miłość.

Teraz ujrzała otchłań swych najdroższych uczuć. Płakała boleśnie.

Księżna, nie mogąc się jej doczekać, weszła sama do sypialni wychowanki, Rita ujrzała ciotkę tuż przy sobie. Zerwała się z kolan.

– Ciociu, po co przyszłaś?... po co? – jęknęła z wyrzutem. Staruszka objęła jej głowę i przytuliła do siebie.

– Cicho, dziecko, nie wymawiaj mi, żem przyszła. Ja przeczuwałam, ja wiem wszystko. Ryciu, i ty go kochasz, cierpiałymy razem, ja cię rozumiem. Aleś ty szlachetna... tyś przemawiała za nimi, choć serce w tobie jęczało, a jam cię szorstko odsunęła. Przebac mi, dziecko.

Usiadła na łóżku. Rita wtuliła głowę w ramię staruszki rozełkana, drżąca. Księżna mówiła dalej:

– Widzisz, już skończone, już i ja ich błogosławię, Ryciu, on kocha Stefcie, bardzo kocha, będą szczęśliwi, to mię pociesza. Jestem stara, żałowałam tych kilku chwil życia, jakie

80

mi zostały bez miłości jedyne wnuka. Ustąpiłam i teraz mam spokój, spadł mi ciężar z serca, jestem nawet szczęśliwa, bo... cóż mam robić!

Księżna głęboko westchnęła.

– Podoba mi się ta dziewczyna. Widocznie dużo warta, skoro potrafiła tak silnie przywiązać do siebie Waldemara. On zadziwia mię swą siłą woli, a ona...

Dokończyła szeptem:

– A ona czarem.

Staruszka głaskała ciemną, zbiedzoną głowę wychowanki, błędząc oczyma w przestrzeni. Panna Rita milczała cicha i jakby uspokojona. Księżna szepnęła znowu:

– Rozmawiałam z duchem mojej Elzuni i z Gabriełą. Zwłaszcza Gabrielę widziałam często w snach. Stawała obok Waldemara i kładła mu rękę na głowie, jakby błogosławiąc. I tę Stefcie widziałam. Klęczała przy Gabrieli, taka śliczna, błagająca, zupełnie podobna do tej w medalionie Waldemara.

Staruszka wstrząsnęła się.

– A czy wiesz? Ukazała mi się we śnie zmarła Rembowska. Och! tak okropnie patrzyła mi w oczy!

– Niech się ciocia nie przejmuję – rzekła serdecznie panna, Szeliżanka i przyłgnęła do ręki staruszki.

– Nic, dziecko, to już minęło. Teraz mi dobrze i tak spokojnie. Waldy kocha mię. O to już mi tylko chodzi. On zacy chłopak. Czemuż go Elzunia nie widzi?

Rita westchnęła. Księżna pocałowała ją w czoło.

– Cierpisz, dziecko, ja wierzę, Bóg da, że i ty szczęście znajdziesz. Tyś warta lepszego losu.

– Nie chcę, ciociu, nie chcę. Ja kochałam go całą duszą, ale nawet nie marzyłam o nim dla siebie. Cóż... ja dla niego? Byłabym zbyt śmiałą, chcąc marzyć. Ale smutno mi. Ot, dziewczyna jestem.

Zaśmiała się cicho, boleśnie.

– Gorycz przez ciebie przemawia – rzekła księżna. – Ale to minie: tyś zawsze taka dzielna.

Już zaczynało świtać, kiedy księżna, osłabiona bezsennością i wrażeniami nocy, poszła do łóżka.

Ale nie mogła zasnąć. Przesuwała w palcach paciorki sandałowego różańca, oczy miała wlepione w adamszkową kotarę, na której blade światło zimowy snuł swe fioletowe cienie. Usta staruszki szeptały pacierze, lecz myśl przebijała szereg lat, błędząc w czasach, kiedy i sama była młodą, sama kochała, a potem widziała uczucia swych dzieci.

I w drugim pokoleniu to samo.



## XVII

Waldemar powrócił do Głębowicz nad ranem. Już świtało. Ruch powstał w uśpionym przed chwilą zamku. Zwłaszcza w cieplarniach i w oranżerii panowała krzątanina przy blasku lamp elektrycznych. Sam ordynat wybierał kwiaty. Rój ogrodników z nożycami w rękach robiły istne spustoszenie. Ogrodnik układał kwiaty odpowiednio. A były tam pyszne okazy. Wszystko, co cieplarnie, prowadzone z wielkim nakładem, wytworzyć mogły o tej porze roku. Cenne róże, storczyki, mimozy robiły wrażenie przeniesionych z Riwiery. Nad mistrzowskim opakowaniem czuwał sam ordynat.

Około jedenastej rano wyjechał strzelec Jur w bogatych liberyjnych futrach, strojny i dumny, wioząc ten wonny ładunek dla Stefci razem z listem Waldemara. Wiózł także i list do państwa Rudeckich.

Przed obiadem ordynat wpadł do Słodkowic tak promienny, że wszyscy od razu odgadli powód. Pan Maciej ucieszył się szczerze, Lucia, pogodzona już z myślą o Stefci w roli ordynatowej, pragnęła, by się to stało jak najprędzej. Tylko pani Idalia spochmurniała, mocno dotknięta, może przed oczyma widząc tragiczną z gniewu i obrazy twarz hrabianki Melanii. A może przyszły blask i stanowisko Stefci drasnęło jej miłość, własną.

Ale życzyła Waldemarowi szczęścia, ze względu na ojca, chociaż trochę ironicznie.

Wieczór imieninowy zgromadził w Obronnem sporą liczbę osób. Był pan Maciej z córką i wnuczką, Waldemar, bohater chwili, byli księstwo Franciszkowie Podhoreccy z córkami i nauczycielką księżniczek. I hrabiostwo Morykoniowie, i Trestka, i Wiluś Szeliga, który na ten dzień przyjechał z Warszawy przed odjazdem do uniwersytetu.

Z okolicy byli Żyżemscy i Ćwileccy. Hrabina Ćwilecka, dowiedziawszy się o zakończeniu sprawy ordynata, przybrała postawę bardzo obrażonej, na księżnę rzucając złe spojrzenia, pełne politowania. W oczekiwaniu na wyniki nie wyjechała dotąd za granicę, pomimo zapakowanych kufrów. Toteż gniew jej nie miał granic, nikogo jednak nie przestraszył. Księżna powróciła już do zwykłej równowagi duchowej. Księżna Franciszkowa z córkami, Lucią i panną Ritą utrzymywały dobry nastrój ogólny. Panna Rita mówiła o sobie do młodej księżnej, że śmieje się przez łzy, aby ukryć łkanie, ale robiła to nadzwyczaj umiejętnie. Dopomagali im oboje Żyżemscy i rozweselony pan Ksawery. Humor Waldemara płynął szeroką błyszczącą falą, porywał i pana Macieja, i starszą księżnę. Trestka siał dowcipami, pierwszy raz patrząc na ordynata z uwielbieniem i wdzięcznością. Tylko pani Idalia, hrabina Morykoniowa i Ćwilecka zachowywały się powściągliwiej, trochę nadąsane. Książę Franciszek i hrabia Morykoni mieli miny niewyraźne, jakieś krytyczno-ironiczne, mówili mało, starannie unikając wszelkiej wzmianki o bieżącej sprawie zaręczyn ordynata. Wiluś Szeliga nie krępował się nikim i niczym, był jak struty. Trestka w jakimś dowcipie chciał zażartować z niego, ale dostał od or-

dynata taką naukę, delikatnie, lecz wyraźnie zaznaczoną, że aż na chwilę stracił swój bur- szowski humor.

Przy wieczerzy ogólne i wielkie wrażenie zrobił toast pana Macieja. Staruszek wstał i wznosząc kielich z szampanem rzekł dobitnie:

– Zdrowie narzeczonej mego wnuka, panny Stefanii Rudeckiej, którą od tej chwili włą- czam w grono naszej rodziny. Niech żyje młoda i szczęśliwa para!

Waldemar z wdzięcznością spojrzął na dziadka, wszyscy spełnili kielichy z mniejszym lub większym zapałem. Trestka z wielką werwą, hrabina Ćwilecka i pani Idalia z przymusem. Ale hrabia Morykoni ociągał się. Trzymał kielich w powietrzu z miną zakłopotaną i złą, jakby chciał zamanifestować swą niechęć i jeszcze się wahał.

Waldemar zauważył to, zatrzymał swój kielich koło ust i patrzył bystro na hrabiego.

Chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Twarz Waldemara lodowaciała, twarz hrabiego okryła się pąsem, ale zdrowia nie wypił. Wszyscy się zmieszali. Hrabina Morykoniowa, spoj-

82

rzawszy na Waldemara, pociągnęła lekko męża za ubranie. Nareszcie ordynat rzekł twardym głosem, z szczególnym uśmiechem:

– Panie hrabio, czekam!

Hrabia rzucił mu zjadliwe spojrzenie, ale toast spełnił. Ordynat wychylił swój kielich z filuternym błyskiem w oczach, jakby mówiąc:

– Tak zawsze będzie.

Uczta przeciągnęła się do późna i pod koniec ożywiła wszystkich. Nawet hrabia Moryko- ni zapomniał trochę o różnicach sterowych między ordynatem a Stefcią.

Obronnie od bardzo dawna po raz pierwszy zawrzało życiem, jakby święcąc tryumf ordy- nata w miejscu, gdzie najdłużej trwała jego walka, ale skąd zwycięstwo rozbrzmiało najgło- śniej.

## XVIII

Do salonu w Ruczajewie wpadł złoty, powłóczysty promień słońca, obiegił ściany kryte białą tapetą, pogładził orzechowe meble, zajaśniał na ciemnopąsowym pluszu i długą smugą rozłożył oświecając froterowaną posadzkę. Błyskał dokoła iskierkami swych gwiazdzistych oczu, jakby zmęczony czy znudzony.

Nagle złotolity promień ożywił się: ujrzał coś nowego – coś, co go wprowadziło w podziw. Były to kwiaty. Mnóstwo kwiatów – w doniczkach, w plecionych koszach, w wazonach z wodą. Stały na stole, na półkach, na konsolach od luster, nawet na podłodze tworzyły malowniczą kępkę. Promień, zachwycony niezwykłym widokiem w tym miejscu, oczarowany, wśliźnął się w kwiaty i rozpoczął badanie.

Zajrzał do korony róż i szeptał do nich, zapytując, skąd się tu wzięły, takie pyszne, w tym skromnym dworze wiejskim, jak się tu dostały przez śniegi i zawieje i dlaczego je tu przywieziono. Szeptał to samo dumnie wzniesionym głowom tulipanów i arystokratycznym storczykom, całując je z lekka. Ale całusy słońca są czarowne, omaszczają złotem. Kwiaty wyglądały jak w aureoli, ożywiły się, błysnęły główkami i tuląc się do słońca zaczęły opowiadać swe dzieje. Za nimi poszły białe i liliowe bzy, chyląc kiście poważnie, lecz wesoło. Już zaczęły szemrać do słońca fiołki skromne a wdzięczne, wysuwając swe aksamitne łebki z obszmaragdowych listków. I dumni ich bracia alpejscy o świetnych barwach i wytwornych kształtach... i śliczne hiacynty o kolorach tęczy zachrzęściły suchym, jedwabnym szelestem.

Raźniej strzeliły w górę secesyjne irysy, żółte, lila i ciemne nakrapiane. Zadygotały rozkosz- nie białe delikatne piórka różnobarwnych gwoździków, wionęły drobniusie listeczki ozdobnej pierzastej paprotki. Zabłyły białe narcyzy.

Wówczas przemówił monarchowie tej poddańczej rzeszy, pachnącej i rozgwarzonej, w pierwszym rzędzie pyszne królowe-róże, nęcące barwami bogactwem kształtów; więc: wspa- niała „Maréchal Niel” w złotożółtych aksamitach, wdzięczna „La France” w różowych je- dwabiach i wytwornisia „Tebried” w ślicznych tunikach barwy herbacianej. Była tam i „Pani Druzgi” w śnieżnobiałej atlasowej sukni, „Księżna Liberty” w karmazynach i strojna w aksa- mitne purpury królowa-piękność z haremu sułtana Maroko. Były też królowe w świetniej- szych i skromniejszych szatach, różnych barw ; odcieni, począwszy od białych jak śnieg atła- sów, skończywszy na czarnych aksamitach. Niektóre z nich błyszcząły w słońcu klejnotami rosy, pozostałej od niedawnego skropienia. Wszystkie szeptały do słońca.

Za monarchiniami ruszyli z galanterią dumni w swej chwale królewicze-storczyki z prze- świetnej dynastii „Orchis Purpurea”, strojni w koronacyjne płaszcze i z ostrogami. Zwykle mało popularni, rozgwarzyli się w słońcu, zachęteni przykładem dam, a może tylko obfitością złotych promieni. Storczyki są to wybrednisie i potentaci, wrażliwi na złoto i ciepło. Za sobą wiedli monarchowie cały orszak dworu. Szedł najpierw szereg paziów – różno- kolorowych tulipanów, papuziastych, niezmiernie butnych. Z godnością postępował dostojny dygnitariat kaktusów, mirtów w gładkich zielonych uniformach i pachnących taków. Z dru- giej strony garnęły się do słońca smukłe królowny i księżniczki krwi – białe lilie w powłoczy- stych szatach, pachnące, dziewicze, całe pokryte kwiatami, od przezystej bieli do ciemnej purpury, i wyniosłe białe kalie, dumnie wznoszące w górę swe lejkowate diademy.

Z boku uśmiechała się do słońca skromna niby wychowanka klasztoru, czulostkowa, niewinna mimoza, ukwiecona mnóstwem kwiatów. I ona zaczęła szczebiotać do złotych pro- mieni, zanurzona w nie, skąpana. Chociaż była córą znanego z uczciwości „Sensitivów”, spo- krewnionego blisko z bogobojną rodziną „Mimoza-Pudica”, jednak i ona nie pozostała obo- jętną na pieczyoty słońca, nie kurczyła się pod jego dotknięciem – przeciwnie, rozkwitała. Czarowne słońce!

Ale oto jeszcze jedna flirciarka, bardzo światowa i wykwinna tuberoza. Olśniona bla-

84

skami, ogrzana ciepłem, strzepnęła z kokieteryą swą śliczną sukienkę i zagadała do słońca śmiało, filuternie, z temperamentem, siejąc dokoła delikatny zapach wytwornych perfum. Rozszeptały się kwiaty.

I jęły opowiadać na wyścigi, jak się porodziły w pysznym rajcu cieplarni głębowickich, jak je tam pielęgnowano i pieściono. A potem przyszła nagle straszna chwila. Zabłyśnęły lampy elektryczne, rozjaśniające każdy zakątek cieplarni. Kwiaty, zbudzone ze snu, myślały, że to jakaś uroczystość w zamku i one występować muszą... Więc ucieszone, strząsając z list- ków resztę snu, strojne, pachnące, oczekiwały hołdów i zachwyków.

Ależ jakież rozczarowanie!

Wprawdzie wszedł do cieplarni ich pan i władca, młody ordynat, lecz za nim podążał główny ich pedagog, ogrodnik, i cała hałastra ogrodniczek ze złowrogimi minami. Kwiaty spojrzały uważniej i dreszcz nimi wstrząsnął. Wszyscy prócz ordynata uzbrojeni byli w wiel- kie błyszczące nożyce.

Przerażone kwiaty chciały błagać litości, lecz oniemiały ze zgrozy. Sam ordynat wybierał najpiękniejsze z jakimś radosnym i szczęśliwym uśmiechem w oczach. Nad różami „Maré- chal Niel”, które najlepiej lubił, pochylił się i szepnął miękko:

– Idźcie służyć Stefci.

Królowe róże opowiadały to słońcu, pyszne ze swej urody i powodzenia.

Kwiaty szemrały dalej: jak po ścięciu układano je w kosze gustownie plecione i w bu- kiety, jak je staranie otulano watą, mchami i w kolorowe rogózki, by nie zmarzły i aby im było wygodnie.

Tuberozy i azalie zaczęły się chwalić, że przyjechały tu razem z mieszkaniem, w wazonach, bez ścinania.

Fiołki zwykłe i alpejskie, hiacynty, kaktusy, taki przekomarzały się z damami, dowodząc, że i one w ten sam sposób tu przywędrowały. I już rozpoczął się spór, ale królewicze-storczyki powagą swą zakończyli kłótnię.

Kwiaty gwarzyły, opiewając swój przyjazd do tego dworu, gdzie witała je radośnie śliczna dziewczyna, gdzie je podziwiano tak, że nawet zapomnieli chwilowo o rozkosznym, porzuconym raju w Głębowiczach i pogrążyły się całkowicie w pysze. Kwiaty mówiły w słońcu, jak ta śliczna, młoda dziewczyna całowała je z rumieńcem szczęścia na twarzy, ze łzami w ciemnych, fiołkowych oczach, prawie z modlitwą na ustach. Jak szeptała do żółtych róż: „Od niego jesteście, od niego!” – a one oddawały jej zapach, jakby niemą odpowiedź.

O! kwiaty zrozumiały doskonale, co się święci. Odczuły, że są zwiastunami szczęścia, które przywiezie niebawem tu sam ordynat. One wiedziały, jak witać tę cudną dziewczynę – że trzeba jej oddać zapach najpiękniejszy w hołdzie, bo to przyszła pani pięknego raju w Głębowiczach, przyszła protektorka i opiekunka.

Słońce, słuchając, jaśniało radośnie. Złote jego drgania i ciepłe oddechy w połączeniu z wonią kwiatów i wspaniałymi ich kształtami utworzyły w białym salonie ruczajewskim atmosferę upajającą.

Wrażenia takiego doznała Stefcia.

Weszła i zatrzymała się odurzona. Jej promienna twarz, gorejące oczy i biała suknia były dopełnieniem malowniczego obrazu, na który złożyły się kwiaty. Wyglądała wśród nich jak zaćmiewająca je urodą władczyni. Miała w sobie czar królewien lili, wdzięk mimozy przeczyszczonej, wykwinną zalotność tuberozy i wyniosłość dumnej białej kalii. Miała nawet świetność królowej róży – w pierwszym rozkwicie.

Słońce zaczęło ją pieścić i całować, kładąc na zagięcia jej włosów przepyszne złoto, w oczy sypiąc iskry. Wśród kwiatów, w blaskach wyrastała jak wieszczka poezji i szczęścia.

Jej uroda załśniła w całej krasie. Nie tamowane uczucia, szczęście zagrało w jej źrenicach, zakwitło na świeżych ustach, dodając uroku ślicznej twarzy. Budząca się w piękny poranek majowy zorza nie mogła być od niej promienistszą. I modlitwa szła z niej do nieba

85

dziękczynna, radosna, i śpiew słodki a potężny brzmiał z jej piersi, i serce biło gorącym tempem, wołając z rozkoszą:

– Kocham! kocham!...

Gdyby wróżka jakaś czy anioł przypiął jej skrzydła, uleciałyby na wyżyny aż do stóp Boga, by złożyć Mu w dani duszę, przepelnioną szczęściem najwyższym, miłością odwzajemnioną i już znaną.

Ile ona przeżyła wątpliwości w ostatnich czasach, ile szalonej rozterki i obaw!

Surowo analizowała swe uczucia dla Waldemara. Będąc niesłychanie delikatną z natury, chciała zbadać gruntownie, jak ona kocha ordynata. Czy jej miłość nie polega głównie na oszołomieniu jego świetnością?... Czy te wspaniałe ramy, które go otaczają nie są najwyższym jego czarem?... Czyjej własna miłość kobieca, że zdobyła uczucia takiego potentata, nie gra tu jakiej roli?... Czy Waldemar w innych warunkach i otoczeniu zająłby równie silnie jej umysł i serce?...

Stefcia brnęła coraz dalej w nieznośne zagadnienia, chcąc ze swej uczciwej duszy wydobyć prawdę. Szlachetność i wysoka prawość jej charakteru nakazywała jej to nie dla osobistych względów, ale tyjących się Waldemara i jego przyszłego szczęścia. W jego miłość wierzyła i ufała mu, będąc przekonaną, że kocha ją uczuciem głębokim. Własne szczęście z nim przeczuwała jasno, bojąc się jedynie o to czy ona mu da podobne. Była to dla niej zagadka tak ważna jak życie; ta myśl przewodniczyła w jej modlitwach, stała się głównym dążeniem jej miłości. Nawet tęskniąc, Stefcia badała siebie, czy tęskni za Waldemarem jedynie, czy za

Głębowiczami i ich sferą. Wyniki tych badań uspokoiły ją, w swych myślach zawsze widziała Waldemara. Poza tym wszystkie szczegóły poprzedzające chwilę obecną Stefcia tłumaczyła sobie bardzo prosto. Poznała Waldemara jako magnata świetnego nazwiska, w blasku milionów, co jednak nie przeszkodziło, że prawie od pierwszej chwili zaczęła go lubić. Więc nie świetna oprawa porwała ją, ale osobista wartość jego, którą poznawszy bliżej, oceniła należycie, ale jego czar i siła jego bogatej natury. Nie olśnił jej przepych zewnętrzny, ale jego szlachetność i prawdziwa męskość charakteru. Nie zachwyciły jej salony, stosunki i pałace, jakie posiadał, lecz była pod wpływem sposobu jego myślenia i wybitnej inteligencji. Jego wykształcenie, jego działalność i zdolności umysłowe, a nawet gwałtowność i dziki, porywczy temperament uniosły ją wicherem w zawrotny szal gorących uczuć, ale trwałych, bo opartych na bezwzględnej ufności i szacunku.

Stefcia przypominała sobie jedną rozmowę z Waldemarem. Mówił, że powstające uczucie jest podobne do gmachu nowo wznoszonych murów. i dobrze jest, gdy cegłą jest sama miłość, oparta na cemencie szacunku. Tylko na cemencie – glina wyłączona.

Żelazne wiązania – to stałość.

Kielnia – to zaufanie, łączące miłość z szacunkiem.

Krokwie i sklepienie – to warunki i okoliczności. Mogą być one bardzo wyniosłe lub też dość niskie.

Tynkiem jest wiara. Powinna posiadać wielką siłę, chcąc uchronić mur od ruiny.

Wapno – to opinia świata. Szczęśliwie, jeśli pokrywa mur już zlasowane – nieszczęśliwie, jeśli przed zlasowaniem, czyli przed ustaloną reputacją, bo wówczas byle zły powiew łamie wapno i kruszy.

Fundamentem Waldemar nazwał dość cynicznie – pociąg zmysłowy.

I dowodził, że powstałe na nim gmachy uczuć bywają najwspanialsze, jeśli zaś istnieje bez przerwy, wówczas są najtrwalsze. Ale przyznawał, że fundamentem może być również jedność duchowa, wspólność myśli i zapatrywań.

Stefcia, przypominając sobie jego zdania, wplatała je teraz we własne uczucia.

A może istotnie bez pociągu zmysłowego nie ma szału w miłości i sama miłość za blado by wyszła, jak obraz cenny artyzmem, bogaty w technikę i koloryt, lecz pozbawiony odpowiedniego światła.

86

Stefcię z początku raził cynizm Waldemara, ale przekonała się, że wypływa jako wynik konieczny z życia i doświadczeń ordynata i że na równi z pokrewną sobie ironią i pesymizmem nie wykracza jednak poza jego etykę i wrodzoną delikatność. On nie lubował się swym cynizmem, ale posiadał go, występował z nim szczerze. Ciskał go nawet z niesłychaną odwagą, lecz w razach koniecznych, nie z zamiłowania. To stanowiło część potężnego uroku i wpływu na kobiety. To czyniło go odrębnym, daleko odsuwając od pospolitego typu zjadacza serc i salonowego lwa. Nie był blagierem ani z natury, ani dla efektu, mówił prawdę każdemu w oczy bez względu na to, czy się ona komu podoba. Potrafił “rąbnąć” słowem, nawet młodej kobiecie, o której względy mu chodziło, ale zawsze zachowywał pewną wytworność. Nie umiał być ordynarnym ani pochlebcą i nie znosił tego w stosunku innych do siebie. Potrafił brać ludzi w kleszcze swego wpływu. To samo zaszło ze Stefcia. Nie pomogła walka. Nie zdołała mu się oprzeć. To samo było z jego rodziną.

Stefcia od wyjazdu ze Słodkowic nie przestawała lękać się o niego. Nazwał ją narzeczoną przy obcej kobiecie, więc nazwie ją tak samo wobec swej rodziny. A co wówczas?...

Odczytywała pamiętnik zmarłej babki i lęk ogarniał ją coraz silniejszy. Nieleddie ocze-kiwała listu kończącego wszystko, jak tamten, co zamknął szczęście w pamiętniku. Ale takie zwątpienia trwały krótko. Wierzyła w Waldemara. Jedyne pytała własnego sumienia, czy ma prawo narażać go na podobną walkę, czy powinna wchodzić do jego rodziny, arystokratycznej, która jej nie zechce?...

Ale czuła, że już za późno... że wszelkie jej możliwe poświęcenia na nic by się zdały wobec jego miłości, bo teraz on wziął ich szczęście w swe dłonie.

– I zwyciężył!

Z listem Waldemara podeszła do kwiatów i zanurzona w nie zaczęła po raz setny przetrzącać arkusze eleganckiego papieru, zapisanego męskim charakterem. Upajała się słowami mówiącymi do niej tak serdecznie, jakby same usta Waldemara. Nie mogła oderwać oczu od energicznych liter stawianych jego ręką, od ich treści wyrażającej jego myśl, jego uczucia, jego szlachetność i niezłomną wolę.

A kwiaty pochylały ku sobie główki i rzucając na Stefcie tysiące wonnych spojrzeń, wyciągając ku niej setki różnobarwnych ramion, składały jej w hołdzie upajającą woń z szemranieniem cichutkim:

– Nasza pani! nasza śliczna pani! Stefcia spojrzała na zegarek.

– Powinien już być – szepnęła.

Rozejrzała się po kwiatkach. Wyjętą z wazonu świeżą, zaledwie rozkwitłą różę „Maréchal Niel” przypięła sobie do włosów. Spojrzała przy tym w lustro i może pierwszy raz w życiu uderzyła ją własna uroda. Chwilkę patrzyła na swą postać. Usta jej musnął uśmiech radosny.

– Ładna jestem! Dla niego chcę być ładną!

Zwrócił jej uwagę ruch w przedpokoju. Podbiegła do okna. Na twarzy jej zabłyśły gorące cienie. Przed gankiem stała gniada czwórka ruczajewska. Z sanek służący i strzelec Jur wyjmowali futro na nogi.

Stefcia podniosła obie ręce do rozpalonego czoła.

– On tu!... Waldy w Ruczajewie! – wołało jej w duszy.

W sieni słyszała głos ojca, ale kiedy zaraz potem rozległ się dźwięczny baryton Waldemara, zapłonęła falą szczęścia. Radość bezmierna buchnęła w niej płomieniem. Biegła do drzwi, kiedy wszedł w nie ordynat z błyskiem w oczach, zapalonym na jej widok.

Pan Rudecki dyskretnie cofnął się.

– Moja! moja! – wykrzyknął ordynat, chwytając narzeczoną w ramiona. Stefcia oparła głowę na jego piersiach, bezprzytomna z nadmiaru uczuć. Waldemara ogarniał szal.

87

– Przyjechałem po ciebie, ukochana... Tyś już moja na zawsze. Stefcia wskazała mu kwiaty.

– One mię uprzedziły o szczęściu.

– Czy ładne?

– Śliczne i... z Głębowicz.

Waldemar oddał Stefcie dwa listy: od dziadka i od księżnej Podhoreckiej.

Księżna pisała w bardzo miłym tonie, ze swobodą nie zdradzającą poprzedniego oporu. Stefcie nazwała wnuczką, pokładając w niej nadzieję uszczęśliwienia Waldemara. List zawierał kilka pochlebnych słów dla państwa Rudeckich i wyraźnie zaznaczoną chęć poznania bliżej Stefcie, co wyglądało na zaproszenie jej do Obrońskiego.

Państwo Rudeccy rozbroili się.

Nie mieli już obaw co do przyszłości Stefcie. Na ordynata spoglądali z uwielbieniem i dumą.

Stefcie wruszył list pani Podhoreckiej. Doskonale odgadywała walkę poprzedzającą jej zgodę i sympatię. Wiedziała, że narzeczonemu zawdzięcza wszystko, że opór stawiano, ale on go zwalczył i dopiął celu.

Obok miłości wzbudziły się w jej duszy: cześć i podziw dla Waldemara.

Przeczytawszy list, podała mu obie ręce serdecznym rzutem, z dziękczynnym wyrazem w oczach.

Waldemar ucałował jej dłonie. Zrozumieli oboje.

Byli szczęśliwi.

Przed oczyma ich stanęła przyszłość.

Tamci nie doszli do tych wyżyn, co oni. Ich szczęście musiało być o połowę mniejsze, a wobec późniejszego życia stało się chwilą obramowaną w czarny kir.

W parę godzin potem Waldemar i Stefcia w białym salonie, wśród kwiatów, zamienili z sobą pierścionki. Gdy na Stefcia błysnął olbrzymi brylant, klejnot rodowy Michorowskich, a ona włożyła narzeczonemu na mały palec swój pierścionek z perłą uriańską, spragnione usta Waldemara spoczęły na ustach dziewczyny i trwali tak długo upojeni aż do ekstazy.

Tylko Stefcia wstrząsnął dreszcz jakiś rozkoszny, ale dziwnie trwożny.

Może spłynęły wówczas do salonu nad młodą parą duchy zmarłej Stefanii Rembowskiej i Gabrieli de Bourbon, jak nieme a ponure memento najszcześniejszych jaśni życia.

## XIX

Wieść o zaręczynach ordynata Michorowskiego z panną Rudecką rozeszła się echem wśród arystokracji, wywołując gniew i wiele protestów, wśród szerokich klas inteligencji – zdziwienie. Niektórzy nie wierzyli w prawdziwość faktu, poczytywali to za fałsz. Salony, kluby, buduary trzęsły się rozgwarem rozmów tylko o tym prowadzonych, ale szept były jeszcze gorsze, bo złośliwe.

– Mezalians! mezalians! – brzmiało wszędzie.

Wszystkie hrabianki i księżniczki, wszystkie panny liczące na ordynata czerwieniły się, obrażone, w pięknych ząbkach mełły nieżyczliwe słowa, w wytwornych główkach knuły złe myśli.

Sensacyjną wiadomość zaręczyn ogłosiły dzienniki w formie bardzo życzliwej. Pewne osoby z arystokracji wiadomość tę chciały podać w jaskrawszych barwach, ale redakcje odmówiły ze względu na ordynata.



Wśród arystokracji huczało jak w ulu.

Stefcia była na wszystkich ustach. Jej fotografie w grupach głębowickich i pojedyncze, rozdawane przez pannę Ritę, przechodziły z rąk do rąk. Jedna, poszarpana w kawałeczki, spłonęła w kominku w pałacu Barskich, ciśnięta w ogień przez drapieżne ręczki hrabianki Melanii.

Margrabina Silva pisała do ordynata patetyczne listy, które razem z paczką innych w podobnym rodzaju zostały zamknięte w szufladce biurka, zwanej archiwum starożytności.

Wesoły Brochwicz po powrocie z Berlina wirował wśród salonów, roznosząc sławę Stefci. Zachwycał się głośno i szczerze przyszlą ordynatową. Z tego powodu naraził się w wielu domach, ale dowcipny chłopak nie tracił zapału.

Powszechną zgrozę i nowe wstrząśnienie wywołała wiadomość, że w parę tygodni po zaręczynach do Ruczajewa przybyła z ordynatem księżna Franciszkowa Podhorecka i panna Rita. Za nimi podążył niedostępny Trestka i Brochwicz, który jako przyjaciel osobisty i kolega ordynata chciał Stefci złożyć życzenia.

Ruczajew zaroił się gośćmi. Stefcia promieniała szczęściem, które podnosiło jeszcze jej urodę. Ale te odwiedziny były powodem nowej burzy w Słodkowcach. Pani Idalia traciła zmysły z gniewu, lecz z Lucią nie mogła sobie dać rady. Dziewczynka gwałtem chciała jechać do Ruczajewa, błagała o to matkę, a widząc jej stanowczy upór, postanowiła udać się tam z panną Ritą. Lecz baronowa i na to się nie zgodziła; wszelkie prośby pana Macieja odparła ostro i zabrawszy córkę, wyjechała z nią za granicę. Lucia w sekrecie przed matką napisała do Stefci bardzo rozpaczliwy list. Dziewczynka była rozkapryszona i stosunek jej do matki stał się okropnym. Idalia wyjechała na Riwierę, pozostawiając ojca na opiece pana Ksawerego.

Ale pan Maciej najczęściej teraz przebywał w Obronnem, gdzie oboje z księżną oczekiwali przyjazdu Stefci. Księżna wyraźnie oświadczyła Waldemarowi, że chce ją mieć u siebie przez jakiś czas, aby lepiej poznać. Ordynat zgodził się chętnie, obiecał przywieźć narzeczoną, ale z warunkiem, że przyjedzie z ojcem lub matką. Księżna musiała ustąpić. Waldemar odgadł myśl babki: oto staruszka, godząc się z koniecznością, postanowiła obznajmić Stefcię ze wszystkimi warunkami jej przyszłego stanowiska. Pragnęła ją przygotować do roli ordynatowej, nadać jej takt właściwy i jakby dokończyć edukacji. Pani Podhorecka знаła Stefcię, jednakże była pewną, że znajdzie wiele błędów do sprostowania. Waldemar, osobiście zadowolony z takiego projektu, uśmiechając się żartował, że babka wprowadza średniowieczne zwyczaje, kiedy zaręczone księżniczki przywożono przed ślubem na dwór narzeczonego dla obznajmienia ich z etykietą. Księżna odpowiedziała sucho:

– Ja pragnę jej dać poznać wymagania naszej sfery, aby wśród nas nie raziała.

89

Waldemar zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko:

– Już ona nie skompromituje nas.

Powrót Franciszkowej Podhoreckiej z Ruczajewa i sprawozdanie z odniesionych tam przez nią wrażень ostatecznie przełamały niechęć staruszki. Listy Stefci do babki ordynata i pana Macieja miały także swój dobry wpływ. Teraz oczekiwano jej przyjazdu.

Młoda księżna mówiła:

– Niech mi mama wierzy, ja sama bałam się trochę tego Ruczajewa, ale jechać komuś trzeba było i najstosowniej mnie, ponieważ Idalka odmówiła. Zostałam mile rozbrojoną. Dom zupełnie przyzwoity, nosi typ zamożnego domu obywatelskiego, w stylu starszłacheckim, bez sztucznej bufonady i pretensji, ale pełen szczeroci i dobrego smaku. Rudeccy – ludzie światowi i nadzwyczaj dobrze wychowani, nawet wytworni. Przy tym on wykształcony; znamy go dawniej. Matka robi wrażenie polskiej matrony. Dość młoda jeszcze i dystygowana kobieta. Jest tam dwoje młodszych. Chłopak trochę urwis, ale zuch, przygotowuje się w domu do wyższych klas. Zaprzyjaźnił się z Brochwiczem jako z imiennikiem, a na Waldemara spogląda z podziwem. Dziewczynka, Zosia, jeszcze mała, milutkie stworzenie, ale nie tak ładne jak

Stefcia. Ta jest po prostu urocza. Miłość Waldemara ubrała ją w jakąś tęczę, promienieje szczęściem.

– Spodziewam się – rzekła księżna z lekką ironią.

Zbudziła się w niej zawiść, że jej wnuk, Waldemar Michorowski, uszczęśliwi tylko taką sobie zwyczajną Stefcię.

Młoda księżna odczuła to i rzekła z uśmiechem:

– O! niech mama nie sądzi, że Stefcię uszczęśliwia głównie przyszłe stanowisko. O ile ją znam, wolałaby ona, żeby Waldemar mniej błyszczał pozycją i milionami. Jedyne, co ją może napawa dumą, to świetność jego rodu. Prawdziwie szlachetne dziecko! Ona kocha Waldemara dla niego samego i kocha całą duszą. Tylko ma pewne obawy, jak sobie da radę w nowych warunkach: trochę się lęka naszej sfery. I na Rudeckich znać pewien przymus, gdy mówią o przyszłości. Najwidoczniej obawiają się nas dla córki, co jest zresztą zrozumiałym. Starsza księżna milczała, pan Maciej zwiesił smutnie głowę. Po chwili rzekł:

– Boją się nas z powodu przeszłości... Ja odegrałem mętą rolę, ale Waldemar powinien ich przekonać. Czyżby i w niego nie wierzyli?

– Och! nie. Oni mu wierzą i cenią go, ale coś jest, co tamuje zupełnie szczęście z powodu nadspodziewanego losu córki. Może to przeczucie rodziców?

Pan Maciej i księżna zwrócili na mówiącą zdziwione oczy.

– Przeczucie? Jakie? Z powodu czego?...

– Może nie wierzą w całkowite szczęście Stefci, w jej przyszły spokój. Ostatecznie ona wchodzi w obcą dla siebie sferę, która... niezbyt jej sprzyja.

– A przecież uważamy ją już za naszą – rzekł pan Maciej.

– My, ale nie ogół.

Stara księżna poruszyła się.

– Ogół uzna, zmuszony przez Waldemara. Już jeśli on mnie zdołał zjednać, wierzę, że potrafi skłonić do tego cały świat! Chyba nie ufają w stałość Waldemara, a to już byłoby bluźnierstwem.

– Nie! nie to. Powtarzam, wierzą w niego, lecz może nieświadomie mają obawę jutra. Pan Maciej i księżna zamyślili się smutno.

W połowie lutego wielka sala w Obronnem wyglądała uroczyście. Oczekiwano przyjazdu Stefci z ojcem i Waldemarem. Starsza księżna w ciężkich, czarnych koronkach, poważna, robiła wrażenie jak zawsze trochę dumne. Księżna Franciszkowa, pan Maciej, panna Rita i Trestka byli wesoło usposobieni. Książę milczał ponuro. Im bardziej zbliżała się chwila przyjazdu Stefci, tym księżna babka zdradzała większy niepokój. Nieprzepracie wracały jej dawne marzenia. W nich widziała siebie witającą narzeczoną Waldemara, jakąś księżniczkę

90

znakomitego rodu. Z rzeczywistością staruszka nie mogła się znowu pogodzić, powracał żal i gorycz już trochę uśpiona. Z lękiem oczekiwała chwili powitania. Duma i ambicja grały na nerwach księżnej treny żałobne po umarłych nadziejach. Walczyła z siłą, wydartą duszy.

– Dla niego... dla wnuka. On ją kocha... on szczęśliwy – powtarzała w myśli.

Gdy wszedł kamerdyner, oznajmiając, że jada, księżna oparła się ciężko na fotelu, wachając nerwowo mały ftakonik z solami. Drżała i mieniła się na twarzy.

Na schodach wiodących do dolnej sieni zaroilo się od lokajów. Trestka z panną Ritą pierwsi witali gości. Młoda księżna podeszła do rzeźbionej poręczy otaczającej galerię nad klatką schodową. Wtem na górę wpadł Waldemar, promieniejący, niebywale ożywiony. Przywitał szybko młodych księstwa, serdecznie pana Macieja i przyklęknął przed księżną.

– Przywiozłem ci moją Stefcię, droga babciu – rzekł miękko, całując jej ręce. Księżna milczała jak ogłuszona, bez ruchu, groźna, blada.

Waldemar spojrzał na nią zdumiony. Przeszył ją wzrokiem.

– Babciu! – zawołał z naciskiem, gniotąc jej dłoń z rozpaczliwą siłą.

Pierwszy raz w życiu zląkł się. Położenie wydało mu się strasznym. Jego oczy wpiły się w księżnę jak dwa płomienie.

Staruszka milczała oddychając szybko.

Ordynat zerwał się ze zmarszczonymi brwiami, z dzikim wyrazem twarzy. Zawołał zdławionym głosem:

– Co się tu stało, na Boga?!...

Pan Maciej, przerażony również, nie odpowiedział.

Lecz powtórny okrzyk Waldemara zgniótł krytyczną chwilę. Zbudził się w księżnej po- tężny żal do samej siebie za zmanipulowanie szczęścia wnuka. Groza w jego oczach mieszała księż- nę. Z serca jej miłość dla niego usunęła wszelkie wahanie. Była to już walka ostatnia.

Księżna przemogła się.

Wstała i położywszy dłonie na piersiach Waldemara, rzekła, patrząc mu w oczy, ale już z uśmiechem w źrenicach:

– Przeprowadź mi... Stefcię. Chcę ją powitać i... pobłogosławić.

Waldemar odetchnął. Ucałował ręce babki i wpadł do sieni. Pan Rudecki z córką wstę- powali na schody w towarzystwie panny Rity i Trestki.

Ordynat szybko zbiegł i podał ramię narzeczonej. Jego wzrok nie uspokoił jej. Wyglądała ślicznie w wytwornej sukni jasnopopielatej, olśniewając cerą o tonach delikatnych, „niby muszli perłowej przy zachodzie słońca.

W przejściu przez galerię młoda księżna uściśnęła rękę Stefci, wskazując jej oczyma otwarte drzwi salonu. Dziewczyńskie serce waliło w piersi.

Weszli.

Pyszne, ciemne oczy Stefci spoczęły na czarnej postaci księżnej z lekką trwogą. Usta jej zadrgały, fala krwi przepłynęła przez perłową karnację jej twarzy. Delikatna łzawa powłoka rozblęsnęła w jej źrenicach. Zalśniły jak pióra jaskółek, gdy w locie dotknąwszy wody, wzlatują do słońca.

Księżna utkwiała w niej swój czarny wzrok. Pan Maciej rozjaśnił się. Książę Franciszek cofnął się za filar salonu.

Pod palącym spojrzeniem księżnej długie rzęsy Stefci opadły niby ciężkie zasłony, za- krywając urok jej oczu; łuki brwi zsunęły się nieco kapryśnie.

Księżna stała zdziwiona. Stefcia zachwyciła ją urodą i postawą. Widoczne załęknięcie dziewczyny podziałało na nią bardzo dodatnio. Księżna, nie wiadomo dlaczego, wyobrażała sobie, że narzeczona Waldemara wejdzie tu z podniesioną dumnie głową i wielką pewnością siebie. Stefcia zrobiła jej miły zawód.

Dziwne uczucie szarpnęło staruszkę za serce. Wyciągnęła do dziewczyny ramiona z

91

uśmiechem i prawdziwą zyczliwością. Pochylając się serdecznie do jej rąk Stefcię księżna objęła i przytuliła do siebie.

Na powiekach pana Macieja osiadły dwie grube łzy. Waldemar był wzruszony.

Księżna wzięła jego rękę i oddała mu narzeczoną. Nad pochylonymi głowami dwojga młodych szepnęła z uczuciem:

– Bądźcie szczęśliwi!

Uroczyście wiała z jej słów, powaga i niezwykle u niej roztkliwienie. Ta wyniosła pani w czarnych koronkach o marmurkowej twarzy, przytłaczała swym majestatem.

Powitanie i błogosławieństwo pana Macieja odbyło się mniej ceremonialnie, ale jeszcze serdeczniej. Pan Rudecki przywitał księżnę z godnością; zamienili ze sobą kilka poważnie brzmiących grzeczności. Pan Maciej uściśnął Rudeckiego po bratersku.

Lody zostały przełamane.

Pobyty Stefci w Obronnem zmieniły całkowicie usposobienie księżnej na korzyść dziewczyny. Staruszka zdumiewała się jej dystynkcją.

Z przyjemnością spostrzegła, że nie będzie miała trudu kierując Stefcią na wielką damę.

Z każdym dniem godziła się więcej ze stanowiskiem jej w rodzinie, podziwiając przy tym urodę dziewczyny, świetnie rozkwitłą. Zachwycił księżną czar i wdzięk Stefci, który rozsypywała dokoła siebie jak perły cenne.

Stosunek panny Rity z narzeczoną ordynata był jak najlepszy. Stefcia nie czuła się tu obcą, przymus względem siebie widziała tylko w księciu Franciszku i w hrabinie Morykoniowej. Hrabia nie pokazywał się wcale. Większych zebrań nie urządzano, ponieważ wszystkie domy znajome bawiły w Warszawie lub za granicą. Stefci brakowało tylko Luci. Nieobecność jej i pani Idalii gnębiła dziewczynę.

Po tygodniowym pobycie w Obronnem przejechali wszyscy na kilka dni do Głębowicz, skąd już pan Rudecki z córką miał powrócić do domu. Sanna trwała wyborna.

Ordynat jechał z narzeczoną w bardzo strojnych saneczkach, zaprzężonych w czwórkę głębowicką. Powoził sam. Pąsowa, szyta złotem siatka spadała aż do ziemi, bujne lisie ogony miały się przy skroniach końskich. Dźwięczny brzęk janczarów i brązowych okuc upręży roznosił echo w borach głębowickich. Karę araby z długimi ogonami, w błyszczącym rynsztunku, przypominały rumaki cesarów przy zwycięskich rydwanach.

Stefcią czarowała ta jazda, oboje z Waldemarem rozweselili się jak dzieci. Szczęście jak złote promyki tysiącami iskerek sypało na nich. Młodość, miłość ich była rozkoszną i błękotliwą jak ta wesoła jazda po wyslizganym gościńcu, jak dźwięczny brzęk janczarów i prychanie karej czwórki. Bór stał cichy, oszroniony, ostatnim śniegiem. Raz jeszcze ubrał się w białe futra i szumił rozgłośnie, jakby żałując, że wkrótce zdjęć je musi. Marzec już nadchodził, koniec zimy, ale śnieg cieszył ludzi, cieszył nawet bór, drzewa wiedziały, że im ładnie w tych gronostajach.

Stefcia oczekiwała wiosny radośnie. W czerwcu miał odbyć się jej ślub, więc tyle myśli leciało naprzód, tyle wrażeń, taki bezmierny, niezgłębiony dreszcz ciekawości i nadziei wstrząsał nią na wspomnienie tego, co będzie! A jednak żałowała zimy. Dziwny, niewytłumaczony żal wkraść się natrętnie do jej marzeń i nurtował w nich. Śnieg był świadkiem największego jej szczęścia, najdroższych upojeń i żałowała, że już zginie. Pragnęła wiosny, jednocześnie bojąc się jej.

Ale teraz mgliste myśli nie nasuwały jej swobody. Przy boku narzeczonego cieszyła się życiem, śniegiem i tą jazdą porywającą. Lecz gdy wyniosłe mury zamku zarysowały się potężnie wśród ciemnych sylwetek świerków, Stefcia spoważniała.

Ona ma zostać panią tego zamku, ordynatową tej pysznej rezydencji, świecącej niby klejnot bez ceny w promieniu obszarów ziemskich, jak w złotych tęczęwkach. Ona będzie

92

żoną tego rodowego magnata, tego milionera. Dziewczyna czuła szum w głowie... On ją wybrał z tylu innych, więc ambicja jej i duma mogły być nasycone, mogły stać się nawet zawrotnymi. Lecz Stefcia odczuwała szczęście jedynie z powodu uczuć najdroższych dla Waldemara. Kochała go aż do utraty zmysłów. Jego wielkość, płynąca z potężnych murów zamku, przygniatała ją więcej niż kiedy. Ona tu zostanie, będzie matką nowych pokoleń.

Stefcia pojmowała wielkość swego zadania, lecz cień jakiś niewyraźny błąkał się w jej duszy.

Waldemar zauważył jej stan i odczuł powód. Pochylił się do niej, mówiąc serdecznie:

– Wiozę cię do siebie już moją – nareszcie!

Musnął ustami jej skronie, na wpół przykryte futrzaną czapeczką.

Stefcia drgnęła. Jego słowa i pocałunek podnieciły ją. Ordynat strzelił z bata. Wyminął wszystkie sanie, salutując jadących. Z boku zajeżdżał go Brochwicz w pojedynczych, jak cacko, saneczkach.

– Widziałem! ale jestem dyskretny – krzyknął wesoło. Stefcia zapłonęła rumieńcem.

– Odplącę ci kiedyś tym samym! – zawołał Waldemar i pomknął naprzód.

Z nozdry jego koni buchały ogromne kłęby pary, wiatr szumiał w uszach.

Na baszcie zamkowej nagle, w ich oczach, rozwinęła się wielka błękitna chorągiew z herbem Michorowskich. Załopotana jakoś tryumfalnie. Widocznie zamek czuwał i dojrzał jadącego pana. Wiedział nawet, z kim jedzie, bo z baszty uderzył w powietrze huczny odgłos trąb.

Z blanków zamkowych, osypanych śniegiem, zerwały się przestraszone stada wróbli z głośnym świerkaniem, Frunęły na drzewa, czerniąc się jak drobny śrut pomiędzy zaśnieżonymi gałązkami. Fanfara brzmiała melodyjnie i poważnie.

Stefcia była wzruszona.

Wpadli w aleję świerkową. Nowa niespodzianka. Pod świerkami ustawiona w dwa szeregi straż leśna i strzelcy zwierzynieccy z podłowczymi, na koniach, w galowych strojach, dawali salwy ze strzelb, machając kołpakami i pokrzykując radośnie.

Głębowicze grzmiały na powitanie Stefci.

Waldemar, rozweselony zachowaniem się dworzan, zwolnił pęd koni, zerwał czapkę z głowy i powiewał nią dziękczynnie. Stefcia kłaniała się wdzięcznie. Wzruszenie ją dławilo, dygotała na całym ciele.

A salwy huczały regularnie, jak dla zwycięzcy po bitwie: odgłos trąb rozbrzmiewał echem, chorągiew łopotała na wietrze.

Powitalny szum świerków-tytanów został zagłuszony, ale dreszcz biegł po kolosalnych cielskach, strzepując śnieg z gałęzi; chyliły się czuby, jakby składając hołd Stefci.

Głębowicze doczekały się pani! Witwały ją już jak ordynatową.

Rój skłębionych beładnie myśli wirował w rozognionej głowie Stefci. Chaos w nich zapanował, szła jakiś zakopiał we krwi.

Wśród salw i wiwatów przejechali kamienny most na fosie, minęli dziedziniec zewnętrzny oraz bramę pod arkadami i w całym pędzie Waldemar zatrzymał rozhukaną czwórkę przed wyniosłym portykiem zamkowym. Dopiero tam dogoniły ich inne sanie.

Pan Rudecki był odurzony. Nie spodziewał się, że Głębowicze są tak wspaniałe. Owacje czynione Stefci poruszyły go. Myślał wspominając przeszłość:

– Krzywda tamtej nagrodzona. W drugim pokoleniu los obmyślił nagrodę. Czy ona to widzi?...

I w oczach stanęła mu postać umierającej staruszki.

Pod kolumnami ganku witała Stefcię służba zamkowa. Z urzędników: rządca Ostrożecki, wszyscy praktykanci, marszałek dworu, łowczy i koniuszy. Salwy i trąby umilkły w bramie pod arkadami. Na krużganku wewnętrznym zagrała orkiestra.

Pan Maciej, również jak pan Rudecki, myślał, przywodząc na pamięć postać dawnej narzeczonej:

– Jesteś nagrodzona. W drugim pokoleniu los dał powetowanie. Czemuż tego nie widzisz?...

I staruszek odetchnął lekko, jakby już wykruszył ostatni kamień z duszy.

Stefcia stanęła olśniona ujrzawszy mieszkanie przygotowane dla siebie. Trzy pokoje to- neły w kwiatkach. Zwłaszcza buduar przykuwał oczy. Dostyć duży, okrągły, obity złotożółta- wym jedwabiem, z przepysznym sufitem zdobnym w inkrustacje. Kryształowy żyrandol zwieszał się ze środkowej rozety. Jedną połowę pokoju, lustrzaną, ozdobiono kwiatami. Gru- powały się tam wachlarzowe palmy, nisko stały w odpowiednich wazonach bladożółte róże, hiacynty i

pęki kwitnącej mimozy. Wszystko w jasnych, pastelowych kolorach. Buduar w stylu cesarstwa. Posadzkę pokrywał żółty pluszowy dywan o niezmiernie długim włosie. Sympialnia miała styl odmienny – w tonie błękitnym. Adamaszkowe kotary osłaniały łóżko wyrzeźbione z drzewa orzechowego, nabijane konchą perłową.

Ten pokój krasiały białe róże i pąsowe gwoździki.

Ubieralnia biała jak z porcelany i przytykająca do niej łazienka świeciły niepokalaną bielą alabastrów, marmurkową wanną, srebrem naczyń i delikatną barwą lila irysów, jakich tu znajdowało się mnóstwo w basenach, w srebrnych dzbanach, w wazonach i wysokich kryształowych słojach.

Stefcia jak senna spoglądała dokoła, słuchając unizonego szczebiotu ochmistrzyni dworu, pani Szalińskiej, powszechnie tu zwanej Szalisią, która jej usługiwała. Starowina służyła jeszcze matce ordynata. Od niej dowiedziała się Stefcia, że pokoje zamieszkiwała niegdyś ordynatówna Idalia, ale teraz pan ordynat kazał je zupełnie odnowić.

Staruszka ze swymi ukłonami i minami robiła wrażenie damy dworu i czuła się bardzo przejęta nową rolą przy narzeczonej ordynata.

Stefcia zjednała sobie jej sympatię, ale Szalisią szepnęła na ucho kamerdynerowi, że pani nie bardzo widać z jasnych pochodzi, bo nie jest wcale dumna. Andrzej kiwnął głową przecząco i odrzekł z przekonaniem:

– Co tam pani mówi! Zaraz jaśniej zrobiło się w zamku, jak ona przyjechała. Pan ordynat szukał, szukał i znalazł nie żadną hrabiankę, ale za to śliczności.

– Oj, co to, to prawda! – potwierdziła stara ochmistrzyni. Służba zamkowa była zupełnie zadowolona ze Stefci.

Pan Rudecki nie mniej czuł się zadowolony z Głębowicz, ale był trochę przestraszony. Przyszły zięć przerażał go bogactwem, zamek olśnił. Podobny przepych widywał stary obywatel za granicą jako student, zwiedzając arcyksiążęce pałace, lecz bezpośrednio zetknął się z nim pierwszy raz.

I tu miał zostawić córkę.

Lęk jakiś dziwny przygniatał go.

– Czy to nie będzie złocona klatka, bogata, ale dumna, nie swojska? – myślał chwilami. Patrząc na córkę, na jej dystynkcję, wdzięk i swobodę, z jaką obracała się wśród tego przepychu, miał pewność, że jest stworzoną do wspaniałych ram. Magnateria zamku i magnateria osób nie krępowały jej. Czuła się swobodną tak samo, jak w skromnych ścianach rodzinnego domu. Była nawet rokoszniejszą, nosiła w sobie jakąś cechę wyłączną, jakby otaczający ją luksus i pyszne Głębowicze słusznie należały się jej wytwornej naturze.

Tego samego zdania były obie księżne, pan Maciej – i cieszyli się. Stefcia potrafiła ich zadowolić. Nawet książę Franciszek i hrabina Morykoniowa przekonali się do niej. Nie mogli jej darować jedynie nazwiska. Hrabina w liście do męża wzywała go, aby przyjechał, nadmieniając, że Stefcia jest zupełnie „możliwa” i że pomimo względów, jakimi ją obsypuje ordynat, elle connait son rôle<sup>11</sup>. Hrabina w ten sposób tłumaczyła pewien chłód Stefci względem siebie. Dziewczyna, uprzejma dla wszystkich, z hrabiną postępowała sztywniej i unikała

<sup>11</sup> elle connait son rôle (fr.) – ona zna swoją rolę

jej, czując głęboką niechęć tej damy do siebie.

Dni spędzane w gościnnym zamku głębowickim sprawiały wszystkim wiele przyjemności. Ordynat wspaniale przyjmował narzeczoną. Nie przeszkadzało mu to jednak w pracy. Sam w pojedynczych saneczkach, zaprzężonych w szpic, czasem konno, objeżdżał folwarki, odwiedzał fabryki i instytucje majątkowe. Parę godzin dziennie w urzędowym biurze przyjmował raporty od administracji, załatwiał interesantów, wysyłał listy i telegramy. Nie prze-

stawał być czynnym, pisał artykuły społeczne i różne programy. Do lasów odbywali wspólne kuligi, bo sanna trwała ciągle. W pałacyku stylowym, wśród głuchego boru, ordynat urządził raz przyjęcie dla swych gości. W czasie obiadu o zmroku wieczornym dokoła pałacyku pło-nęły na śniegu ogniska, podsycane przez gajowych, którzy popisywali się na rogach myśliw-skich. Oswojone dwa niedźwiedzie, wielkie, kudłate, wałęsały się obok płonących stosów z groźnym pomrukiem. W sieni, dosyć obszernej, mieściło się mnóstwo zdobyczy łowieckich, różnych głów, rogów i skór. Kwiliło żywe, oswojone ptactwo. Ogromne jastrzębie, puchacze i kruki, nawet dwa okazy sokołów, białozór i mniejszy kobuz, które łowczy obuczał do polo-wania. Leśniczy, doglądający pałacyku, trzymał także oswojonego wilka, lisa i wielkiego ro-gacza, wychowanych od małego.

Stefcia, patrząc na to wszystko, miała wrażenie, że jest przeniesiona w czasy średnio-wieczne, gdzie powszechnie istniały takie bory i taka obfitość zwierzyny. Zaciekawiała ją zgoda oswojonych zwierząt. Wszystkie chodziły na swobodzie, nie robiąc sobie wzajemnie krzywdy. Buchający ogień, duży komin w sieni i przeciągłe mruczenie oswojonego misia dopełniały złudzenia odległych lat.

Pan Rudecki, zawołany myśliwy, rozprawiał z Waldemarem o ilości zwierzyny, o sposo-bach karmienia jej i o tępieniu wilków. Wspaniała leśniczówka zachwycała go jeszcze więcej niż zamek głębowicki. Tu czuł się w swym żywiole. Stary obywatel podziwiał przyszłego zięcia głównie za to, że potrafił utrzymać w porządku i rygorze takie dziedzictwo po przod-kach. Bo uważał, że prócz pieniędzy potrzebna tu była energia i rozum, aby nie doprowadzić do rozprężenia, takt, aby kierować olbrzymią masą ludzi i interesów, sprawiedliwość i serce, aby być uwielbianym przez tłumy urzędników-oficjalistów, służby różnego rodzaju i robotni-ków fabrycznych.

Pan Maciej, widząc, dlaczego ojciec Stefci ceni najwięcej Waldemara, nabrał dla pana Rudeckiego wiele sympatii i szacunku.

Waldemar chodził w chwale i podziwie ogólnym, a otaczający go blask spływał i na Stefcię. Ona stała się punktem ciężkości wszystkich hołdów, ona jak pryzmat zbierała w sobie promienie uwielbień całej masy jego podwładnych. Kochano ją dla niej samej, bo umiała zjednywać ludzi, ale kochano ją i za to, że była narzeczoną ordynata.

Na obławie na wilki znajdowało się i obywatelstwo okoliczne, wśród nich parę domów bliżej zaprzyjaźnionych z ordynatem. Wszyscy znali Stefcię z dawniejszych czasów ale obec-nie ujrzano ją w nowej roli i sława jej brzmiała szerszym echem.

W zaniku głębowickim wesołość niczym nie zmacona i szczęście rozgościły się na dobre.

Stefcia przeżywała najszczęśliwsze czasy, zawsze razem z narzeczoną.

Grywano w tenisa w ujeżdżalni, obok stajennych zabudowań. Ślizgano się na sadzaw-kach w parku przy dźwiękach orkiestry, śmielsi puszczali się na rzekę, która już spiętrzała swe lody, pragnąc wyzwolenia. Stefcia grywała z Waldemarem w bilard, prowadząc nieskoń-czone rozmowy. Śmiały, inteligentny jej umysł rozwijał się w poważnych rozprawach z na-rzeczoną. Siadywali często w bibliotece lub w czytelni, gdzie Stefcia grała Beethovena, a Waldemar, zagłębiany w fotelu, napawał się jej kameowym profilem.

W sali muzycznej on grywał jej na organach. Stefcia wówczas w wyobraźni swej widy-wała babkę jego, Gabrieleę, przy tym gotyckim instrumencie, zapłakaną, z wieczną chmurą w duszy, i własną babkę, Rembowską, spełniającą wiernie obowiązki matki, żony i obywatelki kraju, ale z wielką raną w sercu.

Czasem Stefcia grywała w swym lustrzanym buduaru na pianinie z lapis-lazuli ze srebr-nymi okuciami i klawiszami z konchy perłowej. Cacko to otrzymała niegdyś jako podarek ślubny matka ordynata od pana Macieja. Grając Stefcia snuła w swej myśli obrazy przyszłego szczęścia. Dziewczyna żyła ciągle w upojeniu. Każde słowo, każda pieszczota narzeczonego odbijała się w jej duszy rozkosznym echem.

Oboje bardzo lubili salę portretową, chociaż mroziła ich trochę i dziwny lęk wprowadzała do serca Stefci. Historii babki Gabrieli nie poruszali więc.

Często ogarniała ich dziecinna wesołość. Wówczas Stefcia lubiła ogród zimowy i palmiarnię, albo w zbrojowni Waldemar tłumaczył jej historię każdej broni. W myśliwskiej sali bawił Stefcię owinięty w zielony jedwab pyszny Murzyn, który w swej kudłatej głowie skombinował już, kto jest Stefcia, i uśmiechał się do niej, czyniąc jej honory w swój sposób. Ordynata uważał on za jakiegoś półbożka czy fetysza, więc i dla Stefci składał dużą część swych uwielbień.

Stajnie również często odwiedzali. Raz Stefcia przejechała się po parku na Apollu, mając obok Waldemara. On czuwał nad każdym krokiem swego wierzchowca, gotów mu nawet w łeb palnąć, gdyby groziło Stefci niebezpieczeństwo. Waldemar kochał narzeczoną bez pamięci i otaczał ją prawdziwym nimbem szczęścia.

Stefcia zajmowała się żywo ochronką, znając bliżej wiele dziatwy. W szkole była podczas wykładów i miejscowy nauczyciel wtajemniczył ją w program nauk. Bawiła ją gimnastyka dzieci w wyłącznie urządzonej na ten cel sali. Zwiedzała szpital w sąsiednim folwarku Romnach i przytułek dla starców, zwany przez Waldemara „pałacem inwalidów”. Przyglądała się ćwiczeniom straży ogniowej, towarzyszyła narzeczonemu przy miesięcznym rozdawaniu książek dla służby z czytelnicy ludowej obok szkoły. Waldemar obznajmił ją z systemem prowadzenia kasy oszczędnościowej dla służby i robotników, którą zawiadywał osobiście. Stefcia zwiedziła obszerny budynek łaźni wzorowo urządzonej i salę zabaw w stylu zakopiańskim, gdzie służba i robotnicy zbierali się na tańce, a nawet grywali teatru amatorskie. Wszystkie te instytucje prócz ochronki były już zasługą Waldemara. Przed dziesięciu laty, objąwszy po ordynacie w osobiste władanie, uczył się jeszcze w uniwersytecie, ale mimo to

od razu rozpoczął energiczną działalność. Rzucił myśli, które musiano wykonywać natychmiast. I potem, na ławie szkoły rolniczej, i nawet hulając po świecie, nie zapomniał o Głębowiczach. Z zapałem szerzył swe idee. Wpadał do majątku niespodziewanie, inicjował coś nowego, sprawdzał czynności wykonawców, błysnął w okolicy i znowu wyfruwał w świat szeroki. Dobra ordynackie stały się wzorem okolicy. Nazwali ordynata utracjuszem tylko ci, którzy sądzą z pozorów, patrząc na jego rozrzutność, a nie widząc wewnętrznej gospodarki. – Dzielny człowiek, dobry patriota i rozumny arystokrata – myślał pan Rudecki. Taką opinię Waldemar posiadał powszechnie.

Stefcia bywała z księżną w kościele głębowickim, bo księżna chciała zbadać pobożność dziewczyny. Gdy pierwszy raz narzeczeni znaleźli się razem w kościele, proboszcz odśpiewał na ich intencję *Te Deum* landamus błogosławiąc ich ze wzruszeniem. Staruszek cieszył się, że jego „chłopiec” nareszcie pomyślał o założeniu rodziny. Stefcia podobała mu się bardzo.

Obok kościoła w obrębie murów stało wyniosłe mauzoleum z grobami Michorowskich. Stefcia z przejściem modliła się przy sarkofagu Gabrieli de Bourbon i Elżbiety, matki Waldemara. Ogromny gotycki budynek, ocieniony starodrzewiem, wstrząsnął nią trochę przykro. Waldemar nie pozwolił narzeczonej być w nim długo.

Pewnego dnia ordynat spotkał Stefcię w kaplicy, umieszczonej w narożnej baszcie. Stała oparta o łożę ordynacką i spoglądała w zamyśleniu na wizerunek Chrystusa, artystycznie rzeźbiony z kości słoniowej na krzyżu dębowym. Kaplica, nieduża, miała również styl gotycki. Wyłożona szarym marmurem, o poważnych sklepieniach, z ciemną posadzką z mozaiki weneckiej. Ze szczytu sklepienia zwieszał się ciężki oksydowany żyrandol. Prócz łoża wyłożonej marmurem stało tam parę marmurowych ławek, rzeźbiony klęcznik i niewielkie organy.



Stefcia w ofierze obok krzyża kładła własne serce, przepelnione wdzięcznością i zdrojem najgorętszych uczuć.

Posyłała do stóp Ukrzyżowanego swe modlitwy i prośby, i wiarę w przyszłość. Gdy Waldemar wszedł, ujrzał ją nie na klęczkach, ale rozmodloną duchowo. Stał obok i wziął jej rękę. Chwilę patrzyli na siebie. Kolorowe szkła witrażów rzuciły na nich tajemnicze cienie. Stefcia przytuliła się do narzeczonego i wskazując oczyma na krzyż szepnęła:

– On nam błogosławi.

Waldemar usta zanurzył w jej włosach.

– Czy pamiętasz naszą rozmowę w korytarzu z obrazem Magdaleny? Wróżyłaś mi wów- czas... trochę smutno. Widzisz, jedyna! Wydarłem światu berło szczęścia i przyniosłem je do swego gniazda. Skończyłem Austerlitzem...

Stefcia drgnęła.

– Co ci jest, jedyna? – spytał Waldemar, niemile tknięty zmianą w jej twarzy. Wtem spoza murów rozległ się głuchy, basowy pomruk dzwonek kościelnych. Jakiś przykry dreszcz uderzył w nerwy Waldemara.

– Co ci jest? – powtórzył ciszej.

– Nic, nic! Zmówmy Anioł Pański.

## XXI

– Pokażę ci coś, czego jeszcze nie widziałaś – rzekła starsza księżna z tajemniczą miną, biorąc Stefcie za rękę.

Dziewczyna zdziwiła się, gdy weszły do obszernej, sklepionej komnaty, której dotąd nie знаła. Stały tam dwa staroświeckie łoża ze stopniami, palisandrowe, bogato okuwane brązem. Osłaniały je kotary ze złotogłowiu, w kształcie baldachimu, spięte u góry herbem Michorowskich i mitrą książęcą. Cała komnata w kolorze ciemnoczerwonym ze złotem prawie nie posiadała więcej sprzętów zaledwo parę koniecznych. Wielka, niezmiernie bogata ampla z paśowego kryształu, oprawna w obfite brązy, dopełniała wrażenia dziwnego majestatu. Stapało się cicho po miękkim jak puch dywanie. Ciężkie zasłony w oknach z karmazynowego aksamitu, na które rzucono kremowe koronki, utrzymywały półmrok i surowość, główną cechą tej komnaty wyniosłej, dumnej w swej powadze, jak stare portrety lub manuskrypty na pergaminach.

Księżna weszła ze Stefcia, stanęła na środku i ściskając rękę dziewczyny rzekła półszep-tem:

– Jesteśmy w sypialni zamkowej. Tu porodzili się wszyscy Michorowscy i twój narze- czony, dzisiejszy ordynat.

Stefcie przebiegł lekki dreszcz. Księżna szeptała dalej:

– Wielka, wielka historia tej komnaty! Dużo by te ściany powiedziały, gdyby umiały mówić. Wiele tu szemrało westchnień serdecznych a smutnych, wiele kwiliło wesołych gło- sów niemowlęcych, które świat potem przytłumił, zduślił. Bóg zliczy ły wsiątkę w te złoto- głowia. Dużo tu było dramatów, rozpaczy – tylko szczęścia niewiele. Waldemar miał słusz- ność: szczęścia nie było.

Księżna postąpiła parę kroków i znowu stanęła, kiwając żałobnie głową jak nad pomni- kiem.

– Smutna kronika rodzinna – mówiła cicho – tragiczna komnata, chociaż nikt w niej nie umarł, każdego przed śmiercią wyгнаło coś z tych murów. Dziwny traf! I Maciej dobrowol- nie porzucił te kąty. Jego żona zmarła za granicą, moja Elżunia również, a zięć Janusz nagle w Biało-Czerkasach. W tej komnacie witają świat więc powinna być weselsza, a jest smut- niejsza. Dobra analogia przyszłego życia.

Księżna chwyciła Stefcie za rękę.

– Nie powinnam ci tego mówić: straszę cię. A może to wy właśnie wniesiecie tu inny duch, może wasze szczęście roztopi tragizm tu panujący! Daj Boże! Po łzach niechby nastąpił uśmiech.

Staruszka poszła wolno do drzwi, szepcząc do siebie:

– Ile tu łez! ile łez... i mojej Elżuni także.

Stefcia niemal przerażona obrzuciła wzrokiem całą komnatę i z dygotem wewnętrznym wyszła za księżną. Minęły obszerną ubieralnię, łazienkę błyszczącą marmurami i w pokoju toaletowym, pełnym szaf, księżna otworzyła kluczykiem zawieszonym u niej na łańcuszku drzwiczki ukryte we wgłębieniu muru. Znalazły się w małym pokoiku, oszalowanym dębo- wymi deskami. Ogromne okute kufry stały na tęgiej dębowej podłodze, nawet sufit był dębo- wy. Pokoik robił wrażenie skrzyni. Dwa okna małe i wąskie, zakratowane, prawie nie prze- puszczały światła. Księżna nacisnęła guzik elektryczny. Dwie kule u sufitu rozbłysły jaskra- wo.

Wówczas staruszka poszła do małej, żelaznej szafki wbitej w ścianę, otworzyła ją za pomocą sprężyn i zaczęła wyjmować na stół rozmaite większe i mniejsze pudełka z safianów i aksamitów. Stefcia patrzyła na to zdumiona.

– Chcę ci dziecko, pokazać rodzinne precjoza Michorowskich – rzekła księżna – Waldy

98

mi powierzył opiekę nad nimi z chwilą, gdy objął ordynację, do czasu, aż się nie ożeni. Ja przecierałam je zawsze sama, tylko z Ritą lub Dobrzysią. Teraz Waldy tobie je odda. Te klejnoty zdobiły bardzo dumne głowy, teraz ubiorą... śliczną.

Stefcia szarpnęła się, porwała księżną za rękę.

– Nie, babciu! nie! nie! proszę to schować, to nie dla mnie! Staruszka spojrzała na nią ciekawie.

– Jak to nie dla ciebie? Będziesz jego żoną i... ordynatową, to twoja własność. On cię tym sam obsypie. Ja tylko pokazuję.

Pootwierane pudełka zaiskrzyły się świetlną zawieją. Barwny pożar ognistych zórz zajął na stole.

Stefcia ujrzała wspaniałe diamenty z brylantów, kolie, kolczyki, bransolety, perły uriańskie, różowe i szare. Krwawiły się przed jej oczyma sławne rubiny Michorowskich, lśniły zieloną topielą szmaragdy, błyskały tajemniczo szafiry, seledynowo-żółte opale. Całe morze iskier, barw jak z bajki wyjętych gorzało w blasku elektrycznym. Sypały się potoki zaczarowanych ogni, gorące łuny z olbrzymich karbunkulów rubinowych. Złote łańcuchy, staroświeckie klamry, pierścienie, wstęgi naszywane klejnotami – wszystko rzucało snopy oślepiających promieni.

I dziwny to był obraz. Duży stół zarzucony masą klejnotów, przy nim w wysokim krześle poważna, dumna staruszka, podparta na rękę i smutnie zamyślona. Obok młoda, śliczna dziewczyna, z lekką trwogą w oczach wpatrzonych na skarby, o jakich nie miała pojęcia. Światło lamp elektrycznych oblewało tę grupę białą omastą, żarzyły się klejnoty, a twarze dwóch kobiet nabierały nieskalanej plastyki wyrazu.

Oczy Stefci, również jak klejnoty, jak ciemne ametysty w oprawie brylantów, nie miały w swym wyrazie chciwości, ale moc przeróżnych myśli trochę smutnych. Kto nosił te bogactwa? jaka ich historia? czy i one widywały łzy, czy więcej uśmiechów?...

Księżna, jakby tą samą wiedzioną myślą, zaczęła przebierać między pudełkami. Jej długie białe palce dotykały diamentów, kolii, ślizgały się po sznurach pereł. Mówiła cichym głosem:

– Ten diadem z pereł i brylantów dostała od męża prababka Macieja, Anna Koniecpolska, wojewodzianka mazowiecka. Dla niej był kupiony w Paryżu za bajeczną cenę. Tą kolie z rubinów lubiła najwięcej żupanówna węgierska, z domu hrabiów Esterhazy. Bardzo piękna brunetka, przepadała za strojami. Tylko niewiele miała serca. Chciała się rozwodzić z mężem. Do skandalu nie doszło, ale życie było nędzne. Patrz, te brylanty ze szmaragdami były noszone przez moją Elżunię. Jak ona w nich wyglądała... Mam ją w oczach na balu, w Wiedniu w ambasadzie włoskiej. Tę kolie miała na szyi, a te szmaragdy we włosach. Była wtedy w największym rozkwicie urody, już ostatnim. W kilka lat potem zmarła...

Księżna westchnęła ciężko.

Wzięła teraz naszyjnik z brylantów w połączeniu z opalami prześlicznych ogni i cennej roboty. Przesunęła kamienie przed oczyma Stefci.

– To przywiozła ze sobą księżniczka de Bourbon, Gabriela. Nieszczęśliwe opale, nie dają podobno szczęścia. Taki zabobon w tym przypadku sprawdził się. Ten naszyjnik ojciec ofiarował jej w dniu, w którym pierwszy raz weszła w świat. Znasz jej historię. Zaledwie parę miesięcy czuła się szczęśliwą. Od poznania Gwidona skończyło się wszystko. Jego fotografię nosiła z sobą zawsze – na jej zaklęcia włożyłam do jej trumny... na piersiach pod kwiatami. Biedna była kobieta, nieszczęsna męczennica.

Stefcia ukłękła przy kolanach księżnej i czoło wsparła na nich. Oczy bolały ją od widoku klejnotów, dreszcze jakieś chodziły po nerwach, wstrząsając ciałem.

Księżna pochyliła się nad nią.

– I twoja babka nieszczęsną była... i ona ciężką miała dolę na świecie. Stefcia podniosła oczy na staruszkę. Szepnęła żalonym głosem:

99

– Ona nie wiedziała, że ją stale kochał. Żyła i umarła z wątpliwością w duszy. To najstraszniejsze!

– Maciej kochał ją, szczęścia nie zaznał. Miał straszne wyrzuty sumienia. Potem życie złagodziło ranę. Przyszły dzieci, wnuki... zapomniał. Zachował jednak jej miniaturę – widział ją. Czas, moje dziecko, to bezwzględny rylec. Zmienia postać ziemi, więc zasnuwa i wszelkie bóle w duszy człowieka. Zapomniał! Może pozornie... Tyś mu ją przypomniała, a jej śmierć targnęła nim w straszny sposób.

– Gdyby ona o tym wiedziała, lżejszy może byłby jej zgon – szepnęła Stefcia.

Umilkły. Tylko klejnoty migały płomykami różnokolorowych iglic, jakby urągając ludzkiej niedoli i smutkom, zaćmiewającym ich urodę. Klejnoty zimne, szydercze, sypały kaskady swych gwiazd, wyzywająco, dumnie.

Księżna ocknęła się. Powoli wzięła diadem z brylantów i pereł i włożyła go na zgrabną główkę Stefci. Zanurzył się w bujnych, lśniących jedwabiem włosach dziewczyny. Ognie wybuchły z olbrzymich brylantów. Stefcia była jak uwieńczona. Uśmiechnęła się do księżnej, oczy jej płonęły, różowe wargi rozchyliły się radośnie. Promienność wiała z niej i młodość w pierwszym rozkwicie, i niewinności dziecka, i postawa księżniczki. Miała w sobie tyle uroku, że księżna cofnęła się na fotelu i zapatrzyła jak w obraz.

– Jednak ty jesteś... czarująca. Skąd u ciebie taka uroda? Stefcia roześmiała się.

– Dlaczego, babciu?

Wtem zastukano do drzwi. Księżna spytała ostro:

– Kto tam?

– Ja, Waldemar.

Staruszka prędko powstała, idąc otwierać drzwi. Stefcia posunęła się za nią. Ordynat wszedł ze słowami:

– Szukam pań po całym zamku. Ukryłyście się dobrze, ale...

Umilkł ujrawszy Stefcię w diademie z brylantów. Popatrzył chwilę. W oczach mu błysnęła zachwyty, radość, tryumf. Podszedł bliźutko i rozjaśniony wziął jej dłonie.

– Cudzie mój! jesteś jak zjawisko!

– Prawda, jak jej dobrze w tych klejnotach? – podchwyciła księżna.

– Bosko! bosko! – powtarzał Waldemar, ściskając ręce narzeczonej. – Chciałbym, aby cię teraz widzieli wszyscy...

Zawahał się.

– Co ci zazdroszą – dokończył.

– Nie wyglądam jak kopciuszek w przebraniu? – spytała Stefcia trochę kokieteryjnie. Księżna zaśmiała się. Waldemar ucałował jej rękę.

– Jesteś jak królowa, tylko brak stosownej sukni, kolii i tych tam dodatków do uszu i rąk, no... i płaszcz gronostajowego! Gdy cię tak ubiorę, podbijesz świat!

– A najwięcej króla – szepnęła Stefcia z ładnym pochyleniem głowy.

– Oj, ty łobuzie! – pogroziła jej księżna.

– Króla oczarowałaś w codziennej sukience i w koralach, które mi są droższe od całego tego sezamu – rzekł Waldemar wskazując na stół z klejnotami.

Podeszli bliżej. Ordynat wziął piękną przepaskę z gwiazd brylantowych, z wielkimi rubinami w środku, i sam włożył ją na głowę narzeczonej, zdjawszy uprzednio diadem.

– Czarująco!

Ona śmiała się rozbawiona. Księżna podawała Waldemarowi coraz nowe klejnoty. On jej przymierzał Stefci.

Dziewczyna, widząc siebie w lustrze, była zmieszana własną pięknnością. Waldemarowi oczy grały zachwytem, pożerał wzrokiem swą ukochaną, ciesząc się w duszy, że te magnackie klejnoty tak ją ładnie stroją.

100

Sam wybrał dwa sznury bardzo cennych pereł z małą klamerką sadzoną brylantami i z uśmiechem zapiął je na szyi Stefci. Perły na bladolila jedwabnej bluzce błyszcząły jak rosa na smukłym irysie.

– Te już niech tu zostaną – rzekł serdecznie Waldemar, całując ręce splonionej Stefci – niech to będzie mój pierwszy dar po pierścionku.

– Pierwszy? Ileż mam już darów od pana? To nie pierwszy! – kręciła głową Stefcia.

– Ależ z tych rodzinnych zbiorów pierwszy – odrzekł ordynat.

Podziękowała mu ślicznym uśmiechem. Waldemar spojrział w jej oczy drapieźnie, zadrzały mu nozdrza. Delikatnie objął ją i przytulił do siebie, palące usta przycisnął do gorących ust narzeczonej.

Stefcia zdrętwiała. Waldemar puścił ją natychmiast. Dziewczyna spojrzała na księżną, lecz starszka dyskretnie była bardzo zajęta klejnotami.

Waldemar uderzył się w czoło.

– Ach, zapomniałem! Przyjechał Morykoni. Szukałem pań, lecz na widok mego cudu zapomniałem o świecie całym.

Zaczęli we troje układać klejnoty i zamykać pudełka. Waldemar chował do szafki.

Kiedy Stefcia z księżną i ordynatem ukazała się w sali, podszedł do nich hrabia Morykoni, wysoki mężczyzna z blond bakami i głową uczesaną starannie na pół. Wyglądał, jakby mu kto rozdzielił na dwie części twarz, którą spinały niby klamrą binokle w złotej oprawie. Przywitał teściową i skłonił się Stefci z wytworną grzecnością.

Podawała mu rękę eleganckim ruchem, z pewnym chłodem, co dodało jej dystynkcji i ja-kiejś subtelnej pańskości.

Hrabia spojrział zdumiony, stropił się nawet, lecz natychmiast podniósł do ust jej rękę i rzekł z galanterią:

– Najlepsze życzenia... i powinszowania, chociaż te ostatnie głównie ordynatowi powinny być składane.

– Dziękuję – rzekła Stefcia z prostotą i odeszła do grupy młodej księżnej, panny Rity i Trestki.

Morykoni patrzył na narzeczoną ordynata coraz bardziej zdziwiony. Jej uroda, wytworność, sposób mówienia, każdy ruch zachwycał hrabiego. Stefcia przedstawiła mu się w zupełnie innym świetle niż dawniej.

– Quelle noble fille! quelle enchantresse!<sup>12</sup> – powtarzał sobie, nie wierząc własnym oczom.

Na pana Rudeckiego także patrzył niedowierzająco. Takich przeciętnych obywateli wyobrażał sobie jako mamutów – tu ujrzał zupełnie światowego człowieka i kręcił rozdzieloną głową, jakby podejrzewając, że pan Rudecki ucharakteryzował się odpowiednio.

Przy wieczery Stefcia siedziała naprzeciw hrabiego, nieustannie widząc jego wypukłe niebieskie oczy oszklone binoklami; wpijały się w nią jak dwa świdry. Rozmowę przy stole prowadzono ogólną, bardzo ożywioną. Stefcia odzywała się dużo i dobrze, mówiła z życiem i swobodnie. Jej oczy świeciły gwiazdźście, usta pociągały. Zachwyt hrabiego nie miał granic. Ta Rudecka robiła wrażenie patrycjuszki!

Waldemar widział podziw Morykoniego, malujący się w jego oczach. Zadowolony z powodzenia narzeczonej, umyślnie rozmowę prowadził tak, aby Stefcia mogła dużo mówić. Nie wątpił, że potrafi wybrnąć z każdej kwestii. Brał już ją nieraz na próbę i przekonał się, że ma bystry umysł, dowcip i takt.

Podczas ostatniego dania Trestka rzekł, nie zwracając się wyłącznie do nikogo i jakby pod wpływem nagłej myśli:

– Najobrzydliwszą wadą naszego wieku jest flirt. Gilotynowałbym go, miażdżył – to mój

12 Quelle noble fille! quelle enchantresse! (fr.) – Jaka szlachetna panna! jaka czarodziejka!

101

wróg zapamiętały!

Panna Rita zaśmiała się.

– A sam go pan uprawiasz – rzekła z przekąsem.

– Ja? Chyba pani żartuje? Gdzież są dowody?

– Zapewne! tu ich pan nie przywiózł, pozostały za granicą.

– Czy pani miała tak ściśle informacje o moim sprawowaniu się tam?' – zapytał zły. Wszyscy się roześmiali. Rita wzruszyła ramionami.

– Och! mało mi to obchodzi! Staję tylko w obronie flirtu.

– Bo go pani adoruje.

– Nie, ale go lubię.

– Występny chwast, stworzony przez jakiegoś demona...

– Tylko przeniesiony do nas z dworów Ludwików francuskich – odezwała się wesoło Stefcia – bo tam chyba został wynaleziony.

– Przez upudrowane głowy markizów i vicomtów – wtrącił Waldemar.

– Albo przez kwaciarki uliczne i roznosiciele gazet – rzekł Trestka i machnął ręką.

– Ależ panie! flirt jest wytworem salonów, nie ulicy – zaprzeczyła Stefcia. Hrabia Morykoni bystro popatrzył na nią, przechylił się przez stół i zapytał:

– Więc pani uważa flirt za wykwit cywilizacji?

– Po części tak.

– Na jakiej zasadzie?

– Bo ludzie prości nie znają flirtu ani z nazwy, ani w dosłownym znaczeniu. Nie mają zresztą czasu na uprawianie go, nawet by nie umieli.

– Dlaczego? Gmin ma również swe zabawy, zbliżone do naszych.

– Zbliżone, lecz nie w szczegółach.

– Więc podobne.

– Ale nie nasze.

– Zasadnicza idea ta sama – twierdził uparcie hrabia. Stefcia nie ustąpiła.

– Panie hrabio, i polna róża jest różą, lecz nie sztamową. Tu już pomijamy zasadniczą ideę, bo bardzo wyraźnie występuje różnica kolorytu, gatunku i smaku. Dlatego twierdzę, że ludzie prości bawią się szczerzej od sfer inteligentnych, lecz nie posiadają ogłady, będącej cechą salonów. Oni mają etykę odrębną, znamienność, jaka ich różni od wytworniejszych objawów cywilizacji.

Stefcia mówiła swobodnie tonem lekkim i dźwięcznym. Hrabia uważnie patrzył na nią spoza zmrużonych powiek.

A Trestka rzekł:

– Cała nasza wytworność ginie wobec szczerości, jaką te masy posiadają, a my nie. U nich przynajmniej w sprawach erotycznych nie ma kłamstwa, wykrętów, słodkich minek i wywracania oczu.

– Trestka ugodzony jakimś sztyletem, pewno zazdrości – rzekł ordynat.

– Ja tylko mówię, że te cechy są ich zaletą, nie wadą.

– A któż to nazywa wadą? – zdziwiła się Stefcia. Morykoni wyręczył Trestkę:

– Pani, ponieważ uważa szczerść za brak kultury.

– Nie zrozumiał mię hrabia. Cywilizacja nie może wyłączać szczerości, tylko osłabia ją do pewnego stopnia, zmiękcza niejako jej chropowatość.

Hrabia poprawił bokobrody.

– Przypuśćmy, że tak. Ale i oni nie są już absolutnie wyzuci z cywilizacji.

– O tak! lecz oni są zaledwo odziani w nią.

– A my?

102

– My już ubrani, często ustrojeni.

– A najczęściej udekorowani – rzucił Trestka.

– I to bywa! Ci, co są udekorowani cywilizacją, noszą jak pióropusz, na widoku – dla świata jedyni, w rzeczywistości są czasem bardzo pierwotni. Ale taki machiawelizm zdarza się w sferach wyższych, nie wśród ludu. U nich ten wyraz inną nosi nazwę, i do innych go okoliczności zastosowują. Tak samo to, co my nazywamy flirtem, u nich zwie się...

– Smaleniem cholewek – zaśmiał się Waldemar.

– Bałamuctwem – dodała Stefcia.

– Nie widzę w tym różnicy – rzekł hrabia.

– Bo to grunt jednaki, tylko kwiaty różnych odcieni i nazwa; tam pożyczona z obcej gwary, a tu właściwa.

– Wracam do rzeczy – zaczął znowu Morykoni. – Więc pani sądzi, że odporność ich w przyjmowaniu kultury jest winą ciasnoty mózgów, jakie posiadają?

– I winą kultury. Tu są równe prawa. Ciasnota ich pojęć nie pozwala światu rozszerzać się, a kultura jest jeszcze zbyt umiejscowioną, nie dosięga do wielu ciemnic.

– Umiejscowioną? Gdzie?

– W uprzywilejowanych kołach.

– Dlaczego?

– Bo skąpo płynie na inne... niższe.

– Pani mówi o sferach?

– Nie, ja mówię o dwóch biegunach: o inteligencji i pospółstwie.

– Więc na bardziej subiektywny rozbiór pani się nie zgadza?

– Owszem, ale tu różnica już jest mniej wyraźną.

– Przeciwnie! bywa jaskrawą.

– Gdy odróżnia przeciętną inteligencję od wyższego rozumu i geniuszu.

– Niekoniecznie. Istnieją jeszcze inne odmiany.

– Zawsze umysłowe.

– I sferowe także.

Pan Rudecki drgnął niespokojnie. Zaległo milczenie. Hrabia wpił oczy w Stefcię ze złośliwym wyrazem. Ona zapłonęła.

– Odstępujemy od przedmiotu, panie hrabio – rzekła z nikłym uśmiechem.

– Tylko roztrząsamy go.

– Ach! więc sferą pan określa pewne stopnie umysłu – tak?

– Nie, zestawiam jej znaczenie w zakresie klasyfikacji społecznej.

– A zatem przedmiot wikła się.

– Z jakiego powodu?

– Bo stopniowanie wyżyn sferowych nie równa się stopniowaniu różnic umysłowych. To już są dwie alternatywy o całkiem odmiennym brzmieniu i znaczeniu.

– Pani chce przez to powiedzieć, że pomiędzy przeciętną inteligencją a sferą... wyższą nie ma żadnych intelektualnych wypukłości? Czy tak?

– Nie ma znamienych wypukłości, które by już tworzyły skalę przeważającą na tę lub drugą stronę. Ale nie mówię: żadnych, bo różnice są – sporadyczne, zdarzają się i tu, i tam w równej mierze. Tylko nie tworzą muru dzielącego obie sfery z przewagą dla wyższej.

– Jednak, w pani mniemaniu, która z obu sfer posiada szansę większego uzdolnienia i częściej przechowuje genialne umysły?

Hrabia powiedział to z ironią źle ukrytą i z miną satyra. Nie uważał zimnego wzroku Waldemara ani zdumionych spojrzeń obecnych osób. Chciał koniecznie zmieszać Stefcie. Patrzył na nią szyderczo, zapominając, że igra z ordynatem, i powtórzył pytanie:

– Którą sferę uważa pani za najbardziej rozwiniętą umysłowo, etycznie i estetycznie? – rzekł z akcentem.

103

Stefcia, zarumieniona, podniecona rozmową, uśmiechnęła się z przymusem. Ale nie dając poznać po sobie przykrości, podniosła oczy wprost na jego binokle i odrzekła swobodnie.

– Panie hrabio, mój sąd mógłby być zbyt jednostronny dla sfery, z której pochodzę, a przedwczesny dla tej, do której mam wejść, zatem pytanie pańskie zostawiam do jego własnego uznania.

Przy ostatnich słowach skinęła lekko głową i zwróciła się do siedzącego obok Waldemara, zakończając w ten sposób rozmowę z hrabią.

Ordynat był uszczęśliwiony. Przeszył hrabiego ironicznym wzrokiem i spojrzął na narzeczoną. W źrenicach jego znikły groźne światełka, a mignęło wzruszenie.

Takt Stefci ujął wszystkich.

Obie księżne, pan Maciej, pan Rudecki, nawet książę Franciszek patrzyli na dziewczynę z uznaniem. Niechęć skierowała się na hrabiego. Jego żona, czując to, była jak z lodu.

Hrabia obrażony, zły nie odzywał się więcej, tylko spod binokli rzucał na Stefcie jadowite spojrzenia, ale i sam w duchu ją podziwiał. Spoglądając na nią, jak rozmawia wesoło z ordynatem i Brochwiczem, bladł z irytacji. Lecz drażniła go najwięcej komicznie zadowolona mina panny Rity. Błyszczące szkła Trestki w czarnej oprawie również nie dawały mu spokoju. Rzucały w binokle hrabiego pociski ironii i śmiechu.

Gdy powstano od stołu, hrabia poszedł do fajczarni. Tam, rozłożony wygodnie na tureckiej sofie, palił cygara i rozmyślał o Stefci, zastanawiając się, czy ona jest piękniejsza, czy dowcipniejsza? W końcu przyznał jej wszystkie zalety prócz nazwiska i zawyrokował:

– Gdy zostanie Michorowską, będzie damą bez zarzutu. Ordynat miał dobry gust.



Szary wieczór marcowy spłynął na zamek. Przykrył wyniosłe baszty, zmaścił rysunek wieży i wtłoczył się do wnętrza gmachu. Niektóre tylko okna odepchnęły go smugą elektryczności, większość uległa ciemnej masie. Razem z nocą runęła wichura, wlokąc ponure szmaty chmur. Pierwszy deszcz, pomieszany z kaszą śniegową, zaczął ciąć w szyby okien. Zmurszały śniegi; wiatr je miótł, siekły dżdżyste baty. Przerażliwy gwizd zajadle obiegał blanki zamkowe, bił wściekłą muzyką. Grzmot drzew parkowych, tłuczących się z szalonym hukiem koronami, akompaniował głuchym basem dętym instrumentom wichru. Marzec rozpoczął wojnę z zimą. Darł ją zębami, szarpał za białe włosy, wgryzał się w jej kożuch. Wy-pierał zimę całym zastępem wietrznych siepaczy, prażył ją bez miłosierdzia kolącą sieczką deszczu.

Zmagały się żywioły. Jęk chłostanej zimy i straszliwe pułki Boreasza... Z rozwiązanymi sztandarami, z piorunem salw, z okrzykiem zwycięzców spychali z tronu gronostajową królowę, obnażali ją, druzgocąc jej koronę. Wpływ ich dowódcy działał potężnie. Marzec pokazał, co umie, rozpanoszył się z gwałtowną siłą.

I lustrzany gabinecik Stefci zanurzył się w pomroce. Żółty atlas obicia przybrał kolor popiołu. Na lustrach wieczór pełzał, niszcząc ich blask. Wyglądały jak lśniące wilgocią ściany.

Stefcia grała. Po klawiszach z konchy perłowej ślizgały się jej delikatne palce z nerwową gorączką. Roztopiona w mętach pokoju postać dziewczyny rysowała się nikle. Bogata harmonia tonów szła w zawody z żywiołową orkiestrą natury.

Stefcia była niespokojna o narzeczonego: wyjechał do dalszych folwarków i jeszcze nie wrócił. Dzikie odgłosy rozhułanej słoty drażniły Stefcię. Uciekła od towarzystwa i razem z pianinem rzucała w przestwór szeroką falę uczuć. Grała własne fantazje wysnute nastrojem chwili.

Stopniowo pod siłą myśli i nerwów tony stawały się głębsze, aż rozbrzmiały fanfarą melodyjną i pełną życia. Kapryśne rzuty jej rąk ciskały szumne wariacje, oryginalne przejścia z tęsknic bezmiernych do zwichrzonej młodzieńczej namiętności. Z szalem idącym w krew dźwięczały nuty, opadając znowu w ciche pianissima. Natchnienie duszy Stefci, wylane na klawisze, rzeźbiło w powietrzu przepiękny posąg jej szczęścia, aż do wypukłej wyrazistości,

cieniowało każdą linię, każdy rys. Utwór grany przez nią wyfruwał z jej nerwów, gdyż tam był początek. Stefcia rozmotywała złote runo muzyki, którą nosiła w swej naturze. Tą muzyką pulsowały jej młode żyły i w gęstym promieniu oprzędły wszystkie fibry i arterie serca. Po burzliwym przelocie ostatnich dźwięków umilkła. Ręce jej zwisły na suknię. Siedziała minutę nieruchomo, zasłuchana w echo własnej pieśni. Nagle zerwała się z krzeselka. Nowy atak spazmującego wichru i ciemność pokoju przenikły ją strachem. Podbiegła do ściany i przekręciła korbkę elektryczną. Blask wpadł olbrzymią różycą, buchnął z lustra morzem światła, obudził kwiaty, złotem drgnął na ścianach. Stefcia pod palmami zawołała z wybuchem radości:

– Pan tu?!...

– Słuchałem twojej muzyki – rzekł Waldemar, odrywając się od złotawej kotary osłaniającej drzwi.

Podszedł blisko. Stefcia podała mu rękę.

– Byłam tak niespokojną...

– I czego? Deszcz mię nie straszy, a zyskałem na tym; grałeś tak, jak dawno pragnąłem usłyszeć. Cudownie! Czy byłabyś zdolną to powtórzyć?

Uśmiechnęła się.

– Wątpię! To było moje pożegnanie Głębowicz. Taki prąd przejdzie i minie. Podobał się panu – to dobrze! Grałam dla siebie.

– Zagrasz mi na powitanie Głębowicz, gdy już wrócimy tu na stałe. To dzisiejsze to jakby

105

niwy zaporskie, gdy śpiewają cicho teorbany, dźwięczą dzidy i buńczuki. Brzmiała tu i melodia tęskna, i głośna wrzawa kozacka. Moja ty artystko!... myślałaś o mnie grając?

– Tak, i o szczęściu – szepnęła Stefcia. – Myślałam, że ponieważ to kwiat bardzo rzadki w olbrzymiej plantacji pospolitych szczęściarek, więc niesłychanie trudno go zdobyć, a my go już posiadamy. W masie różnorodnych kwiatków znaleźliśmy wspólnie kielich, prawda? – i nie zawiedzie nas.

Przycisnął jej dłonie do ust.

– Bo potrafimy go pielęgnować, a to rzecz ważna. Szczęście ma płatki delikatne, trzeba je otulać w sobole i gronostaje. Można i w prosty kożuch, byle ciepły, byle żadną szparką nie sącył się chłód. Temperaturę można podnosić, aby nie opadła.

Ordynat objął ramieniem narzeczoną i przygarnął ją do siebie.

– Myślałem niegdyś, że największym bogactwem i warunkiem do szczęścia jest rozum, a ubóstwem – nędza umysłowa. Teraz powiem z dopełnieniem: największym szczęściem w życiu jest miłość, młodość i rozum. To są oceany – reszta wszystko źródółka!

Stefcia patrzyła głęboko w płomienne oczy narzeczonego, przysłonięte lekko powiekami.

Ufność serdeczna wiała z jej fioletowych źrenic i duchowe oddanie się ukochanemu.

– Czy wierzysz w te trzy potęgi? – spytał cichutko, zbliżając usta do jej skroni.

– Tak, i podziwiam ich siłę. One istotnie mogą zwalczyć świat.

Waldemar chciał ją ucałować, ale wyrwała się i szła do drzwi, mówiąc trochę zdyszonym głosem:

– Chodźmy na dół. Już wielki czas.

Waldemar wzburzony poszedł za nią. Blisko wyjścia przekręcił drugą korbkę elektryczną w ścianie.

Światło zgasło.

Stefcia krzyknęła. On gwałtownym ruchem chwycił ją w ramiona, przegiął jej głowę w tył i stłumionym szeptem mówił, pochylony nad nią:

– Nie wrywaj mi się nigdy! Słyszysz? Tyś moja! moja!...

Głos mu zadrgał chrapliwie, ramiona cisnęły ją z konwulsyjną mocą. Stefcia zadygotała. Jego szał przeraził ją. Czuła, że omdlewa w jego uścisku i w tej czerności pokoju.

– Waldy... mój... tyś dobry – szepnęła z błaganiem, to jedno znajdując na swoją obronę. Uderzony dźwiękiem jej słów, Waldemar puścił ją natychmiast i rozjaśnił pokój. Stefcia wyprostowała się, ręce podniosła do głowy, poprawiając włosy. Rzęsy miała spuszczone i krwiste rumieńce. Ordynat położył dłoń na jej ramieniu. Rzekł z uczuciem:  
– Rozbroiłaś mię! mój ty cudzie jedyny!... Daj mi usta na dowód, że mi wierzysz...  
Cichym ruchem z ufnością i promieniem w oczach, błyszczących jak pasemko słońca, przesunęła do niego uśmiechniętą twarz. Gorąca pieszczota ust, choć krótka, upoiła ich. Ocknęli się i wyszli razem na oświetlony korytarz.  
Marcowe roty wietrznych zawadziaków przewalały się nad zamkiem. Brzęczały żałośnie szyby okien od gęstych plag szarugi.

106

### XXIII

Na drugi dzień pan Rudecki z córką wyjechał z Głębowicz. Wkrótce potem wielki post zgromadził całe towarzystwo w Warszawie. Obie księżne przyjechały tam dla modlitwy, Stefcia z rodzicami dla robienia wyprawy, Waldemar dla Stefci. On przywiózł i pana Macieja. Do stolicy ściągnął Trestka i księżę Franciszek. Brochwicz był już tam od dawna. Pani Rudecka zrobiła dobre wrażenie, podobała się księżnej za swój spokojny takt i nie-narzucanie się ich sferze. Przy tym pełen szacunku stosunek Waldemara do przyszłej teściowej zjednał dla niej księżnę. Pan Maciej stawał się dziwnie zmieszany wobec pani Rudeckiej. Świadomość, że ona jest córką tamtej, wzruszała go, jednocześnie odczuwał nieokreśloną trwożę. Pani Rudecka odgadła powód i z wrodzoną delikatnością umiejętnie łagodziła jego wrażenia. Jednakże zupełnej swobody między nimi być nie mogło. Z powodu wielkiego postu odbywały się tylko poufne zebrania w ścisłym kółku znajomych. Na większe rauty księżna i pan Maciej nie uczęszczali. Stefcia również, instynktem wiedzona, nie chciała pokazywać się arystokracji w roli narzeczonej. Waldemar, bojąc się dla niej najdrobniejszej przykrości, nie nalegał. Na dnię przyjęć zabierał ją zwykle w towarzystwie młodej księżnej, która matkowała Stefci. Państwo Rudeccy woleli pozostać na uboczu. Stefcia miała całe dni zajęte, często drobne sprawunki załatwiając z panną Ritą. Towarzyszył im Trestka. Nadzieje hrabiego wzrosły. Panna Rita sprzyjała mu więcej niż zwykle. Żal do Stefci zaczął się w niej stopniowo, tylko patrząc na miłość Waldemara doznawała napadów melancholii, smutnej, lecz już pełnej rezygnacji.

W pewnym dniu przyjęć u księżnej spotkała Stefcia pierwszy raz od jesiennych polowań hrabinę Ćwilecką i jej córki. Dumna hrabina chciała zaznaczyć swą niechęć, lecz obecność ordynata i księżnej uniemożliwiła popełnienie jakiegoś nawet dwuznacznego ruchu, nie mówiąc już o słowach. Podały sobie ręce sztywno, lecz grzecznie. Panna Paula, narzeczona barona Weyhera, szczerzej uścisnęła rękę Stefci i nazwała ją wesoło koleżanką. Wszyscy mężczyźni, którzy znali Stefcię poprzednio, mieli teraz dla niej żywy podziw z powodu, że została narzeczoną ordynata. Uważano ją za fetyszkę, gdyż wybredny gust Waldemara znanym był powszechnie.

W szeregach męskich podziwiających Stefcię nie znalazł się tylko Barski. Razem z córką odsunięty

od bliższej rodziny ordynata, jedynie księżnej składał czasem konieczne wizyty, bardzo ceremonialne. Hrabianka Melania spotykając ordynata okazywała mu majestatyczny chłód.

Starających

się miała mnóstwo, ale jeszcze nie mogła się zdecydować. Po wielkich nadziejach na ordynata niełatwo jej było wybrać kogoś stosownego. Największe widoki posiadał książę Zaniecki, chociaż miał ogromne długi, lecz okraszone tytułem. Mówiono powszechnie, że hrabianka czeka na jakąś nieprzewidzianą partię, że chciałaby zjednać na nowo księcia Lignickiego. Tymczasem zaręczyła się z Zanieckim, ale nie lubiła, gdy o tym głośno mówiono.

Hrabianka, wychodząc raz od Hersego, ujrzała młodą księżną Podhorecką i Stefcię, wysiadające z karety ordynata. Księżnej ukloniła się, Stefci udała, że nie widzi. Jednak dobrze spostrzegła jej postać w eleganckim wiosennym kostiumie z granatowego sukna z szynszylami i w malutkim toczku, zgrabnie zdobiącym jej sobolowe włosy.

Gdy szwajcar z ukłonem otwierał drzwi, hrabianka, stojąc na chodniku, zaśmiała się ironicznie przykrym, zdławionym śmiechem. Księżna i Stefcia, już w drzwiach, odwróciły głowy.

Wyzywająca postawa hrabianki, jej oczy, pełne złości, brzydkie skrzywienie ust, czyniły ją potworną. Była w tej chwili uosobieniem najwyższej nienawiści.

Stefci szalona przykrość sprawiała ból nieznośny. A księżna rzekła dość głośno:

– Imbécile! 13

13 Imbécile! (fr.) – Głupia!

107

I zaczęła uspokajać wzburzoną dziewczynę.

Księżna Krystyna Turyńska inaczej objawiała swój zawód miłosny. Usunięta zupełnie z życia towarzyskiego, nieznacznie starała się zobaczyć Stefcię. Ujrzawszy ją na koncercie w Filharmonii i drugi raz na spacerze w Łazienkach, księżna zastanowiła się.

– Nic dziwnego, że ona go zachwyciła – szepnęła do siebie z goryczą.

Długo potem, stojąc przed zwierciadłem, porównywała swą wyzywającą piękność hetery z uroczą postacią młodej narzeczonej i odczuła własną porażkę.

Wpatrując się z bliska w fotografię Stefci, badając wyraz jej twarzy, głębinę oczu, księżna Krysta doszła do stanowczego wniosku:

– To nie przebiegła kokietka, to śliczna dusza dziewczęca. Kocha w nim Waldemara, nie ordynata na Głębowiczach.

I rzekłszy to sobie, przestała nienawidzić Stefcię.

Żal za Michorowskim wybuchał w duszy księżnej z tragiczną siłą. Tłumiła go, rozumiejąc, że piękny romans, słabnący już od paru lat, musiał się skończyć. Dawne nadzieje poślubienia ordynata prędko zbladły. Księżna była zbyt inteligentną, aby się łudzić, ale wolała pozostać rozwódką, bez zmiany stosunków z ordynatem, niż żoną innego. Księżna nie pisała do Waldemara rozpaczliwych listów, tylko w jednym prosiła go, aby ją odwiedził. Ordynat nie zawahał się; pomimo wszystko cenił księżną za jej odrębną etykę. W jego pojęciu stała nieśkończenie wyżej od margrabiny Silva i kilku innych zagastych ogni przeszłości. Odwiedziny

jego u księżnej Krysty nie trwały długo. Ordynat zachował się względem niej z wytworną uprzejmością, rysując jednocześnie w delikatnych liniach swój obecny i już niezmienny dogmat. Księżna z przerażeniem spostrzegła, że Michorowski przeciął ostatnie nici. Zalana łzami, potrafiła jednak zręcznie zastosować się do konieczności. Ordynat nie lubił scen i księżna mu ich oszczędziła.

Pożegnali się jak ludzie światowi, przyjaźnie i grzecznie, bez wzmianki o tym, co było, i bez życzeń na przyszłość. Księżna, ściskając dłonie ordynata, rzekła tylko:

– Porzuca pan małe stawki, a rozpoczyna... wielką grę. Wygrasz na pewno! Ale co do mnie, chciałabym należeć do tych natur... najszcześliwszych, na których przejście z tęczy do mgły nie robi wrażenia.

Ordynat pocałował ją w rękę.

– Niech pani nie zazdrości glinie, że robią z niej lalki.

Od księżnej Krysty Michorowski pojechał wprost do narzeczonej. Stefcia wiedziała o tych odwiedzinach, gdyż Waldemar uświadomił ją o dawnych stosunkach kawalerskich. Dla księżnej Turyńskiej miała sympatię i pewne współczucie.

Gdy rozeszła się wieść po salonach, że księżna wyjechała do Hiszpanii, towarzystwa żadne wrażenia darować jej nie mogły tej niesłychanej uległości.

Księżna zrobiła przykry zawód głównie paniom, zamykając drzwi do oczekiwanego przybytku plotek.

## XXIV

Pewnego wieczora przed gmach Opery zajechała pomiędzy innymi karetą ordynata. Wy- siadła księżna Podhorecka, pan Maciej, Stefcia i panna Rita. Ordynat z Trestką przyjechali najpierw. Stefcia, opatulona w białym płaszczu, ledwo była widoczną z obłon gazowego kapturka.

Gdy weszli do własnej łoży ordynata, w sali panował mrok. Za chwilę miano podnieść zasłonę. Stefcia siedziała w środku pomiędzy księżną i panną Ritą, za nimi pan Maciej, ordy- nat i Trestka. Orkiestra kończyła grać uverture.

W przyćmionej sali ciszę mąciły szmery sukien kobiecych i szepty rozmów. Zasłona podniosła się. Grano polską operę Hrabinę.

Stefci serce biło mocno, trochę niespokojnie. W półmroku ujrzała naprzeciw Barską z oj- cem i z jej damą do towarzystwa. Za hrabianką siedział Zaniecki. Wszystkie łoże przepełniała

arystokracja. Byłże to przypadek czy też Waldemar umyślnie wybrał dzisiejsze przedstawienie? Stefcia odgadła, że musiało tak być, bo Waldemar ze szczególną starannością oglądał ją, gdy wyszła ze swego pokoju ubrana do teatru. Miała suknię z białej gazy, wdzięcznie przybraną złotą tasiemką. We włosach złota przepaska. Przy gorsie pęk fiołków z seledynową trawą, zresztą żadnych klejnotów. Waldemar obejrzał ją i uśmiechnął się radośnie: wyglądała prześlicznie. Wręczył jej wielką wiązanek storczyków, sam otulał w płaszcz i w kapturek. Z pewnością wiedział o zebraniu arystokracji w teatrze. Czy to źle, czy dobrze? Stefcia czuła się roztargnioną. Słuchała śpiewu Broni, patrząc na grających artystów jakby sennie.

Waldemar to zauważył. Pochylił się do niej i szepnął:

– Jesteś niespokojna. Czy mogę wiedzieć powód?... Odchyliła głowę i rzekła cicho:

– Niech pan patrzy... – wszystkie łoża przepełnione.

– Widzę, arystokracja przelewa brzegi. Ale cóż nas to obchodzi? Stefcia spuściła oczy.

– Czy to cię dręczy?

– Tak – odrzekła szczerze. Nie umiała przed nim nic ukrywać. Waldemar wziął ją za rękę.

– Czego się niepokoisz? Umyślnie chciałem, aby cię zobaczyli razem ze mną. Wiecznie starasz się ukrywać. To niepodobieństwo! Za dwa miesiące nasz ślub. Powinni cię widywać częściej.

Jesteś zbyt czarująca. Niech cię podziwiają. Pod tym względem nie jestem zazdrosny.

Stefcia uśmiechnęła się.

– Uważajmy na scenę. Niech pan patrzy: Hrabia ogląda strój Diany.

– Nie będzie piękniejszą od ciebie.

– Ale jak gra! jaki głos! jest nadzwyczaj dystyngowaną, prawda?

– Bardzo dobrze odtwarza typ arystokratki z początku stulecia. Ale uważa pani? oni dochodzą do celu.

– Kto?

Waldemar ściągnął brwi i usta.

– Cicho! zakochana para obok nas – szepnął jej do ucha.

Jego wąsy musnęły Stefcie w skroń. Drgnęła, poczuła ogień w żyłach, różowość oblała jej twarz i szyję do pęku fiołków. Waldemar pochłaniał oczyma te łuny, rozlewające się delikatnie a wyraźnie. Aksamitne płatki kwiatów błysnęły jaśniej na różowym podkładzie. Jemu zadrgały nozdrza, oczy zdawały się gorzeć; namiętne cienie mignęły mu na twarzy, usta zacięły jakby z nadmiaru pożądania. I wchłaniał subtelny, a ledwo wyczuły zapach perfum, które

109

sam dla niej wybrał, i gniótł w nerwowej dłoni wachlarz Stefcia. Ogarniał go szal jakiś. Wiedział, jak ciemnozłote loczki wiły się na pięknym karku, jak pierś dziewczyny opadała szybko, jak jego bliskość czyniła na niej podniecające wrażenie. Patrząc na ciepły, różowy ton jej ciała w zorzy rumieńca, szepnął przez zaciśnięte zęby:

– Obiecujący płomień!

Stefcia zaróżowiła się jeszcze silniej.

– Rozkoszna moja! Wtem spadła zasłona.

Waldemar oprzytomniał. Stefcia, mrużąc oczy z powodu mnóstwa świateł, spojrziała na Ritę i Trestkę. Zauważyła, że i oni są pod jakimś wrażeniem.

Nagle zaszumiło w teatrze. Publika wstawała z krzeseł. W łożach mieniło się od czarnych fraków wchodzących i wychodzących panów. Orkiestra zaczęła grać.

– Jesteś pod pręgierzem spojrzeń – rzekła księżna do Stefcia.

Dziewczyna zmieszała się, wzięła z poręczy łoża bukiet storczyków i przysunęła go sobie do ust.

Nachylił się nad nią Waldemar.

– Jedyna moja, patrz na ciebie. Bądź odważną.

Stefcia uśmiechnęła się do niego. Uczuła nagły przypływ energii.

– Dobrze, będę odważna.

– Złota moja!

– Spójrzcie państwo na drugi rząd krzesel – szepnęła panna Rita – ktoś znajomy, ten ładny młodzieniec z kwiatem w butonierce.

Stefcia i Waldemar spojrzeli we wskazanym kierunku. Ona cofnęła się natychmiast.

– Prątnicki! – rzekł Waldemar.

– Gdzie? gdzie? – pytał Trestka wychylając głowę. Panna Rita wskazała mu go wzrokiem.

– Poznałam go od razu, ale on nas jeszcze nie widzi, lornetuje amfiteatr. Wyobrażam sobie jego minę...

– Dozna wrażenia, jakby mu teatr leciał na głowę. Une belle chance! – dorzucił Trestka.

– Dajcie mu państwo spokój – rzekła Stefcia.

Panna Rita mówiła, gryząc w zębach paproć z bukietu:

– Zdetonuje się biedak na widok byłego szefa, z którym mu się notabene bajecznie nie udało. Waldemar wzruszył ramionami.

– Panna Stefania ma słuszość. Zostawcie go własnym wrażeniom. Miłe nie będą mu z pewnością.

Lornetka Prątnickiego, zsuwając się z amfiteatru, zatrzymała się na łożu ordynata. Strojny młodzieniec zadrżał, lornetkę odjął od oczu, spojrzął nie wierząc samemu sobie i poczerwieniał jakby po wymierzonym policzku.

Stefcia! wyraźnie Stefcia! w otoczeniu arystokracji, którą znał, a za nią sam ordynat!

Teraz dopiero Prątnicki zauważył, że wiele osób patrzy na tę łożę, usłyszał szepty. Odruchowo sam zapytał swego sąsiada, jakiegoś młodego jegomościa:

– Przepraszam pana, ale... kto to jest?

– Pan nie wie? To narzeczona ordynata Michorowskiego. Zaręczyli się w karnawale. Śliczna, co?

Prątnicki osłupiał.

Więc pogłoski sprawdziły się? Długi czas nie wierzył w nie. Z ojcem nie korespondował i nic nie wiedział o zajęciach w Ruczajewie. Był tak zdumiony i ogłupiały, że przez chwilę stał jak słup. Trestka uważał na każdy jego ruch i zaczął się cicho śmiać.

Wtem Prątnicki spotkał wzrok ordynata.

110

Otrzeźwiał. Wziął kapelusz udając brawurę i bardzo czerwony wyszedł z krzesel.

W środkowym przejściu naprzeciw łożu uklonił się z wielką elegancją całą figurą. Wszyscy w łoży skinęli mu głowami uprzejmie, lecz bez uśmiechu, jak się kłania komuś, z kim stosunki nie są pożądane. Tylko Trestka miał komiczną minę. Prątnicki, obłany warem, mocował się, ale wyszedł z podniesionym czołem.

W łoży więcej o nim nie mówiono. Waldemar nachylił się do Stefci.

– Wychodzę odwiedzać znajomych. Może przynieść paniom chłodników?

– Ja dziękuję – odrzekła Stefcia.

Ordynat z Trestką wyszli. Stefcia zaczęła otwierać białe atłasowe pudełko z cukierkami, ofiarowane jej przez narzeczonego.

Odzyskała już swobodę, rozmawiała z księżną i panem Maciejem nie uważając na lornetki, skierowane na nią ze wszystkich stron. Księżna cieszyła się z jej powodzenia, sama rozkoszując się jej widokiem.

Panna Rita milczała, cofnięta w głąb łoży. Ubrana w wygorsowaną suknię, wachlowała się sennym ruchem, nie zwracając uwagi na pełne łoże szumiące na dole krzesła. Cukierki od Trestki leżały na jej kolanach nie otworzone. Żuła pralinę z pudełka Stefci. Ich łoża zaczęła się również napełniać. Najpierw zjawił się Brochwicz. Wołał wesoło:

– Cóż Hrabina? Jest na wysokości swego zadania, nieprawdaż? Znakomita obsada! Proszę o czekoladkę, panno Stefanio... Merci... Co za pyszne storczyki! A suknia! a! a! cudowna! Pani jest dziś atrakcją wszystkich łoż. A gdzie ordynat? Ach tak, odwiedza znajomych! Czy księżna

zauważyła, że Zaniecki odgrywa już rolę narzeczonego? To zabawne! bo hrabianka toleruje go zaledwo.

– Podobno są po słowie.

– Ech! problematyczne!

Schylił się, wsunął głowę pomiędzy Stefcie i pannę Ritę i zaczął szeptać:

– Zaniecki to ostroga Melanii: chce nas nim ubość aż do krwi, ale się nie dajemy.

Brochwicz wyszedł, przywitawszy w drzwiach barona Weyhera z hrabią Ćwileckim. Łoża ordynata wkrótce przepełniła się. Mur traków i białych gorsów tworzył doskonale tło dla jasnej, żywej postaci Stefcie. Rozbawiona, przyjmowała wesołe hołdy, rozmawiając z dowcipem i elegancko. Interesowała młodzież, zwracali się głównie do niej. Tych, których jej pan Maciej pierwszy raz przedstawił, zbywała chłodniej, lecz uprzejmie. Dziwnie potrafiła pogodzić wesołość i swobodę z taktem i znajomością najwykwintniejszych form towarzyskich. Mimo woli rozbrajali się pod jej wpływem ci, co przedtem patrzyli na nią z ukosa. Tylko Barski nie przyszedł, akcentując swą niechęć. Poszedł do hrabiego Mortęskiego i długo mu coś szeptał na ucho. Siwe kępki włosów nad uszami eksprezesa, wielkie piwne oczy i nos garbaty, wystający z twarzy – wszystko się kiwało, trzęsło, mrugało ze zgorszenia. Hrabia Barski nie próżnował w teatrze i umiał dobierać stosowne materiały do nici swych intryg, potrafił haftować nimi genialnie.

W łoży ordynata zaszumiało koło drzwi i wesoły głos zawołał:

– Rozstąpcie się, panowie!

Czarne fraki rozsunęły się na dwie strony, środkiem wbiegła piękna hrabina Wizembergowa, cała w koronkach, lśniąca brylantami. Towarzyszył jej niemłody mężczyzna.

Panowie ukłonili się, pan Maciej wstał. Hrabina witała wszystkich uprzejmie, usiadła na podanym sobie krześle i mówiła:

– Przyszłam odwiedzić księżnę. Zaledwo przed paru dniami powróciłam z zagranicy. Księżna dziękowała, pan Maciej spytał o panią Idalię i Lucię.

– Zdrowe obie. Lucia przesyła tysiące ukłonów.

Zwróciła się żywo do Stefcie, powtórnie podając jej rękę z miłym uśmiechem:

111

– Pani składami najlepsze życzenia. Ordynat był w mej łoży. Zarzuciłam go życzeniami.

Wyszedł rozczulony. Mój mąż znalazł panią cudowną. Mówi, że mu pani przypomina Grotgerowskie typy. Biedna Lucia jest w rozpacz, że nie może pani widzieć.

– Czy baronowa stale bawi w Nizy? – spytała spłoniona Stefcia.

– Przyjechała do Mentony. W połowie maja wracają do kraju, może wcześniej.

– A gdzie jest mąż pani hrabiny? – zagadnął któryś z panów.

– W foyer. Zaraz tu przyjdzie.

Baron Weyher pogładził swe bokobrody.

– Mieliśmy kłopot z pani mężem. Chciał koniecznie jechać po panią na Riwierę. Hrabina zaśmiała się.

– I wstrzymaliście! Zatem winnam wdzięczność panom. Za długo podróżowałam. Mój mąż był zdenerwowany.

Spojrzała na Stefcie rozbawionymi oczyma.

– Pani się zapewne dziwi? Istotnie prosiłam tych panów, aby zabawili mojego męża w Warszawie. Zepsuły mi całą zabawę na Riwierze. Księżna pogroziła palcem wesołej hrabinie..

– Ach, ty niepoprawny trzpiocie! zawsze jesteś taką samą.

– Proszę cici, wolę otwarcie się oskarżać. Nie chciałam mieć go z sobą.

– I stało się podług życzenia pani – wtrąciła wesoło Stefcia. – Czy bawiła się pani istotnie dobrze?



– Doskonale! Wydałam bajkońskie sumy, wariowałam! Ordynat mi powiedział impertynencję, że pomimo świetnych zabaw wyglądam, jakbym była désillusionnée<sup>14</sup>. Mówi, że w moim śmiechu brzmią jakieś zgrzyty. Po części zgadł, ale... jestem na niego zła.

Zaśmiała się do pana Macieja:

– Wnuk pański jest nadzwyczajnym obserwatorem, zauważył od razu dysonans w mej pozornej harmonii.

– Nasza Syrena panią nastroi na lepszy ton – rzekł jeden z panów.

– Wątpię! Mnie nastroić może tylko dobry mistrz, a obecnie nasz high life już... nie posiada go. Przy tych słowach piękna pani błysnęła wesoło oczyma na panów, którzy udawali, że mają obrażone miny.

Gdy hrabina wyszła, Stefcia wzrokiem zaczęła szukać narzeczonego. Był właśnie u Ćwileckich.

Z radością patrzyła na jego śmiałe, eleganckie ruchy, na pewność siebie i wytworne zaniedbanie, cechujące go zawsze. W czarnym fraku, smukły, zgrabny, w postawie swej nosił pana w każdej kropli krwi. Witany wszędzie mniej lub więcej szczerymi uśmiechami, pociągał oczy kobiet, drażnił nerwy zawiedzionych, porywał tajemniczym urokiem.

Gdy wszedł do łoża Barskich, hrabianka z wymuszonym uśmiechem podała mu rękę i natychmiast zagadała o scenie, jakby bojąc się innej rozmowy. Wtem jeden z panów otaczających hrabiankę rzekł z ukłonem:

– Panie ordynacie, proszę przyjąć moje życzenia. Wróciłem w tych dniach z Paryża i wcześniej nie mogłem powinszować panu.

Waldemar uściśnął mu rękę.

– Dziękuję.

Młody panicz mówił dalej.

– O zaręczynach dowiedziałem się w Paryżu, ale pańskiej narzeczonej nie jestem jeszcze przedstawiony, chociaż zachwycony. Une très belle personne, très distinguée!<sup>15</sup>

14 désillusionnée (fr.) rozczarowana

15 Une très belle personne, très distinguée (fr.) – Bardzo piękna osoba, bardzo dystygowana!

112

Waldemar ponad głową hrabianki spojrzął na Stefcię. Wyglądała porywająco. Była jak delikatny kwiat na czarnej masie fraków, otaczających ją ściśle.

Hrabianka Melania, czerwona z gniewu, spoglądała na przeciwległą łożę wzrokiem pełnym jadu. Powodzenie Stefci drażniło ją. Słowa młodego księcia oburzyły.

– Kiedyż ślub? – syknęła ze złośliwym grymasem ust; miał to być śmiech uprzejmy.

– Za dwa miesiące.

– Potem w podróż zapewne? – rzekł młody książę z pochyleniem głowy i całej postaci, trzymając kapelusz w obu rękach zwieszonych na dół. Długą szyję wyciągnął ciekawie naprzód.

– Nie, lato mamy zamiar spędzić w Głębowiczach. Podróż projektujemy na sezon jesien-ny i zimę. Pożegnaj państwa – rzekł ordynat kłaniając się.

Nerwowy, pełen złości ruch hrabianki przy podaniu ręki rozśmieszył Waldemara.

– Antagonistka! – szepnął do siebie w korytarzu.

Ordynat obszedł jeszcze parę łóż. Przy wejściu do własnej spotkał się z młodym księciem.

Przedstawiony Stefci panicz złożył głęboki ukłon, po czym stał obok jej krzesła zawsze z cylindrem w obu rękach jak wieszadła spuszczone, pochylony, z charakterystycznym uśmiechem na wygolonej starannie twarzy. Stefcię śmieszyła jego wysoka, chuda postać i zachwyty malujący się w oczach. Mówił jej grzeczności i widocznie podobała mu się bardzo.

Wychodząc, już w korytarzu, uściśnął rękę Waldemara.

– Winszuję! winszuję! niepowszednia uroda! Ordynat zawsze odnajduje gwiazdy. Waldemar pożegnał go trochę niecierpliwie.

– Niech pan spieszy, już dzwonek, spóźni się książe.

– Bien, bien, merci! 16 Niepowszednia uroda... Spieszę... spieszę.

I pobiegł szybko, pochylony naprzód, z zapadłą piersią, długimi nogami i ogoloną głową młodego starca. Rozpoczął się drugi akt. Prątnicki nie wrócił do krzeseł, wybrał sobie miejsce na galerii i stamtąd

patrzył na Stefcie i ordynata. Doznawał dziwnych uczuć – przede wszystkim jakiegoś wstydu. Ale nikt go nie widział z łoży.

Stefcia teraz pilnie uważała na scenę, chociaż Waldemar często jej coś szeptał do ucha. Księżna rzekła:

– Widzę, że nie bardzo zajmuje was sztuka. Może wasza lepsza. Słuchajcie śpiewu Hrabiny. Rozległo się na scenie początkowe recitativo:

Suknio, coś mię tak ubrała, Jakby posąg w greckim stylu, Hołdy tylu, zawiść tylu  
Będę, będę dziś widziała.

Wiotka, efektowna postać artystki w stroju Diany cieniowała głos niesłychanie pięknie. Nagle popłynął śpiew:

Dźwięk dokoła, blask i woń, Płyną tęczą gazy, wstęgi, Błyszczą lustra... W dłoni dłoń, Już  
taneczne widzę kręgi,  
Już wir balu wszystko złał  
W jeden urok, w jeden szal.

Artystka rozlewała czyste, swobodne tony. Jak zawieja srebrnych kropelek sypały się dźwięczne gamy jej głosu. Szczerłość i uczucie wiały z wysokich nut, którymi dziwnie umiała

16 Bien, bien merci (fr.) – Dobrze, dobrze, dziękuję!

113

modulować. Wszyscy słuchali w skupieniu. Śpiew umilkł, posypały się oklaski.

– Ślicznie śpiewa – rzekła Stefcia.

Wtem oboje z Waldemarem usłyszeli szept Trestki:

– ...dlatego, że nie mam weny? Ale tyle lat, to stanowi moją siłę.

– To mię nie rozczuła – odszepnęła panna Rita.

– Ale wzbudza ufność.

– Czy to wystarczy?

Waldemar z łobuzerskim uśmiechem zwrócił się do księżnej:

– Babciu, państwo Trestkowie są także niegrzeczni. Stefcia trąciła go wachlarzem.

– Za wcześniej nas pan tak nazywa – odparła sucho panna Rita. Ordynat rzekł do Stefci:

– Czy panią obraziłoby, gdyby nas teraz nazwano: państwo Michorowscy?

– Nie – odrzekła Stefcia z uśmiechem.

– A widzi pani? – mówił Waldemar do Rity.

– Wy jesteście narzeczeni.

– Zdaje mi się, że i wam złożymy dziś życzenia. Trestka spojrział na ordynata z wdzięcznością.

Waldemar ciągnął dalej:

– Niech pan uważa, jak się Dzidzi na scenie energicznie zachowuje. Niech pan bierze z niego przykład: on „Akteon wytrzymał”!

– Niech pan im nie dokucza – szepnęła Stefcia.

– Dobrze, już będę grzeczny.

Na scenę wjechała sztuczną łodzią okazały Podczaszyc w kostiumie Neptuna. Wołał tu- balnym głosem:

Oj! coś trzeszczy wóz z tektury. Dzidzi! każ no zwolnić sznury. Bo będziecie mieć robotę, Jak syrenę którą zgniotę.

– Niezrównany! – zawołał półszepem ordynat.

Nastąpiła scena rozdarcia sukni. Hrabina robi wyrzuty Kazimierzowi.

– Podaje mu oszczep przeciw sobie – rzekł znowu Waldemar. – Suknia będzie tarczą, która ocali ułana od kokietki. Zdarza się tak często.

I przyszła mu na myśl rozmowa z hrabianką Melanią w Głębowiczach, po której ostatecznie stracił dla niej sympatię.

Podczas drugiego antraktu Waldemar poszedł z Trestką na cygara. Był tam i Barski. Palił nie odzywając się do nikogo. Brochwicz trochę dokazywał. Opowiadał swe wrażenia z pierwszego rzędu krzesel, zachwycał się primadonną w roli Hrabiny.

– A Bronia nie podoba się panu? – spytał Weyher.

– Bronia? Hm! Bronia jest trochę w grze sucha, nazbyt kołkowata. Może to robi różnica stroju; kontusik i te tam puszki, wyloty obok pajęczynowego kostiumu Diany sprawiają efekt na niekorzyść Broni.

– Ona głównie razi obok dystynkcji Hrabiny – rzekł Waldemar. – Dobra artystka i na scenie dama. Bronia nawet w tych samych gazach nie osiągnęłaby celu. Tu występuje różnica rasy.

Hrabia Barski, rozparty na fotelu, z cygarem w zębach, patrzył impertynencko na ordynat.

114

– Proszę! pan odróżnia rasę? – przemówił kpiąco.

– Odróżniam! – odrzekł Waldemar chłodno.

– Voyons! a to nowa rzecz! Już po panu nie spodziewałem się takiej antytezy.

Ordynat rzucił się na fotel również w niedbałej pozie. Oczy utkwiał w tłustej twarzy hrabiego i spytał jakby od niechcienia:

– A moja teza, wolno wiedzieć jaka?

– Pańskie słowa są antytezą jego postępów – odrzekł hrabia gwałtownie. Waldemar był spokojny, lecz zimny.

– Za pozwoleniem! co hrabia przez to rozumie? Ja mówiłem o różnicy ras pomiędzy naszymi artystkami, nie naruszając ról, jakie wykonywają.

Twarz hrabiego pęczniała coraz bardziej.

– A ja przeciwnie, mówiąc o rasie miałem na myśli sferę Hrabiny. Bronia, zwykła sobie szlachcianeczka, musi razić wobec magnatki, to prawo natury. Dziwiłem się, że pan jeszcze nie zatracił zmysłu spostrzegania tych różnic, jakie biją w oczy. Powtarzam, słowa pańskie są antytezą jego postępów, a te dowodzą – zaniku etyki!

Przytyk był wyraźny, wzmianka o szlachcianeczce stosowała się do Stefci bardzo nie- dwuznacznie.

Waldemar powstał wzburzony. Kilku panów, Brochwicz i Trestka zbliżyli się. Pachniało skandalem.

– Panie hrabio, dosyć! – zawołał ordynat syczącym głosem. – Moja teza i moja etyka stoi nieskończenie wyżej od wszelkich praw natury w mniemaniu pańskim. Mój zmysł spostrzegawczy jest zaostrzony i czujny i tym lepiej pomaga mi odróżniać szlacheckie sokoły od wielu magnackich pawie, które sfera maluje w jaskrawe kolory! Rasa to przywilej wyłączny, nie związany z żadną inną sferą, wchodzi nie przez ukrašzone pióra, lecz przez szlachetną

krew, i także bije w oczy. Przy tym jest w parze z delikatnością, a ta nie zawsze bywa w osobnikach we własnej imaginacji drapujących się w rasę. Jeśli obraziłem hrabiego, adres mój wiadomy.

Ordynat skłonił się trochę wyzywająco i wyszedł z fajczarni.

– A to mu łupnął! – rzekł cicho Brochwicz.

– Pojedynek? – zdumiał się Trestka, wznosząc brwi. Brochwicz wyciągnął go na korytarz.

– Awantura! – mówił zacierając ręce. – Pan myśli, że Barski skorzysta ze słów ordynata?

Przecie to formalne wyzwanie. Ale nie Barskiemu mierzyć się z ordynatem! czy na rewolwery, czy na rapiry – jeden wynik. Ordynat podziurawiłby jego dumny majestat, aż skwierczałby jak indor na ruszcie. Ależ dostał! Magnackie pawice! Uważał pan? odnośnik do Melanii. Bycze porównanie! gdybym posiadał wymowę ordynata i jego sławę w strzelaniu i fechtunku, odbywałbym po kilka pojedynków na tydzień.

Brochwicz gestykułował niesłychanie.

– Jeśli Barski sekundantów przyśle? – niepokoił się Trestka.

– To wówczas pozna zęby ordynata! Ale Barski nie przyśle. Ordynat zostawił kwestię w jego woli, bo sam lekceważy takiego przeciwnika. Barski zaś musi się liczyć. Możemy być spokojni! Chodźmy, bo już dzwonią.

Nagle Trestka stanął.

– A Zaniecki? – rzekł tajemniczo. Brochwicz parsknął śmiechem.

– Zaniecki ordynata nie wyzwie, bo to lalusz z waty, kleju i perfum. Zresztą przy awanturze nie był, a Barski mu się nie pochwali, schowa w kieszeń cukierek ordynata. Przy tym Zaniecki nie jest jeszcze zdecydowanym narzeczonym, aby się miał ujmować za starym. Co tam!

idziemy na miejsce.

Waldemar wszedł do łóżki już spokojny, ale blady. Usiadł za Stefcją w milczeniu.

115

Ona dostrzegła w nim zmianę.

– Co panu? – spytała.

– Nic, jedyna, gorąco tu – odrzekł z uśmiechem.

W teatrze światło było przyćmione i scena zasłonięta. Umysłny efekt dla melodyjnych tonów poloneza Moniuszki, który zaczynał płynąć z orkiestry delikatnie, barwnie, wzruszająco.

– Jakie to śliczne! – rzekła cicho Stefcją.

Siedziała oparta na krześle z odchyloną w tył głową, zasłuchana, podniecona. Oczy jej mrużyły się, kwiaty przy gorsie drżały, poruszane pulsem ciała. Upojenie wsączało się w jej nerwy.

Polonez, grany z artyzmem, wtłaczał do duszy złote rojenia. Z instrumentów, jak na przecznych gazowych skrzydełkach, wzbijały się nuty czyste, delikatne, pełne uczucia, a szumiące jakąś rozkoszną rzewnością. Wrażenie było ogólne i potężne. Cisza zaległa łożo i krzesła. Górne sfery zdawały się uśpione. Melodia płynęła niepowstrzymaną siłą, omotywała urokiem, i drażniła.

Wiew spokoju i błogości z tonów zda się przeczulonych.

– Wspaniałe! – szepnął Waldemar, tuląc w swej dłoni ręce narzeczonej.

Ze Stefcją, bardzo wrażliwą, działo się coś niezwykłego. Grały w niej nerwy, uczucia słodkie, idące z serca, i zmysły, rozbudzone pieśczętą Waldemara. Niepochwytnie marzenia niosły ją w przestrzeń wśródgwiezdną. A muzyka wszechwładnie rozsnuwała czar.

Księżna i pan Maciej byli zasłuchani, głęboko zamyśleni.

Trestka siedział skulony, trzymając Rity rękę, którą od czasu do czasu całował. Ona mu tego nie broniła. Nieruchoma, blada, miała w ciemnych oczach mgiełki wzruszeń, usta trochę zwieszono wyrażały ledwo widoczną rezygnację.

Waldemar dosłyszał cichy szept.

– Czy tak? czy tak?... – mruczał Trestka.

– Niech się stanie – odrzekła cicho. Trestka ucałował jej rękę.

A polonez, rozbrzmiewając w przyćmionej sali, budził pragnienia, rozdmuchiwał namiętności, w dusze kładł dobroć, oczy krasiał uczuciem, czasem łzami.

Potęźnie płynął!

Zabierał wszystkich na swe fale jak niewolników. Rozbrajał, łagodził, rozmarzał...

Nagle cisza! Ostatni ton wyfrunął z orkiestry i nastąpiło głucho milczenie.

Jakby po przelocie aniołów o szumiących piórach ludzie wpadli w zachwyt.

Wtem na górze, wysoko, niby pierwszy lekki odgłos gromu, ozwało się kłaśnięcie. Po- budka! i teatr zahuczał. Zapał, entuzjazm. Wszystkie wrażenia skupiły się w oklaskach. W ogłuszającej wrzawie znajdowały ujście podniecone zmysły.

Panie, wychylając się z łóż, klaskały w dłonie. W krzesłach i amfiteatrze rozbrzmiewał huk jakby wzburzonego morza.

Górne sfery, uniesione szałem ryczały:

– Brawo! Bis! bis!

Ale inni zaczęli sykać. Wielkie wrażenie powtórzenia nie znosi. Trudno wywołać uczucia ponownie w tej samej mocy. Powtórzenie często psuje pierwszy efekt.

– Dosyć! dosyć! – wołali wykwintniejsi miłośnicy muzyki. Zastona podniosła się.

Wszyscy jak po odurzeniu narkotycznym powracali do trzeźwości. Jowialny dowcip Chorążego na scenie dokonał reszty. Jego śpiew myśliwski nastroił junacko wielu ze słuchaczy, scena z zieleniaczkiem ubawiła.

Panna Rita spytała cicho Trestkę:

116

– Co zaszło z ordynatem? Był wzburzony.

– Awantura z Barskim.

– Gdzie?

– W fiumuarze.

Stefcia usłyszała. Zbladła silnie. Ponieważ Waldemar coś mówił do księżnej, więc pochyliła się do Trestki.

– Co pan powiedział? – szepnęła z lękiem. Oczy miała prawie czarne z przerażenia.

– Niech pani będzie spokojna! Mała nieprzyjemność... Barski poskromiony – odszepnął Trestka z miną wielce lekceważącą.

– Pan mówi prawdę?

– Ależ jak Boga kocham!

Stefcia cofnęła się. Nie była jednak uspokojoną. Przeczynała, że zajście pomiędzy ordynatem a Barskim wynikło z jej powodu. Miała niemal pewność, że tak jest. W łoży Barskich siedziała tylko hrabianka ze swą damą do towarzystwa i Zanieckim. Hrabia widocznie wyjechał z teatru.

– Co zaszło i czy tak zawsze będzie? – pytała siebie Stefcia ze ściśniętym sercem.

Panna Rita, również niespokojna, patrząc na Trestkę, nieznacznie dotknęła ręką skroni. Trestka zrozumiał: pytała go o pojedynek.

Zaprzeczył ruchem głowy, po czym napisał coś w notatniku i podał Ricie.

Przeczytała: „Ordynat-matador. Kto zaś Barski, proszę wspomnieć arenę – dodam tylko: rozwścieczony!”

Panna Szeliżanka zagryzła usta ze śmiechem.

Przedstawienie kończyło się. Podczaszyc oświadczał Chorążemu Bronię i Kazimierza.

„Siuprem rezon właśnie czuję” – mówił z komiczną miną rubasznego eleganta. Zabrzmiął końcowy śpiew Hrabiny: „Zbudzić się z ułudnych snów”.

Żal, obraza, zawiedziona ambicja w głosie śpiewaczki. Niestychanie akcentowała słowa, mimikę, głos. Ostatnią strofkę wyrzucała z piersi niemal z rozpaczą.

Ależ żal okazać mu, Wstydu łyzy wylewać tu, Byłby to poniżej kres...

Chyba gniew, lecz nigdy łez!...

– Brawo! brawo! – zawołał Waldemar.

Jeszcze trochę dowcipów Podczaszyca i zasłona spadła. Łoże poruszyły się, zaszumiało, panowie żegnali damy.

Waldemar otulał Stefcie w biały płaszcz. Zauważył, że jest trochę jak przyćmiona.

– Co ci jest, jedyna?

– A panu co było, jak pan wszedł po drugim akcie? – spytała, mając utkwione oczy w jego twarzy.

– Ach! odgadłaś, bądź spokojna – drobnostka!

– Na pewno?

– Daję ci słowo.

Ordynat sprowadzał ze schodów narzeczoną, Brochwicz – księżnę. Z łóż płynęła strojna fala płaszczów i kapturków kobiecych, i czarnych ubiorów męskich. Szła barwna pogwara wdzięcznych głosów, pożegnań, często zatrzepotał śmiech. Oczy kobiet spod koronek, iluzji grały światłem klejnotów. Szum jedwabnych tkanin i ulotna woń perfum znamionowały przejście patrycjatu. Z krzeseł rozchodziła się publika dużo skromniejsza, choć również wytworna, poprzedzana przez błyszczące uniformy pierwszego rzędu. Wśród nich zdarzała się i postać frakowicza.

117

Wtem zahuczały schody na wyższych piętrach tupotem nóg i głośną wrzawą. Coś niby gradowa chmura waliło z górnych sfer.

Trestka niespokojnie podniósł głowę.

– Uciekajmy! – zawołał przestraszony – puszczono rajk! zgniotą nas! Sapristi! Że służba nie ma na tyle rozumu. Wybrali się w porę! Uciekajmy!

– To trudno, panie – rzekł Waldemar ze śmiechem – oni mają te same prawa do świeżego powietrza, co i my. Przez dach nie powychodzą, a dla naszej miłości nie będą czekali w pu- stym teatrze, boby ich woźni poprzykrywali płótnami. I tak może nieraz oberwą końcem brudnej zasłony; woźni nie pytają, są nazbyt gorliwi – szydził Waldemar.

– A tymczasem nas roztratuja – narzekał Trestka.

– Bądź pan spokojny, już jesteśmy na dole.

W korytarzu przy kasie stał Prątnicki, oparty o barierkę. Na widok ordynata i Stefcie od- wrócił się. Stefcia nie widziała go, ordynat udał, że nie widzi. Pod filarami tłoczyły się pojaz- dy, szwajcar wywoływał.

– Kareta ordynata Michorowskiego, podjeżdżać! Waldemar usadowił narzeczoną obok Rity.

– „Bristol”! – rzucił stangretowi. Konie ruszyły.

– Pan ze mną. Mam do pomówienia – rzekł ordynat do Trestki.

W hotelu Sala Malinowa była już oświetlona, stół ubrany kwiatami. Służba oczekiwała panów. Ordynat z Trestką przyjechali pierwsi. Hrabia miał minę rozpromienioną.

Goście zaczęli się zjeżdżać. Waldemar występował jako gospodarz. On urządzał ucztę.

Sala Malinowa, czytelnia, przedsiónek błyszczwały elektrycznością i jaśnią rozweselonych twarzy. W środkowym czworoboku bił wodotrysk, orkiestra grała. Na górze panie poprawiały stroje.

Nareszcie ruszono do stołu.

Ordynat siedział obok narzeczonej. Zwrócił się do niej mówiąc tajemniczo:

– Usłyszysz pani niespodziankę.

– Jaką?

Z kielichem szampana powstał z krzesła i rzekł dobitnie:

– Pierwszy toast wznoszę na cześć nowej pary narzeczonych, którymi są: panna Marge- rita Szeliga i hrabia Edward Trestką. Niech żyją!

Zdumienie ogarnęło wszystkich. Ogólnie spodziewano się tego, ale jeszcze nie teraz. Pełne kielichy zawisły w powietrzu. Trestką miał minę zachwyconą, panna Rita była blada, lecz spokojna.

– Niech żyją! – powtórzył Waldemar, odsunął krzesło i podszedł do niej. Wszczęła się wrzawa, odsuwano krzesła z hałasem.

– Winszujemy! winszujemy!

– Vive! 17– dystyngowanym dyszkantem wycedził hrabia Morykoni.

– Wiwat! co tam vive – poprawił Brochwicz.

Waldemar ucałował ręce panny Rity i powiedział serdecznie:

– Chciałem pierwszy złożyć drogiej pani moje najlepsze życzenia, tak jak pani mnie ży- czyła pierwsza.

– Skąd pan wiedział?

– Słyszałem podczas poloneza i porozumiałem się z Edwardem.

– Ha! trudno! musiało się tak stać – odrzekła z determinacją.

Przyjmowała życzenia z uśmiechem. Ze Stefcią ucałowały się jak siostry. Księżna miała

17 Vive! (fr.) – Niech żyje!

118

łzy w oczach.

Gdy Trestką przypiął się do ręki narzeczonej, ona odsunęła go lekko, lecz bez niechęci.

– Panie, rozrzewniona jestem, ale czulić się nie lubię. To sobie zawaruję w intercyzie ślubnej.

– Zgoda! nawet na to przystaję – odrzekł hrabia wesoło.

I z nadmiaru uciechy spadły mu binokle z nosa. Uczta przeciągnęła się do późna.

Niewiele godzin pozostało do świtu, kiedy „Bristol” opustoszał. Ale służba, zadowolona dobrym zarobkiem, nie czuła się wcale senną.

Przeszło parę tygodni. Święta wielkanocne Waldemar spędził u narzeczonej. Drugiego dnia w parafialnym kościele byli wszyscy z Ruczajewa i wiele osób z okolicy, między nimi stary Prątnicki. Patrzył na Stefcie nieśmiało, lecz z szacunkiem. Miejscowy proboszcz urządzał w tym czasie kwestę na odnowienie kościoła i teraz bardzo sprytnie wybrał do tego Stefcie w towarzystwie jednego ze starszych obywateli. Ofiary sypały się hojnie. Wdzięk Stefci, jej nowe stanowisko i obecność ordynata sprawiły, że każdy chciał prześcignąć drugiego. Ordynat dyskretnie położył na tackę mały rulonik, z którego potem ksiądz wydobyl tysiąc rubli w dwóch banknotach. Proboszcz bardzo czuł się zadowolonym ze swego pomysłu. Tylko stary Prątnicki, któremu pieniądze zawsze najczęściej przemawiały do duszy, dowiedziawszy się od księdza o darze ordynata, zrozumiał dopiero teraz swe upokorzenie wobec Stefci i państwa Rudeckich. Nie zbliżył się, aby złożyć życzenia, nie zaszedł na plebanię razem z innymi.



Służba w Ruczajewie nie mogła się również nacieszyć narzeczonym „panienki”, bo ordynat sypał pieniędzmi.

Święta minęły, Waldemar powrócił do Głębowicz.

Pewnego dnia, kiedy miał odjeżdżać na kolej w celu odwiedzenia wołyńskich dóbr Biało-Czerkasy, zawiadomiono go, że przyjechał jakiś pan za hrabią Cwileckim i jego końmi.

– Chyba Weyher? – pomyślał Waldemar.

W salonie z niemałym zdziwieniem ujrzał hrabiego Mortęskiego. Staruszek z wypiekami na twarzy bardzo żywo coś tłumaczył Cwileckiemu.

– Witam hrabiego – zawołał ordynat uprzejmie. Hrabia nieco się stropił.

– Moje uszanowanie! I ja witam. Bardzo mi przyjemnie. Mówiłem tu właśnie hrabiemu Augustowi o Głębowiczach. Stare, stare gniazdo.

– Pewno już coś przeciwko mnie spiskował – pomyślał Waldemar.

Panowie posiadali. Mortęski trząsał siwymi kępkami włosów, a wystający nos jego marszczył się co chwila jakby z zakłopotaniem.

– Rad jestem z odwiedzin panów, ale zdaje mi się, że ich wizyta ma jakiś cel wyłączny. Czy odgadłem? – przemówił ordynat.

Cwilecki poruszył się i chrząknął.

– Tak, to jest właściwie hrabia Mortęski ma do pana interes... hm! tak ordynat domyślił się.

Siwe kłaczki nad uszami byłego prezesa zadrżały mocniej, ale głowę podniósł wysoko, z wypukłych oczu błysnęła już pewnośc siebie.

– Oui, justement!<sup>18</sup> – przemówił suchym głosem. – Będąc w Szalach postanowiłem odwiedzić ordynata i... prosić go o pewne informacje w kwestii towarzystwa rolniczego, związane z ostatnią sesją.

– Słucham.

– Słyszałem od Giersztorfa, że pan wprowadza do naszej instytucji nowe idee i pragnie je rozszerzać.

– O jakich mianowicie hrabia mówi?

– Prawda, bo jest kilka! Więc chce pan podobno utworzyć towarzystwo okręgowe i kółka rolnicze – czy to prawda?

– Tak, tę myśli miałem dawniej, teraz chcę wprowadzić ją w czyn, robię starania.

– Ale co z tego?

18 Oui, justement! (fr.) – Tak, słusznie!

120

– Bardzo wiele! to podniesie kulturę, wzbogaci poziom umysłowy włościan, zwiększy produkcję przy ulepszonym prowadzeniu gospodarstw i samopomocy.

– Nie zwrócił pan jednak uwagi na ten szczegół, że włościanie są zbyt mało oświeceni do podobnych innowacji.

– Toteż nie będą sami: takie kółka są pod egidą inteligencji. Obywatele przewodniczą włościanstwu. Odbywają z nimi posiedzenia, rzucają myśli, miewają odczyty, słowem, wspólnie radzą nad korzyścią gospodarstw. Kółka chcę utworzyć na wzór poznańskich, gdzie są prowadzone wybornie, my zaś...

– No dobrze! – przerwał Mortęski – ale w Poznańskim lud jest więcej cywilizowany, a u nas dzicz.

– Więc oświecajmy! To nasz obowiązek! Co w naszej mocy, powinniśmy robić, przynajmniej pobudzać obywatelstwo, dawać inicjatywę.

– Dużo pan znajdziesz chętnych! justement!

– Bardzo niewielu, wiem o tym, chociaż więcej chętnych niż odpowiednich. Nasze średnie obywatelstwo nie nadaje się zbyt do tego, głównie z przyczyn materialnych. Oświecenie ludu wymaga pewnych kosztów. Trudno żądać od ludzi, którzy sami borykają się z majątkiem, aby kształcili chłopów. Ale proszę wyliczyć domy magnackie w naszej guberni i zaobcowane obywatelstwo: Ci są podstawą do czynów społecznych, gdyby tylko chcieli! Potrzebna pobudka? Więc dajmy ją! Może niejeden się ocknie i przyzna słuszość wspólnej sprawie.

– Przyzna, ale nie weźmie udziału.

– Dlaczego?

– Hm! to już jego osobista kwestia – wycedził Ćwilecki. Waldemar uśmiechnął się.

– Znadto by się sfatygował, co? Bywają i tacy, nie przeczę. Ale przy ludziach prawdziwie odczuwających nasze potrzeby jest dużo jedynie ambitnych. Takim trzeba wskazać myśl, aby za nią poszli, nie dla myśli, lecz dla sławy, dla tej prostej ludzkiej słabości przewodzenia nad innymi, którzy z powodu gorszych warunków nie mogą sobie na to pozwolić. Bo filantropia, oparta na działaniu, to po części luksus.

Mortęski pokiwał głową i zaśmiał się ironicznie.

– Tacy działacze dla ambicji niewiele robią, siła wykluczona. Waldemar rzucił głowę.

– Ja nie mówię o ich działalności samoistnej, tylko o ich współdziałaniu, jaki potrzebny dla sprawy. Niech taki pan zgodzi się na oświecanie ludzi w swym majątku, a my już znajdziemy kierownika odpowiedniego. Na szkolnych ławach, panie hrabio, i w każdym fachu bywają umysły genialniejsze i płytsze. Wydostanie się na widownię zależy od zdolności osobistych, ale uczą się wszyscy razem. Niejednego ojca z prostactwa tylko ambicja skłoni wysłać syna do szkół, a on nabywa wykształcenia i znowu już inna ambicja pchnie go czasem na uniwersytet. Ale mówmy o kółkach: otóż gdy mi się uda, zawiązać je u nas, już to samo wpłynie ogromnie na podniesienie oświaty.

– Merci! i odbywać posiedzenia w towarzystwie cuchnących butów i kapot? To nie zadanie naszej arystokracji – skrzywił się obrażony hrabia Mortęski.

Waldemar spojrzął na niego uważnie.

– Przede wszystkim jesteśmy obywatelami kraju, a potem arystokracją – rzekł sucho. – Powinniśmy dbać o nasz zagon, aby go porastało ziarno, nie chwasty. Nasz wspaniały sztandar samym widokiem nie wypłeni zła; trzeba z nim pójść między zagony, przytwierdzić lampę do jego szczytu i światło siał wytrwale, ulepszać, prostować błędy, a doczekamy się pełnych kłosów. Im kto ma większy sztandar, tym większą może zapalić lampę. Trzeba także przewyciężyć wstręt, panie hrabio. Te cuchnące buty i ostre kapoty zalewają większe obszary niż my – to trzeba uwzględnić.

Były prezes przełknął głośno, jakby gorzką pigułkę. Twarz jego nabrała ironicznych linii.

121

Dłonią potarł kolano i przemówił:

– Znadto, znadto pan im okazuje względów. Oni i... my? Justement, to jakby ... Waldemar przerwał:

– Przepraszam! wiem, co pan odpowie: że oni to ocean, a my okręty – i że, zapatrzeni w nasze wyniosłe maszty, lekceważymy sobie tę siłę, depreczając po niej bezkarnie. Nieprawda! wszystkie nasze opancerzenia maleją, gdy te fale wezmą na kiel. Wówczas i oliwa, na gwałt wylewana dla złagodzenia, nie na wiele się przyda. Giniemy w tej potędze. Ich jest prawdziwa, nasza fikcyjna. Niekoniecznie bratać się z nimi i wpadać z jednej ostateczności w drugą, jak to czynią sfanatyzowani ludowcy. Ale o nich trzeba dbać i nie mieć wstrętu. Kultura i na punkt estetyczny dużo wpływa, teraz go nie mają, musimy im to wybaczyć. Ja przede wszystkim widzę w nich ludzi i materiał surowy do wyrobienia.

– Pan jest idealista – rzekł Ćwilecki.

– I przeciwnik arystokracji – dodał zirytowany Mortęski.

– Przeciwnikiem nie jestem. Owszem, arystokracji potrzebna tak samo, jak i wszystkie klasy społeczne. Tylko... powinna jechać na mniej narowistym koniu, aby nie tulił uszu na widok opłotków wieśniaczych, te bowiem gęsto zalegają kraj. Przy tym ja na naszej tarczy widzę dziury i chciałbym je załatać – ale wielu twierdzi, że... starłaby się pozłota. Załatajmy choć dwie na początek: sybarytyzm i egoizm. Dbajmy choć trochę o glebę, na której stoją nasze pałace, i o tych, co nam je stawiali.

– Słowem, arystokracji nie uważa pan za monument społeczny, za odwieczne dzieło i trwałe – zasyczał mocno rozdrażniony stary magnat.

Ordynat przycisnął go wzrokiem i rzekł śmiało, tonem wyraźnie już kpiącym:

– Och! czasy pogaństwa minęły. Nie jesteśmy bożkami, dla których społeczeństwo paliło kadzidła i pracowało nad pomnikiem naszej chwały. My zapracujmy nań sami, zamiast siedzieć na wysokości pod baldachimem rodowej pychy i wegetować. Piramidy faraonów są dobre w Egipcie. One nie przywędrują pod nasze stopy ani też nam nikt podobnych nie wzniesie. Wracam do kółek. Przypuśćmy, że nasz włościanin, delegowany z gminy, na pierwszym posiedzeniu będzie się drapał w głowę i przyglądał panom. Na drugim będzie słuchał, co mówią panowie, aż dojdzie i sam do słów, nikłych z początku zawsze jednak wypowie, czego mu brak, a na to mu się zaradzi. Tym sposobem zacznie nabierać inteligencji, zainteresuje się gospodarstwem i będzie się uczył. Oto nasza dążność. Tymczasem staram się zaledwo o wyrobienie koncesji.

Mortęski wzruszył ramionami.

– I pan sądzi, że się uda ten program?

– Dołożę starań, aby się udał. Mam poważne poparcie w ministerium, jeżdżę w tej sprawie do Petersburga i myślę, że potrafię dojść do celu.

Stary hrabia kręcił się niespokojnie. Wypukłe oczy utkwiał w ordynacie i patrzył na niego jak wódz na szeregowca, który przekroczył prawa pułkowe. Pęki żółtawo-siwych włosów nad uszami najeżyły się więcej, nos niby ostra dzida i zacięte wąskie usta wyrażały jakąś obrazę. Ordynat spokojnie wytrzymał karcący wzrok hrabiego, tylko usta drgnęły mu uśmiechem, a nozdrza zaczęły falować.

– Czego on ode mnie chce? – myślał.

– Panie hrabio – rzekł głośno – widzę, że mój program nie podoba się panu. Czy mogę wiedzieć powód niezadowolenia?

Hrabia Mortęski błysnął białkami oczu.

– Owszem! Oto za prędko bierze się pan do sprawy, będąc niezupełnie jeszcze obznajmiony.

Za prędko... po...

– Po zostaniu prezesem? – pochwycił ironicznie Waldemar. – Więc pan sądzi, że ja przedtem nie interesowałem się sprawami społecznymi i Towarzystwem? Hrabia widocznie ma mnie za nowicjusza?

122

Tu wtrącił się Ćwilecki.

– Nie, nowicjuszem pana nie można nazwać, choćby z przyczyny, że pan jest organizatorem tej instytucji, pan ją inicjował. Kto zna budownictwo, potrafi rysować plany.

Mortęski skarcił towarzysza ostrym wzrokiem. Rzekł z dumą:

– Inicjator! to za mało! Do apostołstwa powołuje się ludzi starszych, szerzenie idei nie należy do... młodzi... za młodych.

Ordynat zaśmiał się.

– Chciał mię pan nazwać młodzikiem? Proszę – najlepiej szczerze! wcale mię to nie obraża, osobiście nie poczuwam się do tego pod żadnym względem. Mam pojęcia niechętopięce, a że wzbudzam ufność, to dowodzi, że mię wybrano na prezesa i że przedtem zdołałem skłonić nasze koła do organizacji Towarzystwa.

Hrabia wzburzył się.

- Powtarzam, że apostołami nowych idei powinni być ludzie starsi – mówił rozgorączkowany.
- Skoro jednak ich nie ma... – rzekł nieśmiało Waldemar.
- Jak to? jak to nie ma? Voilà!...
- Proszę mi ich wskazać.

Hrabia długim kościstym palcem uderzył się w piersi, oczy mu gorzały.

– Jestem ja, jest Giersztof, Barski, jest wreszcie dziadek pański, jest hrabia Ćwilecki, tu obecny...

– Za pozwoleniem – rzekł spokojnie ordynat. – Mój dziadek jest zbyt wiekowy i dawno usunął się z areny społecznej. Książę Giersztof nie należy do naszego okręgu. Szkoda, jego działalność wiele by mogła znaczyć – to szczerzy patriota. Barski również nie z naszych kół, przy tym jego idee paczą umysły. On poza purpurą swego rodu i berłem arystokracji nie widzi nic więcej. Pozostają panowie tu obecni. Pan Ćwilecki czynnego udziału brać nie chce – proponowałem – a hrabia...

Spojrzał na Mortęskiego i rzekł poważnie:

– Hrabia był prezesem przez lat pięć i ustąpił dobrowolnie, pole więc do apostołstwa istniało szerokie.

Zalegała cisza, tylko Ćwilecki chrząkał i gładził brodę. Brwi miał podniesione i żartobliwe błyski w zimnych zwykle źrenicach.

Mortęski wyprostował się na fotelu. Na bladej twarzy pojawiły mu się trochę ceglaste rumieńce, ustami żuł, co oznaczało zakłopotanie. Ale oczu nie spuścił z ordynata.

Ten mówił dalej poważnie, jakby łągodząco:

– Proszę mych słów nie brać za wymówkę. Skoro Towarzystwo zostało zorganizowane, wszyscy jednogłośnie wybraliśmy pana na prezesa, uważając go za najpoważniejszego z naszych kół. Ale wiek i stargane siły nie pozwoliły panu na pracę intensywniejszą. Teraz więc, kiedy ja stanąłem u steru Towarzystwa, przyszła kolej na szerszą działalność. Jestem w pełni zdrowia, sił i młodości, ale nie odrzucę dobrej rady, owszem, proszę o nią dla pożytku ogółu. Stary magnat, cokolwiek złagodzony, życzliwiej spojrzał na Waldemara.

– Pan podobno skłania obywatelstwo do ulepszenia dróg? – rzekł Ćwilecki.

– Tak, chciałbym, aby zrozumiano, że koszt wyłożony na ten cel daje świetne korzyści, nie mówiąc już o wygodzie i wyglądzie kraju. Dobre drogi, całe mosty – to dowód kultury. U nas tego brak straszliwy.

– Ale nie w pańskich majątkach – zaprzeczył Ćwilecki – tu są gościńce pruskie. Każda boczna droga przypomina szosę. Wjechać na granicę pańskich gruntów, to jakby się wjechało od razu z Australii do Europy. Chłopsstwo pan już także przyuczył do tego.

– Staram się dbać o ład jaki taki – rzekł niedbale ordynat.

– O wielki ład, niech pan powie. Ale ma pan nervus rerum<sup>19</sup>, najważniejsze – miliony.

19 nervus verum (łac.) - nerw życia, główną sprężynę

123

– Niekonieczny to warunek do zaprowadzenia porządku. Ja drogi żwiruję, wysadzam drzewami, otaczam drutem na kamieniach, stawiam nowe mosty. Ten zaś, kto na to nie ma, niech równa wyboje na drogach, niech naprawia mosty, choćby wstawiając łąty, i niech ochrania drzewa. To wystarczy. W Głębowiczach już jest parę dróg wysadzonych drzewami owocowymi. Szkody bywają jeszcze, ale z czasem i to przejdzie. Dla służby założyłem ogrody owocowe i skłaniam do tego włościan. Ochrona drzew ma w mych dobrach wyłącznych obrońców. Na to wszystko głównie działa oświata.

– Zaprowadza pan podobno stowarzyszenia trzeźwości między ludem i sklepy katolickie, rugując Żydów? – pytał Ćwilecki.

– Tak. W szerzeniu trzeźwości dopomaga mi miejscowy proboszcz. W rozpijaniu ludu widzę nędzną rękojmię kultury i zapobiegam temu. W tym celu w gorzelnii, którą postawił mój ojciec, wyrabiam tylko spirytus denaturowany. Sklepy urządza pod opieką dworu, aby

uchronić służbę od oszustwa Żydów. Sprzedaje im się produkty lepsze i taniej; w tych sklepach jest wszystko. Ubogie dziewczęta sporządzają sobie w nich całe wyprawy. Włóścianie z początku nieufnie patrzyli na nasze sklepy, ale już się do nich przekonali.

– To biedni Żydkowie u pana.

– Ale ja ich absolutnie z majątków swych nie wyrzucam. Ich używam w pewnych dziedzinach, tylko pod ścisłym nadzorem i nie w folwarkach ani we wsiach, bo wówczas wpływają szkodliwie na lud. To biedota! Zresztą, gdybym ich wszystkich usunął, straciłby na tym ktoś inny. Ograniczam ich jedynie i mocno trzymam w rękę. Zatem nie szkodzą mi.

Hrabia Mortęski zaczął znowu przeżuwać ustami. Jego rysy zaostrzyły się nieprzyjemnie.

Słuchał rozmowy ordynata z Cwileckim, nie dodając już od siebie ani słowa. Lecz gdy usłyszał o istniejącym w dobrach ordynata stypendium ze składek służby i robotników dla kształcącej się młodzieży robotniczej i służbowej, stary magnat wzburzył się na nowo.

– Więc pan chce bankructwa tych ludzi – zawołał z ironią.

– Bankructwa? dlaczego? Ja daję od siebie połowę sumy, jaką się zbierze z rocznych składek ogólnych, a ludzi nie przeciążam. Najmniejsza składka od jednej rodziny już konieczna jest rubel. Ale proszę policzyć wszystkich pracujących w mych dobrach, a przekonają się pan, że te pojedyncze ruble wyniosą znaczną sumę. Mam takich ze służby, którzy dają na ten cel po kilkanaście rubli dobrowolnie. Cała administracja należy do składki i dyrektorowie fabryk. Ci dają z własnej filantropii. Ten projekt został z chęcią przyjęty, moi ludzie zrozumieli korzyść własną. Każdy z nich może swe dzieci kształcić odpowiednio, dopomaga mu stypendium, gdzie są i jego pieniądze. Już kilku chłopców uczy się za odsetki od tych funduszy w wyższych uczelniach, wielu przestaje na szkole głębowickiej, którą już moja kasa opłaca. Myślę teraz urządzić to samo u włóścian, ale tam będzie trudniej.

– Czy i szpital jest opłacany przez kasę majątkową? – spytał znowu Cwilecki.

– Wszystkie instytucje dobroczynne w mych dobrach są dla użytku służby bezpłatnie. Mogę sobie na to pozwolić, więc korzystam. Lekarz miejscowy i felczerzy są również uposażeni przez kasę dworską.

– Rozbałamuca pan ludzi, nic więcej – rzekł z gniewem Mortęski. – Nikt nie pójdzie za pana przykładem.

– Tym się nie rozbałamuci, bo trzymam ich w pewnych karbach, można pogodzić jedno z drugim. Służba i robotnicy są sprzężoną, a pomocą której puszczam w ruch moje dochody, więc naoliwienie jej do mnie należy.

– Słowem, same inicjatywy! same innowacje! – syknął stary hrabia. – Nie pojmuję, skąd się u pana znalazła taka filantropia demokratyczna, bo nie jest odziedziczona po przodkach, justement!

– Owszem, panie, trochę odziedziczona po matce – odrzekł Waldemar. – Znał ją pan dobrze. Ona miała zawsze sympatię dla tych szerokich mas ludowych i chciała dla nich dobra. Mój dziadek także jest humanitarny.

124

– Ale pan krańcowo. Ja sędzę, że ostatnie wypadki dotyczące się pana osobiście wiele wpłynęły na prąd jego przekonań. Pan dezertuje z naszych szranków arystokratycznych.

– Idę tylko w tyralierkę – zaśmiał Waldemar trochę nerwowo. Przeczynał dalszy ciąg słów hrabiego.

Ale on dokończył:

– Nie! dezertuje pan, przechodząc jawnie do demokracji. Voilà! tu leży jądro kwestii.

Złośliwe tony bryznęły w zimnym głosie Mortęskiego.

Waldemar drgnął. Zapaliły mu się szare źrenice. Jednocześnie na twarzy mignęła nuda.

– Panie hrabio – rzekł siląc się na spokój – gdyby te wpływy nawet istniały, mógłbym działać zaledwo od pół roku, a wszystkie ulepszenia wprowadzam u siebie od lat dziesięciu. Przez ten czas nie ukrywałem swych idei.

Ćwilecki wyprostował się i przemówił wolno, lecz z niebywałym ożywieniem na twarzy:

– Tak. Staję w obronie ordynata. Jego myśli społeczne znane są nie od dziś... Istotnie pan szerzy swe idee od dawna i słowem, i piórem. Mamy przecie jego artykuły, poruszające mnóstwo ciekawych kwestii. Pańskie odezwy pod nagłówkami: Co my dla kraju?, Nie usuwajmy naszego posłannictwa, i inne, są pisane śmiało, realnie i przynoszą zaszczyt autorowi.

Waldemar podziękował mu poważnym skinieniem głowy i mówił dalej, idąc za biegiem własnych myśli:

– Hrabia jednak dziwnym wzrokiem patrzy na mnie, posądzając najniesłuszniej osoby, które nie należą do krańcowej demokracji i... nie rozciągają nade mną podobnych wpływów.

Ja pojęcia swe mam wkorzenione. Od dziecka one kiełkowały, a uniwersytety i własne rozmyślenia rozwinęły je. I podróże! Poznawszy z bliska porządku u obcych, zawstydziłem się ładu w naszym kraju i zacząłem działać. Wyniki w mych dobrach zadowalające, ale pragnąłbym dążyć do rezultatów ogólnospołecznych.

– I zyskać sławę wodza, kierownika! – zaśmiał się cicho Mortęski. Waldemar wzruszył ramionami.

– Słowa powyższe uwłaczają pańskiej powadze, hrabio. Ja nie dążę do dyktatury, lecz do spełnienia mych idei; moje zamiary wobec ogromu potrzeb społecznych są niczym. Widzę, że jakieś nieprzychylnie prądy zaraziły hrabiego. Przykro mi, że nie mam w nim poplecznika, gdyż dla sprawy ogólnej konieczna solidarność. Ja jednak nie ustąpię, i tych, co mi zaufali, nie zawiodę. Proszę wybaczyć, jeśli byłem zbyt prawdomównym. Musiałem bronić swych zasad. Jestem pewny, że po bliższym i... samoistnym rozważeniu w innym świetle ujrzy pan moje poglądy. Pragnąłbym szczerze mieć z pana przyjaciela, nie wroga.

Ćwilecki żywym ruchem podał rękę ordynatowi.

– Co do mnie, przychylam się zupełnie do pańskich projektów. Obiecuję współdziałać w kwestii oświaty, nie dla ambicji, lecz dla potrzeby, jaką odczuwam. Ale kierunek oddaję w ręce pana, gdyż nie jestem zbyt kompetentny – chyba moje kobiety?... Może i do kółek, jeśli je pan zdoła zaprowadzić, zapiszę się również, o ile będę przydatny. Waldemar serdecznie uścisnął mu rękę.

– Dziękuję panu za dobre chęci. Zadzwoń.

– Śniadanie podawać!

– Gotowe – odrzekł służący Andrzej.

– Panowie pozwolą.

Przy stole rozmawiano o rzeczach pobieżnych. Hrabia Mortęski był trochę jak złapany.

Gdy w godzinę potem lando z Szal okrążyło dziedziniec zamkowy, Waldemar, patrząc za nim, szepnął do siebie:

– Knowania Barskiego. Tęgi wróg!

Znikły ostatnie ochłapy śniegu.

Natura gotowała się do przyjęcia wiosny.

Słońce, uśmiechnięte, rozparzone, spuściło się niżej, cisnęło na ziemię zdroje gorących zarzewi, namiętnych uścisków. Grzało ją, piekło lubieżnym płomieniem.

Rozdyszał się cały świat!

Suche wiatry przelatywały pola, tłukły po miedzach i drogach, zgarniając niby grabiami błoto na swe barki. Szumy poszły potężne i dzikie gwary przyrody. Łomot pękających lodów, trzask

łamanej kry huczał jak podziemny grom. Walka gigantów – wzburzonych wód – ze skorupą lodową.

Zwyciężyły nabrzmiące fale.

Jak wrzątek wewnętrzny rozrywa wulkan, tak spienione wody przedarły twardy pancierz, rozlały się na nim i biorąc pod siebie miażdżyły ciężarem swych mas. Huk niedobitków lodowych zagłuszały potężne ryki rozpasanej wody. Z głośnym chlupotem waliły zwichrzone strumienie, rwąc potokami z pól, warcząc jak bestie wściekłe na słońce, że je wywłaszcza z rowów i kałuż. Stargane, brudne, wpadały niby żmije do rzek i jezior. Wody rzeczne wznosiły się nad poziom. Zajadłe strumienie parły je z boków, wżerały się w nie, niosąc na swych talach muł, odłamki gałęzi i suche trawy.

Słońce pędziło wody, wichry smagały je z żywiołową siłą, rozpędzając, dusząc, aż prze- rażone ukryły się na dno rzek, wsiąkły w rolę.

Nie zamarły. Zaczęły rozmiękczać skostniałe grudy, wirować w żyłach ziemi. Pokorne już, poddane, pomagały słońcu w robocie.

Wieczory nastały ciepłe. Spadły obfite rosy.

I namiętność buchnęła z ziemi, dreszcze ją przeniknęły. Z potężnych płuc ziały rozkosz- nie białe opary.

Skłębione słupy mgieł tłoczyły się z piersi rozgrzanej gleby. Wieczorem, w nocy, aż do wschodu słońca kurzyło się na polach. Opary przewalały się na łąkach, omotując lasy bałwa- nami sinawej piany. Delikatne włókna pełzały nisko na bagienkach, przy księżycu lśniły jak sproszkowane srebro.

– Ziemia dymi! – woła przyroda.

– Ziemia dymi! – krzyczą ptaki.

– Chwała jej i cześć!

Wrzask radości zabrzmiał w przestworach świata.

Wichry, jak dzikie ptaszyska, przycichły, zmęczone hulanką.

Zapanowało wszechwładnie słońce, haftując drogocenne tkaniny z blasków na powijaki dla nowo poczętej.

I nadeszła!

Z łona matki wyrzała na świat młodziutka, piękna, omotana opałowymi mgłami, spowita we wstęgi słoneczne.

Chucha na nią matka-ziemia, kołyszając ciche prądy powietrzne i rośnie w cudną boginkę, i potężnieje.

Aż wyzbyła się powijaków.

Wielki szum pochwalny świat rzuca do jej stóp, przyroda składa hołd, błagania biegną do niej i uśmiechy poddanych.

Unosi się wysoko, poprzedzana przez pazia-skowronka. Pierwszy baletnik ptaków rozsy- puje na świat delikatne treliki dźwięczące niby perły wśród różanej konchy.,

I białe sztandary bocianów powiewają bogince; rozgłośne chóry żabich wieców niosą jej swą pieśń.

126

Klucze żurawi zawodzą dla niej nieszpory. A za nią idzie czar.

Wiosna płynie w górę. Całą garścią czerpie ze skarbnicy słońca kolorowe pyły i sieje na ziemię. Złoto ciska na jaskry, błękit na niezapominajki, białe obłoczki rozdrabnia na przy- laszczki. Gwiazdy ma w dłoni, kruszy je i sypie, sypie bez miary. Tworzy kobierce, tka złoto- głów, splata wianki.

Namiętna potęga pochłania świat. Miłość bucha z pękających drzew, wre, kipi, wrzątkiem oblewa wszystko, co żyje. Idą szeptki zmysłowe, duszne uściski...

I całusy, i dreszcze rozkoszne.

Wielki spazm rozprężonej natury pali ogniem, kołacząc podniecone tętna w ziemi, żarne pulsa.

Rozszalały się pożądania! pożoga pragnień! A przyroda poczyna i poczyna wciąż! Wiosna rozkwitała, rozśpiewała się.

Sama zaczęła kochać.

Coraz nowe zakłada szaty. Włosy stroi w ametystowe, aksamitne sasanki, ubiera się w biel kwitnących drzew, w rubiny smótek. W sandałkach z bursztynowych kaczeńców brodzi po lustrach źródełek, spogląda w nie tęskna, marząca. Wpada do lasów, przywołując kochanka. Słychać moc jej głosów.

Z piersi młodzieńczych, słodkich jak jagody, wydycha płomienne westchnienia. Jej śpiew dźwiękliwy zagrział nieskończoną gamą upoistych nut. Drzewa niosą echa w dal bezkresną, przyroda słucha uroczej pieśni pani swej.

Roztęskniona wiosna szarpie naprzód ukwiecone ramiona; z gorących ust śle żałosne skargi:

– Miłości! miłości!

I strojna, rozrosła bogini czarów, z szalem w kipiącej krwi, o wieczornych zmrokach woła do księżycy:

– Pójdź!...

Spływa wielki, bladolicy, w tajemniczych cieniach baldachimów nocnych, i tuli rozko- chaną. Lśniące metalowe źrenice wpija w jej postać, przesuwa po jej cennych sukniach.

Bierze ją w ramiona i poi miłością.

I wargi jej spieczone gorączką żądy ochładza pocałunkiem swych zimnych ust. Szepcą razem porwani ogromną mocą kochania.

– Wiosna pragnie! – woła przyroda.

– Wiosna pragnie! – krzyczą ptaki.

– W niej pocznie – lato.

– Chwała jej i cześć!...

Wśród pól głębowickich pokrytych puszystą runią, wśród rozkwitłych lasów jeździł konno ordynat, szczęśliwy, pierwszy raz w życiu odczuwając tak potężnie piękność swej ziemi w krasie wiosennej. Płomiennym wzrokiem przebijał dal, nurzał oczy w zieleni, nozdrzami wchłaniał zapachy. Radosny był, upojony, duszę miał pełną rozkosznych marzeń. Pozostało parę tygodni do ślubu. Ordynat żył gorączkowo. Nigdy rodzina nie widywała go takim. Try- umf, szczęście błyszczało mu w stalowych oczach. Dawny pesymizm i ironia zginęły bez śladu. Tylko pełne usta, palące jak krew, zachowały nieco wyrazu satyrycznego. Lecz to nie raziło, przeciwnie – z energicznym zagięciem brwi i jak zwykle trochę niedbałym układem całej postaci tworzyło nadzwyczajny a pyszny kontrast. Jeżdżąc na czarnym, ognistym Apollu, marzył o Stefci. Kochał ją tak bezmiernie, że prawie spoiła się z jego nerwami, wzrosła w

127

duszę. Miał ją w oczach, w myśli, w sercu. Prócz fotografii w medalionie i gabietowej, które nosił przy sobie, miał jej portret nad biurkiem, w białej zaręczynowej sukni i w perłach od niego. Patrząc na podobizny Stefci podniecał się jej pięknnością, doznawał wstrząsających wrażeń na wspomnienie prędkiego połączenia się z tak ukochaną dziewczyną. Na Apollu pędził po polach, gnany nieprzepartym warem temperamentu, z którym nie mógł sobie jakoś dać rady. Puszczał wierzchowca w cwał, podniecając go ostrogami, przesadzał rowy, wspinał się na góry, przeskakiwał płoty, szalał trochę. Ogarniała go zawadiacka, pełna życia fantazja. Młoda krew polska, w której kipiały i krople węgierskie, odziedziczone po prababce, rozhu- lała się w nim. Żarem sypały szare jego oczy, płomień ogarniał twarz, brwi ścigała wielka energia. Jego nozdrza i usta poruszane były gwałtowną siłą namiętności, zdającą się go rozsa- dzać.



Apollo, jakby rozumiejąc usposobienie swego pana, rwał naprzód, nie zważając na przeszkody, również pełen fantazji. W lansadach przesadzał rowy, kopyta jego zawisały często w powietrzu, chrapy ziały ogniem. Gibkie, suche nogi araba zdawały się w biegu ziemi nie dotykać. Pan pobudzał wierzchowca, wierzchowiec pana, w jednym i w drugim szlachetna krew rozigrała się, unosząc ich burzą zapachu.

Pewnego dnia w czasie takiej jazdy spotkał ordynat pannę Ritę także na koniu. Powitał ją wesoło. Ona patrzyła na niego chwilę, wreszcie rzekła:

– Szaleje pan, prawda?...

Spod wąsów i pąsowych warg błysnęły jego białe zęby w uśmiechu.

– Szaleję? to za mało: wściekam się!

– Jaki pan szczęśliwy! – szepnęła z westchnieniem. – Kiedyż pan jedzie do niej znowu?

– Do Stefci? Już przed samym ślubem, czyli za dwa tygodnie. Zabiorę ją z Ruczajewa.

– Więc ślub stanowczo w Warszawie?

– Tak, ósmego czerwca. Jutro jadę do stolicy.

– Pan? po co?

– Kupić brylanty dla Stefci. Chcę, aby miała ode mnie, prócz rodowych klejnotów. A kiedy ślub pani?

– Och, mój!... W lipcu. Alf nasz będzie cichy, w kaplicy w Obronnem. Za to pański pewno błysnie w Warszawie niepowszednio.

– Stefcia chciała cichego ślubu, ale przekonałem ją. Urządzą najuroczyściej, to jest najwspanialej, bo uroczystość będzie dla nas sama przez się wielka.

– Zapewne! powinien być przepych, aby odpowiadał szczęściu i podrażnił arystokrację.

– To jest mi najobojętniejsze.

– Zabierze pan swoje konie i ekwipaże?

– Tak, biorę cztery czwórki i karety.

– A ślub o której porze?

– Wieczorem u Wizytek, potem wieczerza w pałacu babki Podhoreckiej, a rano wyjazd nasz do Głębowicz. Na waszym ślubie będziemy obecni już oboje. Cóż porabia pani narzeczony?

Panna Rita zaśmiała się.

– Ach! Edward paradny! Urządza Ożarów. Muszę go mitygować, takie zaprowadza awantury – przede wszystkim osobną stajnię dla mnie, bo zabieram swoje konie. Trestka bardzo dobry człowiek. To mię rozczuła, że on mnie bajecznie kocha.

– To prawda – potwierdził Waldemar – przy tym człowiek istotnie dobry i pani już go trochę utemperowała.

– Dziękuję za komplement! Nie marzyłam nigdy o mężu, którego musiałabym utemperować.

– Ale potrafiłaby pani każdego.

Panna Rita trochę wyzywająco spojrzała na ordynata.

128

– No, pana chyba nie? Uśmiechnął się.

– Och! ja się nikomu nie dam utemperować.

– A Stefci?

– Ona mię łagodzi w inny sposób, uspokaja – to co innego. Rita wskazała ręką na odległy las.

– Niech pan patrzy, jaka ładna tęcza. Wyjechałam z domu po deszczu i zaledwo teraz ją widzę.

Pan chyba nie z Głębowicz jedzie?

– Byłem na folwarku Orlin, wracam, ale tęczę już widzę dawno.

– Taka nad wami świeci, prawda?

– I nad wami także.

– Głupstwo! w znaczeniu uczuć ludzkich nie ma żadnego zastosowania.

– Owszem, ma! to jakby załamywanie się blasków tych właśnie uczuć na miniaturowych kropelkach wzajemności, w atmosferze zgodnych i świetlnych warunków. Im ona jest szer-

szą, więcej barwistą, gdy się nie widzi końca, wówczas daje szczęście ogromne. Zawsze jednak lepiej nie analizować się zbyt, nie rozbierać się na atomy – niech pani o tym pamięta. Tęcza w całości jest nie za przeciętnie, lecz podana zbyt ściśle sublimacji – może spłynąć jedną kropelką zimnej wody i zamarznąć w kryształek, raniący serce. Jaką bowiem ona jest, to kwestia siły poprzedzających ją burz, ale już jest sobą; gdy się chce ją rozdrabiać, wyjdzie parodia.

– Dobrze pan to objaśnił – zawołała Rita – ale u nas taka tęcza ogarnia Edwarda, lecz nie mnie.

– On ją do pani dociągnie – uśmiechnął się Waldemar.

– Zresztą i pan ją analizował, a jednak pozostała sobą.

– Nie, ja tylko analizowałem burze swych uczuć poprzednich. Szczęście rozciągnąłem sam nad naszymi głowami i już wierzę w nie. To samo i pani radzę.

– Ha! może! ale u nas będzie zawsze mniej świetna.

Pożegnali się. Waldemar popędził cwałem. Panna Rita kłusowała w przeciwną stronę.

Pochyliła głowę prawie na szyję Buckinghamama, szepcząc namiętnie:

– Zawsze pyszny! zawsze ten nieuchwytny czar w nim!... Leżałabym u jego nóg, chciała- bym zostać jego sługą, niewolnicą, byle jego... byle do niego należeć.

Biedny Trestka malał w jej oczach, kurczył się, karłowaciał.

Waldemar powrócił do Głębowicz. Krzątano się tam nadzwyczajnie. Z polecenia ordynaty w parku, w ogrodach kwiatowych, na tarasach miało być jeszcze piękniej niż każdego roku.

Główny ogrodnik-botanik, znakomity dekorator, z pomocą zastępu ogrodników, chłopców ogrodowych i mnóstwa ludzi pracował od świtu do nocy. Służba cieszyła się, oczekując młodej pani z upragnieniem; znali ją już wszyscy i kochali, jak kto umiał.

W Słodkowcach było również weselej. Pani Idalia powróciła z Lucią z Francji w lepszym usposobieniu. Nie mogła już okazywać niezadowolenia, patrząc na zupełny spokój ojca i księżnej. Lucia pisywała do Stefci gorące, egzaltowane listy. Czekając ślubu niecierpliwie, ciesząc się, że młodzi Michorowscy nie wyjadą w lecie za granicę. Riwiera nie wpłynęła na dziewczynkę dodatnio, nie pozostawiając nawet zbyt miłych wrażeń – głównie dlatego, że Lucia w niewesołych była warunkach, bo w ciągłej rozterce z matką. Powróciła prawie chora na nerwy. Uspokoili ją Słodkowce i Waldemar. On stał się dla niej jakimś bożyszczem. Okazywał jej więcej serdeczności niż dawniej, bronił ją przed matką i otaczał swą opieką. Lucia miała przed kim zwierzać się, ufała Waldemarowi bezwzględnie. W jednym z listów do Stefci chwaliła się łaskami ordynaty. Stefcię to ogromnie ucieszyło. Myślała o Luci zawsze jak o siostrze. Niepokoiła ją jeszcze pani Idalia.

Ale baronowa miała swe zasady wyłączne.

## XXVII

Stefcia żyła teraz gorączkowo, w ciągłym podnieceniu. Zbliżająca się chwila małżeństwa z ordynatem wstrząsała nią, niepokój rozkoszny przenikał jej nerwy. Ale czasem niepokój ten zmieniał się w stan trwożliwy, napełniał ją smutkiem. Była narzeczoną ordynaty, lecz nie mogła wyobrazić sobie żoną jego. Zdawało jej się to szczęściem tak wielkim, że aż zabijającym. Odczuwała rozkwit wiosny, upajała się nią, jak przed rokiem w borku w Słodkowcach, ale już inaczej. Może jeszcze poetyczniej, lecz nie tak swobodnie – trochę smutniej. Sama nic pojmowała tego objawu, dziwiła mu się, nie mogąc wykorzenić z siebie. Jakiś nieuchwytny lęk cieniutką siecią omotywał ją coraz więcej. Miewała wizje, które ją przerażały i wsączając się w jej duszę, rodziły mętne przeczucia.

I tęsknota! Stefcia tęskniła do Waldemara.

A tęsknota to jakby wielka chmura rozmaitych odcieni uczuć... to wielka czara pierwiast- ków rozmaitych wrażeń... to gołąb pocztowy miłości...

W tęsknocie są uczucia ciche, słodkie, są nieme, lecz tkliwe rozrzewnienia, jak zawsze jakiś pyłek żalu, odrobina goryczy i skarga. Gdy się tęskni, różnorodność wrażeń jest tak wielka, że się samemu nie wie, co nam jest, ho można być jednocześnie i wesołym, i smut- nym, i tklwym, i szorstkim, a wszystko się zamyka w jednym słowie – tęsknota!

Listy od Waldemara, długie i gorące, uspokajały Stefcie. Ale zaczęła wkrótce odbierać inne... jakieś anonimy. Nie mówiła o nich nikomu, lecz niepokój wzmógł się. Czatowała na pocztę wyławiając z niej często coś dla siebie straszego. Z każdego takiego łachmana podło- ści ludzkiej dowiadywała się, że jest szlachcianeczką, parwienuszką polującą na miliony or- dynata, na jego nazwisko i mitrę w herbie; że marzy o tytule ordynatowej.

W innym znowu starano się ją przekonać, że ordynat poślubia ją głównie dla powetowa- nia przeszłości, że chce naprawić błędy dziadka, ale że popełnia mezalians, sam to rozumie i nie ukrywa się z podobnymi zdaniem wśród arystokracji.

Stefcia nie wierzyła, lecz jad zatrui jej duszę.

Truciznę zadawano biednej Stefcie stale. Męczyła się, badając swe czyste sumienie. Kilka razy chciała napisać do Waldemara o anonimach, lecz bała się. Gwałtowny charakter ordy- nata mógł tu bardzo wybuchnąć, pominawszy wrodzony takt i zimną krew jego. Stefcia nie chciała narażać Waldemara. Anonimy, pisane dość śmiało, zdradzały nawet autorów. Stefcia odgadywała w nich tylko Barskich i hrabinę Ćwilecką, wiedząc, że do napisania anonimu trzeba wyłącznego talentu i bardzo małej uczciwości. Nikt więcej z arystokracji nie zdobyłby

się na tak brudną intrygę. Stefcia była niemal przekonaną, że się nie myli co do autorów. Ale intrygę prowadzono wybornie. Coraz inne charaktery pisma zdołały oszołomić Stefcie. Li- stów takich otrzymała cztery i zwątpiła o uczciwości ludzkiej, posądzając już więcej osób nad Barskich i Ćwilecką. Nie było w tych listach brudnych słów, jak często w anonimach, lecz brudne myśli, wypowiedziane w eleganckiej formie. Autorzy anonimów nie podszywali się pod miano dobrych przyjaciół – przeciwnie, wypowiadając śmiało swe ostrzeżenia, rzucali jej obelgi z bezwzględnością panów świata! Każdy elegancki, zaprawiony ironią zwrot ranił Stefcie, każdy tchnął nienawiścią sferową. Każde słowo było obliczone, aby ją zmiażdżyć! Stefcia szarpała się w walce z sobą. Miłość dla Waldemara, pragnienie szczęścia dla niego i obawa, aby jej miłość nie zatrui jego spokoju – borykały się w straszny sposób. W rozgo- rączkowanej imaginacji Stefcia widziała Waldemara zmęczonym, nieszczęśliwym. Dręczyły ją te wizje. W jego uczucie wierzyła święcie, wiara w niego w jej duszy nie zachwiała się ani razu, lecz obawy rosły, by nie zostać nieszczęściem jego życia. On ją obroni od wszelkich napaści, ale czy sam zdoła się ukryć przed nimi? czy go nie zatrują, czy przebaczą mu jego odstępstwo?... Więc będzie się męczył, zdusi w sobie żal do swoich, który z czasem pod wpływem goryczy może się zmienić w żal do niej samej. Więc czy ona ma prawo narażać go

130

dla własnej miłości?... Czy potem los nie obmyśli zemsty dla niej? Czy życie całe odpowie szczęściem obecnej chwili?

– Boże! Boże! dodaj mi sił! prowadź! daj zmiłowanie!

Stefcia rozpaczliwie chwyciła się za głowę, łapiąc powietrze w spalone wargi. W chwi- lach najstraszniejszych pisała do Waldemara długie, szczere listy, lecz wysłać ich nie miała odwagi. Chowała wszystkie do biurka. Jej zdrowie zaczęło niknąć, bóle głowy męczyły ją dolegliwie. Państwo Rudeccy, nie wiedząc nic o anonimach, nie pojmowali usposobienia Stefcie, domyślając się jedynie, że to wpływ bujnego temperamentu dziewczyny, jej miłości i tęsknoty za narzeczonym. A może bliskość małżeństwa z Waldemarem działała na nią tak podniecająco.

O tym, że Stefcia boi się trochę sfery ordynata, państwo Rudeccy wiedzieli, ale widując

ją w otoczeniu arystokracji nie sądzili, żeby te obawy mogły być zbyt silne. Energia ordynata, jego pewność siebie, miłość dla Stefcy, zresztą wybitne stanowisko pośród własnej stery usuwało wszelkie wątpliwości, że on potrafi ocalić Stefcie. Pan Rudecki wiedział od panny Rity o przebiegu walki ordynata z rodziną w Obronnem w łagodniejszej trochę formie i zwyczajnym stanowisku Waldemara. Pan Rudecki był pewny szczęścia córki. Jednakże ordynat, bawiąc w Ruczajewie w czasie świąt, prosił go, aby nie dopuścił do Stefcy anonimów, które mogą być przysyłane. Nie miał pewności co do tego, ale ostrzegał na wszelki wypadek, przezuwając zemstę Barskich. Anonimy jednak dochodziły do Stefcy, posypały się jakby umyślnie, kiedy już czujność pana Rudeckiego osłabła. Stefcia, czytając te listy, nieraz chciała je poszarpać, lecz ból i jakaś ironia nie pozwalały jej na to.

Ciągła walka, zmaganie się różnych, a jednakowo silnych uczuć trawiło ją. Zbladła, oczy przygasły, nie sypiała po nocach. Usta, zawsze pąsowe, świeże, miał teraz spieczoną wewnętrzną gorączką. Stała się niesłychanie drażliwą. Po całych dniach przebywała z listami Waldemara w ogrodzie lub w polu. Często z nieskończonych swych wędrówek przynosiła pęki kwiatów i rozkwitłych gałęzi drzew. Usposobienie Stefcy z każdym dniem stawało się gorsze. Przed rodzicami ukrywała swój ból widząc, że się smucą jej wyglądem. Tuliła się do nich, tłumiąc łzy. Tylko Jurek podpatrzył parę razy, że płakała, lecz ona uprosiła go, aby nic nie mówił rodzicom.

– Mamie i ojczusiowi nie powiem, boby się zmartwili – odrzekł rezolutnie – ale do pana Waldemara napiszę, jak jeszcze raz zobaczę, że beczysz. Poczekaj, on ci da dobrą burę. Cóż to! będziesz mi tu wyprawiała beki, mając takiego narzeczonego? Taki dzielny i dobry, a ona jeszcze nierada? niewdzięcznica jedna! Żebyś za tego Trestkę szła za męża, to i ja bym beczał razem z tobą, bo mu ciągle binokle z nosa lecą, a on podnosi i takie brzydkie miny robi. Ale za ordynata? – ej, Stefa, Stefa!

– Jurku, nie dokuczaj mi, proszę cię. Widzisz, jakiś ty niedobry? – żaliła się rozdrażniona Stefcia.

– No, już nie będę, nie tylko nie becz. Dlatego pan Adam dobrze mówi, że arystokracja to nicpotem. Na ordynata niby inaczej patrzy, ale zawsze i on z nich, a pan Adam mówi, że nigdy nie wiadomo, co arystokrata ma za skórą.

Stefcia rozplakała się. Chłopak przypadł do jej kolan i obejmując ją wołał żałośnie:

– Stefcu! Stefcu! nie płacz! Ja głupi jestem i pan Adam też. Już nigdy nic nie powiem na arystokrację, tylko nie płacz. Kwiatów ci narwę, Stefa. W gimnazjum będę mądrzejszy. Tak się zawsze kończyły napaści Jurka na Stefcie. Chłopak z dumą opowiadał wszystkim o mającym nastąpić po wakacjach wyjeździe do szkół warszawskich i nawet nauczycielowi nie pozwolił nad sobą przewodzić. Chwalił się, że ordynat obiecał mu pokazać stajnię i psiarnię głębowicką. Jurek był to urwis co się zowie, ale dobry chłopak; kochał obie siostry, chociaż małej Zosi często dokuczał, wydając za męża jej lalki w taki sposób, że od ślubu wracały z powykręcanyimi nogami i rękoma.

– Widzisz, bo to drugi narzeczonego je odbijał – tłumaczył Jurek zmartwionej dziewczynce.

131

Sam rozkoszował się wspaniałym kucem w pełnym rynsztunku, którego dostał od ordynata na imieniny.

Dla Stefcy miał cześć wyjątkową i był jej wdzięczny za to, że nie odrzucała jego towarzysztwa na przechadzkach.

Chłopak usługiwał siostrze z zapalem. Gdy Stefcia rysowała kredkami z natury widoki ruczajewskie, nosił za nią przybory malarskie i wyszukiwał najpiękniejsze miejsca do szkicowania. Ale gdy Stefcia próbowała węglem zrobić z fotografii portret ordynata, ciągle jej przeszkadzał, wołając:

– Niepodobny! Peckasz. Wstydz się tak mazać narzeczonego.

Pewnego popołudnia Stefcia otrzymała list od Waldemara z Warszawy. List ten wstrząsnął nią.

– Za dziesięć dni nasz ślub? Tak prędko! – zawoła zdumiona.

I nagle wydało jej się to takim niepodobieństwem, że aż powtórzyła drugi raz:

– Za dziesięć dni mój ślub z nim – z Waldemarem... z Waldym... A po chwili dodała ciszej, jakby z przestrachem:

– Z Waldemarem Michorowskim, ordynatem głębowickim... czy to możliwe?... Zamyśliła się z trwogą w sercu.

On przyjedzie, zabierze ją do Warszawy, pojedą wszyscy... ona zostanie jego żoną... Michorowską... A co będzie potem?... szczęście czy niedola?

Chodziła po ogrodzie rozgorączkowana. Pod jej stopy padały białe kwiatki wiśniowych kwiatów, ścieląc się jak ślubny kobierzec. I woń płynęła słodka z rozkwitłych drzew. I ciepłe a trzeźwe prądy przenikały powietrze. Stefcia chodząc zamyślona, spoglądała na ćmę krążących motyli, słuchała brzdęku pszczoł i gwizdu wilgi. Czasem zagruchał dziki gołąb lub zaświstał kos. Wszystkim tym głosom wtórowała kukułka.

– To było przed rokiem w borku w Słodkowcach – myślała Stefcia – tak jest i w parku głębowickim. Już wkrótce ja tam zostanę na zawsze z nim. Waldy ze mną!... Boże! ile zmian przez ten rok, ile szczęścia!

Stefcia powróciła do swego pokoju, niosąc pęk świeżych rozkwitłych konwalii. Pokoik jej wyglądał jak jeden ogród, bo ordynat co tydzień przysyłał narzeczonej kwiaty z Głębowicz albo z Warszawy. Przysyłał nawet z Petersburga, gdzie bawił kilka dni w sprawach towarzysztwa rolniczego. Jurek nanosił do pokoju siostry mnóstwo kwiatów polnych i całe misy rozkwitłych niezapominajek oraz nenufarów; z wielkim trudem wyławiał je ze stawu. Nawet Zosia obdarzała ją czasem garstką zmiętych narcyzów, mówiąc ze smutną minką:

– Ty już pojedziesz od nas z tym ładnym panem. Zosia ci narwała kwiatków, żebyś ją kochała. Będiesz?

Stefcię takie dowody pamięci małego rodzeństwa rozrzewniały bardzo i ujrawszy kilka bratków na stoliku, związanych trawą, pomyślała z uśmiechem.

– Pewno prezent od Zosi. Pójdę się z nią pobawić.

Ale myśl jej skierowała się w inną stronę. Stefcia otworzyła szafę. Wisiała w niej suknia ślubna, przysłana przed paru dniami z Warszawy. Wyjęła ją i rozłożywszy na kanapce, zaczęła oglądać. Suknia była śliczna. Na białym atłasie rzucona, cieniuchna, przezrocza gaza, matowa i piękna, przeświecała delikatnie świeżym połyskiem. Bardzo długi tren w jedwabistych zwojach gazy dodawał sukni dziwnego majestatu. Stefcia ułożyła na sofce zgrabne atłasowe pantofelki i stała zamyślona, patrząc na tę szatę jaśniejącą, niby anielską. Nagle otrząsnęła się i zawołała do siebie głośno:

– Włożę ją. Zobaczę, jak będzie.

Zaczęła się ubierać, ale z trudnością mogła sobie poradzić z masą gazy i atłasów. Jednak włożyła cały strój ślubny, nawet niezmiernie długi welon upięła na głowie, ubierając konwaliami w girlandkę. Wieniec ślubny i kwiaty przy boku miała mieć z pomarańczarni głębowickiej zupełnie świeże.

132

Gdy w wysokim lustrze zobaczyła odbicie swej postaci, radosny uśmiech okrasiał jej bladą twarzyczkę.

Długi czas oczu nie mogła oderwać od zwierciadła. Suknia, wytwornie, ale skromnie zrobiona, leżała na niej z wykwintną elegancją. Opływały ją gazy jak białe mgły, jak obłoki przejrzyste i powiewne. Delikatne jedwabne fale welonu tworzyły cudne a niepochwytnie tło dla jej stylowej główki w masie włosów, połyskujących złotem, i dla jej rysów, rzeźbionych subtelnie, z artyzmem, jakby z jednej perły w przedświcie jutrzejki. Stała tak młoda, wiotka, tchnąca czarem, jakby przed chwilą sfrunęła z obłoków, tych tam różowości i delikatnych lazurów górnych. Oczy jej rozbłysły szczęściem.

– Dla niego się tak ubiorę – myślała z rozrzewnieniem. – Co on powie, jak mię taką zobaczy?

Zmrużyła oczy i ujrzała w wyobraźni Waldemara niby żywego. W czarnym fraku, z białym gorsem, z kwiatem pomarańczowym w klapie, nachylił się do niej i powie tym swoim dźwięcznym barytonem:

– Jedyna moja, malutka! Jakaś ty urocza, cudzie mój!...

I zadrzą mu jego pyszne usta, poruszą się nozdrza i cała twarz męska, szczupła nabierze znanego Stefci wyrazu słodczy, którą tylko ona wywołać potrafi w tych energicznych ry- sach. W szarych źrenicach błysnie mu tryumf i duma, rzut gorącej krwi ożywi jego smagłą cerę. On ją zdobył, on ją będzie miał.

Stefcia, uśmiechnięta, otworzyła oczy i szepnęła cichutko:

– Za dziesięć dni już! już! Czego się boję?... Tyle szczęścia!

Weszła pani Rudecka. Krzyknęła lekko na widok córki. Chwilę stała zapatrzona i wyciągając do niej rękę zawołała:

– Jakaś ty śliczna, Stefciu!

– Czy i on to samo powie, mamó? i Waldy?...

– Śliczna jesteś, twój Waldy zachwyci się tobą na nowo. Ukazał się pan Rudecki z listem w ręku.

– Stefciu?... Aa!

Popatrzył na córkę rozradowany.

– Wspaniała jesteś!

– Pani ordynatowa Michorowska – rzekła przeciągle matka, lubując się trochę brzmieniem tych słów.

Stefcia drgnęła. Ojciec objął ją i pocałował.

– No, jeszcze teraz jest Rudecka, nie tytułujmy jej przed czasem – rzekł z marssem i wręczył córce list.

– Patrz, drugi list do ciebie. Ale to nie pismo ordynata. Znalazłem go zaledwo teraz między gazetami.

Stefcia spojrzała na adres. Koperta była elegancka, charakter ładny, ale nieznajomy.

– Od kogo? – spytała matka.

– Chyba... ze Słodkowic.

Wymieniła umyślnie Słodkowce, wiedząc jednak, że list nie stamtąd.

– Rozbiorę się najpierw.

Pan Rudecki wyszedł. Matka pomogła Stefci zdjąć suknię, ucałowała ją i również oddała się. Stefcia gorączkowo rozcięła kopertę.

Spojrzała na podpis – nie było go. Zamiast nazwiska stało wyraźnie:

„Jeden za wszystkich”. Anonim.

Stefcia ścisnęła dłońmi skronie, zagryzła usta i zaczęła czytać z mocno bijącym sercem:

„Łaskawa pani! Niestychanie zdziwieni jesteśmy, że pani pomimo tylokrotnych ostrzeżeń decyduje się zostać żoną ordynata Michorowskiego. Pomijamy egoizm, który po-

zwala pani na ten krok zbyt śmiały. Dla własnych butnych dążeń, dla zadowolenia wygórowanych ambicji nie waha się pani unieszczęśliwić ordynata. Pod wszelkimi pozorami szczęścia ordynat stanie się człowiekiem zdruzgotanym. Zabierze mu pani swobodę, zmniejszy do minimum jego stanowisko społeczne, bo w kursie światowym straci ono swój blask.

Ordynat nie rozumie, na co się naraża, za wielką czyni ofiarę dla powetowania przerwanej miłości swego dziada. Z takimi skandalikami ani pan Maciej Michorowski, ani obecny ordynat nie liczyli się nigdy. Ordynat jest zaślepiony, uroda pani podnieca go, nie mógł pani zdobyć na kochankę, więc zdobywa w ten sposób, nie rachując się z następstwami. Przyjdzie czas opamiętania i wtedy przeklnie chwilę, w której zgodził się na ten krok szalony. Sfera mści się za naruszenie jej praw. Nie wolno targać się na jej tradycję uświęconą przez wielki! Kto z nią walczy, poniesie porażkę!... Niech pani nie liczy na uprzejmość naszą dla niej jako ordynato-

wej Ce ressemble un peu mai!<sup>20</sup>... Pierwsze miesiące będziecie wystarczać sobie – zwykły szaf du mois de miel!<sup>21</sup> – ale gdy upojenie ordynata minie, prędko zrozumie, że wpadł w pułapkę. Jeśliby chciał bezczelnie wprowadzić panią w nasze sfery, proszę być pewną, że my jej

nie przyjmujemy. Na gruncie neutralnym spotykaliśmy się, i to było możliwe, ale bliższe stosunki łączyć nas nie mogą. Ordynat przekona się o tym za późno! Jego dzisiejszą energię złamie fakt, który da mu w całej pełni odczuć popełniony absurd. A wówczas i pani położenie będzie smutne. Pani dla arystokracji jest i pozostanie trędowatą, mimo swej piękności. Ostrzegamy ostatni raz. Jeden za wszystkich”.

Stefcia wyprostowała się.

Ciężary waliły jej w mózg, gorąco i dreszcze przebiegały jej członki. List włożyła do ko-perty, zmiała gorączkowo, wsuwając go do biurka prawie machinalnie. Przeciągnęła ręką po czole. Dłoń była zupełnie mokra. Zaczęło jej mącić się w oczach, poczuła lekkie mdłości, w głowie huczały gromy.

Podeszła chwiejnie do okna i mętym wzrokiem popatrzyła na ukwiecony ogród.

– Trędowata! – szepnęła z bólem.

Nagle zaczęła się śmiać, strasznie śmiać... Głuchy jęk i śmiech wybuchał z jej piersi.

– Oni kłamią! kłamią! – wołała zanosząc się od śmiechu – oni się go boją! oni jemu ustąpić muszą! muszą! muszą!... on nie dopuści... on ich zmoże... boją się go! boją! Och!... och!...

Usiadła na łóżku, uspokoiła się i umilkła. Twarz jej poczęła się krzywić kurczowo, jak u dziecka przed płaczem; oczy zupełnie mętne, nieprzytomne utkwiała w dużej fotografii narzeczonego, stojącej na biurku wśród kwiatów, i szeptała coraz ciszej, pieściwym głosem:

– Waldy... Waldy mój... czyja cię unieszczęśliwię?... ty dzielny!... ty mię kochasz! ty! ty!...

Brwi jej podniosły się na zroszonym czole i skupiły, tworząc bolesny łuk, usta drgały, opadając na dół.

– Waldy... Wal... dy... – wyjąknęła i nagle zaniósła się spazmatycznym płaczem.

Głowę rozpaloną, w której krew buchała zbitym wałem, wtuliła w poduszki, a płacz straszny, rozpaczliwy płacz, idący z każdej kropli krwi, z każdego włókna nerwów, płacz z duszy, płacz z serca wstrząsnął nią jak orkan rozwścieczony.

To był płacz całej istoty, olbrzymi! siłą swą mogący rozdzierać kamienie, najtwardsze skały!

W mózgu miała tysiące młotów. Ogarniał ją ogień.

20 Ce ressemble un peu mai! (fr.) – To niepodobna!

21 du mois de miel (fr.) – miodowego miesiąca

W Warszawie, w pierwszorzędnym hotelu w restauracji siedział przy stoliku ordynat i Brochwicz. Waldemar nie jadł, tylko pił dużo. Był trochę ponury. Kolacja męczyła go.

– Więc jedziesz jutro? – spytał Brochwicz.

– Myślę dziś nawet.

Brochwicz spojrzał na zegarek.

– Zdażyłbyś, ale to głupstwo! radzę jutro. Załatwiłeś wszystko?

- Najzupełniej.
- Ja także. No to przez jutro się powałaszamy, odwiedzimy znajomych, a wieczorem w drogę. Wszak twój ślub za tydzień?
- Tak, jadę prosto do Głębowicz, wysyłam konie, karety, kwiaty, daję ostatnie polecenia i sam do Ruczajewa.
- Po narzeczoną – dodał Brochwicz. – Ej! szczęśliwyś ty, człowieku! Żenicie się wszyscy en foule<sup>22</sup>, tylko ja trwam w celibacie.
- Waldemar podniósł do ust kielich z szampanem.
- Któż ci broni iść w nasze ślady, mój drogi? – rzekł poruszając brwiami. Brochwicz machnął ręką.
- Znadto mię interesują wszystkie kobiety, żebym sobie miał wybrać jedną.
- Działo się to samo i ze mną, a jednak widzisz – jestem u mety.
- Bagatela! twoja Stefcia to złota rybka, można się było na nią wziąć. Jakież kupiłeś brylanty?
- Pokażę ci.
- Wiesz co? chodźmy już na górę, diablo nudna dziś ta sala! Nikogo znajomego, ładnej kobiety ani na lekarstwo – co mamy tu robić?
- Ordynat powstał, jakby znużony, i wyszli.
- W numerze Waldemar pokazał Brochwiczowi klejnoty. Był tam sznur z brylantów na szyję, kamienie miały wielkość laskowych orzechów; stosowna brosza z brylantami i wielkim szmaragdem, bransoleta, diadem do włosów i duże butony kolczyków. Wszystko z kamieni pierwszej wody. Artystyczna oprawa tworzyła pajęczynową siatkę, podtrzymującą łuny głębokich ogni tylko spod spodu.
- Brochwicz oglądał ciekawie, kręcił głową, wreszcie rzekł:
- No! ależ wydałeś na to! Zyskała na tobie Warszawa. Nawet nie wiedziałem, że posiada podobne okazy. I oprawa bajeczna! To już pewno twój gust.
- Tak, specjalnie dla mnie robiona.
- Biedna Melania! – westchnął Brochwicz – żałuję jej szczerze: ona taka łąsa na te ka- myczki. Tylko dla niej twoje miałyby za skromny gust. Ona woli obfitość: kilka sznurów na szyję, przepaska do włosów sięgałaby nieba, bransoleta szerokości dłoni, kolce do ramion. O! tak dla Melanii!
- Dostanie od Zanieckiego. Brochwicz parsknął śmiechem.
- Waldy, czy żartujesz, czy jesteś nieprzytomny? Zaniecki, jeśli kupi klejnoty Melanii, to chyba za pieniądze Barskiego. On u przyszłego teścia nawet na własną wyprawę pożyczycy!
- Ordynat machnął ręką.
- Prawda! – rzekł obojętnie.
- Pochował pudełka, po czym dotknął ręką głowy.
- Waldy? słuchaj, co tobie jest? Wydajesz mi się dziwnym. Połóż się – rzekł Brochwicz.

22 en foule (fr.) - tłumnie

135

Waldemar chodził po pokoju widocznie zdenerwowany.

- Wiesz co, ja chyba pojadę dziś: coś mię dręczy.
- Chory jesteś?
- Ech! co znowu!
- No to zostań! To są, widzisz, takie przedślubne momenty. Ja ich nie przechodziłem, ale rozumiem, cela va sans dire!<sup>23</sup> Kawalerstwo szumne, junackie idzie na strych i naturalnie ma tremę. Twoje małżeństwo ponętne, ale... ale zawsze to już tyły armii – nie kawaleria! To musi wytwarzać wielkie charivari<sup>24</sup> w myślach. Veni Creator cię wyleczy, zobaczysz.
- Ordynat roześmiał się.



Zadowolony Brochwicz, że rozchmurzył przyjaciela, wyciągnął się wygodnie na sofce i założywszy ręce na piersiach, mówił wesołym głosem:

– Hej! kiedy to ja będę grzebał swoje kawalerstwo i jaką też będzie przyszła hrabina Brochwiczowa? Ciekawym! Waldy, jak ty kochasz swoją Stefcie? Czy bardzo „tniesz Platona?” – i czy ona w to wierzy? Bo ja nie. Twoja narzeczona jest inteligentna i nie zalicza się do okropnej sekty niewiniątek spuszczałsko-oczki, a znowu twoje rozdęte chrapy potrafią uświadamiać. No, u was jest dużo ideału, ale...

– Mój drogi – przerwał Waldemar – tak ja, jak i moja narzeczona wiemy, że miłość zupełnie platoniczna pomiędzy mężczyzną a kobietą jest taką samą legendą jak kwiat paproci: oczekują na jego rozkwit, wierzą, że istnieje, ale w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział.

– Brawo! – zawołał Brochwicz – i trzeba mieć zapaloną romantyczną głowę, aby wierzyć w to, co nie istnieje. Adam do Ewy także wzdychał platonicznie, dopóki mu z żebra nie wylażała; później podobno zmienił zdanie.

– A jednak – rzekł, ożywiając się Waldemar – przeszły wieki, przyjdą nowe, długie wieki, a miłość będzie zawsze grasowała w sercach ludzi i we krwi niezmiennie. Istniała w epoce kamiennej, krzemiennej i istnieje w dzisiejszej kulturze. Tylko zmienia wierzchnią szatę: w epokach pierwszych miała na sobie skórę zwierzęcą, w wiekach średnich – poetyczną pasterską szatę trubadurów...

– Dziś ubiera się w szelesty i złoto – dokończył Brochwicz.

– No, nie zawsze, ale i dziś jest różną: misterne połączenie przedpotopowej zwierzęcości z nowoczesną elegancją.

– A wy dodaliście i średniowieczną idyllę, co stworzyło całość wspaniałą – mówił Brochwicz.

– Wasze uczucia zachęcają mnie bardzo, to jakby poemat, ale wątpię, czy ja się na takie dzieło zdobędę kiedykolwiek. Ty, Waldy, dobrze mówisz, dobrze piszesz, więc i wybornie kochasz. Ale! ale! twoje ostatnie artykuły społeczne: Patrzą na nas, i ten drugi o syndykacie rolniczym, wywołały zgrzyt zębów u Barskiego, a oczarowały ogół. Ty masz w sobie ogromnie dużo satyry, zaciekawiasz ostrzem pióra, a łagodzisz gdy trzeba.

Brochwicz mówił dalej na ten temat, ale Waldemar już nie słuchał go. Był roztargniony i dziwny. Nagle podszedł do guzika elektrycznego w ścianie i szepnął do siebie:

– Jestem zanadto niespokojny. Nie rozumiem tego. Pojadę.

Lecz nie zdążył nacisnąć dzwonka, gdy zastukano do drzwi. Wszedł lokaj, podał ordynatowi telegram i wyszedł.

Waldemar szybko rozwinął papier. Bładość pokryła jego twarz.

– Co się stało? – zawołał Brochwicz zerwawszy się z kanapki. Waldemar wręczył mu telegram, sam gwałtownie zadzwonił. Brochwicz przeczytał:

“Stefcia bardzo chora. Proszę natychmiast przyjeżdżać. Rudecki”. Lokaj wpadł zadyszany.

23 *cela va sans dire* (fr.) – samo się rozumie

24 *charivari* (fr.) – zamieszanie, tumult

136

– Rachunek! Pakować rzeczy! Konie na dworzec terespolski – krzyknął Waldemar. Służący wybiegł.

– Czy mam jechać z tobą? – spytał również blady Brochwicz. Waldemar wyrzucał z szafy ubranie. Był jak szalony.

– Jak chcesz! – odrzekł krótko.

Brochwicz namyślał się chwilę, wreszcie podszedł do ordynata i dotknął jego ramienia.

– Waldy... słuchaj... uspokój się! nie chcę cię pocieszać, bo skoro depeszują dość nagła-

co, to widać dobrze nie jest. Ale... uspokój się. Dam ci taką radę: ty jedziesz zaraz, niewiele masz już czasu, więc weź z sobą, co najpotrzebniejsze; ja zostanę do jutra i zabiorę resztę, a przede wszystkim brylanty.

Ordynat rzucił się.

– Ach, brylanty! – machnął ręką niecierpliwie.

– No widzisz, ja wiem, że teraz to cię nic nie obchodzi, i dlatego wezmę klejnoty z sobą. Ty za dużo jesteś roztargniony. Ja zawiozę je aż do Głębowicz.

Wszedł lokaj z rachunkiem, dwaj inni zaczęli pakować rzeczy.

W kwadrans potem ordynat jechał na kolej. Brochwicz pozostał sam w hotelu.

Waldemar całą noc przemęczył się z własnymi myślami. Jechał sam w przedziale. Ogar- nią go rozpaczliwa niecierpliwość. Zdawało mu się, że pociąg idzie żółtym krokiem. Pędził własną imaginacją naprzód. Widział Stefcie bladą w otoczeniu ciemnozłoty włosów, rozsypanych na poduszce, aż zęby zaciskał z bólu.

– Co jej się stało?... co się stało?...

Ostatni raz ją widział w pierwszych dniach maja. Wydała mu się bledszą, ale zdrową. Przypomnił sobie każdy jej ruch, każde słowo, każde niemal mrugnięcie oka. Tyle miała serdeczności w oczach, jej usta poddawały się jego spragnionym ustom z dziecięcą ufnością. Tak rozkosznie drżała w jego ramionach. Cieszyła się wiosną, a on ją ubierał w pierwsze kwiaty, w ruczajewskim ogrodzie zrywał dla niej wonne gałęzie.

Przypomnił sobie, jak raz siedzieli oboje na ławeczce pod czeremchą. Śpiewały słowiki. On powstał, odłamał ogromną gałąź, gęsto oblepioną białymi gronami kwiatów. Odrywał je od gałęzi i jął obsypywać nimi Stefcie, aż na jej włosach, na piersiach, na ramionach przyczepiało się pełno perłowych gron. Obsypał jej kolana. Pęki wonnych kwiatów rzucił pod jej stopy. Ona śmiała się radośnie, patrzyła na niego spod ciemnych, niezmiernie długich rzęs i nagle rzekła z pełnym wdzięku grymasem, z pieśczętą w głosie:

– Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Zaczął ją wtedy całować bez pamięci. Potem ona przypomniała ich spotkanie przed rokiem w borku w Słodkowcach.

– Miałam wtedy mnóstwo kwiatów, ledwo je dźwigałam. Pan nazwał to zielskiem, a mnie rusalką.

– Ja zaś zostałam wilkołakiem – odrzekł tuląc ją do siebie.

– Och! gniewałam się wtedy na pana! Za miesiąc skończy się rok... i jakie zmiany – mówiła szeptem.

– Za miesiąc będziesz moją żoną, będziemy w Głębowiczach. Waldemar wstrząsnął się na to wspomnienie.

– Już za tydzień ślub i ona chora? Boże, co się stało?

Przypomnił sobie jej radość, zaraz po zaręczynach w lutym, kiedy on projektował, że po ślubie spędzą lato w Głębowiczach, a na zimę pojedą w daleką podróż po Europie, potem do Algieru i Egiptu. Jak ona się ucieszyła! Wolą Głębowicze od nie znanych sobie krajów. Tak ślicznie powiedziała:

– Do Głębowicz... z panem...

Waldemar ścisnął głowę. Silne tętno rozsadało mu skronie.

– Co jej się stało?

Albo wówczas, kiedy odjeżdżał z Ruczajewa po świętach wielkanocnych, jak ona się o niego obawiała, że jedzie w nocy i że na drodze były jakieś miejsca niebezpieczne. Wszyscy mu odradzali, ale on spieszył na posiedzenie towarzystwa rolniczego i postanowił jechać. Dopiero potem w Głębowiczach znalazł niechcący w kieszeni palta mały srebrny medalik z Najświętszą Panną, na cieniutkim łańcuszku, kilku ściegami nitki trzymający się kieszeni.

Odgadł, że to od niej. Wzruszyła go troskliwość narzeczonej i jej ciche oddanie go w opiekę Bożą.

Patrzył teraz na fotografię Stefci w medalionie i przemawiał do niej najczulszymi wyrazami, pieścił ją w myśli, tulił do siebie. W przedziale chodził od okna do okna. Drażniła go ciemność nocy, jakby tylko ta noc odgradzała go od Stefci. Waldemar stawał się chwilami szalony z trwogi.

Ranek był jasny, pachnący, wesoły, kiedy powóz ruczajewski stanął przed gankiem. Ordynat wpadł do przedpokoju. Naprzeciw niego wyszedł pan Rudecki zmęczony, z podkrążonymi oczyma.

- Co jest? czy lepiej? – wyrzucił z siebie ordynat. Pan Rudecki powiedział głucho:
- Zapalenie mózgu. Dziś gorzej.
- Boże! – jęknął Waldemar. – Jaki powód choroby? Kto leczy?
- Miejscowi doktorzy i profesor z Warszawy.
- Kiedy zachorowała?
- We środę wieczorem. Ordynat spojrzął jak wściekły.
- I mnie dopiero w sobotę zawiadomiliście? Jak można było?! – zawołał wzburzony.
- Telegrafowaliśmy po przyjeździe profesora. Pomoc lekarska była natychmiast. Robimy, co w naszej mocy – odrzekł szorstko Rudecki.
- Gdzie ona?

Rudecki zgarbiony posunął się naprzód.

W salonie spotkali doktorów. Ordynat powitał ich gorączkowo i bez słowa poszedł dalej.

W pokoju Stefci, w półmroku, Waldemar obok łóżka ujrzał profesora z Warszawy; trzymał on puls chorej. Przy nim stała pani Rudecka. Szybko zbliżyła się do wchodzących.

– Cicho... śpi... – rzekła szeptem.

Witając Waldemara zaczęła płakać. Profesor wstał, powitał ordynata.

- Jak pan znajduje? – spytał Waldemar zdławionym głosem.
- Panie ordynacie... łudzić się trudno... jest bardzo źle... ale Bóg łaskaw. Robimy co można.

Waldemar ukląkł przy łóżku. Delikatnie wziął rękę Stefci, białą, zda się przezroczystą, gorącą jak ogień. Chora spała z głową obłożoną lodem, fale krwi przepływały jej przez twarz. Usta miała nieco otwarte, bardzo karminowe, spieczone gorączką, palący oddech wychodził z nich szybki, nierówny. Waldemar wpatrzył się w mizerną twarzyczkę Stefci, dłoń jej leciutko przycisnął do ust. Rwało mu się w piersi, oczyma suchymi, lecz pełnymi strasznego bólu ogarniał wątłą postać dziewczyny, która wśród poduszek, pod kołdrą rysowała się delikatnie. Włosy wysunięte spod kompresu, otaczały jej głowę ciemnozłotym wieńcem.

Waldemar klęczał długo. Oparł czoło na rękę Stefci i słyszał, jak w tej drobnej dłoni pulsowały żyłki, i odczuwał drgania nerwowe.

Obudził go z odrętwienia profesor, zmieniając okład z lodu. Widok odkrytego czoła dziewczyny, gładkiego, blad różowego, ze zmoczonymi włosami dookoła, wzruszył Waldemara. Z uczuciem rozpaczony nachylił się i dotknął ustami jej skroni.

Gdy nowy okład położono, Waldemar cicho spytał:

- Czy jest przytomna?...
- Prawie zawsze... nie – odrzekł profesor.

raz?

– Więc stan jest... niedobry?

– Groźny!... Ale niech się pan nie przeraża. Myślę, że to może przesilenie.

Odciągnął ordynata na bok i patrząc bystro w jego poruszoną twarz, spytał szeptem:

– Panie ordynacie, proszę o parę szczegółów.

– Służę panu.

– Ślub państwa miał odbyć się wkrótce – tak?

– Ósmego czerwca.

– Więc już w tę sobotę. Dziś mamy niedzielę. Czy dawno widział pan narzeczoną ostatni

– Przed trzema tygodniami.

– Była zupełnie zdrową?

– O tak! tylko nieco bledszą niż zwykle. Co profesor przypuszcza... jaki powód choroby?...

Stary uczonek gładził brodę prędkim ruchem. Zaczął mówić niepewnym głosem:

– Hm! jakieś musiała mieć psychiczne wstrząśnienia, innego powodu nie widzę. Przebieg choroby ostry i złośliwy: chora majaczy, wypowiada słowa budzące podejrzenia.

– Jakie słowa? – zawołał Waldemar przerażony.

Wtem Stefcia poruszyła się. Ordynat przypadł do łóżka, ukląkł. Stefcia miała oczy szeroko otwarte, mętne, pokryte łzawą powłoką, rękoma wykonywała jakieś ruchy koło głowy, usta szeptały ciągle.

Waldemar bez oddechu śledził ją zdrętwiałym wzrokiem. Wziął jej ręce w swe dłonie i ścisnął delikatnie.

– Stefciu... skarbie mój, jedyna moja, to ja... Waldy... przy tobie jestem... Stefciu – mówił głuchym głosem.

Dziewczyna szeptała ciągle.

– Co ona mówi? – spytał profesora.

– Majaczy bez przerwy.

Waldemar powstał, pochylił się i przyłożył ucho do ust Stefci.

– On... dziwny... boją się go... nie.. nie chcę go zabijać... – mruzczała cichutko, ledwie dosłyszalnie.

Waldemar wyprostował się, dłonią przeciągnął po czole.

– Co to znaczy?... co ona mówi? Okropną obawę wyrażały jego rysy. Nagle Stefcia rzuciła się gwałtownie.

– Trędowata! Trędowata! – krzyknęła głośno.

Waldemar cofnął się jak ugodzony straszną siłą, blady przerażająco. Spojrzał rozpaczliwie na profesora i państwa Rudeckich.

– Co to jest?... na Boga! co znaczy ten okrzyk? – wycharczał ze zgrozą.

– To słowo powtarza się bardzo często w majaczeniu chorej – odrzekł profesor, patrząc badawczo na zmienioną twarz ordynata.

Waldemar porwał Rudeckiego za ramię.

Weszli do bocznego pokoju. Ordynat ścisnął ramię Rudeckiego z siłą konwulsyjną.

– Stefcia otrzymała anonim – rzekł przez ściśnięte zęby.

– Anonim?... Skąd pan wie?

– Otrzymała na pewno! Widzę to z jej słów. Ja... ja... ostrzegałem pana, że szelmostwa mogą być... nie uchroniliście! Zabili mi ją... Boże!

Załamano rękę z rozpaczą strasliwą.

Pan Rudecki zdrętwiał, patrzył na ordynata nieprzytomny.

– Przysięgam panu, że czuwałem. Nie było nic, chyba – teraz – w ostatnich czasach, odbierała dużo listów.

139

– Gdzie są te listy? Chcę je mieć – zawoła Waldemar.

– Nie wiem. Zwykle chowa w biurczku swoim. Może tam są. Pana Rudeckiego domysł ordynata przeraził.

Powrócili do pokoju Stefci. Spała znowu. Zbliżyli się do biurka. Ordynat cicho otwierał wszystkie szufladki i ku wielkiemu zdumieniu pani Rudeckiej i profesora wyjmował z nich jakieś pomięte arkusze w kopertach i bez kopert. Przejrzał wszystkie skrytki, zabrał znalezione listy i wyszedł z nimi bez słowa.

– Co to znaczy? – spytała męża pani Rudecka.

– Podobno anonimy. Waldemar przypuszcza... Uderzyły go jej słowa.

– Bardzo możliwe! bardzo możliwe! – mówił kiwając głową, profesor. – I ja domyślałem się w tym jakiejś intrygi.

– Chryste Panie! on mię przecież ostrzegał! – zawołał Rudecki łamiąc ręce.

– Ależ to nieprawda – jęknęła jego żona.

– Ale pamiętasz? Znaleźliśmy ją w gorączce, prawie nieprzytomną, tego dnia, kiedy przymierzała ślubną suknię, po liście jaki jej oddałem. Może to anonim! Pójdę, zobaczę: ja ten list poznam.

– To niepodobieństwo! Ona mówiła, że to był list ze Słodkowic. Ale pan Rudecki już wyszedł z pokoju.

Waldemar w jego gabinecie przeglądał papiery. Znalazł własne listy w kopertach, starannie ułożone i kilka listów Stefci, pisanych do niego. Waldemar w zgniecionych papierach domyślił się anonimów, zaczął je odczytywać. Straszna miał twarz, skurczoną gniewem, bólem, żalem. Charaktery pisma nie były mu znajome, widocznie podrabiane – mimo to po stylu odgadywał hrabinę Ćwilecką i Barskich. Jeden anonim, bardzo złośliwy i najordynarniejszy, poznał doskonale po piśmie niezupełnie zmienionym: pochodził od Melanii.

– Podła istota! zmija! – mówił ochryłym głosem.

Gdy wszedł pan Rudecki, Waldemar wskazał mu odczytane papiery.

– Patrz pan! – wołał z wybuchem żalu – te wszystkie łachmany ona otrzymywała, czytała, zatruwała ją! A ja ostrzegałem, bo złych ludzi nie brak, i te brudy doszły do jej rąk.

Pan Rudecki, błądzący, przebierał między papierami. Nagle Waldemar wziął do rąk nowy list w kopercie, zgnieciony. Prędko rozprostował go. Pan Rudecki zadrżał. Poznał ostatni.

– Ten oddałem jej we środę. Mówiła, że to ze Słodkowic, ale... zaraz po nim zachorowała. Czy i to anonim?

Waldemar obejrzał list. Charakteru nie znał. Zaczął czytać wzburzony. Nagle rzucił się, postąpił krok naprzód, przebiegał list palącymi oczyma. Ręce mu dygotały, twarz mieniła się rozpaczą, wstrętem.

Krzyknął głucho, papier wypadł mu na podłogę. Waldemar załamał ręce nad głową.

– Ten ją zabił!... ten ją zabił!... Bezczelny!...

Ciężko usunął się na krzesło, rękoma ścisnął skronie. Pan Rudecki podniósł list, przeczytał.

– Jezus Maria! – jęknął rozpacznie. Weszła pani Rudecka.

– Co wam się stało? – spytała przerażona. Mąż wskazał jej listy.

– Zabiliśmy dziecko! zabiliśmy tym! Straszne! straszne! Matka Stefci przypadła do papierów.

Waldemar zerwał się z krzesła, siny na twarzy. Zęby mu błyszczały, charczenie wychodziło z jego piersi.

– Wy przez nieuwagę, ale tamci podłością. Czemu ja o tym nie wiedziałem? Te bezzelne kłamstwa kulami bym przypieczętował! Ja bym zdemaskował autorów – zapłaciłby mi krwią!

Głos jego potężniał, grzmiały w nim pioruny.

– Proszę natychmiast o konnego posłańca na pocztę! – krzyknął i wybiegł z pokoju.

W dziesięć minut potem posłaniec gnał co sił starczyło w koniu, wioząc telegramy do kilku stolic europejskich, wzywające sławnych potentatów medycznych.

W Ruczajewie płynęły godziny w straszliwym napięciu. Choroba Stefci potęgowała się, rzadkie chwile przytomności błyskały krótko. Państwo Rudeccy tracili głowę, tylko ordynat potroił energię, był niewyczerpany. Nie odstępował od Stefci, sam ją przenosił, gdy prześcinali jej łóżko, sam zmieniał zimne okłady. Troskliwością zadziwiał doktorów. Nie sypiał, nie jadł, oczy mu gorzały jakąś tłumiącą wszystko siłą, jakąś potęgą, która go druzgotała.

– Muszę ją ratować! muszę! muszę! – powtarzał z uporem.

Sędziwy profesor, znający go dawniej, kręcił głową zdziwiony; nie spodziewał się po nim tak silnych uczuć.

Jednego wieczora, kiedy Waldemar sam w pokoju klęczał przy łóżku Stefci, trzymając jej dłoń, ona przytomniej otworzyła oczy. Patrzała chwilę na niego i uśmiechnęła się.

– Waldy – wionęło cichutko z jej ust.

– Złota moja! najdroższa! dziecko moje! – szeptał Waldemar z bolesnym skurczem w krtani, okrywając pocałunkami jej ręce. – Poznałaś mię, poznałaś?...

– Waldy... – powtórzyła Stefcia.

– Jestem tu, przy tobie, jedyna, czuвам nad tobą...

Stefcia przysunęła głowę do ramienia narzeczonego i rozpaloną twarz przytuliła do rękawa jego ubrania. Ta niema pieśczoła wzruszyła Waldemara. Załkało mu w piersiach. Objął ją i gorącymi ustami przylgnął do jej policzków.

– Ja chora jestem, prawda? – spytała szeptem.

– Tak, złota moja, ale już jesteś zdrowsza. Co cię boli?

– Głowa... głowa... pali mię... kamienie w głowie.

– To przejdzie... przejdzie... wyzdrowiejesz... będziesz moją. Gwałtownie poruszyła się, podniosła na niego oczy.

– Kochasz mię zawsze?... kochasz? – spytała.

– Kocham, jedyna... więcej niż własne życie. Ale nie ruszaj się, leż spokojnie.

– Kochasz mię? Będiesz szczęśliwy? ty... nie wiesz nic... ja ciebie zabiję... Waldy... Waldy...

Łzy błysnęły w jej oczach. Waldemar tulił ją do siebie.

– Uspokój się, dziecko... ufaj mi... nie wierz im... nie myśl o tym... będzie wszystko do- brze... będziemy oboje bardzo szczęśliwi... bardzo, Stefciu.

Uśmiechnęła się, trąc głową o jego ramię.

– To dobrze... dobrze.

Przytomność opuściła ją na nowo. Spojrzała błędnie.

– Waldy!... ja jestem trędowata... ty nie wiesz... ja trędowata!... nieszczęśliwy!... strzeż się! – wołała gwałtownie.

Zaczęła majaczyć. Waldemar wstał, ustępując miejsca profesorowi, który właśnie wszedł.

– Boże! Boże! – jęknął ordynat. – Przed chwilą rozmawiała ze mną przytomnie.

– Długo?

– Parę minut zaledwo. Doktor zamyślił się.

W nocy przyjechał specjalista z Pesztu, na drugi dzień dwaj inni. Odbywali narady, długie konsylia. Ordynat powiedział im o anonimach: zaniepokoiili się bardzo. Mimo wszelkich usiłowań choroba nie przestała być groźną. Każdy dzień pogarszał cierpienia, każda noc wzbudzała straszne obawy. Stefcia miewała konwulsje i okropne dreszcze. Uczni łamali głowy na próżno. Zapalenie mózgu wystąpiło w tym przypadku z dziką zajadłością. Nic przebiegu choroby nie mogło wstrzymać. Waldemar odchodził od zmysłów, ale nie stracił energii.

Przyjechali sławni doktorzy z Petersburga, z Wiednia i znakomitość z Krakowa. Wezwany przez Waldemara przyjechał we czwartek rano domowy lekarz księżnej Podhoreckiej, stary praktyk, nadzwyczaj zdolny. Tuż za nim wieczornym pociągiem przybył pan Maciej z panną Ritą. Wiedzieli już w Obronnem i w Słodkowcach o chorobie Stefci od Brochwicza i wstrzy- mali swój wyjazd do Warszawy na ślub. Telegrafowali kilka razy do Ruczajewa, ale nikt im nie odpowiedział. Wezwanie lekarza księżnej przstraszyło wszystkich. Telegram zastał pana Macieja w Obronnem. Nie namyślając się długo, wyjechał natychmiast z Ritą. Cała okolica wiedziała o wypadku. W Głębowiczach padła mgławica na zamek i służbę. Brochwicz jeździł

z Obronnego do Słodkowic ponury jak chmurna noc.

A ze Stefcią było gorzej. Nie poznała pana Macieja ani Rity, majaczyła ciągle. Raz tylko powiedziała głośno wobec wszystkich, jakby widząc kogoś przed sobą:

– Dobrze, .babciu... pamiętnik oddam... dziadziowi... oddam. Pan Maciej zapamiętał te słowa.

Drugi raz w piątek wieczorem Stefcią znowu odzyskała przytomność na chwilę. Kilka osób stało dokoła niej. Waldemar klęczał, trzymając jej rękę.

Popatrzyła szeroko otwartymi źrenicami, uśmiechnęła się i wyszeptała dość głośno:

– Kochacie mnie wszyscy?... tak? Pan Maciej przemówił do niej:

– Dziecko moje... to ja... dziadzio... i Waldy tu jest... Poznajesz nas?

– Poznaje. Waldy już dawno przy mnie. I Rita jest?... Podniosła oczy, jakby szukając.

Panna Rita przysunęła się bliżej.

– Jestem, kochanie... jestem – rzekła całując jej rękę.

– A mama?... Ojczuś, są? Gdzie Jurek i Zosia? Chcę wszystkich.

Dziewczynka już spała, ale Jurek wysunął się zza kotary łóżka i wtuliwszy pięści w oczy, buchnął na nogi Stefci z głośnym płaczem.

Waldemar niecierpliwie odsunął go, bo Stefcią złękła się. Pan Rudecki chciał wyprowadzić Jurka, ale chłopiec przypadł skulony na ziemię w kącie pokoju i krztusił się łkaniem.

– Czego on płacze? – spytała Stefcią obojętnie.

Nikt jej nie odpowiedział. Waldemar zaczął ją pieścić i uspokajać.

Stefcią uśmiechnęła się, objęła go za szyję ramionami i delikatnie jego dłonią gładziła się po twarzy, gorącej jak płomień.

– Mój... Waldy... mój... mój – szeptała, patrząc na niego błyszczącym fioletem przepaści- stych swych oczu. Gorzało w nich piętno gorączki.

On przemawiał do niej pieszcząco, jak do bardzo ukochanego dziecka, łagodnie tulił ją do siebie, aż w jego ramionach usnęła.

Do pokoju zaczęły wpełzać mętne włókienka szarej godziny. Przez otwarte okno docho- dził monotony huk latających gromadnie chrabąszczy i obijanie się owadów o ściany domu. Lipy szumiały słodko. Wpadł nagle suchy rozgłośny klekot bociana, potem odezwały się ci- cho żaby i głosy swe potęgując zanosły się jednostajną zgodną pieśnią, wyjętą z nokturnów wieczornych. Cały świat szedł do snu, młody, rozbujały jakąś fantazją junacką, dyszący pra- gnieniem szczęścia. Wszystko układało się na spoczynek z cichym nuceniem, aby nazajutrz budzić się wzajemnie do rozkoszy istnienia. A Waldemar, słuchając tej opery letniej, patrzył na cudny kształt dziewczyny uśpiony wśród pościeli, młody, wiośniany i... zwarzony choro- bą. W całej przyrodzie kipiącej życiem ten jeden kwiat więdniał, zanikał nielitościwie, obo- jętny na pobudzające prądy i szal natury. Waldemar patrzył na narzeczoną, taką cichą, bierną, i myślał ze straszną męką w sercu:

– Jutro miał być nasz ślub.

## XXIX

Poranek rozbłysnął bogactwem barw.

Zakołysały się akacje, cichym szeptem wionęły jaśminy. Strojne, jasnozielone brzozy, spowite w białe, cętkowane atłasy, zatrzęsły mnóstwem listków drobnych, błyszczących jak z emalii. Kwiaty, krzewy, umajone drzewa witały dzień radosnym poszumem.

Rozjaśnił się czysty błękit i kryształ powietrzny. Słońce wstawało za jutrzenką, rozradowane, szczęśliwe.

A ziemia cała i wszystko, co na niej żyło, rosło, kwitło, pachniało, wszystko, co umiało śpiewać, odczuwać, świergotać – wszystko wznosiło w górę uroczysty hymn: Kiedy ranne wstają zorze...

Okno w pokoiku Stefcia szeroko otwarte. Muślinowe firanki, białe w lila irysy, poruszały lekki oddech rosnących pod oknem brzóz. Smukłe, seledynowe, zwieszały wiotkie baldachy my gałązek, drząc listkami, jakby żałośnie spływające łzy. Brzozy zaczęły wdmuchiwać do pokoju moc odurzających zapachów, całą woń z ogrodu, skrzętnie zebraną z kielichów kwiatowych; posyłały tam szmery; rozszeptany ogród rzucał w okno najpiękniejsze symfonie. Jutrenka stroiła różem białe muśliny firanek, niosła purpurę aż do łóżka w głąb pokoju, gdzie leżała wiotka postać dziewczyny, delikatnej niby świtem zaróżowiony obłoczek.

Czoło miała Stefcia odkryte, jasne, przezrocze, i mocno zarumienione policzki. Nieco obnażona szyja pulsowała widocznie, aż koronka bielizny unosiła się leciuchno.

W pokoju pełno światła i powietrza. Dokoła chorej leżały kwiaty zniesione tu przez Jurka. Pan Rudecki chciał je wyrzucić, bojąc się, że zbyt ni zapach może szkodzić Stefcia, lecz jeden z profesorów wstrzymał go.

– Panie, to już nie szkodzi – rzekł ze smutną powagą w głosie.

Pan Rudecki wybiegł z pokoju, upadł na kolana obok żony; szlochała skulona na ziemi przed obrazem Bogarodzicy.

Waldemar, klęcząc przy łóżku Stefcia, targany szaloną rozpaczą, porywającą go w bezkresy, ścisnął drobne ręce dziewczyny, a z piersi jego wychodził jęk zdławiony, do rynku podobny.

– Żyj! żyj!... na Boga... zostań... nie odchodź!

I trzęsące się usta przycisnął do gorącego ramienia Stefcia. Czoło nabrzmiałe żyłami, spoczone, ściągnięte bezgranicznym bólem oparł na kołdrze i modlił się, łkał suchym płaczem, trawiącym wszystko. Wstrząsała nim gorączka, szarpał go żal tak olbrzymi, że pomieścić się nie mógł nawet w tej żelaznej piersi.

A Stefcia otworzyła oczy zmacone jak zagasłe gwiazdy, kręciła głową po poduszce, jedną ręką poruszała koło czoła, niby coś odpędzając. Z ust jej wybiegały bezładne słowa:

– Tam... strach!... Ocalejesz!... Waldy... Ile kwiatów... To ja winna!... Nie odchodź!...

– Droga moja! przebudź się... miej litość! – szeptał Waldemar głucho, sam prawie nieprzytomny.

– Nie karz... ich... Wal... dy...

Chwyciły ją konwulsje. Dwaj obecni w pokoju doktorzy podbiegli, ale Waldemara nie odsunęli. Klęczał ciągle z jej ręką w swych dłoniach, z czołem przy jej piersiach.

Po chwili konwulsje ustały. Stefcia leżała bezwładnie ze zwieszoną główką. Włosy jej opadały na czoło Waldemara.

Oddychała bardzo słabo, skroń i szyja pulsowały gwałtownie, lecz tempo zwalniało się stopniowo.

Doktorzy spojrzeli na siebie. Obaj spuścili oczy, cofnęli się od łóżka i w pewnym oddaleniu poklękali.

Widząc to pan Maciej i panna Rita uklękli również, kryjąc twarze w dłoniach. Cisza



wielka, cisza jakaś mistyczna spłynęła na jasny, wonny pokój.  
Nagle w tę ciszę uroczystą posypały się delikatne rytmy, jak trele na flecie ze złota i pereł.

W brzozie pod oknem, w otoczeniu gęstych krzaków białego jaśminu, zaśpiewał słowik. I muzykę swą posyłał wysoko aż do różowych zórz na niebie, aż do roztoczy słońca. Król dnia wyrzwał już spoza seledynowej wstążki, ostatniej z bogactw jutrzeńki. Ptaszek flecikiem swym wzywał blaski, harmonijnym świstem tonów przywabił jasne duchy z błękitów aż do stóp Wszehmocnego, aby spłynęły na tę brzozę, w to okno otwarte a ciche jak w kaplicy. I tyle uczuć płynęło wysnutych z piersi słowika, i tyle prośby, i tyle modlitwy, że pierwsze różane zorze zaczęły dążyć w tę stronę, zabierając z sobą wszystkie barwy niebieskie. Szło słońce młode, pyszne i niosło z sobą ciepło i blask... Szły zapachy kwiatów... Szły upajające wonie łąk... Szły wiewy ptasich lotów... Szły ciche szmery powietrzne. I od stóp Boga zerwały się jasne duchy piękne, natchnione, wysnute z mgieł srebrnych bieli obłoków.

Cały hufiec niebieski z szelestem sfrunął w powodzi jaskrawych pasm na bujną brzozę, gdzie sygnalizował ptaszek. .

I razem ze światłością poranku, razem z zapachami kwiatów i cudną melodią wiośnianą jasne duchy dotarły do Stefci, otaczając śliczną głowę dziewczyny cichym, dobrym tchnieniem. Słowik trylował, cieniując pojedyncze nuty, jakby przygrywkę jakąś tęskną do rapsodu Aniołów.

Gdy łóżko Stefci zapłonęło ogniem słońca w całej świetni jego potęgi, hufiec niebieski zaszumił skrzydłami, uniósł się i na złotym sztaku wyfrunął z pokoju, powiększony o jedną przeczystą duszyczkę – Stefci.

Błękitni wysłańcy nieśli ją niepokałaną, jak ich pióra, snując nad nią czarowną glorię nieuchwytnych blasków. I lecąc ku błękitom, dążąc do stóp Boga, cały chór anielski i ta jasna nowa duszyczka dziewczyny wzniesli hejnał pobożny:

– Salve Regina...

Dreszcz przebiegł obecnych, jakby odlatujące duchy dotknęły wszystkich rąbkiem swych szat. Klęczący Waldemar usłyszał cichy głos doktora:

– Już... po wszystkim...

Zerwał się przerażony, okryty potem, straszny.

Błędne źrenice wpił w nieruchomą postać dziewczyny z zamkniętymi oczyma, leżącą bezwładnie w ramce złotych włosów, jak zabity biały motyl.

Waldemar bez jęku, bez słowa, tylko z dzikim wyrazem w oczach zachwiał się i ciężko runął na brzeg łóżka.

Podbiegli do niego. Zgroza zawisła nad ludźmi. Na umajonej brzozie słowik śpiewał dalej.

## XXX

Waldemar nie zemdlął, lecz popadł w stan całkowitego znieczulenia. Patrzył na leżącą bez ruchu Stefcię, której lekko rozchylone usta zachowały barwę kaliny jakby się krew skrzepła w nich. Uśmiechały się dziwnie słodko. Zamknięte powieki rzucały długie cienie rzęs na delikatną biel jej twarzy. Robiła wrażenie cicho śpiącej – tak pięknie ustroił jej młode ciało hufiec niebieski, zabrawszy z niego duszę, jak woń kwiatu.

Rozpacz państwa Rudeckich, ryk Jurka, płacz Zosi i wszystkich domowych nie zdołał poruszyć Waldemara. Był zdrętwiały, ogłuszony, jak błędny. Oparty na brzegu łóżka, wpijał w ciało dziewczyny tępy wzrok, z niemą a okropną tragedią.

Tak zeszła godzina, długa, pełna szlochów, ponura jak nędza.

Nagle Waldemar wstał, ręce podniósł do głowy, przetarł czoło i wyszedł z pokoju. Pan Maciej zgarbiony, ze zmienioną twarzą, jak cień poszedł za nim.

Stan Waldemara zatrwożył go. Bał się o niego, nie spuszczał oczu z wnuka, sam potrzebujący opieki.

Ordynat wszedł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą.

– Na Boga! otwórz! – nieludzko krzyknął starzec.

Z niebywałą siłą szarpnął drzwi, otworzył, wpadł do pokoju i zatoczył się jak martwy z przerażenia.

Waldemar miał w ręku rewolwer, wydierał go z futerału. Starzec przyskoczył do wnuka, porwał ramię Waldemara, chciał chwycić rewolwer, lecz ordynat szybko podniósł go w górę. Z dzikością w oczach odepchnął pana Macieja i zawołał ochryplym głosem:

– Precz! precz!

Wyglądał strasznie. Oczy ciskały gniewem, cała twarz drgała konwulsyjnie. Stał wyprostowany z morderczym narzędziem w podniesionej wysoko dłoni. Złowrogo błyskało. Z ust wychodził mu zduszony, nieludzki pomruk:

– Ona... nie żyje... ona!

Pan Maciej jak szalony, z jękiem przeszywającym serce rzucił się do nóg Waldemara. Starzec klęknął i obejmując kolana wnuka, załkał rozpaczliwie:

– Nie czyn tego! zmiłuj się! nie zabijaj mię!... Jej śmierć to kara dla mnie, jam przeklęty! ale ty żyj! ty żyj!

Ordynat patrzył, jakby nie pojmując.

Wtem wpadła panna Rita, błyskawicznie zrozumiała grozę chwili, podbiegła, lecz nie zdążyła – ordynat na widok jej gwałtownie zniżył rewolwer.

Huknął strzał.

Drżąca ręka i pośpiech uratowały Waldemara: kula przeleciała o parę cali od czoła i utkwiała w ścianie.

Panna Rita wydarła broń z jego dłoni.

On błędnie spojrzawszy na nią, wściekle rzucił się, chcąc odebrać, ale Rita cisnęła rewolwer za okno, rękę zaś Waldemara zatrzymała, silnie tuląc do ust. Oczy jej wyrażały błaganie, przejmujący żal.

Starzec klęczał skulony u stóp wnuka. Wystrzał odebrał mu na chwilę pamięć i czucie, teraz głuchy płacz targał jego piersią.

– Waldemarze! przebacz mi!... to ja przeklęty!... to zemsta dla mnie... moja Nemezys! Waldy! mój jedyny! ty całe moje życie! zmiłuj się, miej litość!...

Widok był tak okropny, że panna Rita zakryła oczy. Płacz starca boleścią swą przedarł się do duszy Waldemara.

– Dziadziu... wstań – rzekł głucho, trąc nabrzmiałe żyłami czoło.

Panna Rita pomogła dźwignąć się starcowi. On runął na piersi wnuka, trzęsący się, skołatany.

145

Suche źrenice Waldemara wypowiadały całą rozpacz, ból druzgotał go z gilotynową siłą. Usunął dziadka i ciężko zwisnął na krześle. Schował twarz w dłoniach.

– Boże! Boże! Boże!...

Jęk ten zdawał się zamykać w sobie wszystkie nędze i okrucieństwa życia.

Pan Maciej pozostał przy nim, panna Rita cicho wyszła, zatrzymując przerażonych strzałem rodziców Stefci.

Waldemar odczuwał straszliwie śmierć narzeczonej, przepaść widział przed sobą, ale jak bez duszy, nie mógł płakać, nie mógł się żalić. Tylko w skroniach paliło mu ogniem, w sercu czuł mróz przejmujący, jakby cała rozpacz, cały ogrom żalu skrzepł się w lód w jego żyłach. Stan jego budził obawy.

Pan Maciej i doktor księżnej czuwali nad nim bez przerwy.

Panna Rita z pomocą jednego z obywateli okolicznych, przyjaciela rodziny Rudeckich, zajmowała się wszystkim. Wysyłali telegramy z żałobną wieścią.

Pan Maciej, przeczuwając życzenia ordynata, telegrafował do Głębowicz po kwiaty, drugi telegram wysłał do córki. W porozumieniu z panem Rudeckim sam zajął się pogrzebem narzeczonej wnuka.

W Słodkowcach, w sobotę wieczorem, zebrani byli wszyscy w sali jadalnej: pani Idalia, księżna Podhorecka, Lucia i Brochwicz, pan Ksawery i nawet rządcy Klęcz.

Złowróżbne obawy napełniały ich serca od czasu wezwania do Ruczajewa lekarza z Obronnego. Pan Maciej i Rita nie przysyłali żadnych wiadomości. Księżna przechodziła ciężkie chwile. Zamieszkała w Słodkowcach, w Obronnem nie mogła wytrzymać samotnie.

Niepewność ogarnęła wszystkich. Lucia chodziła jak nieżywa, tylko pani Idalia uspokajała księżnę, nie tracąc nadziei.

Wieczór minął szybko. Nastąpiła noc jasna, pachnąca. Słowiki śpiewały w parku, od jeziora dochodziło głośne kwilenie rybitew. W sali jadalnej zgłębiony Brochwicz pootwierał okna i chodził od jednych do drugich niespokojny, milczący.

W pokoju kredensowym zebrana służba szeptała cicho, również trwożna i pełna obaw. Zbliżała się północ, gdy do kredensu wszedł stróż nocny, prowadząc posłańca z poczty,

Służba otoczyła go kołem. Jacenty bez słowa porwał telegram i pobiegł do sali jadalnej.

– Depesza! – krzyknął Brochwicz. Drżącą ręką chwycił papier i rozerwał.

Pani Idalia, Lucia, pan Ksawery, Klęcz powstali z miejsc. Księżna siedziała jak przybita do fotelu.

Brochwicz przeczytał jednym tchem:

„Stefcia umarła dziś rano. Pogrzeb we środę. Waldemar niebezpieczny. Przyjeżdżajcie. Maciej”

– Boże miłosierny! – jęknął Brochwicz i telegram wypadł mu z ręki.

W głuchoj ciszy niewypowiedzianej grozy nagle rozległ się spazmatyczny krzyk Luci. Przy drzwiach Jacenty załkał głośno i prędko wybiegł do kredensu; wśród zebranej przestraszonych służby zawył jękliwie:

– Jasna panienka umarła!

Płacz ogólny i narzekania rozległy się po jego słowach.

W sali jadalnej pani Idalia cuciała spazmującą Lucie, sama ze łzami w oczach, zgłębiona śmiercią Stefci. Pan Ksawery ocierał oczy, Klęcz zagryzał wargi, przejęty nieszczęściem.

Księżna siedziała bez ruchu, niebywale blada, prawie zielona. Łzy wielkie spływały z jej oczu. Mówią szepem:

– Stefcia umarła... – umarła?... to dziecko?... ta słodka dziewczyna? czy to możebne...  
Wieczny... odpoczynek... jej duszyczce...

146

Księżna nie dokończyła. Oparła się o fotel i załkała rzewnie.

Do sali niespodziewanie wszedł Trestka. Wystraszony, powiódł wzrokiem dokoła i rzekł kiwając głową:

– Już wiecie wszystko?...

Po czym usiadł na pierwszym krześle, nie witając się z nikim.

Przerażenie zawisło w sali. Nawet nieme portrety na ścianach zdawały się mroczniejsze.

– Miał pan depezę? – cicho spytał Brochwicz.

– Tak, od Rity. Otrzymałem przed dziesiątą. Spieszyłem, aż konie omal nie popadały. W drodze spotkałem Jura z Głębowicz. Już i tam wiedzą. Do nich telegrafował pan Maciej. Mają wieść kwiaty. Jur przyjechał ze mną.

Księżna powstała, chwając się na nogach. Brochwicz ją podtrzymał.

– Trzeba jechać... natychmiast – rzekła stanowczo – na ranny pociąg musimy zdążyć. Energia brzmiała w jej głosie.

Księżna postąpiła naprzód. Zatrzymał ją w miejscu krzyk Luci:

– Nie chcieliście jej!... nie chcieliście Stefci i umarła!... zabiliście ją... Stefa!... moja Ste- fa!...

Dziewczynka zanosła się nowym wybuchem płaczu.

Na znak przestraszonej matki Klęcz wziął dziewczynkę na ręce i wyniósł z sali. Księżna podniosła rękę do czoła.

– Co ona mówi?... Zabiliśmy ją?... My?... Ach, Boże!...

Baronowa wyszła z księżną robić przygotowania do drogi. Nie myślała wstrzymywać jej. Sama również postanowiła jechać.

Teraz dopiero poczuła żal jakiś dławiący, żal za Stefcią: doznała wyrzutów sumienia za swą surowość dla zmarłej.

Brochwicz wezwał Jura.

Olbrym wszedł do sali, zatrzymał się przy drzwiach, sztywny, wyprostowany, ale bardzo zgnębiony. Brochwicz dojrzał, że miał zapłakane oczy. Szepnął do Trestki:

– Jaką ona zjednała sobie miłość – nawet służby.

– Płakał jak bóbr, gdy się ze mną spotkał – odrzekł Trestka. Brochwicz zwrócił się do strzelca:

– Dawno dowiedzieliście się o nieszczęściu?

– O dziewiątej, panie hrabio.

– Kto telegrafował?

– Jaśnie pan starszy do marszałka dworu. Każę przywieźć bardzo dużo kwiatów... tylko białych... Pogrzeb we środę.

– Po cóżeś przyjechał?

– Myśleliśmy, że jaśnie państwo jeszcze nie wiedzą i pan marszałek nie jest pewny, jakie wieść kwiaty: cięte czy w wazonach?

– I takie, i takie – rzekł Trestka – do ubrania katafalku potrzebne wszelkie. Brochwicz wstrząsnął się.

– Do ubrania katafalku – powtórzył z goryczą. – Kwiaty z Głębowicz miały dziś być w Warszawie na ślubie – teraz idą na grób... Straszne!

Jur otarł rękawicą oczy. Starał się przybrać służbową postawę, lecz zaciskał pięści i usta, aby nie płakać. Ten olbrym przywiązał się już do Stefci jak do swej ukochanej pani.

W godzinę potem Brochwicz z Jurem pojechali do Głębowicz, skąd nazajutrz mieli się udać do Ruczajewa, wioząc kwiaty.

Ze Słodkowic wyjechano zaledwo w niedzielę wieczorem, gdyż stan zdrowia księżnej nie pozwalał wcześniej. Na dworcu kolejowym spotkali księżnę Franciszkową Podhorecką z córkami.

Powitano się w milczeniu.

147

- Jedziesz na pogrzeb? To dobrze. A Franio? – spytała starsza księżna synowej.
- Franio został. Nie nalegałam. W takiej chwili lepiej, jak się Waldemarowi nie będzie narzucał. Zresztą... nie był w Ruczajewie. Zabrałam tylko dziewczynki. Znały ją, lubiły bar- dzo.
- To dobrze, dobrze. Powinniśmy tam być... wszyscy.
- Ale Rita w depeszy nadmieniła coś niezrozumiałego – rzekła młodsza księżna.
- Ale co?... ale co?
- Napisała tak: „Stefcia umarła – zabita”. Staruszka szeroko otworzyła oczy.
- Cóż to znaczy? Przecież chorowała... zapalenie mózgu.
- Musiał być jakiś powód choroby, może psychiczny – wmieszał się Trestka.
- Ależ jaki powód?

Księżna Franciszka podniosła brwi.

- Proszę mamy! jednak ta nagła choroba Stefci jest podejrzana: coś musiało zajść.

Księżna przez całą drogę nie mogła się uspokoić. Lucia płakała bez przerwy, młodziutkie księżniczki na próżno chciały ukoić jej żal.

W poniedziałek wieczorem przyjechali do Ruczajewa. Wyszedł do nich pan Rudecki i Brochwicz. Na ganku w otoczeniu służby ruczajewskiej stał zapłakany Jur.

Starsza księżna Podhorecka pierwszy raz w Ruczajewie weszła do domu, jak posąg smutku – wysoka, majestatyczna, cała w czerni ciężkich koronek, wlokących się za nią w poważnych fałdach. Prowadziła księżnę, również czarno ubrana, panna Rita. Za nimi szła pani Idalia z Lucią, księżna Franciszkową i księżniczki. Sznur kończył Trestka i Brochwicz. Pan Rudecki poszedł naprzód.

Gdy mijali salon, kilka osób z okolicy Ruczajewa będących tam usunęło się grzecznie przed wyniosłą postacią księżnej.

- Podhorecka... babka ordynata... przyjechała – rozległy się ciche szepty.

Spoglądano z szacunkiem na idącą wolnym krokiem dostojną matronę, trochę dumną i pełną godności. Stygmat nieszczęścia księżna miała w swej twarzy bladej, gładkiej i w spuszczonej powiekach. Siwe pasma włosów pod czarną koronką, spadającą obficie na ramiona, nadawały jej wyraz królewski niemal. Księżna-babka, najzawzięciej oporna małżeństwu wnuka, z którą on walczył najdłużej, szła teraz patrzeć na jego tragedię, na jego głuchą rozpacz po zgasłym szczęściu. Księżna-babka niosła w swym sercu dramat straszliwy – wnuka.

Na progu umajonej komnaty staruszka zaczęła mrugać oczyma z wrażenia i nadmiaru jasności. Potoki światła mieniły się na środku pokoju, rozjaśniały ściany, obstawione dokoła smukłymi drzewkami brzóz. Sufit stroiły wieńce z białych kwiatów, spływając festonami jak baldachim.

Olbrzymie rośliny, całe drzewa, najpiękniejsze okazy z Głębowicz, przywiezione tu na kilku wozach, ubierały salon ruczajewski, grupując się malowniczo w kątach, osłaniając białe pnie brzóz. Zieleń, białe kwiaty i świece tworzyły przepaścistą wonną otchłań.

Wzniesienie na środku pokoju tonęło w kwiatach: białych różach, goździkach, liliach. Stopnie otaczały wieńce z konwalii i krzaczastych paproci.

Olbrzymie palmy wachlarzowe, sięgające sufitu, tworzyły nad wzniesieniem ruchome sklepienie. Zdawało się, że to wzgórze anielskie, jeden bukiet świeży, pachnący, przejaśniony blaskiem.

Na stopniach, w głębi, wśród pęków róż klęczał Waldemar.

Oparty o najwyższą kondygnację, wpatrywał się zagastymi oczyma w rzeźbione rysy śpiącej na wieki. Zastłaniały go szerokie liście palmy.

Za nim, w cieniu brzóz, siedział w fotelu pan Maciej, trochę dalej klęczała pani Rudecka z dziećmi i jeszcze parę osób.

Księżna-babka weszła do tej dziewiczej groty niby sztandar żałobny, wywołując uczucie

trwogi. Lekki szmer jej szat wzmocnił wrażenie jakiejś nieubłaganej potęgi, wkraczającej tu jak ostatni wyrok. Zatrzymała się blisko stopni, podniosła oczy, patrząc z natężeniem i pionową bruzdą na czole. Czarne, duże źrenice staruszki zmąciły się, zwarte silne usta zaczęły drżeć. Nieruchoma, bezmiernie złamana w duszy, po długiej chwili szepnęła dość głośno i żałośnie:

– Jaka śliczna... ona śpi... w ślubnej sukni... w wieńcu... w welonie... Boże! Łzy wielkie spadły z oczu staruszki.

Cicho, poważnie osunęła na kolana swą żałobną postać, chyląc nisko głowę przeciążoną smutkiem.

Wtem uderzył w obecnych rozziewający krzyk Luci:

– Stefa! Stefa!

Waldemar rzucił się, wyprostował, spojrział na dziewczynkę i zaciskając zęby wsparł czoło na dłoni.

Lucia zemdląca. Wynieśli ją zaraz.

Cisza zaległa pokój. Przez otwarte drzwi werandy, zasłonięte kotarą, wlatywał szum drzew i gdzieś daleko w białych oparach zawodziły derkacze – łąkowe grajki.

## XXXI

W czwartek po pogrzebie w Ruczajewie panowała cisza grobowa.

W milczeniu snuły się ponure postacie służby. Cały folwark milczał głucho bez roboty, bez życia. Na ranny pociąg odjechało paru bliżej znajomych doktorów z Warszawy, ale rodzina ordynata została jeszcze.

Uczeni zagraniczni wyruszyli natychmiast po śmierci.

Żałoba po Stefcu zapadła kirem na wszystkich. Tylko słowik śpiewał po dawnemu na brzozie pod oknem pustego pokoju zmarłej, dokąd zniesiono kwiaty i pogaszone, zapłakane świece.

Ptaszek nucił treny piękne i smutne, opłakując jasną, wiośnianą duszyczkę dziewczyny, co tak cicho zeszła z ziemi, tyle zostawiając łez. Wtórowały śpiewakowi tęskne gamy pszczoł, szemrał powiewnie rój kolorowych motyli.

Na ocienionej werandzie od strony ogrodu zebrani wszyscy rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami.

W głębokim fotelu siedziała staruszka księżna, ogromnie zmieniona przez tę parę ciężkich dni.

Oczy miała zapadłe, zaciśnięte usta. Pan Maciej zgarbiony, z twarzą sfałdowaną, już niemal zgrzybiały. Ręce splótł na kolanach i patrzył w ziemię.

Postacie państwa Rudeckich wyrażały tak straszną rozpacz, taką ruinę moralną, że nikt nie mógł patrzeć na nich bez łez. Oboje przygniatali ciężarem swej niedoli. Znajdowała się na werandzie pani Idalia, młoda księżna i Rita. Brochwicz z Trestką i lekarzem księżnej szeptali z sobą na boku.

Tylko Lucia, zupełnie chora, splakana leżała w łóżku, opóźniając wyjazd księżnej i pani Idalii. Czuwały nad nią księżniczki. Nie było również Waldemara.

Na ławce pod splotami dzikiego wina siedział skulony ksiądz, który chrzczył i chował Stefcie. Staruszek popłakiwał cicho.

Wilhelm Szeliga na otrzymany w Heidelbergu telegram od siostry rzucił semestrowy egzamin i natychmiast pospieszył do Ruczajewa. Trafił na pogrzeb. Teraz milczał ponury, z czerwonymi oczyma, podobny do złamanego drzewka.

Księżna trzymała w ręku paczkę listów anonimowych. Usta staruszki trzęsły się, złamanym głosem mówiła:

– To najstraszniejsze... te listy. Gdybyż umarła z innego powodu... Ale profesorowie twierdzili, że anonimy ją zabiły.

– Głównie to – rzekł stanowczo stary lekarz. Panna Rita smutnie poruszyła głową.

– I ja to samo mówię. Ona była niesłychanie uczuciową i bardzo wrażliwą. Dla niej takie słowa to nóż w serce, to zabójstwo! Ile ona przeszła rozterki duchowej, zanim zdecydowała się zostać narzeczoną ordynata. Ona chciała poświęcić własne uczucie najdroższe! Ja wiem wszystko, podziwiałam ją zawsze. I taką istotę zabić, do niej pisać podobne oszczerstwa!... Panna Rita rozplakała się. Trestka dotknął jej ręki.

– Pani droga, spokoju! Oszczędzajmy księżnę i pana Macieja. Wtem przemówił pan Rudecki:

– Wina spada na mnie, że jej ustrzec nie zdołał od tych wrogich listów. One ją zabiły.

– Panie! proszę nie zmniejszać winy tych, co je pisali – rzekł Brochwicz. – Ordynat pana ostrzegał, bo on zna ogrom złości ludzkiej. I on nie przeczuwał, że anonimy będą tak zjadliwe. Tym spiskiem kierowało parę osób w ścisłym z sobą porozumieniu. Każdy wie, kto jedy- nie być może zdolnym do tego. Tu nie ma dwóch zdań. Autor ostatniego anonimu ubliżył nam podpisując się: „Jeden za wszystkich”. To kłamstwo, dobrze obmyślana intryga.

150

Starsza księżna spuściła powieki, usta zacięły się surowym wyrazem. Cichym głosem przemówiła:

– Barscy?... taką niegodziwość! Wstyd! I to karmazyni! Czy to prawda?

– A jednak fakt – podchwycił Trestka. – Ostatni anonim pisał Barski: jego styl, jego wyrażenia. W innych mniej więcej to samo, tylko pismo podrabiane umiejętnie. Cisnąć mu w twarz nie można: za bezczelny, nawet by się nie zarumienił.

– Ale można by mu nie podać ręki – rzekła surowo księżna.

Lekki dreszcz przeniknął obecnych. Wyrok dumnej pani, magnatki rodowej, wydany na magnata, zrobił wrażenie. Spojrzeli po sobie, jakiś strach przeleciał po twarzach.

– Barskiemu ktoś pomagał – rzekła nieśmiało pani Idalia.

– Własna córka i Lora Ćwilecka – dodała ironicznie panna Rita.

– Na nie spada wstyd za splamioną godność kobiecą – mówiła księżna podniecona – skompromitowały się same. Lora była zawsze parweniuszką. Ale Barski skompromitował nas wszystkich, tego już się nie darowuje!

– Wyraźnego dowodu nie ma – wycodziła pani Elzonowska.

– Idalio! – zgromił ją pan Maciej. Księżna mówiła, nie uważając:

– Barski zatarł ślad zmienionym pismem. To dowodzi, że się nas bał, nie Stefci. Gdyby nie ta fikcyjna zaporą, usunąłby się od niego każdy prawy arystokrata. To wykroczenie poważne, nie zrobiłby tego uczciwy chłop. Ale magnat?... O, wstyd!

– Dlaczego ona nic ordynatowi nie nadmieniła o otrzymywanej korespondencji? On ukróciłby to natychmiast – rzekł Brochwicz.

– Ja ją rozumiem – odpowiedziała panna Rita. – Ona nie chciała skandalu, nie chciała go ranić. Zresztą są dowody – listy, jakie pisała do niego żaląc się, a jednak żaden nie został wysłany. To była bardzo subtelna natura, ale za słabe miała siły.

Staruszek proboszcz pokiwał głową.

– Ja wiem najlepiej, jaka to była zdrojowa dusza, jakie serce – rzekł smutnie. – To dziecko już we krwi nosiło szlachetność.

Pan Maciej rękoma zakrył twarz. Po długim milczeniu zaczął mówić z niezmierną jakąś trwogą:

– To stać się musiało... to przeznaczenie... to moja Nemezys! Moja przeszłość zemściła się straszliwie, ona... Stefania. Uderzyła w najżywniejszą arterię mego serca, dotykając jedynego wnuka. Ja zrujnowałem jej życie, ona zabrała szczęście mego wnuka. O! straszna zemsta! okrutna zemsta!

Wszyscy milczeli. Pani Rudecka płakała, słuchając słów starca oskarżających jej matkę. Łkaniem zdawała się pytać zmarłej:

– Czy to prawda? Ty się zemściłaś... ty nam ją zabrałaś? Ale za cóż kara dosięgła nas, rodziców?... za co?

A pan Maciej mówił dalej po chwilowej ciszy:



– Nieszczęsną jest nasza rodzina, fatum nad nią wisi. Wieczne łyzy! wieczne łyzy! I to dziecko, zabite przez nas – nowa ofiara Michorowskich! Nic nie pomogło, że Waldemar zwalczył wszelkie przeszkody, żeśmy ją pokochali już jak córkę. Nic nie pomogło! Wszystko to tylko początkiem zemsty, jakby obliczone na to, by cios uczynić sroższym. W tym jest całe okrucieństwo odwetu! W dniu, w którym połączyć się mieli, dopełniła się zemsta!

Starzec odetchnął głęboko.

Blade oczy obrócił na klomb kwiatowy przed werandą i poruszał głową, jakby akcentując bezmiernie smutne słowa.

– Oczekiwałem ich ślubu z upragnieniem, chciałem jak najprędzej ujrzeć wnuka szczęśliwym, jakim nigdy ja nie byłem. Wyobrażałem ich sobie zawsze w ślubnych strojach – tę parę tak piękną, stworzoną dla siebie. I zobaczyłem Stefcie w ślubnej sukni... widziałem ją w

151

wieńcu z pomarańczowych kwiatów głębowickich, które miały ją zdobić przy ołtarzu. Widziałem ją w welonie, dziewczyną, śliczną – ale jak! ale jak!... I jego widziałem wśród tych kwiatów nieprzytomnego prawie. O! straszny obraz! poniosę go z sobą do grobu! Trzeba mieć całą moją przeszłość za sobą, całą niedolę życia, aby na kresie jego ujrzeć podobny obraz. Kara zasłużona, ale okrutna. To już nie kara, lecz piekielna zemsta! A potem... po jej śmierci, jakim cudem ja wówczas nie padłem rażony na miejscu, kiedy w rękach jego ujrzałem broń morderczą? O! Chryste!

Księżna rzuciła się na fotelu.

– Co?... co?... Waldemar chciał?...

– Tak, chciał się zabić, miał w ręku rewolwer... odepchnął mnie, gdym odbierał... był dziki... straszny! Ale mu do nóg padłem, kolana mu całowałem... ja... jego dziad! bo mię rozpacz za duszę targnęła.

Starzec zaszlochał. Księżna zaczęła także płakać.

Na werandę wpełznął złowrogi cień. Brochwicz powstał i wyszedł aż na schody, bo mu krtań ścisnęła spazm żalu. Czoło oparł o słup werandy.

Pan Maciej mówił dalej:

– Rita wyrwała mu rewolwer, ale mierzył do siebie... kula chybiła... Boże łaskaw! Rita zabrała mu broń... niech jej Bóg nagrodzi... ja byłem nieprzytomny. To tylko czułem, że nie- nasycona zemsta i jego chce mi zabrać. Błagałem, zakląłem go na pamięć zmarłej Stefcie, na pamięć jego matki. Może duszyczka tej słodkiej dziewczyny dopomogła, bo zdołałem go poruszyć. Obiecał mi, ale co się z nim dzieje, widzicie sami. Najgorsze to, że nie może płakać. Szarpie się wewnętrznie. Ach, jak on cierpi! Czy widzieliście, jak on szedł za nią na pogrzebie? Podtrzymywał ją w głowach, róże z wieńców opadały mu na czoło. Ale jego twarz! jego oczy! Czy posąg z kamienia może być twardszy w wyrazie? czy śmierć sama może mieć więcej grozy?...

Pan Maciej umilkł wyczerpany, po czym spytał cicho:

– Kto ją niósł jeszcze oprócz niego? Młoda księżna odpowiedziała:

– Pan Rudecki, hrabia Brochwicz, Trestka i Wiluś Szeliga.

– Ja widziałem tylko Waldemara. A na cmentarzu zdawał się kamienny, jednak sam zajął, czy grób wyłożony marmurem, jakby ten szczegół miał znaczenie najpierwsze. Dziwna jest jego boleść! Tak olbrzymio cierpi i drobniaczko zabiega o wszystko, co się jej tyczy... jakby to robił na chłodno. Okropna była chwila, kiedy się z nią tak cicho żegnał. Rozdarła mi się dusza! A potem zamknięcie grobu... Ach, Boże! Czy to koniec zemsty?... czy koniec?

Księżna Franciszkowa położyła rękę na ramieniu staruszka.

– Proszę o tym nie mówić – szepnęła serdecznie – to straszne, to znanadto boli, to znanadto szarpie, proszę, niech się pan uspokoi.

Pan Maciej miał skupione brwi, palcami tarł oczy.

– Ja te obrazy mam tu... tu... w mózg mi się wryły... nie zapomnę! Starsza księżna spojrzała po wszystkich.

– Gdzie jest Waldemar? – spytała cicho.

– W swoim pokoju – rzekł lekarz. – Ale pójdę, zobaczę.

Zaległo milczenie. Pan Maciej oddychał zmęczony długą mową. Wtem wrócił lekarz ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Nie ma ordynata w pokoju. Szukałem po całym domu. Nie ma nigdzie. Pan Maciej zerwał się przerażony.

– Na boga! co to znaczy?... gdzie on jest?... może w ogrodzie? Broń schowałem – rzekł cicho, jakby do siebie.

Kilka osób zeszło z werandy do ogrodu, między nimi pan Maciej, oparty na ramieniu Brochwicza. Księżna została z panią Rudecką i księdzem. Modliła się cicho.

152

Waldemar wchodził na górę cmentarną, oddaloną o wiorstę od dworu, za olszynką ruczajewską. Po drodze spotkał biegnącego Jurka. Chłopak miał rozwichrzoną czuprynę i zapuchnięte oczy. Cały zbryzgany był błotem: widocznie znowu nurzał się w stawie po nenufary dla Stefci. Przebiegając spojrzał na ordynata spod czerwonych powiek, trochę z ukosa, ale nie zatrzymał się. Cenił on i szanował ból Waldemara, nie mógł mu jednak darować śmierci siostry. Nie mogąc dawniej zrozumieć dokładnie, co to jest arystokracja, teraz był mniemania, że ją odgadł. Jurek w dziecinnej swej wyobraźni arystokrację miał za siedmiogłowego smoka siedzącego na górze głębowickiej, bo tylko ten zamek znał szczegółowo z opowiadań i fotografii. Zaczął na równi ze swym nauczycielem nienawidzić arystokratów. Z osób będących na pogrzebie znosił jedynie ordynata i Brochwicza, zresztą od wszystkich, nawet od Luci i księżniczek, uciekał jak najdalej.

Teraz minął ordynata bez słowa.

Ten drgnął, ujrawszy go przed sobą. Rysy chłopca przypominały Stefcię, nawet delikatne złoto z załomów jego czupryniki było złotem z warkocza zmarłej. Waldemar unikał młodszego rodzeństwa Stefci, nie mógł na nie patrzeć spokojnie. Przed bramą cmentarną stała doróżka. Waldemar nie zwrócił na nią uwagi. Poszedł prędko uliczką, wysadzoną brzożami, i skierował się na prawo, gdzie wśród kępy brzoż jasnozielonych bielił się wzgórek pokryty świeżymi kwiatami. Wieńce, girlandy, pęki białych róż, lilii, gwoździków, całe snopy konwalii piętrzyły się, przetykane wstęgami. Na samym przedzie leżał olbrzymi wieniec z palm,

róż i lilii, artystycznie uwity, z napisem na szerokiej białej szarfie:

„Od twego Waldemara”.

I na brzożach wisały wieńce. Z nich jeden bardzo piękny, naśladowający białe orchidee, pochodził od hrabiny Wizembergowej. Miał krótki napis na błękitnej wstędze:

“Śnij spokojnie”.

Wzgórek kwiatowy otaczały drzewa egzotyczne w wazonach: cyprysy, cedry i wspaniałe mirty oraz parę rozłożystych palm.

Słońce zdobiło kwiaty siatką jaskrawych blasków, sypało iskierki na metalowe wieńce, ślizgało się po szarfach z napisami.

Waldemar utkwiał oczy w biały wzgórek. Szedł prędko. Nagle zatrzymał się. Ujrzał jakąś męską postać klęczącą przy grobie. Ordynat chwilę stał, po czym znowu poszedł naprzód.

Wówczas nieznamy odwrócił głowę i podniósł się. Był to Narnicki, kuzyn Stefci.

Zmierzyli się wzrokiem. Michorowski bardzo blady, Narnicki poruszony. Patrzył badawczo na ordynata z odcieniem surowości. Ale w jego oczach i twarzy ujrzał taką przepaść rozpaczy, tak bezgraniczny ból, że w jednej chwili uczuł sympatię dla tego magnata, którego jeszcze przed chwilą uważał za tyrana Stefci.

Wzruszony rzekł z ukłonem:

– Zapewne... pan ordynat? Jestem Narnicki.. jej kuzyn i... Nie mógł dokończyć z wrażeniem. Michorowski prędko z jakimś kurczem nerwowym w twarzy podał mu rękę i mijając go podszedł do grobu.

Narnicki, silnie poruszony, zawrócił do bramy, ale potem cofnął się na brzeg cmentarza i oparty o mur, schowany w gąszczach świerkowych, patrzył z daleka na ordynata.

Waldemar, stojąc przy grobie, rozejrzał się dokoła, a widząc, że jest zupełnie sam, ukląkł i zanurzył twarz w kwiatach. Narnicki prawie nie oddychał: patrzył na zgarbioną postać narzeczonego Stefci, na jego pochylona nisko głowę, na zgnębienie widoczne nawet z ruchu i w duszy czynił sobie gorzkie wyrzuty:

– Ja go posądziałem... ja go robiłem odpowiedzialnym za jej śmierć... a on ją tak bardzo kochał. Jaki zmieniony... Czy to ten sam człowiek?

Narnicki przypomniał sobie fotografie ordynata, w Głębowiczach zdejmowane, które mu

153

kiedyś pokazywała Stefcia.

– Czy to ten sam człowiek? – myślał teraz.

I śmierć Stefci wydała mu się jeszcze straszniejszą.

Waldemar klęczał i zapomniał o świecie całym, utonął w tym grobie. Oczyma, pragnieniem duszy i serca przebijał zaporę dzielącą go od niej. Rozdzierał powódź kwiatową i płytę z marmuru, i biały marmur sklepienia grobowego. Siłą rozpacz wkuwał się w srebro i szkło, w jakim ją złożono, i widział swoją Stefcię taką białą, jasną! I żalił się przed nią w duszy, i wymawiał, że odeszła, i tulił ją do serca, i wrywał spod tych kwiatów.

Ile on marzeń najdroższych złożył w ten wzgórek pachnący, ile porywów młodości, jaką potęgę, bezmiar uczucia! Życie swe całe miał tam pod kwiatami, cały dogmat swych marzeń z przeszłości, odnaleziony cudem, i całą słodycz niedoścignionych dni. Pozostały mu miliony, tytuł, stanowisko, lecz to, co już teraz cenił najwięcej, jego skarb, zabrano mu, sam go przykrył tą masą róż. Czuł, że Stefcia jest dla niego stracona, że odleciała na skrzydłach anielskich, że już jej nie zobaczy, nie usłyszy jej głosu, chyba w imaginacji. I rozpacz nim targła, nadludzki, wściekły żal, okrutny, rwący. Jego ubóstwiana Stefcia pozostanie tu, a on odjedzie do Głębowicz samotny, z pustką w duszy, z wielką mogiłą w sercu i z przekleństwem na ustach. Z przekleństwem na tych, co ją zabili – na jej katów, na jej morderców! I gdybyż wiedział, czy ona jest szczęśliwą w życiu ziemskim! Gdybyż miał pewność, że dusza jej w aureoli świetlnej znalazła to wszystko, czym on ją chciał otoczyć, ale w stopniu potężniejszym, boskim! Gdybyż miał pewność, że jak jej ciało on owinął w kwiaty, tak duszę jej tam, w mistycznych sferach, otoczą jasne duchy wieńcem promieni szczęścia, spokoju, bezmiernego uroku! Gdybyż mógł nabyć głębokiej ufności swej babki, która wierzyła, że duszyczka Stefci śpiewa i raduje się u stóp Boga!

A jeśli następstwem śmierci jest zanik zupełny? Jeśli dusza błąka się gdzieś w ciemnościach pozaświatowego bytu, bez ostoji, bez spoczynku? To by było straszne! Taka istota, jak jego słodka Stefcia, miałyby zginąć w otchłaniach nicości? Nie otaczałby ją świetlisty krąg w nagrodę, że tak wcześniej opuściła świat, że wiosnę życia pożegnała tak bezwzględnie. Któż zasłużył więcej na jaśń wiekiustą, jeśli nie taka przezzysta duszyczka, zmarła z miłością w sercu, w przeddzień upragnionej szczęśliwości ziemskiej. Czyż taka może zniknąć bez śladu jak gołąb zabity? Czyż nie zmieni się od razu w anioła? Czyż jej wiara i czystość dziewicza nie starczą na biel piór, strojących niebieskie zastępy?

Och! ta niezgłębiona potęga śmierci! Ile w niej wątpliwości!?! Gdybyż Stefcia mogła zejść do niego z tych bezdennych pomroków niebytu, gdybyż powiedziała, gdzie ją śmierć przeniosła, gdzie duch jej przebywa i czy szczęście obecne przewyższa ziemskie. Gdyby on wiedział, może by rozpacz jego nie miała tych obaw straszliwych. Cóż mu pozostało w życiu bez niej? Chyba to, żeby samobójstwem nie popełnić mordu na żyjącym jeszcze dziadku. Zabrano mu broń, strzeżono go, ale czy jedynym zakończeniem dla niego nie byłoby połączenie

się z ukochanym jej duchem, aby miała go przy sobie zawsze, i jeśli jej tam ciemno, aby nie czuła pustki, tęsknoty za życiem na ziemi...

Waldemar z jękiem silniej zacisnął dłonie na skroniach. Żal łamał w nim wszystkie uczucia.

– Gdybyż wiedzieć, gdzie ona jest i jak jej jest?... Cóż znaczy moja nauka? – myślał obłądnie – moja inteligencja, kiedy nie mogę zbadać, czy ona szczęśliwa i czy jej byt jaśniejszy niż na ziemi. Cóż znaczą filozofowie, mistycy, kiedy pojęcie śmierci zamyka dla nich księgę nauki? kiedy, badając wnętrza wszechrzeczy, nie mogą zbadać wszechistnienia pozagrobowego? kiedy, znając wszelkie odkrycia, wszelkie gościńce prawdy, nie mogą odnaleźć jednej drogi, jaka prowadzi poza mogiłę? Istnieje taka droga – jest nią religia. Ale trzeba w nią wierzyć bezwzględnie, aby rozpacz nie wprowadziła do serca złośliwego demona ironii.

Bo nawet przy wierze budzi się pytanie: dlaczego śmierć wybiera na swe ofiary takie jak

Stefcia? dlaczego podcina swą kosą takie kwiaty młode, cudne – takie jasne dusze?

154

Dlaczego? dlaczego?

Ona ze skarbami w sercu wchodziła w życie i niosłaby mu dary wielkie. Opromieniałaby sobą troskę życia innych, stałaby się dobrodziejstwem, błogosławionym duchem dla wielu. Czy za dobrą, zanadto niepokalaną, za czystą była dla niego, że mu nie pozwolono osiągnąć z nią szczęścia? Więc czemuż ją poznał? czemu go pokochała? Ona posiadała zasoby życia i kochała życie niby kwiat rozwinięty w jasności maju, który woń swą i blask oddaje światu i nie chce ginąć.

Czyż nie znalazłaby spokoju w małżeństwie z ukochanym człowiekiem? Ależ on by ją czczył jak bóstwo!

Ogrom bólu i zagadnień mącił mózg Waldemara, rozdzierał w nim krwawiące rany, niweczył całą jego istotę duchową.

Były chwile, że błąkał się w grozie swego nieszczęścia, nie mogąc dokładnie pojąć, jaki cios spadł na niego. Jego żelazny umysł, jego szalona energia i woła stworzyły teraz przepaścistą zawieję burz najróżnorodniejszych, zawieję gęstej mgły i odnaleźć się nie mogły. I on sam nie potrafił siebie odszukać w gmatwaninie uczuć, zmaconych do dna duszy. Cierpiał jak człowiek miłujący życie, który w wiosenny poranek pełen barw i blasków, pełen śpiewów i szumów rozkosznych, nagle oślepnie i ogłuchnie. Cierpiał czując dotykalnie swój ból, czując, jak mu się sączył w krew, jak włamywał w mózg z siłą zawrotną. Ustami, na których głęboki żal wypisał swe zgłoski, szeptał imię zmarłej, mordując się podwójnie brzemieniem tego słowa:

– Stefcia... Stefcia... jasna moja... moja... gdzie ty?... co z tobą?...

I doznał wizji: ona stanęła przy nim, śliczna, wiotka, i patrzy na niego ciemnym fioletem swych oczu, jej rzęsy mrugają tak ładnie na jasnym owalu twarzy, okolonym jedwabną masą włosów. Zapatrzony w wizję, widział Stefcię jak żywą pod rozkwitłą czeremchą, wołał na nią rozszalałym wyciem serca.

A ona uśmiecha się do niego i mówi z dziecinnym grymasem kalinowych ust:

– Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Waldemar zatrząsł się, podniósł głowę. Wizja uleciała. Zobaczył tylko mnóstwo białych kwiatów – sploty, wieńce, wiązanki, morze białe, wonne, ozłocone słońcem.

– Zasypałem cię kwiatami! zasypałem! – jęknął z przejmującą tragedią w głosie. Załamał namiętnym bólem ręce nad głową.

W oczach po raz pierwszy od czasu swego nieszczęścia poczuł wilgoć, zakłuło go w żrenicach, łkanie zaczęło mu rozrywać piersi.

Upadł na kwiaty, schował twarz w dłoniach i płacz wielki, pierwszy, silny jak lawina, wstrząsnął jego męską postacią. Szarpał nim dziki skowyt niedoli.

Jeśli go teraz słyszała jasna duszyczka Stefci, musiała i sama zapłakać, i spłynąć mu na głowę niezmiernym tchnieniem ukojenia.

W bramę cmentarza wszedł przełękły pan Maciej, prowadzony przez Rudeckiego i Brochwicza, z panną Ritą i Trestką. Byli już niedaleko grobu Stefci, już dojrżeli Waldemara, gdy nagle cicho podsunął się do nich Narnicki. Ręką dał im znak, aby nie szli dalej, i szepnął:

– Zostawcie go samego, zostawcie! On... zapłakał.

Pan Maciej złożył ręce jak do modlitwy. Wszyscy bez szelestu cofnęli się w uliczkę ociekającą bujnymi kędziorami brzoź.

155

## XXXII

W Głębowiczach, w dzień pogrzebu Stefci, miejscowy proboszcz odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne i zaprosił całe obywatelstwo okoliczne. Zjazd był wielki. Wszyscy czuli się wstrząśnięci strasznym wypadkiem. Administracja z Głębowicz, ze Słodkowic i folwarków ściśle wypełniła kościół. Urzędnicy fabryczni na czele tłumów robotniczych, służba folwarczna z ekonomami, sztab ogrodników, mnóstwo mniejszej służby, wszyscy dożywotnicy majątkowi oblegali kościół ciemnym, ruchomym wałem. Zastępy straży leśnej z nadleśnymi stawiły się w komplecie. Czterech młodszych służyło do mszy. Silne wrażenie na obecnych zrobiło wejście do kościoła całej służby zamkowej z marszałkiem dworu, stajennych ze stan-gretami i koniuszym. Wszyscy w żałobie. Cicho, poważnie, z lekkim chrzęstem broni weszły szeregi strzelców zwierzynieckich, niby gwardia zamkowa, przyboczna świta ordynata. Poubierani w żałobne uniformy, czarne ze srebrem, z krepą na rękawach, mieli w swych twarzach smutek i żal. Prowadził ich łowczy Urbański. Brakowało tylko olbrzymiego Jura, ale ten pozostał w Ruczajewie.

Cały oddział, idąc wolno, otoczył kołem ustawiony w środku nawy jarzący mnóstwem świateł, zarzucony kwiatami katafalk. Łzy błysnęły w ich oczach. Strzelcy zwierzynieccy pierwsi mieli witać ordynata z żoną na dworcu kolejowym i stamtąd eskortować ich galowy powóz aż do zamku. Więc żal niesłychany ogarnął tych ludzi, żal za zmarłą Stefcią, żal z powodu nieszczęścia, jakie spotkało ukochanego ich pana.

A książkę Franciszek Podhorecki, patrząc ze stali ordynackiej na ponure twarze strzelców, całej służby, starych kamerdynerów i wyższej administracji, myślał z goryczą w duszy:

– I ja miałem kiedyś takie zastępy, tylko nie miałem u nich tego, co posiada ordynat – ich miłości.

Dzwony ma wieży były jakoś jęklawie, z bezmierną tęsknotą, gdy do nawy kościelnej weszła parami szkoła głębowicka z nauczycielem i ochronką z przełożoną.

Dzieci ustawiono po bokach katafalku, pomiędzy szeregami strzelców i straży ogniowej.

Zapłakane oczy dziecięce, mrugające od obfitości światła, patrzyły uparcie w górę po-

między palmy i kwiaty, bo im się zdawało, że tam jest ta śliczna i dobra pani, którą dzieci dobrze pamiętały.

Wrażenie w kościele dosięgło szczytu, gdy podczas Ofiarowania orkiestra zamkowa zagrała na chórze żałobnego marsza Chopina.

Głębokie, drażniące potęgą tony rozsypały wśród zebranych mnóstwo kwilącego żałośnie ptactwa smutku. Żal, wzmocniony muzyką, przedarł się do serc obecnych. I płacz runął po kościele, szlochanie zmąciło powagę chwili. Tym, co Stefcię bliżej znali, służbie zamkowej, zgromadzonym dzieciom, łkanie dusiło piersi. Innym łzy spływały po twarzach. Nawet ludziom obcym zapiekło w źrenicach na widok tego szczerzego objawu smutku. Ksiądz starszek drżał przy ołtarzu.

Gdy potem wśród ogólnego wzruszenia proboszcz w krótkich, lecz gorących słowach opowiedział nagły zgon narzeczonej ordynata w dniu, w którym złączyć się mieli – wszystkim zebrany słowa księdza zdały się jawnymi: że Stefcię, niby kwiat biały niepokalany, zerwali Anieli, aby ustroić nim stopy przeczystej Dziewicy – tam w chorałach niebieskich. A w tym samym momencie w Ruczajewie, na górze, pod brzoźami, ordynat, złamany nieszczęściem, zegnał na wieki najdroższe swe ukochanie na ziemi.

156

XXXIII

Mijały ciężkie, długie miesiące.

W Głębowiczach, w Słodkowcach i w Obronnem było niezwykle głucho. Szczególnie w rezydencji ordynata żałoba wyryła swe piętno. Błękitna chorągiew na baszcie zamkowej, zwinięta, sterczała smutno. Marszałek dworu kazał ją owiązać czarną wstęgą. Zamek wznosił się na górze wielki otoczony jak zawsze mnóstwem cudnych roślin i gustowną mozaiką kwiatów. Lecz nad tym wszystkim panował duch posępny.

Ordynat w żałobie przesiadywał w Głębowiczach samotnie. Obawiano się o niego, że do stanie melancholii, gdyż skupiona powaga i surowość nie opuszczały go teraz. Krótko i stanowczo oparł się wszelkim naleganiom o wyjazd za granicę, nie bywał nigdzie i nikogo prócz najbliższych nie przyjmował u siebie. Czasem odwiedził znękanego dziadka w Słodkowcach lub księżnę w Obronnem. I oni zaglądali do Głębowicz, ale na myśl, ile tu mogło być szczęścia, a ile pozostało smutku, uciekali rozżaleni.

Może najczęściej widywał ordynat u siebie hrabiostwo Trestków. Ona umiała zastosować się do niego powagą, a Trestka stosował wszystko do żony.

Cała służba głębowicka i strzelcy zwierzyńscy przepisana mieli żałobę na pół roku – taką samą, jak przed kilkunastu laty, po śmierci ordynatowej Elżbiety. Świetne liberie, uniformy pochowano. Zamek wyglądał, jakby nań padła nocna pomroka. W administracji wszystkich dóbr nie odbywały się zabawy, nawet po terminie żałoby. Każdy chciał uszanować boleść ordynata; panowie praktykanci chodzili osowiali, patrząc na zwierchnika ze współczuciem i niebywałą trwogą, bo stał się teraz zamknięty w sobie i zimny.

Waldemar przesiadywał często w pracowni sławnego rzeźbiarza, Polaka, którego zaprosił do Głębowicz

z Rzymu. Powierzył mu wykonanie pomnika dla Stefci, własnego pomysłu i rysunku. Artysta, dawny znajomy ordynata, starał się zadowolić go, rozumiał, że praca w Głębowiczach opłaci mu się bardzo sownie. Postanowił wyzyskać swój talent.

Waldemarowi rwała nerwy każda bytność w pracowni, lecz nie oszczędzał się.

Wchodził tam najczęściej w nocy lub w czasie nieobecności rzeźbiarza i z natężeniem patrzył na postępujące dzieło. Wracając, odczuwał taki ogrom tęsknoty i nędzy, jakby jego mózg zmienił się w bryłę marmuru, którą miał przykryć Stefcię.

W Ruczajewie ordynat bywał często, prawie zawsze incognito. Przyjeżdżał dorożką, z ładunkiem kwiatów, prosto na cmentarz. Przebywał na grobie narzeczonej kilka godzin, ponuro zamyślony, wpity oczyma w mogiłę, i odjeżdżał na kolej z żalem na nowo pogłębionym. Jedynym śladem jego bytności pozostawały świeże kwiaty, piętrzące się wśród brzoź, i rozpromieniona dużym datkiem fizjonomia cmentarnego stróża. Do państwa Rudeckich ordynat wstąpił zaledwo parę razy, i to na krótko. Zbyt bolesne wspomnienia łączyły ich. Spotkanie się podwajało ich ból. W Głębowiczach Waldemar odwiedzał kaplicę zamkową, rozpamiętywając z goryczą ostatnią bytność w niej Stefci, rozmowę z nią i jej przestach, gdy nadmieniło zwycięstwo swych pragnień życiowych. Byłoby to u niej przecucie, że kir zaćmi ich szczęście? Czy też zapamiętała własne prorocze słowa, wypowiedziane w korytarzu z obrazem świętej Magdaleny?

I oto spełniło się! Z walki życiowej wyszedł z połamanymi skrzydłami i w kajdanach ciężkiej żałoby – po niej. Zgniotła go siła, jakiej się nie spodziewał i zwalczyć nie mógł.

W rocznicę zgonu Stefci cała rodzina ordynata zjechała na poświęcenie pomnika do Ruczajewa.

Dotychczasową płytę białą marmurową, z wyrytym napisem, umieszczono w kościele ruczajewskim. Na grobie stanął pomnik także z białego marmuru i tak piękny, że mógłby ozdabiać słynne Campo Santo w Genui.

Wysoki, strzelisty, przedstawiał skałę na czworokątnym wzniesieniu. Z lewej strony,

157

wśród artystycznie rzeźbionych lili, równolegle ze skałą, ale wyższa, stała smukła postać młodziutkiej dziewczyny w powiewnej szacie, opływającej ją w malowniczych fałdach. Postać miała wzrost, bujne włosy i klasyczne rysy Stefci, tak dobrze oddane, że zdawały się być robione z natury. Podobieństwo rysów owiewał wyraz przede wszystkim duchowy. Lewą rękę, wylaniającą się ładnie z szerokiego rękawa, miała spuszoną, z palców opadał wianek z gałązek cierni, jakby odrzucony. Głowę odwróciła nieco na prawo, oczy były utkwione w skrzydlatego anioła. Zaczepiony stopą o skałę, sfruwał jakby wprost z niebios z rozpostartymi skrzydłami i szatą sfalowaną wirem lotu. Śliczną młodzieńczą twarz ozdabiała bujne loki. I w tym szumiącym zlocie, zgrabnie pochylony, wieńczył trzymaną w obu rękach koronę z lauru głowę wpatrzoną w niego uśmiechniętej dziewczyny. Cała postać anioła zdawała się szumieć, rozwiane pióra chrześcijały, czuło się ich powiew. Postać dziewczyny, dziwnie delikatna i wdzięczna w ruchu, posiadała w sobie tyle niezziemskiego ideału, że się czekało, kiedy oderwie stopy od marmuru i jak duch popłynie w błękity.

Pomnik robił wrażenie nadzwyczaj lekkie, jakby wycięty z opłątka.

Niżej, na odłamie skały, widniał gładki szlifowany krzyż i owalna tarcza z nałożonymi wypukło literami.

Pod imieniem i nazwiskiem oraz datą urodzenia i śmierci następował napis:

W pierwszej wiosnie życia zgasła jak jutrzienka... Jak biały motyl, wplątany w ciernie.

Pozostawiła po sobie łyzy.

I w sercu narzeczonego niezgłębioną chmurę. Bo była jego szczęściem...

Wieńczcie ją, anieli.

Pomnik otaczał olbrzymi wieniec kwitnących szlamowych róż w wazonach, stopniowo

od wyższych do niskopiennych. Te wiły się już na ziemi, oplątując żelazną, artystycznie rzeźbioną kratę, dosyć niską. Na czterech rogach żelazne słupki zakończyły płaskie talerze cyzelowane, z okrągłymi lampami wewnątrz w kształcie kul z rżniętego kryształu, oplecione ukośnie oksydowanym drutem. Na balustradzie wisiały metalowe wieńce zeszlóroczne, już trochę zniszczone, ale przybyło kilka nowych od ordynata i jego rodziny. Dalej poza kratą grupowały się w wazonach wielkie drzewa tui, cyprysów i cedrów, w otoczeniu swojskich brzoź, smukłych, jak przed rokiem ustrojonych w jasnozielone zwoje listków.

Odsłonięcie i poświęcenie pomnika odbyło się przed wieczorem i sama natura upiększyła uroczystą chwilę. Czerwcowe słońce, olbrzymią kulą spadając na dół, rozlało swe purpurowe farby jaskrawym oceanem. Zapaliło się niebo, zbałwanione tale czerwieni szły dalej i dalej, niosąc blachy rubinowego złota, dziergając przepyszną frędzlą pasowo-złocistą brzegi ciemnych obłoczków. Drobne chmurki szaroperłowe nasiąkły czerwonym proszkiem, zwisając ciężko, niby gąbki nabrane krwią. Różowe pyły sypały się obficie na ziemię. Skłon nieba nurzał się we krwi, poprzerynany brzeziennymi obłokami. Im więcej w górę, tym silniej panoszyło się złoto, spychając rubiny do wspaniałego tronu króla, na ukraszenie jego majestatu. Słońce gorzało, jak palący się balon, na niezmiernych przestrzeniach wieczornych zórz. Rozwielmożnił się gmach zachodu i pędził naprzód świetne rakiety, i rozpiął ogniste namioty na niebie coraz wyżej, dalej i szerzej. I oddychał płomieniem, i ciskał gorący wzrok na biały pomnik Stefci, i bogato stroił delikatną, z marmuru wycieniowaną twarz jej, i złotą opaskę kładł na bujne loki anioła. Na tle karmazynowych aksamitów, złotolitych opon, rozpiętych na niebie, smukły, wysubtelniony w koronkę biały marmur uwypuklał się z plastyką niesłychaną

a piękną, niby mistyczny jakiś kwiat śnieżny o fantastycznym kielichu na łunie pożaru. Cyprysy poczerniały, tuje, cedry przeświecały lekko różowością. Zachód igrał na kryształach lamp zdobiących pomnik, rozpalając wewnątrz tysiące ogników. Brzozy stały się seledynowe, a

158

przeświecone królewskim rumieńcem były jak trzęsienia, kity z chryzolitów umaczone w karminie, zanurzone w nim. Białe pnie drzew odcinały się jak słupy z alabastru. Świat stał zalany potopem i morzem czerwonym. W końcu i marmur, i pnie brzoź zabarwiły się lekko tym zaraźliwym kolorytem niebios. Postacie dziewczycy i anioła, i fantastyczne lilie, i świeże kwiaty, żelazna krata, drzewa, pluszowe trawy otaczające pomnik, wszystko zabarwiło się ślicznym różem i piło róż z chciwością. Pomnik zawisł, zda się, w powietrzu, płynął w górę na drogocennych gobelinach zachodu.

Waldemar oddalony od zebranych osób, również nasiąkły różowością, patrzył na rzeźbę wysoką, skrzydlatą z uczuciem człowieka, który zerwał bandaż z głębokiej rany.

Pomnik sprawił wielkie wrażenie na wszystkich.

Pan Maciej długo patrzył na lekkie postacie anioła i ślicznej dziewczyny, aż parę grubych łez spłynęło mu z oczu. Rzekł ze smutkiem w głosie:

– Pozostała nam jak żywa, ale już tylko w marmurze.

Waldemar usłyszał, wzrokiem zajrzał mówiącemu w głąb duszy.

– Tylko?... – spytał przejmującym szeptem. Pan Maciej spuścił głowę.

– Szkoda, że ta rzeźba nie jest bliżej nas – zauważyła księżna, wpatrzona w pomnik, ukoronowany zachodem słońca.

Waldemar odrzekł głucho:

– I wśród nas ona będzie jak żywa i w całej postaci. Spojrzeli na niego nie rozumiejąc.

Waldemar odprowadził w głąb cmentarza starego plebana ruczajewskiego i wręczył mu duże safianowe pudełko. Mieściły się w nim perły ofiarowane Stefci w Głębowiczach. Oddał mu je Rudecki.

– Proszę to zawiesić jako wotum na ołtarzu w tutejszym kościele – rzekł ściskając rękę księdza. Staruszek odrzekł serdecznie:



– Dobrze, zawieszę te perły na ołtarzu, przy którym ją zawsze komunikowałem. Waldemar ze ściśniętym sercem prędko odszedł.

159

#### XXXIV

Po powrocie do Głębowicz odbyła się uroczystość założenia fundamentów pod szpital i ochronę imienia Stefanii – w Słodkowcach.

Okolica patrzyła na to z niemym podziwem.

W parę dni potem w zamku głębowickim zawrzał ruch niepowседневni, rozbijano jakąś pakę, po czym kilku służących i olbrzymi Jur nieśli po schodach wielki przedmiot okryty pasową makatą. Ordynat szedł naprzód i otworzył salę portretową.

Zdjęto aksamitną zasłonę z prawej strony od portretu Gabrieli Michorowskiej. Wyrzała dębowa ściana, co niegdyś tak niemile dotknęła Waldemara swą pustką. Zaczęło się stukanie, huk młotów rozbrzmiał echem po sali.

Wstrząsnęły się portrety.

Antenaci Michorowskich zadrżeli w swych ramach. Zbudzili się! Surową stałą martwych oczu spoglądali na niezwykły widok. Krzątania lokajów, huk młotów stolarskich i sztywna postać młodego ordynata, który wydawał suchym głosem rozkazy, przeraziły portrety. Duży przedmiot, pokryty makatą, zastanawiał je.

Szmer poszedł po sali – szmer cichy a groźny, niby pomruk zbudzonych magnatów w odwiecznym przybytku ich pośmiertnej chwały.

– Przybył do nas ktoś nowy! – szła wieść, podawali ją sobie od ramy do ramy.

– Ale kto?

Pytanie zawisło nad portretami dawnych ordynatów głębowickich, dawnych wojewodów i hetmanów.

A huk rozlegał się ostro, młoty waliły w dębowe ściany potężnie. Po szybach okien biegł lekki brzęk, dźwięczały brązy pajaków.

Nagle ucichło. Głos ordynata zabrzmiał parę razy i duży wąski przedmiot zawisnął na ścianie, dotykając posadzki.

Portrety oczekiwały w skupieniu. Ordynat ruchem ręki oddalił służbę. Zabrali narzędzia i wyszli cicho.

Wówczas ordynat przetarł ręką czoło, blady, zmieniony. Rozejrzał się po sali ze zmarszczoną brwią, jakby nakazując coś, jakby wołając: – Patrzenie!

Martwe oczy wszystkich portretów wpijały się w mroczną twarz prawnuka. Oczekiwaniem czegoś wielkiego dyszała sala, dyszały postacie w ramach.

Ordynat zbliżył się do ściany, gwałtownym ruchem zerwał pasową makatę, odrzucając ją daleko.

Głuchy wybuch, krzyk idący z samego serca wypadł z jego piersi. Z rękoma przy skroniach przyklęknął przed portretem narzeczonej.

Antenaci Michorowskich zadygotali. Szmer wśród nich wzmógł się:

– Kto to?! Kto to?!

Stefcia na portrecie była w kostiumie damy z czasów Dyrektoriatu, artystycznie odtworzoną, tym bardziej że tylko z fotografii. Malował ją jeden z najslawniejszych mistrzów sztuki malarskiej w kraju. Na tle ciemnych materii Stefcia stała w naturalnej wysokości. Wdzięczny jej ruch miał w sobie wyrazistość i harmonię. Bładoróżowa stylowa suknia posągowo stroiła jej smukłą postać. Na matowej gładkiej tkaninie wytwornie odbijała jedwabna szarfa. Krótki staniczek wycięty, obramowany gazą, lekko odstaniał śliczne kontury ramion i szyi, ozdobionej perłami. Powódź ciemnozłotych włosów, o połyskach soboli, spływała na kark i plecy, rozsypując się falisto na ramionach. Pęki różowych kamelii ozdabiały gors i włosy z boku głowy. Fantazyjny kapelusz czarny o dużych rondach i wielkie strusie pióra tworzyły wy-

160

kwintne tło dla tej patrycjuszowskiej, szlachetnie pięknej twarzy.

Jedną ręką w koronkowej mitynce Stefcia podtrzymywała długą falę sukni, z drugiej zwieszał się na pół rozłożony wachlarz z czarnych strusich piór. Odsłonięte delikatne palce były czysto arystokratyczne w konturach.

Na czwartym palcu prawej dłoni błyszczał pierścionek z perłą uriańską. Spod miękkich fałd sukni wysuwał się brzeżek różowego pantofelka.

Wyraz twarzy miała zamyślony, dziwnie uroczy. Usta pąsowe, złożone lekko, zdawały się coś szeptać.

Wielkie gwiazdziste oczy, lśniące fioletem, w ciemnej przepysznej oprawie, patrzyły przed siebie marząco, lecz z iskrami wesołości, pełne życia. Zarysowane ładnie brwi. podgięte nieco w górę, i niesłychanie długie rzęsy drgały w swawolnym uśmiechu.

Powaga, zamyślenie i ta jakaś dojrzałość duchowa, wyzierająca z głębin jej oczu, stano- wiła zachwycający kontrast z młodą wesołością, widną z każdego ruchu postaci.

Na jasnym czole, okolonym łagodnie lśniącą masą włosów, świeciła inteligencja. Subtel- ność natury przebijała się w rysach i w kątach drobnych ust. W zagięciu brwi znać bujność temperamentu.

Słodczą nęciły śliczne wargi dziewczyny i urok jej spojrzenia pociągał nieprzeparcie. I wiosna śpiewała w niej. Czar jakiś upajający i prostota, i szczerłość dziecięca.

A zarazem tyle było w niej szlachetnej dumy, tyle klasycznej pańskości, takie bogactwo uduchowienia w połączeniu z gorącą krwią.

Postać Stefci, wystylizowana genialnie, z wielką siłą i techniką wykonania, była ponadto wybornie odczuta.

Artysta znał Stefcię z Warszawy: szkicował jej portret w zaręczynowej sukni. Interesowała go wykwiwna postać dziewczyny, w tece swej posiadał kilka rysunków jej głowy, zrobionych naprędce. To mu ułatwiało wzorowe odtworzenie dosyć trudnego w charakterze wyrazu i stylu jej wewnętrznej istoty.

Stefcia stała na portrecie wypukło odcieniowana, ze śmiałością linii i niezwykłą swobodą.

Stefcia żyła.

Jej jasna postać, rzucając na salę niby podmuch zorzy porannej, odbijała rażąco od surowej w tonie Gabrieli de Bourbon.

Rozświetlała salę, jak ukwiecona gałąź białej akacji rozświetla zmurszałe modrzewie.

Przodkowie Michorowskich zdumieli się.

– Kto to?... kto to?... – snuły się szmery.

Martwe oczy portretów patrzyły na cudną postać dziewczyny i na brzeg płótna, blisko szerokiej ramy rzeźbionej z mahoni z brązowym okuciem.

Tam widniał napis:

„Śp. Stefania Rudecka, narzeczona Waldemara Michorowskiego 12. ordynata Głębowicz”.

Zgasła przedwcześnie, zatruta fanatyzmem pewnych członków jego sfery. Żyć będzie wśród niej wiecznie.”

Zgroza wiała z tych słów pełnych tragizmu.

Portrety wstrząsnęły się. Dreszcz wstydu za żyjące pokolenia przeleciał po nich.

Znieruchomiały w swej martwocie.

Ordynat wstał, wyprostował się, cofnął i długo patrzył na Stefcię zmatowionym wzrokiem. Po czym zawołał głośno:

– Pozostaniesz wśród nas wiecznie! Odpowiedziało mu głuche milczenie.

161

Waldemar usiadł ciężko na kanapce. Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwił w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno. Spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe – uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich. W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście. KONIEC

